



KATE
ATKINSON
Bóg pośród ruin



KATE
ATKINSON
Bóg pośród ruin

Przełożyła Aleksandra Wolnicka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Spis treści

[Spis treści](#)

[Ostatni lot](#)

[Alouette](#)

[Przygody Augustusa](#)

[Dzieci Adama](#)

[Bezlitosna zima](#)

[Wojna Teddy'ego](#)

[Ci, którzy pozostali](#)

[Czerw niewidoczny42](#)

[Wojna Teddy'ego](#)

[Odwaga w godzinie próby.](#)

[Wojna Teddy'ego](#)

[Nienazwane i zapomniane czyny dobroci i miłości](#)

[Miłość, dobroć, litość, pokój](#)

[Ostatni lot](#)

[W stronę światła](#)

[Ostatni lot](#)

[Córy Elizejskich Pól](#)

[Przygody Augustusa](#)

[Posłowie](#)

[Dziękuję.](#)

[Źródła](#)

[Przypisy końcowe](#)

Tytuł oryginału:
A GOD IN RUINS

Redakcja
Krystyna Podhajska

Projekt okładki
Izabella Marcinowska

Zdjęcie na okładce
© YorkBerlin / Shutterstock

Korekta
Maciej Korbasiński

Redaktor prowadzący
Małgorzata Głodowska

Copyright © Kate Costello Ltd, 2015
First published in Great Britain in 2015 by Doubleday
an imprint of Transworld Publishers.

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-301-1

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Człowiek jest bogiem pośród ruin. Gdyby ludzie zachowali niewinność, życie byłoby dłuższe i przechodziłoby w nieśmiertelność tak gładko, jakbyśmy budzili się ze snu.

Ralph Waldo Emerson, *Natura*
w przekładzie Michała Filipczuka

Sztuka nie ma być prawdą, ma tylko przekazywać prawdę o rzeczach.

Sylvie Beresford Todd

Razu pewnego [święty Jerzy] przybył do miasta zwanego Silene. Na otaczających je mokradłach żył smok, który dzień w dzień pożerał jedną dziewczicę. Kolejne jego ofiary losowano.

W dniu, w którym do miasta przybył święty Jerzy, wylosowano Cleolindę, córkę króla. Święty obiecał królownie, że nie pozwoli jej umrzeć, po czym wyruszył na spotkanie potwora i go zabił.

W obliczu niebezpieczeństwa – które w tym wypadku miało postać smoka – nie przeląkł się, nie próbował uciekać. Stawił mu czoła z całą mocą, nie oszczędzał przy tym ani siebie, ani swego konia. Chociaż był nieodpowiednio uzbrojony – miał tylko włócznię – zebrał się w sobie, ruszył do ataku i ostatecznie pokonał zło, któremu nikt przed nim nie ośmielił się rzucić wyzwania.

Podobnie skaut powinien wychodzić naprzeciw trudnościom i niebezpieczeństwom bez względu na to, jak go one przytłaczają i jak nierówna czeka go walka.

Robert Baden-Powell, *S dla chłopców*

Dla Reubena

30 marca 1944

Ostatni lot

Naseby

Doszedł aż do żywopłotu wyznaczającego kraniec lotniska.

„Pokłonić się ziemi” – mówili jego koledzy, żartując z tych codziennych spacerów, chociaż woleli, aby regularnie je odbywał. Byli przesądni. Wszyscy tu byli przesądni.

Za żywopłotem ciągnęły się płaskie, nagie pola zaorane minionej jesieni. Nie spodziewał się ujrzeć, jak za sprawą wiosennej magii burą ziemię pokrywa soczysta zieleń i jak ta zieleń zaczyna się później złocić. Niektórzy odmierzali swój żywot żniwami. On widział ich już wystarczająco dużo.

Z lewej strony wśród pól przysiadła farma, solidna i nieruchoma. Nocą na dachu głównego budynku zapalano czerwone światełko, aby piloci mogli uniknąć kolizji. Jeżeli podchodząc do lądowania, widziało się w dole zabudowania gospodarcze, można było mieć pewność, że nie trafi się w pas, a to oznaczało spore kłopoty.

Ze swojego miejsca przy żywopłocie widział córkę farmera karmiącą gęsi na podwórzu. Skojarzyło mu się to z jakimś wierszykiem z dzieciństwa. Chociaż nie, w wierszyku żona farmera ostrym nożem obcięła ogony trzem ślepym myszkom. Co za potworność! Jako chłopiec ogromnie im współczuł. Jako dorosły zresztą też. Uważał, że dziecięce rymowanki wprost porażają okrucieństwem.

Nigdy nie spotkał tej dziewczyny, nie znał nawet jej imienia, ale – o dziwo – niezmiernie się do niej przywiązał. Zawsze im machała, gdy startowali. Towarzyszyła im niezmiennie podczas każdego wylotu. Tylko czasem stał obok niej ojciec, raz czy drugi dołączyła do niej również matka.

Teraz także dziewczyna go dostrzegła i wesoło pomachała mu ręką. Zamiast odmachać, zsalutował. Pomyślał, że to jej się powinno spodobać. Oczywiście z tej odległości widziała jedynie człowieka w mundurze. Nie miała pojęcia, kim Teddy jest. Był dla niej jednym z wielu.

Zagwizdał na psa.

1925

Alouette

– Popatrz! – zawołał. – Skowronek! – Spojrzał na nią i stwierdził, że skierowała wzrok w złym kierunku. – Nie tam, tutaj! – Wskazał palcem. Była po prostu beznadziejna.

– Aha! – powiedziała wreszcie. – Dobrze, już widzę! Dziwne. Co on wyprawia?

– Zawisł w powietrzu. Zaraz pewnie znowu się wzniesie. – Skowronek szybował, zawieszony na niewidocznej nitce śpiewu. Jego drżący lot i piękne trele budziły w Teddym niezwykle silne emocje. – Słyszysz to?

Ciotka teatralnym gestem przyłożyła do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę. W dziwnym kapeluszu, czerwonym jak skrzynka pocztowa i z zatkniętymi za wstążkę dwoma bażancimi piórami, które podrygiwały przy każdym ruchu jej głowy, nie pasowała do tego miejsca. Nie zdziwiłby się, gdyby wziął ją na cel jakiś myśliwy. „Oby...” – pomyślał. Zdecydował, że wolno mu mieć barbarzyńskie myśli, pod warunkiem że pozostaną niewypowiedziane. („Dobre maniere – mawiała jego matka – to zbroja, którą należy przywdziewać na nowo każdego ranka”).

– Co mam słyszeć? – zapytała wreszcie.

– Jego *śpiew* – odparł, z trudem zachowując cierpliwość. – Pieśń skowronka. Już przestał – dodał, ponieważ udawała, że wciąż bacznie nasłuchuje.

– Może znowu zacznie.

– Nie zacznie, bo teraz go tu nie ma. Odleciał. – Teddy zamachał wymownie rękami. Chociaż ciotka nosiła kapelusz z piórami, najwyraźniej

w ogóle nie znała się na ptakach. Ani na zwierzętach, skoro o tym mowa. Nie miała nawet kota i obojętnie odnosiła się do Trixie, ich charciczki, która w tej chwili z entuzjazmem obwąchiwała wyschnięty rów przy drodze. Trixie była najwytrwalszą towarzyszką eskapad Teddy'ego, nie odstępowała go od swoich szczenięcych lat. Była wtedy taka mała, że potrafiła się przecisnąć przez drzwi frontowe domku dla lalek należącego do jego sióstr.

Czy jego rolą było doksztalcać ciotkę? Po to tutaj przyszli? „Skowronek słynie ze swojego śpiewu – poinformował ją – który jest bardzo piękny”. Naturalnie nie sposób było edukować kogoś w kwestii piękna. Coś było piękne i albo nas poruszało, albo nie. Żadna z jego sióstr – ani Pamela, ani Ursula – nie była obojętna na piękno, w przeciwieństwie do Maurice'a, ich najstarszego brata. Jimmy, młodszy brat Teddy'ego, był za młody, aby się wzruszać. Natomiast Hugh, ich ojciec, był na to za stary, ale miał płytę gramofonową z nagraniem „Lotu skowronka”, którego słuchali czasami w deszczowe niedzielne popołudnia. Muzyka była bardzo ładna, lecz nie tak ładna jak ptasi śpiew. „Sztuka – mawiała czy wręcz *nauczała* ich matka, Sylvie – nie ma *być* prawdą, ma tylko *przekazywać* prawdę o rzeczach”. Jej od dawna nieżyjący ojciec, dziadek Teddy'ego, był słynnym malarzem, co dawało Sylvie prawo do wypowiedzania się w sprawach sztuki. A także, jak przypuszczał Teddy, w sprawach piękna. Gdy matka rozprawiała o Sztuce, Prawdzie i Pięknie, miało się wrażenie, że każde z tych słów pisane jest wielką literą.

– Gdy skowronek wlatuje wysoko – ciągnął bez przekonania, zwracając się do Izzie – to znaczy, że jest ładna pogoda.

– Aby to stwierdzić, nie potrzeba skowronka. Wystarczy się rozejrzeć – zauważyła ciotka. – Dzisiejsze popołudnie na przykład jest wprost

cudowne! Uwielbiam słońce – dodała, przymykając powieki i unosząc do nieba umalowaną twarz.

„A kto go nie lubi?” – pomyślał Teddy. Może tylko ich babka, której życie upływało w ponurej bawialni w Hampstead. Ciężkie bawełniane zasłony były tam stale zaciągnięte: nie wpuszczały światła – a może nie wypuszczały ciemności panującej w tym pomieszczeniu?

Wyuczony na pamięć kodeks rycerski z książki *Skauting dla chłopców*, po którą Teddy zawsze sięgał w razie wątpliwości, stwierdzał: „[...] rycerskość wymaga ćwiczenia się w młodości do spełnienia najcięższych i najniższych zadań radośnie i powabnie oraz czynienia dobra bliźnim”¹. Teddy przypuszczał, że jednym z takich zadań na pewno jest dotrzymanie towarzystwa Izzie.

Oslaniając oczy dłonią przed rażącym światłem, rozejrzał się po niebie w poszukiwaniu skowronka. Ten jednak przepadł bez śladu i Teddy musiał się zadowolić podniebnymi akrobacjami jaskółek. Pomyślał o Ikarze. Ciekawe, jak wyglądałby z ziemi. Pewnie byłby większy od ptaka. Ale przecież to postać mitologiczna. Po wakacjach Teddy’ego czekał wyjazd do szkoły z internatem – najwyższy czas uporządkować pewne fakty. „Będziesz musiał wykazać się stoicyzmem, synu – uprzedził go ojciec. –

Nie będzie ci łatwo, przypuszczam zresztą, że właśnie o to chodzi. Najrozsądniej zrobisz, nie nadstawiając głowy – dodał. – Nie siedź w kącie, ale i nie pchaj się na pierwszy plan. Najlepiej krąż gdzieś pomiędzy”.

– Wszyscy mężczyźni w rodzinie ukończyli tę szkołę przed tobą – oznajmiła mu babka z Hampstead (jedyna, jaką miał; matka Sylvie umarła wiele lat wcześniej) takim tonem, jakby to był święty obowiązek zapisany w odwiecznym prawie. Teddy przypuszczał, że gdyby miał kiedyś syna, on również zostałby posłany do tej samej szkoły. Była to jednak przyszłość tak bardzo odległa, że nie zwracał sobie nią głowy. Całkiem słusznie, jak się

okazało, gdyż los nie obdarzył go wcale synami, tylko jedynaczką Violą. Fakt ten miał być dla niego powodem do smutku, którym z nikim się nie dzielił. Zwłaszcza nie z Violą, która niechybnie poczułaby się tym urażona.

Zdumiał się, gdy Izzie niespodziewanie zaczęła nucić i – o rety! – tańczyć w rytm piosenki *Alouette, gentille alouette*. Francuski był mu na razie obcy, dlatego zamiast *gentille* usłyszał „żonkil”. Bardzo lubił to słowo. – Znasz tę piosenkę? – spytała go ciotka.

– Nie.

– Pochodzi z czasów wojny. Śpiewali ją francuscy żołnierze. – Przez jej twarz przemknął jakiś cień... Może smutek? Lecz po chwili dodała radośnie: – Tekst jest po prostu *okropny*. Mowa w nim o wrywaniu biednemu skowronkowi piórek i nóżek, wydłubywaniu oczek i tak dalej.

W niepojętej wówczas, lecz nieuniknionej przyszłości miała wybuchnąć nowa wojna – wojna Teddy’ego – podczas której 425. Kanadyjska Eskadra Lotnictwa Taktycznego nosiła nazwę *Alouette*. W lutym 1944 roku, na krótko przed swoim ostatnim lotem, Teddy awaryjnie wylądował w ich bazie w Tholthorpe z dwoma płonącymi silnikami przestrzelonymi podczas przelotu nad kanałem La Manche. Kanadyjczycy poczęstowali jego załogę brandy, która paliła w gardło, ale została wypita bez marudzenia. Lotnicy tej eskadry mieli odznaki przedstawiające skowronka w locie, pod którym widniało motto *Je te plumerai*. Teddy przywołał wtedy wspomnienie owego letniego dnia spędzonego z Izzie. Miał wrażenie, że należy ono do kogoś innego.

Izzie wykonała piruet. – To ci gratka! – zawołała ze śmiechem. Czy to miał na myśli ich ojciec, kiedy mówił, że Izzie jest „kompletnie rozchwiana emocjonalnie”?

– Słucham?

– „To ci gratka”² – powtórzyła Izzie. – Nie czytałeś *Wielkich nadziei* Dickensa? – Przez jedną zaskakującą chwilę brzmiała zupełnie jak jego matka. – Oczywiście żartowałam, bo nie ma już ani jednego. Skowronka. Wziął i poleciał – dodała, naśladowując akcent londyńskich cwaniaków. – Jadłam kiedyś skowronka – dodała z rozpędu. – We Włoszech. Są tam uważane za przysmak. Rzecz jasna, trudno się nimi najeść. Raptem parę kęsów mięsa.

Teddy się wzdrygnął. Myśl, że ktoś mógłby strącić w locie delikatnego ptaszka i przerwać w pół tonu jego cudowną pieśń, była dla niego nie do zniesienia. Znacznie później, w latach siedemdziesiątych, na kursie literatury amerykańskiej podczas studiów Viola miała odkryć poezję Emily Dickinson. Niedbałym, zamaszystym charakterem pisma przepisała pierwszą linijkę wiersza, który – jak sądziła – mógł się spodobać jej ojcu (na to, żeby przepisać cały wiersz, była zbyt leniwa). „Przetnij wpół Skowronka – znajdziesz Śpiew – Zapas Srebrnych Ziaren”³. Teddy był zdziwiony, że o nim pomyślała. Rzadko jej się to zdarzało. Przypuszczał, że literatura to jedna z niewielu rzeczy, jakie ich łączą, choć rzadko o niej rozmawiali, jeśli w ogóle. Rozważał, czy się jakoś nie zrewanżować – wysłać córce wiersz albo wybrany fragment tylko po to, żeby podtrzymać kontakt. „Witaj, duchu wdzięczny! Ptakiem nigdyś nie był!”⁴ albo „Jak skowronek, z wietrznej wyżyny ściągnięty do klatki”⁵, albo „Z lewej strony skowronek – słyszę – nad zagony wzbił się”⁶. (Czy był poeta, który *nie pisał* o skowronkach?). Obawiał się jednak, że córka posądzi go o protekcjonalność. Alergicznie reagowała na wszelkie sugestie, że mógłby ją czegokolwiek nauczyć – zresztą nie tylko on – więc ostatecznie odpisał po prostu: „Dziękuję za pamięć, to bardzo miłe z twojej strony”.

Zbroja dobrych manier pękła i Teddy wypalił, zanim zdołał ugryźć się w język: – To *ohydne* jeść skowronka, ciociu Izzie.

– A cóż w tym ohydneho? Kurczaka przecież jadasz, więc co za różnica?
– Podczas Wielkiej Wojny Izzie prowadziła ambulans. Aby ją wzruszyć, trzeba było czegoś więcej niż martwy drób.

„Różnica jest przeogromna” – pomyślał Teddy. Mimo wszystko był ciekaw, jak smakuje skowronek. Na szczęście od dalszych rozważań oderwało go głośne poszczekiwanie Trixie, która wypatrzyła coś w trawie. Schylił się, żeby to zbadać. – No proszę, padalec – zauważył z zadowoleniem, zapominając na moment o skowronku. Podniósł go delikatnie w obu rękach i zademonstrował Izzie.

– Wąż? – skrzywiła się; węże chyba jej nie pociągały.

– Nie wąż, tylko padalec – wyjaśnił cierpliwie. – Ściśle rzecz biorąc, to beznoga jaszczurka. – Miedzianozłociste łuski zaśniły w słońcu. To też było piękno. Czy cokolwiek w przyrodzie nim nie było? Nawet ślimak zasługiwał na pewne uznanie, chociaż nie w oczach Sylvie.

– Zabawny z ciebie chłopczyk – stwierdziła Izzie.

Teddy nie uważał się wcale za „chłopczyka”. Przypuszczał, że jego ciotka – najmłodsza siostra ojca – zna się na dzieciach jeszcze gorzej niż na zwierzętach. Nie miał pojęcia, dlaczego go porwała. Było sobotnie popołudnie, a on wałęsał się bez celu po ogrodzie i puszczał z Jimmym samolociki z papieru, gdy po lunchu dopadła go Izzie i pochlebstwami nakłoniła do wspólnej „wyprawy w dzikie ostępy”, przez co najwyraźniej rozumiała spacer połą drogą wiodącą z Fox Corner na stację kolejową. „Przygoda i pogawędka. Czy może być coś lepszego?”. Teraz był zakładnikiem jej kaprysów. Wędrowali, a ciotka zadawała mu najdziwniejsze pytania: „Zjadłeś kiedyś robaka?”, „Bawisz się w kowbojów i Indian?”, „Kim chciałbyś być, jak dorośniesz?” („Nie”, „Tak”, „Maszynistą”).

Teddy ostrożnie odłożył padalca na trawę i chcąc jakoś zatuszować wpadkę ze skowronkiem, zaproponował Izzie obejrzenie leśnych dzwonek. „Żeby dojść do lasu, trzeba przejść przez łąkę” – dodał, spoglądając z powątpiewaniem na jej pantofle. Wyglądały jak zrobione z krokodylej skóry ufarbowanej na wściekłe zielony kolor, do którego nie przyznałby się żaden szanujący się krokodyl. Były nowiutkie i zdecydowanie nie nadawały się na wędrówki po łąkach. Nadciągał wieczór. Dzięki Bogu na łące nie było już krów, które zwykle się tutaj pasły. Te pękate stworzenia o łagodnym, ciekawskim spojrzeniu nie wiedziałyby, co myśleć o Izzie.

Ciotka rozdarła rękaw na przełazie i wdepnęła pantoflem z krokodylej skóry w krowi placek, który ktoś inny z daleka by zauważył. Zyskała jednak odrobinę w oczach Teddy’ego, przyjąwszy oba te wypadki z podziwu godną niefrasobliwością. („Sądzę, że po prostu pozbędzie się tych zniszczonych części garderoby” – stwierdziła później matka).

Ku jego rozczarowaniu kwiaty nie zrobiły na ciotce żadnego wrażenia. W Fox Corner doroczny wysyp dzwonek witany był z nabożeństwem należnym dziełom wielkich mistrzów. Gości z dumą prowadzono do lasu, gdzie jak okiem sięgnąć rozciągały się połacie błękitu. „Wordsworth miał swoje żonkile – mawiała Sylvie – a my mamy dzwonki”. Rzecz jasna, nie były to *ich* dzwonki, lecz matka miała zaborczy charakter.

Gdy polną drogą wracali do domu, Teddy poczuł nagłe i niespodziewane drżenie w piersi, jego sercem zawładnęło uniesienie. Wspomnienie pieśni skowronka w połączeniu z ostrym, świeżym zapachem dzwonek, których cały bukiet zebrał dla matki, sprawiły, że ogarnęło go upojenie, czysta euforia, jakby lada moment miały mu się objawić wszystkie tajemnice świata. („Istnieje światłość – powiedziała kiedyś Ursula – lecz ciemność ją nam przesłania”. „Nasz mały manichejczyk” – zauważył czule Hugh).

Naturalnie szkoła nie była mu nieznana. Maurice studiował teraz w Oksfordzie, lecz gdy jeszcze mieszkał w internacie, Teddy często towarzyszył matce („Mój mały przyzwoitek”) podczas wyjazdów na szkolne uroczystości rozdania nagród, dni założycieli i okazjonalne „wizytacje”: rodzicom wolno było raz na semestr odwiedzać uczniów (aczkolwiek przesadnie ich do tego nie zachęcano). „Przypomina to bardziej więzienie niż szkołę” – fukała matka. Nie podchodziła do korzyści płynących z edukacji z takim entuzjazmem, jakiego można by się po niej spodziewać.

Mimo osobistych związków ze szkołą ich ojciec przejawiał zaskakującą niechęć do wizytowania jej murów. Jego nieobecność tłumaczono nawałem pracy w banku, pilnymi zebraniem i spotkaniami z zaniepokojonymi udziałowcami. „I tak dalej, i tak dalej – mruzczała pod nosem Sylvie. – Wracać jest zwykle trudniej niż iść naprzód” – dodawała, gdy organy w szkolnej kaplicy piskliwie wyciągały początek hymnu *Panie nasz, Ojcie ludzkości*.

To się zdarzyło przed dwoma laty, podczas rozdania nagród na zakończenie szkoły. Maurice był wówczas zastępcą przewodniczącego klasy, przy czym słowo „zastępca” doprowadzało go do szewskiej pasji. „Drugi w hierarchii – wściekał się, gdy na początku ostatniego roku nauki wybrano go na to stanowisko. – Widzę się raczej w roli przywódcy niż jego zastępcy”. Maurice uważał się za materiał na bohatera, za człowieka, który powinien prowadzić innych do boju, choć, jak się później okazało, wojnę dosłownie przesiedział za biurkiem w Whitehall, gdzie polegali byli tylko uprzykrzonymi liczbami w tabelach.

Nikt z obecnych w szkolnej kaplicy owego upalnego lipcowego dnia w 1923 roku nie uwierzyłby, że tak szybko wybuchnie kolejny światowy konflikt. Przecież nie wyschły jeszcze złocenia na dębowych tablicach

upamiętniających dawnych uczniów szkoły („Czcigodnych poległych”). „Co im po tej czci, skoro nie żyją” – szepnęła Teddy’emu na ucho rozgniewana Sylvie. Wielka Wojna uczyniła z niej wojującą pacyfistkę.

W kaplicy było duszno i przy wtórze monotonnego głosu dyrektora senność opadała na ławki niczym kurz. Przeświecające przez witraże słońce rzucało na posadzkę barwne plamy światła przypominające migotliwe klejnoty. Nie mogły one wszakże zastąpić cudów, jakie kryły się w przyrodzie za murami. Pomyśleć tylko, że wkrótce on także będzie tutaj tkwił, zamknięty w czterech ścianach! Co za koszmarna perspektywa.

Gdy przyszło co do czego, szkoła nie okazała się wcale taka straszna, jak się obawiał. Teddy nie narzekał na brak kolegów, był też wysportowany, co zawsze gwarantowało jaką taką popularność. Do tego nie miał litości dla tych, którzy gnębili słabszych, co zaskarbiało mu ogólną sympatię. Niemniej jednak w Oksfordzie doszedł do wniosku, że szkoła była areną prymitywnej przemocy. Nie zamierzał w związku z tym kontynuować nieludzkiej rodzinnej tradycji i posyłać do niej własnych synów. Spodziewał się liczego potomstwa płci męskiej – wesołych, krzepkich i lojalnych chłopców. Zamiast tego otrzymał ich lichą namiastkę w osobie Violi.

– Opowiedz mi o sobie – tą prośbą Izzie, wyszarpując z żywopłotu łodygę trybuli leśnej, ściągnęła Teddy’ego na ziemię.

– Ale co? – zdziwił się szczerze.

Po niedawnym uniesieniu nie pozostał nawet ślad, tajemnice świata znów spowijała nieprzenikniona zasłona. Jakiś czas potem w szkole Teddy poznał wiersz Ruperta Brooke’a zatytułowany *Głos*: „Czar prysł, a mnie odebrano klucz”... Wiersz stanowił znakomitą ilustrację tamtego momentu, lecz czytając go, Teddy nie pamiętał już, o co mu chodziło owego dnia na

polnej drodze. Uczucia, jakie wzbudziła rozmowa z Izzie, okazały się takie ulotne.

- Cokolwiek – odparła Izzie.
- No dobrze, mam jedenaście lat.
- To wiem, głuptasie!

Teddy przyjął to zapewnienie z powątpiewaniem.

– Powiedz mi raczej, co sprawia, że jesteś sobą. Co lubisz robić? Kim są twoi koledzy? Masz, jak jej tam, no wiesz... – Szukała w myślach odpowiedniego słowa. – To coś, z czego Dawid ustrzelił Goliata?

– Procę?

– Właśnie! Strzelasz z niej do ludzi, zabijasz różne stworzenia i tak dalej?

– Skąd! Nigdy bym nie skrzywdził żadnego zwierzęcia! Nawet nie wiem, gdzie jest. Kiedyś strącałem nią kasztany z drzewa.

W przeciwieństwie do Teddy’ego, Maurice z wielką przyjemnością zabijał wszystko, co się ruszało.

Izzie wyglądała na rozczarowaną jego pacyfistycznym podejściem do sprawy, co nie przeszkodziło jej w zadawaniu dalszych pytań.

– A co z bójkami? Musisz się w jakieś wdawać, wszyscy chłopcy tak robią. Bójki i psoty to dla was chleb powszedni.

– Bójki? – Teddy z przerażeniem przypomniał sobie incydent z zieloną farbą.

– Jesteś skautem? – zapytała ciotka, stając na baczność i salutując. – Założę się, że tak. Czuj, czuj, czuwaj i takie tam.

– Byłem zuchem – wymamrotał.

Nie miał ochoty rozmawiać z nią na ten temat, był jednak organicznie niezdolny do kłamstwa, jakby przy narodzeniu rzucono na niego jakiś czar. Obie jego siostry (nawet Nancy w razie konieczności) łągały jak z nut; także

Maurice często mijał się z prawdą (albo: z Prawdą), lecz Teddy był wręcz żałośnie uczciwy.

– Wyrzucili cię z drużyny? – zainteresowała się natychmiast Izzie. – Zdegradowali? Wdałeś się w jakiś skandal?

– Oczywiście, że nie!

– No to mów co się stało!

„Bractwo Kibbo Kift, oto co się stało” – pomyślał Teddy. Wiedział, że jeśli tylko wypowie te słowa, godzinami będzie musiał tłumaczyć Izzie, co to oznacza.

– Kibbo Kift? – powtórzyła. – Brzmi jak imię klauna.

* * *

– A słodycze? Bardzo je lubisz? A jeśli tak, to jakie? – W ręku Izzie pojawił się notesik, na którego widok Teddy’ego ogarnął niepokój. – Nie przejmuj się – uspokoiła go. – W dzisiejszych czasach wszyscy coś notują. No więc... Co z tymi słodyczami?

– Słodyczami?

– Tak, słodyczami – powtórzyła, po czym westchnęła i wyznała: – Jak zapewne wiesz, mój drogi, nie znam żadnych małych chłopców poza tobą. Ciekawi mnie, co się właściwie składa na wasze życie, jeżeli pominiemy, rzecz jasna, siniaki, ślimaki i psiaki, że tak powiem. Chłopiec – ciągnęła – to taki niedokończony mężczyzna. Dziecko tkwiące w dorosłym, dorosły tkwiący w dziecku i tak dalej. – Ostatnie zdanie wypowiedziała z pewnym roztargnieniem, wciąż zajęta łydygą trybuli. – Zastanawiam się na przykład, czy będziesz taki jak twój ojciec, kiedy dorośniesz.

– Mam nadzieję.

– Och, bylebyś tylko nie przystał na pospolitość. *Ja* z pewnością się na nią nie zgodzę. Musisz być nieobliczalny! – Zaczęła rwać łydygę na

kawałki. – Mężczyźni twierdzą, że kobiety są tajemnicze, lecz moim zdaniem to zwykły wybieg, który ma odwrócić naszą uwagę od tego, że sami kompletnie niczego nie rozumieją. – Ostatnie cztery słowa powiedziała dość głośno. Pobrzmiwała w nich irytacja, jakby Izzie miała na myśli konkretną osobę. („Zawsze ma w odwodzie jakiegoś faceta” – w głowie Teddy’ego rozległ się głos matki). – A co z dziewczynkami?

– Co z nimi? – przestraszył się Teddy.

– No wiesz... Pytam, czy masz jakąś koleżankę, którą szczególnie lubisz. – Ciotka uśmiechnęła się głupio i zrobiła dziwną minę, która miała najwyraźniej ilustrować stan zakochania albo inne temu podobne bzdury (kiepsko jej to wyszło).

Teddy spłonął rumieńcem.

– Mały ptaszek mi powiedział – ciągnęła nieubłaganie Izzie – że durzysz się w jednej z tych dziewczynek z sąsiedztwa.

Jaki znowu ptaszek? Nancy i gromadka jej siostr – Winnie, Gertie, Millie oraz Bea – mieszkały obok Fox Corner w Jackdaws, „Domu pod Kawkami”. Wiele z tych ptaków gnieździło się w pobliskim lesie; szczególnie upodobały sobie trawnik Shawcrossów, na który pani Shawcross wyrzucała co rano pokruszone tosty.

Teddy w żadnym wypadku nie zamierzał dzielić się Nancy z ciotką – nawet pod groźbą tortur, a ta rozmowa była istną torturą. Nie zamierzał nawet wypowiadać jej imienia, żeby nie skalały go wargi Izzie; ciotka natychmiast uczyniłaby z jego właścicielki obiekt żartów. Nancy była jego *przyjaciółką*, wierną towarzyszką, a nie bohaterką łzawego romansidła, jak zdawała się sugerować Izzie. Rzecz jasna, pewnego dnia Teddy się z nią ożeni i będzie kochał ją czystą, szlachetną miłością prawdziwego rycerza. Innych rodzajów miłości zresztą nie znał. Widział raz byka przy krowach, a Maurice wyjaśnił mu, że ludzie też tak robią („Nie wyłączając naszych

rodziców” – dodał ze wstrętnym chichotem). Teddy był jednak pewien, że brat ohydnie kłamie. Hugh i Sylvie mieli zbyt wiele godności, aby pozwalać sobie na podobne wygibasy.

– Czy ja dobrze widzę, czy ty się rumienisz? – zapiszczała radośnie Izzie. – Chyba właśnie odkryłam twój sekret!

– Gruszkowe dropsy – odparł Teddy, pragnąc zakończyć to przesłuchanie.

– Co z nimi? – spytała ciotka (łatwo było odwrócić jej uwagę).

Trybula została ciśnięta na ziemię. Ciotka za nic miała przyrodę. W swojej bezmyślności zdeptałaby łąkę, wywracając gniazda czajek i strasząc myszy polne. Jej miejsce było w mieście, w świecie maszyn.

– To moje ulubione słodycze – wyjaśnił.

Za zakrętem natknęli się na stado krów, które wracały na pastwisko z wieczornego udoju. Szły jedna obok drugiej, trącały się przy tym pyskami i bokami. Teddy domyślił się, że jest późno. Miał nadzieję, że nie ominął go podwieczorek.

– O, dzwonki! Jakie śliczne! – zachwyciła się matka, gdy tylko przestąpili próg domu.

Przebrała się do kolacji i sama wyglądała całkiem ślicznie. W szkole, w której Teddy miał wkrótce rozpocząć naukę, matka miała licznych wielbicieli. Tak przynajmniej twierdził Maurice. Teddy był dumny z tego, że jego matka to uznana piękność.

– Coście tam tyle czasu robili, u licha?

Pytanie zostało skierowane do Teddy’ego, lecz jego adresatką była Izzie.

Sylvie w futrze podziwiająca swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Podnosząca kołnierz krótkiej wieczorowej pelerynki tak, żeby otulał jej

twarz. Krytyczne spojrzenie. Lustro, dawny sprzymierzeniec, obecnie zdawało się ją oceniać z chłodną obojętnością.

Dotknęła ręką włosów, swojej „chluby i chwały”, podtrzymywanych przez gąszcz grzebieni i szpilek. Staroświecka fryzura, cecha charakterystyczna niedzisiejszej matrony. Może powinna obciąć włosy? Hugh byłby zrozpaczony. Powróciło nieoczekiwane wspomnienie – portret naszkicowany węglem przez jej ojca na krótko przed jego śmiercią. Zatytułował go *Sylvie w pozie anioła*. Miała wtedy szesnaście lat i wyglądała bardzo skromnie w długiej białej sukni – w istocie była to cienka koszula nocna – stojąc zwrócona półprofilem do ojca, któremu zależało na wyeksponowaniu włosów opadających jej kaskadą na plecy. „Zrób smutną minę – pouczył ją. – Pomyśl o upadku Adama”. Sylvie, która miała przed sobą całe życie pełne nieznanymi jeszcze cudownościami, nie potrafiła jakoś się tym przejąć. Niemniej jednak wydeła uroczo usteczka i wbiła roztargniony wzrok w ścianę olbrzymiego atelier ojca.

Poza okazała się wyjątkowo niewygodna. Sylvie pamiętała, że bolały ją żebra, lecz cierpiała w milczeniu w imię Sztuki. Robiła to dla wielkiego Llewellyna Beresforda, portrecisty sławnych i bogatych, człowieka, który zostawił jej w spadku same długi. Mimo to wciąż dręczyło ją poczucie straty – na myśl nie o ojcu jako takim, ale o ich wspólnym życiu, które okazało się niestety marnościami nad marnościami.

– Kiedy się nawarzyło piwa, trzeba je wypić – zawodziła cichutko jej matka. – Tyle że to on nawarzył piwa, a my musimy je pić.

Po śmierci ojca odbyła się upokarzająca wyprzedaż majątku. Matka Sylvie uparła się, by wziąć w niej udział, jakby musiały na własne oczy zobaczyć każdy przedmiot, jaki trafi pod młotek. Przez nikogo niezauważone (na to przynajmniej liczyły) siedziały w ostatnim rzędzie i przyglądały się, jak ich ziemski dobytek jest wystawiany na widok

publiczny. Gdzieś pod koniec tego koszmaru wniesiono portret Sylvie. „Obiekt numer 182. Szkic węglem córki artysty” – ogłosił prowadzący licytację, najwyraźniej nieświadom anielskiego wcielenia Sylvie. Ojciec powinien był jej dorysować aureolę oraz skrzydła, wtedy temat obrazu byłby zupełnie jasny. A tak pozostała po prostu nadąsaną ładną pannicą w koszuli nocnej.

Podczas kolejnych rund licytacji jakiś grubas o brudnych włosach podnosił do góry cygaro i koniec końców Sylvie została mu sprzedana za sumę trzech funtów, dziesięciu szylingów i sześciu pensów. „Tanio” – mruknęła matka. Sylvie pomyślała, że teraz wartość szkicu byłaby jeszcze niższa; po wojnie obrazy ojca całkiem wyszły z mody. Ciekawe, co się stało z tamtym portretem. Chętnie by go odzyskała. Ta myśl ją rozgniewała i w lustrze odbiła się pionowa zmarszczka między jej brwiami. Gdy licytacja dobiegła wreszcie końca („Grupa obiektów obejmująca mosiężny stojak do drewna kominkowego, srebrne naczynie z podgrzewaczem, zmatowiałe, oraz miedziany dzban”), w ogólnym rozgardiaszu opuściły z matką salę. Po drodze usłyszały, jak ów obleśny tłuścioch mówi głośno do swojego towarzysza: „Z przyjemnością popatrzę sobie na tę dojrzałą brzoskwinkę”. Matka Sylvie wydała stłumiony okrzyk – nie chciała robić zamieszania – i czym prędzej odciągnęła na bok swojego niewinnego aniołka.

„Splugawione, wszystko splugawione” – myślała Sylvie. Od samego początku, od upadku Adama. Poprawiła kołnierz pelerynki. Było za ciepło na futro, ale uważała, że w futrze najbardziej jej do twarzy. Pelerynka była z lisa polarnego, co zawsze trochę ją zasmucało, bo lubiła odwiedzające ich ogród lisy – nawet nazwała dom na ich cześć. Ile lisów potrzeba na taką pelerynkę? Na pewno mniej niż na płaszcz. Dobrze i to. W jej szafie wisiało

długie futro z norek, prezent od Hugh na dziesiątą rocznicę ślubu. Trzeba je będzie oddać do kuśnierza, przerobić na coś bardziej nowoczesnego.

– Sama też powinnam być bardziej nowoczesna – powiedziała, zwracając się do lustra.

Izzie miała nowe sobolowe futro w kształcie wielkiego kokonu. Skąd się wzięło, skoro notorycznie nie miała pieniędzy? „Dostałam w prezencie” – wyjaśniła. Oczywiście od mężczyzny. Żaden mężczyzna nie obdarowywał kobiety futrem, jeżeli nie oczekiwał czegoś w zamian. Chyba że był jej mężem, naturalnie; wówczas oczekiwał jedynie umiarkowanej wdzięczności.

Sylvie mogłaby zasłabnąć od ilości perfum, jakie wylała na siebie drżącą dłonią. Nerwy rzadko brały nad nią górę, lecz tego wieczoru jechała do Londynu. W pociągu będzie zapewne duszno i gorąco, w mieście jeszcze gorzej. Nie ma rady: trzeba się poświęcić i zostawić futro. Futro, dla którego lisy poświęciły swoje życie. Czuła, że gdzieś tu się kryje dowcip w stylu Teddy’ego. Sama nie miała poczucia humoru. To była jej wada.

Uwagę Sylvie zwróciła fotografia na toaletce, portret wykonany w atelier po narodzinach Jimmy’ego. Siedziała na niej z noworodkiem w chrzcielnej szatce składającej się głównie z falban, noszonej kolejno przez wszystkich Toddów. Dziecko zdawało się nie mieścić w ramionach matki, podczas gdy reszta potomstwa otaczała ją wianuszkami, gustownie upozowana jak do adoracji. Sylvie przesunęła palcem po srebrnej ramce – w zamierzeniu czuły gest, który wszelako upewnił ją, że fotografii od dawna nikt nie odkurzał. Będzie musiała pomówić z Bridget, dziewczyna zrobiła się niechlujna. („Prędzej czy później służba zawsze zwraca się przeciwko swoim panom” – przestrzegła ją teściowa, gdy Sylvie wyszła za mąż za Hugh).

W tej samej chwili na dole wybuchło zamieszanie, mogące zwiastować jedynie powrót Izzie. Sylvie niechętnie zdjęła pelerynkę i włożyła lekki wieczorowy płaszczyk, który kosztował życie jedynie pracowite jedwabniki. Na głowie ostrożnie umieściła kapelusz. Jej staroświecka fryzura nie pasowała do modnych obecnie czepków i beretów, więc nadal nosiła *chapeau*. Niechcący ukłuła się boleśnie w głowę srebrną szpilką. (Czy można kogoś zabić taką szpilką? Albo tylko zranić?). Wymamrotała pod nosem przekleństwo. Niewinne oczy dzieci spojrzały na nią z przyganą ze zdjęcia. „Należało mi się” – stwierdziła Sylvie. Wkrótce miała skończyć czterdzieści lat i na myśl o tym była z siebie niezadowolona. („Bardziej niż zwykle” – żartował Hugh). Czuła, że porzuca lekkomyślność i wchodzi w wiek ciągłego zniecierpliwienia.

Po raz ostatni przejrzała się w lustrze. „Może być” – uznała w duchu; nie była to ocena, jaka dawniej by ją zadowoliła. Nie widziała go dwa lata... Czy nadal będzie ją uważał za piękność? Tak ją wtedy nazywał. Czy jakaś kobieta oparłaby się takiemu komplementowi? Sylvie się oparła i pozostała nieskalana. „Jestem mężatką” – powtarzała cnotliwie. „W takim razie nie powinnaś się angażować w tę grę, moja droga” – odparł. „Konsekwencje mogą się okazać straszliwe. Dla ciebie, dla nas”. Wybuchnął śmiechem, jakby ta perspektywa wydała mu się niezmiernie pociągająca. To prawda, prowokowała go, aż w końcu doszli do ściany.

Potem on wyjechał za granicę, do jednej z zamorskich kolonii, aby zająć się jakąś ważną pracą na rzecz Imperium. Teraz powrócił. Sylvie czuła, że życie przelatuje jej przez palce. Nie miała ochoty być taka cnotliwa.

Powitał ją olbrzymi bukiet dzwonek leśnych. „O, dzwonki! Jakie śliczne!” – pochwaliła Teddy’ego. Swojego synka. Poza nim miała jeszcze dwóch, lecz bywały takie chwile, gdy w ogóle się dla niej nie liczyli. Córek

nie traktowała jak obiektu uczuć, raczej jak problemy do rozwiązania. Tylko jedno dziecko trzymało jej serce w swojej przybrudzonej garści.

– Umyj ręce przed jedzeniem, kochanie – poleciła Teddy’emu. – Coście tam tyle czasu robili, u licha?

– Próbowaliśmy lepiej się poznać – odparła Izzie. – Kochany z niego chłopiec. A niech mnie, Sylvie, wyglądasz po prostu olśniewająco! W dodatku na sto jardów czuć cię perfumami. Prawdziwa *femme séduisante*⁷. Masz jakieś plany na wieczór! Przyznaj się.

Sylvie łypnęła na nią gniewnie, lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, jej uwagę przykuły uwalane błotem i Bóg wie czym jeszcze zielone pantofle Izzie z krokodylej skóry deptające jej dywanik w stylu Voyseya.

– Wynocha! – krzyknęła, przeganiając szwagierkę na zewnątrz. – Precz!

– „Precz stąd, przekłeta plamo!”⁸ – mruknął Hugh. Wyłonił się ze swojej pustelni w momencie, gdy wzburzona Izzie biegła ścieżką przez ogród. – Ślicznie wyglądasz, moja droga.

Usłyszeli najpierw warkot uruchamianego silnika, a wkrótce potem irytujący ryk oddalającego się z dużą prędkością sunbeama Izzie. Jeździła niczym Ropuch z *O czym szumią wierzby*, często trąbiąc i z rzadka hamując.

– Prędzej czy później kogoś zabije – stwierdził Hugh, stateczny kierowca, i dodał: – Sądziłem, że jest bez grosza. Ciekawe, co musiała zrobić, aby zdobyć środki na zakup kolejnego auta.

– Z pewnością nic przyzwoitego – burknęła Sylvie.

Teddy, uwolniony od męczącego towarzystwa Izzie, został poddany przez matkę tradycyjnemu przesłuchaniu, zanim ta upewniła się, że kontakt z ciotką nie zaszkodził w żaden sposób jej ukochanemu dziecku. „Izzie niczego nie robi bezinteresownie” – oznajmiła na koniec ponuro. Wreszcie Teddy mógł wziąć sobie podwieczorek, który okazał się sporym

rozczarowaniem – tosty z sardynkami z puszki – jako że pani Glover akurat miała wychodne.

– Izzie przyznała się, że zjadła skowronka – poinformował przy stole swoje siostry. – We Włoszech. Chociaż akurat *miejsce* jest w tym wypadku bez znaczenia.

– „Jeden cherubin milknie w niebie” – powiedziała Ursula, a gdy Teddy spojrział na nią zdezorientowany, wyjaśniła: – Blake. „Jeden cherubin milknie w niebie, gdy ktoś przestrzelił skrzydło ptaka” ⁹.

– Miejmy nadzieję, że pewnego dnia coś *jq* zje – dodała wesoło jak zawsze praktyczna Pamela.

Pamela wybierała się na uniwersytet w Leeds, by studiować nauki ścisłe. Z niecierpliwością wyczekiwała wyjazdu na „rześką północ” i spotkań z „prawdziwymi ludźmi”. „Czyżbyśmy byli za mało prawdziwi?” – poskarżył się Teddy Ursuli, która parsknęła śmiechem i odparła: „A co jest prawdziwe?”. Pytanie wydało się Teddy’emu głupie: nie miał dotychczas okazji kwestionować istnienia świata fenomenów. Prawdziwe było to, czego można było dotknąć, posmakować, zobaczyć. „Zapomniałeś jeszcze o dwóch zmysłach” – zwróciła mu uwagę Ursula. Prawdziwy był las i rosnące w nim dzwonki, sowa i lis, model kolejki turkoczącej po szynach na podłodze jego sypialni, zapach piekącego się ciasta. Skowronek wstępujący do nieba po niewidocznej nici pieśni.

* * *

Sytuacja w Fox Corner przedstawiała się tego wieczoru następująco: odstawiwszy Sylvie na stację, Hugh skrył się ponownie w swojej pustelni ze szklaneczką whisky i niedopałkiem cygara. Miał skromne upodobania, co wynikało raczej z charakteru niż ze świadomego wyboru. Sylvie nieczęsto wyjeżdżała sama do miasta. „Teatr i kolacja z przyjaciółmi –

wyjaśniła mu krótko. – Wrócę dopiero jutro”. Była niespokojnym duchem – fatalna cecha, jeśli chodzi o żonę – lecz Hugh musiał mieć do niej całkowite zaufanie; w przeciwnym razie gmach ich małżeństwa dawno ległby w gruzach.

Pamela siedziała w salonie z nosem w podręczniku chemii. Oblała egzamin wstępny do Girton. Wcale nie zależało jej aż tak bardzo na tej „rześkiej północy”, ale „skoro nie ma innej rady”, jak zwykła irytująco powtarzać Sylvie... Pamela, która (po cichu) liczyła na błyszczące nagrody i spektakularną karierę naukową, obawiała się teraz, że nie okaże się tak odważną młodą kobietą, jaką pragnęła być.

Wyciągnięta na dywanie u stóp Pameli Ursula odmieniała nieregularne czasowniki łacińskie. – Co za radość – zwróciła się do siostry. – Od tej pory życie może być już tylko ciekawsze – na co Pamela roześmiała się i ostrzegła: – Nie bądź tego taka pewna.

Jimmy siedział w piżamie przy stole kuchennym. Pił mleko i pogryzał ciasteczka przed pójściem spać. Pani Glover, kucharka rodziny, nie zwykła była paplać bez potrzeby, a już na pewno nie miała w zwyczaju opowiadać dzieciom bajek na dobranoc. Pod jej nieobecność szorująca garnki Bridget zabawiała Jimmy’ego własną mrozącą krew w żyłach wersją opowieści o duchach. Pani Glover była już u siebie w domu. Drzemała z nogami wspartymi o osłonę kominkową i z kuflem mocnego porteru w zasięgu ręki.

Izzie tymczasem pędziła szosą, podśpiewując *Alouette*. Nie potrafiła się uwolnić od tej melodii. *Je te plumerai* – fałszowała głośno – *je te plumerai...* Oskubię cię. Wojna okazała się okropna; Izzie żałowała, że piosenka przypomniawszy jej dawne czasy. Należała do Ochotniczego Korpusu Pierwszej Pomocy Pielęgniarskiej – First Aid Nursing Yeomanry, w skrócie FANY. Idiotyczny akronim ¹⁰. Musiała prowadzić ambulans, choć nigdy wcześniej nie trzymała w dłoni kierownicy. Ostatecznie jednak

robiła też inne, nieporównanie gorsze rzeczy. Wróciło wspomnienie szorowania ambulansu pod koniec dnia; wszystko pomazane krwią, płynami fizjologicznymi i odchodami. Znow miała przed oczami ciała okaleczonych i martwych, zwęglone szkielety, zniszczone wioski, sterczące z błota oderwane kończyny. Wiadra zużytych gazików i przesiąkniętych ropą bandaży, potworne ziejące rany młodych żołnierzy. Nic dziwnego, że ludzie chcieli o tym jak najszybciej zapomnieć. Użyć trochę życia, na miłość boską! Izzie otrzymała francuski Krzyż Wojenny. Nikomu z rodziny o tym nie wspomniała i zaraz po powrocie do domu schowała go na dno szuflady. Odznaczenie nie miało wielkiej wartości, gdy myślało się o tym, przez co musieli przejść wszyscy ci biedni chłopcy.

Podczas wojny zaręczyła się dwa razy. Obaj narzeczeni zginęli wkrótce po oświadczeniach, zanim Izzie zdołała się zebrać i listownie przekazać dobrą nowinę rodzinie w Anglii. Była przy śmierci drugiego z nich – przypadkiem natknęła się na niego w szpitalu polowym, do którego ambulansem przywiozła rannych. W pierwszej chwili go nie rozpoznała, tak był zmasakrowany przez odłamki pocisku artyleryjskiego. Ponieważ brakowało rąk do pracy, przełożona pielęgniarek namówiła Izzie, by z nim została. „Spokojnie, spokojnie” – szeptała więc, czuwając przy rannym w żółtawym świetle lampy naftowej. Pod koniec nieszczęśnik zaczął przyzywać matkę. Wszyscy oni tak robili. Izzie nie wyobrażała sobie, aby na łożu śmierci miała wołać Adelaide.

Poprawiła pościel, w której leżał jej narzeczony, ucałowała jego dłoń (z twarzy niewiele zostało) i zawiadomiła sanitariusza, że ranny zmarł. Żadnych eufemizmów. Potem wróciła do ambulansu i wyruszyła na poszukiwanie kolejnych rannych.

Odmówiła, gdy młodziutki i dość nieśmiały chłopak w stopniu kapitana o imieniu Tristan chciał jej zawiązać na palcu kawałek sznurka.

(„Przepraszam, ale to wszystko, co teraz mam. Kiedy wojna się skończy, dostaniesz pierścionek z prawdziwym brylantem. Nie? Jesteś pewna? Wyświadczyłabyś niżej podpisanemu olbrzymią przysługę”). Pamiętała o prześladowającym ją dotychczas pechu i w nietypowym dla siebie przychylnie bezinteresowności uznała, że powinna biedaka oszczędzić – czysty idiotyzm, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że wszystkich tych ślicznych chłopców i tak czekała śmierć.

Po odrzuceniu oświadczyn nie widziała już więcej Tristana. Sądziła, że zginął (że oni wszyscy zginęli), lecz gdy rok po zakończeniu wojny przeglądała w gazecie dodatek towarzyski, natknęła się na jego zdjęcie przed kaplicą Najświętszej Marii Panny w opactwie westminsterskim. Okazało się, że Tristan jest posłem, w dodatku dzięki rodzinnej fortunie obrzydliwie bogatym. Na zdjęciu uśmiechał się promiennie do irytująco młodziutkiej panny u swego boku. Na palcu – jeżeli spojrzeć przez szkło powiększające – istotnie miała pierścionek z prawdziwym brylantem. Niewykluczone, że Izzie ocaliła Tristanowi życie, nie przysłużyła się jednak niestety własnemu szczęściu. Gdy Wielka Wojna dobiegła końca, miała dwadzieścia cztery lata i świadomość zmarnowanej szansy.

Pierwszy z jej narzeczonych miał na imię Richard, poza tym niewiele o nim wiedziała. Jeśli dobrze pamiętała, zwykł brać udział w polowaniach organizowanych przez hrabiego Beaufort. Przyjęła jego oświadczynę pod wpływem kaprysu. W drugim ze swoich wybranków – w tym, którego śmierć przyszło jej oglądać w szpitalu polowym – była szaleńczo zakochana. Zależało jej na nim, a co ważniejsze, jemu zależało na niej. W krótkich chwilach, jakie spędzili razem, fantazjowali na temat wspaniałej wspólnej przyszłości obfitującej w przejażdżki łodzią i konno, tańce, smakołyki, śmiech, słońce oraz szampana, którym mieli wznosić toasty za swoją pomyślność. Żadnego błota, żadnej rzezi. Miał na imię Augustus –

Gussie, jak nazywali go przyjaciele. Kilka lat później Izzie odkryła, że fikcja literacka może nie tylko być ratunkiem dla niej samej, ale też stanowić klucz do zmartwychwstania umarłych. „Gdy niczego już nie ma, zostaje sztuka” – oznajmiła w rozmowie ze swoją szwagierką, kiedy wybuchła kolejna wojna. „*Przygody Augustusa* to ma być sztuka?” – zdziwiła się ta elitarystka Sylvie, unosząc z powątpiewaniem brew. Tym razem słowo „sztuka” nie zabrzmiało w jej ustach tak, jakby napisano je wielką literą. Biedny Augustus. Rzecz jasna, definicja sztuki była w odczuciu Izzie o wiele szersza. – Sztuka to wszystko, co stworzy jeden człowiek i co podoba się innym.

– Nawet Augustus? – spytała ze śmiechem Sylvie.

– Nawet Augustus.

Ci wszyscy biedacy polegli w trakcie Wielkiej Wojny byli niewiele starsi od Teddy’ego. Dziś podczas popołudniowego spaceru z bratankiem ogarnęła ją w pewnej chwili fala niewyobrażalnej czułości. Wiele by dała, aby móc uchronić tego chłopca od nieszczęść, oszczędzić mu cierpienia, jakie (prędzej czy później) przyniesie ze sobą życie. Miała własne dziecko, urodzone, gdy była szesnastolatką, i pospiesznie oddane do adopcji. Wszystko przeprowadzono tak szybko i sprawnie, że później nigdy nie myślała o swoim synku. Więc może to i lepiej, że gdy pod wpływem nagłego wzruszenia wyciągnęła rękę, aby pogłaskać głowę Teddy’ego, ten schylił się gwałtownie, mówiąc: „No proszę, padalec”, i dłoń Izzie zawisła w powietrzu. „Zabawny z ciebie chłopczyk” – powiedziała i przed oczami stanęła jej zmasakrowana twarz Gussiego leżącego na pryczy. A zaraz potem, jedna po drugiej, twarze tych wszystkich poległych biedaków. Rzędy martwych ciał ciągnęły się w nieskończoność.

Przypieszyła, chcąc uciec przed wspomnieniami, i w ostatniej chwili skręciła, aby wyminąć rowerzystę. Ten zachwiał się i zjechał na pobocze,

skąd obrzucił głośnymi przekleństwami oddalający się zderzak nieustraszonego sunbeama. *Arduis invictus*, tak brzmiało motto Ochotniczego Korpusu Pierwszej Pomocy Pielęgniarskiej. „Niepokonany pomimo niedoli”. Co za nudy! Izzie miała serdecznie dość wszelkich niedoli.

Auto frunęło po szosie, a w umyśle Izzie kiełkowało ziarno, z którego miał się narodzić nowy Augustus.

Maurice, którego ominęło całe to zamieszanie, przywdziewał właśnie frak i białą muszkę. Szykował się do uroczystej kolacji zorganizowanej w Oksfordzie przez Klub Bullingdona. Przed upływem wieczoru restauracja zgodnie z klubową tradycją miała zostać zdemolowana. Nikt ze znajomych Maurice’a nie podejrzewał, że pod tym wykrochmalonym gorseem zwija się ze wstydu mięczak pełen wątpliwości i poczucia winy. Sam zainteresowany obiecywał sobie w duchu, że ten mięczak nigdy nie ujrzy światła dziennego, a w nieodległej przyszłości na dobre przywdzieje maskę cynika, niczym uwięziony w swojej skorupie ślimak.

Schadzka. Samo to słowo miało grzeszny posmak. Jej wybranek zarezerwował dwa pokoje w Savoyu. Spotykali się także przed jego wyjazdem, lecz były to zawsze spotkania stosunkowo niewinne i w miejscach publicznych.

– Nasze pokoje przylegają do siebie – powiedział.

Personel hotelowy musiał dobrze wiedzieć, po co ktoś wynajmuje dwa sąsiednie pokoje. Co za wstyd. Serce waliło w piersi Sylvie, gdy taksówką jechała z dworca do hotelu. Wkrótce zostanie kobietą upadłą...

Kuszenie Hugh.

„Słoneczko promienie swe i blask na świat rozlało...” ¹¹ – podśpiewywał w ogrodzie Hugh. Opuścił wreszcie swoją pustelnię, aby pójść po kolacji (o ile te nędzne resztki można w ogóle nazwać kolacją) na krótką przechadzkę. Zza ostrokrzewu, który gęstym żywopłotem oddzielał Fox Corner od Jackdaws, dobiegła melodyjna odpowiedź: „I księżyc swój srebrzysty źródło szle między gwiazd miliony...”. Tym to sposobem Hugh trafił do szklarni Shawcrossów, prześlizgnąwszy się przez ukryte w żywopłocie przejście latami wydeptywane przez dzieci, prosto w objęcia Roberty Shawcross. (Wystąpili ostatnio razem w amatorskim przedstawieniu *Mikada*, zadziwiając samych siebie – i siebie nawzajem – wigorem wykonania partii Ko-Ko i Katsishy).

„Słońce i księżyc – myślał Hugh – pierwiastki męski i kobiecy”. Jak by zareagował, wiedząc, że pewnego dnia tak będą brzmiały imiona jego prawnucząt? – Witam panią, pani Shawcross – rzekł, gdy znalazł się po drugiej stronie żywopłotu cały podrapany; pojął ponieważ, że korzystające z ukrytego przejścia dzieci były znacznie mniejszych rozmiarów.

– Ależ mów mi Roberta, Hugh. – Jak niepokojąco poufale brzmiało jego imię w jej ustach! Wilgotnych, aksamitnych ustach przywykłych na prawo i lewo głosić pochwały oraz wypowiadać słowa zachęty.

Była taka ciepła w dotyku i w dodatku nie nosiła gorsetu. Ubierała się w stylu artystycznej bohemy, była też wegetarianką i pacyfistką zaangażowaną oczywiście w kampanię na rzecz praw wyborczych kobiet. Nie sposób było nie podziwiać (w każdym razie do pewnego stopnia) równie niepoprawnej idealistki. Cały swój zapał kierowała na zewnątrz, podczas gdy w przypadku Sylvie pasja oznaczała szalejącą wewnątrz furję.

Hugh lekko wzmocnił uścisk i poczuł, że pani Shawcross go odwzajemnia.

- O rety – powiedziała.
- Wiem... – mruknął Hugh.

Rzecz w tym, że pani Shawcross – Roberta – *rozumiała* jego wojenne przeżycia. Nie to, żeby chciał się z nią nimi dzielić – uchowaj Boże! – ale miłe mu było towarzystwo osoby, która *wiedziała*, przynajmniej co nieco. Major Shawcross odczuwał po powrocie z frontu pewne dolegliwości i żona okazywała mu wiele współczucia. Na wojnie widywało się okropne rzeczy, o których nie wypadało rozmawiać w domu, Sylvie zaś nie przejawiała najmniejszej ochoty do poruszania tego rodzaju tematów. Wojna rozerwała tkankę ich rodzinnego życia, a Sylvie starannie zaszyła rozdarcie.

– Pięknie to ująłeś, Hugh – pochwaliła go pani Shawcross (Roberta). – Sęk w tym, że w miejscu rozdarcia zawsze zostaje cera, o ile nie posiadało się sztuki zakładania niewidzialnych szwów.

Pożałował, że uciekł się do metafory związanej z szyciem. W szklarni było gorąco, wypełniała ją woń pelargonii, nieco dusząca według niego. Pani Shawcross delikatnie dotknęła dłonią jego policzka, jakby był zrobiony ze szkła. Hugh zbliżył usta do jej warg. „A to ci ambaras!” – pomyślał. Wkraczał na nieznane terytorium.

– Chodzi o to, że Neville... – odezwała się nieśmiało Roberta („Kim jest Neville?” – zdziwił się Hugh) – od powrotu z wojny... nie może. Rozumiesz?

- Major Shawcross?
- No tak, Neville. A kobiecie trudno jest... – Zarumieniła się.
- Ach, rozumiem!

Zapach pelargonii zaczynał przyprawiać go o mdłości. Potrzebował świeżego powietrza. Ogarnęła go lekka panika. W przeciwieństwie do niektórych znanych sobie mężczyzn poważnie traktował przysięgę

małżeńską. Uważał sakramentalny związek za swego rodzaju kompromis, narzucający pewne ograniczenia. A pani Shawcross – Roberta – była ich sąsiadką, na litość boską! Obie rodziny miały w sumie dziesięcioro dzieci – trudno to było uznać za dobrą podstawę cudzołożnego związku. „Trzeba to czym prędzej zakończyć” – pomyślał, przysuwając bliżej usta.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Roberta, cofając się gwałtownie. – To już tak późno?

Hugh rozejrzał się w poszukiwaniu zegara, ale żadnego nie dostrzegł.

– Dzisiaj jest wieczór Kibbo Kift – wyjaśniła.

– Kibbo Kift? – powtórzył zdezorientowany Hugh.

– Tak, muszę iść. Dzieci na pewno już czekają.

– Naturalnie – rzekł. – Dzieci. – W myślach odtrąbił odwrót. – No cóż, gdybyś chciała kiedyś porozmawiać, to... wiesz, gdzie mnie szukać. Po sąsiedzku – dodał całkiem bez sensu.

– Oczywiście.

Hugh salwował się ucieczką, zamiast zwodniczego skrótów przez żywopłot wybrał tym razem okrężną drogę przez ścieżkę i furtkę.

Znalazłszy się ponownie w zaciszu swojej pustelni, stwierdził, że niewiele brakowało, a popełniłby ogromny błąd. Mimo wszystko odczuwał swego rodzaju dumę. Zaczął nawet pogwizdywać *Trzy młode pączki z Mikada*. Ogarnęła go dziwna beztroska.

A co porabiał Teddy?

Teddy stał w kręgu na pobliskim polu, życzliwie udostępnionym przez lady Daunt z Ettringham Hall. Tworzące krąg osoby, w większości dzieci, posuwały się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, wykonując dziwne podskoki, które w wyobrażeniu pani Shawcross oddawały charakter saskiego tańca ludowego. („To Sasi tańczyli? – zdziwiła się Pamela. – Nigdy nie wyobrażałam ich sobie w tańcu”). Każdy dzierżył w rękę

drewnianą laskę – przywleczoną z lasu gałąź – i co kilka kroków przystawał, aby uderzyć nią o ziemię. Teddy miał na sobie „mundurek” członka Kibbo Kift: krótkie spodnie i bezrękawnik z kapturem, w którym wyglądał jak skrzyżowanie elfa z jednym z (nie tak znowu wesołych) kompanów Robin Hooda. Kaptur nieszczególnie się prezentował, bo Teddy zmuszony był uszyć go własnoręcznie. Bractwo przykładło wielką wagę do robótek ręcznych. Pani Shawcross, matka Nancy, stale kazała im wyszywać jakieś odznaki, opaski naramienne oraz proporce. To było upokarzające. „Żeglarze też szyją” – zauważyła Pamela, próbując go pocieszyć. „A rybacy dziergają” – dodała Ursula. „Dzięki” – mruknął ponuro Teddy.

Pani Shawcross stała w środku tanecznego kręgu i wydawała polecenia. („A teraz podskoczcie na lewej nodze i ukłońcie się swojemu sąsiadowi z prawej strony”). To ona wpadła na pomysł, aby Teddy wstąpił do Kibbo Kift. Akurat kiedy spodziewał się upragnionego awansu z zuchów do skautów, uwiodła go, podsunąwszy mu Nancy jako przynętę. („Chłopcy i dziewczęta razem?” – burczała podejrzliwa Sylvie).

Pani Shawcross była wielką entuzjastką bractwa Kibbo Kift. Wyjaśniła, że to egalitarna, pacyfistyczna alternatywa dla militarystycznych skautów, od których odżegnywał się założyciel organizacji, skądinąd sam usunięty ze skautingu. („Czyli to renegaci?” – zdziwiła się Sylvie). Do bractwa należała podziwiana przez panią Shawcross Emmeline Pethick-Lawrence [12](#), sama zaś pani Shawcross była niegdyś sufrażystką. („Bardzo odważną” – z czułością podkreślał major Shawcross). W Kibbo Kift również kładziono nacisk na naukę przetrwania w lesie, organizowano piesze wycieczki i obozy pod namiotem, lecz – jak wyjaśniła pani Shawcross – chodziło w tym przede wszystkim o „duchową odnowę angielskiej młodzieży”. Pomimo wątpliwości Teddy’ego ten argument ostatecznie przekonał Sylvie.

Zasadniczo nie podobało jej się, że pomysł wyszedł od pani Shawcross. Uznała jednak, że zmiana „dobrze zrobi” Teddy’emu. „Grunt, że nie zachęcają tam do wojny” – stwierdziła. Teddy nie sądził, aby skauting zachęcał kogokolwiek do wojny, lecz jego protesty na nic się zdały.

Okazało się, że szycie nie było jedyną rzeczą, o jakiej pani Shawcross zapomniała im wspomnieć. Bractwo lubowało się także w tańcach, ludowych pieśniach, hasaniu po lasach i niekończących się gawędach. Podzielono ich na szczepy, plemiona i wigwamy, ponieważ rytuały Kibbo Kift stanowiły przedziwną mieszankę (rzekomych) obyczajów indiańskich z (rzekomymi) pradawnymi obrzędami saskimi. „Może pani Shawcross sądzi, że odnalazła któreś z zaginionych plemion izraelickich” – śmiała się Pamela.

Wszyscy wybrali dla siebie indiańskie imiona. Teddy został Małym Lisem („Naturalnie” – stwierdziła Ursula), Nancy – Małym Wilkiem („W narzeczu Czejenów: Honiahaka” – poinformowała ich pani Shawcross; miała specjalną książkę, którą się posiłkowała). Ona sama była Wielkim Białym Orłem („Och, na litość boską! – prychnęła Sylvie – co za pycha!”).

Bractwo miało swoje zalety – przede wszystkim taką, że Teddy mógł przebywać w towarzystwie Nancy. Uczyli się też strzelać z prawdziwych łuków i strzał, a nie takich własnoręcznie wystruganych z gałęzi. Teddy lubił łucznictwo; uważał, że pewnego dnia ta umiejętność może się okazać przydatna, na przykład kiedy zostanie banitą. Czy miałby serce zastrzelić jelenia? (Króliki, borsuki, lisy, nawet wiewiórki zajmowały w tymże sercu szczególne miejsce). Przypuszczał, że tak – gdyby chodziło o przetrwanie i groziła mu śmierć głodowa. Na pewno jednak musiałyby wyznaczyć sobie jakieś granice. Nie byłby przecież w stanie zabić psa. Ani skowronka.

– Wszystko to wydaje mi się dosyć pogańskie – zauważył Hugh, zwracając się do pani Shawcross („Ależ mów mi Roberta”). Rozmowa ta

miała miejsce znacznie wcześniej, przed „incydentem” w szklarni, zanim Hugh zaczął myśleć o pani Shawcross jak o kobiecie.

– Lepszym określeniem byłoby chyba „utopijne” – odparła.

– No tak, utopia – westchnął ze znużeniem Hugh. – Bardzo wygodna idea.

– Czy to nie Oscar Wilde napisał, że „postęp to urzeczywistnienie utopii”?

– Nie szukałbym raczej wskazówek moralnych u tego człowieka – odrzekł Hugh, głęboko rozczarowany panią Shawcross.

Później zwykł przywoływać tamto uczucie, ilekroć jego myśli wracały do braku gorsetu i zapachu pelargonii.

W utopii według Teddy’ego nie było miejsca na Kibbo Kift. A na co byłoby miejsce? Z pewnością na psa, najlepiej od razu kilka psów. Znalazłaby się tam także Nancy oraz jego siostry, matka zapewne też. Mieszkaliby razem w uroczym domku na zielonej wsi gdzieś pod Londynem i codziennie jedli świeże ciasto. W sumie utopia nie różniłaby się zasadniczo od jego obecnego życia.

Z czasem z łona Kibbo Kift wyłoniło się kolejne rozłamowe stowarzyszenie, nieco mniej ekscentryczna organizacja puszczańska o nazwie Ludzie Lasu, lecz wówczas Teddy zdołał już dawno wyrwać się z niewoli bractwa. W szkole przystąpił do programu szkolenia wojskowego i rozkoszował się powszechnym wśród instruktorów brakiem pacyfistycznego nastawienia. Bądź co bądź, był jeszcze chłopcem. Zdziwiłby się, gdyby ktoś mu wtedy powiedział, że gdy stuknie mu sześćdziesiątka i zamieszka z wnucętami w Yorku, przez kilka miesięcy będzie cierpliwie kursował między domem a lodowatym kościołem, aby Bertie i Sunny nie opuścili cotygodniowej zbiórki zastępu Ludzi Lasu, powodowany myślą o potrzebie zapewnienia dzieciom pewnej ciągłości

i stabilizacji, której w tak niewielkim stopniu doświadczyły w relacjach ze swoją matką Violą. Przyglądał się niewinnym twarzyczkom wnucząt, gdy te na początku każdej zbiórki intonowały słowa roty: „Ze śpiewem na ustach zbudujemy nowy świat...”.

Pojechał z nimi nawet pod namiot, a jego „umiejętności puszczańskie” zasłużyły na pochwałę samego zastępowego, który – choć rosły, młody i ciemnoskóry – przypominał mu odrobinę panią Shawcross. „Nauczyłem się wszystkiego w skautingu” – odparł wówczas Teddy; pomimo zaawansowanego wieku wciąż wzdrygał się przyznać, że miał cokolwiek wspólnego z bractwem Kibbo Kift.

Sylvie zapłaciła taksówkarzowi. Portier hotelowy przytrzymał jej drzwiczki auta, mamrocząc pod nosem: „Proszę pani...”. Na chodniku zawahała się. Inny portier otworzył przed nią drzwi hotelu. „Proszę pani...”. Znowu.

Wolno podeszła do wejścia, centymetr po centymetrze pokonywała dystans dzielący ją od popełnienia cudzołóstwa. – Proszę pani? – powtórzył portier przy drzwiach, zaskoczony jej opieszałością.

Hotel ją przyzywał. Przez otwarte drzwi widziała bogato zdobione foyer, obietnicę czekających wewnątrz luksusów. Wyobraziła sobie szampana pieniącego się w kieliszkach z rżniętego kryształu, foie gras, pieczone bażanty. Przytłumione oświetlenie pokoju, hotelowe łóżko z wykrochmaloną pościelą. Krew napłynęła jej do policzków. Będzie na nią czekał w środku, zaraz za tymi drzwiami. Może nawet już ją dostrzegł i właśnie wstawał z fotela, aby ją powitać? Ponownie się zawahała, rozważając w myślach, co zyska i ile może stracić. A jeśli – to by chyba było najgorsze – wszystko zostanie po staremu? Pomyślała o dzieciach, o Teddym, swoim ukochanym synku. Czy była gotowa położyć na szali swoje macierzyństwo? Dla jednej przygody? Lodowaty dreszcz przerażenia zdławił grzeszne płomienie. „Bo to byłby grzech – pomyślała – bez

wątpienia”. Nie trzeba wyznawać Boga (Sylvie w głębi duszy była ateistką), żeby wierzyć w grzech.

Uspokoila się (z trudem) i powiedziała nieco wyniośle do portiera:

– Och, najmocniej przepraszam. Właśnie sobie przypomniałam, że jestem umówiona gdzie indziej.

Następnie umknęła, oddalając się pospiesznie z wysoko uniesioną głową; zdecydowana kobieta idąca dokądś w zupełnie przyzwoitym i zbożnym celu – na zebranie komitetu dobroczynnego czy choćby na wiec polityczny – dokądkolwiek, byle nie na schadzkę z kochankiem.

Na przykład na koncert! Przed sobą ujrzała wejście do Wigmore Hall jaśniejące niczym pochodnia. Bezpieczna przystań. Muzyka rozbrzmiała niemal natychmiast – jeden z *Kwartetów Haydnowskich* Mozarta: *Polowanie*. „Odpowiedni tytuł” – stwierdziła w myślach Sylvie. Ona była łanią, on myśliwym. Teraz jednak łania wyrwała się z potrzasku. Może nie całkiem się wyrwała – zajmowała w końcu kiepskie miejsce w jednym z ostatnich rzędów, wciśnięta między młodego oberwańca a jakąś starszą damę. Lecz wolność ma swoją cenę – czyż nie?

Z ojcem często chodzili na koncerty. Sylvie dobrze znała *Kwartety Haydnowskie*, lecz wzburzenie wywołane niedawną ucieczką nie pozwalało jej rozkoszować się Mozartem. Sama również grała na fortepianie, choć ostatnimi czasy unikała bywania na recitalach – zbyt boleśnie przypominały jej one o zaprzepaszczonej szansie. W młodości słyszała od nauczyciela, że jeśli się tylko przyłoży, może grać „na poziomie koncertowym”. Potem jednak doszło do bankructwa ojca – wielkiego upadku. Jej bachstein został bezceremonialnie zabrany i sprzedany osobie prywatnej. Pierwszą decyzją powziętą przez Sylvie po przeprowadzce do Fox Corner był zakup bösendorfera. Dostała go w prezencie ślubnym od Hugh, na osłodę małżeństwa.

Po antrakcie zagrano *Kwartet Dysonansowy*. Gdy rozległy się ledwo słyszalne początkowe akordy, Sylvie wybuchnęła bezgłośnym płaczem. Starsza dama podała jej chusteczkę (dzięki Bogu czystą i wyprasowaną) do otarcia łez. Sylvie podziękowała ruchem warg. Ta niema wymiana grzeczności odrobinę podniosła ją na duchu. Po skończonym koncercie sąsiadka nalegała, aby Sylvie zatrzymała chusteczkę, młody oberwaniec zaś zaproponował, że odprowadzi ją do taksówki. „Jacy mili nieznajomi” – pomyślała. Uprzejmie odmówiła młodzieńcowi, lecz wkrótce tego pożałowała. W stanie wielkiego wzburzenia skręciła na Wigmore Street nie w tę przecnicę co trzeba, potem w jeszcze jedną i znalazła się w dość podejrzanej okolicy uzbrojona jedynie w szpilkę do kapelusza.

Dawniej czuła się w Londynie jak u siebie w domu. Teraz było to obce miasto, w dodatku brudne i ponure niczym z sennego koszmaru. A ona z własnej woli zapuściła się do jednego z kręgów piekła. Chyba oszalała. Marzyła o powrocie do Fox Corner, tymczasem błąkała się po ulicach. Gdy wreszcie trafiła z powrotem na rozświetloną, ruchliwą Oxford Street, z jej ust wyrwał się okrzyk ulgi. Zatrzymała taksówkę i chwilę później siedziała grzecznie na peronie dworcowym, jakby dzień upłynął jej na zakupach i lunchu z przyjaciółkami.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął na jej widok Hugh. – Wziąłem cię za włamywacza. Mówiłaś, że zostaniesz na noc w mieście.

– Och, zanudziłam się na śmierć – odparła Sylvie. – Uznałam, że lepiej będzie wrócić. Zawiadowca, pan Wilson, przywiózł mnie swoją dwukólką.

Hugh przyjrzał się zarumienionej twarzy żony, jej dzikiemu spojrzeniu zgonionego konia wyścigowego. Pani Shawcross dla odmiany mniej przypominała klacz czystej krwi, bardziej poczciwego perszerona, co, przynajmniej zdaniem Hugh, miało swoje zalety. Pocałował lekko policzek Sylvie.

– Przykro mi, że nie udał ci się wieczór, ale bardzo się cieszę, że wróciłaś do domu – powiedział.

Sylvie siedziała przed lustrem i wyjmowała szpilki z kunsztownie upiętych włosów. Poczowała nagły przypływ rozpacz. Okazała się tchórzem i do końca życia będzie dźwigała to nieznośne jarzmo. Znienacka stanął za nią Hugh. Oparł dłonie na jej ramionach. „Moja piękna” – wyszeptał, przeczesał jej palcami jej włosy. Z trudem zdusiła w sobie chęć, aby się od niego odsunąć.

– Kładziemy się? – zapytał z nadzieją.

– Kładziemy – odparła lekko.

„Nie chodzi przecież tylko o tamtego ptaka” – myślał Teddy. Leżał w łóżku i czekał na sen, który nie nadchodził, spłoszony gonitwą myśli. Nie tylko tamten jeden skowronek został na wieki uciszony przez żarłoczną Izzie. („Raptem parę kęsów mięsa”). Ciotka unicestwiła w ten sposób kilka pokoleń ptaków, które mogły się wylęgnać. Pomyśleć tylko, ilu cudownych pieśni świat nie usłyszy! W późniejszych latach Teddy miał poznać określenie „przyrost wykładniczy”, a jeszcze później znaczenie słowa „fraktal”; na razie jednak oczyma wyobraźni widział stado skowronków, które rosło i rosło, aż zniknęło za horyzontem przyszłości, która nigdy nie miała nadejść.

Ursula jak zwykle zajrzała do niego przed pójściem do łóżka. Zastała go opartego o poduszki i czytającego *Skauting dla chłopców*. „Nie możesz spać?” – zapytała ze współczuciem osoby również dotkniętej bezsennością. Uczucia Teddy’ego wobec siostry były niemal równie szczerze i nieskomplikowane jak te, którymi darzył Trixie. Suczka leżała u stóp łóżka, pojękując z cicha przez sen. „Pewnie goni króliki” – dodała Ursula i westchnęła.

Ursula miała piętnaście lat i skłonność do pesymizmu odziedziczoną po matce, chociaż Sylvie żywiłowo by temu zaprzeczyła. Przysiadła teraz na brzegu jego łóżka i przeczytała na głos: – „Bądź zawsze przygotowany, zawsze w zbroi, którą wolno zdjąć tylko na spoczynek nocny” ¹³. („Może to miała na myśli matka, mówiąc o «zbroi dobrych manier»?” – zastanowił się Teddy). „To musi być metafora – stwierdziła Ursula. – Nikt chyba nie oczekiwał od rycerzy, że będą się całymi dniami pocili w ciężkiej zbroi. Gdy myślę o rycerzach, zawsze przychodzi mi na myśl Blaszanym Drwał z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*”. Oboje lubili tę książkę, lecz Teddy wolałby, aby siostra o niej nie wspomniała; pod wpływem skojarzenia z Blaszanym Drwalem obrazy znane z *Idylli królewskich* i *Śmierci Artura* w jednej chwili zbladły i rozplynęły się w niebyt.

Rozległo się pohukiwanie sowy: głośny, niemal agresywny dźwięk.

– Chyba jest gdzieś na dachu – zauważył Teddy. Przez chwilę oboje nasłuchiwali.

– No to dobranoc – powiedziała wreszcie Ursula i pocałowała go w czoło.

– Dobranoc – odrzekł, wsuwając *Skauting dla chłopców* pod poduszkę. Pomimo sowy, która nie zaprzestała swojej złowróżbnej kołysanki, prawie natychmiast zapadł w głęboki, spokojny sen właściwy ludziom o ufnym sercu.

Przygody Augustusa

– Straszliwe konsekwencje –

Wszystko zaczęło się całkiem niewinnie, przynajmniej według Augustusa.

– Zawsze zaczyna się niewinnie – westchnął pan Swift, choć wątpił, aby definicja niewinności Augustusa była spójna z tą wyznawaną przez większość ludzkości.

– To nie była moja wina! – zaprotestował z wielkim gniewem Augustus.

– Taką sentencję umieszczą na twoim nagrobku, mój drogi – rzekła pani Swift, podnosząc wzrok znad cerowanej skarpetki. Nie trzeba dodawać, że należącej do Augustusa. („Co on z nimi *wyprawia*?” – zdumiewała się raz za razem).

– Poza tym skąd mogłem wiedzieć, co się wydarzy – dodał Augustus.

– Każdy czyn niesie ze sobą określone konsekwencje – stwierdził jego ojciec. –

O czym zapominają jedynie krótkowzroczni. – Pan Swift był prawnikiem, dni w sądzie upływały mu na oskarżaniu winnych i rozkoszowaniu się iście bitewnym zamętem na sali rozpraw. Siłą rzeczy część tych emocji przenosił na grunt domowy. Jego syn uważał, że ojciec, z racji swojego zawodu, ma nad nim niesprawiedliwą przewagę.

– Każdy jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy – wymamrotał teraz pod nosem.

– Przyłapano cię na gorącym uczynku – zauważył łagodnie pan Swift. – Czy to nie wystarczający dowód winy?

– Wcale nie było mi gorąco – burknął nadąsany Augustus. – Farba też była *zimna*, w dodatku zielona, wysoki sądzie – dodał z powagą.

– Och, dajże spokój – zachnęła się pani Swift. – Przez ciebie rozboleła mnie głowa.

– Jak to przeze mnie? – obruszył się Augustus, urażony kolejnym zarzutem. –

Żebym mógł się stać przyczyną twojego bólu głowy, musiałbym najpierw zrobić coś, żeby go wywołać. Na przykład uderzyć cię w głowę szpadlem. A ja nie mam szpadła. *Ergo* – zakończył dumnie, wydobywszy to słowo z jakiegoś zakurzonego zakamarka swojej pamięci – nie może cię przeze mnie boleć głowa.

Potok wymowy syna nie wpłynął wcale na poprawę samopoczucia pani Swift. Zamachała ręką, jakby chciała się pozbyć wyjątkowo uprzykrzonej muchy, i wróciła do cerowania.

– Czasami – mruknęła – zastanawiam się, za co właściwie bogowie tak mnie pokarali.

Augustus dla odmiany był z siebie bardzo zadowolony. Zawzięcie się bronił, niewinnie oskarżony walczył o swoje prawa. Jego siostra Phyllis – „sawantka” według ich matki – wciąż grzmiła na temat „praw zwykłego człowieka”. „A przecież – myślał sobie Augustus – trudno o kogoś bardziej zwykłego ode mnie”. „Mam swoje prawa – oznajmił teraz rezolutnie – które zostały srodze pogwałcone” – dodał z emfazą. Słyszał wcześniej, jak Lionel („zarozumialec” według Phyllis) mówił tak w związku z jakąś dziewczyną, w której się głupio zadurzył.

– Och, na miłość boską! – jęknął ojciec. – Nie rób z siebie Edmunda Dantesa.

– Kogo?

– Ty chyba w ogóle nie *myślisz* – rzekł ojciec. – Każdy, kto ma choć uncję zdrowego rozsądku, przewidziałby, co może nastąpić.

– *Myślałem*, ale tylko o tym, że bardzo chciałbym wiedzieć, co jest po drugiej stronie – odparł Augustus.

– Ciekawe, ileż to razy takie podejście stanowiło preludium do katastrofy? – rzucił pan Swift w przestrzeń.

– I co zobaczyłeś po tej drugiej stronie? – spytała pani Swift, nie mogąc powściągnąć ciekawości.

– No cóż – odrzekł Augustus, przesuwając językiem gruszkowy drops spod jednego policzka pod drugi, aby zyskać na czasie.

– Czy nie była to przypadkiem peruka pani Brewster? – zapytał pan Swift głosem, jakiego używał zwykle na sali sądowej; jego ton sugerował, że zna już odpowiedź.

– Skąd miałem wiedzieć, że ona nosi *perukę*? To mogła być czyjkolwiek peruka. Mogła tam sobie po prostu leżeć. Skąd miałem wiedzieć, że pani Brewster jest łysa? Ty nosisz perukę, a nie jesteś łysy.

– W sądzie. Noszę perukę w sądzie – podkreślił ze zniecierpliwieniem pan Swift.

– Nie przypuszczam, abys się domyślał, *dokąd* ten pies ją zawłókł? – zwróciła się do syna pani Swift.

Ten właśnie moment wybrał sobie Jock, wciąż noszący ślady wspomnianej zielonej farby, aby wpaść do pokoju z radosnym ujadaniem. Pani Swift...

– O, bogowie – jęknął Teddy, upuszczając książkę na podłogę.

Izzie skradła mu życie. Jak mogła zrobić coś podobnego? (Incydent z farbą rzeczywiście zdarzył się nie z jego winy). Przywłaszczyła sobie jego życie i przeinaczyła je, zmieniając Teddy’ego w całkiem innego chłopca, głuptasa z głupim, *potwornie* głupim psem, terierem rasy West Highland o niedbale naszkicowanym pyszczku i oczkach jak czarne paciorki. Książka była ilustrowana prymitywnymi rysunekami, co tylko pogarszało sprawę. Sam Augustus okazał się umorusanym, źle wychowanym uczniakiem w przyklejonej do potylicy czapce z daszkiem, z opadającym na oczy kosmykiem włosów i wystającą z kieszeni procą. Książka miała twardą okładkę w kolorze zielonym. Wytłoczone w niej złocone litery głosiły: „*Przygody Augustusa*, spisane przez Delphie Fox”, tak bowiem brzmiał pseudonim literacki Izzie. Wewnątrz znajdowała się dedykacja: „Dla mojego bratanka Teddy’ego – mojego drogiego Augustusa”. Co za brednie!

Najbardziej wyprowadziło go jednak z równowagi co innego. Oto Izzie nie tylko dała mu do towarzystwa niewłaściwej rasy psa, ale na domiar złego przypomniała o tragicznej stracie Trixie, która odeszła tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Teddy’emu do głowy by nie przyszło, że suczka umrze przed nim, cierpiał więc niewymownie z żalu i niedowierzania. Gdy po zakończeniu pierwszego semestru wrócił do domu ze szkoły, już jej nie było – spoczęła pod jabłonią obok Bosmana.

– Staraliśmy się utrzymać ją przy życiu do twojego powrotu, chłopcze – poinformował go Hugh. – Zwyczajnie nie dała rady.

Teddy sądził, że nigdy nie przeboleje śmierci Trixie, i może istotnie jej nie przeboleał. Tyle że kilka tygodni po premierze *Przygód Augustusa* Izzie zjawiała się u nich z kolejnym podarkiem, szczeniakiem rasy West

Highland z imieniem „Jock” wygrawerowanym na kosztownej obróżce. Teddy ze wszystkich sił starał się nie polubić psiaka; uważał, że byłoby to nie tylko sprzeniewierzenie się pamięci ukochanej Trixie, lecz także sygnał, że zaakceptował koszmarną fabularyzację swojego życia. Naturalnie zadanie to okazało się ponad jego siły i nowy piesek wkrótce odnalazł drogę do najpilniej strzeżonych komnat jego serca.

Augustus miał jednak w ten czy inny sposób prześladować Teddy’ego aż do końca życia.

Do pokoju zajrzała Ursula, podniosła książkę z podłogi i zaczęła czytać na głos: – „»To chyba Augustus?« – szepnęła panna Slee do ucha pana Swifta. Szept był teatralny, z rodzaju tych, które każą siedzącym wokół odwracać głowy z zainteresowaniem”.

Co właściwie ukształtowało Teddy’ego? Na pewno nie „siniaki, ślimaki i psiaki”, tylko liczne, następujące po sobie pokolenia Beresfordów i Toddów, których losy zbiegły się w końcu w kulminacyjnym punkcie pewnej chłodnej jesiennej nocy, gdy ojciec chwycił złotą cumę włosów jego matki i nie puścił, dopóki nie doholował ich obojga do odległego brzegu (posługiwali się licznymi eufemizmami na opisanie wiadomego aktu). Gdy potem leżeli niby para rozbitków w swoim małżeńskim łóżu, każde czuło się nieco oszołomione nieoczekiwanym zapalem drugiego. Wreszcie Hugh odchrząknął i szepnął: „Wyłynęliśmy na szerokie wody, co?”. Sylvie nic nie odpowiedziała, czuła bowiem, że wyczerpali zasób marynistycznych metafor.

Lecz ziarno piasku trafiło do muszli (jej własna metafora) i poczęła się w niej tworzyć perła, którą był Edward Beresford Todd. Rósł i rósł, aż ujrzał światło dzienne w przededniu Wielkiej Wojny. Potem godzinami leżał spokojnie w swoim wózekczku, za całe towarzystwo mając dyndającego pod budką srebrnego zajączka.

Matka Teddy'ego była wspaniałą niczym lwica. Stąpała miękko po domu, czuwając nad bezpieczeństwem rodziny. Ojciec natomiast stanowił pewną zagadkę; dzień w dzień znikał w nieznanym Teddy'emu miejscu (zwanym „bankiem”), później przepadł na dłużej w innym, jeszcze bardziej odległym (zwanym „wojną”). Siostry kochały Teddy'ego, kołysały go, podrzucały do góry i obsypywały pocałunkami. Brat drwił sobie z niego, kiedy przyjeżdżał do domu na wakacje. Większość czasu spędzał bowiem w szkole, gdzie wpajano mu stoicyzm konieczny do tego, by przeżyć. Natomiast matka przytulała policzek do policzka Teddy'ego i szeptała: „Z nich wszystkich ty jesteś mi najbliższy”. Wiedział, że matka mówi prawdę, i serdecznie żałował swojego rodzeństwa. („Jaka to ulga – myślała Sylvie – poznać nareszcie, czym jest prawdziwa miłość!”).

Co do jednego miał przynajmniej pewność: byli razem szczęśliwi. Z czasem zrozumiał, że to nie takie proste. Szczęście, podobnie jak samo życie, okazało się kruche niczym szkielet ptaka i równie nietrwałe jak dzwonki leśne, lecz dopóki trwało, Fox Corner można było uznać za zrealizowane marzenie o Arkadii.

1980

Dzieci Adama

– Mamusiu, jestem głodny!

Viola była zbyt pochłonięta widokiem morza, aby zareagować na tę skargę. Nieznośnie upalne popołudnie dobiegało końca. „Dzień na plaży!” – entuzjastycznie oznajmił z rana Dominic. Trochę zbyt entuzjastycznie, jakby wypad nad morze mógł wywołać transcendentną przemianę w ich życiu. Nie było dnia, aby nie wpadał na taki czy inny genialny pomysł. Większość z nich wiązała się dla Violi z jakimś utrapieniem. („Idę o zakład, że Dominicowi udaje się uwierzyć w sześć niemożliwych rzeczy jeszcze przed śniadaniem!” – śmiała się z podziwem Dorothy, jakby to było coś godnego pochwały). Zdaniem Violi świat by skorzystał, gdyby ludzie mieli mniej genialnych pomysłów. Skończyła dwadzieścia osiem lat i zdążyła się zmęczyć życiem. Uważała, że dwadzieścia osiem lat to wyjątkowo nieciekawy wiek: nie była młoda, lecz najwyraźniej nikt nie traktował jej jak osoby dorosłej. Ludzie stale nią dyrygowali, co doprowadzało ją do szału. Jedyłą faktyczną władzę zdawała się sprawować nad dziećmi, a i tę ograniczały niekończące się negocjacje.

Aby pokonać pięć mil, pożyczyli od Dorothy furgonetkę, która popsuła się (oczywiście) o milę od plaży.

Kierowca przejeżdżający tamtędy przypadkowo – starszy, mizernie wyglądający człowiek w wiekowym morrisie minorze kombi – zatrzymał się koło nich, pochylił nad maską, zrobił coś banalnie prostego i – abrakadabra! – furgonetka ożyła. Okazał się miejscowym farmerem, zresztą ich sąsiadem. Zarówno on, jak i morris minor byli w lepszej formie, niżby

się mogło wydawać. Dzieci go rozpoznały, ale w żaden sposób nie dały tego po sobie poznać, otumanione spiekotą i podobnie jak ich rodzice przygnębione faktem, że furgonetka Dorothy popsuła się trzeci raz w ciągu miesiąca.

– Tak czy inaczej trzeba ją będzie odstawić do warsztatu – powiedział farmer. – Ta naprawa jest tylko tymczasowa.

Dominic, zawsze skory do pomocy, zaserwował mu mądrość godną jakiegoś guru:

– Człowieku, *wszystko* jest tymczasowe.

Farmerowi przemknęły przez myśl obrazy majestatycznych gór i gwiazd na nieboskłonie, nawet oblicze samego Boga. Nie był jednak w nastroju do dyskusji. Ich widok wyraźnie go rozbawił – obszarpane dzieci (à la wiktoriańska biedota) siedzące z posępnymi minami na poboczu obok matki, rozczochranej młodej Madonny ubranej jak na bal przebierańców.

Strój stylizowany na cygański – wiejska chustka na głowie, martensy, długa welurowa spódnica, haftowany indyjski kaftan naszywany lusterkami – Viola narzuciła na siebie w pośpiechu, bez żadnego zastanowienia. Nie pomyślała, że jadą na plażę i że z każdą godziną będzie jej coraz bardziej gorąco. Tyle wysiłku kosztowało ją przygotowanie niezbędnego ekwipunku na wyprawę – prowiantu, ręczników, kostiumów kąpielowych, dodatkowego prowiantu, dodatkowych ręczników, ubrań na zmianę, wiaderka, łopatek, prowiantu na zapas, ubrań na zapas, siatek do łowienia ryb, mniejszej piłki, napojów na zapas, większej piłki, kremu do opalania, kapeluszy, wilgotnej flaneli w foliowej torebce, koca do siedzenia – że ostatecznie sama ubrała się w to, co wpadło jej w ręce.

– Ładny mamy dzień – zauważył staruszek, uchylając tweedowej czapki.

– Tak? – odmruknęła Viola.

Tymczasem kompletnie niezaradna, jeśli chodzi o mechanikę samochodową, głowa ich rodziny odgrywała rolę świętego szaleńca – a może po prostu szaleńca – płasząc po jezdni na podobieństwo królewskiego błazna. Dominic miał na sobie wielobarwny ufarbowany domową metodą podkoszulek i połatane dżinsy, które wcale nie potrzebowały łątania – coś, co doprowadzało Violę do białej gorączki, jako że ona musiała te łąty naszywać. Jeśli chodzi o styl, cała rodzina prezentowała się wyjątkowo niemodnie, nawet farmer był tego świadomy. W swoim czasie poznał oblicze młodzieżowego buntu dzięki okolicznym wyrostkom, zakolczykowanym i paradującym w łachmanach pospinanych agrafkami, oraz młodocianym hedonistom, którzy po nich nastali, poprzebieranym za piratów, banitów i rojalistów z czasów angielskiej wojny domowej. Farmer, kiedy był w ich wieku, ubierał się tak samo jak jego ojciec i nie poświęcał większej uwagi swojemu wyglądowi.

„Byliśmy dziećmi lat sześćdziesiątych – lubiła później mawiać Viola, jakby sam ten fakt czynił ją interesującą. – Dziećmi kwiatami!”, mimo że gdy lata sześćdziesiąte dobiegały końca, ona wciąż paradowała w schludnym szarym mundurku szkoły kwaków, a jedyne kwiaty w jej włosach miały postać dziecinnego wianuszka ze stokrotek zerwanych na skraju szkolnego boiska do lacrosse.

Teraz zapaliła własnoręcznie skręconego cienkiego papierosa, snując ponure rozważania nad złą karmą, która najwyraźniej przypadła jej w udziale. Zaciągnęła się głęboko, po czym we wzruszającym przypływie macierzyńskiej odpowiedzialności zadarła do góry podbródek, aby wydmuchać dym ponad głowami dzieci. Gdy pierwszy raz zaszła w ciążę – z Sunnym – nie miała pojęcia, co ją czeka. Nie była pewna, czy wcześniej widziała choćby jednego niemowlaka, i wyobrażała sobie, że opieka nad nim będzie przypominała zajmowanie się kotem, w najgorszym razie

szczeniakiem. (Okazało się, że dziecko nie przypominało ani jednego, ani drugiego). Gdy rok później ponownie zaszła w ciążę, tym razem z Bertie, mogła za to winić jedynie własną inercję.

– Zbawco! – rozpromienił się Dominic, gdy silnik wreszcie rozkaszał się i ożył. Padł na kolana przed farmerem z dłońmi złożonymi nad głową jak do modlitwy i czołem dotknął asfaltu.

Viola zastanawiała się, czy łyknął kwas. Czasami trudno było to wyczuć, w zasadzie całe jego życie zdawało się jednym niekończącym się odlotem. Albo był na haju, albo właśnie miał doła.

Dopiero gdy ten etap życia dobiegł końca, Viola zdała sobie sprawę, że ojciec jej dzieci cierpiał na psychozę maniakalno-depresyjną. Na termin „choroba afektywna dwubiegunowa” było jeszcze za wcześnie – zanim go wymyślono, Dominic od dawna nie żył. „Tak to jest, jak się wejdzie pod pociąg” – rzucała lekceważąco Viola na spotkaniach swojej kobiecej grupy wsparcia w Leeds. Na wydziale studiów feministycznych tamtejszego uniwersytetu robiła zaocznie magisterkę z „postkontrkulturowego feminizmu”. („Jakiego?” – zdumiał się Teddy). W latach osiemdziesiątych północ kraju była wylęgarnią buntowników.

– Szcherzył się do mnie jak przygłup – zwierzył się żonie farmer po powrocie do domu. – W dodatku to taki z wyższych sfer. Można by się spodziewać, że bogaci będą mieli więcej oleju w głowie.

– Nie mają go więcej od innych – zauważyła roztropnie jego małżonka.

– Miałem ochotę przywieźć ich tutaj, nakarmić jajkami na szynce i porządnie wyszorować.

– Pewnie byli z tej komuny. Biedne dzieciaczki.

Kilka tygodni wcześniej „dzieciaczki” stanęły na progu jej domu. W pierwszej chwili wzięła je za żebrzących Cyganów i chciała przepędzić. Zorientowawszy się, że to dzieci z sąsiedniej farmy, zaprosiła je do środka,

poczęstowała mlekiem i ciastem, a na koniec pozwoliła nakarmić gęsi oraz zwiedzić dojarnię krów rasy Red Devon.

– Słyszałem, że zażywają tam narkotyki i tańczą nago w świetle księżyca – rzekł farmer. (Święta prawda, choć rozrywki te nie były nawet w połowie tak ekscytujące, jak by się mogło wydawać).

Odjeżdżając, farmer nawet nie spojrzał na Bertie, która wciąż siedziała na poboczu i machała grzecznie za oddalającym się morrisem minorem.

Żałowała, że ten miły człowiek nie zabrał jej ze sobą. Wcześniej ciekawość zawiadła ją pod bramę jego gospodarstwa. Przez szpary między sztachetami podziwiała zadbane pola, krowy o lśniącej sierści i puszyste białe owce, które wyglądały, jakby właśnie wyszły z kąpieli. Widziała też samego farmera w znoszonym filcowym kapeluszu, jeżdżącego po tych zadbanych polach czerwonym traktorem jak z kreskówki.

Razem z Sunnym zawędrowali bez wiedzy rodziców aż do domu na farmie. Tam gospodyni poczęstowała ich ciastem i mlekiem, nazywając „biednymi kruszynkami”. Pokazała im, jak się doi te duże czerwone krowy (a to ci heca!), i dała im jeszcze ciepłe mleko, które wypili na stojąco w dojarni. Potem pozwoliła im nakarmić duże białe gęsi, które podniecone gęgały i kręciły się wokół. Zaśmiewali się z tego do łez. Wszystko było wspaniale do momentu, gdy nadciągnęła Viola, groźna niczym chmura gradowa, żeby ich zabrać do domu, i na widok gęsi straciła dech. Z jakiegoś tajemniczego powodu nie cierpiały gęsi.

Bertie zdołała wówczas ukryć w dłoni piórko, które zabrała ze sobą jako talizman. Wizyta na farmie miała dla niej posmak bajki i bardzo żałowała, że nie może odnaleźć drogi powrotnej do tego magicznego miejsca. Albo pojechać tam wiekowym morrisem minorem.

– *Strasznie głodny, mamusiu!*

– Ciągłe jesteś głodny – odparła lekko Viola, starając się na własnym przykładzie pokazać, że nie można ciągle biadolić. – Spróbuj powiedzieć: „Mamo, jestem głodny. Czy mógłbym dostać coś do jedzenia? Bardzo proszę”. Co sobie pomyśli Pan Kindersztuba?

Pan Kindersztuba, kimkolwiek był, stanowił przekleństwo Sunny’ego, zwłaszcza jeśli chodzi o jedzenie.

Wszystko, co chłopiec mówił, brzmiało jak skarga. Viola pomyślała, że nie mogła mu wybrać mniej odpowiedniego imienia ¹⁴. Wciąż usiłowała wykrzesać z niego choć odrobinę radości. „Rozchmurz się!” – powtarzała, rozczapierzając palce u rąk i rozciągając wargi w sztucznym uśmiechu. Gdy chodziła do szkoły w Yorku i brała udział w zajęciach kółka teatralnego, ich nauczycielka robiła tak samo. Dziewczynki z kółka uważały to za dziwactwo, lecz po latach Viola doceniła wartość zachowywania pozorów wesołości w sytuacjach, gdy człowiekowi wcale nie jest do śmiechu. Po pierwsze, uśmiechem łatwiej było osiągnąć to, czego się chciało. Po drugie, matka pogodnego dziecka nie miała stale ochoty go udusić. Sama co prawda nie stosowała się do tej zasady. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz promiennie się uśmiechała – o ile w ogóle kiedykolwiek jej się to zdarzyło.

– Jestem *głodny* – powtórzył z uporem Sunny.

Zezłoszczony obnażał zęby w naprawdę wstrętny sposób. Kiedy się rozkręcił, potrafił także ugryźć. Viola wciąż miała dreszcze na wspomnienie ubiegłorocznych odwiedzin u swojego ojca. Wybrali się tam, żeby świętować urodziny Sunny’ego. Bez Dominica, rzecz jasna, rodzina to nie była jego bajka. „Rodzina to nie jego »bajka«? – zdziwił się jej ojciec. – Jak to? Przecież sam ma rodzinę. Ciebie. Dzieci. Że nie wspomnę o innych krewnych”. Dominic był „skłócony” z rodzicami – coś, czego Teddy nie był w stanie pojąć.

– Myślałam o bardziej tradycyjnych rzeczach. Rodzinne wizyty to nie jego bajka – odparła Viola. (Owszem, nadużywała słowa „bajka”). Gdyby Dominic nie był ojcem jej dzieci, mogłaby go podziwiać za łatwość, z jaką potrafił się rozgrzeszać z różnych obowiązków, zasłaniając się swoim prawem do samorealizacji.

Sunny był bliski wybuchu już wtedy, gdy dziadek pomagał mu zdmuchiwać świece na tortie. Viola upiekła ten tort rano w ojcowskiej kuchni, a następnie na wierzchu ułożyła napis z kolorowych okrągłych cukierków: „Wszystkiego najlepszego, Sunny”. Literki były krzywe, więc ojciec myślał, że to Bertie ozdobiła tort.

– Kiedy wreszcie zjemy tort? – zawodził Sunny.

Ledwo ścierpiał (wszyscy ledwo ścierpieli) obiad złożony z zapychającej zapiekanki z pełnoziarnistego makaronu z żółtym serem przyrządzonej przez Violę. Jego zdaniem ta potrawa nie nadawała się na urodzinową ucztę. Poza tym to miał być *jego* tort.

– Panu Kindersztubie nie spodobałby się ten ton – stwierdziła Viola.

– Komu? – zdziwił się Teddy.

Odniósł wrażenie, że Pan Kindersztuba to jedyny autorytet w tej rodzinie.

Viola pokroiła tort i podsunęła kawałek Sunny’emu, który bez żadnego zrozumiałego dla niej powodu rzucił się na nią jak wąż i ugryzł ją w przedramię. Niewiele myśląc, spoliczkowała go. Wstrząs sprawił, że chłopiec zamilkł. Sekunda zmieniła się w wieczność. Wszyscy zebrani wstrzymali oddech w oczekiwaniu na wybuch histerycznego wrzasku. Nie musieli długo czekać.

– No przecież zrobił mi krzywdę – broniła się Viola, widząc minę ojca.

– Na litość boską, on ma dopiero *pięć* lat.

– Musi się nauczyć panować nad sobą.

– Ty też – zauważył ojciec i wziął na ręce Bertie, jakby chciał ją obronić przed potencjalnym aktem przemocy ze strony matki.

– Czego się spodziewałeś? – zwróciła się ostro Viola do Sunny’ego. Starannie ukrywała wstyd i skruchę na myśl o własnym godnym ubolewania wyskoku.

Wrzask zamienił się w wycie, gorące łzy bólu i wściekłości płynęły po umazanej czekoladą buzi. Viola objęła Sunny’ego i podniosła z krzesła, lecz jego ciało zeszywniało jak kawał drewna, tak że nie dawał się przytulić. Odstawiła więc go na podłogę, a on natychmiast ją kopnął.

– Nie możesz kopać i gryźć innych i uważać, że ominą cię konsekwencje – oznajmiła, drętwa niczym staroświecka niania, żadnym gestem nie zdradzając, jakie emocje się w niej kotłują. Miała wrażenie, że wije się w niej jakiś demon. Demon ten często przemawiał jej spierzchłymi wargami głosem Drętwej Niani, której płochliwie ustępował miejsca Pan Kindersztuba.

– A właśnie że mogę! – ryknął Sunny.

– Nie, nie możesz – odrzekła ze spokojem Drętwa Niania – ponieważ wtedy przyjdzie zły pan policjant, zabierze cię do więzienia i zamknie na wiele lat za kratami.

– Violu! – krzyknął jej ojciec. – Na litość boską, weź się w garść! To tylko dziecko. – Podał Sunny’emu rękę, mówiąc: – Chodź, poszukamy czegoś słodkiego.

Zawsze był w domu głosem rozsądku. A raczej Głosem Rozsądku – w wyobraźni Viola przydawała mu cechy starotestamentowego Boga. Stale słyszała jego komentarze gdzieś z tyłu głowy i z uporem nie chciała w nich rozpoznać szeptu własnego niespokojnego sumienia.

Pozostawiona sama przy stole Viola wybuchnęła płaczem. Dlaczego wszystko zawsze się tak kończyło? I dlaczego to znów była jej wina?

Nikogo nie obchodziło, jak *ona* się czuje. Jej na przykład nikt nie piekł tortów urodzinowych, w każdym razie nie ostatnio. Dawniej robił to ojciec, lecz Viola bez entuzjazmu patrzyła na domowe wypieki. Marzyła o tortach widywanych na wystawach U Betty i U Terry'ego, dwóch cukierni tkwiących naprzeciwko siebie po obu stronach placu św. Heleny niczym skłóceniu małżonkowie.

Na swoje pięćdziesiąte urodziny Viola zamówiła tort w cukierni U Betty, Terry bowiem już dawno opuścił plac boju. Przez biały wierzch biegł delikatny wrzosowy napis: „Wszystkiego najlepszego z okazji 50. urodzin, Violu”. Musiała to zrobić sama, gdyż pomimo niezawołowanych aluzji Bertie nie zdołała pojąć, jak ważne jest dla matki świętowanie półwiecza własnych urodzin. Viola przeżyła swoją matkę o ponad trzy lata – wcale nie pragnęła wygrać w tej konkurencji. Przez ten czas matka zdążyła się zmienić w wyblakłe wspomnienie, którego nie sposób było ożywić. Im bardziej Viola ją zapominała, tym bardziej za nią tęskniła.

Nie powiedziała nikomu o tym torcie i sama zjadła cały. Zajęło jej to wiele tygodni, a pod koniec był całkiem nieświeży. Biedna Viola!

Pozbierała kolorowe cukierki z tortu Sunny'ego. Wszystkie, nie tylko te pomarańczowe, pochodziły z fabryki na drugim końcu miasta. Viola była tam kiedyś z wycieczką szkolną i widziała wielobarwne mieszanki obracające się w czymś, co przypominało betoniarki, tyle że wykonane z błyszczącej miedzi. Na koniec zwiedzania każdy dostał za darmo pudełko czekoladek. Te, które dostała Viola, nigdy nie zostały zjedzone, ponieważ po powrocie do domu cisnęła nimi w ojca. Szybko zapomniała, dlaczego to robiła. Pewnie dlatego, że nie był jej matką.

Odniosła brudne naczynia do kuchni i wstawiła je do zlewu. Przez okno widziała całą trójkę w ogrodzie. Oglądali żonkile. („Są ich tam miliony!” – oznajmił później Sunny z wielkim ożywieniem). Viola patrzyła na dzieci

kłęczące wśród kwiatów; ich twarzyczki aż lśniły wśród tego morza złota. Sunny i Bertie śmiali się i wesoło gawędzili z jej ojcem. Na ten widok ogarnął ją nieznośny smutek. Poczowała się tak, jakby przez całe życie patrzyła przez szybę na cudze szczęście.

– Jestem głodny! – wrzasnął Sunny.

Viola, której skupiony wzrok tonął w morzu, zupełnie jakby była latarnikiem wypatrującym tonącego statku, sięgnęła za siebie do plecaka i szperała przez chwilę na oślep w jego czeluściach, po czym wyciągnęła papierową torbę z niedojedzonymi kanapkami – grubymi pajdami domowego żytniego chleba na zakwasie przełożonymi wegetariańskim pasztetem i podwiędłymi plasterkami ogórka. Sunny wściekł się, widząc ponownie nieapetyczną przekąskę.

– Nie chcę tego! – krzyknął i cisnął w nią kanapką. Fatalnie rzucał do celu i kanapka zniknęła w pysku mile zaskoczonego labradora, który akurat tamtędy przebiegał.

– *Słucham?* – spytała Viola tonem, który sugerował coś całkiem przeciwnego.

– Chcę coś *dobrego* – jęczał Sunny. – Nigdy nie dajesz nam nic *dobrego*.

– Kto ładnie nie prosi, ten nie zasługuje na smakołyki – mruknęła Viola.

„Labrador nie prosił, a dostał” – pomyślał Sunny.

Wszystko wskazywało na to, że Drętwa Niania zabrała się z nimi na plażę. Viola podała kanapkę Bertie, która kopła dołki w piasku, ta zaś odparła: „Dziękuję, mamusiu”, ponieważ dobrze wiedziała, że kiedy zachowuje się układowie, matka jest dla niej miła. „Bardzo proszę” – rzuciła Viola. Sunny aż zgrzytnął zębami na ten pokaz dobrych manier, odgrywany jedynie po to – co do tego nie miał wątpliwości – aby wzbudzić w nim wyrzuty sumienia. Tak samo było, gdy grali w „Szczęśliwą rodzinę” (był jeszcze za mały, aby pojąć ironię tej sytuacji): jeśli *za każdym razem* nie

powiedziało się „proszę” oraz „dziękuję”, traciło się Pana Myszkę albo Panią Rudzikową, nawet jeśli zwyczajnie się *zapomniało*. „Nienawidzę cię” – mruknął pod adresem Violi. Dlaczego *nigdy* nie była dla niego dobra? „Dobry” było dla Sunny’ego słowem wytrychem. Pewnego dnia jego słownik miał się poszerzyć, lecz na razie ten jeden przymiotnik załatwiał sprawę. – Nienawidzę cię – powtórzył, bardziej do siebie niż do matki.

– Tra-la-la – odpowiedziała. – Obawiam się, że nic nie słyszę.

Sunny głęboko zaczerpnął powietrza i wrzasnął, ile sił w płucach: – Nienawidzę cię! – Ludzie na plaży zaczęli się na nich oglądać.

– Mam wrażenie, że ci w morzu nie dosłyszeli – stwierdziła Viola tonem, który budził w Sunnym mordercze instynkty. Udawała, że nic jej nie wzrusza. Lodowaty sarkazm matki był śmiercionośną bronią, z którą nie umiał walczyć. W jego sercu wzbierała burza. Jeszcze chwila i eksploduje. Matka miałaby nauczkę.

„Poddaj się, Sunny – myślała Bertie. – Nigdy z nią nie wygrasz. Przenigdy”. Kopała dalej spokojnie. Jedną ręką operowała łopatką na krótkim trzonku, w drugiej ścisnęła kanapkę, której nie zamierzała zjeść. Przez jakiś czas cierpliwie drażyła dołek w piasku, po czym przeniosła się kawałek dalej i zaczęła drażyć nowy, jakby miała w głowie jakiś precyzyjny plan, chociaż w istocie dotyczył on tylko wykopania przed zachodem słońca tylu dołków, ile się tylko da.

Po narodzinach ochrzczono ją imieniem „Moon” – to znaczy nie ochrzczono, tylko nadano jej to imię w trakcie rytualnej ceremonii wymyślonej przez Dorothy i zorganizowanej nocą w lesie za ich domem. Uczestniczyła w niej cała komuna. Viola oddała śpiącego smacznie noworodka w ręce Dorothy, ta zaś uniosła go do księżycy, jakby składała Bertie w ofierze. Na jedną zaskakującą chwilę Violę ogarnęły wątpliwości, czy jej córeczka nie zostanie aby poświęcona bogom. Dorothy oznajmiła,

że Bertie spotkał „zaszczyt” bycia pierwszym dzieckiem, jakie przyszło na świat w ich komunie. „Oto darujemy ci przyszłość” – powiedziała, zwracając się do księżycy, na którym ów dar nie zrobił większego wrażenia. Zaczęło padać. Bertie przebudziła się i rozplakała.

– A teraz czas na ucztę! – zarządziła Dorothy, gdy schronili się pod dachem.

Nie pożarli jednak dziecka, tylko łożysko Violi, usmażone przez Jeanette z cebulką i natką pietruszki. Viola odmówiła zjedzenia swojej porcji; za bardzo kojarzyło jej się to z kanibalizmem, poza tym było zwyczajnie obrzydliwe.

A więc tak, imiona jej dzieci naprawdę brzmiały Sun i Moon. Słońce i Księżyc.

Szczęśliwie Bertie miała też drugie imię, po babci.

– Moon Roberta? – upewnił się Teddy, gdy Viola poinformowała go o tym przez telefon. Starał się przy tym oczyścić głos z wszelkich emocji. – Bardzo oryginalnie.

– Chyba nie chcesz, żeby się nazywała tak samo jak wszyscy, prawda? – burknęła Viola. – Świat jest pełen dziewcząt o imionach Sophie i Sarah. Trzeba się czymś wyróżniać z tłumu.

Teddy był całkiem odmiennego zdania, lecz zachował je dla siebie. Zresztą całe to szaleństwo nie trwało długo – Sun wkrótce stał się Sunnym, Bertie zaś uniknęła zdrobnienia Moony w bardzo prosty sposób: uparcie nie reagowała na kolejne wersje swojego księżycowego imienia. Wreszcie większość osób zapomniała, co widnieje w jej akcie urodzenia. Dominic zresztą niechętnie zarejestrował córkę w urzędzie; uważał to za wymóg „totalitarnej biurokracji”. Z tego samego powodu on i Viola nigdy nie wzięli ślubu.

Jedyną osobą, której Bertie pozwalała od czasu do czasu przypominać sobie o szaleństwie swoich rodziców, był jej dziadek. Czasami zwracał się do niej „Bertie Moon”, co w dziwny sposób zawsze poprawiało jej nastrój.

Teraz skończyła kopać kolejny dołek – o ile jakikolwiek dołek można uznać za wykopany do końca – i dyskretnie wrzuciła do niego kanapkę.

Viola podała Sunny’emu plecak i powiedziała:

– Weź sobie mandarynkę. Jest gdzieś na dnie.

Sunny tylko prychnął pogardliwie.

– Och, skończ wreszcie z tym biadoleniem – burknęła Viola, zbyt zajęta morzem, żeby na serio się na niego rozgniewać.

(„Po co ci były dzieci? – spytała ją po latach Bertie. – Poczułaś biologiczny impuls, żeby się rozmnażać?”).

„Jak wszyscy, którzy mają dzieci – odparła Viola. – Tylko udają, że jest inaczej, sypiąc na prawo i lewo sentymentalnymi banałami”).

Pożałowała, że nie ma lornetki. Przez te odbijające się od wody promienie trudno było cokolwiek zobaczyć. W morzu kąpało się sporo ludzi, lecz z tej odległości wyglądali w zasadzie identycznie – sylwetki podskakujące na błękitnym tle na podobieństwo rozleniwionych fok. Viola była okropnie krótkowzroczna, a zarazem zbyt próżna, aby nosić okulary.

Sunny złożył na chwilę broń i wrócił do zbierania kamyków. Uwielbiał kamyki. Skały, kamienie, żwir też, ale wygładzone przez wodę kamyki były najlepsze. Wprost nie mógł uwierzyć, ile ich jest na plaży. Pewnie nigdy nie zdołałby wszystkich wybierać.

– A gdzie jest tata? – zapytała nagle Bertie, podnosząc główkę znad swojego dołka.

– Pływa.

– Gdzie?

– W morzu, oczywiście.

Nagle Viola dostrzegła wyrzucony na brzeg patyk, zbieleły jak kość. Sterczał z piasku na podobieństwo szczątkowego drogowskazu. Wzięła go do ręki – okazał się szorstki w dotyku. Od niechcenia zaczęła kreślić nim symbole na suchym piasku – pentagramy, półksiężycy i powszechnie szkalowaną swastykę. Ostatnimi czasy z ochotą zgłębiała magię. A raczej: Magię.

– Masz na myśli magiczne sztuczki? Takie jak przecinanie kobiety na pół? – spytał oszołomiony Teddy.

– Rytualną magię. Czary, okultyzm, pogańskie gusła. Tarota. To żadne sztuczki, tylko głęboka odwieczna wiedza.

– Zaklęcia?

– Czasami. – Skromne wzruszenie ramion.

Minionego wieczoru stawiała tarota z Jeanette. Wyszły jej Słońce, Księżyc, Głupiec, jedno po drugim – jej rodzina. Najwyższa Kapłanka to oczywiście Dorothy. Wieża – katastrofa, nowy początek? Gwiazda – kolejne dziecko? Uchowaj Boże, chociaż Star to takie ładne imię. Jak długo już nie było Dominica? Dobrze pływał, ale nie tak dobrze, żeby godzinami siedzieć w wodzie.

Słońce paliło niemiłosiernie. Magia wymagała nocy, migotliwego światła świecy rozpraszającej mrok, a nie takiej jasności. Viola odrzuciła patyk i westchnęła, znużona upałem. Wcześniej pozbyła się ciężkich butów, kaftana, spódnicy oraz chustki, a i tak miała na sobie więcej niż reszta plażowiczów: staroświecką halkę i koszulkę z długimi rękawami, frymuśne ciuszki z mnóstwem kokardek obszyte haftem angielskim wypatrzone w sklepie z używaną odzieżą. Nie wiedziała przy tym, że halka należała niegdyś do ekspedientki, która umarła na suchoty; biedaczka przeżyłaby szok, widząc swoją bieliznę wystawioną na widok publiczny na plaży w Devonie.

Viola oderwała w końcu czujny wzrok od morza i skręciła jeszcze jednego papierosa. Nie cierpiała wybrzeża. Kiedy była mała i wciąż jeszcze tworzyli pełną rodzinę, co roku wyjeżdżali na jakąś zimną, moką plażę na obowiązkowy letni urlop. Dla Violi była to istna katorga. Pomysł musiał wyjść od ojca; matka prawdopodobnie wolałaby wyjechać gdzieś, gdzie było ciepło, słonecznie i gdzie mogliby się dobrze bawić, lecz ojciec miał w sobie coś z purytanina – uważał, że plaża nad Morzem Północnym to coś „w sam raz” dla dziecka. Z wściekłością zaciągnęła się skrętem. Przez zdrowy rozsądek ojca miała zmarnowane dzieciństwo. Położyła się na wznak na piasku, wbiła wzrok w bezchmurne niebo i rozmyślała nad nieznośną nudą swojego życia. To samo w sobie wkrótce stało się nudne, więc znowu usiadła i wyciągnęła książkę z przepastnej głębi plecaka.

Odkąd sięgała pamięcią, nie ruszała się nigdzie bez książek, jak to jedynaczka. Literatura podsyciała jej dziecięce fantazje, utwierdzała ją w przekonaniu, że pewnego dnia stanie się bohaterką swojej własnej powieści. Jako nastolatka żyła w dziewiętnastym wieku, włóczyła się po wrzosowiskach wraz z siostrami Brontë i buntowała przeciwko surowej obyczajowości salonów opisywanych przez Jane Austen. Jej – dosyć sentymentalnym – przyjacielem był Dickens, a George Eliot stała się surową przyjaciółką. Ostatnio po raz kolejny sięgnęła po stare wydanie *Cranford*, lecz pani Gaskell nie czuła się swobodnie w Adam's Acre, gdzie czytano raczej Huntera S. Thompsona, *Jogasutry* Patańdzaliego – i niewiele więcej. Viola siedziała na rozgrzanym piasku, nawijała kosmyk włosów na palec – wieloletni nawyk, który irytował wszystkich poza nią samą – i zastanawiała się, dlaczego zamiast pilnie studiować, pozwoliła Dominicowi sprowadzić się na złą drogę i wspólnie z nim paliła zioło. Teraz mogłaby już wykładać. Albo nawet mieć tytuł profesora. Słońce

prażyło oślepiająco białe stronice powieści pani Gaskell i Viola pomyślała, że zaraz dostanie migreny. Jej matka w zasadzie umarła na ból głowy.

Krótkotrwałe trójporozumienie zostało zerwane przez Sunny'ego, który wyciągnął mandarynkę z plecaka, lecz zamiast ją zjeść, rzucił nią w Bertie, co doprowadziło do gwałtownej i głośnej wymiany zdań. Viola dała im pieniądze na lody, by zdusić konflikt w zarodku. Furgonetka lodziarza stała na nadmorskiej promenadzie i Viola patrzyła za dziećmi, dopóki nie zlały się w rozmazaną plamę. Zamknęła oczy. Pięć minut świętego spokoju – czy naprawdę prosi o zbyt wiele?

Była na pierwszym roku studiów na uniwersytecie z betonu i szkła w stylu futurystycznego brutalizmu, gdy poznała Dominica Villiersa. Wyrzuciono go ze szkoły plastycznej, lecz wciąż krążył po obrzeżach życia akademickiego. Był „latoroślą” (Viola musiała sprawdzić ten rzeczownik w słowniku) rodziny z pretensjami arystokratycznymi. Jego legendarny nałóg narkotykowy, maniery ucznia prywatnej szkoły dla chłopców i zamożni rodzice, od których się odciął, aby żyć w jakże malowniczej nędzy, przydawały mu pewnego uroku. Viola, żądna buntu i zrzucenia okowów prowincjonalnej klasy średniej, z braku lepszych możliwości uległa jego złej sławie.

Dominic był też niezwykle przystojny i Violi bardzo pochlebiło, gdy po kilku tygodniach łażenia wokół niej wreszcie zaatakował (aczkolwiek ospale – o ile można „ospale atakować”) i rzucił od niechcienia: „Pójdziemy do mnie?”. W jego zapyziałym mieszkanku nie było żadnych cennych sztychów, za to sporo wielkich płócien wyglądających, jakby ktoś chlusnął na nie farbą w barwach podstawowych. „Skąd wiedziałaś?” – Dominic ewidentnie był pod wrażeniem, że Viola rozgryzła jego technikę. Ona zaś, ulegając swojej filisterskiej naturze, chcąc nie chcąc, pomyślała: „Też bym tak potrafiła”.

– Dobrze się sprzedają? – zapytała niewinnie i w odpowiedzi usłyszała długą tyradę na temat „obalania tradycyjnych form wymiany między twórcą a odbiorcą”.

– Chcesz powiedzieć, że rozdajesz je za darmo? – zdumiała się. Jako jedynaczka nie zwykła się z nikim dzielić.

– Hej – powiedział lakonicznie Dominic, gdy w końcu przestał się zachwycać swoją sztuką, a odwróciwszy się, ujrzał Violę leżącą nago w brudnej pościeli.

Żył z zasiłku, co – jak twierdził – było fajne, bo oznaczało, że to „stalinowskie państwo” płaci za jego działalność artystyczną.

– Czyli płacą podatnicy? – upewnił się Teddy.

Viola długo odwlekała moment, w którym będzie zmuszona przedstawić w domu swojego „kawalera” (określenie Teddy’ego, który szukał jakiegoś niewinnego słowa). Obawiała się, że konserwatywne poglądy, którym po cichu hołdował jej ojciec, i śmiertelnie nudny porządek panujący w jego domu w Yorku mogą ją postawić w złym świetle. Z niesmakiem myślała o ogrodzie ojca – schludnych rabatkach szaławii, smagliczki i lobelii w kolorach czerwonym, białym i niebieskim. Równie dobrze mógł tam rozłożyć brytyjską flagę.

– To nie patriotyzm – zaprotestował ojciec. – Tak się składa, że moim zdaniem te kolory pięknie razem wyglądają.

– Ogrody... – zauważył Dominic.

Teddy czekał na dalszy ciąg zdania, na próżno. – Lubisz je? – spróbował.

– Tak, są super. Moi starzy mają labirynt.

– Labirynt?

– No.

Trzeba przyznać, że szczycił się swoim egalitaryzmem. „Książę czy śmieciarz – mawiał – to przecież wszystko jedno”. Viola podejrzewała jednak, że wie więcej o książętach niż o śmieciarzach. Jego „starzy”, jak ich nazywał, mieszkali w głębi hrabstwa Norfolk. Ród Villiersów od wieków tam jeździł konno, polował i wędkował, skoligacony z rodziną królewską przez jakiegoś przodka z nieprawego łoża. Viola nigdy ich nie poznała; separacja Dominica od rodziny trwała pomimo pojawienia się na świecie Sunny’ego i Bertie. „Nie chcą poznać swoich wnucząt? – dziwił się Teddy. – Jakie to smutne”.

Viola przyjmowała tę sytuację z zadowoleniem. Przypuszczała, że nigdy nie zyskałaby aprobaty „starych” Dominica. Teddy chciał wiedzieć, co było powodem zerwania stosunków.

– Och, wie pan... To co zwykle. Narkotyki, sztuka, polityka. Oni mają mnie za utracjusza, ja ich za faszystów.

– Co jak co, ale przystojny z niego chłopak – stwierdził Teddy, bo w popłochu szukał czegoś, co mógłby pochwalić.

Razem z Violą zmywał naczynia po sałatce z szynką i jabłeczniku z kruszonką, które przygotował tego ranka. Nieźle radził sobie w kuchni (to jego opinia). Dominic tymczasem uciął sobie drzemkę w salonie. „Musiał być bardzo zmęczony” – zauważył Teddy. Viola nigdy nie widziała ojca śpiącego czy choćby drzemiącego na leżaku.

Gdy Dominic się obudził, Teddy, któremu nie przyszło do głowy nic ciekawszego (nie wyobrażał sobie, żeby Dominica mogły pasjonować gry planszowe), wyjął albumy ze zdjęciami dokumentującymi zakłopotanie Violi na różnych etapach jej rozwoju i w różnym nasileniu. Viola nigdy nie czuła się swobodnie przed obiektywem.

– W rzeczywistości jest dużo ładniejsza – wyjaśnił.

– Taa, seksowna z niej laska – roześmiał się pożądliwie Dominic.

Viola aż się zarumieniła z radości. Zauważyła przy tym, że ojciec skrzywił się na tę uwagę i skojarzenia, jakie ze sobą niosła. „Przyzwyczajaj się – pomyślała. – Jestem już dorosłą kobietą”. („Rznię się, więc jestem” – napisała na okładce swojego egzemplarza *Rozprawy o metodzie Kartezjusza*, wielce zadowolona z takiego obrazoburstwa).

Przed nią w życiu Dominica było wiele dziewcząt i Viola nie pojmowała, dlaczego akurat na niej zakończył swoje podboje. Jak się zresztą okazało, nie zakończył, a jedynie na chwilę przerwał. „Ale to do ciebie zawsze wracam” – powtarzał. „Jak pies” – pomyślała nie bez satysfakcji.

Zasadniczo oboje byli okropnie leniwi i łatwiej im było trwać ze sobą niż po prostu się rozstać.

Viola zdołała wreszcie przebrnąć przez egzaminy końcowe i uzyskać dyplom z niechlubną trzecią lokatą z filozofii, studiów amerykańskich oraz literatury angielskiej. „To i tak bez znaczenia – stwierdziła. – Życie jest po to, aby żyć, a nie zbierać jakieś papierki”. Nikomu się nie przyznała, jak głęboko rozczarowała się swoimi wynikami. Postanowiła nawet nie uczestniczyć w uroczystości rozdania dyplomów, nazywając ją „pustym gestem, utrwalającym skostniałą hierarchię”.

– W przyszłości możesz żałować swojej decyzji – ostrzegł ją Teddy.

– Zależy ci tylko na mojej fotografii w birecie i todze. Chcesz ją powiesić na ścianie i chwalić się nią przed ludźmi – burknęła rozzłoszczona.

– A co w tym złego? – nie mógł zrozumieć Teddy.

– Czyli nie zamierzacie się pobrać? – spytał ostrożnie, gdy Viola powiedziała mu, że spodziewa się dziecka.

– W dzisiejszych czasach nikt już się nie pobiera – odparła obronnym tonem. – To jakieś przestarzałe burżuazyjne konwenanse. Dlaczego

miałabym się przykuwać łańcuchem do kogoś na resztę życia tylko dlatego, że tak chce autorytarne społeczeństwo?

– Ej, nie jest tak źle – stwierdził. – Z czasem człowiek przyzwyczaja się do tego „łańcucha”.

Kiedy urodził się Sunny, mieszkali w londyńskim squacie z dziesięciorgiem innych ludzi. Mieli tam wspólną łazienkę i kuchnię oraz jeden pokój, który mogli nazwać własnym, zagracony obrazami Dominica i sprzętami dla dziecka kupionymi przez Teddy’ego zaraz po tym, jak zrozumiał, że jeśli on sam ich nie kupi, nikt inny tego nie zrobi. Był wstrząśnięty tym, że Viola najwyraźniej nie ma pojęcia, co się wiąże z posiadaniem dziecka.

– Będziesz potrzebowała łóżeczka – tłumaczył jej – i plastikowej wanienki.

– Przecież ono może spać w szufladzie – odparła Viola. – A myć je będę w zlewie. („Właśnie – przyklasnął jej Dominic – tak zawsze robili biedacy”).

Miałoby spać w szufladzie? *Ono?* Teddy sięgnął do swoich oszczędności i zafundował młodemu łóżeczko, wózek oraz wanienkę.

Dominic rzadko kiedy kończył jakikolwiek obraz. Od czasu do czasu usiłował coś sprzedać, chociaż zawzięcie odrzucał gospodarkę kapitalistyczną, lecz jego dzieła nie szły nawet za darmo. Viola zastanawiała się, czy pewnego dnia znajdą ich troje pogrzebanych pod stertą płócien. Skutek tego był taki, że stale nie mieli pieniędzy. Dominic uparcie nie chciał prosić swojej rodziny o pomoc. „Bardzo szlachetnie z jego strony, że jest taki wierny swoim zasadom” – chwaliła go przed ojcem Viola. „Istotnie” – mruknął Teddy.

Wyjaśniła mu, że mieszkanie w squacie to logiczny wybór. „Traktowanie ziemi jak towaru, który można mieć na własność, chociaż jest to coś, czym

wszyscy powinniśmy się dzielić...”. Argumentacja – cudza, nie jej własna – utknęła w martwym punkcie.

Od tygodni Viola źle sypiała. Sunny lamentował całymi nocami, jakby w paroksyzmach żalu za utraconą „wspaniałością Boga, Który jest nam domem” ¹⁵. (Nigdy zresztą do końca nie pogodził się z tą stratą). Pewnego dnia na progu squatu stanął jej ojciec ze słowami: „Nie czekałem na zaproszenie, żeby poznać maluszka, bo mógłbym się nie doczekać”. Wyczuła w tym krytykę swojej osoby i tego, że nie zapakowała dzieciaka wraz z całym majdanem do pociągu, chociaż ze zmęczenia ledwo trzymała się na nogach.

Teddy przyniósł bukiet kwiatów, bombonierkę oraz opakowanie niemowlęcych pajacyków.

– Z Mothercare – powiedział. – Nowy sklep, byłaś już? Jaka szkoda, że nie mieliśmy takich ubranek, kiedy ty byłaś mała. Musiały nam wystarczyć kaftaniki i szydełkowe buciki. Mówiło się na to „wyprawka”. Będiesz mnie tak trzymała w progu?

– Czyli to jest ten squat, tak? – rzucił, gdy przeciskali się między rowerami, w większości zepsutymi, i kartonowymi pudłami zagrcającymi hol. („Swego czasu byłam bardzo radykalna, wręcz można mnie było nazwać anarchistką – chwaliła się Viola po latach. – Mieszkałam w londyńskim squacie, to było bardzo ekscytujące”. Nie wspominała, że przez większość czasu była przemarznięta, nieszczęśliwa i samotna, a w dodatku przygnieciona swoim macierzyństwem).

Tego samego dnia Teddy wrócił pociągiem na północ i spędził bezsenłą noc, zamartwiając się o swoją jedynaczkę i jej jedynaka. Viola była takim ślicznym dzieckiem, wprost idealnym. „Z drugiej strony wszystkie niemowlęta są idealne – doszedł do wniosku. – Nawet Hitler taki był”.

– Wiejska komuna? – zdziwił się, gdy Viola poinformowała go o przeprowadzce.

– Tak. Życie we wspólnocie. Chodzi o to, aby uniknąć destruktywnego wpływu kapitalizmu i spróbować znaleźć inną, nową drogę – odparła niemal cytatem z Dominica. – O antyinstytucjonalizm – dorzuciła. Było to najdłuższe słowo, jakie знаła; słyszała je odmieniane przez wszystkie przypadki na uniwersytecie, choć jego znaczenie wciąż pozostawało dla niej niejasne.

– Chodzi o jakiś Kościół? – nie zrozumiał Teddy.

– Tradycyjne społeczeństwo to moralny i finansowy bankrut. My żyjemy z ziemi – oznajmiła z dumą.

– „Prawdziwa wolność tam jest, gdzie człowiek znajduje pożywienie i utrzymanie, to znaczy zasadza się na korzystaniu z ziemi” ¹⁶ – zacytował Teddy.

– Co?

(„Słucham?” – poprawił ją w myślach Teddy. Tego ją przecież uczył, gdy była mała).

– Gerrard Winstanley – odparł. – Prawdziwi lewellerzy i diggerzy. Zrównywacze i kopacze. Nie kojarzysz?

Był ciekaw, jakich jeszcze wiadomości Viola nie zdołała sobie przyswoić. Intrygowały go te wszystkie radykalne ruchy zrodzone w okresie angielskiej wojny domowej i często się zastanawiał, czy przyłączyłby się do któregoś, gdyby wówczas żył. „Oto świat stanął na głowie” ¹⁷. („To była pieśń żałobna, a nie radosny hymn” – sprostowała przed laty Ursula). Pewnie głosili podobne banialuki co teraz Viola. Przypuszczał też, że bractwo Kibbo Kift to ich naturalni spadkobiercy. – Królestwo pokoju i tak dalej – wyłuszczał Violi. – Pragnienie wskrzeszenia utraconego raju na ziemi. Milenaryzm.

– Ach, *to!* – mruknęła, słysząc nareszcie coś znajomego. Widziała u kogoś na półce *W pogoni za milenium* Normana Cohna. Wkurzało ją, że ojciec wie tyle różnych rzeczy. – Nas interesuje ewolucja kosmiczna – rzuciła lekko. Nie miała pojęcia, co to właściwie znaczy.

– Przecież nigdy nie lubiłaś wsi – zauważył Teddy.

– I wciąż jej nie lubię – odparła. Nie zachwycało jej to nowe miejsce zamieszkania, choć z drugiej strony wszystko było lepsze od sypialni przypominającego chlew.

Komuna objęła w posiadanie rozległą starą farmę w Devonie. Większość ziemi została sprzedana, lecz wciąż było jej pod dostatkiem, aby uprawiać warzywa, hodować kozy i kury. Takie przynajmniej mieli założenia. Od czasów średniowiecza gospodarstwo znane było pod nazwą Long Grove Farm, lecz gdy Dorothy kupiła je na aukcji „za grosze” – głównie dlatego, że większość terenu stanowiło grzędzisko (lepsze ziemie zawczasu wykupił sąsiad – tak jest, ten od Morrisa minora i podwórza pełnego gęsi) – zmieniła ją na Adam’s Acre, co obwieszczała ręcznie malowana tablica w kolorach tęczy przybita do bramy wjazdowej. Nowa nazwa się nie przyjęła i nikt, ale to nikt z miejscowych się nią nie posługiwał.

Komuna funkcjonowała od pięciu lat, gdy dołączyli do niej Viola, Dominic oraz Sunny. Były tam trzy pary dwudziestokilkulatków: Hilary i Matthew, Thelma i Dave (Szkoci) oraz Theresa i Wilhelm (Holendrzy). Viola miała kłopot ze spamiętaniem wszystkich tych imion. Poza Dorothy w komunie żyło także troje singli: Amerykanka po trzydziestce, niejaka Jeanette, oraz nastolatek Brian, który chyba dał nogę z domu („Super” – stwierdził Dominic). I wreszcie Bill, koleś po pięćdziesiątce. Pracował jako mechanik w RAF-ie, więc Viola palnęła:

– Mój tata służył w RAF-ie podczas wojny.

– Serio? A w której eskadrze? – natychmiast zaciekał się Bill.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. Nigdy nie rozmawiała z ojcem o wojnie, zresztą to było przecież *wieki* temu. Jej obojętność wyraźnie rozczarowała Billa.

– Jestem pacyfistką – wyjaśniła.

– Jak my wszyscy, skarbie – stwierdził.

Viola pomyślała zagniewana, że naprawdę jest pacyfistką. Chodziła do szkoły kwakrów, na litość boską, i wzięła udział w demonstracji przeciwko wojnie w Wietnamie, w czasie której robiła, co mogła, aby ją aresztowano. Udział w największych protestach – w Greenham i Upper Heyford – miała jeszcze przed sobą, jednak od dawna kroczyła ścieżką słusznego oburzenia. Jej ojciec jako pilot zrzucał bomby na ludzi. Odpowiadał prawdopodobnie za zniszczenie Drezna – na studiach omawiali *Rzeźnię numer 5*. („Drezno bombardowały lancastery” – zwrócił jej uwagę Teddy. „I co z tego? – zdenerwowała się. – Myślisz, że to cię rozgrzesza?”). „Wcale nie proszę o rozgrzeszenie” – mruknął Teddy). Według Violi wojna stanowiła czyste zło, lecz Bill nie był zainteresowany jej opinią, co trochę zbiło ją z pantałyku. Najwyraźniej również nie potrzebował rozgrzeszenia.

Dominic był wniebowzięty: miał teraz własne atelier – starą, pobielaną oborę na tyłach domu. Viola też się cieszyła, że nie musi już koegzystować z jego obrazami.

Populację farmy regularnie powiększali goście ściągający głównie z Londynu na weekend. Na podłodze i kanapach nieustannie spali obcy ludzie, a kiedy nie spali, siedzieli, palili zioło i gadali. Gadali, gadali i gadali! Mieli pomagać w ogrodzie oraz w prowadzeniu farmy, lecz to się praktycznie nie zdarzało.

Dorothy była rzecz jasna królową matką. Wszystko miało być dzielone i wspólne, lecz to ona zachowała akt zakupu farmy, ona też była właścicielką jedyne go środka transportu, czyli furgonetki. W dodatku to

ona wymyśliła całe przedsięwzięcie. Miała dobrze po sześćdziesiątce, nosiła arabskie kaftany i obwiązywała głowę jedwabną chustą, a z jej twarzy nie schodził błogi uśmiech, co irytowało tych, którzy nie odczuwali żadnej błogości. Viola uważała ją za starą wiedźmę, niemal równie wiekową jak Teddy. W przeszłości Dorothy nie odniosła sukcesu jako aktorka, „podążyła” więc do Indii za pewnym mężczyzną. Wróciła bez niego, za to bogatsza o doznane „oświecenie”. („Ona oświecona? – mruknęła Viola do Dominica. – Nie widzę na to żadnych dowodów. Jest taka sama jak wszyscy, tylko gorsza”).

W przeciwieństwie do Dominica, który został wstępnie zweryfikowany jako kandydat na członka komuny, Viola poznała Dorothy dopiero po przeprowadzce. Zauważyła, że Dorothy lubi dźwięk swojego głosu i poczuła się tak, jakby znowu znalazła się na uniwersytecie. „Adam’s Acre – oznajmiła im pompatycznie Dorothy – to miejsce, gdzie wszystko, co jest możliwe, staje się możliwe. Gdzie można zgłębiać swoją artystyczną naturę i pomagać innym ją odkrywać. Nieustannie zmierzamy w stronę światła. Herbatki?” – zapytała na koniec tonem udzielnej księżnej. Zaskoczyła tym Violę, która przysnęła, jak zwykle na wykładach.

Dorothy podała jej ciężki ceramiczny kubek z jakąś mulistą, gorzką miksturą. „Przypuszczam, że nie przypomina znanej *tobie* herbaty” – uprzedziła, Viola zaś zaniepokoiła się na myśl, że kobieta próbuje ją otruć albo odurzyć. („Masz paranoję” – orzekł Dominic). Pokręciła głową, gdy Dorothy zaproponowała jej ciepłą babeczkę i podsunęła talerz, na którym piętrzyły się domowe wypieki o wyglądzie kostek brukowych. Nastąpiła przerwa, podczas której Dorothy żuła ciasto. – Przekonasz się – podjęła wreszcie – że tworzymy luźną społeczność silnych osobowości, które przypadkiem zmierzają w tym samym kierunku: w stronę transcendentnego poznania.

– Okej – odparła ostrożnie Viola, nie mając pojęcia, co oznaczają słowa wychodzące z warg oblepionych okruszkami. Istniała oczywiście medytacja transcendentalna, sama jej próbowała, studiowała też transcendentalizm w literaturze amerykańskiej. Przebrnęła przez *Walden, czyli życie w lesie* oraz *Naturę* Emersona, które nie miały chyba wiele wspólnego z paleniem szaławii przez Dorothy ani jej pogańskimi śpiewami (zawodziła jak goryl w depresji).

– Aby się udało, wszyscy muszą dać coś z siebie – ciągnęła Dorothy.

„Czyżby?” – pomyślała znużona Viola. Była pod koniec ciąży z Bertie, w dodatku ciągle taszczyła na rękach Sunny’ego.

Z braku konkretnych umiejętności przydzielono ją do zajęć ogólnych: gotowania, sprzątanania, pieczenia chleba, pracy w ogrodzie, dojenia kozy, „i tak dalej”. „Krótko mówiąc, do prac domowych” – podsumowała Viola. Jako studentka wzięła udział w marszu protestacyjnym pod hasłem „Wynagrodzenie dla gospodyń domowych”, choć nigdy wcześniej nie skalala się podobną pracą. Obecne obowiązki również jej nie zachwycaly. Nie podobało jej się, że musi coś robić za innych, podczas gdy mogłaby w tym czasie zajmować się sobą. Najwyraźniej jednak na tym polegało życie w komunie. Miała też na głowie „lekkie prace ogrodnicze”, co oznaczało przekopywanie ciężkiej czerwonej ziemi porośniętej ostami, które pleniły się na grządkach wokół trawnika za domem. Na szczęście oszczędzono jej „prac rolnych”, jak Dorothy szumnie nazywała uprawę mizernych warzyw korzeniowych i nadgryzionej przez gąsienice kapusty. „Diggerzy” – myślała żałośnie Viola, moknąc na deszczu i przerzucając błoto rozchwianym szpadlem. Została kopaczem, chyba jedynym w komunie, bo nikt poza nią nie palił się jakoś do tego, wcale nie lekkiego, zajęcia. Grządki ciągnęły się bez końca.

Na domiar złego utknęli na zupełnym *odludziu*. Viola nigdy nie przepadała za wsią – zimnym, błotnistym miejscem pełnym niewygód. Kiedy była mała, także mieszkali na starej farmie na odludziu, zewsząd otoczeni pustką. Pamiętała, że ojciec stale wiercił jej dziurę w brzuchu, aby wyszła na dwór i „zaczerpnęła trochę świeżego powietrza”. Namawiał ją na wspólne wycieczki w poszukiwaniu ptaków, ptasich gniazd, drzew albo „formacji skalnych”. Co komu po formacji skalnej? Pamiętała, jak ogromnie ucieszyła ją przeprowadzka do Yorku, do bliźniaka z centralnym ogrzewaniem i sztuczną wykładziną. Rzecz jasna jej radość okazała się krótkotrwała, bo czymże jest dom bez matki?

Komuna miała stoisko na targu odbywającym się co miesiąc w miasteczku. Sprzedawali tam swoje produkty: ciężkie bochenki chleba o wyglądzie pocisków miotanych z katapulty, różnokolorowe świece, które śmierdziały i topiąc się, tworzyły wstrętne kałuże, oraz oczywiście ceramikę. Wilhelm miał piec do wypalania gliny, z którego pochodziły ciężkie kubki i talerze – korzystali z nich na co dzień. Sprzedawali też wiklinowe koszyki, w których wyplataniu uczestniczyli wszyscy członkowie komuny. „Jak niewidomi” – uznała Viola, gdy przyszła kolej na nią. „Wiodę życie nieopłacanej osiemnastowiecznej służącej – myślała – która w dodatku musi wypłacać koszyki”. Do jej obowiązków należało też zajmowanie się dziećmi, ponieważ – wbrew gadaniu o dzieleniu się obowiązkami – nikt z komuny nie palił się do opieki nad Sunnym, czemu zresztą trudno się było dziwić. Za to pieniądze mieli wspólne. Trzymali je w skarbonce i nikt nie mógł z niej wyjąć ani pensa, nie uzasadniwszy najpierw celowości wydatku. Viola fantazjowała, że pewnego dnia ucieknie, zabierze całą tę kasę i wyda ją na colę, czekoladki, pieluchy jednorazowe oraz inne rzeczy potępiane przez komunę.

Co do Dorothy, poświęcała ona mnóstwo czasu na „wyrównywanie czakr” („Niektórzy to mają dobrze” – myślała gniewnie Viola) i stawianie kart tarota u Jeanette. Natomiast niezwykle rzadko oddawała się wyplataniu koszyków. Poza tym Viola ani razu nie widziała, aby Dorothy doła kozę, ponure stworzenie rasy toggenburskiej, szczerze odwzajemniające niechęć Violi.

Jedyne chwile wytchnienia w Adam’s Acre zdarzały jej się wtedy, gdy udawała, że szuka jajek. Kury niosły się dosłownie wszędzie, istne wariactwo! Ojciec Violi też hodował kury, lecz tamte były zdyscyplinowane i składały jaja w gniazdach. Jednak nawet podczas tych poszukiwań nie była całkiem bezpieczna, gdyż Dorothy potrafiła się zjawić niespodziewanie jak nietoperz. „Nazywasz się Viola Todd, prawda?” – zagadnęła ją pewnego dnia oskarżycielskim tonem, wyrósłszy przed nią na ścieżce niczym widmo panny Jessel [18](#).

Viola, która wędrowała sobie wzdłuż żywopłotu zatopiona w słodkich rojeniach – główną rolę odgrywali w nich kapitan Wentworth z *Perswazji* Jane Austen oraz sterty gorących tostów z masłem – okropnie się przeraziła. Zostawiła Sunny’ego pod opieką Dominica – czyn kwalifikujący się właściwie do oskarżenia o zaniedbanie wobec dziecka. Wzięła ze sobą tylko Bertie, która spała teraz w wózku firmy Maclaren, zbyt delikatnym na tak nierówny teren (kółka stale odpadały). Mała drgnęła i podniosła rączkę, jakby chciała odegnąć groźną zjawę w osobie Dorothy.

– Tak – odrzekła Viola ostrożnie. Od ponad roku mieszkała pod jednym dachem z Dorothy, a ta nie zna jej nazwiska? – Przyznaję się bez bicia.

– Twoja matka ma na imię Nancy? Nancy Shawcross?

– Może – odrzekła Viola jeszcze ostrożniej. Nie podobało jej się, że Dorothy wymawia imię jej matki. Matka była święta.

– Tak czy nie? – dociekała Dorothy.

- Tak.
- Jest jedną z sióstr Shawcross?
- Jest. – Viola nie zamierzała z powodu czyjegoś wścibstwa skazywać matkę na czas przeszły. Poza tym miło było mówić o niej tak, jakby nadal żyła.
- Wiedziałam! – wykrzyknęła teatralnie Dorothy. – Znałam jej siostrę Millie. Jako debiutujące aktorki stawiałyśmy pierwsze kroki na tej samej scenie. Od lat się nie widziałyśmy. Jak się miewa twoja droga ciotka?
- Umarła – odparła życzliwie Viola, bez oporów skazując Millie na czas przeszły.
- Dorothy w geście rozpaczony przytknęła dłoń do czoła, a jej twarz skurczyła się w paroksyzmie bólu.
- A więc nie żyje!
- Ledwie ją znałam. Ciągłe wyjeżdżała gdzieś za granicę.
- Hm – mruknęła Dorothy, jakby ta informacja ją uraziła. Zmarszczyła czoło. – Co ty tu właściwie robisz?
- Szukam jajek – skłamała gładko Viola. W komunie zawsze trzeba było stwarzać pozory, że robi się coś *użytecznego*. Okropnie męczące...
- Czy to dziecko – (zawsze mówiła „to dziecko” albo „te dzieci”) – nie powinno mieć na głowie czepka dla osłony przed słońcem?
- Czepka? – zdziwiła się Viola na tak staroświeckie słowo. Znów zamajaczył jej kapitan Wentworth. – Muszę iść – dodała – szukać tych jajek.

Gdy Viola była w ciąży z Bertie, Dorothy nalegała na „naturalny poród” w Adam’s Acre. Viola nie wyobrażała sobie niczego gorszego. Sunny przyszedł na świat w wielkim, przepełnionym szpitalu akademickim w Londynie; naszprycowano ją tam petydyną. Nocą dzieci zabierano na oddział noworodków, a matkom dawano środki nasenne. Istna sielanka.

Kobiety spędzały w szpitalu cały tydzień, dostawały posiłki, napoje mleczne i przekąski. Oczekiwano od nich jedynie, by karmiły i przewijały swoje pociechy, przy czym nie musiały nawet wstawać z łóżka. Viola nie zamierzała z tego rezygnować na rzecz jakiegoś cholernie bolesnego rytuału inicjacyjnego zaaranżowanego przez (bezdzielną zresztą) Dorothy. Za bardzo kojarzyło jej się to z *Dzieckiem Rosemary*.

Na farmie była w zasadzie więźniem. Nie mieli telefonu – jak się dostanie do szpitala, jeśli nikt nie zechce jej tam zawieźć furgonetką? Żałowała teraz, że nie przykładała się bardziej do nauki jazdy, kiedy jeszcze mieszkała w domu. Wtedy nie chciała tkwić w samochodzie z ojcem, który znów uczyłby ją czegoś, na czym sam świetnie się znał, w przeciwieństwie do niej (zawsze tak samo). Był wkurzająco cierpliwy. Przypomniała sobie nagle, jak ojciec przez okrągły rok w każdy sobotni poranek dawał jej korepetycje, aby zdała egzamin gimnazjalny z matematyki. Przez cały rok używał tego samego miękkiego, krótkiego ołówka. Viola zwykle gubiła ołówki i długopisy po jednym dniu. Na myśl o obliczeniach i równaniach robiło jej się niedobrze, lecz ojciec nie ustąpił, dopóki przynajmniej chwilowo nie pojęła, o co chodzi. Oczywiście rachunki dawno wywietrzały jej z głowy. Jaki sens miała w sumie ta mordęga? Pozwoliła jej z żałością niską oceną przebrnąć przez egzaminy, na maturze zebrać przeciętne noty (z wyjątkiem angielskiego) i dostać się na średni uniwersytet, który ukończyła z żenującą lokatą. I proszę, dokąd ją to doprowadziło. Tutaj. Oto – dokąd. Dwójka dzieci i beznadziejny facet, żadnych pieniędzy ani choćby perspektywy normalnej pracy. Lepiej było rzucić szkołę po piętnastych urodzinach i zrobić staż fryzjerski.

Ostatecznie Bertie urodziła się w szpitalu i diabeł nie zgłosił się po jej duszę. Nie musiał – miał już Sunny'ego.

Musiała zasnąć, bo gdy drgnęła i otworzyła oczy, piekła ją twarz zaczerwieniona od słońca. Minęło kilka sekund, zanim przypomniała sobie o dzieciach. Ile czasu upłynęło, odkąd poszły po lody? Z trudem dźwignęła się na nogi i rozejrzała po plaży. Ani śladu. Ktoś je porwał, potopiły się, spadły z urwiska? Przez głowę Violi przemykały kolejno straszliwe scenariusze, każdy zdawał się świadczyć o tym, jaka fatalna z niej matka.

Bertie i Sunny w końcu się znaleźli – odrobinę przygnębieni czekali cierpliwie w namiocie dla zagubionych dzieci. Viola nie wiedziała nawet, że coś takiego w ogóle istnieje. „Zrobiłeś to specjalnie?” – spytała Sunny’ego, gdy ścigając się z nadciągającym przypiływem, pędzili na brzeg, aby zebrać mokry, zapiaszczony dobytek i ponownie upchnąć go w torbach. („Właśnie dlatego nie jeździmy na plażę” – pomyślała).

Sunny aż zaniemówił z oburzenia. Gdy po odejściu od furgonetki lodziarza zorientował się, że nie trafią z powrotem na koc, był śmiertelnie przerażony. Plaża ciągnęła się jak okiem sięgnąć i wszyscy na niej byli wyżsi od niego. Wyobraził sobie, że porywa ich fala albo że spędzają samotną noc na brzegu w kompletnych ciemnościach. Dodatkowym ciężarem była świadomość, że pod nieobecność matki to on odpowiada za Bertie, więc naprawdę odchodził od zmysłów. Gdy podeszła do nich jakaś miła pani o matczynym wyglądzie i zagadnęła: „A wy co tu robicie całkiem sami? Zgubiliście swoją mamusię?”, poczuł przemożną ulgę i wybuchnął głośnym płaczem. Pokochał tę panią całym sercem.

- Nigdy więcej tego nie rób – skarciła go Viola.
- Przecież ja niczego nie zrobiłem – odparł cichutko. Uszła z niego cała para. Zaczął dzień jak zegarek z nakręconą sprężyną, teraz ledwo tykał.
- Gdzie tatuś? – dopytywała się Bertie.
- Pływa – warknęła Viola.
- Pływa tyle godzin.

– To prawda – przyznała Viola.

Nie miała zegarka. Po zdaniu egzaminu gimnazjalnego Teddy podarował jej ślicznego małego timexa, ale dawno go zgubiła. W myślach zaklinała los, żeby Dominic nie żył.

Gdyby utonął w morzu, mogłaby zacząć wszystko od nowa. To byłoby takie proste, znacznie prostsze niż spakowanie się i odejście od niego. Poza tym dokąd niby miałyby pójść? Tak przynajmniej dostałaby pieniądze. Dominic miał fundusz powierniczy. Viola nie wiedziała dokładnie, co to znaczy, ale przed kilkoma tygodniami „uzyskał do niego dostęp”. Istniał jakiś złożony powód prawny (tak twierdził), dla którego nie mógł się odciąć od tych pieniędzy, choć odciął się od swoich „starych”. Czy jednak przekazał choć część tego majątku Violi albo dzieciom? Skąd, zamierzał oddać go komunie, przepisać wszystko na Dorothy! Co gorsza – chociaż w sumie nie była to taka zła wiadomość – Viola znalazła list od matki Dominica, która wynajęła prywatnego detektywa, aby go odnalazł, a w liście błagała syna, aby „załagodził rozdźwięk” między nimi i pozwolił jej poznać wnuki oraz ich matkę, która „jest z pewnością wspaniałą osobą”.

Gdyby Dominic umarł, Viola zainkasowałyby pieniądze z funduszu (to chyba wciąż było możliwe?), a potem mogłaby zamieszkać w prawdziwym domu i wieść normalne życie. Jaka szkoda, że nie wyszła za Dominica i nie zabezpieczyła swoich praw do spadku! Byłaby teraz zbolełą młodą wdową i wszyscy byliby dla niej mili. Mogłaby nawet zamieszkać ze swoimi nieznanymi teściami, którzy gdzieś tam jeździli konno, polowali i wędkowali. Bądź co bądź, uważali, że jest „wspaniałą osobą”. Oczywiście, poznawszy ją, prawdopodobnie zmieniliby zdanie, ale kto wie? Z czasem może przyjęliby ją do swojego klanu i stali się jej „starymi”. Mogłaby przyjąć ich nazwisko: Viola Villiers. Trochę trudne do wymówienia – przypominało ćwiczenie na dykcję – w zasadzie brzmiało

całkiem nieźle, jak nazwisko jednej z tych osiemnastowiecznych aktorek, które zostawały kochankami arystokratów i przy odrobinie szczęścia otrzymywały książęce tytuły.

Sunny był zapewne dziedzicem fortuny Villiersów. Przez chwilę Viola fantazjowała o stawach z łabędziami i pawiach przechadzających się po rozległych trawnikach. Rodzice Dominica mogli sobie być faszystami – nie przeszkadzało jej to, naprawdę, o ile tylko mieli u siebie centralne ogrzewanie, suszarki do ubrań, jadalni jasne pieczywo zamiast żytniego chleba na zakwasie i sypiali na miękkich materacach zamiast na rozłożonych na podłodze matach.

Czy powinna kogoś zawiadomić? Cała ich trójka była wykończona, zbyt zmęczona, aby przechodzić przez procedury związane ze zgłoszeniem czyjegoś zaginięcia. Tylko jak w tej sytuacji mieli wrócić do domu? Viola nie umiała prowadzić auta. Westchnęła ciężko.

– Mamusiu? – odezwała się Bertie, która znakomicie wyczuwała wszystkie nastroje matki.

Powlekli się z powrotem do namiotu dla zagubionych dzieci. Kobieta o matczynym wyglądzie nadal tam była. Sunny rzucił się ku niej i objął ją w pasie tak mocno, jakby od tego zależało jego życie.

– Zgubiła pani jeszcze kogoś? – kobieta pogodnie zwróciła się do Violi.

Sunny, Bertie, Viola oraz dwóch krzepkich policjantów siedzieli ściśnięci w radiowozie w drodze na farmę. („Mieszkacie na Long Grove Farm, zgadza się?” – upewnił się jeden z gliniarzy). Siedzące z tyłu z Violą dzieci natychmiast zasnęły, całe śliskie od kremu do opalania – tylko ich nogi w całości pokrywał szorstki piasek. Wciąż były bose; Violi zabrakło energii, aby wciskać im na stopy sandały. Po całym dniu oboje pachnieli co najmniej nieświeżo.

Pewnie jej dzieciom byłoby lepiej bez niej. „Powinnam je zostawić u tamtej gospodyni” – pomyślała, umiejętnie maskując egoizm altruizmem. Powróciło wspomnienie gęsi na podwórzu i Viola się wzdrygnęła. W dzieciństwie gonilo ją stado gęsi, niewiele brakowało, a zadziobałyby ją na śmierć; od tej pory panicznie się ich bała. Jej rodzice – wtedy jeszcze oboje – zaśmiewali się z tego. Gęsi zawsze wyczuwały jej strach – pędziły ku niej na podobieństwo rozwścieżonego tłumu, otaczały ją ciasnym kręgiem, gęgały, skubały dziobami jej sukienkę. „Nie bądź gąską, Violu” – powtarzał Teddy. Zawsze jej mówił, jak powinna i jak nie powinna się zachowywać. (Głos Rozsądku). A matka czytała jej baśń o Gęsiareczce. Viola mgliście pamiętała, że jakąś rolę odgrywał tam gadający koń bez głowy.

Może powinna poprosić policjantów, żeby się nie zatrzymywali, tylko zawieźli ją do Yorku i wysadzili pod domem ojca? Z zaskoczeniem stwierdziła, że tęskni za rodzinnym miastem. Nie tylko za jego wąskimi uliczkami i średniowiecznymi kościołami, za bramami miejskimi i wspaniałą archikatedrą, ale także za bliźniakiem na przedmieściach, z którego przez pół życia kpiła.

– Pani Todd?

Powiedziała policjantom, że nie jest mężatką, lecz to zignorowali; była matką dwójki dzieci, nie mogli się do niej zwracać „panno Todd”.

– Jesteśmy na miejscu, pani Todd. Wróciła pani do domu.

„Wątpię” – pomyślała Viola.

Gdy tylko opowiedziała swoją żalną historię kobiecie z namiotu dla zagubionych dzieci, ta natychmiast przejęła dowodzenie. Zaalarmowała straż przybrzeżną, ratowników i policję oraz kilka innych bliżej niezidentyfikowanych osób, z których większość kręciła się po promenadzie podekscytowana rozgrywającym się dramatem, a zarazem

rozczarowana, że nie ma czego oglądać. W sumie z powodu jednego zaginionego pływaka zrobiło się straszne zamieszanie.

Viola zrelacjonowała kolejno wszystkie fakty. Były one bardzo skąpe: Dominic powiedział jej, że idzie popływać, po czym zbiegł do morza, wymachując rękami i nogami, zanurzył się w wodzie i już nie wrócił. Z jej zeznań niewiele więcej dało się wycisnąć, więc dwaj krzepcy policjanci odwieźli całą trójkę do Adam's Acre. Krnąbrnego Sunny'ego trzeba było siłą odrywać od kobiety z namiotu. Przypominał hubę przyrośniętą do pnia. „Moje biedactwo” – uzaliła się nad nim kobieta, na co Viola odparła: „Jeśli pani chce, może go pani zatrzymać”, co tamta oczywiście wzięła za żart.

Radiowóz wjechał na teren farmy. Drzwi domu otwały się gwałtownie i stanęła w nich Dorothy. Łypnęła gniewnie na Violę i zapytała: „Przyprowadziłaś do mnie psy?”. Policjanci wyraźnie się oburzyli na taki brak szacunku, okazany im w dodatku przez osobę, która – pominąwszy kolorowy kaftan – wyglądała na emerytkę i powinna wiedzieć, jak się należy zachowywać w obliczu przedstawicieli prawa.

– Bez nakazu nie wejdziecie – oznajmiła im po królewsku Dorothy.

– Nie mamy takiego zamiaru – odrzekł jeden z policjantów, ostentacyjnie pociągając nosem, chociaż w powietrzu unosiła się jedynie intensywna woń paczuli, a nie narkotyków, choć akurat tych ostatnich w gospodarstwie nie brakowało.

Dorothy tymczasem wyszła na podwórze i wsparła ręce na biodrach, broniąc wstępu na swoje terytorium. – Nie przejdziecie – powiedziała, jakby stała na barykadzie.

– Och, na litość boską! – zdenerwowała się Viola zmęczona tą całą szopką.

– Gdzieś ty się u licha podziewała, Violu? Zastanawialiśmy się, co się z wami stało. Dominic jest w atelier, wrócił kilka godzin temu.

– Wrócił? Jest *tutaj*? – spytała Viola.

– A gdzie miałyby być?

– Czy mówimy o panu Villiersie? – wtrącił się jeden z policjantów. – O Dominicu Villiersie?

– Dżentelmenie, którego poszukiwania są właśnie prowadzone z morza i z powietrza? – upewnił się drugi. – Tym samym, z powodu którego ściągnięto helikopter ratunkowy RAF-u?

– Wyszedł po kąpeli w morzu na brzeg i nie mógł was znaleźć? I tak po prostu pojechał do domu? – dziwił się ich sąsiad farmer.

– W samych kąpielówkach? – dodała jego żona, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Viola widziała, że oboje naprawdę wysilają wyobraźnię, aby zrozumieć to, co się stało. Sami nigdy nie zachowaliby się tak jak Dominic. Byli normalnymi ludźmi.

Wcześniej Viola spakowała torbę, kiedy nikt nie patrzył, zabrała całą zawartość skarbonki i ruszyła z dziećmi na sąsiednią farmę. Nikt nie zauważył ich zniknięcia. Była gotowa rozpędzić stado gęsi, ale chyba poszły już spać.

– A, to wy – powitał ich farmer. Wydarzenia tego ranka wszystkim wydawały się teraz takie odległe.

Jego żona wykąpała Bertie i Sunny'ego. Gdy wyszli z łazienki owinięci w ręczniki, wyglądali czysto i świeżo jak nowi. Gospodyni ubrała ich w piżamki, które trzymała dla wnucząt, gdy te ją odwiedzały, a następnie odgrzała potrawkę z ziemniakami. Na ten widok Viola i jej potomstwo zgodnie postanowili zapomnieć, że są wegetarianami. Viola uznała, że ma dość kłopotów, aby brać sobie na głowę jeszcze i tę etyczną komplikację (rozgrzeszyła się w duchu argumentem, że są przecież w gościnie). Na koniec gospodyni wyczarowała jeszcze słodki deser mleczny ze śmietanki

od czerwono-grzbietych krów. Viola nie powiedziała dzieciom: „Nie jedzcie tego! To danie zrobione z podpuszczki, która jest krowim enzymem trawiennym!” (zwykle tak reagowała na widok twarogu). Przełknęła posłusznie pełną łyżkę. Deser był wyśmienity.

Noc spędzili w czystej, choć nienowej pościeli. Dzieci spały w podwójnym łóżku. Od wczesnego dzieciństwa, niemal zanim nauczyła się formułować słowa, Bertie mówiła przez sen. Zwykle mamrotała przez całą noc, lecz tym razem, ku wielkiej uldze Sunny’ego, spała bez jednego piśnięcia. On sam na pociechę włożył sobie pod poduszkę kamyczek z plaży. Była to pierwsza rzecz, po jaką nazajutrz sięgnął. „Och, na litość boską!” – westchnęła Viola, gdy przy śniadaniu umieścił kamyk obok swojego talerza.

Zjedli żółciutką jajecznicę, po czym ubrali się w rzeczy z przepastnego kufra gospodyni. Sunny dostał krótkie spodenki i płócienną koszulkę, Bertie zaś sukienkę w kwiatki z marszczonym karczkiem i białym zaokrąglonym kołnierzykiem Piotrusia Pana. Zupełnie nie przypominali dzieci Violi.

Potem farmer odwiózł ich na stację, gdzie złapali pociąg do Londynu. Na King’s Cross przesiedli się w inny, jadący do Yorku.

– Witajcie – powiedział Teddy, gdy otworzywszy drzwi, ujrzał na progu zdrożonych uchodźców. – Jaka miła niespodzianka.

1947

Bezlitosna zima

Luty

Na Panny Gromnicznej przebiśnieg zakwita najśliczniej.

Niemal się stęskniłem za tą białą kępą przy rowie biegnącym wzdłuż żywopłotu. Woda w rowie ciągle jest zamarznięta na kamień, podobnie jak każdy staw i kanał na wyspie, zważyłem więc już, że „przedsiębiorczy zwiastun wiosny” Wordswortha w tym roku pojawi się o właściwej porze. Zgodnie z ludową tradycją przebiśniegi zakwitają przed świętem Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego), stąd też w pewnych stronach znane są jako „dzwoneczki Panny Gromnicznej”. Ale w tę najbardziej ponurą i najdłuższą z zim z pewnością wybaczylibyśmy im, gdyby nieco zwlekały z przybyciem.

Nancy stłumiła ziewnięcie, które Teddy zauważył, lecz go nie skomentował. W słabym świetle lampy mrużyła oczy nad robótką. Koszmarna pogoda doprowadziła do przerw w dostawach prądu w całym kraju, ich to jednak nie dotyczyło, jako że dom w ogóle nie był zelektryfikowany. W pomieszczeniach na dole palili lampy naftowe i parafinowe, a na piętrze świece. W tej chwili kulili się przed kominkiem stanowiącym jedyne źródło ciepła, jeśli nie liczyć ciała, którymi ogrzewali siebie nawzajem. Teddy nachylił się, aby dźgnąć polano pogrzebaczem. Zerknął na Nancy i pomyślał, że ani chybi popsuje sobie wzrok przy takim kiepskim oświetleniu. Robiła dla niego na drutach bezrękawnik w szkocki wzór zakardowy. Twierdziła, że wymaga on skomplikowanych obliczeń. Jak wszystko zresztą – Nancy uważała matematykę za jedyną „prawdę absolutną”.

– A nie jest nią miłość? – zapytał Teddy.

– Miłość, no tak, oczywiście – odparła dość niefrasobliwie. – Miłość jest bardzo ważna, ale to abstrakcja. Natomiast liczby są konkretne, nie da się nimi manipulować. – Jej odpowiedź w żadnej mierze go nie zadowoliła. Według Teddy’ego to miłość powinna być absolutem, najwyższą wartością. Czy rzeczywiście była? Dla niego?

Pobrali się jesienią 1945 roku w urzędzie stanu cywilnego w Chelsea jedynie w obecności swoich sióstr, Ursuli i Bei, które zarazem były ich świadkami. Teddy włożył mundur lotniczy (bez odznaczeń). Ursula zaś, nie mówiąc, o co chodzi, ubłagała Izzie, aby pożyczyła jej jedną ze swoich przedwojennych paryskich sukien. Nancy z pomocą Bei przerobiła tę suknię na mniej ekstrawagancką, pasującą do czasów powszechnego zaciskania pasa. Rankiem w dniu ślubu Bea w Covent Garden kupiła kilka wielkich rdzawych chryzantem i ułożyła z nich zgrabny bukiet. Kwiaty pięknie się komponowały z kremowym jedwabiem sukni. Przed wojną Bea studiowała w Akademii Sztuk Pięknych St Martin’s i jako jedyna z dziewcząt od Shawcrossów była obdarzona naturą prawdziwie artystyczną, choć Millie z wściekłością temu zaprzeczała. Teddy wciąż nazywał je w myślach „dziewczętami”, chociaż Winnie, najstarsza z nich, skończyła czterdzieści lat.

Ani Teddy, ani Nancy nie brali pod uwagę hucznego ślubu, nie tuż po wojnie. „Kto by mnie zresztą poprowadził do ołtarza? – wzruszyła ramionami Nancy. – Nie wyobrażam sobie, aby mógł to zrobić ktoś inny niż ojciec”. Major Shawcross zmarł kilka tygodni wcześniej, czego zresztą od pewnego czasu się spodziewano.

Teddy zawsze sądził, że dobrze zna Nancy – przed wojną *naprawdę* ją znał – lecz teraz nieustannie go zaskakiwała. Wyobrażał sobie, że po ślubie przylgną do siebie, staną się w jakimś biblijnym sensie jednym ciałem, tymczasem stale uświadamiał sobie dzielące ich różnice. Zamiast – jak się

spodziewał i na co liczył – być mu podporą, Nancy dość często wytrącała go z równowagi.

Od dziecka byli sobie przeznaczeni, przynajmniej wszyscy tak utrzymywali. „Nie cierpię takiego gadania” – stwierdziła Nancy w przeddzień ich skromnych zaślubin. Wstąpili na drinka do podrzędnego, niemal wyludnionego pubu w pobliżu Piccadilly, wybranego ze względu na bliskość college’u, w którym oboje robili przyspieszony kurs nauczycielski.

Nauczanie stanowiło ważną część ich wymarzonego życia po wojnie. W istocie taką wizję stworzyła Nancy; Teddy tylko na nią przystał, bo nie potrafił wymyślić nic lepszego. Nie zamierzał wracać do pracy w banku – nie cierpiał jej już przed wojną – a nie mógł być dłużej pilotem. RAF nie miał miejsc dla dziesiątek, może setek mężczyzn, którzy po zwycięstwie chcieli zostać na służbie. Kraj nie potrafił niczego im zaoferować. Oddali ojczyźnie wszystko i zostali na lodzie. Nikt nawet nie wspominał o wdzięczności. W takiej sytuacji posada nauczyciela wydała się Teddy’emu opcją równie dobrą jak każda inna. Poezja, dramat, kanon powieści angielskich – wszystko to niegdyś ukochał. Chyba zdoła na nowo rozpalić w sobie tę miłość? Przekazywanie jej innym będzie dobrym uczynkiem, prawda?

– Jak najbardziej – przytaknęła z entuzjazmem Nancy. – Dzisiejszy świat bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje sztuki. Zawiedliśmy jako ludzkość i tylko sztuka może nas jeszcze czegoś nauczyć.

– A matematyka?

– Nie, matematyka niczego nas nie nauczy. Ona jest celem *samym w sobie*.

Teddy nie uważał, że sztuka („Sztuka” – poprawił się w myślach, wspominając matkę) powinna mieć charakter dydaktyczny. Przeciwnie, miała być źródłem radości i ukojenia, szlachetności i zrozumienia

(w gruncie rzeczy „celem samym w sobie”). I kiedyś istotnie była dla niego tym wszystkim. Nancy jednak skłaniała się raczej ku pedagogice.

– Prawdziwy nauczyciel winien rozbudzać w uczniach głód wiedzy – powiedziała rozbawiona własnymi słowami. Mieli być tymi, którzy na swój własny ograniczony sposób będą wykuwać lepszą przyszłość świata. Nancy zapisała się do Partii Pracy i wytrwale uczestniczyła w żarliwych, śmiertelnie nudnych mityngach. Członkostwo w Kibbo Kift dobrze ją do tego przygotowało.

Siedzieli w pubie, ponieważ Nancy chciała się upewnić, czy Teddy nie ma „przedślubnych wątpliwości” i jest „absolutnie przekonany”, że powinni się pobrać. Był ciekaw, czy przypadkiem nie jest odwrotnie i czy Nancy nie liczy skrycie na to, że w ostatniej chwili on zwróci jej wolność. Tak czy inaczej, pili nadspodziewanie dobry koniak, który właściciel pubu – dowiedziawszy się, że nazajutrz biorą ślub – nalewał im spod lady. Najprawdopodobniej alkohol nie pochodził z legalnego źródła. Czasami Teddy zastanawiał się, czy wszyscy poza tymi, którzy walczyli, wyszli dobrze na wojnie.

– *Courage, mon ami* – wzniosła toast Nancy, by uczcić w ten sposób kraj pochodzenia koniaku. Czyżby sądziła, że będą potrzebowali odwagi?

– Za przyszłość – odparł i stuknęli się kieliszkami.

Przez długi czas, całą wojnę, nie wierzył w przyszłość. Wydawała mu się czymś wręcz absurdalnym, teraz jednak, już „po wszystkim”, stała się nagle jeszcze większym absurdem.

– I za nasze szczęście – dodał po namyśle, bo wypadało tak powiedzieć, choćby na dobrą wróżbę.

– Równie dobrze można by stwierdzić: „Poślubił córkę sąsiadów” – narzekała Nancy. – Zupełnie jakbyśmy nie mieli innego wyboru, jakbyśmy od dziecka byli na siebie *skazani*.

– Przecież jesteś córką naszych sąsiadów – zauważył Teddy – a ja zamierzam cię poślubić.

– Owszem – przytaknęła cierpliwie – ale to *nasza decyzja*. To jest w tym wszystkim najważniejsze. Nie wyciągnęliśmy losów na loterii.

Teddy czuł się, jakby tak właśnie było.

Rzeczywiście znali się od dziecka i byli jeżeli nie parą, to z pewnością najlepszymi przyjaciółmi. Gdy wyjechał z Fox Corner do szkoły z internatem, Nancy jako jedyna osoba spoza rodziny figurowała w jego codziennych modlitwach. „Panie Boże, zachowaj od złego matkę i ojca – (w szkole dowiedział się, że nikt nie mówi o rodzicach „mamusia” i „tatuś”, nawet w cichej modlitwie) – a także Ursulę, Pamelę, Jimmy’ego, Nancy i Trixie”. Po śmierci Trixie i zastąpieniu jej przez Jocka Teddy wprowadził drobną zmianę – modlitwa kończyła się teraz słowami: „i Jocka, a Trixie daj wieczny odpoczynek w niebie”. Zwierzęta były pełnoprawnymi członkami rodziny, podczas gdy Maurice był wymieniany zwykle na szarym końcu, i to pod wpływem wyrzutów sumienia.

– Nie musimy brać ślubu – zapewnił Nancy. – Nie wymagam od ciebie wypełnienia danego mi słowa. Bądź co bądź, podczas wojny wszyscy się ze sobą zaręczali.

– Ależ z ciebie głuptas – odrzekła. – Oczywiście, że chcę wyjść za ciebie za mąż. Pytanie, czy ty na pewno chcesz się *ze mną* ożenić? Odpowiedź może brzmieć tylko „tak” lub „nie”. Żadnego owijania w bawełnę.

– Tak – odparł prędko i tak głośno, że wyrwał z odrętwienia właściciela pubu oraz pozostałych dwóch klientów: starszego człowieka i jego wiekowego psa.

Wojna stworzyła olbrzymią wyrwę; nie sposób było się przedostać na drugą stronę, wrócić do życia, jakie niegdyś wiedli, i tego, kim niegdyś byli. Dotyczyło to w takim samym stopniu ich i pozostałych mieszkańców

biednej, zrujnowanej Europy. – Jak tu nie myśleć o zburzonych wieżach lub przetrąconych iglicach? – zauważyła jego siostra Ursula. – O *Altstadts* z ich wąskimi brukowanymi uliczkami, o średniowiecznych kamieniczkach, ratuszach i katedrach, o tych wszystkich wspaniałych ośrodkach naukowych obróconych w gruzy?

– Przeze mnie – mruknął Teddy.

– Nie, przez Hitlera – odparła Ursula. Zawsze wołała obarczać winą osobiście Adolfa zamiast Niemców jako naród. Poznała ich kraj przed wojną, miała tam przyjaciół, niektórych wciąż próbowała odnaleźć. – Niemcy też padli ofiarą nazistów, chociaż oczywiście nie wolno o tym mówić głośno.

Pod koniec wojny Ursula wzięła udział w przelocie nad zbombardowanymi Niemcami. Oglądała dymiące rumowiska i na własne oczy przekonała się o skali zniszczeń. „Tyle że zaraz myśli się o krematoriach – dodała. – I naszej biednej Hannie. Obozy koncentracyjne zawsze stanowiły argument koronny, prawda? Auschwitz, Treblinka, całe to koszmarnie zło. *Należało* z nim walczyć. Lecz życie toczy się dalej. Zresztą do przeszłości i tak nie ma powrotu, wojna nie ma tu nic do rzeczy. –

Ursula była ich rodzinnym filozofem. – Możemy tylko iść przed siebie, w przyszłość. Naprzód marsz i tak dalej”. Wtedy jeszcze wszyscy pokładali wiarę w niezachwianej chronologii, na której wyrosła zachodnia cywilizacja. W przekonaniu, że istnieje przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. W kolejnych latach Teddy, prosty laik, usiłował dotrzymać kroku odkryciom fizyki teoretycznej: śledził artykuły w „The Telegraph”, a w 1996 roku wziął się nawet za bary z poglądami Stephena Hawkinga, lecz w obliczu teorii strun musiał się przyznać do porażki. Od tamtej pory usiłował żyć z godziny na godzinę, z dnia na dzień.

Wówczas Ursula od dawna nie żyła, na stałe usunięta z tkanki czasu. Jednak w 1947 roku czas wciąż stanowił czwarty wymiar kształtujący codzienność, która dla ulubionej siostry Teddy'ego oznaczała pracę w służbie cywilnej. Ursula spędziła w niej kolejne dwadzieścia lat. Wiodła spokojne, udane życie samotnej kobiety w powojennym Londynie, wypełnione chodzeniem do teatru, na wystawy i koncerty. Teddy oczekiwał, że siostra poświęci się jakiejś wielkiej pasji – powołaniu zawodowemu, mężczyźnie, a już na pewno dziecku. Myśl, że kiedyś zostanie wujkiem, cieszyła go chyba bardziej niż perspektywa własnego ojcostwa (która, jeśli miał być szczery, napawała go pewnym lękiem). Lecz Ursula zbliżała się do czterdziestki i trzeba się było pogodzić z tym, że nigdy nie zostanie matką.

O swojej żonie i siostrze myślał jak o dwóch stronach tej samej błyszczącej monety. Nancy była idealistką, Ursula realistką; Nancy optymistką o gorącym sercu, Ursula zaś dźwigała na barkach cały smutek tego świata. Podczas gdy ona czuła się wygnanką z Edenu, szukającą okruchów szczęścia na tym łez padole, pogodna i nieustraszona Nancy święcie wierzyła, że uda jej się na powrót odnaleźć bramę do rajskiego ogrodu.

Teddy tropił obrazowe porównania „jak ogar tropi lisa”, aby zacytować Billa Morrisona.

Nancy podniosła wzrok znad robótki i zachęciła go: – Czytaj dalej o tych przebiśnigach.

– Jesteś pewna? – spytał, wyczuwając w głosie żony pewien brak entuzjazmu.

– Absolutnie – odparła z (nieco ponurą) determinacją.

Przyjaciele z południowej Anglii będą musieli jeszcze trochę poczekać, ale o dziwo u nas, w surowym północnym klimacie, „pierwsi zwiastuni radości” Johna Keble'a wychylają śmiało

delikatne główki ze śniegowej pierzynki. Francuzi trafnie zwa ją *perce-neige*, lecz moją najulubieńszą nazwą tego wiosennego kwiatuszka jest chyba „lutowa białogłowa”.

Teddy pisywał co miesiąc felieton do stałej rubryki w „North Yorkshire Monthly Recorder” zatytułowanej „Szkice z natury”. Podpisywał je: „Agrestis”, swoim *nom de plume* ¹⁹. Miesięcznik, znany powszechnie jako „Recorder”, był skromnym czasopismem – jeśli chodzi zarówno o format, jak i aspiracje – o ograniczonym zasięgu, jeśli nie liczyć kilku egzemplarzy wysyłanych co miesiąc do krajów wchodzących w skład Brytyjskiej Wspólnoty Narodów oraz jednego egzemplarza (tak mu przynajmniej powiedziano), który trafiał do pewnej Brytyjki zamieszkałej na stałe w Milwaukee i poślubionej amerykańskiemu żołnierzowi. Zresztą wszyscy zagraniczni prenumeratorzy byli najprawdopodobniej emigrantami, wygnańcami z tego zakątka świata, z jego aukcjami owiec i spotkaniami Instytutu Kobiet. „Ciekawe – zastanawiał się Teddy – ile czasu musi upłynąć, zanim owa Brytyjka w Milwaukee poczuje, że ojczyzna jest dla niej równie odległa jak księżyc”.

Pewna mieszkanka Northallerton – nikt z redakcji nigdy jej nie widział – zamieszczała w miesięczniku przepisy kulinarne, praktyczne porady oraz – okazjonalnie – jakiś wzór robótki na drutach. Gazeta publikowała też krzyżówkę (bardzo łatwą), listy od czytelników oraz artykuły na temat malowniczych zakątków oraz ciekawostek historycznych w okolicy i całe strony nudnych reklam miejscowych przedsiębiorców. Słowem, było to jedno z tych czasopism, które poniewierają się w poczekalniach gabinetów lekarskich i dentystycznych, czasami przez kilka miesięcy, czasami przez lata. Jeżeli nie liczyć mieszkanki Northallerton, redakcja „Recordera” składała się z czterech osób: zatrudnianego dorywczo fotografa, kobiety zajmującej się sprawami administracyjnymi, w tym działem reklam i ogłoszeń oraz subskrypcjami, redaktora naczelnego Billa Morrisona,

a obecnie również Teddy'ego, który odpowiadał za całą resztę, w tym za prowadzenie rubryki „Szkice z natury”.

Przenieśli się do Yorkshire, ponieważ według Nancy można tam było wieść dobre, proste, wiejskie życie w otoczeniu przyrody – takie, jakie każdy mężczyzna i każda kobieta wieść powinni (po raz kolejny do głosu doszły przekonania wpojone jej w bractwie Kibbo Kift). Żadne z nich nie mogło znieść myśli o pozostaniu w posępnej, naznaczonej wojną stolicy. Yorkshire zdaniem Nancy znajdowało się tak daleko, że uniknęło wpływu mechanizacji i wojny. „Czy ja wiem...” – mruknął Teddy, myśląc o bombardowaniach w Hull i Sheffield, o poczerńiałych od sadzy monolitycznych fabrykach zachodniego Riding, a przede wszystkim o smaganych wichrami lotniskach, na których stacjonował podczas wojny. Znaczna, może nawet najlepsza część jego życia upłynęła w lodowatym, hałaśliwym wnętrzu bombowca typu Halifax.

– Podobało ci się w Yorkshire, prawda? – spytała go kiedyś Nancy niezobowiązującym tonem, jakby pytała: „Pojedziemy w tym roku nad jeziora? Podobało ci się tam, prawda?”.

Teddy nie użyłby raczej czasownika „podobać się” w odniesieniu do tego okresu swojego życia, gdy każdy dzień wydawał się tak cenny, bo mógł być ostatnim. Gdy liczyła się tylko teraźniejszość, a przyszłość nie istniała, choć przecież tak desperacko o nią walczyli. Rzucali się hurmem na wroga, a każda stoczona bitwa była niczym nowe Termopile. („Poświęcenie – mawiała Sylvie – to słowo, które w powszechnym mniemaniu ma uszlachetniać zwyczajną jatkę”).

Ale istotnie, prawda była taka, że podobało mu się w Yorkshire.

Przez pewien czas rozważali z Nancy emigrację do Australii albo Kanady. Teddy odbył w Kanadzie wstępne szkolenie jako pilot i spodobała mu się wówczas życzliwość miejscowych, ich bezproblemowe podejście do

życia. Wciąż pamiętał wspólne zbieranie brzoskwiń, które teraz, w zimie, wydawały się nierealne jak sen. Przed wojną odwiedził też Francję i to wspomnienie było jeszcze bardziej nierzeczywiste. Francja mogła odpowiadać kaprysom młodzieńca, ale w 1947 roku trudno ją było uznać za miejsce odpowiednie dla żonatego Anglika. Ostatecznie doszli do wniosku, że skoro oboje walczyli za Anglię („Za Wielką Brytanię” – poprawiła go Nancy), porzucanie ojczyzny w nowej godzinie próby byłoby czymś niewłaściwym. Po latach Teddy zastanawiał się, czy przypadkiem nie popełnili wtedy błędu. Powinni skorzystać z dofinansowanej przeprawy morskiej i wyjechać, dołączyć do innych zawiedzionych byłych żołnierzy, którzy w porę pojęli, że pogrążona w powojennym kryzysie Wielka Brytania przypomina bardziej kraj pokonanych niż zwycięzców.

Nancy znalazła stare gospodarstwo do wynajęcia, położone w dolinie na skraju wrzosowiska. Dom nazywał się Mysia Chatka („Co za infantylizm” – krzywiła się Sylvie), choć nigdy nie dowiedzieli się dlaczego. O dziwo, przez cały swój pobyt tam nie widzieli ani jednej myszy. „Może nazwali go tak, bo jest malutki?” – zgadywała Nancy.

W środku znajdowała się żeliwna kuchnia z otwartym kominkiem i piecykiem oraz wbudowanym od tyłu bojlerem do podgrzewania wody. („Bogu niech będą dzięki” – powtarzali żarliwie, szczególnie w okresie chłodów). Na kolację często woleli zjeść po prostu tosty z odrobiną ściśle racjonowanego masła, opiekane na ogniu przy użyciu mosiężnego szpikulca, niż stawiać czoła lodowatym podmuchom wiatru przewiewającego na wylot małą komórkę ze zlewem i suszarką do naczyń doklejoną od tyłu do budynku na jakimś etapie jego historii. Do tejże komórki doczepiono coś w rodzaju szopy. Znajdowały się tam umywalka i krótka wanna o poczerniałych mosiężnych kurkach oraz emaliowanych ścianach ze śladami rdzy. Zamiast toalety mieli wygodkę, co przy mroźnej

pogodzie ze zrozumiałych względów skazywało ich na korzystanie ze znienawidzonych nocników. Brakowało radia i telefonu. Tak czy inaczej, był to ich pierwszy wspólny dom i Teddy przypuszczał, że w przyszłości będą go ciepło wspominali, nawet jeśli obecnie budził głównie irytację.

Wynajęli go z pełnym umeblowaniem. Świetnie się złożyło, bo nie mieli własnych mebli z wyjątkiem fortepianu, który zdołali jakoś upchnąć w pokoju na dole. Nancy grała dobrze, chociaż o wiele gorzej niż Sylvie. Poprzednia właścicielka najprawdopodobniej oddała ducha *in situ*, dzięki czemu mogli korzystać z jej naczyń, poduszek, lamp i mosiężnego szpikulca do opiekania tostów. Zakładali, że była to starsza kobieta, ponieważ – choć zasłony i pokrowce na krzesła uszyto z wytartego lnu w klasyczny kwiatowy wzór, który mógł odpowiadać gustom zarówno kobiecym, jak i męskim – cały dom wypełniały szydełkowe kapy, koronkowe serwetki, oprawione w ramki obrazki wykonane haftem krzyżykowym oraz porcelanowe figurki dam w krynolinach. Teddy i Nancy myśleli o niej jak o swojej dobrodziejce. Jeśli chodzi o pościel, szczęśliwie nie zaznała ona chłodu martwego ciała poprzedniej gospodyni; pani Shawcross przetrząsnęła swoją bielizniarkę i podarowała nowożeńcom zapasowy komplet.

Wprowadzili się na farmę w maju, w porze bujności traw, pod bałamutnie błękitnym niebem. („Strasznie dużo wyrazów na »b«, mój chłopcze – zauważył Bill Morrison i dodał: – Pewnie jest na to jakieś mądre określenie”. „Owszem, aliteracja” – odparł Teddy, a Bill poprosił: „Na przyszłość staraj się tego unikać”). „No niech mnie – powiedziała Sylvie, kiedy pierwszy raz ich odwiedziła – trochę tu prymitywnie, nie sądzicie?”. Przygotowali kanapki z peklowaną wołowiną, a ponieważ Sylvie przywiozła jaja od swoich kur oraz pikle ogórkowe, ugotowali jajka na twardo i zrobili sobie uroczy piknik, rozłożywszy stary dywanik na

przerośniętej trawie w ogrodzie. – Cofacie się w rozwoju – stwierdziła Sylvie. – Niedługo zamieszkacie w jaskini i będziecie się kąpać w strumieniu.

– Czy to by było takie złe? – spytała Nancy. – Moglibyśmy żyć jak Cyganie. Buszowałabym po krzakach w poszukiwaniu jagód, chodzilibyśmy od domu do domu, sprzedawali klamerki do bielizny i talizmany na szczęście. Teddy mógłby łowić ryby i strzelać do królików albo zajęcy.

– Teddy do niczego by nie strzelił – zaprotestowała stanowczo Sylvie. – On nie zabija.

– Zabiłby, gdyby musiał – odparła Nancy. – Czy mogę prosić o sól?
„Już zabiłem – pomyślał wówczas Teddy. – Wielu niewinnych ludzi”.
Miał osobisty wkład w zniszczenie nieszczęsnej Europy.

– Jestem tutaj, gdybyście nie zauważyły – wtrącił znacząco. – Siedzę tuż obok.

– Nasze włosy – ciągnęła Nancy, wyraźnie podekscytowana tym pomysłem – pachniałyby dymem, nasze dzieci biegałyby gołe...

Oczywiście mówiła tak, żeby zirytować Sylvie. Sylvie, odpowiednio poirytowana, odrzekła: – Dawniej byłaś taka wyemancypowana, Nancy. Małżeństwo chyba coś w tobie zmieniło.

– Nie, to wojna coś we mnie zmieniła – mruknęła Nancy.

Na moment zapadła cisza, podczas gdy wszyscy troje zastanawiali się, czym było owo „coś”.

Teddy już raz utracił Nancy – podczas wojny, za sprawą ustawy o ochronie tajemnicy państwowej. Nie mogła mu wyjawić, czym się zajmuje. On też nie mógł jej opowiadać o tym, co robi (dlatego że nie chciał). Ich związek był więc oparty na niewiedzy. Nancy zarzekła się, że opowie mu wszystko po wojnie („Powiem ci, jak to się skończy, słowo!”),

lecz gdy ów moment nastąpił, Teddy nie był szczególnie zainteresowany. „Kryptologia, szyfry i tym podobne rzeczy” – wyznała, choć oczywiście sam dawno się tego domyślił. Czym innym mogła się zajmować?

Nikt, kto w czasie wojny pracował w Bletchley, nie ujawniał publicznie szczegółów. Mimo to Nancy mogłaby złamać przysięgę, żeby „nie było między nimi żadnych tajemnic”. „Sekrety mogą zniszczyć małżeństwo” – twierdziła. „Nonsens – prychnęła Sylvie. – Sekrety mogą je ocalić”.

Podczas gdy Nancy chciała otworzyć przed Teddym swoje serce, w jego sercu były komnaty, które na zawsze miały pozostać zamknięte. Nie palił się do zwierzeń, gdy chodziło o jego własną wojnę. Wspomnienia potworności i przemocy, których był świadkiem – nie mówiąc o strachu – wydawały mu się czymś szalenie osobistym. Pozostawała też kwestia jego niewierności. Nancy przyznała mu się, że uprawiała seks (cóż za grubiańskie określenie) z innymi mężczyznami nieświadoma, że Teddy nie zginął, tylko przebywa w obozie jenieckim. On zaś zdradził ją bez żadnej wymówki w rodzaju: „Myślałem, że nie żyjesz”.

Nigdy go nie spytała, czy dochował jej wierności, i chyba to najbardziej w niej kochał. Co dobrego wyniknęłoby z jego ewentualnego przyznania się? Rozwazał to zresztą wtedy w pubie w przeddzień ślubu. Miał szansę otwarcie wyznać Nancy swoje grzechy, lecz w gruncie rzeczy tamta zdrada nic dla niego nie znaczyła. Co gorsza, mogłoby się okazać, że nie znaczyła nic także dla niej.

Sylvie przywiozła im ciasto – zakalcowaty wypiek z kminkiem, który wchodził w zęby. Sama je upiekła. Posiadłszy tę sztukę w stosunkowo późnym wieku, wciąż nie mogła się nadziwić, jak bardzo pieczenie przypomina jej nauki ścisłe. Nancy pokroiła ciasto i podała je na talerzykach nie od kompletu, należących do poprzedniej właścicielki zwanej przez nich czule „starowinką”.

– Gdybyście mieli normalne wesele – zauważyła Sylvie – dostalibyście prezenty, na przykład porcelanowy serwis do herbaty, i nie musielibyście stawiać przed gośćmi tak dziwacznie niedobraniych nakryć. Że nie wspomnę o innych przedmiotach niezbędnych w życiu małżeńskim.

– Och, radzimy sobie bez nich zupełnie nieźle – zapewniła ją Nancy.

– Coraz bardziej przypominasz swoją matkę – oznajmiła Sylvie, na co Nancy odparła: – Dziękuję. Uznam to za komplement.

To jeszcze bardziej rozżłościło Sylvie. Oczywiście nadal nie przeboleła tego, że nie dane jej było uczestniczyć w ich ślubie. Według niej Teddy i Nancy zwyczajnie dali nogę. „Przyznacie, że te fotografie nie zasługują na to, aby je oprawić w srebrne ramki” – wzdychała, oglądając fotki pstryknięte w urzędzie stanu cywilnego przez Beę jej przedpotopowym kodakiem.

– Ciasto jest przepyszne – pochwaliła Nancy, żeby ugłaskać Sylvie, lecz jej uwagę odwróciła zaraz gruba pszczoła, która wyczerpana spadła na dywanik i zaplątała się w wełniane nitki. Pomogła jej się wdrapać na swoją dłoń, po czym zaniósła ją pod żywopłot i wypuściła w ocienionym miejscu.

– I tak tam padnie – stwierdziła sucho Sylvie. – Nigdy nie dochodzą do siebie. Wykańcza je ciężka praca. Pszczoły to metodystki wśród owadów.

– Mimo to instynkt każe nam przychodzić im z pomocą – odparł Teddy, ogarniając czułym spojrzeniem Nancy pochyloną nad pszczołą, która tak niewiele znaczyła w ogólnym rozrachunku.

– Może czasami nie powinno się tego robić – mruknęła Sylvie. – Co za skwar! – dodała, wachlując się serwetką. – Schowam się do środka. A ciasto wcale nie jest smaczne. Nancy zawsze świetnie kłamała.

Wprowadzając się do Mysiej Chatki, nie myśleli o zimie. Rozmawiali o zakupie stadka kur rasy leghorn i nauce pszczelarstwa, o przekopaniu zaniedbanego ogródka i posadzeniu ziemniaków, żeby w pierwszym roku

trochę rozruszać glebę. „Eden zmartwychwstały” – śmiała się Nancy. Była nawet mowa o kozie. Żadnego z tych planów nie zrealizowali przed nastaniem długich, ciemnych wieczorów. Byli zbyt pochłonięci sobą nawzajem – raczej dwa upojone latem koniki polne niż mrówki szykujące się do zimy. Teraz oboje z ulgą myśleli o tym, że nie zdążyli sprawić sobie kozy.

Z trudem wydobywali na powierzchnię wspomnienia tamtych pierwszych letnich wieczorów: skondensowany pod dachem całodzienny upał, przetarte bawełniane zasłony wydymające się łagodnie w otwartym oknie. Kochali się, gdy na zewnątrz było jeszcze jasno, i zapadali w rozkoszny sen, by zbudzić się o świcie i znowu się kochać. Ciemność była czymś, czego się nie widywało. Teraz okno było utkane starą końską derką, oni zaś żyli w ciągłym strachu przed przeciągami. Mróz pokrywał szyby szronem od zewnątrz i od wewnątrz.

„U nas wcale nie lepiej” – donosiła im z Londynu Ursula. Listy wyjmowali z prowizorycznej skrzynki u wylotu wiodącej do domu ścieżki. Przychodziły zwykle, gdy oboje byli w pracy, mogli więc tylko wyobrażać sobie heroizm listonosza, którego nie mieli okazji poznać. Dojazd na farmę również od nich wymagał nie lada hartu ducha. Za pieniądze, którymi Izzie hojnie sypnęła z okazji ich ślubu, kupili na aukcji starego wojskowego land rovera. Dotychczas standardowym prezentem ślubnym Izzie dla członków ich rodziny był komplet sztucców do ryb, lecz Teddy otrzymał czek na dużą sumę, który ciotka wcisnęła mu do ręki podczas popołudniowej herbatki w hotelu Brown’s. „Należy ci się za Augustusa” – powiedziała. Augustus, który w przeciwieństwie do Teddy’ego nie wydorósł, miał na zawsze pozostać nieodpowiedzialnym nicponiem. Od czasu do czasu Teddy zastanawiał się, czym zajmowałby się jego literacki sobowtór, gdyby jednak dorósł. Przypuszczał, że włóczyłby się po ponurym powojennym Soho jako

bywalec zakazanych spelunek i podejrzanych klubów. Byłaby to historia zdecydowanie ciekawsza niż *Augustus i magiczne sztuczki*, najnowsza część ciotczyngo cyklu, która przed dwoma dniami dotarła do nich przez śniegi i spoczywała teraz nieprzeczytana na fortepianie Nancy. Tekst na tylnej okładce głosił: „Augustus przyłącza się do trupy wędrownych magików i jak zwykle płata figle”.

– Nawet wieczna zima musi się kiedyś skończyć – westchnęła Nancy. – Zresztą na dowód tego mamy przebiśniegi. Naprawdę je widziałeś? Czy tylko zmyśliłeś, żeby mieć temat do swojej rubryki?

Teddy zdumiał się, że mogła go o coś takiego posądzić.

– Oczywiście, że nie – odparł. Powoli zaczynał żałować, że w ogóle natknął się na te przekłete przebiśniegi i wpadł na pomysł, aby o nich napisać. Z niecierpliwością wyglądał marca z jego obfitością ptactwa i zielonych pączków. Wiosną Agrestis nie będzie mógł narzekać na brak tematów. Wyjął z koszyka polano i dołożył do ognia. Na dywanik posypał się snop migotliwych iskier. Przyglądali im się z Nancy ciekawi, czy któraś rozgorzeje płomieniem, lecz tylko niegroźnie syczały i zaraz gasły.

– Czytaj dalej – poprosiła go Nancy.

– Jesteś pewna?

– Tak. – Nie odrywała oczu od robótki. („Nancy zawsze świetnie kłamała”).

Niektórzy mówią, że przebiśniegi przywieźli na wyspy Rzymianie, inni – że jako pierwsi uprawiali je mnisi (a może zakonnice). Istotnie, w wielu opiewanych przez Szekspira nagich ruinach można ujrzeć wiosną ukwiecone dywany. Mimo to trudno się oprzeć wrażeniu, że od zarania dziejów jest to rdzennie angielska roślina, czysta esencja angielskości.

Jedna z legend dotyczących pochodzenia przebiśniegów mówi, że gdy Adam i Ewa zostali wygnani z rajskiego ogrodu, trafili za karę do kraju skutego wieczną zimą. Wówczas ulitował się nad nimi jeden z aniołów i przemienił płatek śniegu w delikatny biały kwiat na znak, że wkrótce zawita do nich wiosna.

Kolejne ziewnięcie Nancy, tym razem jakby mniej dyskretne.

– Zależy mi tylko na tym, żebyś poprawiała błędy – rzekł. – Nie musi ci się to *podobać*.

Nancy spojrzała na niego znad robótki. – Podoba mi się! – zapewniła. – Nie bądź taki przewrażliwiony. Po prostu jestem zmęczona, to wszystko.

Ci z nas, którzy z trudem znoszą bezlitosną zimę, mogą się aż nazbyt chętnie utożsamiać z naszymi biblijnymi rodzicami. Święto Matki Boskiej Gromnicznej to w katolickim kalendarzu pamiątka Oczyszczenia Najświętszej Marii Panny...

– Trochę to rozwlekłe, nie sądzisz?

– Rozwlekłe?

Przed wojną Teddy bawił się w poetę, kilka jego wierszy zostało nawet opublikowanych w mało znanych czasopismach literackich. Lecz gdy w czasie wojny odwiedził Fox Corner i przejrzał swoje wycieczki przechowywane w pudełku po butach w dawnym pokoju dziecięcym, uznał je zgodnie z prawdą za amatorską pisaninę będącą dziełem niedojrzałego umysłu. Styl wierszy charakteryzowały wydumane, niezrozumiałe metafory, za pomocą których Teddy niemal zawsze usiłował oddać swoją reakcję na piękno przyrody. Ciągnęło go do potoczystego rozmachu, z jakim Wordsworth opisywał pagórki, doliny i jeziora. „Masz pogańską duszę” – usłyszał kiedyś od Nancy, ale się z tym nie zgadzał. Miał duszę wieśniaka, który utracił wiarę. Teraz i tak nie miało to znaczenia, ponieważ wielki bożek Pan umarł, a wojna zabiła w Teddym wszelką ochotę do składania rymów.

Po otrzymaniu tytułu magistra na Oksfordzie podjął decyzję o pozostaniu na uczelni i rozpoczęciu studiów doktoranckich, co pozwoliło mu odsunąć w czasie konieczność podjęcia pracy. W głębi serca wciąż marzył o posadzie maszynisty pociągu, przypuszczał jednak, że to nie

wchodzi w grę. Bardzo by się zdziwił (i uradował), gdyby ktoś mu wtedy powiedział, że za pięć lat zacznie się szkolić na pilota.

Tymczasem na temat swoich badań wybrał poezję Blake'a ze względu na jej, jak twierdził, „zawiłą prostotę” („Co to ma niby znaczyć, u licha?” – dociekała Sylvie), ale gdy przyszło co do czego, okazał się zbyt niecierpliwy. Po jednym semestrze porzucił Blake'a i wrócił do Fox Corner. Znużyło go analizowanie i rozkładanie literatury na czynniki pierwsze. Kojarzyło mu się z sekcją zwłok – zwierzył się Hugh, gdy ten zaprosił go do swojej „pustelni” na szklaneczkę słodowej whisky i pogawędkę o przyszłości.

– Chciałbym – rzekł z namysłem Teddy – przez jakiś czas podróżować, zwiedzić trochę kraj i może Europę. – Mówiąc „kraj”, miał raczej na myśli Anglię niż całą Wielką Brytanię, a przez „Europę” rozumiał Francję, lecz wolał nie mówić tego głośno z uwagi na niezrozumiałe uprzedzenia, jakie Hugh żywił wobec Francuzów. Teddy próbował mu wytłumaczyć, że pragnie *bezpośrednio* doświadczyć świata. Można by rzec, wszystkimi zmysłami. Pracować na roli i pisać wiersze. Jedno nie przeszkadzało drugiemu. „Nie, skądże – przyznał Hugh. – Wergiliusz, *Georgiki* i tak dalej. Poeta rolnik. Albo rolnik poeta”. Sam Hugh był całe życie bankierem i z pewnością nie doświadczał świata wszystkimi zmysłami.

Od dwunastego roku życia Teddy każdego lata pracował w gospodarstwie będącym własnością Ettringham Hall – nie dla zarobku (rzadko mu płacono), lecz dla przyjemności, jaką mu dawał wysiłek fizyczny na świeżym powietrzu. („Nie przychodzi mi do głowy nic gorszego” – wzdrygnęła się Izzie. Podczas kolejnej wizyty w Fox Corner zastała go w oborze, gdzie pomagał przy dojeniu, i została niemal zmiądzona przez krowę). „W głębi duszy nie jestem intelektualistą” – wyznał Teddy ojcu. Wiedział, że ten argument do niego przemówi. Istotnie,

Hugh pokiwał głową ze zrozumieniem. „Poza tym – ciągnął – czy może być coś wspanialszego niż głęboki związek z przyrodą? Zrodzona z niego poezja nie jest suchym wytworem intelektu (kolejne pełne zrozumienia skiniecie głową), tylko czystym *odczuwaniem*. Może nawet napiszę kiedyś powieść?”. (Ależ był niedojrzały!).

– Powieść? – powtórzył Hugh i brwi same podjechały mu do góry. – Masz na myśli beletrystykę? – W ich domu to Sylvie czytała powieści. Hugh był synem swojej epoki, wolał fakty. Z drugiej strony Teddy należał do jego ulubieńców. Zarówno on, jak i Sylvie mieli własny sekretny ranking potomstwa (u Sylvie może nie aż tak bardzo sekretny). W gruncie rzeczy obie listy niewiele się od siebie różniły: Pamela plasowała się pośrodku, Maurice na samym dole. Nisko notowana u Sylvie Ursula była najbliższa ojcowskiemu sercu. Faworytem Sylvie był rzecz jasna Teddy. Teddy zastanawiał się czasami, kogo preferowała, zanim on przyszedł na świat; przypuszczał, że nikogo.

– Tak, najważniejsze to nie ugrzęznąć w jednym miejscu – powiedział Hugh. Czyżby sam miał wrażenie, że ugrzązł w Fox Corner? Czy dlatego wręczył Teddy’emu dwadzieścia funtów i kazał mu „trochę się zabawić”? Teddy nie przyjął pieniędzy. Zależało mu, aby kroczyć własną drogą bez względu na to, jaka ona była – niemniej jednak czuł się niezmiernie wdzięczny ojcu za wsparcie.

Nie było żadnym zaskoczeniem, że matka odmówiła mu swojego błogosławieństwa. – *Co takiego?! –* zapytała. – Masz dyplom z Oksfordu i chcesz się włączyć jak jakiś trubadur?

– Minstrel – podsunął Hugh. – „Minstrelem zową mnie, przebiegam kraj ten cały” ²⁰. – Hugh był wielkim miłośnikiem Gilberta i Sullivana.

– Właśnie – przytaknęła Sylvie. – Różni obwiesie chodzą od farmy do farmy w poszukiwaniu najemnej pracy, ale nie Beresfordowie.

– On w zasadzie ma na nazwisko Todd – wtrącił Hugh (niepotrzebnie). – Wychodzi z ciebie okropna snobka, Sylvie – dodał, już całkiem niepotrzebnie.

– Nie zamierzam tego robić do końca życia – zaznaczył Teddy. – Może przez rok, potem się ustatkuję. – Nie przestawał myśleć o użytym przez Sylvie słowie „trubadur” i o tym, jak atrakcyjne wydawało mu się to (jakże dalekie od ustatkowania) zajęcie.

Wyjechał więc. Sadził kapustę w Lincolnshire, spędził czas kocenia się owiec w Northumberland, pomagał zwozić pszenicę w Lancashire i zbierać truskawki w Kent. Jadał posiłki przyrządzane przez żony gospodarzy, siedząc przy wielkich stołach kuchennych, w chłodniejsze miesiące sypiał w stodołach, szopach i rozpadających się chatach, latem zaś w starym, płóciennym, lekko zapleśniałym namiocie pamiętającym jeszcze czasy zuchów i bractwa Kibbo Kift. Jednak największą przygodę namiot ów miał przeżyć dopiero w 1938 roku, gdy Teddy i Nancy zabrali go ze sobą na wycieczkę do Peak District, podczas której (nareszcie) przestali być przyjaciółmi i stali się kochankami.

– A nie jednym i drugim? – zdziwił się Teddy.

– Naturalnie – odparła Nancy, do Teddy’ego zaś dotarło, że zna ją zbyt długo i zbyt dobrze, aby nagle się w niej zakochać. Kochał ją, bez dwóch zdań, ale nie był w niej zakochany – ani teraz, ani wcześniej. Ciekawiło go, czy kiedyś jeszcze się zakocha.

To dotyczyło odległej przeszłości. Tymczasem czuwał przy kocących się owcach, czytając Housmana i Clare’a w świetle lampy naftowej. Wcześniej próbował swoich sił w pisaniu (do szuflady) wierszy niemal w całości poświęconych krajobrazom i pogodzie. Dzieła te nawet jemu wydawały się okropnie nudne. Próżno szukać poetyckiego natchnienia w owcach czy choćby w jagniętach. („Drżące maleństwa o rozdziawionych pyszczkach” –

zawsze odstręczał go wiersz Christiny Rossetti *Owce z Grasmere*). To tak jak z krowami – jedynym z nich pożytkiem było mleko. Nie dla Teddy’ego hopkinsowskie „niebo wielobarwne jak łaciate ciele”²¹. „Uwielbiam Hopkinsa – pisał do Nancy ze wsi na południe od muru Hadriana. – Szkoda tylko, że nie potrafię pisać tak jak on!”. Jego listy zawsze przepelniała pogoda ducha. Sądził, że tego wymagają dobre maniery, podczas gdy w rzeczywistości rozpaczał z powodu swoich koślawych rymów.

Raz na krótko odwiedziła go Izzie. Zatrzymała się w hotelu nad jeziorem Windermere, dokąd zaprosiła go na suto zakrapiany obiad i zasypała pytaniami po to, aby „dodać nieco autentyczności” fabule swojej kolejnej książki *Augustus zostaje farmerem*.

Rok mijał niepostrzeżenie. Wczesny zbiór jabłek w Kent dał początek odzie do jesieni, która zawstydziłaby samego Keatsa („Jabłka, krągłe i rumiane, nietknięte jeszcze szorstkim palcem mrozu...”). Teddy, który nie był gotów wyrzec się ani poezji, ani rolnictwa, wsiadł w Dover na prom z grubym niezapisanym brulionem w torbie podróżnej. Zszedł na ląd na obcej francuskiej ziemi i ruszył bez zwłoki na południe, ku dojrzewającym winnicom, rozmyślając o „kielichu pełnym Hippokreny”²² Keatsa, chociaż Hippokrena leżała chyba w Grecji, a nie we Francji. Grecji nie wziął pod uwagę. Złajał się w myślach za to (jakże poważne) przeoczenie, wskutek którego w planie podróży nie uwzględnił kolebki cywilizacji. Po latach złajał się po raz kolejny za to, że nie uwzględnił także cudów Wenecji, Florencji ani Rzymu, w owym czasie nie ciągnęło go jednak wcale w głąb Europy. W 1936 roku kontynentem targały niepokoje i Teddy nie miał ochoty na własnej skórze doświadczać skutków przemian politycznych. W późniejszych latach często zadawał sobie pytanie, czy nie popełnił wtedy błędu. Czy nie powinien był stawić czoła narastającemu zagrożeniu? Pamiętał słowa Ursuli o tym, że czasami wystarczy jeden dobry człowiek,

aby zmienić historię świata. Co prawda nie przychodził im do głowy żaden konkretny przykład... „Może Budda? – podsunęła Ursula. – Nie jestem przekonana, że Chrystus istniał naprawdę”. „Istnieje aż nadto przykładów, że czasami wystarczy jeden zły człowiek” – zauważył ponuro Teddy.

Może wystarczy mu czasu, żeby odwiedzić Grecję? Bądź co bądź, jeśli chodzi o pobyt w Europie, sam sobie narzucił ramy czasowe („Może przez rok”).

Zanim dobiegło końca późne winobranie w Sauternes, Teddy był „spalony słońcem i krzepki niczym wieśniak”, o czym donosił Nancy w liście. Również jego francuski nabrał szorstkiej płynności wieśniaka. Po całodziennej pracy w winnicy umierał z głodu i łapczywie pożerał przygotowywane dla robotników wieczorne posiłki. Nocą rozbijał na polu swój stary namiot i po raz pierwszy od dzieciństwa spędzonego w Fox Corner zapadał w niebyt pozbawiony marzeń senny właściwy martwym albo niewinnym, sprzyjały temu wielkie ilości wina wypijane do kolacji. Czasami towarzyszyła mu kobieta, ale o tym nie zająknął się w żadnym liście.

Przez resztę życia wystarczyło mu zamknąć oczy, aby przywołać obrazy i woń spożywanych we Francji potraw. Z przyjemnością wspominał tłuste czosnkowe gulasze, skąpane w maśle liście karczochów, *oeufs en cocotte* – jajka zapiekane w wielkich pomidorach zwanych wołowymi sercami. Comber jagnięcy przybrany ząbkami czosnku i gałązkami rozmarynu, istne dzieło sztuki. Smaki pod każdym względem obce niewyrobnemu angielskiemu podniebieniu. Twarogi i sery o intensywnym aromacie; desery – *flaugnarde* z brzoskwiniami, wiśniowe *clafoutis*, *tarte aux noix* i *tarte aux pommes*, no i oczywiście *Far Breton*, rodzaj tarty z budyniem i śliwkami, którego smak do końca życia wspominał, lecz nigdy już nie miał okazji go

spróbować. „Śliwki i budyń?” – mruknęła z powątpiewaniem pani Glover, gdy Teddy po powrocie do domu snuł wspomnienia ze swoich wojaży.

Wkrótce po jego powrocie pani Glover odeszła z Fox Corner. Niewykluczone, że przesądziły o tym jego żądania, aby gotowała im regionalne francuskie dania. „Bądź poważny – ofuknęła go matka. – Pani Glover przeszła na emeryturę. Zamieszka ze swoją siostrą”.

Były też śniadania jadane przy wielkim stole w kuchni właściciela winnicy. Żadnej kleistej owsianki, jaką raczono ich w szkole z internatem, ani banalnych jajek na bekonie jak w Fox Corner. Zamiast tego rozcięta na pół świeżo upieczona bagietka, którą Teddy smarował półpłynnym camembertem, a następnie zanurzał w miseczce gorącej i mocnej kawy. Po powrocie do domu całkiem zapomniał, że tak też można witać dzień, i dopiero po latach, kiedy przeniósł się do mieszkania chronionego w Fanning Court, nagle go olśniło. Pobudzony do działania barwnym wspomnieniem zakupił w Tesco bagietkę („pieczoną na miejscu” – w porządku, ale z czego?) oraz niewielki krążek niedojrzałego camemberta i przelał poranną kawę ze zwykłego kubka do miseczki na płatki śniadaniowe, ale nic nie smakowało tak samo. Absolutnie nic.

Z nadejściem zimy ruszył dalej na południe – „Jak jaskółka”, napisał do Ursuli – dopóki nie zatrzymało go morze. W wiosce rybackiej, niezadeptanej na razie przez turystów, wynajął pokój nad jedyną kawiarnią. Codziennie zasiadał w tej kawiarni w marynarce i szaliku, które w zupełności chroniły go przed chłodem zimowej riviery. Palił gitane’y i popijał espresso z malutkich filiżanek z grubej porcelany, patrząc na rozłożony brulion. W porze lunchu zamawiał wino, do niego chleb i świeżo złowioną rybę pieczoną na drewnie, a sennym popołudniem pił aperitif. Powtarzał sobie, że doświadcza świata wszystkimi zmysłami, lecz w głębi

duszy podejrzewał, że po prostu ucieka od życia, w związku z czym odczuwał wyrzuty sumienia. (Bądź co bądź był Anglikiem).

Jeden z wieśniaków nazywał go dość czule *l'ecrivain anglaise*²³, jako że był pierwszym poetą, jaki przybył w te strony, choć akurat artystów mieli w tej części świata na kopy. Miejscowi byli pod wrażeniem jego znajomości potocznego języka i zaangażowania, z jakim podchodził do pisania. On sam cieszył się, że nie rozumieją jego wypocin; w przeciwnym razie ich podziw dla niego byłby zdecydowanie mniejszy.

Z czasem doszedł do wniosku, że musi mieć bardziej metodyczny stosunek do Sztuki (przez duże „S”, jak chciała Sylvie). Wiersze były konstruktami, a nie po prostu zapisem przypadkowych słów wypływających z jego umysłu. *Spostrzeżenia* – tak zatytułował brulion, którego strony wypełniały banalne zapiski: „Morze jest dzisiaj wyjątkowo błękitne – szafirowe? Lazurowe? W odcieniu ultramaryny?” albo: „Słońce skrzy się diamentowo na falach”, albo: „Nabrzeże przypomina przekładaniec wielobarwnych kwadratów i plasterków słonecznego światła”. (Z tego ostatniego był całkiem zadowolony). Albo: „*Madame la propriétaire*²⁴ znów dziś włożyła ten zabawny zielony żakiecik”. Zadawał sobie pytanie, czy to spostrzeżenie mogłoby się stać załączkiem jakiegoś wiersza. Myślał o polach lawendy i słoneczników, które widział w podróży, teraz już zaoranych, i przywoływał metafory „królewskich iglic” i „złotych dysków Heliosa obracających się w ślad za swoim bogiem”. Gdyby tylko był malarzem! Płótno zdawało się mniej wymagającą materią niż słowa. Van Gogh z pewnością nie namęczył się tak przy swoich *Słonecznikach*.

„Nad powracającymi z połowu kutrami krążą rozwrzeszczane mewy” – napisał z namaszczeniem, zapalając następnego gitane’a. Dzień się już nachylił, jak powiedziałby jego ojciec, i nadszedł czas na kieliszeczek pastisu (Hugh byłby zachwycony Francją). Teddy uważał się ostatnio za

walkonia, sybarytę. Miał dość zaoszczędzonych pieniędzy, aby spędzić zimę na Lazurowym Wybrzeżu, a potem udać się na północ i zobaczyć Paryż. „Nie można umrzeć, nie zobaczywszy Paryża” – stwierdziła Izzie. Jemu się udało.

Tuż przed Bożym Narodzeniem przyszedł telegram. Sylvie trafiła do szpitala. „Zapalenie płuc, stan zły, lepiej wracaj do domu” – napisał zwięźle ojciec. „Ma płuca po matce” – wyjaśnił synowi, gdy ten posłusznie przyjechał. Teddy nigdy nie poznał swojej babki, którą – jeśli wierzyć Sylvie – zabiły owe legendarne płuca. Sylvie zaskakująco szybko doszła do siebie i przed końcem roku wypisano ją do domu. Jej choroba nie była, jak się okazało, tak poważna, aby z jej powodu słać alarmujące telegramy. Teddy węszył rodzinny spisek, lecz Hugh odparł przepaszająco: „Pytała o ciebie”. Wyjechał po niego na stację i na jego widok rzucił z sympatią: „Wrócił nasz syn marnotrawny”.

Szczerze mówiąc, Teddy z ulgą porzucił pretensjonalne życie pretensjonalnego poety, a po rodzinnych świętach w Fox Corner ponowny wyjazd do Francji wydawał mu się nieco absurdalny. (Po co zresztą miałyby tam wracać? Żeby dalej się walkonić?). Kiedy więc ojciec znalazł mu posadę w banku, Teddy, chcąc nie chcąc, ją przyjął. Pierwszego dnia pracy szedł cichym, wyłożonym mahoniową boazerią korytarzem i czuł się jak więzień rozpoczynający wyrok dożywocia. Albo ptak z podciętymi skrzydłami na wieki przykuty do ziemi. Czy tak to właśnie miało wyglądać? Czy to możliwe, że jego życie właśnie się skończyło?

– Brawo, Ted – pochwalił go Hugh – wiedziałem, że w końcu się ustatkujesz.

Wybuch wojny Teddy powitał z prawdziwą ulgą.

– Dam pensa za twoje myśli – odezwała się Nancy, biorąc z koszyka z robótkami miarę krawiecką i przykładając ją do ramienia Teddy’ego.

– Nie warto – odparł i wrócił do tych nieszczęsnych przebiśniegów.

Słowo *drop*, w angielskim *snowdrop*, odnosi się, choć wielu mogłoby sądzić inaczej, nie do płatka śniegu, lecz do kolczyka. Łatwo można sobie wyobrazić delikatny kwiat przebiśniegu, drżący w uchu jakiejś elżbietańskiej piękności.

– Ściśle rzecz biorąc, kolczyk nie może chyba drzeć w uchu? – przerwała mu Nancy, odkładając druty na podolek i przyglądając się robótce ze zmarszczonymi brwiami. Na poparcie tych słów pociągnęła za płatki swoich uszu, aby zademonstrować mu tkwiące w nich nieruchomo perły. – Mógłby drzeć tylko wtedy, gdyby z ucha *zwisał*.

Dokładna aż do bólu. Byłby z niej doskonały sędzia Sądu Najwyższego. W dodatku wypowiadała swoje opinie tak, jakby nic nie znaczyły, najuprzejmiejszym tonem. „Nie masz dla mnie litości” – zauważyła ze śmiechem. Już wcześniej napomknęła mu, że jego teksty są odrobinę „bezbarwne”. „To tylko felietony – zaprotestował w myślach Teddy – a nie zaangażowana proza”. Nancy zawsze uważała, że ludzie powinni dawać z siebie wszystko, co mają najlepszego.

Gdy zamieszkali w Yorkshire, Teddy znalazł posadę w prowincjonalnym gimnazjum dla chłopców położonym w miasteczku słynącym niegdyś z przetwórstwa wełny, obecnie zaś podupadłym i szerniałym od sadzy. Po pierwszej lekcji, podczas której czytał *Romea i Julię* rozchichotanym trzynastolatkom – „Kobiety, jako najsłabsze, tulą się zawsze do muru” ²⁵ – wiedział, że popełnił błąd. Ujrzał swoją przyszłość jako ciąg następujących po sobie ponurych dni. Zobaczył siebie, spełniającego obowiązek utrzymania Nancy oraz ich jeszcze nienarodzonych dzieci; odpowiedzialność za nie już zaczynała go przytłaczać. Na koniec wyobraził sobie, jak rozczarowany życiem przechodzi wreszcie na emeryturę. Było to niczym powtórka z pracy w banku, w szkole wbito mu jednak do głowy, że

w każdej sytuacji należy zachowywać stoicyzm. Poza tym był lojalny jak pies i wiedział, że wytrwa w zawodzie nauczyciela bez względu na to, ile by musiał poświęcić.

– To za takich chłopców jak oni walczyłeś – przypomniała mu Ursula podczas swoich odwiedzin. – Za ich wolność. Okazali się tego warci?

– Absolutnie nie – odparł i oboje wybuchnęli śmiechem, był to bowiem wyświechtany komunał, który zdążył im szczerze obrzydnąć. Wiedzieli, że wolność to absolut, podobnie jak miłość, i nie można jej komuś wydzielać wedle kaprysu czy na podstawie zasług.

Nancy dla odmiany uwielbiała swoje zajęcie. Uczyła matematyki w gimnazjum dla dobrze wychowanych, bystrych dziewcząt w uroczej miejscowości uzdrowskiej. Czerpała radość z tego, że dzięki niej uczennice stawały się mądrzejsze i jeszcze lepiej wychowane, one zaś w zamian darzyły ją miłością. W podaniu o pracę skłamała, że jest niezamężna (mogła chociaż napisać, że jest wdową!), czym skutecznie wymazała Teddy'ego ze swojego dotychczasowego życia. Znów była panną Shawcross. „Szkoła nie przepada za zamężnymi nauczycielkami – wyjaśniła Teddy'emu. – Odchodzą, żeby rodzić dzieci, albo rozpraszają je mężowie i sprawy domowe”. Rozpraszają? Rzecz jasna, zgodnie z planem Nancy miała rzucić pracę, jak tylko pojawią się dzieci, kwestia ta pozostawała jednak w gestii bogów, tym zaś najwyraźniej się nie spieszyło.

Nancy zdawała sobie sprawę, jak bardzo jej mąż jest nieszczęśliwy na posadzie nauczyciela. Jedną z jej licznych zalet było przekonanie, że nie należy niepotrzebnie się dręczyć. (Zawsze go zadziwiało, jak wielu ludzi sądzi zupełnie inaczej). Zachęcała Teddy'ego, aby znów zaczął pisać, „tym razem jakąś powieść”. Znała jego młodzieńcze wiersze i jej opinia na ich temat była w zasadzie zgodna z opinią autora. „Powieść – powtarzała. –

Coś świeżego i nowego, co wyjaśni nam, kim jesteśmy i jacy być

powinniśmy. Powieść na miarę nowego świata”. Teddy’emu świat wcale nie wydawał się nowy, tylko stary i sterany (podobnie jak on sam). Nie był też przekonany, że to, co ewentualnie miałby do powiedzenia, zasługuje na spisanie. Nancy uparcie powtarzała, że wierzy w jego talent. „Przynajmniej spróbuj – prosiła. – Nie będziesz wiedział, co potrafisz, dopóki nie spróbujesz”.

Uległ więc jej namowom i wieczorami oraz w weekendy zasiadał przy małej maszynie do pisania marki Remington, którą wypatrzył w sklepie z używanymi rzeczami. „Koniec ze *Spostrzeżeniami* – postanowił. – Koniec z brulionami. Po prostu weź się do pisania”.

W pierwszej kolejności wymyślił tytuł swojego literackiego debiutu: *Cicha altana*, zaczerpnięty z *Endymiona* Keatsa:

Co piękne, cieszyć nigdy nie przestanie:

Zamiast w nicości zginąć oceanie

– Będzie piękniało jeszcze bardziej; stworzy

Cichą altanę, w której głowę złoży

Każdy, kto pragnie śnić słodko, spać zdrowo [26](#).

– Ależ on musiał marzyć o tym zdrowym śnie – westchnęła Ursula. – Może sądził, że wyobrażenie zdrowego snu sprawi, że to marzenie się ziści. – Jego siostra zawsze wyrażała się o Keatsie z takim smutkiem, jakby dopiero co umarł. Dziwny to był jednak tytuł i mało chwytliwy. „Może być – orzekła Nancy. – Przynajmniej na razie”. Wiedział, co sobie myśli. Uważała, że Teddy potrzebuje uzdrowienia, w czym miało mu pomóc pisanie. Podśluchał, jak w rozmowie z panią Shawcross użyła sformułowania „sztuka jako terapia”. Jego własna matka zaraz by to wydrwiła. Pierwszy wers *Endymiona* – „Co piękne, cieszyć nigdy nie

przestanie” – bardziej by się nadawał na credo Sylvie. Może właśnie tak powinien zatytułować swoją powieść?

Niestety, każda nowa postać i wprowadzany w bóлах wątek okazywały się nijakie albo banalne. Żyjący przed nim wielcy pisarze ustawili poprzeczkę tak wysoko, że w obliczu ich dokonań jego własne próby literackie wypadały żałośnie. Nie potrafił się zaangażować w sprawy wymyślonych przez siebie jednowymiarowych bohaterów. Jeżeli autor był bogiem, Teddy należał do tych ostatnich, zamieszkujących podnóża Olimpu. Doszedł do wniosku, że pisarzowi niezbędna jest pasja, on zaś nie dbał o nic aż tak, aby o tym pisać. „A wojna?” – spytała go Nancy. „Wojna?” – powtórzył w myślach, w głębi ducha zdziwiony jej przekonaniem, że coś, co było taką potwornością, jednym ruchem pióra można zmienić w fikcję. – W takim razie pisz o życiu – doradziła mu. – O swoim życiu. Niech to będzie *bildungsroman*.

– Wolę chyba *przeżyć* własne życie – odrzekł Teddy – niż zmieniać je w literaturę. – O czym zresztą miałby pisać, u licha? Gdyby zapomnieć o wojnie (dobrze wiedział, że to niemożliwe), w jego życiu nie wydarzyło się właściwie nic interesującego. Dzieciństwo w Fox Corner, krótki, samotny i w zasadzie pozbawiony sensu epizod, w którym odgrywał rolę wędrownego poety rolnika, wreszcie rutyna małżeńskiego życia: ogień w kominku, kakao albo ovaltina przed snem, drobna, zadowolona z siebie Nancy opatulona w grube swetry dla ochrony przed zimnem. Broń Boże, nie narzekał; wiedział, że powinien być wdzięczny losowi za to, co ma. Tylu znanych mu ludzi nie miało nic.

– „Doradź-że także, jakim bym sposobem mógł przestać myśleć” ²⁷ – przeczytał drewnianym głosem chłopiec, którego imienia i nazwiska Teddy nie był w stanie zapamiętać. Rozległ się dzwonek, na co cała klasa poderwała się z miejsc niczym stadko wróbli i po przepychankach

w drzwiach wypadła na korytarz, zanim jej na to pozwolił. („Utrzymywanie dyscypliny nie jest, jak widzę, pańską najmocniejszą stroną – zauważył zawiedziony dyrektor. – Sądziłem, że jako były pilot RAF-u...”).

Teddy został sam przy biurku. Rozejrzał się po obskurnej klasie przesyconej wonią gumy arabskiej i niemytych karków, czekając, aż ponownie zapełni się ona drugoklasistami, z którymi miał lekcję angielskiego. Poranne słońce sączyło się przez szyby, w jego promieniach wirowały w powietrzu kurz i kredowy pył. Na zewnątrz, za murami, toczyło się życie.

Teddy wstał gwałtownie i wypadł z klasy. Przeciskał się ku wyjściu przez gąszcz ściągających opieszale na lekcję jedenastolatków. „Proszę pana?” – wyrwało się jednemu z nich, zaniepokojonemu tak jawną rejteradą nauczyciela z posterunku.

Był na wagarach, nieobecny i nieusprawiedliwiony. Jechał do domu bocznymi drogami i rozmyślał, gdzie się zatrzymać na dłuższy spacer. Potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć. Groziło mu, że zostanie wagabundą, człowiekiem, który nigdzie nie zagrzewa miejsca. Jego bracia świetnie sobie poradzili. Jimmy „trzepał kasę”, wiódł w Ameryce życie szybkie i ekstrawaganckie. Maurice zaś został szyczą w Whitehall, podporą praworzędności. Teddy nie potrafił być nawet wiejskim nauczycielem. Podczas wojny przysięgał sobie, że jeśli przeżyje, nigdy nie będzie narzekał na rutynę. Wszystko wskazywało na to, że nie dotrzyma przysięgi. Zastanawiał się, czy coś jest z nim nie w porządku.

Ocalił go kierowca, którego auto rozkraczyło się na poboczu drogi. Teddy zatrzymał swojego land rovera, wysiadł i zapytał, czy może w czymś pomóc. Maską wiekowego humbera pullmana była uniesiona, a w silnik beznadziejnym wzrokiem laika wpatrywał się jakiś mężczyzna, jakby liczył, że samą siłą woli przywróci auto do życia. „Ach, prawdziwy

dżentelmen jezni! – zawołał, uchylając przed Teddym kapelusza. – To cholerstwo jest już ździebko zużyte – dodał. – Tak jak ja. Bill Morrison” – przedstawił się i wyciągnął dłoń wielką niczym bochen.

Podczas gdy Teddy manipulował przy prądnicy, gawędzili o porastających pobocze drogi świeżo rozkwitłych krzewach głogu. „Umajonych”, powiedział Bill Morrison. Dodał, że na ten widok „serce mu się raduje”. Później Teddy nie mógł sobie przypomnieć wszystkich szczegółów tej rozmowy, która zahaczała o takie tematy jak miejsce głogu w angielskim folklorze – Święty Głóg z Glastonbury i tak dalej – czy Majowa Królowa oraz drzewko majowe. Powiedział Morrisonowi, że dla Celtów krzew głogu wyznaczał przejście wiodące do innego świata, Rzymianie natomiast nosili jego gałązki w orszakach weselnych.

– Od razu widać uniwersyteckie wykształcenie – stwierdził Bill Morrison, raczej z podziwem niż z przekąsem, choć może z lekką domieszką tego ostatniego. – Nie próbował pan nigdy pisać?

– No cóż... – odparł powściągliwie Teddy.

* * *

– Dasz się zaprosić na lunch, drogi chłopcze? Ja stawiam – zaproponował Bill Morrison, gdy silnik humbera w końcu zakaszłał i ożył. W ten oto sposób Teddy znalazł się w dwuosobowej ekipie zmierzającej do hotelu w Skipton na suto zakrapiany lunch (w roli głównej: pieczeń wołowa), podczas którego Bill Morrison przepytął go dokładnie z całego dotychczasowego życia.

Nowy znajomy okazał się dość bezpośrednim człowiekiem o niezdrowej cerze, który swoje pierwsze kroki stawiał w redakcji „Yorkshire Post”, obecnie zaś był szczerym, staroświeckim członkiem Partii Konserwatywnej. „Dobrotliwym, lecz o nieprzeciętnym intelekcie” – opisał

go wieczorem Nancy. Jego Bóg był solidnym anglikaninem, rodowitym mieszkańcem Yorkshire, który zapewne reprezentował swoje hrabstwo w rozgrywkach krykieta, kiedy akurat nie ustanawiał przykazań na szczycie góry Synaj. W miarę upływu czasu Teddy lepiej poznał szczodre serce Billa i jego szorstką życzliwość. Billowi podobało się, że Teddy jest żonaty („To naturalny stan dla mężczyzny”) i wyciągał go na wojenne zwierzenia. Sam nazywał siebie „ocalałym z nad Sommy”.

Był redaktorem naczelnym „Recordera”. Minęło zaskakująco dużo czasu, zanim Teddy się zorientował, że Bill jest także właścicielem gazety. „Wiesz o tym, prawda, Ted?”.

– Oczywiście – przytaknął grzecznie. Czy naprawdę wiedział? Jak przez mgłę pamiętał poczekalnię u dentysty i czasopismo, które na chwilę odwróciło jego uwagę od nieuniknionej ekstrakcji zepsutego zęba; w obozie jenieckim opieka stomatologiczna nie stała na najwyższym poziomie.

– Bo tak się składa, że szukam kogoś, kto poprowadziłby rubrykę „Szkice z natury” – ciągnął Bill Morrison. – Parę słów co miesiąc. Nie zarobisz tym na chleb, o bekonie nie wspominając, nawet gdyby jakimś cudem udało ci się go zdobyć. Facet, który wcześniej pisał te felietony, podpisywał się pseudonimem „Agrestis”, po łacinie. Wiesz, co to znaczy?

– Wieśniak, chłop.

– W rzeczy samej.

– Co się z nim stało? – zapytał Teddy, przetrawiając niespodziewaną propozycję.

– Starość go dopadła. Był z niego gospodarz w dawnym dobrym stylu. Kawał uciążliwego drania – dodał czule.

Teddy nieśmiało napomknął o własnych doświadczeniach w pracy na roli – owcach z Northumberland i jabłkach z Kent, o swoim umiłowaniu pagórków, dolin i jezior. O radości płynącej z oglądania żołędzi

w śmiesznych czapeczkach i rozłożystych liści paproci czy z podziwiania upierzenia jastrzębia. O transcendentnym pięknie ptasich chórów o świcie w lesie usianym angielskimi dzwonkami. Pomiął przy tym Francję z jej „wielobarwnymi kwadratami i plasterkami słonecznego światła”; nie sądził, aby takie opisy przypadły do gustu człowiekowi, który walczył nad Sommą.

Bill Morrison wystawił mu ocenę pozytywną, mimo że Teddy pochodził z południa kraju.

– Było dwóch ludzi – rzekł, napoczynając kawałek stiltona. Musiała upłynąć chwila, zanim Teddy pojął, że to pełen namaszczenia wstęp do jakiejś anegdoty. – Jeden pochodził z Yorkshire, hrabstwa samego Pana Boga, drugi był nietutejszy. Ten spoza Yorkshire oznajmił drugiemu: –

(W tym miejscu Teddy zaczął się trochę gubić) – „Spotkałem ostatnio Yorkshireczyka”. Ten z Yorkshire pyta go: „Skąd wiedziałeś, że pochodził z Yorkshire?”, więc tamten spoza Yorkshire – (Teddy powoli tracił chęć do życia) – mówi: „Poznałem po akcencie”, na co Yorkshireczyk: „E, chłopie, jakby on był z Yorkshire, byłaby to pierwsza rzecz, o jakiej by ci powiedział”.

– Spróbuj to opowiedzieć gościom na Boże Narodzenie – podsunęła Nancy, gdy wieczorem Teddy usiłował jej powtórzyć tę anegdotę – po tym, jak już się dotoczył do domu nieco zamroczony alkoholem. („Ależ mój drogi, cuchniesz piwem! Bardzo mi się to podoba”). – Czyli dostałeś nową pracę? W gazecie?

– Nie w gazecie – odparł Teddy. – I to nie jest prawdziwa praca – dodał. – Raptem parę szylingów miesięcznie.

– A co ze szkołą? Nadal będziesz uczył?

„Szkoła” – pomyślał Teddy. Dzisiejszy poranek należał do przeszłości. („Doradź-że także, jakim bym sposobem mógł przestać myśleć”). Wyznał

Nancy, że poszedł na wagary.

– Moje ty biedactwo! – roześmiała się. – Coś mi mówi, że to dopiero początek. Czuję to w kościach.

I rzeczywiście. Nadszedł październik z jesiennymi liśćmi, grzybami, kasztanami i babim latem. W listopadzie „Matka Natura opatulą swoje dziatki” przed nadchodzącą zimą, a w grudniu siłą rzeczy tematami przewodnimi były ostrokrzew oraz rudziki. „Napisz coś podnoszącego na duchu” – polecił mu Bill, więc Teddy przytoczył legendę o tym, skąd na piersi rudzika wzięły się rude piórka.

Felietony były przeciętne, ale Billowi to nie przeszkadzało, bo nie szukał erudyty.

Tuż przed świętami zjedli we dwóch kolejny suto zakrapiany lunch i Teddy otrzymał propozycję objęcia posady „wędrownego reportera”. Jego poprzednik na tym stanowisku zginął na wojnie. „Konwoje arktyczne” – wyjaśnił zwięźle Bill i dodał, że sam wkrótce kopnie w kalendarz, jeśli dalej będzie zasuwał za dwóch.

– Jesteś teraz szczęśliwy? – spytała Nancy, gdy przyozdabiali dom przyniesionymi z lasu gałązkami ostrokrzewu i jemioly.

– Tak – odrzekł Teddy, poprzedziwszy odpowiedź głębszym namysłem, niż na to zasługiwała.

Przeklęte przebiśniegi.

Niektórzy są zdania, że zrywanie tych dzielnych małych zwiastunów wiosny przynosi pecha, i nie zabierają ich do domu. Być może wynika to z faktu, że często są nimi porośnięte przykościelne cmentarze.

W Fox Corner Sylvie zawsze zrywała pierwsze przebiśniegi. Szkoda, bo zaraz wędły i usychały.

Biel przebiśniegu i symbolizowana przez nią niepokalana czystość od dawna przydają temu skromnemu kwiatuśkowi niewinności (kto dziś jeszcze pamięta dziewiętnastowieczną kampanię „Przebiśnieg”, która miała zachęcać młode robotnice do zachowywania cnoty?).

Według pewnej niemieckiej legendy...

- Och, na miłość boską – jęknęła pod nosem Nancy.
- Co?
- Opuściłam oczko. Czytaj dalej.

...kiedy Bóg stwarzał wszystko na Ziemi, nakazał śniegowi, aby ten poprosił jakiś kwiat o odrobinę jego koloru. Wszystkie poza dobrym przebiśniegiem odmówiły, dlatego w nagrodę to on jest pierwszym wiosennym kwiatem.

Muzyka ma zdolność leczenia duszy. Niemcy nie są już naszym wrogiem, warto więc sięgać do ich bogatego skarbcza mitów, legend i baśni, że nie wspomnę o spuściźnie kulturalnej, dziełach Mozarta...

- Mozart był Austriakiem.
- Rzeczywiście – zreflektował się Teddy. – Nie wiem, jak mogłem o tym zapomnieć. A zatem Beethovena, Brahmsa, Bacha, Schuberta... Schubert był chyba Niemcem?
- Nie, to także Austriak.
- A Haydn? – zaryzykował.
- Tak samo.
- Sporo ich, prawda? A więc: „...o spuściźnie kulturalnej, dziełach Bacha, Brahmsa, Beethovena...”.

Nancy w milczeniu potakiwała, niczym nauczycielka aprobująca nanoszone przez ucznia poprawki. Chociaż równie dobrze mogła po prostu liczyć oczka.

- „Z nich wszystkich Beethoven jest...”.
- Za bardzo odbiegasz od przebiśniegów. Po co tyle o tych Niemcach?
- Bo przytoczyłem niemiecką legendę – wyjaśnił Teddy.
- Brzmi to trochę tak, jakbyś im wybaczał. Mam rację? Wybaczyłeś im?

Czy im wybaczył? Teoretycznie może tak, ale nie w głębi serca, tam, gdzie kryje się prawda. Pomyślał o wszystkich znanych sobie ludziach, którzy zginęli. Zastępy umarłych były nieprzebrane, podobnie jak aniołów i demonów.

Upłynęły trzy lata, odkąd skończyła się jego własna wojna. Ostatni rok spędził jako *hors de combat*²⁸ w obozie jenieckim w pobliżu polskiej granicy. Katapultował się ze spadochronem z płonącego samolotu nad terytorium Niemiec, złamał nogę w kostce i wpadł w ręce wroga. Jego maszyna została namierzona i trafiona ogniem artylerii przeciwlotniczej w trakcie jednego z tych koszmarnych nalotów na Norymbergę. Nie wiedział tego wówczas, lecz była to najgorsza noc dla Dowództwa Bombowego RAF-u – dziewięćdziesiąt sześć zestrzelonych samolotów, pięćset czterdziestu pięciu zabitych, więcej niż w czasie całej bitwy o Anglię. Zanim dotarł do domu, wiadomości te zdążyły się zestarzeć, a o Norymberdze nikt już nie pamiętał. „Byłeś bardzo odważny” – powiedziała do niego Nancy pobłażliwym tonem (przynajmniej tak to odebrał), jakby stawiała mu piątkę z plusem.

Obecnie wojna stanowiła dla niego zlepek przypadkowych prześladowających go we śnie obrazów: Alpy w świetle księżyca, tnąca powietrze łopata śmigła, czyjaś blada twarz w wodzie. „Niech los wam sprzyja”. Czasami czuł duszącą woń bzów, kiedy indziej słyszał słodką taneczną melodię. Za każdym razem koszmar kończył się tak samo jak jego ostatni lot: wokół płomienie, on zaś mknie ku ziemi jak kamień, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła. Większość ludzi budzi się z koszmarów, zanim nastąpi najgorsze, tuż przed upadkiem. Teddy jednak męczył się, dopóki nie poczuł na swoim ramieniu kojącego dotyku Nancy i nie usłyszał jej uspokajającego szeptu. Potem zwykle długo leżał ze wzrokiem wbitym

w mrok, zastanawiając się, co by się stało, gdyby którejś nocy go nie obudziła.

Podczas wojny oswoił śmierć, lecz nagle wojna się skończyła i nastał nowy dzień. A potem jeszcze jeden i następny. Jakaś część Teddy'ego nigdy nie przywykła do myśli, że ma przed sobą przyszłość.

– Beethoven – powtórzył z uporem. Trudno odpowiedzialnością za wojnę obarczać Beethovena. Powróciło wspomnienie jego i Ursuli w Royal Albert Hall. Kiedy to mogło być? W czterdziestym trzecim? Słuchali *IX symfonii* Beethovena, konkretnie *Chorału*. Ursula aż wibrowała od emocji niesionych muzyką. Teddy też czuł tę przepotężną siłę wykraczającą poza rytm błahych, codziennych spraw. Otrząsnął się jak mokry pies.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

– Tak. – Chcę się po prostu uwolnić od wojny, od całego tego koszmaru i przytłaczającego smutku. Nie potrafiłby tego przekazać żadnymi słowami.

– I wiesz co? – podjęła Nancy jak zwykle beztroska. – Wydaje mi się, że czytelnicy „Szkiców z natury” Agrestisa mogą nie mieć ochoty, aby im przypomniano o wojnie. Wręcz przeciwnie, myślę, że woleliby raczej o niej zapomnieć.

– Zrobić ci kakao? – zaproponował, żeby zmienić temat. – Może wolałabyś owałtinę?

– Poproszę owałtinę.

– Popsujesz sobie wzrok – mruknął, wlewając na wpół zamrożone mleko do rondelka, który następnie postawił na podstawce na ogniu.

– Już kończę – odparła i sprawnie nawinęła wełnę na kolorowe motki.

Mleko podniosło się gwałtownie, lecz Teddy poderwał ronderek do góry, zanim wykopiało. Rozgrzana od ognia twarz przypomniła mu o oparzelinie na szyi. Na szczęście tylko lekko wystawała ponad kołnierzyk – błyszcząca, pomarszczona, różowa skóra, symbol blizn w mniej widocznych miejscach.

– Podpułkownikowi Todd – powiedziała Nancy – chyba już czas do łóżka.

Ilekczo używała w rozmowie jego stopnia wojskowego, wyczuwał w jej głosie delikatną ironię, zupełnie jakby niesłusznie rościł sobie do niego pretensje. Nie wiedział, z czego to wynika, ale za każdym razem odruchowo kulił się w środku.

Udali się razem do Ultima Thule, jak nazywali lodownię na poddaszu pełniącą funkcję sypialni. Teddy, drżąc z zimna, zrzucił ubranie i wskoczył do łóżka, jakby nurkował w odmętach Morza Północnego.

Po pierwszym szoku wywołanym wyziębioną pościelą i mroźnym powietrzem w pokoju wkrótce nawzajem się rozgrzali. W tych warunkach miłość przypominała raczej energiczne zapasy niż romantyczne zbliżenie. („Przy mężu nigdy się nie marznie – pisała do Nancy jej siostra Millie z suchej i upalnej Arizony. – Zwłaszcza jeśli jest taki przystojny jak twój!”).

Na zewnątrz rozpętała się śnieżycy. Mieli wrażenie, jakby ktoś ciskał w okna śnieżkami. Byli nowymi Adamem i Ewą, skazanymi na wieczną zimę.

Nancy pocałowała go w policzek, mówiąc: „Dobranoc, najdroższy”, ale Teddy już spał.

Zdmuchnęła więc stojącą przy łóżku świecę i czuwała, aby zbudzić męża, jak tylko zaczną się koszmary.

„Musimy mieć dziecko” – pomyślała. Dziecko uleczy Teddy’ego, uleczy cały świat.

1939

Wojna Teddy'ego

Niewinność

Nie wysłuchał posępnego oświadczenia radiowego Chamberlaina, wolał się wybrać na spacer polną drogą z Harrym, starym psem Shawcrossów. Ściśle rzecz ujmując, na powolną przechadzkę, bo tylko na to było ostatnimi czasy stać dotkniętego reumatyzmem golden retrievera. Oczy zamglone bielmem katarakty, potężne niegdyś ciało wychudzone, sama skóra i kości. Do tego był głuchy jak nie przymierzając major Shawcross. Obydwaj – człowiek i pies – przesypiali zgodnie długie letnie popołudnia 1939 roku, uwięzieni w świecie ciszy: major Shawcross w swoim starym wiklinowym fotelu, Harry rozplaszczony na trawniku u jego stóp.

– Serce mi pęka, kiedy widzę go w takim stanie – wyznała Nancy. Miała na myśli Harry'ego, choć podobne uczucia budził w niej rodzony ojciec. Teddy dobrze rozumiał to szczególne wzruszenie na myśl, że pies, którego się zna od szczeniaka, zbliża się do kresu życia. – To przecucie śmiertelności, o którym nie pisał Wordsworth – stwierdziła Ursula. – Jaka szkoda, że psy nie żyją dłużej! Tyle ich już opłakiwaliśmy.

Dziewczęta Shawcrossów były ogromnie przywiązane do swojego „drogiego papy”. Uczucie to major Shawcross więcej niż odwzajemniał. Oczywiście Hugh również był blisko związany z Pamelą i Ursulą, mimo to Teddy nie mógł się nadziwić, jak otwarcie major okazywał swoim córkom miłość. Całował je, przytulał, nazywał „swoimi dziewczynkami” i często na sam ich widok wzruszał się do łez. („Wszystko przez Wielką Wojnę –

mawiała pani Shawcross. – Całkiem go odmieniła”). Hugh skłaniał się raczej ku powściągliwości, wojna ugruntowała tę postawę. Czy majorowi zdarzało się czasami żałować, że los nie obdarzył go synem? Zapewne tak; czyż nie o tym marzą wszyscy mężczyźni? Czy Teddy także o tym marzył?

Zamierzał oświadczyć się Nancy, może nawet dzisiaj, w tak historycznym dniu, aby po latach mogła powiedzieć dzieciom (nie wątpił, że będą je mieli): „Wiedzie, wasz ojciec oświadczył mi się w dniu wypowiedzenia wojny!”. Miał wrażenie, że czeka bardzo długo, możliwe, że zbyt długo. Najpierw Nancy robiła dyplom z matematyki w Newnham, teraz kończyła doktorat. Temat jej pracy miał coś wspólnego z liczbami naturalnymi, które Teddy’emu nie wydawały się wcale takie naturalne. Tym bardziej nie chciał czekać z oświadczyniami do zakończenia wojny – kto wie, ile mogła potrwać?

Obecnie liczył sobie dwadzieścia pięć lat i zdaniem matki był właściwie za stary na małżeństwo. Sylvie niecierpliwie wyczekiwała wnucząt. Zdawała się zapominać o tych, którymi już obdarzyli ją Pamela – „trzech chłopaczków i nie koniec na tym” – oraz Maurice, który miał parkę. „Nieszczęścia chodzą parami” – żartowała Ursula. Teddy nie znał zbyt dobrze potomstwa swojego starszego brata, lecz Sylvie opisywała je jednym słowem: „nudziarze”.

Ślub z Nancy wydawał się nieunikniony. Dlaczego *nie mieliby* się pobrać? „Od dziecka są sobie przeznaczeni” – wzdychała pani Shawcross, wzruszona tą romantyczną wizją. Matka Teddy’ego była bardziej odporna na wzruszenia.

Lecz podobnie jak wszyscy nawet ona zakładała, że się pobiorą, chociaż uważała, że Nancy jest „za mądra” na małżeństwo. („Po ślubie człowiek tak strasznie głupieje”).

– Zresztą jak nie Nancy, to kto? – zastanawiał się głośno Teddy w rozmowie z Ursulą. – To bez porównania najlepsza osoba, jaką znam. I najmiłsza.

– A ty ją *kochasz*. I wiesz, że *my* ją kochamy.

– Oczywiście, że ją kocham – odparł. (Czy to w ogóle było pytanie?). Czy wiedział, czym jest miłość? Miłość do ojca, siostry, nawet do psa – owszem, ale miłość małżeńska? Dwoje ludzi nierozzerwalnie ze sobą związanych. Albo skutyh jednym łańcuchem. („W tym rzecz – przytaknęła Sylvie. – Chodzi o to, żebyśmy nie miały za dużo swobody”).

Pomyślał o Adamie i Ewie, o Sylvie i Hugh. Ani jedni, ani drudzy nie wydawali się najlepszym przykładem udanego związku. „A rodzice Nancy? – podsunęła Ursula. – Czy to nie dobry przykład? Państwo Shawcross są bardzo szczęśliwi, przynajmniej na takich wyglądają”. Jednak pozory to nie to samo co rzeczywistość. Kto wie, jakie sekrety skrywa każde małżeństwo?

Teddy pokochał Nancy, gdy oboje byli jeszcze bardzo młodzi, ale to było coś całkiem innego, czystego i po dziecięcemu niewinnego. „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno” [29](#).

– Zastanów się może raczej – powiedziała Ursula – jak byś się czuł, gdybyś się z nią *nie ożenił*. – No więc tak, oczywiście ożeni się z Nancy. A potem zamieszkają na jakimś uroczym przedmieściu i w stosownym czasie zostaną rodzicami. Teddy będzie się pisał po szczeblach kariery w banku, aż pewnego dnia tak jak ojciec zasłuży na szacunek pozostałych pracowników. A może nie.

Małżeństwo groziło nie tylko stępieniem bystrego umysłu jego żony. Przyszłość jawiła się Teddy’emu niczym klatka – jej ściany zaciskały się wokół niego. Czyż samo życie nie było wielką pułapką, której rozwarte szczęki tylko czekają, by się zatrzasnąć? Nie powinien był w ogóle wracać

z Francji. Trzeba było porzucić tamtą gnuśność, przestać zgrywać poetę, odkryć w sobie awanturniczą żyłkę i wyruszyć na wschód, na same krańce Imperium, na przykład do Australii. Zamieszkać w surowych ostępach, gdzie wciąż można było kształtować siebie samego, zamiast być kształtowanym przez innych. Za późno: klamka zapadła. O przyszłym życiu Teddy'ego nie miała decydować geografia, pokierowały nim nieubłagane koleje wojny.

Dotarli z Harrym do pastwiska. Teddy wyrwał z żywopłotu kilka długich źdźbeł trawy i zawołał: „Naści mućka!”, lecz krowy pozostały doskonale obojętne. Ledwo zaszczyliły go spojrzeniem. Zapalił papierosa i oparł się o bramę, żeby go wypalić. Harry zwałił się niezgrabnie na ziemię, dysząc ze zmęczenia. Jego wychudzone boki unosiły się i zapadały. „Biedaczysko” – pożałował psa Teddy. Nachylił się i podrapał staruszka za miękkim uchem. Pomyślał o Hugh. W banku ich ścieżki nigdy się nie przecinały, ale od czasu do czasu ojciec zapraszał go na lunch do swojego klubu przy Pall Mall. Solidny świat finansów bardzo mu odpowiadał, podczas gdy dla Teddy'ego stanowił synonim przeraźliwej nudy, a niekiedy stawał się przyczyną autentycznej rozpacz.

Rzecz jasna, ojciec miał wkrótce przejść na emeryturę, krzątać się wokół domu, przysypiać w ogrodzie albo w gabinecie nad *Wisdena almanachem krykieta* i działać na nerwy Sylvie. Tak go zresztą znaleziono nieco ponad rok później: na leżaku przed domem, z otwartą „biblią krykieta” na kolanach. Śpiącego wiecznym snem. Nawet niekłopotliwą śmiercią zdołał zirytować Sylvie. „Tak mi się wymknął bez słowa!” – utyskiwała, jakby Hugh był jej winien coś więcej. I może istotnie był.

„Tatuś nigdy nie lubił robić zamieszania” – napisała Ursula do przebywającego w Kanadzie Teddy'ego na cienkim, błękitnym papierze. Atrament rozmazał się w miejscu, gdzie kapnęła łza.

Teddy zgniótł podeszwą niedopałek i powiedział: „Chodź, Harry, bo się spóźnimy na obiad”. Pies nie zareagował. Nie drgnął nawet, gdy Teddy szturchnął go delikatnie. Musiał całkiem opaść z sił. Był chudy jak szczapa, lecz wciąż sporo ważył i Teddy obawiał się, że nie da rady taszczyć go taki kawał drogi, choć przypuszczał, że może nie mieć innego wyjścia. Jak mus to mus. Szczęśliwie Harry dźwignął się heroicznie na cztery łapy i powolutku ruszyli z powrotem do Jackdaws.

– Lepiej się nie zbliżaj! – zawołała na jego widok pani Shawcross przez otwarte na oścież kuchenne drzwi i zamachała ścierką, jakby Teddy był muchą.

Nancy, która wróciła do domu na letnie wakacje, leżała w łóżku złożona przez – jak się okazało – krztusiec („W moim wieku!”). Pielęgnowająca ją wytrwale pani Shawcross wiedziała, że Teddy’ego również ominęła ta choroba wieku dziecięcego. – Nie możesz się teraz zarazić – dodała. – Dorośli niezwykle ciężko ją przechodzą.

– Nie zbliżaj się do tej dziewczyny – przestrzegła go Sylvie, słysząc, że Teddy zaofiarował się wyprowadzać Harry’ego (w Fox Corner chwilowo nie było żadnego psa). „Za późno” – pomyślał.

Zamierzał oświadczyć się „tej dziewczynie”, choć może jednak nie dzisiaj. – Źle się czuje – poinformowała go pani Shawcross. – Oczywiście przekażę jej pozdrowienia od ciebie.

– Bardzo proszę.

Z kuchni Shawcrossów dochodziły zmieszane zapachy niedzielnego lunchu. Pani Shawcross, z włosami ściągniętymi w niechlujny kok, była zaczerwieniona i mocno zdenerwowana. Teddy wiedział z doświadczenia, że przygotowywanie niedzielnego lunchu wpływa w ten sposób na kobiety. Podobnie jak Fox Corner Jackdaws straciło niedawno kucharkę, a w kwestiach kulinarnych pani Shawcross radziła sobie chyba jeszcze

gorzej niż Sylvie i do tego była wegetarianką. Teddy nie zauważył nigdzie majora Shawcrossa. Ciekawe, co też zje pani Shawcross, gdy major zacznie się raczyć swoją wołowiną. Może jajko?

– Wielkie nieba, tylko nie to! – zaprotestowała, gdy Teddy wyraził na głos swoje wątpliwości. – Na samą myśl o jajkach dostaję mdłości.

Na stole kuchennym zobaczył otwartą butelkę madery i mały kieliszek w połowie wypełniony brunatnym płynem. „Wojna” – powiedziała pani Shawcross i jej oczy napełniły się łzami. Zapomniawszy o ryzyku infekcji, przyciągnęła do siebie Teddy’ego i zamknęła go w ciepłym, odrobinę wilgotnym uścisku. Pachniała alkoholem i mydłem smołowym – rzadko spotykane, dość niepokojące połączenie. Była duża, miękka i jak zawsze odrobinę smutna. Sylvie irytowały występki tego świata, lecz pani Shawcross cierpliwie dźwigała ich brzemię na swoich barkach niczym kochająca matka dźwigająca odpowiedzialność za występki dziecka. Teddy przypuszczał, że wojna zwali na nią nowe ciężary.

Pani Shawcross przyłożyła dłoń do skroni i jęknęła: – Czuję, że zbliża się kolejna migrena. – Westchnęła i dodała: – Jakie to szczęście, że mamy same córki. Neville nie zniósłby myśli, że musi posłać syna na front.

Tymczasem pałeczki krztuśca namnażały się w organizmie Teddy’ego. Pani Shawcross nie wiedziała, że tydzień wcześniej Nancy odwiedziła go w Londynie, zmyliwszy czujność gospodyni, przekradła się do jego pokoju i została na noc. Leżeli ściśnięci w jego wąskim łóżku, wiekowe sprężyny okropnie skrzypiały, a oni dławili się ze śmiechu. W tych sprawach oboje wciąż byli nowicjuszami. Żółtodziobami, jak zauważyła radośnie Nancy. Łączyła ich namiętność stonowana i pełna wyrozumiałości. (Można się zatem upierać, że nie zasługiwała na miano namiętności). Teddy nie był zupełnie niedoświadczony. Miał w Oksfordzie jedną czy dwie dziewczyny, to samo we Francji. Jednak seks z nimi przypominał czynność

fizjologiczną, pozostawiał po sobie niedosyt i zażenowanie. Sam akt seksualny nie był może czymś z gruntu zwierzęcym, z pewnością jednak miał w sobie coś prymitywnego. Teddy był wdzięczny Nancy za to, że udomowiła seks – dzikie pożądanie i szalone romanse najlepiej sprawdzały się w powieściach. Podejrzewał, że pod tym względem jest nieodrodnym synem swojego ojca. Wojna to zmieniła, tak jak zmieniła wszystko, i zaznajomiła go z mniej cywilizowanymi formami obcowania z płcią przeciwną. Niemniej jednak nigdy nie czuł się swobodnie, gdy przychodziło mu rozmawiać o seksie. Nie wiedział, czy to pruderia, czy powściągliwość. Jego córka miała w tym względzie bardzo bogate słownictwo. Viola bzykała się, pieprzyła, a nawet pierdoliła i nigdy nie omieszkała się tym pochwalić. Teddy poczuł ulgę, gdy po skończeniu pięćdziesięciu pięciu lat oznajmiła mu, że od tego momentu zamierza żyć w celibacie.

Jego kwatery znajdowała się nieopodal Muzeum Brytyjskiego. Prawdę powiedziawszy, była to zwykła nora, ale lubił swój pokój i nie zwracał uwagi na gospodynię, która napędziłaby stracha samemu Czyngis-CHANOWI. Nie mógł przypuszczać, że owa noc spędzona ukradkiem z Nancy okaże się – z powodu wojny i nieubłaganych kolei losu – jedną z nielicznych okazji do bycia blisko, zanim ucichnie bitewny zgiełk.

– Jak się miewa biedna Nancy? – zagadnął Hugh.

– Jakoś się trzyma – odparł Teddy. – Nie widziałem jej. Czyli mamy wojnę?

– Obawiam się, że tak. Chodźmy do mojej pustelni, Ted. Napijemy się. – „Pustelnia” była gabinetem Hugh, jego azylem, dokąd wchodziło się tylko za zaproszeniem. – Pospieszmy się – dodał – zanim zobaczy cię twoja matka. Przypuszczam, że wpadnie w histerię. Źle to przyjęła, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, na co się zanosi.

Teddy sam nie wiedział, dlaczego nie chciał wysłuchać oświadczenia o wypowiedzeniu wojny. Może dlatego, że spacer z psem w słoneczne niedzielne przedpołudnie wydawał mu się atrakcyjniejszy.

Hugh nalał dwie szklaneczki słodowej whisky z ciężkiej kryształowej karafki, którą trzymał w pustelni. Stuknęli się i ojciec rzekł: – Za pokój. –

Teddy spodziewał się, że powie: „Za zwycięstwo”. – Jak myślisz, co teraz zrobisz? – zapytał nagle syna.

– Nie wiem. – Teddy wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie się zaciągnę.

Ojciec zmarszczył brwi. – Byle nie do wojsk lądowych. – Twarz pociemniała mu na wspomnienie niewyobrażalnego koszmaru życia w okopach.

– Myślałem o lotnictwie – powiedział Teddy. Aż do tej chwili wcale o tym nie myślał, lecz właśnie pojął, że drzwi klatki się uchylają, a kraty zaczynają kruszeć i pękać. Oto nadarzała się wymarzona sposobność do zrzućenia okowów bankowości! Do uwolnienia się – a jakże – od perspektywy życia na przedmieściach i posiadania dzieci, które mogły się okazać nieznośnie nudne. Nawet od małżeńskiego jarzma. Pomyślał o złotych polach słoneczników. O wielobarwnych kwadratach. O gorących plasterkach słonecznego światła.

Zaniepokoił się naraz, że Francja wpadnie w szpony Hitlera. Nie, to było niemożliwe.

– Chciałbym zostać pilotem – wyznał ojcu. – Chciałbym latać.

Wypowiedzenie wojny znacznie opóźniło niedzielny lunch. Gdy Teddy udał się na poszukiwanie Sylvie, zastał ją w ogrodzie zrywającą miętę na sos do jagnięciny. Nie wydawała się rozhisteryzowana, raczej ponura. – Ominęło cię przemówienie Chamberlaina – powiedziała, prostując się i pocierając krzyż. Teddy pomyślał, że jego matka nieuchronnie się starzeje. –

Przypuszczam, że będziesz musiał walczyć – zwróciła się do ściskanego w dłoni pęczka mięty.

– Chyba tak.

Sylvie odwróciła się na pięcie i sztywnym krokiem poszła w stronę domu. Ciągnął się za nią aromat mięty. W drzwiach kuchennych przystanęła i rzuciła przez ramię: – Lunch będzie dziś trochę później – komentarz, który Teddy uznał za całkiem zbędny.

– Bardzo się wściekła? – zapytała go później Ursula, kiedy rozmawiali przez telefon.

– Bardzo – przyznał i oboje parsknęli śmiechem. Sylvie była zagorzałą zwolenniczką dotychczasowej polityki ustępstw.

Przez całe popołudnie trwały telefoniczne konsultacje między członkami bliższej i dalszej rodziny. Szczerze mówiąc, Teddy zaczynał mieć serdecznie dosyć pytań o to, co teraz zamierza, zupełnie jakby odpowiedzialność za wynik wojny spoczywała wyłącznie na jego barkach.

– Bądź co bądź, jesteś jedynym zdolnym do walki mężczyzną w naszej rodzinie – stwierdziła Ursula. – Więc co *konkretnie* zamierzasz?

– Wstąpię do RAF-u – odrzekł bez wahania. Im częściej zadawano mu dzisiaj to pytanie, tym bardziej oczywista stawała się odpowiedź. (Był ciekaw, jak w podobnej sytuacji zachowałyby się Augustus. To znaczy dorosły Augustus, nie wieczny Piotruś Pan z książek Izzie). – Poza tym wcale nie jestem jedyny. Maurice i Jimmy też mogą się zaciągnąć.

– Dobrze wiesz, że Maurice zrobi wszystko, byle się nie narażać – odpowiedziała Ursula. – A Jimmy... Mój Boże, ciągle mi się wydaje, że jest małym chłopcem. Nie mogę go sobie wyobrazić z bronią w ręku.

Teddy uznał za konieczne podkreślić, że ich najmłodszemu bratu niewiele brakuje do dwudziestych urodzin.

* * *

Lunch upłynął w atmosferze ogólnego przygnębienia. Było ich w domu tylko troje – czworo, jeżeli liczyć krzątającą się w kuchni Bridget, której jednakże nie brano pod uwagę. Zjedli jagnięcinę z ziemniakami i nieco łykowatą fasolkę szparagową z ogródka. Następnie Bridget z brzękiem postawiła na stole owalny półmisek z puddingiem ryżowym, mówiąc: – Całkiem wysechł przez tych sakramenckich szkopów.

– Teraz przynajmniej Bridget ma kogoś innego poza swoją matką, kogo może obwiniać o całe zło tego świata – zauważyła Ursula, gdy Teddy powtórzył jej przez telefon słowa gosposi. – Czeką nas ciężka przeprawa – dodała ze smutkiem. Ursula miała dostęp do wielu poufnych informacji, a to dlatego, że znała różnych ludzi, w tym pewnego wysokiego rangą człowieka z admiralicji.

– Co u twojego komandora? – zapytał, ścisząc głos, bo Sylvie kręciła się w pobliżu.

– No wiesz, nadal żonaty – odparła lekko Ursula. „Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni” – przestrzegła go, gdy po raz pierwszy zwierzyła mu się ze swego romansu. Teddy był dość wstrząśnięty faktem, że jego siostra została cudzołożnicą, „tą drugą”. Po wojnie nie dziwiły go już żadne poplątane relacje męsko-damskie. W zasadzie nic go nie dziwiło. Cały gmach zachodniej cywilizacji okazał się nietrwałą, skleconą z mrzonek budowlą wzniesioną na ruchomych piaskach.

Po lunchu wychylili po jeszcze jednej dużej whisky i poprawili przed kolacją. Ani Hugh, ani Teddy nie byli opojami, więc gdy nadszedł czas, aby wyruszyć w drogę powrotną do Londynu, obaj mieli mocno w czubie. Rano Teddy musiał się stawić w banku, ale obiecał sobie, że w przerwie na lunch znajdzie najbliższe biuro werbunkowe i się zaciągnie. Świat może nie stanie na głowie jak w tej starej balladzie z czasów angielskiej wojny domowej, ale z pewnością obróci się przynajmniej o kilka stopni.

– Ta „ballada” to była pieśń żałobna, a nie radosny hymn – zwróciła mu uwagę Ursula. Czasami potrafiła być równie irytująco precyzyjna jak Nancy. „Boże Narodzenie poległo pod Naseby...”. Wtedy jeszcze jego siostra nie była purytanką, dopiero wojna miała ją zmienić.

Na do widzenia Sylvie chłodno pocałowała go w policzek, po czym odwróciła się, mówiąc, że nie cierpi pożegnań, bo są „takie ostateczne”. Teddy pomyślał, że matka, jeśli tylko chce, potrafi być okropnie teatralna. –

Wybieram się pociągiem o dziewiętnastej dwadzieścia do Marylebone – zauważył – nie na front, żeby zginąć.

– Jeszcze nie.

Hugh po ojcowsku poklepał go w ramię.

– Nie zwracaj uwagi na matkę. Dbaj o siebie, dobrze?

Wtedy po raz ostatni Teddy czuł jego dotyk.

Zmierzchało, gdy szedł polną drogą na stację. Dopiero kiedy usiadł w wagonie drugiej klasy, zdał sobie sprawę, że o dreszcze i zawroty głowy przyprawia go nie whisky Hugh, tylko krztusiec, którym zaraził się od Nancy. Choroba o kilka tygodni opóźniła jego werbunek. Po wyzdrowieniu próbował się zaciągnąć, lecz odesłano go z kwitkiem i kazano czekać. Wiosna 1940 roku miała się ku końcowi, gdy wreszcie na stoliku w holu domu, gdzie wynajmował mieszkanie, pojawiła się koperta z Ministerstwa Lotnictwa, a w niej upragnione wezwanie na płożożółtym papierze nakazujące mu stawić się na rozmowę kwalifikacyjną w punkcie werbunkowym na terenie Lord’s Cricket Ground. Latem poprzedzającym jego wyjazd na studia w Oksfordzie ojciec zabrał go tam na mecz testowy z reprezentacją Indii. Myśl, że akurat w tym miejscu otrzyma przepustkę na wojnę, wydała się Teddy’emu dziwna. „Anglia wygrała z przewagą stu pięćdziesięciu ośmiu runów” – przypomniał sobie Hugh, gdy Teddy poinformował go o miejscu prowadzenia werbunku. „Ciekawe, ile runów

będzie trzeba, żeby wygrać tę wojnę?” – zastanawiał się Teddy, nawet w takim momencie swojego życia zdolny kleić kalekie metafory. W istocie do momentu wyautowania miał zaliczyć dokładnie siedemdziesiąt dwa runy – tyle właśnie lotów bojowych odbył do marca 1944 roku.

Do pracy wracał lekkim krokiem. Po drodze przystanął, żeby pogłaskać wygrzewającego się na murku kota. Uchylił kapelusza przed mijającą go elegancką kobietą, która w odpowiedzi uśmiechnęła się (dość prowokująco, zważywszy na porę dnia), wyraźnie nim oczarowana. Potem zatrzymał się jeszcze raz, aby powąchać bez zwieszający się nad ogrodzeniem Lincoln's Inn Fields. Przyszło mu na myśl, że „światłość i świeżość sennego marzenia” ³⁰ Wordswortha nie mogą ulec zapomnieniu.

Wszedł do banku. Jego nozdrza natychmiast zaatakowała znajoma woń pasty do podłóg i preparatu do polerowania mosiądzu. „Basta – pomyślał. – Dość tego”.

Niemal dwa lata później, bogatszy o parę skrzydełek na mundurze i zdobytą w Kanadzie praktykę w ramach Planu Szkolenia Pilotów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, Teddy powrócił do ojczyzny na pokładzie płynącego z Nowego Jorku liniowca „Queen Mary”. „Jak miło – ożywiła się Izzie, gdy ją o tym poinformował. – Przeżyłam na tym statku cudowne chwile”. Teddy nie dodał, że słynny liniowiec był obecnie transportowcem amerykańskiej armii. Nie wspomniał też, że upchnięto go na pokładzie w ostatniej chwili („Niemalże w zębie”). Żołnierze – których połowa przez całą drogę cierpiała na chorobę morską – byli stłoczeni niczym sardynki w puszcze i równie bezbronni. Rejs przez Atlantyk odbywał się przy fatalnej pogodzie i bez konwoju, uważano bowiem, że liniowiec jest dość szybki, aby w razie konieczności wymknąć się niemieckim łodziom podwodnym. Teddy nie był co do tego przekonany. „Faktycznie, jeść dawali pierwsza klasa” – odparł ironicznie (owszem, w porównaniu z głodowymi racjami cywilów). Nie

wiedział, czy ciotka wyczuła w jego tonie tę ironię. Nie zawsze umiał odczytać jej reakcje.

Po powrocie z Kanady, a przed zameldowaniem w jednostce szkolenia operacyjnego dostał dwudniową przepustkę. Jego siostra zdołała wyrwać się z Londynu i przyjechać na lunch do Fox Corner. Izzie też się tam przypętała nieproszona (słowa Sylvie). Jesienią czterdziestego drugiego sytuacja przedstawiała się następująco: Pamela ewakuowała się z rodziną na jakieś pustkowie, lecz wkrótce miała wrócić do domu, Maurice większość czasu spędzał w bunkrze w Whitehall, Jimmy przechodził szkolenie wojskowe w Szkocji, Hugh zaś spoczywał na cmentarzu. Jak to w ogóle było możliwe? Jego ojciec nie mógł przecież umrzeć.

Teddy dostał urlop okolicznościowy, a marynarka (w osobie komandora Ursuli, choć Teddy nic o tym nie wiedział) wystarała się dla niego o koję na płynącym w konwoju statku handlowym, jednak w ostatniej chwili zgodę na urlop cofnięto.

– I tak nie zdążyłbyś na pogrzeb – orzekła Sylvie – więc cała ta podróż nie miałyby sensu.

– Dziwię się – dorzucił swoje trzy grosze Maurice – że w czasie wojny komuś w ogóle przyszło do głowy uznać taką prośbę za zasadną.

– Maurice – stwierdziła Ursula – należy do tych, którzy przybijają pieczątki na pokwitowaniach (albo i nie) i przekreślają wnioski na czerwono. Właśnie tego pokroju ludzie cofają innym zgodę na urlop okolicznościowy.

Maurice byłby wielce poirytowany, słysząc, że siostra uważa go za kogoś tak niskiego rangą. On nie przybijał pieczętek. On *podpisywał*. Płynnym, zdecydowanym gestem stawiał parafki posrebrzanym wiecznym piórem. Podania brata by nie parafował.

Ktokolwiek cofnął Teddy'emu zgodę na urlop, zasłużył na jego dozgonną wdzięczność. Konwój zaatakowały niemieckie łodzie podwodne i statek, na którego pokładzie Teddy miał odbyć podróż, poszedł na dno z całą załogą. „Ocalony dla wyższych celów” – podsumowała Ursula.

– Chyba w to nie wierzysz? – Teddy poczuł niepokój, że jego siostra nagle zrobiła się religijna.

– Nie – przyznała. – Zdążyłam się przekonać, że o życiu i śmierci decyduje przypadek.

– Całkowity przypadek. Nauczyła nas tego poprzednia wojna – dorzuciła Izzie, zapalając papierosa. Ledwie tknęła przyrządzoną na lunch potrawkę. Sylvie zarznęła rano kure, aby „uczcić powrót syna marnotrawnego”. („I znowu to samo” – pomyślał Teddy. Czy do końca życia mam być skazany na tę rolę? Wieczny syn marnotrawny?).

– Jaki tam marnotrawny – zaoponował. – Szkoliłem się w lataniu.

– A jednak na twój powrót ubito tłustą kure – śmiała się Ursula.

– Starą i łykowatą – sprostowała Izzie.

– Pozna swój swego – zrewanżowała się Sylvie.

Izzie demonstracyjnie odsunęła talerz, na co Sylvie wypaliła:

– Mam nadzieję, że to dokończysz. Ta kura umarła dla ciebie.

Ursula parsknęła drwiąco, a Teddy puścił do niej oko. Mimo wszystko głupio im było weselić się bez Hugh.

Natychmiast po wypowiedzeniu wojny Izzie czmychnęła za ocean, wróciła wszakże, zanim Teddy zszedł na ląd w Liverpoolu. Utrzymywała, że stawia patriotyzm wyżej niż własne bezpieczeństwo. „Patriotyzm – zżymała się Sylvie. – Dobrze sobie. Wróciłaś, bo twoje małżeństwo było kompletną porażką”. Mąż Izzie – słynny dramaturg – okazał się cudzołożnikiem i zdradzał ją w Hollywood na prawo i lewo, jeśli wierzyć Sylvie. Na słowo „cudzołożnik” Teddy zerknął ponad stołem na Ursulę,

lecz siostra wbijała wzrok w stojący przed nią talerz ze złożoną w ofierze kurą.

Sylvie trzymała teraz przy domu spore stadko kur i prowadziła dzięki jajkom handel wymienny. Gdy wyeksploatowane do cna ptaki przestawały się nieść jak trzeba, kończyły zwykle żywot w garnku.

– Brakuje im hartu ducha – oświadczyła Ursula, a gdy Sylvie spojrzała na nią zaskoczona, wyjaśniła: – Powinny walczyć do końca. Żołnierzy też zawodzą nerwy, ale na froncie taką postawę uznano by za tchórzostwo. Za brak kręgosłupa moralnego.

– Sporo tego widywałam w okopach – przyznała Izzie.

– Nie byłaś w żadnych *okopach* – zirytowała się Sylvie. Zawsze ją denerwowało, gdy szwagierka przechwalała się swoimi wyczynami podczas ostatniej wojny. W pewnym sensie wszyscy mieli tego dosyć. Jedynie Hugh z podziwu godną cierpliwością znosił „wojenne wspominki Izzie”, jak zwykł o nich mówić. Natknął się raz na nią w punkcie opatrunkowym tuż za linią frontu, w piekle nad Sommą. Jej widok go zadziwił: nie pasowała do tego miejsca, powinna siedzieć w bawialni w Hampstead albo flirtować z jakimś nieszczęśnikiem ubrana w suknię wieczorową. Okropności wojny zatarły w jego pamięci wspomnienie dawnej „nieroztropności” Izzie: skandalicznego romansu ze starszym i na domiar złego żonatym mężczyzną oraz owocu tego romansu, czyli nieślubnego dziecka. Teraz miał przed sobą zupełnie inną Izzie: ubrana w uniform pielęgniarski i brudny fartuch, ze śladami krwi na policzku, niosła coś w emaliowanym wiadrze. Spostrzegłszy go, wciągnęła głośno powietrze i powiedziała: „To ty żyjesz! Cudownie! Niestety, nie ucałuję cię, bo jestem okropnie brudna”. W oczach miała łzy i Hugh w jednej chwili wybaczył jej wszystkie błędy, również te jeszcze niepopołnione.

– Skąd się tutaj wzięłaś?

– Och, no wiesz, wstąpiłam do Ochotniczego Korpusu Pierwszej Pomocy Pielęgniarskiej – rzuciła lekko. – I robię, co do mnie należy.

– W okopach walczyli *żołnierze* – obstawała przy swoim Sylvie – a nie ochotniczki elegantki.

– W Ochotniczym Korpusie Pierwszej Pomocy Pielęgniarskiej nie było żadnych elegantek – odrzekła twardo Izzie. – Codziennie urabiałyśmy sobie ręce po łokcie. Poza tym to wstrętne przypinać człowiekowi etykietkę tchórza – dodała ciszej.

– To prawda – zgodziła się z nią Ursula.

– Ale kurze jest chyba wszystko jedno – roześmiał się Teddy, jak zwykle ratując się poczuciem humoru. Myśl, że w czekającej go walce mógłby zawieść, napawała go przerażeniem. – Ona zdecydowanie stchórzyła – dodał, wskazując potrawkę na talerzu Izzie, i oboje z Ursulą niemal spadli z krzeseł ze śmiechu. „Ależ z was dzieci” – prychnęła gniewnie Sylvie. „Niestety nie” – pomyślał Teddy. To im przyjdzie stawić czoła wrogowi, bronić Sylvie oraz jej kur i Fox Corner, ostatnich bastionów wolnego świata.

Listy, jakie Ursula słała do Kanady, były oszczędne w słowach („Rozumiesz, że jestem zobowiązana do zachowania tajemnicy państwowej”), lecz między wierszami Teddy wywnioskował, że nie było jej lekko. W przeciwieństwie do niej nie miał jeszcze okazji posmakować prochu.

Oczywiście miała rację co do wojny, „przeprawa” istotnie okazała się ciężka. W ciepłym zaciszu luksusowych kanadyjskich kin Teddy wsuwał prażoną kukurydzę i w osłupieniu oglądał kroniki filmowe przedstawiające niemieckie naloty na Wielką Brytanię, bombardowania Rotterdamu oraz Warszawy. A Francja jednak upadła. Teddy wyobrażał sobie zryte czołgami

poła słoneczników. (Jak się później przekonał, słoneczniki ocalały, dalej spokojnie sobie rosły).

– Rzeczywiście, sporo cię ominęło. – Sylvie mówiła, jakby spóźnił się na przedstawienie w teatrze. Jego matka była *au fait* ³¹, jeśli chodzi o wydarzenia na froncie. Była też zadziwiająco bojowo nastawiona; Teddy pomyślał, że to łatwe, kiedy żyje się dość bezpiecznie na angielskiej prowincji.

– Dała się uwieść propagandzie – zauważyła Ursula, jakby Sylvie przy nich nie było.

– Ty nie? – zapytał Teddy.

– Ja wolę fakty.

– Zrobił się z ciebie istny Gradgrind ³² – mruknęła Sylvie.

– Wątpię.

– A co wynika z faktów? – chciała wiedzieć Izzie.

Ursula, która miała znajomą w Ministerstwie Lotnictwa, wołała nie mówić im, że szanse Teddy’ego na przeżycie pierwszego lotu są w najlepszym razie znikome, zaś na przeżycie pierwszej tury operacji bojowych są niemal równe zeru. Zamiast tego rzuciła lekko: – Że to *sprawiedliwa* wojna.

– No to świetnie – ucieszyła się Izzie. – Szkoda byłoby walczyć za złą sprawę. Będziesz po stronie aniołów, drogi chłopcze.

– Czy to znaczy, że anioły są Brytyjczykami? – upewnił się Teddy.

– Niezaprzeczalnie!

– Jest bardzo źle? – zapytał Ursulę tego ranka, gdy wyszedł po nią na stację.

Zauważył, że jest blada. Wyglądała jak chora albo jak ktoś, kto zbyt dużo czasu spędza zamknięty w czterech ścianach lub na wojnie. Był ciekaw, czy nadal widuje się ze swoim „człowiekiem z admiralicji”.

– Nie rozmawiajmy teraz o tym. Tak, jest fatalnie.

W drodze do domu wstąpili jeszcze na cmentarz, gdzie pochowano Hugh. Z pobliskiego kościoła dobiegały wysokie głosy wiernych śpiewających na niedzielnym nabożeństwie: „Sław, duszo moja, Pana, Króla Niebios”. Nagrobek ojca wciąż lśnił nowością. Wyryto na nim z pozoru banalne epitafium: „Ukochany ojciec i mąż”. Gdy Teddy widział go po raz ostatni, w ciele Hugh wciąż jeszcze tętniła krew. Teraz to samo ciało gniło w dole zasypanym ziemią. „Lepiej unikać czarnych myśli” – poradziła mu Ursula. Jej rada miała mu z powodzeniem służyć przez kolejne trzy lata. A w zasadzie do końca życia. Teddy ze ściśniętym gardłem pomyślał, że jego ojciec był dobrym człowiekiem. Najlepszym z całej rodziny.

– „Ukochany ojciec i mąż”. To jest nie banalne, tylko strasznie smutne – powiedziała Bertie.

Był rok 1999, od śmierci Hugh minęło prawie sześćdziesiąt lat. Teddy miał wrażenie, że jego własne życie to historia. Gdy Bertie zapytała, jak chciałby uczcić swoje osiemdziesiąte piąte urodziny, odparł, że chętnie odwiedziłby stare kąty. Wnuczka wynajęła samochód i wspólnie wyruszyli z Fanning Court na wycieczkę, którą Bertie nazywała objazdówką, a Teddy podróżą pożegnalną. Przypuszczał, że długo nie pociągnie – przy odrobinie szczęścia dożyje do początku nowego tysiąclecia – i uznał tę podróż za dobry sposób na podsumowanie swojego życia i całego XX wieku. Zdziwiłby się, słysząc, że ma przed sobą jeszcze ponad dekadę. Wypad z Bertie okazał się uroczy i zaskakujący, pełen emocji („Zaliczyliśmy ich cały wachlarz” – podsumowała później Bertie) i autentycznych wzruszeń, nie tylko nostalgii, która Teddy’emu zawsze kojarzyła się nieco kiczowato.

Przez lata nagrobek Hugh zdążył porosnąć mchem, który zaokrąglił ostre krawędzie i zatarł wyryty w kamieniu napis. Sylvie pochowano w innym

miejscu na tym samym cmentarzu, podobnie jak Nancy i jej rodziców. Teddy nie wiedział, gdzie spoczywają Winnie i Gertie. Millie również tu była – po długim życiu, w którym nigdzie nie zagrzała długo miejsca, wróciła w końcu do domu. Pomyślał, że wszystkie te osoby – choć przecież ich nie znała – łączy z jego wnuczką cienka czerwona nić. Więzy krwi.

Pamela i Ursula, a także Bea, wybrały kremację. Teddy zaczekał, aż w lesie zakwitną dzwonki, i dopiero wtedy rozsypał wśród nich prochy Ursuli. Nieprzebrane zastępy umarłych...

– Lepiej unikać czarnych myśli – poradził Bertie.

– A co ty chciałbyś mieć napisane na nagrobku? – zapytała pomimo to.

Pomyślał o cmentarzach wojskowych i rzędach kamiennych płyt ciągnących się w nieskończoność. Na każdej tabliczce widniały nazwisko, stopień i numer. Pomyślał o epitafium Keatsa: „Tutaj spoczywa ten, którego imię zapisano na wodzie”. Ursuli wydawało się ono tragiczne. I o Hugh, który powiedział kiedyś: „Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyście mnie wyrzucili do kosza na śmieci”. I o pomniku lotników w Runnymede z nazwiskami tych, którzy polegli, a których ciał nigdy nie odnaleziono.

Coś tu się zmieniło, tylko co? No tak. Rosnące niegdyś z boku cmentarza ogromne kasztanowce, których bujne korony dawały zmarłym przyjemny cień, wycięto, na ich miejscu rosły rzędkiem drobne kwitnące wiśnie. Stary kamienny mur, dawniej całkiem zasłonięty przez gałęzie kasztanowców, był teraz doskonale widoczny; oczyszczono go z mchu i uzupełniono ubytki zaprawy.

– Marzy mi się leśny pogrzeb – wyznał. – Żadnego nagrobka ani tablicy z nazwiskiem, tylko drzewo. Dąb, jeśli to możliwe, ale w zasadzie każde się nada. Nie pozwól decydować matce.

Śmierć oznaczała koniec. Czasami trzeba było całego życia, aby to pojąć. Teddy pomyślał o Sunnym, niezmordowanie podróżującym

w poszukiwaniu czegoś, co zagubił.

– Obiecuj mi, że nie zmarnujesz życia – poprosił wnuczkę.

– Obiecuję – odparła, choć jako dwudziestoczterolatka wiedziała już, że ma na to niewielkie szanse.

Hymn *Miłość Boża większa ponad wszystko* zwiastował rychły koniec nabożeństwa. Teddy przechadzał się między nagrobkami. Większość pochowanych tutaj ludzi umarła na długo przed jego narodzinami. W odległej części cmentarza Ursula zbierała pod murem kasztany. Teddy był ciekaw, czy korzenie kasztanowców splotły się przez lata z kośćmi umarłych. Wyobraził sobie, jak wiją się między żebrami szkieletów, opasują kostki u nóg, pętają nadgarstki...

Dołączywszy do Ursuli, zobaczył, że przygląda się ona uważnie trzymanemu na dłoni kasztanowi. Kolczasta zielona skorupka pękła, pod nią lśnił wypolerowany orzech.

– Owoc drzewa – odezwała się, podając mu go. – *Media vita in morte sumus*. Pośród życia jesteśmy zanurzeni w śmierci. A może na odwrót? Przyznasz, że jest coś magicznego w widoku czegoś nowego, co dopiero zaczyna życie: nowo narodzonego cielaczka albo rozkwitającego pąka?

W dzieciństwie byli na farmie świadkami narodzin cieląt. Teddy przypomniał sobie, że na widok śliskiej błony zrobiło mu się niedobrze; uwięzione w pęcherzu płodowym cielę wyglądało jak porcja mięsa na ladzie u rzeźnika.

Msza dobiegła końca i wierni wysypali się z kościoła prosto w ciepły blask słońca. Ursula powiedziała:

– Kiedyś uwielbiałeś bawić się kasztanami. Mali chłopcy grający w kasztany... W tym obrazku jest coś średniowiecznego. Cep... Chyba tak się nazywa maczuga z nabitą kolcami głowicą. Chociaż nie, to gwiazda

poranna, ze względu na kształt kolców. Jak można dać taką ładną nazwę czemuś tak straszliwemu? – Usta jej się nie zamykały.

Teddy przypuszczał, że Ursula próbuje w ten sposób zająć myśli, zagadać koszmar wojny. Na własne oczy widziała, co się działo podczas bombardowania. On sam mógł się tego jedynie domyślać. Postanowił, że odtąd w jego życiu nie będzie miejsca na twory wyobraźni.

Sam naturalnie również był świadkiem makabrycznych wydarzeń – choćby wypadków, do jakich dochodziło podczas lotów ćwiczebnych – ale nie były to rzeczy, o jakich wspomina się nad potrawką z kury przy stole w stylu regencji.

Odniósł brudne naczynia do zlewu („Bridget się tym zajmie” – powiedziała ostro Sylvie, lecz ją zignorował) i na stole kuchennym zauważył ogołocony z mięsa kurzy kadłub. Żołądek podszedł mu do gardła.

W szkole lotniczej w Ontario widział, jak samolot Avro Anson podchodzi do lądowania awaryjnego. Miał odbyć lot szkoleniowy, lecz zawrócił niemal zaraz po starcie z powodu usterki silnika. Teddy patrzył, jak rozchwybotana maszyna ze zbyt dużą prędkością zbliża się do lotniska i uderza o pas startowy. Siła uderzenia spowodowała gigantyczną eksplozję zbiorników z paliwem. Większość obecnych rzuciła się do ucieczki. Teddy także schronił się za hangarem.

Nikt na ziemi nie ucierpiał, a po chwili w stronę płonącego samolotu pędziły karetki oraz wozy strażackie.

Okazało się, że jeden z członków załogi nie zginął w płomieniach, bo siła eksplozji wyrzuciła go z kabiny. Wraz z dwoma innymi rekrutami Teddy udał się na poszukiwania. Znaleźli biedaka wśród bzów rosnących przy ogrodzeniu lotniska. Później się dowiedzieli, że był to instruktor, doświadczony pilot Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych, z którym Teddy latał zaledwie dzień wcześniej. W tej chwili przedstawiał sobą

makabryczny widok: siła wybuchu niemal całkowicie odarła ciało z kości. („Oskórowany” – szepnął jakiś głos w głowie Teddy’ego). Ciepłe wnętrzności wisiały na gałęziach krzewów. Bzy właśnie kwitły, ich zapachu nie stłumił całkowicie fetor tej jatki.

Jeden z towarzyszy Teddy’ego uciekł, wrzeszcząc i klnąc, na czym świat stoi. Zrezygnował z latania i Teddy nigdy więcej go nie zobaczył. Dowództwo uznało, że „brak mu kręgosłupa moralnego”³³, i pozwoliło odejść w niesławie. Drugi pilot, który był wówczas z Teddym, Walińczyk, mruknął tylko: „Biedny sukinsyn”. Teddy przypuszczał, że jego własna reakcja znajdowała się gdzieś pomiędzy tymi dwiema skrajnościami. Z jednej strony poraził go makabryczny widok, z drugiej poczuł ulgę, że to nie on leciał tym samolotem. Wtedy po raz pierwszy uświadomił sobie, jak potworne krzywdy może wyrządzić machina wojenna kruchemu ciału człowieka. Domyślał się jednak, że Ursula ma znacznie większą wiedzę na ten temat.

– Będzie na wywar – wyjaśniła Bridget, widząc, że Teddy wpatruje się w kurzy kadłub, jakby zamierzał go ukraść. Stała w kuchni przy dużym wpuszczanym w blat kamiennym zlewie, ręce po łokcie zanurzyła w mydlinach.

– Daj, powycieram – zaproponował Teddy i zdjął z haczyka ścierkę.

– Zmiataj – burknęła Bridget.

Wiedział, że na swój sposób okazała mu wdzięczność. Ile mogła mieć lat? Nie próbował zgadywać. Za jego życia przeszła ewolucję od naiwnej i roztrzepanej dzierlatki („Irlandzka wieśniaczka” – mawiała o niej Sylvie) do zmęczonej życiem zrezygnowanej kobiety. Często powtarzała, że podczas ostatniej wojny straciła swoją szansę („Szansę na co? – prychnęła pogardliwie Sylvie. – Na mordęgę, jaką jest małżeństwo? Na ciągłą troskę o dzieci? Lepiej ci u nas, wierz mi!”).

– Wracam do domu – oznajmiła teraz, niechętnie oddając ociekający wodą talerz w ręce Teddy’ego. – Jak to wszystko się skończy.

– Do domu? – powtórzył zdezorientowany.

Bridget odwróciła się od zlewu i spojrzała na niego, a on pojął, że właściwie nigdy dotąd jej się nie przyglądał. To znaczy *patrzył* na nią, ale jej nie *widział*.

– Do Irlandii – powiedziała takim tonem, jakby miała go za durnia, którym zapewne był. – Wracaj do stołu. Zaraz będzie pudding.

A Nancy? Co z Nancy, pytacie? Rok wcześniej została niespodziewanie porwana z tajemniczego świata liczb naturalnych i ukryta w nieznanym miejscu. Gdy ludzie pytali ją, czym się zajmuje, odpowiadała, że pracuje w departamencie Ministerstwa Handlu przeniesionym z Londynu na prowincję ze względów bezpieczeństwa. Brzmiało to w jej ustach tak nudno („Racjonowanie rzadkich wyrobów krajowych”), że nikt nie zadawał dodatkowych pytań. Teddy liczył, że się zobaczą w Fox Corner, ale w ostatniej chwili zatelefonowała i powiedziała, że nie da rady przyjechać. Jest jej bardzo przykro, ale „nie zdoła się wyrwać z pracy”.

Nie widzieli się od prawie półtora roku, a jej było „przykro”? Teddy poczuł się zraniony, lecz szybko jej wybaczył. „Jest okropnie tajemnicza. Nie mam pojęcia, kiedy się znowu spotkamy” – zwierzył się Ursuli, gdy mitrężyli na polnej drodze. („Ubóstwiam to słowo, choć tak rzadko go ostatnio używam” – zauważyła). Przed powrotem do Fox Corner przystanęli, żeby wypalić papierosa. Sylvie stanowczo sprzeciwiała się paleniu w domu. Ursula zaciągnęła się głęboko dymem i stwierdziła: – Zgadzam się z nią, że to wstrętny nałóg. Ale nie tak wstrętny jak wojna.

– Jej listy są zdumiewająco nijakie – poskarżył się Teddy, ciągnąc temat nieuchwytniej Nancy. – Zupełnie jakby cenzor zaglądał jej przez ramię,

kiedy je pisała. Po co ta cała konspiracja? Jak sądzisz, czym ona się naprawdę zajmuje?

– Z całą pewnością jakimiś matematycznymi zawłościami – odparła Ursula, która o swojej pracy wyrażała się równie mętnie. „Człowiek z admiralicji” był w łóżku okropnie gadatliwy. – Przypuszczam, że będzie jej łatwiej, jeśli przestaniesz zadawać tyle pytań.

– Założę się, że chodzi o niemieckie szyfry – mruknął Teddy.

– No cóż, lepiej zachowaj tę wiedzę dla siebie – uśmiechnęła się Ursula, potwierdzając tym samym jego podejrzenia.

Po lunchu Teddy zaproponował siostrze szklaneczkę whisky w pustelni Hugh. Wydało mu się, że będzie to odpowiedni gest, aby uczcić jego pamięć. Nie miał dotąd okazji, by to zrobić.

– W pustelni? – zdziwiła się Ursula. – Obawiam się, że już jej nie ma.

Zajrzawszy do niedużego pomieszczenia na tyłach domu, Teddy przekonał się, że Sylvie przekształciła przytulny gabinet ojca w coś, co miało odtąd nosić miano pokoju do szycia. „Zobaczcie, jak tu teraz jasno i przestronnie – zachwalała. – Wcześniej było tu strasznie ponuro”. Ściany gabinetu przemaalowano na kolor seledynowy, podłogę pokrył dywan z Aubusson, ciężkie aksamitne kotary zastąpiono jasnym lnem o luźnym splocie. Filigranowy wiktoriański stoliczek do szycia, wcześniej relegowany do spartańsko urządzonej sypialni Bridget i skazany na zapomnienie, pysznił się teraz obok pikowanego szezlonga, który Sylvie wypatrzyła w sklepiku w Beaconsfield i kupiła za grosze.

– Ona naprawdę tu szyje? – zainteresował się Teddy, kontemplując szpulkę wyjętą z koszyczka z robótkami.

– A jak myślisz?

Zamiast pić whisky, przeszli się po ogrodzie, którego większość zajmowały obecnie warzywa i kojce dla kur. Ptactwo Sylvie stale trzymano

pod kluczem, jako że gdzieś w pobliżu zawsze czał się lis. Rozłożysty stary buk trwał niewzruszony pośrodku trawnika, lecz reszta ogrodu – wyjąwszy róże Sylvie – powoli popadała w zaniedbanie. „Za żadne skarby świata nie można znaleźć porządnego ogrodnika” – oznajmiła gniewnie Sylvie. „Och, wojna bywa *taka* uciążliwa” – zauważyła sarkastycznie Izzie i posłała Teddy’emu porozumiewawczy uśmiezek. Nie zareagował przekonany, że spiskowanie przeciwko własnej matce jest czymś niewłaściwym. Nawet jeśli owa matka istotnie bywa nieznośna.

– Mój ostatni ogrodnik wstąpił do ochotniczej obrony terytorialnej – dodała Sylvie, zupełnie nie zwracając uwagi na Izzie. – Jeżeli pan Mortimer to jedyna zaporą pomiędzy nami a niemiecką nawałą, niech Bóg ma nas w swojej opiece!

– Chce sobie sprawić świnie – oznajmiła Teddy’emu Ursula, gdy przystanęli, żeby popatrzeć na uwięzione za siatką melancholijnie gdaczące nioski.

– Kto?

– Matka.

– Świnie? – Jakoś nie wyobrażał sobie Sylvie w roli hodowcy świń.

– Wiem. Stale nas zaskakuje – przyznała Ursula. – Kto by przypuszczał, że tkwi w niej dusza czarnorynkowej spekulantki? Będzie pokątnie handlowała bekonem i kiełbasą. Sądzę, że taka przedsiębiorczość zasługuje na pochwałę.

W głębi ogrodu natknęli się na wielką kępę jastrunów albo inaczej złocieni, które musiały tu przywędrować z łąki.

– Kolejni najeźdźcy – powiedziała Ursula. – Chyba ich narwę i zabiorę ze sobą do Londynu. – Ku zaskoczeniu Teddy’ego wydobyła z kieszeni płaszczka spory scyzoryk i zaczęła ścinać patykowate łodyżki. – Zdziwiłbyś się, jakie rzeczy przy sobie noszę – zaśmiała się. – „Zawsze gotowy” to

hasło zarówno harcerek, jak i skautów. „Musisz być w każdej chwili gotowa stawić czoła trudnościom, a nawet niebezpieczeństwom, wiedzieć, co i jak należy zrobić”.

– Zalecenia dla skautów są trochę inne – odparł Teddy. – Dłuższe i bardziej szczegółowe. – Przypuszczał, że od mężczyzn po prostu więcej się wymaga, choć akurat żadna ze znanych mu kobiet nie zgodziłaby się z takim twierdzeniem.

Ursula zawsze zapominała, że Teddy nie zdążył awansować z zucha na skauta. Ale też jej nikt nie zmuszał do znoszenia licznych upokorzeń w szeregach bractwa Kibbo Kift.

Zdecydował się wrócić do Londynu razem z Ursulą, chociaż wiedział, że sprawi tym zawód matce. Sylvie miała nadzieję, że zatrzyma go przez jeszcze jeden dzień. Jednak Hugh pozostawił po sobie w Fox Corner pustkę, która była dla Teddy’ego zbyt przygnębiająca.

– Jeżeli teraz wyruszymy, zdążymy na następny pociąg – stwierdziła Ursula, wypychając go za drzwi. – Chociaż Bóg mi świadkiem, że od dawna nie jeżdżą zgodnie z rozkładem.

– Tak naprawdę mamy mnóstwo czasu – oznajmiła, gdy się pożegnali i wyszli na drogę. – Chciałam się po prostu stamtąd wyrwać. Matka jest w najlepszym razie dokuczliwa, Izzie jeszcze gorsza. W duecie są zwyczajnie nie do zniesienia.

– Zatrzymasz się u mnie? – zapytała, gdy pociąg wjechał na stację Marylebone.

Teddy odmówił. Jako wymówkę podał odwiedzin u starego znajomego, z którym zamierzają pójść w miasto. Sam nie wiedział, dlaczego skłamał ani dlaczego nie chciał zatrzymać się u siostry. Może chodziło o to, żeby ostatni raz zasmakować całkowitej swobody.

Gdy się żegnali, Ursula złapała się nagle za głowę. „Całkiem zapomniałam” – powiedziała. Przetrzęsnęła zawartość swojej torebki i wyjęła z niej jakiś srebrny drobiazg, poczerniały ze starości.

– To królik?

– Chyba zajaczek, chociaż w sumie trudno stwierdzić. Poznajesz go?

Nie poznawał. Zajaczek – albo królik – stał słupka w malutkim koszyku. Miał nastroszone futerko i czujnie nastawione uszy. Zajaczek, z całą pewnością.

– Wisiał pod daszkiem twojego wózka – wyjaśniła Ursula – kiedy byłeś malutki. I kiedy my byliśmy małe. To chyba element grzechotki Sylvie. – Rzeczywiście, zajaczek stanowił niegdyś zwieńczenie grzechotki – ślicznej zabawki umieszczonej nad kołyską Sylvie razem z dzwoneczkami i gryzaczkiem z kości słoniowej. Kiedyś niemal wydłubała nią oko własnej matce.

– No i?

– Daję ci go na szczęście.

– Serio? – zabrzmiało to dość sceptycznie.

– Taki talizman. Zamiast króliczej łapki. Daję ci całego zajaca, żeby cię strzegł w niebezpieczeństwie.

– Dziękuję – odrzekł ubawiony.

Ursula nie należała dotychczas do osób przesądnych. Przyjął zajaczka i wsunął go od niechcienia do kieszeni. Figurka dołączyła do ofiarowanego mu wcześniej kasztana, który stracił już swoją połyskliwą gładkość. Teddy zauważył, że zawinięte w wilgotną gazetę złocienie Ursuli także niemal zwiędły. „Niczego nie można zachować – pomyślał. – Wszystko przecieka nam przez palce jak piasek albo woda. Albo czas. A może *nie powinniśmy* do niczego się przywiązywać?”. Prędko odrzucił tę myśl godną mnicha.

– Od chwili narodzin umieramy – oświadczyła Sylvie zupełnie bez związku. Patrzyła przy tym, jak przygarbiona Bridget wnosi do jadalni duszone jabłka.

– Same spady – zareklamowała danie Bridget.

Pani Glover przeszła na emeryturę i zamieszkała w Manchesterze z siostrą. Bridget przejęła po niej zwyczaj wiecznego narzekania. Okazało się, że Sylvie sprzedawała większość tegorocznych obfitych zbiorów. Jabłka z przydomowego sadu jako jedyne owoce nie wzbudzały podejrzliwości Bridget. (Sylvie wyjaśniała to w ten sposób: „Dorastała w Irlandii, tam nie ma żadnych owoców”). Bridget wcisnęła Teddy’emu do ręki małe, pomarszczone i mocno robaczywe jabłko „na drogę”. Tkwiło teraz przyjemnie rozgrzane w jego wypchanej kieszeni.

Zamiast spędzać czas z wyimaginowanym znajomym, Teddy ruszył na obchód londyńskich pubów i w rezultacie okropnie się upił, ponieważ mnóstwo życzliwych osób chciało stawiać mu drinki. Przy okazji odkrył, jak atrakcyjny jest mundur pilota RAF-u dla młodych kobiet. Unikał jednak spoufalania się z „eskadrą z Piccadilly”. Od żołnierzy amerykańskich, z którymi przepłynął Atlantyk, wiedział, że tak nazywane są prostytutki z West Endu, zuchwałe, grubiańskie dziewczyny. Intrygowało go, czy zawsze trudniły się tym fachem, czy też była to nieunikniona konsekwencja wojennej zawieruchy.

Po zamknięciu pubów włóczył się po Mayfair i rozmyślał, gdzie by tu przenocować. W pewnej chwili wpadł na jakąś dziewczynę – „Ivy, bardzo mi miło” – która także zabłądziła podczas obowiązkowego zaciemnienia. Dalej ruszyli pod rękę. Nogi same poniosły ich do hotelu Flemings na Half Moon Street. Nocny recepcjonista spojrział porozumiewawczo, z czego zaśmiewali się wspólnie, leżąc na zaścielonym łóżku z głowami wspartymi na poduszkach i popijając piwo z dwóch dużych butelek, które Ivy skądś

wyczarowała. „Luksusowe miejsce – zauważyła – chyba jesteś bogaty”. Tego wieczoru była to akurat prawda; Izzie wręczyła mu dwadzieścia funtów – okup za Augustusa – które postanowił czym prędzej przepuścić, dopóki jeszcze mógł. „W całunie nie ma kieszeni”, jak mawiała jego rozrzutna ciotka.

Ivy okazała się niefrasobliwą członkinią pomocniczej służby kobiet na przepustce, obsługującą stanowisko przeciwlotnicze w Portsmouth („O rety, chyba nie powinnam ci mówić, gdzie stacjonujemy”).

Kiedy zawyły syreny przeciwlotnicze, nie zeszli do schronu. Woleli obserwować darmowy pokaz fajerwerków zafundowany im przez Luftwaffe. Teddy cieszył się, że udało mu się załapać na ostatnie naloty Blitzu.

– A to dranie – powiedziała wesoło Ivy na widok przelatujących nisko bombowców. Okazało się, że ma coś wspólnego z systemem naprowadzania działek przeciwlotniczych: „Kerrison Predictor, celownicza numer trzy”. („O rety, znowu za dużo gadam!”). Teddy nie miał pojęcia, o czym dziewczyna mówi. „Dorwijcie ich, chłopcy!” – krzyknęła w pewnym momencie, gdy pociski cięły niebo czerwonymi seriami. Światła reflektorów namierzyły niemiecki bombowiec. „A więc tak to wygląda od tej drugiej strony” – zrozumiał Teddy, wstrzymując oddech i myśląc o pilocie bombowca. Za kilka tygodni sam będzie tam w górze.

Samolot wymknął się reflektorom i Teddy znów zaczął normalnie oddychać.

– Tylko bez wygłupów – ostrzegła go Ivy. Rozebrała się do halki, zanim wreszcie oboje wsunęli się pod lodowatą kołdrę. – Jestem porządną dziewczyną – podkreśliła skromnie. Była dość pospolita, miała wystające górne jedyńki i narzeczonego w marynarce. Teddy sądził, że niesłusznie obawia się jego awansów, bo naprawdę za dużo wypił, lecz gdy za oknem

zapanował wreszcie spokój, w którymś momencie zsunęli się oboje na środek zapadniętego materaca. Wskutek zręcznego manewru Ivy wciąż półprzytomny Teddy znalazł się nagle w jej wnętrzu i uznał, że ucieczka byłaby niegodna dżentelmena. Zbliżenie było krótkie, bardzo krótkie. W najlepszym razie czysto cielesne, w najgorszym plugawe. Gdy się obudzili, oboje potwornie skacowani, spodziewał się po niej wybuch skruchy i wyrzutów sumienia, lecz ona przeciągnęła się tylko, ziewnęła i zaczęła się wiercić, jakby liczyła na więcej. W szarym świetle poranka wydała mu się prostacka. Gdyby nie fakt, że tyle wiedziała o obronie przeciwlotniczej, Teddy mógłby ją wziąć za jedną z „eskadry z Piccadilly”. Upomniał się w duchu; Ivy była miłą dziewczyną, wcześniej dobrze się czuł w jej towarzystwie, a teraz zachowywał się jak snob. Mimo wszystko prędko się pożegnał i wyszedł.

Na dole zapłacił za pokój. Położył na ladzie suty napiwek i poprosił recepcjonistę, aby ktoś zaniósł na górę śniadanie „dla żony”.

– Oczywiście, sir – mężczyzna uśmiechnął się znacząco pomimo napiwku.

Później tego samego dnia na stacji King’s Cross Teddy wsiadł do pociągu i pojechał do jednostki szkolenia operacyjnego zwanej potocznie OTU ³⁴, skąd miał trafić do jednostki przeszkolenia na samoloty ciężkie, znanej w lotniczym żargonie jako HCU ³⁵. „Wojna bardzo spopularyzowała skrót” – zauważyła Ursula.

Poczuł ulgę, gdy zatłoczony pociąg nareszcie drgnął i ospale ruszył z peronu. Cieszył się, że zostawia za sobą brudne ruiny stolicy. Bądź co bądź, trwała wojna, a on miał w niej wziąć udział. W kieszeni odkrył pomarszczone jabłko i zjadł je dwoma kęsami. Spodziewał się słodkiego mięszu, tymczasem na języku poczuł cierpki smak.

1993

Ci, którzy pozostali

– No dobra, jedno pudło gotowe – oznajmiła Viola z niesmakiem, jakby robiła coś obrzydliwego, na przykład sortowała brudną bieliznę, choć w istocie wypełniła karton czystymi naczyniami. W ręku niczym broń dzierżyła podajnik taśmy samoprzylepnej. Dostrzegła, że Sunny wytrząsa papierosa z paczki i zanim zdążył potrzeć zapałkę, wrzasnęła: „Nie zapalaj!”, jakby zamierzał podpalić lont, a nie zwykłego silk cuta.

– Mam dziewiętnaście lat – mruknął. – Mogę głosować, ożenić się i umrzeć za swój kraj – (Teddy był ciekaw, czy jego wnuk rzeczywiście byłby gotów zrobić którąś z tych rzeczy) – ale nie mogę zająć szluga?

– To wstrętny nałóg.

Teddy miał ochotę przypomnieć jej, że sama kiedyś paliła, wiedział jednak, że mówiąc to, podpaliłby lont innego rodzaju. Nalał więc wody do czajnika, żeby zrobić herbatę facetom z firmy przewozowej.

Sunny klapnął ciężko na sofę. Jej los, podobnie jak los większości mebli Teddy’ego, był przesądzony: nie zmieściłaby się w klitce, w której miał odtąd mieszkać. Musiała mu wystarczyć tandetna dwuosobowa nierozkładana kanapa – „dla gości”, powiedziała Viola, kiedy zamawiała ją z katalogu. On sam miał teraz spać na rozkładanym fotelu („W sam raz dla seniorów”), który – co z czasem niechętnie przyznał – okazał się niezwykle wygodny. Teddy’emu nie podobało się określenie senior; budziło takie same uprzedzenia jak niegdyś słowo młodzież.

Znaczna część dobytku Teddy’ego miała trafić do sklepów charytatywnych. Przyszło mu na myśl, że więcej oddaje, niż zabiera ze

sobą. Całe życie gromadzenia przedmiotów – i po co? Najwyraźniej nie były wiele warte. Wcześniej Teddy podsłuchał Sunny’ego, mówiącego do Violi: „Dziadek ma tyle badziewia”, jakby przechowywanie wyciągów bankowych z minionej dekady i kalendarza sprzed pięciu lat z reprodukcjami japońskich rycin przedstawiających ptaki, który zatrzymał, bo ryciny bardzo mu się podobały, było czymś moralnie nagannym. A Viola spytała go takim tonem, jakby był maluchem, który ma nadmiar zabawek: „Czy ty w ogóle *cokolwiek* wyrzucasz?”.

To prawda, że w ciągu ostatniego roku czy dwóch Teddy zatracił częściowo dawną gospodarność. Zmęczyła go stała konieczność przeprowadzania selekcji i pozbywania się rzeczy materialnych. Łatwiej było pozwolić im się piętrzyć w oczekiwaniu na wielkie sprzątanie, które nadejdzie po jego śmierci. „Nie narzekaj – podsłuchał, jak jego córka poucza Sunny’ego – kiedy w końcu umrze, będzie mniej sprzątania”.

Pomyślał, że niedługo jego córka także się zestarzeje („Jeszcze bardziej” – mruknęła Bertie). Na jej dzieci spadnie ciężar uprzątnięcia jej „badziewia”: łapaczy snów i podświetlanych figurek Matki Boskiej („To ma być ironiczne”), obciętych głów lalek (również „ironia”) oraz magicznych kul „broniących domu przed złem”.

Sunny chyba zasnął. Wyglądał na wyczerpanego, jakby ciężko pracował fizycznie, choć tylko przesunął kilka pudeł. Przerzucał papiery, co pięć minut pytając: „Potrzebujesz tego? A tego? A tego?”, niczym mało pojętna papuga. Wreszcie Teddy musiał powiedzieć: „Zostaw to mnie, Sunny, sam to przejrzę. Dziękuję”. Cała brudna robota spadła na pracowników firmy przewozowej.

Postawił na tacy dwa kubki z herbatą i talerzyk herbatników. Taca, kubki oraz talerzyk miały trafić do Oxfamu. „Masz cztery tace! Cztery! – utyskiwała Viola, jakby Teddy był osobiście odpowiedzialny za

kapitalistyczną nadprodukcję tac. – Nikt nie potrzebuje *czterech* tac. Możesz zabrać tylko jedną”. Teddy wybrał najstarszą, cynową, porysowaną i wytartą, którą miał od niepamiętnych czasów. Należała do nieznanego mu kobiety, która mieszkała i umarła w chatce, gdzie zamieszkali z Nancy zaraz po ślubie. Nazywali ją pieszczotliwie starowinką, jakby była przyjaznym duchem ich domu.

– Taki starość? – zareagowała natychmiast Viola, oglądając tacę ze wzburzeniem. – Dlaczego nie tę ładną bambusową, którą dostałeś ode mnie?

– Ta ma wartość sentymentalną – odrzekł stanowczo Teddy.

Wyszedł z herbatą przed dom, gdzie tragarze zrobili sobie przerwę. Siedzieli na tylnej klapie furgonetki, paląc papierosy i grzejąc się w słońcu. Z wdzięcznością przyjęli poczęstunek.

Sunny powoli otworzył oczy niczym budzący się ze snu kot i zapytał:

– Dla mnie nie zrobiłeś? Okropnie chce mi się pić.

Teddy domyślał się, że Sunny odziedziczył egoizm po swoich rodzicach. Zarówno Viola, jak i Dominic zawsze stawiali siebie na pierwszym miejscu. Nawet śmierć Dominica była samolubna. Sunny potrzebował zachęty, aby stanąć na własnych nogach, odnaleźć swoje miejsce w świecie i zrozumieć, że nie żyje na nim sam, że są jeszcze inni ludzie.

– W kuchni stoi czajnik – zwrócił się do wnuka.

– Wiem – odparł z przekąsem Sunny.

– Tylko nie tym tonem – upomniała syna Viola (Teddy pomyślał, że sama używa identycznego tonu). Przyjęła bojową postawę, krzyżując ręce na piersiach, i łypnęła gniewnie na tragarzy za oknem. „Spójrzcie tylko na tych obiboków! Myślałby kto, że płacimy im za picie herbaty”. To się zaczęło, zanim jeszcze stracili Nancy – odkąd Teddy pamiętał, Viola miała

ludziom za złe, że są zadowoleni, tak jakby cudze szczęście ujmowało coś świata, zamiast go wzbogacać.

– O ile pamiętam, zawsze stawałaś po stronie robotników – zauważył łagodnie. – Zresztą to ja im płacę. Sympatyczne chłopaki, chętnie im *dopłacę*, żeby przez dziesięć minut mogli pić herbatę.

– Wobec tego *ja* wracam do beznadziejnego zadania, jakim jest porządkowanie tego całego bajzlu. Czy ty *wiesz*, ile masz kieliszków? Do tej pory naliczyłam *osiem* kieliszków do brandy. Kiedy ostatni raz potrzebowałam *ośmiu* kieliszków do brandy?

Viola wiodła żywot niechlujny, od jednej katastrofy do drugiej. Może to całe wydziwianie nad tacami i kieliszkami do brandy dawało jej złudne poczucie władzy? Teddy uznał, że wkracza na niepewny grunt taniego psychologizowania.

– Poza tym na pewno nie przydadzą ci się tam, dokąd się wybierasz – ciągnęła. Zabrzmiało to tak, jakby miała na myśli życie pozagrobowe, a nie przeprowadzkę ojca do mieszkania chronionego, chociaż Teddy przypuszczał, że istotnie są to swego rodzaju zaświaty. – Szanse, że zdołasz zgromadzić w swoim nowym mieszkaniu osiem osób i że wszystkie będą miały chęć napić się brandy, są bliskie zeru – stwierdziła Viola.

Teddy pomyślał, że po przeprowadzce mógłby zorganizować wieczorek połączony z degustacją brandy. Dla ośmiu osób, rzecz jasna. A na dowód zrobić zdjęcia i pokazać je Violi.

– Dobrze przynajmniej, że nie masz psa, którego trzeba byłoby się pozbyć.

– Pozbyć się?

– Tam, dokąd się wybierasz, nie wolno trzymać zwierząt. Musiałbyś go komuś oddać.

– Ty mogłabyś go przygarnąć.

– Och, wykluczone! Mam przecież swoje koty.

„Czemu, u licha, dyskutujemy o wymagowanym, nieistniejącym psie?” – zastanowił się Teddy.

– Co za szczęście, że Tinker zdechł – powiedziała. Potrafiła być taka bezduszna.

Nie rozmyślał o tym wcześniej, teraz jednak pojął, że Tinker miał być jego ostatnim psem. W głębi duszy zakładał chyba, że sprawi sobie kolejnego – nie szczeniaka, nie miałyby siły zajmować się szczeniakiem, ale starszego psa, może niechcianego, ze schroniska. Wspólnie dożyliby kresu swoich dni. Od śmierci Tinkera minęły trzy lata. Rak. Weterynarz uspił go, żeby zwierzak nie cierpiał. Dobry był z niego pies, może nawet najlepszy. Foxhound, bardzo rozsądny. Teddy tulił go w ramionach, gdy weterynarz robił zastrzyk, i niezłomnie patrzył psu w oczy, dopóki nie uszło z niego całe życie. Kiedyś tak samo tulił pewnego człowieka. Swojego przyjaciela.

– Lubiłem Tinkera, dziadziu – wtrącił nieoczekiwanie Sunny, jakby znów miał sześć lat. – Brakuje mi go.

– Wiem, chłopcze. Ja też za nim tęsknię – rzekł Teddy. Poklepał wnuka po ramieniu. – Co powiesz na filiżankę herbaty?

– A ja? Mnie nie zaproponujesz? – odezwała się Viola tym swoim sztucznym szczebiotem, którego używała, chcąc podkreślić, że stanowią jedną szczęśliwą rodzinę. („Której jedyną funkcją jest dysfunkcja”, jak mawiała Bertie).

– Ależ oczywiście, że zaproponuję – odparł Teddy.

W 1960 roku przenieśli się do Yorku. Po Mysiej Chatce nastały czasy dzierzawionego gospodarstwa w Ayswick, gdzie Viola spędziła pierwsze lata życia. Po przeprowadzce do Yorku Teddy dotkliwie tęsknił za wsią. To było jak otwarta rana w jego sercu, ale w obliczu innych, głębszych ran musiał się wziąć w garść. W końcu nawet polubił York.

Zamieszkali w bliźniaku na przedmieściach, podobnym do tysięcy innych w tym kraju – tynk kamyczkowy, podrabiany styl Tudorów, szyby w kształcie rombów w wykuszowych oknach, rozległy ogród wokół domu. Viola spędziła tam połowę dzieciństwa – niewątpliwie tę najgorszą – chociaż zawsze zachowywała się tak, jakby nic dla niej nie znaczyło. Może i nie znaczyło. Jako wiecznie nadąsana nastolatka nie mogła się wręcz doczekać, żeby się wyrwać z jego czterech ścian (uważała ich dom za nudny i konwencjonalny, w dodatku przypominał jej pudełko po butach). Gdy wreszcie wyjechała na studia, Teddy odniósł wrażenie, że wraz z nią zniknął przytłaczający go mrok. Wiedział, że ją zawiódł, nie był tylko pewien czym. („A nie pomyślałeś nigdy, że mogło być na odwrót? – spytała go kiedyś Bertie. – Że to ona zawiiodła ciebie?”). „To tak nie działa” – odpowiedział).

Teraz miał zamieszkać w Fanning Court, kompleksie mieszkań chronionych dla seniorów. Kojarzyło mu się to ze schroniskiem dla starych psów albo koni. „Nie wygłupiaj się – ofuknęła go Viola. – Będziesz tam o wiele bezpieczniejszy niż tutaj”. Teddy nie potrafił sobie przypomnieć czasów, gdy córka nie traktowała go jak zawałidrogi. Przypuszczał, że z czasem będzie coraz gorzej. Już od pewnego czasu wierciła mu dziurę w brzuchu w związku z tą przewodzką, stale powtarzając, że ktoś „powinien mieć na niego oko”.

– Mam dopiero siedemdziesiąt dziewięć lat – protestował Teddy. – Potrafię sam o siebie zadbać. Jeszcze nie zdziecinniałem.

– *Jeszcze nie* – podkreśliła Viola. – Prędzej czy później będziesz musiał się tam przenieść, więc po co czekać? Nie możesz chodzić po schodach i z całą pewnością nie dajesz sobie rady z ogrodem.

Teddy uważał, że akurat z ogrodem radzi sobie doskonale – z niewielką pomocą człowieka, który zaglądał raz na tydzień, żeby wykonać cięższe

prace, a latem skosić trawę. W głębi rosły drzewa owocowe, kiedyś był też spory warzywnik. Teddy sam wszystko uprawiał: ziemniaki, marchew, cebulę, fasolę, maliny, czarne porzeczki. W szklarni pomidory i ogórki. Wybudował niewielki wybieg dla kur, przez kilka satysfakcjonujących lat prowadził pasiekę. Ostatnio miejsce grządek zajął trawnik z łatwymi w uprawie krzewami i kwiatami, głównie różami. Latem Teddy wciąż wysiewał słodki groszek, jesienią sadił dalie, chociaż z roku na rok kosztowało go to coraz więcej wysiłku. Wiedział, że utrata ogrodu będzie dla niego bolesna. Po przeprowadzce do Yorku sądził, że ten skrawek zieleni nigdy mu nie zastąpi wiejskich krajobrazów, które musieli porzucić. Mylił się. Co teraz zastąpi mu ogród? Kilka doniczek na balkonie, jakaś skrzynka na parapecie? Serce mu się ścisnęło.

Viola od lat nie przestawała gadać o organicznej żywności i o tym, jak zdrowo karmi swoje dzieci. Mimo to najwyraźniej nie docierało do niej, że sama na takiej żywności wyrosła. Na owocach i warzywach prosto z ogrodu. Oburzała się, mówiąc: „Jakim cudem mogły być organiczne?“, tak jakby nikt przed nią nie znał naturalnych nawozów i wartości ciężkiej pracy. Jako dziecko nie interesowała się pszczelarstwem, niechętnie karmiła kury i wybierała jajka. Twierdziła, że w ogrodzie dostaje kataru siennego. Ciekawe, czy latem nadal go miała?

– Nadal masz alergię? – zainteresował się.

– Pozwoliłabym ci ze sobą zamieszkać – ciągnęła, jakby w ogóle się nie odezwał („Pozwoliłabym” – pomyślał Teddy) – ale u mnie jest tak ciasno, no i oczywiście nie dałbyś rady chodzić w tę i z powrotem po schodach. Moje mieszkanie zwyczajnie nie nadaje się dla seniora.

Kilka lat wcześniej Viola wyjechała z Yorku do Leeds. W Yorku najpierw pracowała w referacie świadczeń społecznych (Teddy nie miał pojęcia, co to właściwie jest), potem dostała posadę mediatora rodzinnego

w Leeds. To również wydawało mu się dość tajemniczym zajęciem, w dodatku takim, do jakiego – zważywszy na nazwę – Viola średnio się nadawała. Naturalnie głównym bodźcem do przeprowadzki było małżeństwo z Wilfem Romainem. („Wzięliśmy potajemny ślub” – ekscytowała się w wywiadzie udzielonym w 1999 roku miesięcznikowi „Woman and Home”. Teddy nie był pewien, czy to przystoi kobiecie po trzydziestce, w dodatku z dwojgiem małych dzieci).

Obecnie mieszkała w Whitby i o ile się orientował, żyła z zasiłku, chociaż nigdy o tym nie rozmawiali. Za pieniądze otrzymane po rozwodzie z Wilfem kupiła starą chatkę rybacką. Miała czterdzieści jeden lat i przez większość czasu żyła na koszt innych: Teddy’ego, rodziny Dominica („Jałmużna!”), wreszcie Wilfa, z którym małżeństwo zakończyło się katastrofą. „Gdybym wiedziała, jak to jest – oświadczyła gniewnie, jakby to była czyjaś wina – zrezygnowałabym z macierzyństwa oraz męczyzn i zaraz po studiach zajęłabym się karierą. Teraz byłabym dyrektorką w BBC albo jakąś szycią w MI5”. Teddy mruknął coś wymijająco.

Chatka w Whitby miała tylko cztery pokoje, spiętrzone krzywo jeden nad drugim. Teddy nie byłby zdziwiony, gdyby się okazało, że Viola zadała sobie mnóstwo trudu, aby znaleźć lokum kompletnie nienadające się dla seniorów. Tak jakby kiedykolwiek poważnie myślał o tym, żeby z nią zamieszkać! („Byłby to los gorszy od śmierci” – orzekła Bertie).

Viola pisała. Teddy nie był pewien, co to dokładnie znaczy, i wolał się nie dopytywać – nie dlatego, że go to nie interesowało, ale ponieważ Viola robiła się opryskliwa, ilekroć ktoś oczekiwał od niej wyczerpujących odpowiedzi. Sunny był taki sam, nawet najniewinniejsze pytania wyprowadzały go z równowagi. „To co ostatnio porabiasz?” – zagadnął Teddy wnuka, gdy ten zjawił się rano, aby – z wielkim ociąganiem – pomóc przy przeprowadzce. Na każde pytanie dotyczące planów na przyszłość

Sunny reagował wzruszeniem ramion, ciężkim westchnieniem i burknięciem: „Różne rzeczy”.

– Wykapany ojciec – narzekła Viola. („Skąd – pomyślał Teddy – wykapana matka”). – Ten chłopak wpędzi mnie do grobu. Wcale nie wydorósł, po prostu wyrósł. Naturalnie w dzisiejszych czasach zdiagnozowano by u niego dysleksję i jakiegoś rodzaju nadaktywność. Dyspraksję. Może nawet autyzm.

– Autyzm? – powtórzył Teddy. Niewiarygodne, jak niefrasobliwie potrafiła zrzucić z siebie odpowiedzialność. – Zawsze wydawał mi się zupełnie normalnym dzieckiem. – Nie była to do końca prawda. Sunny szedł przez życie, potykając się o własne nogi, ale ktoś musiał stanąć w jego obronie. Gdyby to Teddy miał postawić diagnozę, uznałby, że jego wnuk jest po prostu nieszczęśliwy. Kochał Sunny’ego do bólu. Bał się o niego, o jego przyszłość. Miłość do Bertie była mniej skomplikowana, pełna optymizmu. Wnuczkę cechowała radosna inteligencja, która czasem przywodziła mu na myśl Nancy (Viola nigdy mu jej nie przypominała). Istne żywe srebro, ta sama wrodzona wesołość. W jego wspomnieniach Nancy była obdarzona żywszym temperamentem niż za życia, to fakt.

– *A to co?!* – W głosie Violi brzmiało święte oburzenie, jakby prostokątny karton zawierał dowód jakiegoś straszliwego przestępstwa. Nieotwarte pudełko zdobił obrazek młynka do kawy.

– Młynek do kawy – odparł Teddy spokojnie.

– Ten sam, który dostałeś ode mnie na Gwiazdkę. Nawet go nie rozpakowałeś!

– To prawda.

– Twój stary młynek ma ze sto lat! Mówiłeś, że przydałby ci się nowy. – Zaczęła szarpać drzwiczki szafek kuchennych i zaglądać do środka, by wreszcie wydobyć z jednej z nich dowod winy. – Młynek do kawy! *Sam* go

sobie kupiłeś? To ja wydaję pieniądze, których zresztą nie mam, na *prezent* dla ciebie, a ty... Zaraz, chwileczkę. – Wystawiła przed siebie otwartą dłoń, jakby chciała zatrzymać nadjeżdżający czołg. – Chwileczkę. No jasne...

Sunny przywłókł się do kuchni i jęknął: „O co znowu chodzi tej histeryczce?”. Viola pokazała mu nieotwarte opakowanie z młynkiem do kawy. – *Niemiecki* – oznajmiła triumfalnie, jakby byli w sądzie, a ona właśnie zaprezentowała koronny dowód oskarżenia.

– I co z tego? – nie zrozumiał Sunny.

– Krupps – wtrącił Teddy.

– No i? – mruknął Sunny.

– On nie kupuje niemieckich produktów – zwróciła się do syna Viola. – Ze względu na *wojnę*. – Wymówiła to słowo sarkastycznie, jakby spierała się z ojcem o długość spódniczki, intensywność makijażu lub woń nikotyny w swoim oddechu. Gdy była nastolatką, każdy z tych tematów wzbudzał gorące dyskusje.

– Rodzina Kruppów wspierała nazistów – wyjaśnił Sunny’emu Teddy.

– Zaraz się zacznie wykład z historii – burknęła Viola.

– Ich zakłady wytwarzały stal – ciągnął Teddy, nie zwracając na nią uwagi. – Stal to podstawa każdej wojny. – Kilkakrotnie zbombardował (a raczej usiłował zbombardować) zakłady Kruppa w Essen. – Korzystali z niewolniczej siły roboczej. Zatrudniali też Żydów z obozów koncentracyjnych.

– Wojna skończyła się prawie pół wieku temu – zauważyła Viola. – Nie sądzisz, że czas o niej zapomnieć? Poza tym (w przypadku Violi zawsze było jakieś poza tym) wielu robotników w bombardowanych przez ciebie fabrykach także niewolniczo pracowało i było Żydami. To się nazywa ironia losu – zakończyła triumfalnie. Sprawa zamknięta, ława przysięgłych przekonana.

Pierwszym samochodem, jaki Viola kupiła po swojej „emancypacji” od Dominica (oraz czterech nieudanych podejściach do egzaminu na prawo jazdy), był używany volkswagen beetle. Gdy Teddy wymamrotał coś na temat tego, że powinno się kupować brytyjskie produkty, jego córka zasypała go oskarżeniami o ksenofobię. Później, gdy mieszkał od dobrych kilku lat w Fanning Court, należąca do wyposażenia lokalu tania kuchenka wyzionęła ducha. Viola bez porozumienia z Teddym zamówiła w Currys nowiutkiego siemensa. Gdy tragarze dostarczyli mu nową kuchenkę, poprosił ich (bardzo grzecznie), aby zapakowali ją na furgonetkę i zwrócili do sklepu.

– Domyślam się, że Siemensa też zbombardowałeś? – spytała z przekąsem Viola.

– Owszem.

Pamiętał Norymbergę (jak mógłby zapomnieć!), swój ostatni lot i słowa kobiety w stopniu oficera wywiadu, która na odprawie poinformowała ich, że zakłady Siemensa produkują szperacze, silniki elektryczne i „tym podobne rzeczy”. Po wojnie Teddy dowiedział się, że wytwarzano w nich również piece krematoryjne dla obozów koncentracyjnych, i zastanawiał się, czy to pieców dotyczyło wyrażenie „tym podobne rzeczy”. Podczas wojny poznał koleżankę Bei imieniem Hannie, uciekinierkę z Niemiec, i chociaż wiedział, że dla niej jest to już bez znaczenia, z myślą o niej zdobył się na ten – w sumie dość błahy – gest dezaprobaty wobec Currys. Sześć milionów to tylko liczba, ale Hannie miała twarz, zresztą bardzo ładną, i malutkie szmaragdowe kolczyki („Są sztuczne!”). Grała na flecie, używała perfum Soir de Paris i zostawiła w Niemczech rodzinę. Zachodziło podejrzenie, że żyła, gdy wrzucano ją do pieca w Auschwitz. („Tak by się chciało im wybaczyć – powiedziała przed laty Ursula – a potem myśli się o biednej Hannie”). Dlatego też Teddy wcale nie uważał, że musi się

tłumaczyć ze swojej niechęci do niemieckiej kuchenki. Ani z tego, że kiedyś bombardował w Niemczech wszystko, jak popadło. Nie była to do końca prawda i może by nawet to przyznał, gdyby toczył spór z kimś mniej nieprzejednanym niż jego córka. Owszem, zabijał kobiety, dzieci i starców, tych, których społeczeństwo i moralność nakazywały chronić. Każda wojna miała swoje niewinne ofiary. W dzisiejszych czasach mówiło się o nich „ofiary cywilne”, ale tamci cywile nie mieli być ofiarami, to nie oni stanowili cel. Tym właśnie stała się wojna: już nie wojownik zabijał wojownika, tylko jeden człowiek drugiego człowieka. Każdego człowieka.

Nie zdradził się przed Violą ze swoimi redukcjonistycznymi poglądami, bo zbyt łatwo by się z nimi zgodziła, nie rozumiejąc, na czym polegał wymuszony przez wojnę straszliwy kompromis. Gdy wynik bitwy jest wciąż niewiadomy, nie czas na skrupuły. W zasadzie Teddy był wciąż pewien jednego: walczyli po właściwej stronie, po stronie dobra. Bądź co bądź, jaki mieli wybór? Po drugiej stronie był koszmar Auschwitz i Treblinki. I wrzucona do pieca Hannie.

Zerknął na Sunny'ego, który stał oparty o zlew. Wiedział, że nigdy nie zdoła mu tego wyjaśnić.

„Stare pryki” – zżymał się w myślach Sunny, obserwując przedłużającą się sprzeczkę. Przypominało to grę w ping-ponga. Pamiętał, że jako dziecko z przyjemnością grał w ping-ponga (raz na pewno), choć nie miał całkowitej pewności, czy kiedykolwiek był dzieckiem. Spędzali letnie wakacje we trójkę: on, Bertie i dziadek Ted, w jakimś wielkim, starym, zrujnowanym domu. Stół do ping-ponga stał w garażu albo w stodole. Najlepsze wakacje jego życia. Były tam też konie („Osły” – poprawiła go Bertie) i jezioro („Staw”).

Starzy w kuchni dalej mełli. Językami. Cha, cha.

– Więc wolałeś sobie kupić młynek Philipsa? – złościła się Viola. – Chcesz mi powiedzieć, że *oni* nie ubrudzili sobie rąk w czasie wojny? Wszyscy ubrudzili sobie ręce w czasie wojny.

– Ich ręce były akurat w miarę czyste – stwierdził Teddy. – Frits Philips został po wojnie uhonorowany medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. To znaczy, że pomagał Żydom – zwrócił się z wyjaśnieniem do Sunny’ego.

– Ha! – prychnęła lekceważąco Viola – widomy znak, że zabrakło jej argumentów.

Sunny ziewnął i powlókł się do salonu.

Viola zrejterowała do ogrodu. Nie był tak zadbany jak dawniej, ale zobaczyła, że ojciec wciąż jest wprost chorobliwie pedantyczny. Fasolka rosła równymi rzędami wsparta na prostych tyczkach, krzewy różane rozrastały się zdrowo. Na trumnie matki zamiast gotowego wieńca z kwaciarni ojciec złożył bukiet róż z ich ogrodu. Pamiętała, co wówczas pomyślała: że matka zasłużyła na coś wystawnego i strojnego, przygotowanego bardziej wprawną ręką. „Domowy bukiet jest ładniejszy” – powiedział ojciec. Viola miała całkiem odmienne zdanie.

Ojciec nie cierpiał rozrzutności, Viola zaś nie pojmowała, czemu to taki straszny grzech. Uważał, że nie powinno się wyrzucać niczego, co nadal działa. (Głos Rozsądku!). Puste opakowania po jogurtach i puszki nadawały się na doniczki do sadzonek. Z czerstwego pieczywa i ciasta dało się zrobić pudding, resztki mięsa zemleć. (Kto jeszcze trzyma w domu maszynkę do mięsa?!). Ojciec ciął stare wełniane swetry na kawałki i wypychał nimi poduszki. Robił dzemy i sosy, z czego tylko się dało. Ilekroć wychodziło się z pokoju, należało zgasić światło i zamknąć drzwi, czego Viola z uporem nie robiła. Jako dziecko nigdy nie miała zwykłego papieru do rysowania, dostawała nieużyte kawałki starych tapet. („Wystarczy odwrócić je na

drugą stronę, znakomicie się nadają do rysowania”). Do mycia okien służyły ocet i stare gazety. Najdrobniejsze resztki jedzenia lądowały w pojemniku z kompostem albo karmiono nimi ptaki. Ojciec wyciągał włosy ze szczotek oraz grzebieni i wykładał je w ogrodzie, żeby ptaki miały czym wyściełać gniazda. Miał bzika na punkcie ptaków.

Nie był sknerą, to musiała przyznać. W domu zawsze było ciepło – za ciepło, rozkręcał ogrzewanie na cały regulator. Dawał jej też szczodre kieszonkowe i pozwalał, by sama wybierała sobie ubrania. Jedzenia nigdy im nie brakowało. Wkurzało ją jednak, że niemal wszystkie produkty pochodziły z ogrodu: owoce, jajka, warzywa, miód. Wyjątek stanowiło mięso – kupowało się je u rzeźnika. Ojciec nie potrafiłby zabić kury. Pozwalał im zdychać ze starości, co było idiotyczne, w końcu dorobił się stadka starych kur.

Viola spędzała w ogrodzie niekończące się letnie godziny niczym wieśniaczka w polu, z rękami lepкими od czerwonych i czarnych porzeczek albo malin. Podrapana przez agrest, pożądlona przez osy, pocięta przez kleszcze, zniesmaczona widokiem ślimaków i dżdżownic. Dlaczego nie mogli kupować jedzenia w rzęsiście oświetlonych supermarketach, wybierać kolorowych opakowań, lśniących świeżością owoców i warzyw sprowadzanych z daleka i zrywanych przez kogoś innego?

Jeśli miała być ze sobą całkiem szczerą – trzeba przyznać, że rzadko jej się to zdarzało – ostatnimi czasy brakowało jej tych jakże kiedyś znienawidzonych domowych posiłków. Ojciec przejął książki kucharskie Nancy i własnoręcznie przyrządzał niedzielną pieczeń wołową, robił gulasze, piekł szarlotki i ciasta z rabarborem oraz kruszonką. Wszyscy jej powtarzali, że ma fantastycznego tatę. Jej nauczyciele go uwielbiali, trochę dlatego, że uwielbiali Nancy, a także dlatego, że tak sprawnie wziął na

siebie rolę matki. Viola nie chciała, żeby jej matkował – chciała, żeby robiła to Nancy.

(„Wcześniej staliśmy się zwolennikami ruchu Zielonych. Dorastałam w samowystarczalnym gospodarstwie, bardzo ekologicznym. Sami uprawialiśmy owoce i warzywa, stosowaliśmy recykling. Wyprzedzaliśmy swoje czasy, jeśli chodzi o ochronę środowiska naturalnego” – przeczytał ze zdumieniem Teddy w wywiadzie udzielonym przez Violę kolorowemu dodatkowi niedzielnemu niedługo przed swoimi przenosinami z Fanning Court do domu opieki).

Ojciec przeczytał *Milczącą wiosnę*, kiedy tylko się ukazała, niedługo po śmierci matki. Oczywiście egzemplarz został wypożyczony z biblioteki. (Czy kiedykolwiek zdarzyło mu się *kupić* jakąś książkę? „Powinniśmy wspierać biblioteki publiczne, w przeciwnym razie przestaną istnieć”). Śmiertelnie zanudzał Violę, czytając jej na głos wybrane fragmenty. To wtedy tak mu odbiło na punkcie ptaków ogrodowych. W karmniku siedziała ich teraz spora gromadka, każdy inny. Viola nie miała pojęcia, jak się nazywają.

Wróciła do kuchni – nareszcie pustej, dzięki Bogu! Zaczęła wyjmować naczynia i układać je w kartonach: osobno te, które miały pojechać do Fanning Court, osobno te przeznaczone dla sklepów charytatywnych. (Kto potrzebuje czterech półmisek z pokrywką czy choćby jednej wazy?).

Wszystko w tej kuchni zdawało się przywoływać wspomnienia. Naczynia żaroodporne przypominały Violi przyrządzane w nich zapiekanki z wołowiną i ziemniakami oraz puddingi ryżowe. Z tych wstrętnych szklanek z marszczonego szkła w zielonkawym kolorze, który sprawiał, że ich zawartość zawsze wyglądała nieświeżo, co wieczór przed snem piła mleko. Ojciec podawał do niego dwa okrągłe herbatniki, najzwyklejsze, jakie były w sprzedaży, podczas gdy jej marzyły się smakołyki w rodzaju

herbatników z nadzieniem pomarańczowym albo w czekoladzie. Upór, z jakim Teddy obstawał przy herbatnikach bez dodatków, wiele mówił o jego surowej moralności. („Dbam tylko o twoje zęby”). No tak, i jeszcze ta porcelana z wytwórni Midwinter kupiona w nagłym przypływie melancholii! We wzorze zdobiącym serwis obiadowy zawierało się całe życie. (Zgrabne zdanie; postanowiła je zapamiętać). Pewnego dnia cały ten chłam miał zasłużyć na miano artykułów w stylu retro. Viola pluła sobie w brodę na myśl, że spakowała je i bez żalu oddała do sklepu charytatywnego.

Ojciec robił wrażenie okropnie staroświeckiego, chociaż musiał być kiedyś jak nowy. To też było zgrabne zdanie. Postanowiła je także zapamiętać; a nuż kiedyś się przyda? Viola pisała powieść. Bohaterką była młoda dziewczyna, błyskotliwa i przedwcześnie dojrzała, osiłą fabuły zaś jej trudne relacje z owdowiałym ojcem. Pisała potajemnie, jak wszyscy pisarze. Nie potrafiła o tym mówić. Wyczuwała, że gdzieś w niej mieszka lepsza osoba od tej, która nieustannie próbowała karać świat za jego przewinienia (podczas gdy jej własne zasługiwały na najsurowszą nagane). Może dzięki pisaniu tej osobie uda się wreszcie wydostać na światło dzienne?

Upuściła porcelanowy dzbanuszek do mleka: rozbił się na kilka kawałków.

– Kurwa mać – powiedziała ciszej, niż zamierzała.

* * *

Teddy pozwolił Violi wystawić kilka większych elementów umeblowania domu na aukcję, gdzie – jak stwierdziła – „poszły za grosze”. Fortepian Nancy, kredens Bertie. Bezcenne przedmioty. Fortepian był rozstrojony

i zanedbany, od dawna nikt na nim nie grał. Po śmierci Nancy Viola zarzuciła lekcje pianina (i tak nie miała do tego zdolności).

Ilekcroć Teddy wspominał Nancy, często wyobrażał ją sobie siedzącą przy fortepianie. A wspominał ją codziennie, podobnie jak tyle innych osób. Nieprzebrane zastępy umarłych... Uważał, że zachowanie ich w pamięci jest swego rodzaju obowiązkiem. Nie zawsze miało to związek z miłością.

Pamiętał, jak pod sam koniec wszedł do salonu i zastał ją przy fortepianie. Grała Chopina. Skojarzyło mu się to z jednym z obrazów Vermeera oglądanych w National Gallery: kobieta w pokoju, wirginał. Nie pamiętał wszystkich szczegółów, od jego ostatniego pobytu w Londynie minęło wiele lat. „Kobieta zaskoczona przy fortepianie” – pomyślał wtedy na widok Nancy. Z łatwością mógł ją sobie wyobrazić jako postać zamieszkującą któreś z chłodnych, niezagraconych wnętrz Vermeera. Czytając list, nalewając mleko. Ład i porządek. Gdy wszedł do pokoju, zaskoczona poderwała głowę znad klawiatury, jakby całkiem zapomniała o jego istnieniu. Miała ten swój enigmatyczny wyraz twarzy, jaki niekiedy u niej widywał, jakby zablądziła we własnych myślach. Tajemnicza Nancy.

Serce ścisnęło mu się boleśnie, gdy tragarze wynosili fortepian. Kochał Nancy, choć może nie tak, jak by to jej odpowiadało. Na świecie żył z całą pewnością ktoś, z kim byłaby szczęśliwsza. Ale że kochał, nie ulegało wątpliwości. Nie była to co prawda romantyczna, rycerska miłość pełna namiętych uniesień, raczej coś znacznie bardziej stałego i niezawodnego.

Z żalem pożegnał się także z kredensem Gertie. Oryginalnie należał do Shawcrossów i zajmował poczesne miejsce w jadalni w Jackdaws. Wykonano go w stylu Arts and Crafts ³⁶, od dawna niemodnym, który jednak miał wrócić do łask – niestety, za późno dla Violi, która zawsze uważała ów mebel za brzydki i przygnębiający. Piętnaście lat później, w 2008 roku zobaczyła bliźniaczy egzemplarz – a może ten sam? –

w programie telewizyjnym *Antiques Roadshow* i wściekła się na myśl, że mogła go zatrzymać, zwłaszcza że wyceniono go na zawrotną kwotę. „Nigdy bym się go nie pozbyła – oznajmiła wówczas swojej córce Bertie – ale *on* strasznie na to nalegał”. Im Teddy był starszy, tym częściej Viola mówiła o nim „on”, jakby widziała w ojcu patriarchalnego Boga, który ją prześladował.

– Gdzie jest ten twój mały złożony zegar podróżny? – zapytała teraz, rozglądając się po niemal całkiem ogołocym salonie. – Nie pamiętam, żebym go pakowała. – Przed laty zegar należał do Sylvie, a wcześniej do jej matki. Po śmierci Sylvie dostał się Ursuli, ta zaś podarowała go Teddy’emu. W ten oto sposób wędrował sobie w dół pnia ich drzewa genealogicznego. „Wiesz – odezwała się Viola z udawaną nonszalancją – jeżeli go nie chcesz, chętnie cię od niego uwolnię”. Była fatalną kłamczuchą, święcie przekonaną o swojej umiejętności zwodzenia innych, podczas gdy nikt nie miał wątpliwości, kiedy mijała się z prawdą. Skoro potrzebowała pieniędzy, dlaczego zwyczajnie go nie *poprosiła*? Stale oczekiwała prezentów. Zupełnie jakby miała w sobie jakiś głód, którego nie dawało się zaspokoić. Głód ten czasem podsyczał w niej chciwość.

Zegar był znakomitej jakości, sygnowany przez Frodshama i sporo wart. Teddy wiedział, że jeśli odda go Violi, ta natychmiast go sprzeda albo gdzieś zapodzieje, albo popsuje, a dla niego było ważne, aby pozostał w rodzinie jako rodowa pamiątka. Scheda. („Jakie śliczne słowo!” – zachwyciła się Bertie). Lubił myśleć, że maleńki złoty kluczyk, którym się go nakręcało – a który Viola niemal na pewno by zgubiła – będzie się wciąż obracał w dłoni kogoś należącego do rodziny, w kim będzie płynęła także jego krew. Czerwona nić. Dlatego też podarował zegar Bertie, gdy ta odwiedziła go po raz ostatni. Powinien był oddać wnuczce również tamten kredens; świetnie by się komponował w jej domku urządzonego w stylu

Arts and Crafts, gdzie zamieszkała z bliźniętami i porządnym facetem, którego poślubiła – lekarzem przypadkowo spotkanym na moście Westminsterkim w czasie tygodnia obchodów diamentowego jubileuszu królowej Elżbiety II. Wiele lat później, gdy Bertie wyszła za mąż i zamieszkała we wspomnianym domku we wschodnim Essex, oddała zegar do wyceny, chcąc go ubezpieczyć, i okazało się, że jest wart astronomiczne trzydzieści tysięcy funtów. Ilekroć Viola ją odwiedzała, Bertie musiała ukrywać przed nią swój złoty skarb i wyciszać jego mechanizm. Teddy wówczas od dwóch lat spoczywał już w grobie. Nie miał okazji odwiedzić domku Bertie w stylu Arts and Crafts i zobaczyć starego zegara wytrwale odliczającego czas na gzymsie jej kominka.

– Już go zapakowałeś? – zapytała oskarżycielskim tonem Viola.

Teddy wzruszył niewinnie ramionami i odparł:

– Pewnie tak. Jest na dnie któregoś pudła.

Kochał Violę tak, jak tylko rodzic może kochać dziecko, ale nie była to lekka praca.

* * *

– Zanim wystawimy dom na sprzedaż, trzeba go będzie trochę odmalować – powiedziała Viola. – Agent nieruchomości twierdzi, że z łatwością znajdzie nabywcę. – (Rozmawiała z agentem nieruchomości? Za jego plecami?). – Dzięki temu będziesz miał za co dożyć kresu swoich dni. – Czy to właśnie miał odtąd robić? Dożywać kresu swoich dni? Oczywiście w pewnym sensie robił to od urodzenia, jak każdy, komu się poszczęściło i nie umarł przy narodzinach.

– Nowy dom – mówiła dalej Viola. – Nowy początek. To będzie... – szukała odpowiedniego słowa.

– Trudne? – podsunął Teddy. – Bolesne?

– Chciałam powiedzieć: „mobilizujące”.

Teddy nie miał ochoty zaczynać niczego od nowa i wątpił, aby kiedykolwiek poczuł się w Fanning Court jak w domu. Budynek był ciągle nowy, pachnący świeżą farbą i wykładziną ogniotrwałą. Mieszkanie, które kupił, było jednym z ostatnich dostępnych w całym kompleksie. („Miałeś szczęście, że udało ci się na nie załapać” – stwierdziła Viola). Dobrze przynajmniej, że lokal nie miał poprzedniego właściciela, który opuścił go nogami do przodu. W takich miejscach musiała być spora rotacja, prawda? „To tylko punkt przesiadkowy, Teddy – usłyszał od jednego ze swoich (nielicznych już) znajomych imieniem Paddy. – Coś jak kolejna stacja drogi krzyżowej”. Teddy przekroczył niewidzialną granicę, za którą zna się więcej ludzi umarłych niż żywych. Ciekawe, kto odejdzie ostatni? Miał nadzieję, że nie on. „Następny przystanek: dom opieki – mruknął Paddy. – Za nic nie chciałbym tam trafić. Wolałbym już, żeby mnie uśpili jak psa”. „Ja też” – przyznał Teddy.

Ogólnodostępne pomieszczenia w Fanning Court urządzone w pastelowych odcieniach różu i rozbielonego beżu, ściany korytarzy zdobiły neutralne reprodukcje obrazów impresjonistów. Mało prawdopodobne, aby ktokolwiek im się przyglądał. Sztuka jako tapeta. „Ślicznie tu, prawda, tato? – zagadnęła go z wymuszonym optymizmem Viola, gdy pierwszy raz tam pojechali. – Człowiek czuje się jak w hotelu. Albo na statku wycieczkowym”. Kiedy to ona płynęła jakimś statkiem wycieczkowym? Przerazająco zdeterminowana powiedziałaaby wszystko, byleby mu się spodobało w Fanning Court.

Oprowadzała ich oddziałowa, niejaka Ann Schofield, która na wstępie poprosiła: „Mów mi Ann, Ted”. („A ty mów mi panie Todd” – odparował w myślach Teddy). Przypomniała mu się powieść *Strażnik* Trollope’a: oto miał się stać pensjonariuszem Fanning Court, współczesnego przytułku. Co

prawda Ann Schofield nie była w żaden sposób podobna do Septimusa Hardinga. Piersiasta i zaaferowana, o niespożytych pokładach energii, czemu zdawał się przeczyć rozwlekły akcent z Midlands („Urodziłam się w Birmingham i jestem z tego dumna”). – Stanowimy tu jedną wielką, szczęśliwą rodzinę – powiedziała z wyraźnym naciskiem, jakby Teddy mógł się okazać czarną owcą.

Oddziałowa szła przodem. Miała ogromny tyłek; Teddy zganił się w myślach za swój brak galanterii, ale trudno było tego nie zauważyć. „Wygląda jak Gruby Zawiadowca” – śmiała się Bertie, gdy pierwszy raz odwiedziła go w Fanning Court. Uwielbiała bajki z serii *Tomek i przyjaciele*, uwielbiała wszystkie książki. Była teraz na pierwszym roku w Oksfordzie, w tym samym kolegium co Teddy, obecnie koedukacyjnym. Studiowała zresztą ten sam przedmiot co on. Była jego spuścizną, przesłaniem dla świata.

Najpierw zwiedzili pokój rekreacyjny. Grupka starszych osób grała tam w brydża.

– Widzisz, tato? – szepnęła Viola. – Też lubisz grać w karty, prawda?

– No cóż... – zaczął Teddy.

– Och, mamy tu wszelkiego rodzaju rozrywki – wtrąciła Ann Schofield.

– Brydż, jak widać, domino, scrabble, kręgle, teatr amatorski, koncerty. W każdą środę poranki przy kawie...

Teddy się wyłączył. Dokuczał mu skurcz w nodze, chciał wrócić do domu, zaparzyć sobie filiżankę herbaty i obejrzeć *Countdown*. Nie przepadał za telewizją, lecz lubił teleturnieje – te porządnie przygotowane, z cichą publicznością w średnim wieku. Dodawały mu otuchy, stanowiąc jednocześnie wyzwanie umysłowe. Czegóż więcej można oczekiwać od życia w jego wieku?

Do końca wycieczki było jednak daleko. Kolejnym punktem programu okazała się nagrzana i wilgotna pralnia zastawiona wielkimi pralkami i suszarkami, następnym (w sumie dość śmierdzący) śmietnik z kontenerami przemysłowymi, do których nieostrożny senior mógłby z łatwością wpaść. „Urocze” – mruzczała Viola. Teddy spojrzał na nią. „Urocze?” – pomyślał. Wyglądała, jakby jej odbiło. Zwiedzili jeszcze „aneks kuchenny”, w którym pensjonariusze mogli przyrządzać gorące napoje, gdy „integrowali się” w pokoju rekreacyjnym. Wszędzie ludzie uśmiechali się na ich powitanie i pytali Teddy’ego, kiedy się wprowadza.

- Będziesz miał nowych przyjaciół – zauważyła pogodnie Viola.
- Starym nic nie dolega – burknął Teddy, ledwo się za nią wlokąc.
- Oprócz tego, że większość z nich nie żyje.
- Dzięki, że mi o tym przypominasz.
- Wszystko w porządku? – Ann Schofield zerknęła na nich przez ramię, wyczuwając rodzący się w szeregach bunt.

Z naprzeciwka przykuśtykała staruszka z balkonikiem.

– Dzień dobry, zamierza pan do nas dołączyć? – zwróciła się radośnie do Teddy’ego.

Przypominało to jakąś sektę. Teddy’emu przyszedł do głowy serial z lat sześćdziesiątych, który Viola tak lubiła oglądać. *Więzień*. Serce w nim zamarło. To miało być jego więzienie. Więzienie z prawdziwą oddziałową.

Idąc, spotykali kolejne kobiety. Były wszędzie. Dopiero po przeprowadzce Teddy zdał sobie sprawę, że niemal wszyscy pensjonariusze Fanning Court są płci żeńskiej. Staruszki natychmiast go polubiły – kobiety zawsze miały do niego słabość. Naturalnie był wówczas jeszcze całkiem dziarski i samowystarczalny, jego towarzyszkę zaś należały do pokolenia, które zachwycało się każdym mężczyzną, który tylko potrafił nastawić czajnik. Wprawił w drzenie sporo serc w Fanning Court, przy czym

szczęśliwie udało mu się uniknąć sideł romantycznych intryg, bo choć z pozoru wszyscy traktowali się z wielką uprzejmością, za fasadą pastelowych ścian aż kipiało od plotek i uszczypliwości. Teddy, nadal przystojny jako osiemdziesięciolatek (zwłaszcza jeśli było się kobietą po siedemdziesiątce), w niezamierzony sposób wzbudzał silne emocje.

– Przypuszczam, że w moim wieku mężczyźni są towarem deficytowym – próbował wytłumaczyć jakiś wyjątkowo nieprzyjemny incydent.

– W moim również – odparła Bertie.

– Chodź, Ted – przynagliła go Ann Schofield. – Mamy jeszcze sporo do obejrzenia. – „Sporo” oznaczało niewielki ogród utrzymany w stylu miejskiego skweru. Było tam kilka ławek i parking dla samochodów.

– Och, chyba nie będzie potrzebował samochodu – rzuciła Viola.

– Och, chyba będę – odrzekł Teddy.

– Doprawdy, tato, robisz się za stary na jazdę samochodem.

Domyślił się, że córka ma chrapkę na jego auto. Jej stale się psuło. Viola lubiła urządzać tego rodzaju kłótnie w miejscach publicznych, przed publicznością, która mogła docenić, jaka jest rozsądna i jak nierozsądni są pozostali członkowie jej rodziny. Z Sunnym bez przerwy tak postępowała. Doprowadzało to biedaka do szału. Tak dawniej, jak i teraz.

– Wielu naszych pensjonariuszy ma samochód – wtrąciła Ann Schofield, krzyżując Violi szyki.

Samo mieszkanie zmieściłoby się w bawialni babki Teddy’ego w Hampstead. Od bardzo dawna nie myślał o Adelaide, tym bardziej zdziwiło go żywe wspomnienie babki ubranej w czarną wiktoriańską suknię, którą nosiła jeszcze w latach dwudziestych, utyskującej na hałaśliwe wnuki. Ileż to czasu minęło od tamtej pory!

Pamiętał, jak podczas szczególnie nudnej wizyty zakradł się z Jimmym na piętro do sypialni babki, dokąd wstęp był im surowo wzbroniony. Stała tam przepastna szafa wyłożona jedwabiem i silnie woniejąca mieszanką kamfory i lawendy z lekką domieszką zgnilizny. Wcisnęli się do środka; dziwne, staroświeckie stroje Adelaide ocierały się nieprzyjemnie o ich policzki. „Nie podoba mi się tutaj” – szepnął Jimmy. Teddy’emu też się nie podobało, wyszedł więc pierwszy i przez przypadek pchnął drzwi, które się zatrzasnęły. Trochę to trwało, zanim znów je otworzył, ponieważ mechanizm klamki był dość nietypowy.

Przerażone wrzaski Jimmy’ego zaalarmowały cały dom. Adelaide była wściekła („Niegodziwi, niegodziwi chłopcy!”). Teddy pamiętał, że Sylvie zasłoniła sobie usta dłonią, aby teściowa nie dostrzegła jej uśmiechu. Po tamtym incydencie biedny Jimmy nie znosił przebywania w zamkniętych pomieszczeniach. Podczas wojny był komandosem. W dniu lądowania w Normandii znalazł się na plaży Sword, skąd przemierzył zrujnowaną Europę, by zakończyć swój mozolny przemarsz z 63. Pułkiem Artylerii Przeciwpancernej. Musiał się potwornie męczyć, upchnięty w ciasnej puszcze niszczyciela czołgów. Razem z 63. Pułkiem wyzwalał obóz Bergen-Belsen, ale Teddy nigdy z nim o tym nie rozmawiał. Prawie nie zamienili słowa o wojnie; teraz tego żałował.

Pewnego dnia tuż po wojnie nieoczekiwanie poznał prawdę o Jimmym. Wcześniej jego wyobrażenie o homoseksualistach kształtowali pedzie i cioty napotykanii w Soho. Nigdy by ich nie podejrzewał o brutalność i odwagę, jakimi musiał się cechować jego młodszy brat.

Jimmy od dawna nie żył – w wieku pięćdziesięciu kilku lat dowiedział się, że ma agresywnego chłoniaka, i po tej diagnozie zjechał autem z urwiska. Ekstrawagancki w życiu, ekstrawagancki w śmierci. Mieszkał w Ameryce, więc Teddy nie poleciał na jego pogrzeb. Poszedł natomiast do

pobliskiego kościoła i siedział tam samotnie, pogrążony w myślach, podczas gdy po drugiej stronie Atlantyku grzebano Jimmy'ego. Kilka dni później z otworu na listy w drzwiach, niczym rzadki okaz liścia, sfrunęła miękka błękitna koperta ze znaczkiem poczty lotniczej. W ten sposób Jimmy się z nim pożegnał. Napisał, że zawsze go kochał i podziwiał i że Teddy był wspaniałym bratem. Teddy wcale mu nie uwierzył. Wiedział, że zaniedbywał braterskie obowiązki. Nigdy na przykład nie zapytał Jimmy'ego o jego homoseksualne związki (chyba po prostu nie chciał o nich wiedzieć) i zawsze myślał (z pewną protekcjonalnością), że praca w reklamie to trywialne zajęcie. Podobne rozczarowanie poczuł, gdy Bertie podjęła pracę w tej samej branży. Pracę polegającą jego zdaniem na nagabywaniu ludzi, aby wydawali pieniądze, których nie mieli, na rzeczy, których nie potrzebowali. („Rzeczywiście tak to z grubsza wygląda” – zgodziła się z nim Bertie).

– Jimmy ma za sobą straszliwą wojnę – zwróciła mu wtedy uwagę Ursula. – Sądzę, że trywialność może być na to całkiem dobrą odtrutką.

– Wszyscy mamy za sobą straszliwą wojnę – zaznaczył Teddy.

– Nie wszyscy – zaprotestowała. – Wiem, że ty tak.

– I ty też.

– Było zadanie do wykonania – stwierdziła Ursula. – Więc je wykonaliśmy.

Jakże on za nią tęsknił! Ze wszystkich, z nieprzebranych zastępów umarłych, niezliczonych dusz, które odeszły przed nim w zaświaty, śmierć Ursuli zostawiła najbardziej rozjątrzoną ranę w jego sercu. Jego siostra umarła na wylew już prawie przed trzydziestu laty. Szybka śmierć, dzięki Bogu, ale była zdecydowanie za młoda, żeby umierać. A teraz Teddy był za stary, żeby nadal żyć.

– Tato?

- Wybacz, odbiegłem nieco myślami.
 - Oddziałowa właśnie nam wyjaśnia, jak używać linek alarmowych.
- „Fascynujące”, pomyślał Teddy.

Czerwone linki, właściwie tasiemki, zwisały z sufitu w każdym pomieszczeniu.

– Jeżeli się pan przewróci – tłumaczyła Ann Schofield – wystarczy pociągnąć za linkę, aby wezwać pomoc. – Teddy nawet nie zadał sobie trudu, aby zapytać, co powinien zrobić, jeśli przewróci się z dala od linki. Wyobraził sobie Ann Schofield nadciągającą z wielkim pośpiechem korytarzem utrzymanym w pastelowych odcieniach różu i rozbielonego beżu. Uznał, że wolałby chyba leżeć tam, gdzie upadł, i powoli dogorywać z jaką taką godnością.

Mówiąc o całym kompleksie mieszkań, Ann Schofield używała nazwy „Fanning”, co skojarzyło się Teddy’emu z hotelem w Mayfair, w którym spędził niegdyś noc z przypadkowo spotkaną dziewczyną. Nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywał ów hotel (Hannings? Channings?), był jednak prawie pewien, że dziewczyna miała na imię Ivy. Wpadli na siebie w trakcie zaciemnienia, szukając miejsca, gdzie mogliby przeczekać noc. Ona usiłowała dojść do Klubu Katolickiego na Chester Street. On... Nie pamiętał, dokąd wtedy szedł i czy w ogóle miał jakiś cel. Był pijany, a ona mocno podchmielona, gdy potykając się, weszli do pierwszego napotkanego hotelu.

Teraźniejszość spowijał półmrok i wszystko miało rozmyte kontury. Domyślał się, że z czasem może być tylko gorzej. Przeszłość natomiast jaśniała coraz intensywniejszym światłem. Wyraźnie widział brudne schody londyńskiego hotelu, biały portyk i wąską klatkę schodową wiodącą do pokoiku na czwartym piętrze, właściwie na poddaszu. Czuł na języku smak piwa, jakie wówczas pili. W piwnicy urządzono schron, lecz gdy zawyły

syreny, nie zeszli, tylko w mroźną noc wywiesili się przez otwarte okno i obserwowali nalot. Pamiętał, że artyleria przeciwlotnicza w Hyde Parku robiła potworny hałas.

On dostał przepustkę, właśnie wrócił ze szkolenia w Kanadzie – pilot, który nie posmakował jeszcze krwi w bitwie. Ona była zaręczona z jakimś marynarzem. Ciekawe, co się z nią stało? Co się stało z jej marynarzem?

Raz pomyślał o niej podczas nalotu na Mannheim, gdy udało im się wyminąć gęstą baterię reflektorów broniących Zagłębia Ruhry. Przyszło mu wówczas do głowy, że tam w dole, na terytorium wroga, są zapewne setki dziewcząt takich jak Ivy, sympatycznych *fraülein* z wystającymi górnymi jedynekami i narzeczonymi walczącymi w U-Bootach, obsługujących niemiecką artylerię przeciwlotniczą, zjednoczonych wspólnym wysiłkiem, aby pozbawić go życia.

– Tato...? Tato...? Uważaj, naprawdę. – Viola odwróciła się do Ann Schofield i przewróciła oczami. Miało to wyrażać jednocześnie rozbawienie i czułość, choć Teddy wątpił, aby czuła jedno albo drugie. „Ty też się kiedyś zestarzejesz – pomyślał. – Chwała Bogu, że tego nie dożyję”. A Bertie? Jakie to smutne, że pewnego dnia stanie się staruszką chodzącą za pomocą balkonika, przemierzającą bez celu nudne korytarze. „Życie jest własną żałobą”. To z wiersza Hopkinsa, prawda? „Płacząc – płaczesz nad sobą” ³⁷. Ten fragment zawsze go wzruszał, pamiętał, jak...

– Tato!

Przypuszczał, że sam jest sobie winien. Pośliznął się na oblodzonym chodniku obok domu i natychmiast pojął, że nie jest dobrze. Usłyszał rozpaczliwe zawrozczenie i zdumiał się, że w ogóle jest w stanie wydać z siebie podobny dźwięk. Zorientował się, że pół siedzi, pół leży na chodniku. W czasie wojny jego samolot został zestrzelony i spłonął;

mogłoby się wydawać, że już nic gorszego go w życiu nie spotka. Ale ten ból był nie do zniesienia.

Na pomoc pospieszyło mu kilka całkiem obcych osób. Ktoś wezwał karetkę. Jakaś kobieta, która twierdziła, że jest pielęgniarzką, otuliła mu ramiona własnym płaszczem. Przykucnęła obok i zmierzyła mu puls. Potem delikatnie poklepała go po plecach, jakby był małym chłopcem. „Niech się pan nie rusza” – poprosiła. „Dobrze” – zgodził się potulnie, zadowolony, że choć raz ktoś mówi mu, co ma zrobić. Kobieta wzięła go za rękę i razem czekali na przyjazd karetki. Taki prosty gest, a jego przepelniała wdzięczność. „Dziękuję” – wymamrotał, gdy wreszcie załadowano go do karetki. „Bardzo proszę” – odpowiedziała. Nawet nie wiedział, jak się nazywała. Chętnie wysłałby jej kartkę z podziękowaniami albo bukiet kwiatów.

Okazało się, że złamał biodro i czeka go operacja. Szpital uparł się powiadomić kogoś z rodziny, chociaż Teddy sobie tego nie życzył. Chciał niczym pies albo lis wczołgać się do nory i w spokoju lizać rany, lecz budząc się z narkozy, usłyszał, jak Viola mruczy pod nosem: „To początek końca...”.

– Masz już prawie osiemdziesiąt lat – powiedziała tym swoim „rozsądnym” tonem. – Nie możesz hulać jak dawniej.

– Szedłem do sklepu po mleko – odparł Teddy. – Nie nazwałbym tego „hulaniem”.

– Mimo wszystko będzie ci coraz trudniej. Nie mogę gnać z odsieczą, ilekroć zrobisz coś głupiego.

Teddy westchnął.

– Nie prosiłem cię, żebyś przyjeżdżała.

– Myślisz, że tak czy owak bym nie przyjechała? – spytała święcie oburzona. – Że nie pomogłabym rodzonemu ojcu, który właśnie miał

wypadek?

Po wypisaniu ze szpitala przez trzy dni znosił jej obecność. Przez cały ten czas Viola zamartwiała się o swoje koty, które musiała zostawić, aby się nim zająć. Powtarzała też, że nie cierpi jego domu. – Od dziesięcioleci nic tu nie zmieniłeś. Ten dom jest *taki staroświecki*.

– *Ja* jestem staroświecki – mruknął Teddy. – I nie sądzę, aby to było coś złego.

– Jesteś niemożliwy – stwierdziła Viola, nawijając na palec pasmo farbowanych henną włosów (zapomniał o tym jej irytującym nawyku).

* * *

Viola zadzwoniła do Sunny'ego i poinformowała syna, że będzie musiał „znaleźć trochę czasu” na opiekę nad dziadkiem. Ilekroć myślała o swoim synu, ogarniała ją panika: raz próbował się zabić, co prawda bez przekonania. Był zbyt apatyczny, żeby odebrać sobie życie. Czy aby na pewno? A gdyby mu się udało? Poczula panikę i ucisk w sercu. Pomyślała, że zaraz zemdleje. Zawiodła Sunny'ego i nie wiedziała, jak mu to wynagrodzić. Przerażenie sprawiało, że stawała się bezduszna.

– Ostatecznie i tak nie masz nic lepszego do roboty – dodała szorstko.

Sunny ze swojej strony z ulgą przyjął perspektywę powrotu do domu dziadka. Było to jedyne miejsce, w którym dotąd czuł się szczęśliwy.

Teddy spał na dole na kanapie, Sunny zaś zajął przyjemny pokój na piętrze, należący niegdyś do jego matki, a potem przez rok do Bertie, gdy tutaj mieszkała. Naturalnie on również tu mieszkał, chociaż nie tak długo jak ona; tamtego koszmarnego lata zmuszono go do spędzenia długich wakacji w Jordan Manor. Nie wiedział, czy kiedykolwiek zdoła wymazać je z pamięci.

Podobała mu się ta niewielka sypialnia na tyłach domu. Gdy jeszcze zajmowała ją jego siostra, każdej nocy w którymś momencie zakradał się do niej. Bertie w jakimś fundamentalnym sensie go ocaliła, ofiarowawszy mu ciepło i światło. Teraz jej tu nie było – wyjechała do Oksfordu, żyła w obcym mu świecie. „Pokładamy w niej wielkie nadzieje!” – zwykła mawiać o niej Viola w gronie swoich przyjaciółek. Zupełnie jakby to był dowcip. Co gorsza, zgodnie uważały, że kobiety stanowią „nadrzędny gatunek” (wszystkie te bzdury o rybie i rowerze). Sunny najwyraźniej stanowił niepodważalny dowód prawdziwości tego twierdzenia.

Co wieczór, zasypiając, Teddy czuł dolatującą z pokoju Sunny’ego ostrą woń palonych ziół. Przypuszczał, że to marihuana, lecz niezbyt się na tym znał.

Wnuk nadal mieszkał w Leeds, porzucony przez Violę, gdy ta przeniosła się do Whitby. Z grupą rówieśników zbyt zajętych sobą, aby można ich było nazwać jego przyjaciółmi, zajmował obskurne, zagracone mieszkanie.

Przerwał studia (nauka o komunikacji społecznej; „Co za ironia” – wzdychała Viola) i w tej chwili nie zajmował się niczym konkretnym. Był kompletnie nieprzystosowany do życia. Brakowało mu podstawowej umiejętności radzenia sobie z codziennymi wyzwaniami. Pochwalił się Teddy’emu, że gra na gitarze w zespole, pokrzykując z kuchni, gdzie podgrzewał na kolację puszkę fasoli w sosie pomidorowym.

– Gratuluję! – odskrzyknął Teddy z salonu. Był niemal pewien, że wyczuwa woń spalenizny.

Często jadali fasolę z puszki i spaghetti, również z puszki. Czasami zdarzała się ryba z frytkami – Sunny, o dziwo, wziął na siebie ciężar wypraw do pobliskiej smażalni. Poza tym ich posiłki pochodziły z knajp rozrzuconych po całym mieście, po całym świecie, można by rzec: hinduskich, chińskich. Oczywiście królowała pizza. Teddy nie zdawał sobie

wcześniej sprawy z ogromu możliwości, jakie dawały restauracje oferujące dowóz jedzenia; sądził dotąd, że tego rodzaju usługi świadczy tylko pomoc społeczna. Na przykład Królewska Ochotnicza Służba Kobiet.

- Że jak? – zdziwił się Sunny.
- Żartowałem – wyjaśnił Teddy.
- Że jak?

Wszystko to kosztowało Teddy’ego fortunę. („Skoro nie ma innej rady...”, mawiała jego matka). Chłopak w ogóle nie potrafił gotować. Viola też była fatalną kucharką, serwowała zapychające dania z brązowego ryżu i fasoli. Wychowała dzieci w duchu wegetariańskim. Bertie nadal nie tykała mięsa, Sunny pochłaniał wszystko bez wyjątku. Teddy postanowił, że kiedy tylko znów stanie na nogach, nauczy wnuka przygotowywania kilku prostych potraw: zupy z soczewicy, gulaszu, babki piaskowej. Dzieciak potrzebował po prostu odrobiny zachęty.

W pewnym momencie wyszło na jaw, że Sunny ma tymczasowe prawo jazdy. Teddy starał się nie okazać zdziwienia; zbyt często słuchał narzekań Violi na niekompetencję i bierność syna. „No dobrze – powiedział – moje auto stoi zapomniane w garażu, weźmy je na przejażdżkę. Gdzieś tam powinny być też stare tablice »Nauka jazdy« twojej matki”. Viola była wyjątkowo odporna na wiedzę.

– Mówisz serio? – spytał z powątpiewaniem Sunny. – Mama nie chce wsiadać ze mną do samochodu. Powtarza, że woli umrzeć ze starości.

Jeśli chodzi o poziom ryzyka, Teddy nie uważał, aby jazda autem z Sunnym za kierownicą mogła się równać z nocnym przelotem nad terytorium wroga, którego jedynym celem było go zestrzelić.

– Nigdy się nie nauczysz, jeżeli nie będziesz ćwiczył – zawyrokował. – Chodźmy.

Ktoś musiał dodać temu chłopcu trochę pewności siebie. Zapakowali wypożyczony z kasy chorych wózek inwalidzki do bagażnika i ruszyli przed siebie.

Wylądowali w Harrogate, mieście bardzo Teddy'emu bliskim. Bywał tam często i podczas wojny, i później po jej zakończeniu. Zaparkowali w centrum; umieszczenie auta na miejscu postojowym trwało dosyć długo, bo Sunny zdawał się nie odróżniać strony lewej od prawej, jazdy w przód od jazdy w tył. Nie był jednak złym kierowcą – ostrożnym i niepewnym, owszem, ale szybko okrzepł, widząc, że w przeciwieństwie do Violi Teddy nie zamierza się na niego bez przerwy wydzierać.

– Praktyka czyni mistrza – zachęcał go tylko.

Zjedli smaczny lunch w herbaciarni U Betty i poszli do ogrodów Valley. Tu i ówdzie widać było pierwsze rośliny wychylające łebki spod wilgotnej ziemi, zwiastujące rychłe nadejście wiosny. Sunny pchał wózek odrobinę za szybko. Teddy żałował, że nie mogą na moment zamienić się miejscami – wnuk rychło by się przekonał, jak niewygodnie jest podskakiwać na krawężnikach i nierównościach nawierzchni – chociaż generalnie był całkiem zadowolony ze wspólnego wypadu. „Wiesz, gdzie chciałbym jeszcze wstąpić, zanim wrócimy?” – zapytał, gdy wykonywali (dość niebezpieczny) zakręt przed powrotem do centrum miasta.

– Na cmentarz? – powtórzył Sunny. Okazało się, że nigdy nie był na żadnym cmentarzu. Nie uczestniczył w pogrzebie swojego ojca, a poza nim nie znał nikogo, kto by umarł.

– W Stonefall – wyjaśnił Teddy. – To Cmentarz Wojenny Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, na którym pochowani są głównie Kanadyjczycy. Poza tym kilku Australijczyków i Nowozelandczyków, garstka Amerykanów i Brytyjczyków.

Cały areal w posiadaniu umarłych. Równe rzędy białych tablic – twarde poduszki w ich zielonych łóżach. Załogi pogrzebane obok siebie, związane wspólnym losem w życiu i po śmierci. Piloci, mechanicy pokładowi, nawigatorzy, radiotelegrafiści, strzelcy, celowniczy. Dwudziestolatkowie, dwudziestojednolatkowie, dziewiętnastolatkowie. Chłopcy w wieku Sunny’ego. Teddy pamiętał jednego, który z wielkim talentem okłamywał wszystkich co do swojego wieku i jako osiemnastolatek został wykwalifikowanym pilotem halifaksa. Nie dożył dziewiętnastych urodzin. Czy Sunny byłby zdolny do tego co on? Do tego co oni wszyscy? Dzięki Bogu nie musiał niczego udowadniać.

– Byli jeszcze dziećmi – zwrócił się do wnuka.

A przecież robili wrażenie mężczyzn, wypełniali swoje zadania jak mężczyźni. Im Teddy był starszy, tym bardziej oni młodnieli. Oddali życie, aby Sunny mógł spokojnie przeżyć swoje. Czy on zdawał sobie z tego sprawę? Teddy uznał, że nie powinien oczekiwać od wnuka wdzięczności. Poświęcenie ze swej natury polegało na dawaniu, nie na braniu. Przypomniawszy sobie słowa Sylvie: „Poświęcenie to słowo, które w powszechnym mniemaniu ma uszlachetniać zwyczajną jatkę”.

– Zauważ, że nie leżą tu załogi maszyn zestrzelonych nad terytorium wroga – zwrócił się do Sunny’ego – tylko (*tylko!*) ci, którzy zginęli podczas lotów szkoleniowych. W sumie ponad osiem tysięcy. (Usłyszał głos Violi: „Zaraz się zacznie wykład z historii”). Są tu też tacy, którzy zginęli podczas lądowania awaryjnego albo umarli w szpitalu w Harrogate od ran odniesionych w trakcie lotu.

Sunny już go nie słuchał; zgarbiony, ze spuszczoną głową, szedł niespiesznie między rzędami mogił, jakby niczego nie dostrzegał. Może nie chciał zobaczyć.

– Ci tutaj chociaż *mają* groby. Dobre i to – ciągnął Teddy, nie zważając na fakt, że Sunny raczej nie może go słyszeć. Sztuczki tej nauczył się, gdy wnuk był jeszcze mały. Mogło się wydawać, że Sunny nie słucha, ale słuch miał czuły jak u psa. Teddy zawsze liczył na to, że przekazywane informacje jednak do niego dotrą, bardziej poprzez osmozę niż za sprawą świadomego procesu intelektualnego. – Ponad dwadzieścia tysięcy załóg bombowców nie ma mogiły – rzekł. – Upamiętnia ich pomnik w Runnymede. – Postawiony tym wszystkim, którzy nie mogli złożyć głowy na kamiennej poduszce, których nazwiska były zapisane na wodzie, wypalone w ziemi, rozproszone w powietrzu. Nieprzebrane zastępy umarłych...

W 1953 roku Teddy pojechał zobaczyć ten pomnik wkrótce po jego odsłonięciu przez młodziutką królową. „Może się z tobą zabiorę? – zaproponowała wtedy Nancy. – Zrobimy sobie przedłużony weekend, zatrzymamy się w Windsorze albo skoczmy do Londynu”. Usiłował jej wytłumaczyć, że dla niego to pielgrzymka, a nie wycieczka, lecz gdy wyjeżdżał, Nancy zegnała go dosyć chłodno. Stwierdziła, że nie dopuszcza jej do swoich wojennych wspomnień. Wydało mu się to zabawne zwłaszcza w ustach kogoś, kto sam zazdrośnie strzegł własnej przeszłości. Przy tych nielicznych okazjach, gdy udało mu się spotkać z Nancy w czasie wojny, nieustannie zachęcała go, aby zapomniał o okropieństwach wojny i cieszył się wspólnie spędzonymi chwilami. Teraz żałował tamtej decyzji. Dlaczego nie podszedł do jej pomysłu bardziej na luzie?

– „W alabastrowych komnatach bezpieczni” ³⁸ – wyrecytował Sunny’emu, gdy ten wrócił niespiesznym krokiem.

– Że jak?

– „Świt – czy południe – nieczuli na czas – leżą cisi uczestnicy Zmartwychwstania – krokwie z atlasu – a dachem głaz!”. Emily Dickinson.

O dziwo, to twoja matka mnie z nią zapoznała. To taka poetka – dodał, bo Sunny wyglądał na zdezorientowanego, jakby przeszukiwał w myślach spis znajomych Violi w poszukiwaniu niejakiej Emily Dickinson. – Amerykanka. Nie żyje. Miała dość specyficzne zainteresowania, mogłaby ci się spodobać. „Umierałam – słysząc jak mucha brzęczy” [39](#).

Sunny wyraźnie się ożywił.

– Przejdę się trochę – zdecydował Teddy. Sunny pomógł mu dźwignąć się z wózka i podał mu rękę, po czym powoli pokuśtykali wzdłuż leżących w równym rzędzie umarłych.

Chętnie porozmawiałby o nich ze swoim wnukiem. O tym, jak zostali zdradzeni przez tego chytrego lisa Churchilla, który nawet się o nich nie zająknął w swojej mowie na Dzień Zwycięstwa. O tym, że nie uhonorowano ich odznaczeniami ani nawet pomnikiem. O tym, jak Harris [40](#) stanął pod pręgierzem za wcielanie w życie cudzych planów, które – Bóg mu świadkiem – wykonywał z zapałem aż do samego końca. Tylko co by to dało? („Zaraz się zacznie wykład z historii”).

– Czyli... – odezwał się naraz Sunny, stukając czubkiem buta w nagrobek. Buty miał brzydkie i niewypastowane, lepiej by wyglądały na nogach spadochroniarza. – Widziałeś na wojnie straszne rzeczy, tak?

– Straszne rzeczy?

Sunny wzruszył ramionami. – Makabryczne. – Kolejne wzruszenie ramion. – Przerazające.

Teddy nie pojmował fascynacji dzisiejszej młodzieży ciemną stroną życia. Może wynikała stąd, że sami nic podobnego nie przeżyli. Wychowani w świecie bez mroku za wszelką cenę starali się rozpostrzeć nad nim własny mrok. Dzień wcześniej Sunny wyznał mu na przykład, że chciałby być wampirem.

– Koszmarne – dodał, jakby Teddy’emu obce było znaczenie słów „makabryczne” i „przeróżające”.

Teddy pomyślał o kanadyjskim instruktorem, którego szkielet został odarty z ciała, i o wszystkich „przeróżających” rzeczach, jakich był później świadkiem. „Niech los wam sprzyja”. Łopata śmigła z szumem tnąca powietrze. Jak miała na imię tamta dziewczyna z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet? Hilda? Tak, Hilda. Wysoka, pulchna, z okrągłą twarzą. Często wozila ich na rozśrodkowanie. Była bliską przyjaciółką Stelli, radiotelegrafistki, której afektowany głos witał powracające do bazy śmiertelnie wyczerpane załogi. Teddy lubił Stellę; myślał nawet, że coś między nimi zaiskrzy, ale nie zaiskrzyło.

Hilda stale miała dobry humor: „Powodzenia, chłopcy!”. W wyobraźni widział ją wypowiadającą te słowa. Stale też była głodna. Gdy po powrocie zostawały im jakieś racje, oddawali je Hildzie. Kanapki, słodczyce, cokolwiek. Teddy roześmiał się – dziwne, że zapamiętał ją z tak błahego powodu.

– Dziadku?

To się stało tuż przed końcem „jego” wojny, przed Norymbergą. Teddy był na rozśrodkowaniu, rozmawiał z jednym z mechaników o F-Foxie, swojej ówczesnej maszynie. Wspólnie obserwowali nadlatujący samolot – marudera powracającego z ubiegłonocnych nalotów. Chyba został trafiony i czekało go trudne lądowanie. Wzdłuż drogi kołowania niespiesznie pedałowala Hilda. Teren lotniska był ogromny, rowery stanowiły powszechny środek transportu. Nawet Teddy miał starego grata, choć jako dowódca skrzydła mógł korzystać ze służbowego samochodu. Zaciekawilo go, co Hilda tam robi. Nigdy się tego nie dowiedział. Uszkodzona maszyna z rykiem zbliżala się do pasa, lecz Hilda nawet się nie obejrzała. Dostrzegła za to Teddy’ego i pomachała mu ręką. Nie zauważyła, że samolot zgubił

śmigło. Jedna z jego łopat oderwała się i z niewiarygodną prędkością mknęła ku Hildzie niczym olbrzymie wirujące w powietrzu nasienie klonu. Teddy ani mechanik nie zdążyli zareagować. Nie mieli czasu krzyknąć: „Uważaj!”. Hilda nawet się nie zorientowała. „Dobre i to” – pomyślał Teddy. Po prostu miała pecha. To była kwestia sekund i centymetrów.

– Szkoda, że była taka wysoka – mruknął potem mechanik, praktyczny aż do bólu.

– Dziadku?

Zdekapitowana. Głowa ścięta przez łopatę śmigła. Teddy usłyszał przenikliwy krzyk jakiejś kobiety z obsługi, który zagłuszył nawet ryk uderzającej o pas maszyny. Celowniczy zginął na miejscu. Nawigator już nie żył, trafiony ogniem artyleryjskim gdzieś nad Zagłębiem Ruhry. To jednak miało drugorzędne znaczenie. Dziewczęta ze służby pomocniczej z płaczem i krzykiem rzuciły się ku Hildzie, lecz Teddy zatrzymał je, kazał im wrócić na kwaterę i tam zostać. Potem sam poszedł na miejsce wypadku i podniósł odciętą głowę. Oczekiwanie, że zrobi to ktoś inny, wydawało mu się czymś niewłaściwym. Koło roweru Hildy wciąż się obracało.

To była tylko głowa, nie Hilda. Nie sposób było pomyśleć, że mogła mieć coś wspólnego z pulchną, pogodną dziewczyną. Następnego wieczoru Teddy zabrał Stellę do sąsiedniej bazy na tańce, ale nic z tego nie wynikło.

– Dziadku?

– Podczas wojny dzieje się mnóstwo przerażających rzeczy, Sunny. Niedobrze jest je wspominać. Lepiej unikać czarnych myśli.

– Szukasz kogoś konkretnego? – zainteresował się Sunny.

– Owszem.

– Nie mają tu jakiegoś planu?

– Pewnie mają – przytaknął Teddy. – Ale... Już go znalazłem.

Przystanął przed tablicą, na której wyryto: „Starszy sierżant Królewskich Australijskich Sił Powietrznych, Keith Marshall, celowniczy”.

– Serwus, Keith – powiedział.

– On nie jest pochowany ze swoją załogą – zauważył Sunny, wyraźnie zażenowany faktem, że jego dziadek rozmawia z umarłymi, chociaż poza nimi na cmentarzu nikogo nie było.

– Istotnie. Pozostałym nic się nie stało. Keith zginął, gdy zaatakowano nas w drodze powrotnej na lotnisko z Wielkiego Miasta. Tak nazywaliśmy Berlin. Czasami maszyny wroga ukrywały się w strumieniu powracających bombowców. To była podła zasadzka. Keith był moim przyjacielem, jednym z najlepszych, jakich miałem.

– Chcesz jeszcze kogoś poszukać? – zapytał Sunny po kilku minutach heroicznie tłumionego zniecierpliwienia.

– Nie, raczej nie – odparł Teddy. – Chciałem tylko, żeby Keith wiedział, że ktoś o nim myśli. – Uśmiechnął się do wnuka i zarządził: – Do domu, James. Nie oszczędzaj koni.

– Że jak?

Zapadał wczesny zimowy zmierzch i Sunny odezwał się niespokojnie: – Nigdy nie prowadziłem po ciemku.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – pocieszył go Teddy.

Oczywiście czasami ów pierwszy raz mógł być zarazem ostatnim. Podróż powrotna obfitowała w ryzykowne momenty, lecz Teddy z determinacją zachował spokój. Nie chciał odbierać Sunny’emu pewności siebie. Ku jego zdumieniu w pewnej chwili wnuk zagadnął go:

– Co ty właściwie robiłeś? Pilotowałeś bombowiec?

– Tak – odrzekł Teddy. – Latałem halifaksem. Bombowce nazywano na cześć angielskich miast: Manchester, Stirling, Wellington, Lancaster, Halifax. Rzecz jasna to na lancastery spłynęła cała sława. Mogły wchodzić

na wyższy pułap i przenosić cięższe ładunki bojowe, chociaż pod koniec wojny, gdy halifakom zainstalowano silniki typu Bristol Hercules, mogły się one śmiało równać z lancasterami. Kochaliśmy te nasze stare „Halibagi”. Po wojnie to lancastery okazały się gwiazdami, nam pozostała rola skromnych druchen. A przecież szanse przeżycia były większe w halifaksach, zwłaszcza jeśli należało prędko zmykać. Lancastery miały pośrodku te sakramenckie wieżyczki i... – Sunny gwałtownie skręcił, przecinając dwa pasy ruchu. Na szczęście jezdnia była praktycznie pusta. („Ojej”). Teddy nie był pewien, czy wnuk próbował coś wyminąć, czy też po prostu przysnął za kierownicą. Uznał, że powinien się zamknąć. Z odległej przeszłości dotarło do niego echo słów Nancy, mówiącej: „Porozmawiajmy o czymś ciekawszym niż techniki bombardowania”. Westchnął i mruknął pod nosem: – Termopile.

– Że jak?

Gdy nareszcie dotarli do domu, Teddy zwrócił się do wnuka:

– Świetnie się spisałeś, Sunny. Będzie z ciebie pierwszorzędny kierowca.

Zawsze lepiej chwalić niż krytykować. Zresztą istotnie chłopak poradził sobie całkiem nieźle. Na kolację Sunny zrobił kanapki z bekonem (radził też sobie coraz lepiej na froncie kuchennym), które zjedli przed telewizorem. Otworzyli po piwie dla uczczenia szczęśliwego powrotu. Po raz pierwszy od kilkadziesiąt lat Teddy’ego naszła ochota na papierosa, oparł się jednak tej pokusie. Wykończony zasnął na kanapie, zanim skończyły się piwo i program rozrywkowy *Noel’s House Party*.

Może powinien wrócić na wieś po tym, jak Viola wyfrunęła z gniazda na uniwersytet. Wyprowadzić się choćby pod miasto, na przykład do Hambledon Hills. Kupić nieduży domek. (Ciepło wspominał Mysią Chatkę). Zamiast tego został i mozolnie trwał na posterunku, ponieważ coś

mu mówiło, że tak właśnie ma przeżyć życie. Poza tym lubił York, lubił swój ogród. Miał tu grupę przyjaciół, należał do kilku klubów. Był członkiem towarzystwa archeologicznego i wspólnie z innymi jeździł na wykopaliska. Klub piechurów, grupa ornitologiczna... Osobiście wolał samotnicze zajęcia; przynależność do klubu kojarzyła mu się z obowiązkiem, ale nie miał nic przeciwko wypełnianiu obowiązków. Ktoś zresztą musiał je wypełniać, w przeciwnym razie świat przestałby istnieć. Praca w redakcji prowincjonalnej gazety nie należała do najtrudniejszych, mimo to Teddy był zdziwiony ilością wolnego czasu, jaką zaczął nagle dysponować po przejściu na emeryturę. Chyba miał go za wiele.

– Co z nimi będzie? – zapytała Viola, wskazując biblioteczkę z kolekcją *Przygód Augustusa*. – Myślisz, że kupi je jakiś antykwariat? Od lat nikt tego nie czyta. Na każdym jest odręczna dedykacja, co pewnie obniży ich wartość. Z drugiej strony masz cały komplet, więc może ktoś się nimi zainteresuje.

– Ja się nimi zainteresuję – odparł Teddy.

– Przecież nigdy ich nie lubiłeś – zwróciła mu uwagę Viola. – Nawet ich nie przeczytałeś.

– Przeczytałem.

– Są w doskonałym stanie.

– To dlatego, że nauczono mnie dbać o książki – stwierdził Teddy.

Violę naturalnie też tego uczono, mimo to była niechlujną czytelniczką. Kartki jej książek nosiły ślady jedzenia i napojów, kocich wymiotów i Bóg wie czego jeszcze. Jeśli nie upuszczała książek do wanny, to zostawiała je na deszczu. Jako dziecko ciskała nimi w niego, ilekroć się rozgniewała. Teddy nie jeden raz oberwał w głowę egzemplarzem powieści Enid Blyton. *Kraina jutra* niemal złamała mu nos. Nie zdziwiłby się, gdyby córka ciągle rzucała w gniewie przedmiotami. Domyślał się, że jest w niej tyle

wściekłości, bo wcześniej straciła matkę. No i proszę, znowu się bawi w tanie psychologizowanie. („Ja się wściekam, bo *mam* matkę” – wyznała mu Bertie). Sylvie nigdy nie przykładła wielkiej wagi do teorii dziecięcej traumy. Według niej ludzie rodzili się w pełni ukształtowani – gotowi i zapakowani czekali, aż się ich odpakuje. Pokolenie jego matki było w cudowny sposób wolne od poczucia winy.

Teddy sięgnął po puste pudło i zaczął do niego wkładać *Przygody Augustusa*. Wieki całe minęły, odkąd trzymał w ręku któryś z egzemplarzy. Ostatnią część cyklu Izzie napisała w 1958 roku. Wówczas jej książki od dawna się nie sprzedawały, w zasadzie od końca wojny. Szczyt popularności Augustusa przypadł na lata międzywojenne. Augustus Edward Swift *floruit* ⁴¹ 1926–1939. Oczywiście biedny Augustus był skończony na długo przed śmiercią Izzie w 1974 roku. Jego wyobrażenie żyło jednak w głowie Teddy’ego, z rzadka wystawiając nos na świat. Czy Augustus był teraz starcem, którego podstępem zmuszono do zamieszkania w lokalu chronionym dla seniorów, choć głośno protestował i kopał, a z kącika skrzywionych warg zwisał mu niedopałek papierosa? Czy miał zasikane spodnie i zarośnięty podbródek?

Teddy odwiedził Izzie na kilka dni przed jej śmiercią. Była wtedy porządnie stuknięta. Z trudem przywoływał teraz jej obraz złożony z fragmentarycznych wspomnień: zachłanne czerwone usta, woń perfum, afektowane gesty. W którymś momencie ciotka chciała go adoptować. Czy jego życie wyglądałoby wtedy zupełnie inaczej? Czy potoczyłoby się mniej więcej tak samo?

W testamencie Izzie przekazała Teddy’emu prawa autorskie do *Przygód Augustusa*, warte tyle co nic. Reszta majątku, czyli głównie dom w Holland Park, przeszła w ręce jej „wnuczki”, jakiejś Niemki, o której nigdy nie słyszeli. „W ramach zadośćuczynienia”, napisano w testamencie.

Po pogrzebie Pamela, Teddy oraz córka Pameli Sarah przetrząsnęły wspólnie wszystkie dokumenty w domu Izzie. Koszmarna robota. Na dnie szkatułki z biżuterią znaleźli francuski Krzyż Wojenny. Wydało im się to nieprawdopodobne. Obie zagadki – niemiecka wnuczka i francuskie odznaczenie – znakomicie oddawały nieprzeniknioną naturę ich ciotki. Gdyby żyła Ursula, dotarłaby zapewne do sedna sprawy dzięki swojej żyłce detektywistycznej. Teddy nie był tym zainteresowany (później to sobie wyrzuczał). Wkrótce potem u Pameli wystąpiły pierwsze objawy choroby Alzheimera. Biedna Pammy, skazana na długie lata życia w strefie mroku. Tym samym enigma, jaką stanowiła Izzie, nigdy nie została rozszyfrowana. Ciotka pewnie by się z tego cieszyła.

Teddy spakował studyjny portret Izzie sfotografowanej przez samego Cecila Beatona w czasie, gdy odniosła pierwsze sukcesy literackie. Wyglądała na nim niczym gwiazda filmowa, sztuczna i zmanierowana. „Za to oszalamiająca” – zauważyła Bertie. „Tak, chyba masz rację” – przyznał Teddy. Podarował wnuczce tę fotografię, gdy pierwszy raz odwiedziła go w Fanning Court. „Ale to moja matka była prawdziwą pięknoscią” – zaznaczył. Przypomniął sobie wystawione w trumnie zwłoki Sylvie. Jej twarz wyglądała jak obmyta z oznak upływu czasu. Pamiętał, że Bea chwyciła go za ramię i stali tak we dwoje jak na zamkniętej wystawie (chyba istotnie byli wówczas sami). Dlaczego akurat Bea? Gdzie tego dnia była Nancy? Teddy nie mógł sobie tego przypomnieć. Bea naturalnie także już odeszła. Była bliska jego sercu, może nawet bliższa, niż sądził. „Wielkie nieba – upomniał się w duchu – przestań w końcu rozmyślać o nieboszczykach”. Zapakował fotografię Beatona razem z *Przygodami Augustusa* i zakleił pudło taśmą.

– Jadą ze mną – oznajmił stanowczo Violi.

– A gdzie jest Sunny? – rozejrzała się niespokojnie.

Właśnie, gdzie się podział Sunny?

Widziałem ostatnio kilka razy dużego lisa, samca. Było upalne popołudnie, on zaś – jak zapewne większość stworzeń – szukał ochłody. Lis cieszy się marną reputacją. W bajkach to chytry złodziej, często pełen uroku. Jego imię to synonim prostackiego (niekiedy wyrafinowanego) sprytu. Wyrzutek moralny, oszust, czasem podlec. W chrześcijaństwie bywa utożsamiany z diabłem. W wielu kościołach w całym kraju znajdziecie obrazy przedstawiające lisa w księżych szatach nauczającego stado gęsi. (W katedrze w Ely można podziwiać wspaniały drzeworyt). Lis to nieuchwytny banita, piekielny drapieżnik bez sumienia, gęsi zaś to gromadka niewiniątek...

Sunny siedział na strychu, gdzie – nie do wiary! – znajdowało się jeszcze więcej pudeł pełnych różnego badziewia. Pachniało tu opuszczeniem, powietrze było aż gęste. Znalazł cały karton cienkich kartek zapisanych gęstym, spłowiałym drukiem maszynowym. Większości tekstów nie zrozumiał, więc doszedł do wniosku, że to poezja.

Strych dziadka przypominał zapomniane muzeum pełne kurzu i rdzy. Sunny nie przepadał za atmosferą muzeów, ale podobała mu się idea gromadzenia, wszystkie te gabloty z motylami, owadami i kamieniami. Podobały mu się też książki o Augustusie, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Nie chodziło nawet o ich treść, tylko o spójne graficznie okładki. Na grzbiecie każdej widniał numer i gdy się je ustawiało w kolejności, ukazywały się cyfry od jednego do czterdziestu dwóch. Kiedy Sunny był mały, kolekcjonował kamienie. Duże i małe, zebrany na drodze żwir i tym podobne rzeczy. Do tej pory czasami nachodziła go ochota, aby podnieść jakiś kamyk i schować go do kieszeni.

Drobny pył podobny do szarego talku wzbijał się w powietrze, ilekroć wyjmował kolejną kartkę. Czytał powoli, poruszając ustami przy każdym słowie, jakby odcyfrowywał obcy język.

W stajence, gdzie schroniła się Święta Rodzina, płonął tylko niewielki ogień, a i on już przygasał. Rudzik – jedno z wielu stworzeń, które przybyły radować się z przyjścia na świat Mesjasza – widząc zmarznięte Dzieciątko, przycupnął przed gasnącym ogniskiem i machając skrzydełkami,

ponownie rozniecił płomień. Opalił sobie przy tym pierś, która odtąd na znak wdzięczności miała pozostać czerwona.

Mnóstwo tego było. Pod każdym tekstem widniał podpis „Agrestis”, cokolwiek to znaczyło. Każdy poruszał inny temat: „Na tropie pierwiosnków”, „Wyczekiwany powrót wiosny”, „Żonkile w swojej złocistej krasie”, „Wydra i jej małe z futerkami lśnącymi od wody”, „Przebiśnieg zakwita najśliczniej”. Boksujące się na polu zające, „celtyccy posłańcy Eostre, anglosaskiej bogini wiosny”. „To zające się boksują? – zdumiał się Sunny. – Zawodowo?”.

Jeszcze jeden zatęchły karton, tym razem z guzikami i starymi monetami. Pudełko po butach pełne fotografii. Prawie nikogo na nich nie rozpoznał. Wiele zdjęć miało śmieszny mały format. Były czarno-białe, zrobione w jakichś prehistorycznych czasach (przynajmniej z perspektywy Sunny’ego). Kolorowe odbitki pojawiły się w latach siedemdziesiątych. Kilka lekko pożółkłych przedstawiało Sunny’ego z Bertie w ogrodzie dziadka Teda. Oboje mieli ubrania w jaskrawych kolorach, w których przypominali klaunów. „Dzięki, Violu” – pomyślał Sunny z goryczą. Nic dziwnego, że w dzieciństwie stale był obiektem drwin. Na jednym ze zdjęć stali z Bertie przed rabatą kwiatową, między nimi przysiadł Tinker. Sunny’emu ścisnęło się serce. Rozplakał się na wieść, że Tinkera uśpiono. Wyjął fotografię z pudełka i schował ją do kieszeni.

Była tam też metalowa puszcza, mała i zardzewiała. Gdy ją otworzył, znalazł w środku medale. Domyślił się, że to wojenne odznaczenia dziadka. Wśród nich dostrzegł malutką złotą gąsienicę. Co za licho? Dołączona była do niej zetłala ze starości karteczka. „Członkostwo Klubu Gąsienic” – przeczytał, wystawione na „Ppłk. E.B. Todda”. Kolejna karta członkowska, trochę inna, tym razem z Klubu Złotej Rybki, wystawiona na „Pilota

E.B.Todda”. Co to wszystko znaczyło? Czym zajmowały się te dziwaczne kluby, do których należał jego dziadek? Z trudem przeczytał zdanie wydrukowane złotymi czcionkami na karcie członkowskiej Klubu Złotej Rybki: „Uniknął śmierci dzięki pontonowi ratunkowemu w lutym 1943 roku”.

Sunny wrócił myślami do wycieczki, na którą się wybrali, gdy dziadek Ted był po operacji biodra. Wtedy się do tego nie przyznał, ale wypad do Harrogate sprawił mu frajdę. Podobał mu się ten uporządkowany cmentarz z równymi rzędami nagrobków. W pewnym momencie musiał odejść na bok i zostawić dziadka samego na wózku, bo do oczu napłynęły mu łzy. Ci wszyscy martwi chłopcy – to było takie smutne. Mieli tyle lat co on, gdy zrobili coś szlachetnego, bohaterskiego. Szczęściarze. Podarowano im miejsce w historii. Jego to nigdy nie spotka. Nigdy nie dostanie szansy zrobienia czegoś szlachetnego i bohaterskiego.

Na tę myśl ogarnął go gniew. Wyjął medale z puszki i wsunął je do kieszeni, w której ukrył fotografię.

Wojna naprawdę go interesowała, wszystkie te historie o bombardowaniach... Może powinien przeczytać jakąś książkę? Potem mógłby porozmawiać o niej z dziadkiem Tedem i nie czuć się przy tym jak idiota. Przecież dziadek też był bohaterem, prawda? Żył swoim własnym życiem. Ciekawe, jak się to osiąga.

Sunny niezgrabnie zszedł z pudłem po drabinie i rzucił je na podłogę. W powietrze wzbił się kurz i Viola teatralnie się rozkaszała. – Dobrze wiesz, że mam alergię – zauważyła gniewnie.

– Na górze jest jeszcze mnóstwo różnych gratów – powiedział Sunny.

– Och, na litość boską! – zwróciła się do Teddy’ego Viola. – Ależ z ciebie rupieciarz, tato.

Teddy zignorował ją i zagadnął wnuka:

- Nie natknąłeś się tam przypadkiem na puszkę z moimi odznaczeniami?
 - Z odznaczeniami?
 - Z czasów wojny. Od lat ich nie widziałem. Chciałem się wybrać na spotkanie kombatantów RAF-u i pomyślałem, że dobrze byłoby je założyć.
- Sunny wzruszył ramionami i mruknął:
- Chyba nie.
 - Czy możemy kontynuować? – chciała wiedzieć Viola.
- No dobrze, furgonetka załadowana – sapnęła Viola. – Teraz trzeba jeszcze przysiąc przed drogą.
- Co zrobić? – nie zrozumiał Teddy.
 - Przysiąc przed drogą – powtórzyła Viola. – No wiesz, rozejrzeć się, upewnić, czy niczego nie zostawiłeś.
- „Tylko swoje życie”, pomyślał.

1951

Czerw niewidoczny ⁴²

Viola nie spieszyła się z przyjściem na świat. Teddy i Nancy od pięciu lat byli małżeństwem i niemal stracili nadzieję, że kiedykolwiek zostaną rodzicami. W końcu zaczęli rozważać adopcję. Flegmatyczna kobieta w miejskim ośrodku adopcyjnym ostrzegła ich, że wkrótce będą na to za starzy, a dzieci w tym momencie jest jak na lekarstwo (jakby to zależało od pory roku). Czy wobec tego chcą się zapisać na listę oczekujących?

– Tak – odparła Nancy z większą skwapliwością, niż Teddy by się spodziewał. Flegmatyczna kobieta, pani Taylor-Scott, siedziała za tanim biurkiem z państwowego przydziału. Teddy i Nancy przycupnęli przed nią na niewygodnych krzesłach i w napięciu czekali na przesłuchanie. („Trochę jak niesubordynowani uczniowie” – zauważyła potem Nancy).

– Skoro są takie braki – dodała Nancy – chętnie przygarniemy kolorowe dziecko. – Odwróciła się do Teddy’ego i zapytała: – Prawda, kochanie?

– Oczywiście – odrzekł kompletnie zaskoczony. Nie omawiali tego wcześniej. Przez myśl mu nie przeszło, że ich dziecko mogłoby nie być białe. Podczas wojny miał kiedyś na pokładzie prawdziwego oryginała, tylnego strzelca z Jamajki, czarnego jak węgiel. Zapomniał jego imię. Pamiętał tylko, że Jamajczyk miał dziewiętnaście lat i był pełen życia, dopóki w drodze powrotnej znad Zagłębia Ruhry ogień artyleryjski dosłownie nie zmiotł go razem z wieżyczką.

– Nie mam nic przeciwko temu – zapewnił. – Byle nie było zielone. – Wiedział, że desperacko próbuje się ratować poczuciem humoru. Wyobraził sobie minę Sylvie, gdy ta, niewtajemniczona w ich plany, zajrzy do

łóżeczka i ujrzy czarną twarzączkę. Roześmiał się. Pani Taylor-Scott obrzuciła go pełnym powątpiewania spojrzeniem. Nancy wyciągnęła rękę i krzepiąco ścisnęła jego dłoń. A może to miało być ostrzeżenie? Chyba się nie obawiała, że wyjdą na niezrównoważonych psychicznie?

– Adres zamieszkania? – zapytała pani Taylor-Scott, zaciskając kurczowo palce na piórze i zapisując coś nieczytelnie na ich wniosku.

Porzucili Mysią Chatkę. Mieszkali teraz kilka mil dalej w głąb doliny, na wydzierżawionej farmie o nazwie Ayswick, na obrzeżach wioski, w której znajdowały się szkółka, pub, sklep, wiejska świetlica oraz kaplica metodystów, nie było za to żadnego kościoła. „Wszystko, czego potrzebujemy – oświadczyła Nancy – może poza kaplicą”. Pół wieku później pub przekształcono w „gastropub”, szkołę w warsztat garncarski, sklep w kawiarnię („Wszystko pieczemy na miejscu”). Wiejska świetlica zmieniła się w galerię sztuki, gdzie sprzedawano także typowo turystyczne pamiątki: zestawy do własnoręcznego wykonywania makatek, kalendarze, podstawki pod łyżki oraz ozdoby z motywem owcy. Kaplica metodystów natomiast miała prywatnego właściciela. Większość zachowanych chat stała się domkami letnimi mieszczuchów. Turyści zjeżdżali tu całymi tabunami, bo wioska zagrała w serialu telewizyjnym, którego akcję osadzono w sielankowej przeszłości.

Teddy wiedział to wszystko, gdyż w 1999 roku wrócił tam z Bertie w ramach swojej podróży pożegnalnej. Po Mysiej Chatce nie został nawet ślad, choćby jeden kamień, lecz farma ocalała i z zewnątrz wyglądała niemal identycznie jak dawniej. Teraz mieścił się tu pensjonat funkcjonujący pod nazwą Fairview, prowadzony przez parę po pięćdziesiątce, która „uciekła z miasta przed wyścigiem szczurów”.

Pod wpływem nagłego impulsu postanowili tam zanocować. Teddy dostał pokój, który dzielił niegdyś z Nancy, poprosił więc o zamianę

i wylądował w klitce na tyłach. Dopiero nazajutrz po przebudzeniu zrozumiał, że to dawny pokoik Violi, i nie mógł uwierzyć, że go nie poznał. Tu stała jej kołyska, potem kojec, wreszcie łóżeczko. Zgodnie ze wskazówkami Nancy Teddy przybił do ścian wycięte ze sklejki i pomalowane farbami postacie Jacka, Jill oraz ich nieśmiertelnego wiaderka. („Nie, jeszcze bardziej w lewo – niech wiaderko wygląda tak, jakby się przewracało”). Przy łóżeczku stała urocza lampka nocna w kształcie domku, z którego okienek padało ciepłe światło. Teddy własnoręcznie zmajstrował regalik na dziecięce lektury Violi: między innymi *O czym szumią wierzby*, *Tajemniczy ogród*, *Alicję w Krainie Czarów*. Teraz sam znalazł się po drugiej stronie lustra i patrzył na tapetę Toile de Jouy, wielki amatorski obraz przedstawiający dolinę w zimie oraz lampkę nocną z tanim białym abażurem z papieru. Nie ma powrotu na drugą stronę.

Dom był obecnie znacznie cieplejszy niż w przeszłości. Niestety, ze ścian zerwano georgiańską boazerię. Jej brak sprawił mu przykrość. Przypuszczał, że stało się to w latach sześćdziesiątych, teraz wszędzie królowały wzory kwiatowe i paski. Na podłodze leżały pastelowe dywaniki, w każdym pokoju znajdowała się łazienka. Ich Ayswick zmieniło się nie do poznania; teraz było to całkiem inne miejsce o nazwie Fairview. Nie pozostało w nim nic, co przypominałoby o nim czy o jego przeszłości. Nikt poza Teddym nie mógł wiedzieć, że kiedyś kulili się z Nancy przed żeliwną kuchnią, a na wzgórzach hulał wiatr, wciskał się do środka i gwizdał po pokojach, konkurując z Beniaminem Gigli i Marią Caniglią wykonującymi arię z *Toski* na ich ukochanym gramofonie. Nikt się już nie dowie, że ich czarno-biały collie miał na imię Moss i chętnie sypiał na szmacianym dywaniku przy ogniu, podczas gdy Teddy dopieszczał w brulionie swoje

felietony, a Nancy – okrągłutka niczym spęczniały strączek – dziergała na drutach ażurowe ubranka dla dziecka, które miało się wkrótce pojawić.

„Wszystkie te wspomnienia umrą wraz ze mną” – pojął, smarując masłem tost w jadalni Fairview, niegdyś zakurzonej i niewykorzystywanej przez nich bawialni w głębi domu, obecnie zaś – musiał to przyznać – całkiem przyjemnej, z trzema okrągłymi stolikami nakrytymi białymi obrusami. Na każdym stoliku stał bukietik świeżych kwiatów. Teddy zszedł na śniadanie jako pierwszy gość; zdążył zjeść porcję jajek na bekonie i kiełbasek (według Violi nadal „cieszył się zdrowym apetytem”, chociaż w jej ustach brzmiało to jak krytyka) oraz pogawędzić przyjaźnie z właścicielką, zanim ktokolwiek do nich dołączył. Nie wspomniał jej, że kiedyś tutaj mieszkał. Uznał, że byłoby to niezręczne. Rozmowa potoczyłaby się wówczas przewidywalnym torem. Kobieta wyraziłaby zaskoczenie i zapytała: „Od tamtej pory wiele się musiało zmienić?”, na co on odparłby: „Tak, bez wątplenia!”. Lecz żadne słowa nie oddałyby krakania gawronów zlatujących się wieczorną porą do gniazd w kępie drzew za domem ani godnych Blake’a niesamowitych zachodów słońca oglądanych przez nich ze szczytu wzgórza.

– Ayswick – odpowiedziała Nancy. – Mieszkamy na farmie. – Pani Taylor-Scott uniosła w górę brew, jakby tego nie pochwalą. – Właściwie we wsi – dodała Nancy pospiesznie. – W każdym razie na jej obrzeżach. Dom ma wszelkie udogodnienia.

Wynajęli go tylko dzięki temu, że właściciel Ayswick wybudował sobie murowany dom z wszelkimi nowoczesnymi wygodami. Uważał farmę za kosztowną w utrzymaniu ruinę, więc z radością powitał najemców, którzy nie mieli nic przeciwko pełnym przeciągów izbom, kamiennym podłogom i podzwaniającym na wietrze szybom. „Za to jaki ten dom ma charakter!” – stwierdziła uradowana Nancy, gdy podpisywali umowę dzierżawy.

Po maleńkiej Mysiej Chatce farma poraziła ich swoim ogromem, wydawała się wręcz za duża dla nich dwojga. Wybudowano ją w połowie osiemnastego wieku i szarą kamienną fasadę nadgryzł nieco zęb czasu. Wnętrze, z podłogą z szerokich dębowych desek, malowaną georgiańską boazerią w salonie, ozdobnymi gzymsami i karniszami, zachowało jednak dawną elegancję. Przede wszystkim zaś była tam przestronna kuchnia z pomalowanym kremową emalią wielkim żeliwnym piecykiem, który zdaniem Nancy wyglądał „jak duże, przyjazne zwierzę”. Wciąż nie mieli własnych mebli, jeśli nie liczyć fortepianu Nancy. Zabrakło tym razem „starowinki”, która pośmiertnie użyczyłaby im swojego dobytku. Byli więc wdzięczni farmerowi i jego żonie, że zostawili przynajmniej ogromny stół kuchenny, przy którym zapewne jadła śniadania gromada wygłodniałych robotników rolnych.

Żona farmera uparła się wstawić do swojej nowej jadalni prosty, nowomodny stół firmy Ercol. „Śliczny” – pochwaliła go uprzejmie Nancy, kiedy przyszła z wizytą. Przyniosła kwiaty w ramach podziękowania, posadzono ją więc przy prostym stole z drewna wiązu i napojono kawą z dodatkiem cykorii zagotowaną ze skondensowanym mlekiem. Zarówno Teddy, jak i Nancy byli bardzo wybredni, jeśli chodzi o kawę. Zamawiali pocztą średnio palone ziarna ze sklepu Border’s w Yorku. Listonosz wyglądał zawsze na zaskoczonego aromatem wydobywającym się z paczki zawiniętej w brązowy papier. Sami je mielili w ręcznym młynku, na stałe przytwierdzonym do stołu kuchennego, i parzyli kawę w starym zaparzaczu, który Teddy przywiózł z Francji jeszcze przed wojną.

– Ta nowa farma wcale nie ma duszy – doniosła Teddy’emu Nancy. – Żadnego charakteru. – Nie było tam też pajaków ani myszy. Ani kurzu, ani pękających sufitów, ani liżącej ściany wilgoci, która w przyszłości miała przyprawiać ich długo wyczekiwaną córkę o szczekliwy kaszel, a w zimie

o katar. Poza tym nowa farma znajdowała się po zawietrznej stronie wzgórza, podczas gdy Ayswick miało otwarty widok na dolinę i przyjmowało na siebie cały impet wichury. Stojąc w drzwiach, mogli obserwować nadciągające ku sobie niczym armie wroga zjawiska pogodowe. Byli z nimi za pan brat, traktowali je, jakby miały własną osobowość: „Słońce usiłuje przebić się zza chmur”; „Deszcz chce się rozpadać”; „Śnieg coś się nie spieszy”.

Owej soboty po powrocie z wizyty u żony farmera Nancy zastała Teddy’ego w sielankowym nastroju:

Lasy obfitują w tej chwili w naparstnice, inaczej lisie rękawiczki. Ich łacińska nazwa – nadana tej skromnej roślince przez szesnastowiecznego niemieckiego botanika Leonharta Fuchsa – to *digitalis*, od *digitus*, palec. I rzeczywiście tutaj, w Yorkshire, naparstnicę nazywa się często palcami czarownicy. (Nawiasem mówiąc, to zapewne zbieg okoliczności, że *Fuchs* po niemiecku znaczy „lis”). Znana jest również pod innymi nazwami: dzwonki elfów, palce dziewicy, lisie dzwonki, lisie ogony, ale chyba najpopularniejsze określenie to właśnie lisie rękawiczki. Wywodzi się ono najprawdopodobniej od anglosaskiego *Foxes golfa*.

– Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad tym, skąd pochodzą słowa – przyznała Nancy. Stanęła za nim, oparła mu dłonie na ramionach i czytała.

Ten bezpretensjonalny kwiat stosowany był od wieków w medycynie ludowej do leczenia rozmaitych dolegliwości, zanim naukowo potwierdzono jego skuteczność w leczeniu chorób serca. Niektórzy zapewne wciąż pamiętają działające podczas wojny w każdym hrabstwie stowarzyszenia zielarskie (a może nawet do nich należeli?). Ich zadanie polegało na zbieraniu naparstnicy, której nie można było importować z dotychczasowego źródła. Wykorzystywano ją do produkcji wyciągu leczniczego.

– Wiesz to od mojej matki – zauważyła Nancy.
– Owszem. Była przewodniczącą lokalnego stowarzyszenia zielarskiego.
– Twoja matka uważa moją za czarownicę – stwierdziła Nancy. – Trzysta lat temu kazałaby ją poddać próbie wody i utopić.

Teren wokół Ayswick również porastały naparstnice i prawie nic innego. Pożyczywszy od farmera dwie kosy, wycięli przed domem nierówny trawnik, resztę pozostawili naturze. Zakładanie ogrodu wydawało im się pozbawione sensu; w zestawieniu z oszałamiającym krajobrazem prezentowałyby się co najmniej żałośnie. Po przeprowadzce do Yorku Teddy ze zdumieniem odkrył, ile radości można czerpać ze skrawka własnej ziemi na przedmieściach.

Nancy cmoknęła go w czubek głowy, mówiąc: „Mam klasówki do poprawienia”. Nie uczyła już bystrych gimnazjalistek; sumienie pchnęło ją tam, gdzie była „naprawdę potrzebna”. Codziennie dojeżdżała do Leeds, objąwszy posadę kierowniczkę katedry matematyki w liceum ogólnokształcącym, gdzie przyjęto ją z ogromną wdzięcznością. Występowała teraz pod nazwiskiem męża, pozostawiając „pannę Shawcross” w gimnazjum. Nowa szkoła, pełna tak zwanej trudnej młodzieży, nie miała uprzedzeń w stosunku do mężatek. Nancy twierdziła, że zatrudniliby nawet konia bez głowy, gdyby ten zdołał podźwignąć z upadku ich katedrę matematyki.

Jeśli chodzi o Teddy’ego, z czasem stał się de facto redaktorem naczelnym „Recordera”, w miarę jak Bill Mason stopniowo coraz bardziej wycofywał się „na tylne siedzenie”. Do czarnej roboty zatrudnił chłopaka zaraz po szkole, lecz i tak spadło na niego pisanie prawie wszystkich tekstów.

Weekendy, jak zakomunikowali pani Taylor-Scott, upływały im na długich pieszych wycieczkach po wzgórzach i dolinach, podglądaniu przyrody „w jej najróżniejszych przejawach”, jak by to ujął Agrestis, i czerpaniu inspiracji do „Szkiców z natury”. Mieli psa imieniem Moss, poczciwego czarno-białego collie, który codziennie towarzyszył Teddy’emu w drodze do pracy. Wieczorami rozwiązywali krzyżówki albo czytali sobie

nawzajem co ciekawsze urywki z „Manchester Guardian”. Słuchali też radia albo grali w karty i słuchali płyt z gramofonu, który w prezencie ślubnym podarowała im Ursula.

– A znajomi? – zapytała kobieta z ośrodka adopcyjnego. – W zasadzie brak nam czasu na życie towarzyskie – odparła Nancy. – Mamy swoją pracę, no i siebie.

– Zupełnie jak na koszmarnym egzaminie ustnym – podsumowała później tamto spotkanie. – Wzdrygnęła się, kiedy usłyszała, że lubimy słuchać z płyt arii operowych. A gdy powiedziałam, że oboje pochodzimy z rodzin wielodzietnych, niemal było widać, jak się zastanawia, czy odziedziczyliśmy po rodzicach skłonność do rozwiązłości albo – co gorsza – do katolicyzmu. Nie mogłam też rozgryźć, czy jej zdaniem lepiej mieć duże grono znajomych, czy raczej jednego albo dwóch wypróbowanych przyjaciół. Obawiam się, że na tym pytaniu poległam. Nie powinniśmy też chyba byli wspominać jej o Mossie, nie wyglądała na wielbicielkę psów. No i ten „Guardian”, kompletna pomyłka, widać było, że czytuje „Mirror”.

– Kościół? – spytała pani Taylor-Scott. Wpatrywała się przy tym w Teddy’ego takim wzrokiem, jakby chciała mu wydrzeć wstydlivy sekret.

– Chodzimy w każdą niedzielę. Należymy do Kościoła Anglii – odparła gładko Nancy, a Teddy znów poczuł lekki uścisk jej dłoni.

– Pastor wystawi państwu referencje?

– Oczywiście.

(„Przynajmniej nie wykręcałam się od odpowiedzi”. „Faktycznie, po prostu skłamałaś” – pomyślał Teddy).

– Moglibyśmy zostać metodystami, dołączyć do naszej lokalnej kongregacji – stwierdziła potem Nancy. – Jestem pewna, że Wesley spodobałby się pani Taylor-Scott, przywiązuje tak wielką wagę do przykładowego zachowania. „Nie dopuść Panie, abym był bezużyteczny!”. –

Teddy zacytował to zdanie na pogrzebie Ursuli, czego później żałował, bo można było odnieść wrażenie, że jego siostra to okropna dewotka, zwłaszcza że w 1966 roku bycie użytecznym dawno wyszło z mody. Ursula w ogóle nie była religijna – wojna odebrała jej wszelką wiarę. Podziwiała jednak to, w jaki sposób nonkonformistom udaje się łączyć powściągliwość z działaniem.

Teddy sam załatwił wszystkie formalności związane z pogrzebem Ursuli. Potem miesiącami spodziewał się otrzymać list, w którym siostra opíše mu całą ceremonię. („Najdroższy Teddy, ufam, że mój list zastał Cię w dobrym zdrowiu...”).

– Dobrze się czujesz, dziadku? – zagadnęła go Bertie, zajmując miejsce obok w jadalni pensjonatu Fairview i całując go w policzek. – Nie przygnębiła cię aby ta nasza wyprawa w przeszłość? – Teddy poklepał wnuczkę po ręce i odrzekł: – Skądże znowu.

Tego dnia mieli odwiedzić lotniska, na których służył podczas wojny. Na miejscu kilku wyrosły tereny przemysłowe i podmiejskie centra handlowe. Na innych wybudowano domy, na jednym nawet więzienie. Lecz lotnisko, gdzie stacjonował podczas swojej pierwszej tury lotów bojowych, ocalało: zaniedbane, melancholijne miejsce z jego wspomnień, z upiornymi ruinami koszar, śladami drogi kołowania, zarysem zarośniętego trawą składu amunicji i poczerniałym szkieletem wieży obserwacyjnej. Jej okna były ślepe i puste, ramy okienne zżarła rdza, betonowe ściany skruszały. Wnętrze wzięły w posiadanie nędzne chwasty – wierzbówka kiprzyca, pokrzywy, szczaw tępolistny – zachowały się jednak fragmenty stanowiska kontrolerskiego oraz spłowiełej, podartej mapy Europy Zachodniej; nadal tkwiła na ścianie, od dawna nieaktualna.

– I to także przeminie – zwrócił się Teddy do Bertie, gdy podeszli, aby przyjrzeć jej się z bliska.

– Przestań, bo się popłaczemy. Poszukajmy lepiej jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy się napić herbaty – poprosiła.

Znaleźli pub Czarny Łabędź. Zamówili herbatę i ciepłe babeczki z masłem. Dopiero przy płaceniu rachunku Teddy uświadomił sobie, że bywał tu często podczas swojej pierwszej tury. Ochrzcili wówczas lokal mianem Brudnej Kaczki i wpadali doń całymi załogami na tęgie popijawy.

– Sądzisz, że zdaliśmy egzamin u pani Taylor-Scott? – niepokoiła się Nancy.

– Nie wiem. Nie dała nic po sobie poznać.

Zanim jednak ośrodek adopcyjny wyszukał dziecko jakiegokolwiek koloru, Nancy zeszła pewnego ranka na śniadanie i oznajmiła mu:

– Chyba nawiedził mnie anioł.

– Słucham? – nie zrozumiał Teddy. Przygotowywał tosty na kuchence, a jego myśli krążyły wokół Agrestisa, nie zaś zwiastowania. Poprzedniego dnia widział na polu boksujące się zające i dumiał nad zdaniem, które najlepiej oddałoby jego radość z tego widoku.

– Anioł? – powtórzył, z trudem odrywając się od *Lupus europaeus* („celtyccy posłańcy Eostre, anglosaskiej bogini wiosny”).

Nancy uśmiechnęła się do niego błogo.

– Przypalisz tost – powiedziała. A potem: – Błogosławiona jestem między niewiastami. Chyba będę miała dziecko. My... My będziemy mieli dziecko, mój kochany. Biję we mnie nowe serce. To cud.

Nancy mogła dawno odrzucić chrześcijaństwo, ale czasami miał wrażenie, że po kryjomu wciąż hołubi w sobie uduchowioną *religieuse* ⁴³.

Pod koniec koszmarnego dwudniowego porodu Nancy nastąpił taki moment, gdy lekarz wziął Teddy’ego na bok i uprzedził go, że może być zmuszony dokonać wyboru między życiem matki a życiem dziecka.

– Nancy – odparł bez wahania Teddy. – Ratujcie moją żonę.

Nie był gotowy na taką sytuację. Koniec wojny miał oznaczać wyjście z cienistej doliny śmierci na szerokie, słoneczne wyżyny. Teddy był nieprzygotowany do stoczenia kolejnej bitwy.

– Prosim cię, żebyś wybrał? – zwróciła się do niego Nancy, gdy obie z córeczką były już bezpieczne. („Kto jej o tym powiedział?” – zachodził w głowę Teddy). Leżała w łóżku, pobladła od utraty krwi, z suchymi, spękkanymi wargami i włosami wciąż wilgotnymi od potu. Uważał, że wygląda przepięknie, niczym ocalała z płomieni męczennica. O dziwo, dziecko w jej ramionach zdawało się nie nosić żadnych śladów przeżytych ordaliów. – Wiesz, że wybrałabym dziecko, prawda? – ciągnęła, całując czoło nowo narodzonej istotki. – Gdyby trzeba było wybierać, którą z nas ratować: mnie czy ją, wybrałabym ją.

– Wiem – odparł. – Zachowałem się samolubnie. Tobą kierowałby instynkt macierzyński. (Najwyraźniej nie istniało coś takiego jak instynkt ojcowski). W późniejszych latach Teddy nieraz się zastanawiał, czy Viola w jakiś sposób wyczuwała, że – przynajmniej w teorii, jeśli nie w praktyce – był gotów bez wahania skazać ją na śmierć. Ilekroć pytano ciężarną Nancy, co by wolała – chłopca czy dziewczynkę – ta śmiała się i odpowiadała: „Będę szczęśliwa, jeśli urodzę po prostu zdrowe dziecko”. Gdy jednak Viola przyszła na świat i okazało się, że będzie ich jedynym dzieckiem, Nancy stwierdziła, że cieszy się z dziewczynki. „Chłopcy dorastają, żenią się i odchodzą do innych kobiet, a dziewczynka zawsze należy do matki”.

Lekarz oznajmił im, że nie będą mogli mieć więcej dzieci. Nancy była jedną z pięciu sióstr, Teddy również miał czworo rodzeństwa. Ze zdziwieniem myśleli, że ich rodzicielstwo ograniczy się do tej jednej osobliwości, tej tłustej poczwarki w miękkim kokonie. Córeczka – sama

słodycz, jak mówią. (Okazało się to nie do końca prawdą). Zawczasu mieli wybrane imię – Viola. Nancy, mając w pamięci swoje cztery siostry, wyobrażała sobie gromadkę córeczek: do Violi miały wkrótce dołączyć Rozalinda, Helena, może także Portia albo Miranda. Przedsiębiorcze dziewczęta. „Żadnych tragedii – żartowała – żadnych Ofelii ani Julii”. Oprócz tego syn, dla Teddy’ego, któremu dadzą na imię Hugh. Syn, który nigdy nie miał się narodzić.

Szekspir wydawał się oczywistą inspiracją. Był rok 1952, a oni wciąż rozważali, co znaczy być Anglikiem. Miała im w tym dopomóc młodziutka królowa, zmartwychwstała Gloriana. Na swoim ukochanym gramofonie słuchali płyt Kathleen Ferrier, wykonującej brytyjskie pieśni ludowe. Wybrali się nawet posłuchać jej na żywo, gdy występowała z orkiestrą Hallé na otwarciu sali koncertowej Free Trade Hall w Manchesterze. Budynek zbombardowano w 1940 roku. „Wydaje się to tak dawno temu – zauważyła Nancy. – Ależ z nas patrioci” – dodała, ocierając łzę, podczas gdy publiczność na stojąco oklaskiwała wykonanie *Kraju nadziei i chwały* Elgara. Gdy rok później Kathleen Ferrier zmarła przedwcześnie, Bill Morrison westchnął z żalem: „Co to była za dziewczyna!”. Uważał ją za krajanekę z północy, choć w istocie urodziła się z drugiej strony Peninów, i zamieścił w „Recorderze” jej nekrolog.

Nancy zakochała się w Violi od pierwszego wejrzenia. Mówiła o *coup de foudre*⁴⁴, uczuciu pod każdym względem przewyższającym jakiegokolwiek romantyczne uniesienia. Matka i córka świata poza sobą nie widziały. Stanowiły jedność całkowitą i nierozzerwalną. Teddy wiedział, że nigdy nie potrafiłby tak ulec urokowi drugiej osoby. Naturalnie kochał żonę i córkę, choć było to uczucie bliższe niezłomnej lojalności niż wszechogarniającej obsesji. Niemniej nie wątpił, że w godzinie próby bez wahania oddałby za nie życie. Wiedział także, że odtąd nie będzie mógł już

tęsknić za niczym innym, lepszym, za upajającą różnorodnością barw czy intensywnością przeżyć. To wszystko było już za nim. Teraz miał nowe obowiązki – nie wobec siebie ani ojczyzny, lecz wobec swojej małej rodziny.

Czy ze strony Nancy była to tylko miłość, czy też coś bardziej chorobliwego? Może stało za tym wspólne jej i Violi doświadczenie z pogranicza życia i śmierci? Jego wiedza o macierzyństwie siłą rzeczy pochodziła z relacji z Sylvie. Wiedział, że matka bardzo go kochała, kiedy był dzieckiem (i zapewne przez całe późniejsze życie), ale nigdy nie uzależniała od niego własnego poczucia szczęścia. (Czy na pewno?). Oczywiście nigdy jej nie rozumiał; wątpił, aby ktokolwiek ją rozumiał, a z pewnością nie jego ojciec.

Nancy, beztroska ateistka, postanowiła, że Violę należy ochrzcić.

– To się chyba nazywa hipokryzja – wyrzucała Teddy’emu Sylvie, gdy Nancy nie mogła ich słyszeć (większość ich rozmów odbywała się ostatnio poza zasięgiem jej uszu).

– W takim razie macie ze sobą coś wspólnego – mruknął Teddy. – Ty też chodzisz do kościoła, chociaż nie wierzysz w Boga.

– Jesteś takim dobrym mężem – pochwaliła go później Nancy. – Zawsze stajesz po stronie żony, a nie po stronie matki.

– Staję po stronie zdrowego rozsądku – uciął Teddy. – Tak się składa, że masz go więcej niż moja matka.

– Nie zamierzam ryzykować – oświadczyła Nancy teściowej w dniu chrztu małej. – Asekuruję się na wszelki wypadek, wzorem Pascala. –

Odniesienia do filozofujących francuskich matematyków nie robiły na Sylvie wrażenia. W głębi serca żałowała, że Teddy nie poślubił kogoś gorzej wykształconego.

Na chrzest Violi pojechali „do domu”. „Czemu nadal tak mówimy, skoro od dawna mamy własny dom?” – zastanawiała się Nancy. „Nie wiem” – odparł Teddy, chociaż wiedział, że Fox Corner zawsze będzie dla niego prawdziwym domem.

Matki chrzestne – ciotki Bea i Ursula – przysięgły wyrzec się szatana i wszelkiego nieposłuszeństwa wobec Boga, a następnie wszyscy udali się do Jackdaws na kieliszeczek kremowego sherry oraz keks. Sylvie, rzecz jasna, głęboko obrażona tym, że nie świętowano w Fox Corner.

Na pamiątkę szczęśliwych narodzin Violi Teddy podarował Nancy pierścionek z brylantem starego szlifu. „To pierścionek zaręczynowy, którego nigdy ci nie dałem”.

Viola rosła, poczwarka się rozwijała, lecz nie zmieniła się jeszcze w motyla. Rozpoczęła naukę w wiejskiej szkole podstawowej i wtedy Nancy wróciła do pracy. Dostała część etatu w pobliskiej prywatnej szkole z internatem, bardzo drogiej i prowadzonej przez Kościół Anglii. Uczyły się w niej dziewczęta, które oblały egzamin gimnazjalny, a których rodzice nie mogli przełknąć upokorzenia, jakim byłoby posłanie córek do państwowych szkół średnich.

Farmer zaproponował im kupno Ayswick, wystąpili więc do banku o kredyt hipoteczny na zakup starego gospodarstwa. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że ich życie potoczy się utartym torem – Teddy nie był ambitny, Nancy również wyglądała na zadowoloną – aż do pewnego dnia latem 1960 roku. Wtedy to, gdy Viola miała zaledwie osiem lat, jej matka postanowiła wyrzucić wszystko do góry nogami.

Mieszkanie na wsi ma swoje zalety, twierdziła, ale wkrótce Viola zacznie potrzebować czegoś więcej, choćby dobrej szkoły średniej, nieoddalonej o godzinę jazdy autobusem, przyjaciół, życia towarzyskiego, wszystkiego, czego ze świecą szukać „na takim odludziu”. Poza tym farma

jest dla nich za duża, nie da się jej utrzymać w czystości, ogrzewanie domu kosztuje majątek, hydraulika pochodzi ze średniowiecza i tak dalej, i tak dalej.

– Nie sądzę, aby w średniowieczu mieli instalacje wodno-kanalizacyjne – odparł na to Teddy. – Wydawało mi się, że kochasz ten dom za jego charakter.

– Teraz wydaje mi się, że ma go aż za wiele.

Zastawiła na niego pułapkę, w którą z zaskoczenia wpadł. Siedzieli akurat w łóżku, czytając wypożyczone z biblioteki książki – spokojne zwieńczenie dość męczącego dnia, przynajmniej w opinii Teddy’ego, który jako przedstawiciel „Recordera” musiał uczestniczyć w lokalnym pokazie rolniczym. Ileż można się zachwycać starannie przystrzyżonymi owcami czy wyszukаныmi kompozycjami z warzyw? W dodatku ku jego rozpaczy przymuszono go do oceniania biszkoptów w namiocie Instytutu Kobiet (przypominało to bardziej sędziowanie na konkursie piękności). Ogłaszając laureatkę, z radością wykorzystał wyświechtany frazes i oznajmił, że zwycięskie ciasto jest lekkie jak piórko.

Trwały wakacje letnie. Nancy chciała odwiedzić okulistę, by zbadać sobie wzrok. Ponieważ była piękna pogoda, Teddy zaproponował, że zabierze na pokaz Violę. Ta oczywiście nie przepadała za zwierzętami gospodarskimi. Bała się krów i świń, nawet owce budziły jej niepokój, a na widok gęsi darła się wniebogłoso (skutek pechowego incydentu z czasów, gdy była młodsza). „Będzie wiele innych atrakcji” – zachęcał ją niepewnie Teddy. I rzeczywiście, obejrzeliby wystawę kwiatów, którą Viola oceniła jako ładną, chociaż przy tej okazji nabawiła się kataru siennego: wtykała nos do każdego wazonu z groszkiem pachnącym pomimo jego wyraźnych ostrzeżeń. Lecz konkurs psów pasterskich uznała za nudny. (Teddy musiał się z nią zgodzić). Prawdziwym przebojem okazały się rzuty do celu. Viola

wydała mnóstwo pieniędzy, desperacko ciskała drewnianymi kulkami i chybiała za każdym razem. W końcu Teddy wkroczył, rzucił kilka razy i wygrał dla niej złotą rybkę, żeby nie wracała do domu z pustymi rękami. Zaliczyli też pokaz kucyków. Viola klaskała entuzjastycznie, ilekroć któryś z kuców zdołał pokonać niską przeszkodę, choć przecież czuła głęboką awersję do koni.

W namiocie Instytutu Kobiet potraktowano ją jak księżniczkę – wszystkie panie dobrze znały Teddy’ego i pozwoliły jej zjeść zdecydowanie za dużo ciasta (Teddy również się przejadł). Viola była jak Bobby, ich żółty labrador – jadła, dopóki ktoś nie powiedział „stop”. Podobnie jak Bobby była także nieco zbyt pulchna. „Szczenięcy tłuszczyk” – mówiła Nancy. Może u Violi, lecz nie u Bobby’ego, który szczenięce lata miał dawno za sobą. Moss, ich nieodżałowany collie, zdechł niedługo po narodzinach Violi i łagodny Bobby został wybrany na wiernego i cierpliwego towarzysza jej dziecięcych lat.

Pod wieczór Viola zrobiła się marudna. Upał i zmęczenie w połączeniu z obfitością ciasta oraz napoju pomarańczowego stworzyły zabójczą mieszankę. W drodze powrotnej Teddy musiał dwukrotnie zatrzymać auto, żeby Viola mogła zwymiotować na trawiastym poboczu. „Moje biedactwo” – powiedział i chciał przytulić córkę, lecz ta wykręciła się z jego uścisku. Po jej narodzinach miał nadzieję, że uda im się zbudować relację na wzór tej, jaka łączyła majora Shawcrossa z jego córkami, lub choćby taką pełną czulej powściągliwości, jaką Pamela i Ursula miały z Hugh. Jednak w sercu Violi nie było dla niego miejsca. Niepodzielnie królowała w nim Nancy. Po tym, jak ją stracili, Nancy zdawała się zajmować jeszcze więcej miejsca w sercu Violi. Ich córka była rozgoryczona na cały wszechświat za to, że odebrał jej matkę i pozostawił w zamian nędzną namiastkę w postaci ojca.

Resztę drogi do domu Viola przespała i Teddy mógł się w spokoju zamartwiać losem złotej rybki (Viola nazwała ją Goldie), która dusiła się w swoim foliowym więzieniu.

– Chcę mieć kucyka – oznajmiła matce Viola po powrocie do domu.

A gdy Teddy rozsądnie zauważył, że przecież nie lubi koni, wybuchnęła płaczem i zaczęła krzyczeć, że kuczki to nie konie. Nie próbował się z nią spierać.

– Jest przemęczona – stwierdziła Nancy, gdy Viola, teatralnie łkając, rzuciła się na kanapę. – Gdzie się podział ten słynny stoicyzm Toddów? – dodała.

„Wrażliwa”, zwykła ostatnio mawiać o ich delikatnej córce. Sylvie nazwałaby ją raczej rozpuszczoną. Teddy’emu w ostatniej chwili udało się ocalić złotą rybkę przed zgnieceniem pod szczenięcym tłuszczykiem Violi.

– Już dobrze, kochanie – zwróciła się Nancy do córki. – Chodź, dostaniesz trochę czekolady. To ci powinno poprawić humor.

Powinno i poprawiło. Teddy zaniósł złotą rybkę do kuchni, uwolnił z foliowej torebki i wypuścił do miski napełnionej wodą z kranu.

– Marny twój los, co, Goldie? – przemówił do niej.

Był jednym z pierwszych członków Klubu Złotej Rybki, choć rzadko o tym myślał. Schował gdzieś materiałową odznakę przedstawiającą skrzydlatą rybę – pamiątkę przymusowego wodowania na Morzu Północnym. Wypadek zdarzył się podczas jego pierwszej tury lotów bojowych. Teddy wiele razy się zastanawiał, czy nie mógł się wtedy bardziej postarać, pokonać tych kilku mil dzielących ich od lądu, zamiast zwalić się halifaksem do morza. Co za paskudna przygoda. „Niech los wam sprzyja”.

Zapisał w pamięci, aby nazajutrz wstąpić do sklepu zoologicznego i kupić akwarium. Goldie miała spędzić resztę życia w tym szklanym

pudełku niczym w więziennej izolatce, bez nadziei kręcąc się w kółko. Teddy mógł dokupić jej towarzysza, uznał jednak, że byłoby to podwójnie okrutne.

* * *

Tego wieczoru Teddy czuł, że płaci wysoką cenę za ciasto, którym go nakarmiono w namiocie Instytutu Kobiet. Na samo wspomnienie gniotło go pod żebrami.

– Mój ty biedaku – uzalila się nad nim Nancy. – Przynieść ci mleko magnezjowe?

Zauważył, że niemal takim samym tonem mówiła do Violi, gdy próbowała ukoić jej ból i zmniejszyć zdenerwowanie („Dostaniesz trochę czekolady”). Odmówił i wrócił do lektury. Czytał *Moją lwią rodzinę* Joy Adamson, a Nancy *Dzwon Iris Murdoch*. Czy wybór lektur mówi coś o nich samych?

Nie mógł się skoncentrować i zatrzasnął książkę z irytacją, która jego samego zaskoczyła.

– Naprawdę chcesz się przeprowadzić? – zapytał.

– Tak, chyba tak.

Po narodzinach Violi wspólnie z Nancy entuzjastycznie omawiali zdrowe, wiejskie wychowanie swojej jedynaczki. Wyobrażali sobie, jak wspina się po drzewach, przeskakuje rowy i włóczy się po okolicy w towarzystwie psa. („Odrobina swobody jeszcze nikomu nie zaszkodziła – mówiła wtedy Nancy. – Powiedziałabym nawet, że przysłużyła się nam, kiedy byliśmy dziećmi”). Czas pokazał, że Viola nie była dzieckiem stworzonym do życia na wsi. Z przyjemnością tkwiła całymi dniami zamknięta w czterech ścianach, czytając książki albo słuchając płyt na małym adapterze, który jej kupili (Cliffa Richarda, The Everly Brothers).

Bobby trwał leniwie wyciągnięty na dywanie u jej stóp. Oboje – dziecko i pies – szybko doszli do porozumienia w kwestii niechęci do pieszych wędrówek. Może więc Nancy miała rację i Violi lepiej będzie na przedmieściach?

– Niewykluczone zresztą, że taka zmiana dobrze zrobi nam wszystkim – stwierdziła Nancy.

Teddy nie miał potrzeby niczego zmieniać, był całkiem szczęśliwy „na tym odludziu”. Sądził, że Nancy również jest tu szczęśliwa. – Dobrze nam zrobi? – powtórzył. – W jakim sensie?

– Będziemy mieć więcej bodźców. Więcej możliwości. Kawiarnie, teatry, kina, sklepy. Poznamy nowych *ludzi*. Nie wszystkim wystarcza tropienie pierwiosnków i słuchanie skowronków.

Czyli jednak nie była szczęśliwa. „Niezadowolona żona” – pomyślał Teddy. Brzmiało to jak tytuł komedii z czasów restauracji, kiepskiej w dodatku. Nie mógł się powstrzymać, aby nie pomyśleć o swojej matce.

– Dawniej wystarczało ci tropienie pierwiosnków, jak to ujęłaś – odparł. Spodobało mu się to sformułowanie, poetyckie wbrew intencjom Nancy; zanotował je w pamięci dla Agrestisa. W miarę upływu lat dziennikarskie alter ego przybrało w jego wyobraźni konkretną postać: krzepkiego wieśniaka w czapce nasuniętej na oczy i z fajką w dłoni, człowieka praktycznego, a zarazem czulego na kaprysy matki natury. Od czasu do czasu Teddy łapał się na myśli, że w porównaniu ze swoim odpowiednikiem wypada nieco blado. Pamiętał czas, kiedy odkrycie ptasiego gniazda albo – nie inaczej – pierwszego pierwiosnka zachwycało jego niezadowoloną żonę.

– Żadne z nas nie jest już takie samo jak niegdyś – odparowała.

– Ja się nie zmieniłem.

– Owszem, zmieniłeś się.

– Czy my się kłócimy?

– Nie! – roześmiała się Nancy. – Ale oboje mamy po czterdzieście i tak sobie brniemy...

– Brniemy?

– To nic obraźliwego. Mówię tylko, że może musimy trochę się otrząsnąć. Nie chcesz chyba, żeby życie przeszło ci koło nosa?

– Sądziłem, że chodzi o Violę, nie o nas...

– Nie proponuję ci przeprowadzki na drugi koniec świata. Tylko do Yorku.

– Do Yorku?

Nancy wstała z łóżka.

– Przyniosę ci jednak to mleko magnezjowe. Z przejedzenia robisz się zrzędlivy. Będiesz miał nauczkę na przyszłość, żeby nie czarować pań z Instytutu Kobiet. Z czułością potargała mu włosy, jakby był małym chłopcem, i dodała: – Uważam po prostu, że powinniśmy to *rozważyć*, a nie że koniecznie musimy się stąd wyprowadzać.

Teddy przygładził włosy i wbił wzrok w sufit. „Brniemy” – pomyślał. Nancy wróciła z łazienki, potrząsając niebieską szklaną buteleczką. Przez chwilę obawiał się, że poda mu lekarstwo na łyżce, jak dziecku, lecz ona wręczyła mu buteleczkę ze słowami: „Proszę, to ci powinno pomóc”. Po czym wsunęła się pod kołdrę i wróciła do swojej książki, jakby kwestia całkowitej przemiany ich życia została w sposób zadowolający omówiona i rozstrzygnięta.

Teddy wypił łyk kredowobiałego płynu prosto z buteleczki i zgasił nocną lampkę po swojej stronie łóżka. Lecz jak zwykle w podobnych momentach sen nie nadchodził i jego myśli powróciły do Agrestisa, który pisał właśnie felieton o karczownikach ziemno-wodnych.

Chociaż należy do rzędu gryzoni, ten uroczy maluch (*Arvicola terrestris*) często bywa mylnie nazywany szczurem wodnym. Kochany przez dzieci Szczur z powieści *O czym szumią wierzby* Kennetha Grahame'a jest w istocie karczownikiem. Na wolności żyje krótko, w dodatku musi przez ten czas wykarmić sporo głodnych gąb, nic więc dziwnego, że w niewoli cieszy się znacznie dłuższym życiem. Około ośmiu milionów karczowników zamieszkuje – podobnie jak Szczur w powieści Grahame'a – nory nad brzegami rzek, w pobliżu rowów z wodą, strumieni oraz innych cieków wodnych...

Na krótko przed swoimi przynosinami z Fanning Court do domu opieki Topolowe Wzgórze, gdy miał już dobrze po dziewięćdziesiątce („życie w niewoli” najwyraźniej mu służyło), Teddy natrafił w „The Telegraph” na pewien artykuł (potrzebował szkła powiększającego, żeby widzieć druk). Wynikało z niego, że w Wielkiej Brytanii zostało tylko ćwierć miliona karczowników. Teddy'ego ogarnął w ich imieniu słuszny gniew i z wielkim ożywieniem napomknął o tym problemie podczas cotygodniowego porannego spotkania przy kawie, wprawiając w zakłopotanie pozostałych pensjonariuszy.

– Wszystko przez norki – perorował. – Uciekły z hodowli na wolność i przetrzebiły populację karczowników. *Pożarły* je.

Kilka z obecnych w pokoju rekreacyjnym starszych pań wciąż pilnie strzegło obłożonych naftaliną futer z norek, przechowywanych w tandetnie lakierowanych szafach Fanning Court, i nie odczuwało w związku z tym żadnego współczucia dla biednych karczowników.

– Poza tym – ciągnął Teddy – zniszczyliśmy ich siedliska, jako ludzie jesteśmy w tym dobrzy.

I tak dalej, i tak dalej. Gdyby uważnie go słuchali (a o wielu zdecydowanie nie można było tego powiedzieć), pod koniec wykładu nie byłoby takiej rzeczy, jakiej nie wiedzieliby o karczownikach czy, skoro już o tym mowa, drażliwym temacie globalnego ocieplenia.

Płomienna mowa Teddy'ego w obronie zagrożonego ssaka nie przypadła do gustu amatorom nescafé i herbatników czekoladowych. (Nie wzruszyły ich także jego słowa o skromnych jeżach, zajęcach szarakach ani pytanie: „Kiedy ostatni raz widzieliście kukułkę?”).

– Zwariowany ekolog – wymamrotał jeden z mężczyzn, emerytowany prawnik.

– Doprawdy, tato – zganiła go Viola – nie możesz prawić ludziom *kazań*.
– Najwyraźniej Gruby Zawiadowca w osobie Ann Schofield poprosił Violę, aby zamieniła słówko z Teddym o jego „agresywnym” zachowaniu.

– W ciągu ostatnich trzydziestu lat straciliśmy niemal dziewięćdziesiąt procent pogłowia karczowników – zaprotestował. – Coś takiego w każdym powinno wzbudzić agresję. A i tak ma się to nijak do tego, co muszą, jak sądzę, odczuwać biedne karczowniki. („Nie wiesz, co masz, dopóki tego nie stracisz – zauważyła Bertie. – Jak śpiewają w tej piosence”. Teddy nie wiedział, o jaką piosenkę chodzi, ale w pełni utożsamiał się z jej przesłaniem).

– Nie wygłupiaj się – odparła Viola. – Poza tym jesteś już trochę za stary, żeby walczyć *za sprawę*. W rządzącym się prawami Darwina brutalnym świecie Violi przyroda była zdana sama na siebie. – Cała ta obsesja na punkcie ekologii przynosi ci więcej szkody niż pożytku – stwierdziła. – Za stary jesteś, żeby się tak unosić.

„Na punkcie ekologii?” – pomyślał Teddy.

– Przyrody – sprostował. – Dawniej mówiło się „przyroda”.

Viola od pewnego czasu prowadziła kampanię mającą na celu namówienie ojca, by przeprowadził się do domu opieki. Podczas tamtej przelotnej wizyty w Fanning Court przywiozła ze sobą garść ulotek. Kilka dni wcześniej Teddy się przewrócił, niegroźnie, po prostu nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na podłogę niczym zapadnięty akordeon.

– Klapnąłem na tyłek, psiakrew – oznajmił szorstko Ann Schofield, gdy ta nadciągnęła z odsieczą (owszem, upadł w pobliżu jednej z tych czerwonych linek i owszem, skwapliwie za nią pociągnął).

– Proszę uważać na język – ofuknęła go, jakby był niesfornym dzieckiem, chociaż zaledwie dzień wcześniej podsłuchał, jak zwracała się do opornych drzwiczek pralki: „No rusz się, ty cholero!”. Akcent z Birmingham sprawił, że inwokacja ta brzmiała jeszcze bardziej zaczepnie.

Z minimalną pomocą Grubego Zawiadowcy („To wbrew zasadom bezpieczeństwa, muszę wezwać karetkę”) Teddy zdołał uklęknąć, a następnie przenieść się na kanapę. Poza paroma siniakami nic mu nie dolegało, lecz dla Violi incydent ów stanowił dowód koronny na to, że ojciec sobie nie radzi, mieszkając samodzielnie. Tak go zadrezczała, żeby się wyniósł z domu do Fanning Court, a teraz usiłowała go stąd wykurzyć do jakiegoś Topolowego Wzgórza. Teddy przypuszczał, że córka nie spocznie, dopóki nie wpędzi go do grobu.

Ułożyła ulotki w wachlarz, na wierzchu znacząco położyła tę reklamującą Topolowe Wzgórze: „Przynajmniej je obejrzyj”. Teddy rzucił na nie okiem. Zobaczył szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi o bujnych siwych czuprynach, ani śladu zafajdanych majtek czy oznak demencji, czego nie zawahał się jej wytknąć.

– Zrobiłeś się okropnie wulgarny – oburzyła się Viola. – Co się z tobą dzieje?

– Niedługo umrę. Perspektywa śmierci budzi we mnie bolszewika.

– Nie wygłupiaj się. – Zauważył, że jest elegancko ubrana. – Wybieram się gdzieś.

– Gdzieś?

Od dziecka nie cierpiała się tłumaczyć, miała skrytą naturę. Kiedyś, gdy była nastolatką, minęli się na ulicy. Viola wracała z koleżankami ze szkoły

i spojrzała na Teddy'ego jak na powietrze. Syn o imieniu Hugh nigdy by się tak nie zachował.

– Gdzieś? – powtórzył, usiłując wydusić z niej coś więcej.

– Kręcą film na podstawie jednej z moich książek. Mam spotkanie z producentami. – Rozmyślnie lekceważący ton, jakim wypowiedziała słowa „film” oraz „producenci”, sugerował obojętność, której z całą pewnością nie czuła. Jej drugą powieść, *Dzieci Adama*, również przeniesiono na ekran. Film był brytyjski i niezbyt udany – dostał go od niej na płycie DVD. Naturalnie książka była niewiele lepsza, chociaż nigdy by jej tego nie powiedział. Orzekł, że jest bardzo dobra.

– Tylko bardzo dobra? – Viola zmarszczyła brwi.

Wielkie nieba, czy to za mało? Teddy byłby więcej niż zadowolony z takiej oceny, gdyby kiedykolwiek doprowadził do końca rozpoczętą przed laty powieść. Jak chciał ją zatytułować? Coś o zdrowym śnie i altanie... Cytat z Keatsa, ale z jakiego wiersza? Wyczuwał, że w jego mózgu gromadzą się ciemne chmury. Może Viola miała rację: istotnie czas się poddać i zasiąść w poczekalni Pana Boga.

Pierwsza powieść jego córki – *Wróble o świcie* (co za okropny tytuł!) – opowiadała o wychowywanej przez ojca bystrej (choć irytująco aroganckiej) dziewczynie i ewidentnie miała być autobiograficzna, stanowić przesłanie dla niego od Violi. Bohaterka książki była nieustannie pokrzywdzona przez los, a jej ojciec został przedstawiony jako tępą służbista. Nic z tego, co Sylvie nazwałaby Sztuką.

– Którą? – zapytał, zbierając myśli i rozpędzając nadciągające chmury. – Którą powieść mają sfilmować?

– *Koniec mroku*. – Zauważyła, że ojciec patrzy na nią pustym wzrokiem, i dodała zniecierpliwiona: – Tę o matce, która musi oddać dziecko. – („Niezrealizowane pragnienie Violi” – stwierdziła Bertie). Spojrzała

teatralnie na ciężki złoty zegarek na swoim przegubie. („Rolex. W zasadzie to miała być inwestycja”).

Teddy nie był pewien, czy w ten ostentacyjny sposób pragnęła mu przypomnieć o swoich sukcesach czy też o tym, jak bardzo jest zajęta. Pewnie chodziło o jedno i drugie. Ostatnimi czasy wyglądała jak bardziej zadbana i nowoczesna wersja samej siebie, odchudzona i starannie ufryzowana, z włosami ufarbowanymi na dziesięć różnych odcieni blond niemających – o ile pamięć go nie myliła – nic wspólnego z pierwotnym kolorem jej włosów. Koniec z henną, koniec z workowatymi ciuchami. Aksamity i cekiny, w których lubowała się w wieku średnim, również bezpowrotnie zniknęły. Teraz ilekroć ją widział, miała na sobie dopasowany kostium w jakimś neutralnym kolorze. „*Dzieci Adama* odmieniły moje życie” – przeczytał pewnego dnia w pozostawionym w pokoju rekreacyjnym egzemplarzu „*Women’s Weekly*”, który od niechcenia kartkował, szukając obiecanych na okładce przepisów na tanie i łatwe kolacje. „Nagradzana autorka Viola Romaine opowiada o swoim najnowszym bestsellerze. W udzielonym nam na wyłączność wywiadzie mówi: »Nigdy nie jest za późno, żeby zrealizować swoje marzenia«”. I tak dalej, i tak dalej.

– Muszę lecieć – rzuciła, wstając gwałtownie i kręcąc torebką na ciężkim połączonym łańcuchu. – A ty zacznij myśleć o domu spokojnej starości, tato. Teraz mówi się na nie „domy opieki”. Pieniądze nie grają roli, oczywiście ci pomogę. Ten tutaj... – stuknęła polakierowanym na różowo paznokciem w broszurę reklamującą Topolowe Wzgórze – jest podobno znakomity. Przemyśl to. Pomyśl, dokąd chciałbyś pojechać.

„Do Fox Corner – odpowiedział jej w myślach. – Tam chciałbym pojechać”.

Teddy nie przeciwstawił się nagłemu pragnieniu Nancy. Gdy tylko natknął się na ogłoszenie o wakacie w „Yorkshire Evening Post”, zgłosił swoją kandydaturę i kilka tygodni później przenieśli się do Yorku. (Szybkie, chirurgiczne cięcie). Nancy z łatwością znalazła pracę na część etatu w katedrze matematyki prowadzonej przez kwakrów szkoły The Mount i z ulgą powróciła do uczenia bystrych, dobrze wychowanych dziewcząt. Viola natomiast dostała miejsce w ich szkole podstawowej. Nancy podobało się Religijne Towarzystwo Przyjaciół; twierdziła, że ze wszystkich chrześcijan kwakrom najbliższej do agnostyków.

Teddy pamiętał York jeszcze z czasów wojny, gdy miasto to stanowiło tajemniczy labirynt wąskich, ciemnych ulic i zaułków. Chodziło się tam pić i tańczyć. Chłanie odchodziło w barze U Betty. Najlepsze potańcówki były w De Grey, gdzie podczas zaciemnienia kradło się całusa chętnym dziewczętom. W czasach pokoju York stracił co nieco ze swojej tajemniczości. Zabytki zostały niejako wystawione na pokaz. Teddy wolał jednak oglądać miasto w dziennym świetle, choć tu i ówdzie wyczuwał dawną aurę tajemniczości, jakby pod dopiero co odkrytą warstwą tynku kryła się inna, nikomu nieznaną. W obliczu tylu wieków historii życie człowieka wydawało się żałośnie krótkie i niewiele znaczące. Mimo to myśl, że tylu innych odeszło przed nim i zostało zapomnianych, stanowiła dla Teddy’ego źródło dziwnej pociechy. Ot, naturalna kolej rzeczy.

Dom, który kupili – stateczny bliźniak na przedmieściach – nijak nie odpowiadał wyobrażeniom Teddy’ego o ich wspólnym gniazdku. W przeciwieństwie do Mysiej Chatki oraz Ayswick nie miał swojej nazwy, tylko numer, idealne dopełnienie bezosobowej anonimowości. Nie miał też za grosz charakteru. Nowa Nancy – ta, która nie miała ochoty tropić pierwiosnków – zaaprobowwała ten wybór jako „sensowny i praktyczny”. Mieli teraz centralne ogrzewanie, wykładziny na wymiar, nowoczesną

łazienkę oraz kuchnię, lecz w oczach Teddy’ego domowi brakowało jakichkolwiek walorów estetycznych. Sylvie byłaby wstrząśnięta ich wyborem, ale od dwóch lat nie żyła. Kiedy przycinała swoje róże, powalił ją udar. Zawsze używali zaimka dzierżawczego, bo róże należały do matki i do nikogo poza nią. Teraz i one przepadły, wykopane, jak donosiła mu Pamela, przez nowych właścicieli Fox Corner. „Cała sztuka polega na tym – stwierdziła Ursula – żeby się nie przejmować”. Ale się przejmowała. Tak samo Teddy.

Jeszcze przez długie miesiące po przeprowadzce do Yorku Teddy budził się z rana i z ukłuciem żalu w sercu nasłuchiwał stłumionego chóru porannych podmiejskich odgłosów, konkurujących z jednostajnym szumem samochodów dobiegającym zapewne z obwodnicy. Brakowało mu zielonego świata tuż za progiem – w mieście nie było królików, bażantów ani borsuków, tylko pawie w ogrodzie botanicznym. Latami nie widział lisa, dopóki jeden dotknięty świerzbem miejski rudzielec nie zaczął plądrować pojemników na tyłach Fanning Court. Teddy potajemnie wynosił mu resztki. Kiedy Ann Schofield odkryła ową sekretną działalność dobroczynną, nie posiadała się z oburzenia. „Lisy to szkodniki” – oświadczyła z obrzydzeniem. („Sama jest szkodnikiem” – stwierdziła Bertie. Czasami Bertie przypominała Teddy’emu Sylvie, w każdym razie miała najlepsze jej cechy).

Za nowym domem mieli spory niezabudowany teren. Teddy kupił więc podręcznik ogrodnictwa wydany przez Reader’s Digest. W jego odczuciu ogród był podstępnie ujarzmioną i trzymaną w korbach przyrodą, ptakiem, któremu podcięto skrzydła – zupełnie jak Tweetie, niebieskiej papużce, której Viola zażyczyła sobie na urodziny. „»Czerwonogardły gil, zamknięty w klatce«”⁴⁵ – wymamrotał Teddy, gdy Nancy wróciła z ptaszkiem ze sklepu zoologicznego. – Wiem, wiem – odrzekła – „wściekłością niebios

sięga”. Tyle że papużki to ptaki *hodowlane*. Wielka szkoda, że muszą żyć w niewoli, ale ostatecznie nie znają innego życia.

– Zapewne to dla nich wielka pociecha – zauważył Teddy.

Ich drugi jeniec, nieszczęsna Goldie, nie przeżył przeprowadzki do nowego domu. W słynnej litanii wykroczeń Blake’a nie było nic o przetrzymywaniu rybek w akwarium, lecz poeta z pewnością by tego nie pochwalił. Violę zdenerwował widok dryfującego ciała, więc Teddy odszukał swoją odznakę Klubu Złotej Rybki.

– Wyobraź sobie, że Goldie wyrosły skrzydła i poszła do nieba – powiedział pocieszająco.

Twetie okazało się niefortunnym imieniem dla papużki, która nie wydała z siebie ani jednego ćwierknięcia przez całe swoje krótkie życie. Upłynęło jej ono głównie na apatycznym dziobaniu kości mątwej albo przestępowaniu z nogi na nogę na drewnianej grzędzie.

Teddy na moment utożsamiał się z tym posępnym ptaszkiem i pomyślał, że chyba lepiej być Ikarem, choćby za cenę upadku.

– Wyjeżdżasz? Znowu? – zapytał, starając się, aby zabrzmiało to naturalnie.

– Tak, znowu – odparła lekko Nancy. – Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. – Po prostu... – Zawahał się, bo nie potrafił wyrazić swoich zastrzeżeń.

Nancy wyjeżdżała trzeci raz w ciągu ostatnich trzech miesięcy, za każdym razem z wizytą do którejś z sióstr. Najpierw w Dorset pomagała Gertie w przeprowadzce. Potem nadeszła kolej na wycieczkę z Millie do Krainy Jezior („Dom Wordswortha i takie tam”). Millie wiodła dość hulaszczy tryb życia w Brighton „między jednym mężem a drugim”.

– Pewnie musi się komuś wygadać – sugerowała Nancy.

Nancy uważała się zawsze za domatorkę. Nie przepadała nawet za ich dorocznymi wypadami nad morze. Każdego lata ich trójka – nazywana przez Nancy rodzinnym triumwiratem, co według Teddy’ego stawiało Violę na równi z rodzicami – obowiązkowo wyjeżdżała na urlop na wschodnie wybrzeże, do Bridlington, Scarborough albo Filey. Robili to bardziej ze względu na Violę niż na siebie. Nancy uważała, że każde dziecko powinno się bawić w piasku, i trwała heroicznie w tym przekonaniu, podczas gdy pozostali członkowie triumwiratu trzęśli się z zimna ukryci za pożyczonym parawanem albo szukali schronienia w wilgotnych i dusznych herbaciarniach, kiedy co do okruszka zjedli kanapki z pasztetową przygotowywane im rano przez gospodynię pensjonatu.

Przypominało to bardziej obóz przetrwania niż beztroskie wakacje. „Możemy już wracać do domu?” – powtarzała Viola niczym mantrę, a Teddy w skrytości ducha pytał o to samo. Ponieważ wynajmowali pokoje w pensjonatach, do których psy nie miały wstępu, Viola wciąż się nudziła. Jako jedynaczka nie potrafiła bawić się ani sama, ani z innymi dziećmi.

Smagane wiatrem wybrzeże Yorkshire dalekie było od wyobrażeń Teddy’ego o miejscu na idealny urlop. Morze Północne stało się cmentarzem zbyt wielu bezimiennych lotników upamiętnionych w Runnymede. Jego dno niemal pokrywały ich szczątki – „Każda część jego ciała w drogi klejnot się przebrała”⁴⁶. Teddy spędził tu dwie najgorsze noce wojny, miotany bezlitosnymi falami. („Niech los wam sprzyja”). Nancy obiecywała mu, że jak tylko Viola trochę podrośnie, zaczną wyjeżdżać dalej – do Walii, Kornwalii. „Albo do Europy” – podsunął Teddy. Przekładaniec z wielobarwnych kwadratów i plasterków słonecznego światła...

Nancy wymyśliła, że odwiedzi Beę w Londynie. („Tylko na kilka dni, wybierzemy się na jakieś przedstawienie albo na wystawę”). Zbliżała się

pora snu, a ona ciągle sprawdzała zeszyty. Zerkając jej przez ramię, Teddy widział kolumny cyfr, które nic mu nie mówiły. „Jak do tego doszłaś?” – kaligrafowała starannie Nancy czerwonym atramentem. Przerwała i spojrzała na niego. Jej twarz, zawsze taka szczerą, zachęcała do zwierzeń, obiecywała rozgrzeszenie. Przypuszczał, że uczennice ją uwielbiają.

– Tak czy inaczej – podjęła. – Pomyślałam, że mogłabym wyjechać do Londynu w środę wieczór i wrócić do domu w piątek. Viola będzie w szkole, ty w pracy. Po lekcjach może wrócić z Sheilą albo poczekać, aż ty ją odbierzesz.

(„Wszystko zaplanowane w jak najdrobniejszych szczegółach – pomyślał Teddy. – Czy nie byłoby łatwiej, gdyby odwiedziła Beę w weekend?”).

– Nie masz nic przeciwko temu, że zostawiam cię na posterunku? Viola będzie zachwycona. Spędzi trochę czasu sam na sam z tobą.

– Wątpię – mruknął z lekkim smutkiem. Viola miała prawie dziewięć lat i wciąż wielbiła matkę, jego zaś traktowała jak coś w rodzaju rodzicielskiej konieczności.

– Nie pojedę, jeśli nie chcesz – zapewniła go Nancy.

„Cóż za uprzejma konwersacja – pomyślał Teddy. – A gdybym rzeczywiście nie chciał? Co by wtedy powiedziała?”.

– Nie żartuj, dlaczego miałbym nie chcieć? Naturalnie, że powinnaś jechać. Dlaczego miałabyś tego nie zrobić? Zresztą gdyby coś się wydarzyło, zawsze mogę cię złapać u Bei.

– Z pewnością nie będzie takiej potrzeby – odparła Nancy i dodała zdawkowo: – Poza tym przypuszczam, że często będziemy poza domem.

Kiedy zwiedzały z Millie Krainę Jezior, w ich wynajętym domku nie było telefonu. A gdy pomagała Gertie się przeprowadzać, nowy telefon nie został jeszcze podłączony. „W razie nagłego wypadku – rzuciła lekkim

tonem – albo gdyby wydarzyło się jakieś nieszczęście (Teddy uważał, że mówienie o takich rzeczach jak gdyby nigdy nic to niepotrzebne kuszenie losu), zawsze możesz nadać komunikat przez radio. Wiesz, coś w rodzaju: »Policja prosi o kontakt takiego to a takiego, przebywającego obecnie w rejonie Westmoorland...« i tak dalej». Czterdzieści lat później, gdy Teddy mieszkał w Fanning Court, Viola podarowała mu telefon komórkowy: „Proszę, teraz zawsze będziesz pod telefonem. Na wypadek gdyby znów coś ci się stało (miała na myśli jego złamane biodro; nie pozwalała mu zapomnieć o tamtym przykrym incydencie, jakby obnażył on jakiś niedostatek jego charakteru) albo gdybyś się zgubił czy coś w tym rodzaju.

– Zgubił?

Nigdy nie nauczył się obsługiwać komórki. Przyciski były zbyt małe, instrukcja zbyt skomplikowana.

– Starego psa nie nauczysz nowych sztuczek – wyjaśnił Bertie. – Poza tym dlaczego miałbym być stale „pod telefonem”?

– W dzisiejszych czasach nigdzie nie można się ukryć – skonstatowała Bertie.

– Może tylko w wyobraźni? – podsunął.

– Nawet tam nie jesteśmy bezpieczni – odparła ponuro Bertie.

– W takim razie ustalone – stwierdziła Nancy. – Wyjadę w środę. Znakomicie. – Zaczęła starannie układać zeszyty jeden na drugim. – Koniec na dzisiaj. Zagrzałbyś mleko na kakao? – Uśmiechnęła się do niego pytająco i zapytała: – Coś nie w porządku? Nie musimy robić kakao, jeżeli nie masz ochoty.

– Nie, wszystko gra. Zaraz je przygotuję – odpowiedział. A myślał: „Co ty knujesz, Nancy?”.

Podczas gdy Nancy była nieosiągalna w Dorset i pomagała Gertie w przeprowadzce, zdarzyło się coś zaskakującego. Zadzwoiła Gertie we własnej osobie (choć podobno nie miała jeszcze podłączonego aparatu). Jako osoba, która nie zwykła tracić czasu na wstępy, od razu przeszła do sedna:

– Pamiętasz ten wielki dębowy kredens z mojej jadalni, ten w stylu Arts and Crafts, który stał kiedyś w Jackdaws?

– Ten z miedzianymi zawiasami, ozdobiony płytkami ceramicznymi De Morgana? – upewnił się Teddy. Mebel ów był mu dobrze znany.

– Ten sam. W nowym domu nie ma dla niego miejsca. Tam praktycznie na nic nie ma miejsca – dodała wesoło, a Teddy przypomniał sobie, jak i dlaczego zawsze bardzo ją lubił. – Tak czy inaczej – podjęła – wiem, że ci się podobał, pomyślałam więc, że może chciałbyś go sobie wziąć. Mogłabym wynająć firmę przewozową, to nie powinno zbyt drogo kosztować. Jeżeli ty go nie weźmiesz, obawiam się, że będę zmuszona go sprzedać.

– Miło, że o mnie pomyślałaś – odparł. – Z przyjemnością bym go wziął. Sęk w tym – dodał z powątpiewaniem – że u nas też się chyba nie zmieści. – Pomyślał z żalem o Ayswick i o tym, jak pięknie wyglądałby ów kredens w tamtejszej przestronnej kuchni. Do nudnego podmiejskiego bliźniaka zwyczajnie by nie pasował. Mimo wszystko Teddy poczuł niespodziewane pragnienie, żeby się zgodzić. Bądź co bądź, to mebel, który tak dobrze pamiętał z domu Shawcrossów. Kawałek przeszłości. – A co o tym sądzi Nancy?

– Nie mam pojęcia – odrzekła Gertie. – Najlepiej sam ją zapytaj.

– Dasz mi ją?

– Czy ci ją dam? – zdziwiła się Gertie. – Co masz na myśli?

– Daj mi ją do telefonu.

– *Ja mam ci ją dać do telefonu?* – Gertie robiła wrażenie kompletnie zbitej z tropu.

– *Przecież jest u ciebie.* – Teddy nie pojmował, dlaczego nie mogą się porozumieć.

– *Wcale nie* – zaprzeczyła Gertie.

– *Nie ma jej u ciebie w Lyme Regis? Nie pomaga ci w przeprowadzce?*

Po drugiej stronie zapadła niezręczna cisza, po czym Gertie odpowiedziała ostrożnie:

– *Nie, nie ma jej tutaj.*

W głosie szwagierki wyczuł niepokój, że mimowolnie zdradziła Nancy, więc w pierwszym odruchu (o dziwo) postanowił wybawić ją z kłopotu.

– *Nic się nie martw* – rzucił wesołym tonem. – *Coś mi się poplątało. Zaraz jej poszukam i do ciebie oddzwonię. A ten kredens jest naprawdę wyjątkowy. Dziękuję za propozycję, Gertie.* – Prędko się rozłączył, chcąc jak najszybciej przeanalizować tę dziwną informację. Ostatecznie zdanie: „*Jadę do Lyme Regis pomóc Gertie w przeprowadzce*”, trudno było uznać za wieloznaczne.

Jeżeli Nancy chciała przed nim coś ukryć, coś, co wymagało od niej udawania, że jest z wizytą w Dorset, to z pewnością musiała mieć jakiś powód. Teddy wiedział, że w razie konieczności potrafiła kłamać bez mrugnięcia okiem, ale z natury nie była *skryta*, wręcz przeciwnie. Czasami odnosił wrażenie, że fundament bliskości w ich małżeństwie było złamanie przez Nancy ustawy o ochronie tajemnicy państwowej. Mimo to, kiedy Nancy wróciła, o nic ją nie zapytał. Zagadnął jedynie:

– *Jak się udała przeprowadzka?*

– *Świetnie, wszystko gładko poszło* – odparła.

– *Podobał ci się nowy dom Gertie?*

– *Mhm, jest bardzo ładny* – mruknęła wymijająco.

Poprzestał na tym, żeby nie poczuła się przesłuchiwana. Postanowił zaczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie. Zdrada nie zajmowała wysokiej pozycji na jego liście podejrzeń, jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Nancy w roli żony oszukującej męża. Miał ją zawsze (i to się nie zmieniło) za osobę o nieposzlakowanej opinii, wolną od wszelkiej podłości, zdeterminowaną, by czynić tylko to, co właściwe. Nie należała do kobiet, które potrafiły udawać niewinność. Ale też nigdy dotąd nie wprowadziła go celowo w błąd. Skoro go okłamała, jej kłamstwo musiało wynikać z utylitarnych przesłanek. Może za całym tym oszustwem kryła się jakaś niespodzianka? Przyjęcie urodzinowe albo niezapowiedziany zjazd rodzinny? Po śmierci Sylvie i sprzedaży Fox Corner nie przychodziło mu na myśl nic, co mogłoby na nowo zjednoczyć rozproszoną rodzinę Toddów. Jeśli nie liczyć pogrzebów, Teddy i najbliższe jego sercu rodzeństwo – siostry Ursula i Pamela – rzadko miało teraz okazję do spotkań. Ślubów dziwnym trafem brakowało. Dlaczego? „Bo nowe pokolenie jeszcze do nich nie dorosło – zauważyła celnie Nancy. – Ani się obejrzymy, jak przyjdzie kolej na Violę”.

Viola była samotną strzałą, którą wystrzelili na oślep w przyszłość, nie wiedząc, gdzie wyląduje. „Powinniśmy byli lepiej ją wycelować” – doszedł do wniosku Teddy, gdy patrzył na córkę wiążącą się podczas cywilnej ceremonii w ratuszu w Leeds z Wilfem Romainem (z Dominikiem, ojcem jej dzieci, nie wzięła ślubu). Od początku do końca był to nieudany związek. „Gość lubi wypić, prawda?” – stwierdził ostrożnie Teddy po tym, jak Viola przedstawiła mu swojego „nowego faceta”. „Jeżeli to ma być przytyk – odparowała – możesz go sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi. Przecież ty nie robisz nic innego, tylko mnie krytykujesz”. Och, Violu...

* * *

Nancy ponownie wyjechała, tym razem na wycieczkę z Millie do Krainy Jezior. Teddy poprzysiągł sobie, że nie będzie jej sprawdzał niczym jakiś podrzędny prywatny detektyw. Od powrotu z Dorset nie było żadnej urodzinowej niespodzianki, nie doszło też do zjazdu rodzinnego, lecz to samo w sobie nie świadczyło jeszcze o niczym podejrzanym. Teddy oparł się pokusie sięgnięcia po słuchawkę i wybrania numeru Millie, aby się przekonać, czy szwagierka jest w swoim mieszkaniu. Jego niepokój musiał się udzielić Violi, która bez przerwy marudziła: „Kiedy wróci mamusia?”. Dała mu tym samym uzasadniony powód, by zadzwonić. Przynajmniej tak sobie to pokrętnie wytłumaczył.

– Och, witaj, Teddy – odezwała się beztrasko Millie, przeciągając samogłoski. – Wieki całe cię nie słyszałam.

– Czyli nie jesteś z Nancy w Krainie Jezior? – zapytał śmiało, czując ogarniający go gniew, jak najbardziej uzasadniony.

Po kilku chwilach milczenia Millie odparła:

– Właśnie wróciłyśmy. Dopiero co wsadziłam ją do pociągu, już do was jedzie.

Bądź co bądź była aktorką. Teddy pomyślał, że nigdy nie grała lepiej niż w tym momencie. Wyjazd Nancy do Brighton nie miał żadnego sensu. I na dodatek ten szybki powrót stamtąd do domu! Nie potrafił jednak w żaden sposób udowodnić, że tego nie zrobiła. Albo że zrobiła. Uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie doświadczył zazdrości. Podrzędny prywatny detektyw wystawił z ukrycia swój wstrętny łeb i zapytał: – I *jak* wam się podobało w Krainie Jezior, Millie? Co dokładnie zwiedziłyście?

– Och, no wiesz – zbyła go szwagierka. – Dom Wordswortha i takie tam.

Czy to możliwe, aby Millie nie powtórzyła Nancy tej rozmowy? Nancy zadeklarowała chęć odwiedzenia Bei i wydawała się beztrasko

nieświadoma tego, że Teddy w nią zwątpił. (Czyżby *wszystkie* jej siostry były w zмовie? Nawet poczciwa Gertie i stateczna, matczyna Winnie?).

Teddy nie był wcale pobłażliwy, tylko sparaliżowany. Nie potrafił się zdobyć na to, aby zapytać Nancy, o co właściwie chodzi (co wydawało się naturalnym rozwiązaniem), ponieważ w odpowiedzi spodziewał się kłamstwa albo prawdy, na którą nie był przygotowany. „Brnął” więc naprzód (to słowo zaczynało go prześladować), choć odtąd wszystko miało dla niego gorzki smak podejrzliwości. Z chorobliwą zawziętością roztrząsała każde zachowanie Nancy. Raz na przykład zdybał ją w holu. Oparta o ścianę pokrytą teksturową tapetą szeptała coś do słuchawki z miną spiskowca. Na na jego widok przerwała w pół zdania.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytał, jakby w ogóle go to nie interesowało.

– Plotkowałyśmy sobie z Beą – odpowiedziała.

Innym razem ubiegła go i pierwsza odebrała poranną pocztę. Kiedy zapytał, czy spodziewa się jakiejś korespondencji, zaprzeczyła, po czym wsadziła Violę na rower i razem pojechały do szkoły.

Przy więcej niż jednej okazji obserwował, jak z zafrasowaną miną wpatruje się w przestrzeń przed sobą. Mieszała przy tym sos albo przygotowywała plan lekcji. Zagadnięta, odpowiadała zwykle: „Wybacz, zamyśliłam się” albo: „Trochę boli mnie głowa”. W ciągu minionych kilku miesięcy często zdarzało jej się cierpieć na migreny. Czasami, gdy spoglądała na Violę, na jej twarzy odmalowywał się wyraz wielkiego cierpienia, który jednak zaraz zniknął. Teddy domyślał się, że Nancy musi być rozdarta między uczuciem do kochanka a miłością matczyną. Oszukiwanie współmałżonka to jedno, ale oszukiwanie własnego dziecka to całkiem inna para kaloszy.

Nie wierzył, że zamierza odwiedzić Beę ani że w ogóle wybiera się do Londynu. Na tym etapie chora wyobraźnia podsuwała mu obrazy

niewiernej żony oddającej się cudzołożnym rozkoszom gdzieś w pobliżu ich domu, na przykład w obskurnym hoteliku w Micklegate. (Zachował stamtąd wspomnienie z czasów wojny: miejscowa dziewczyna, niepotrzebne, pozostawiające niesmak zbliżenie).

Ledwie Nancy wyszła, by zdążyć na pociąg jadący na stację King's Cross, Teddy zatelefonował do Ursuli i zrzucił cały ciężar z serca. Zamiast spodziewanych słów współczucia usłyszał ostrą reprimendę.

– Nie wygłupiaj się, Teddy, Nancy nie jest zdolna do zdrady.

„*Et tu, Brute?*” – pomyślał, po raz pierwszy rozczarowany postawą siostry.

Zgodnie z planem w piątek wieczorem taksówka przywiozła z dworca jego wiarołomną żonę. Teddy wypatrzył przez okno nadjeżdżające auto i przyglądał się, jak Nancy płaci, a taksówkarz wyjmując z bagażnika jej walizeczkę. Wyglądała na znużoną, gdy szła do domu żwirową ścieżką. Pewnie wyczerpała ją lubieżna namiętność albo rozstanie z kochankiem rozdarło jej duszę.

Otworzył drzwi, zanim znalazła klucz w torebce.

– O, dziękuję – powiedziała i minąwszy go, weszła do holu. Nawet na niego nie spojrzała. Czuć ją było dymem tytoniowym i alkoholem.

– Paliałaś?

– Skądże! – zaprzeczyła bez wahania.

W takim razie to jej kochanek musiał palić i zostawił na niej swój zapach. *Swój ślad.*

– I piłaś – dodał Teddy, czując wzbierający w nim wstęt.

– W moim przedziale wszyscy palili – wyjaśniła obojętnie. – Owszem, wypijałam w pociągu whisky, i co z tego? Przepraszam cię, jestem wykończona.

– Na pewno zmęczyły cię te wszystkie muzea i wystawy – zauważył z przekąsem.

– Co? – Nancy odstawiła walizkę, odwróciła się i popatrzyła na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Wiem, co jest grane.

– Czyżby?

– Masz romans. A te wszystkie eskapady to tylko przykrywka.

– Eskapady?

– Masz mnie chyba za nierozgarniętego. Biedny, stary Teddy, tak sobie *brnie...*

– Brnie?

– Wiem, co się święci – powtórzył, coraz bardziej poirytowany, że Nancy nie reaguje na jego zaczepki. „Jeżeli się przyzna i obieca zakończyć romans, wybaczę jej” – zdecydował wielkodusznie. Obawiał się jednak, że jeśli żona pójdzie w zaparte, wówczas on zrobi albo powie coś, od czego nie będzie odwrotu. (Na przykład: „Nigdy nie byłem w tobie zakochany”).

Zdenerwował się jeszcze bardziej, gdy najzwyczajniej w świecie się od niego odwróciła i weszła do kuchni, gdzie nalała sobie wody z kranu. Wypiła ją powoli, po czym z wielką starannością odstawiła pustą szklanę na suszarkę.

– Wiem wszystko – powtórzył rozwścieczony, starając się mimo to nie podnosić głosu ze względu na śpiącą na górze Violę.

Nancy spojrzała nań ze smutkiem.

– Nie, Teddy – powiedziała. – Niczego nie wiesz.

1942–1943

Wojna Teddy'ego

Doświadczenie

Dwadzieścia minut do punktu celowania, kapitanie.

Zrozumiałem, nawigatorze.

Przedarli się przez ostrzał artylerii przeciwlotniczej broniącej wybrzeża i pokonali zygzakiem ustaloną wcześniej trasę nad terytorium okupowanym, by na koniec przebić się przez szeroki pas nieba podziurawionego reflektorami, które ciasnym pierścieniem opasywały Zagłębie Ruhry. Noc była praktycznie bezchmurna i nadlatując nad cel, od czasu do czasu widzieli błyskające w dole światła. Mogła to być pracująca pomimo późnej pory fabryka albo po prostu ktoś zlekceważył nakaz zaciemnienia. Nie raz i nie dwa kierowano ku nim światła latarek i nad Holandią ich mechanik pokładowy, małomówny Norman Best, odczytał na głos sygnał przesyłany alfabetem Morse'a przez tych, którzy tam w dole życzyli im powodzenia: kropka, kropka, kropka, kreska. „V” jak wiktoria. Było to pokrzepiające przesłanie nadziei, często je widywali.

„Dzięki, kolego, kimkolwiek jesteś” – Teddy usłyszał słowa wypowiedziane przez tylnego strzelca pokładowego. Był to kościsty rudowłosy Szkot, osiemnastolatek, okropny gaduła, który starał się podczas lotu trzymać język za zębami. Cała załoga wiedziała, że dowódca woli mieć ciszę w eterze. Łatwo było się rozgadać, zwłaszcza w drodze powrotnej, gdy nieco się odprężali. Wystarczyła jednak chwila nieuwagi, szczególnie w przypadku strzelców, i... cześć pieśni.

Teddy podzielał odczucia tylnego strzelca wobec tego anonimowego Holendra albo Holenderki. Miło wiedzieć, że ktoś docenia ich wysiłki. Tutaj w górze czuli się tak oderwani od ziemi, nawet gdy zrzucali na nią bomby (a może właśnie wtedy, gdy zrzucali na nią bomby), że zdarzało im się zapominać o istnieniu narodów, które widziały w nich swoją ostatnią nadzieję.

Widzę zrzucane wskaźniki celu, kapitanie, dwadzieścia mil przed nami.

Zrozumiałem, celowniczy.

Była to ich ostatnia akcja w tej turze lotów bojowych i złe przeczucia ich nie opuszczały. Do tej pory wygrywali z bezlitosną statystyką. Teraz każdy się zastanawiał, czy los może się okazać tak okrutny, by doprowadzić ich daleko, a potem strącić. (Wiedzieli, że może). Teddy słyszał, jak bezbożny australijski celowniczy mamrocze po nosem: „Jeszcze tylko ten jeden raz, Chryste Panie, jeden jedyny raz”, gdy czekali na pasie startowym na zielone światło.

Dociągnięcie do wymaganych trzydziestu misji bojowych niemal graniczyło z cudem. Niektóre loty liczyły się zaledwie jako jedna trzecia akcji. Te odbywające się pod kryptonimem „prac ogrodniczych”, polegające na zrzucaniu min do holenderskich kanałów żeglugowych albo w pobliżu Wysp Fryzyjskich, oraz ataki bombowe na cele we Francji także kwalifikowały się jako jedna trzecia akcji. Okupowaną Francję uważano za kraj „przyjazny”. Ale przyjazny czy nie i tak był najeżony niemiecką artylerią przeciwlotniczą. Jej obsługa tylko czekała, by ich zestrzelić. Fakt, że łatwiej było zginąć podczas nalotu na Rzeszę („Czterokrotnie łatwiej”, jeśli wierzyć znajomej Ursuli z Ministerstwa Lotnictwa), niemniej jednak ryzykowali życie. Podejście dowództwa w tym przypadku Teddy uważał za rażąco niesprawiedliwe albo „cholernie nie fair”, aby przytoczyć bardziej

dosadną opinię celowniczego. Keith był pierwszą osobą, z jaką Teddy się zakumplował w jednostce szkolenia operacyjnego.

Formowanie załóg odbywało się w sposób nietypowy i zaskakujący dla wszystkich zainteresowanych. Pilotów, nawigatorów, radiotelegrafistów, celowniczych oraz strzelców po prostu spędzano do jednego hangaru. Tam słyszeli od instruktora: „Dobra, chłopcy, podobierajcie się”, zupełnie jakby w kwestii doboru optymalnego składu załogi lepiej było się zdać na magię wzajemnego przyciągania zamiast na wojskowe procedury. O dziwo, metoda ta się sprawdzała, o czym zresztą Teddy osobiście miał okazję się przekonać.

Przez pewien czas kłębili się chaotycznie na podobieństwo stada gęsi na podwórku w porze karmienia, nieco zażenowani tym, czego od nich oczekiwano. – Jak na cholernej potańcówce, kiedy trzeba zwrócić na siebie uwagę dziewczyny – skomentował całą sytuację Keith, podchodząc do Teddy’ego. – Keith Marshall – przedstawił się – Celowniczy. – Granatowy mundur zdradzał Australijczyka.

Teddy rozglądał się w pierwszej kolejności za nawigatorem, ale Keith z miejsca przypadł mu do gustu. Jeżeli wojna czegoś go nauczyła, to tego, że o charakterze człowieka można się wiele dowiedzieć na podstawie jego spojrzenia, wyrazu oczu. Lecz równie ważne było to coś nieuchwytnego i trudnego do zdefiniowania, co być może sprawiło, że poczuł natychmiastową więź z Keithem. Naturalnie nie bez znaczenia była także opinia zasłyszana od jednego z instruktorów. Stwierdził on mianowicie, że Keith to „swój chłop”, który „zna się na rzeczy”. Później miało się to potwierdzić. Co prawda Keith oblał egzamin na pilota („Nie potrafiłem tym cholerstwem wylądować”), za to kurs strzelecki ukończył z pierwszą lokatą.

Chociaż Australijczyków uważano za hałaśliwych, Keith robił wrażenie statecznego, nawet zadumanego. Miał błękitne oczy, dwadzieścia lat,

wychował się na owczej farmie i – jak przypuszczał Teddy – większość życia upłynęła mu pod palącym słońcem, na wpatrywaniu się w ciągnące się po horyzont połacie wyschniętej trawy zamiast w rozległe zielone pola. Przyszło mu na myśl, że to musi wpływać na sposób, w jaki patrzy się potem na życie.

Keith wyznał mu, że chętnie zobaczy trochę świata, „nawet jeśli miałyby to tylko być Trzecia Rzesza w ogniu”.

Uścisnęli sobie dłonie jak przystało na dżentelmenów i Keith rzekł: „Kapitanie, lepiej bierzmy się do roboty, bo dostaną się nam ostatnie lamusy”. Teddy pomyślał, że oto po raz pierwszy członek załogi (jego załogi!) nazwał go „kapitanem”. Poczul się tak, jakby nareszcie stanął na własnych nogach.

Rozejrzeli się po hangarze, a Keith powiedział:

– Widzisz tego gościa tam pod ścianą, który się z czegoś zaśmiewa? To radiotelegrafista. Piłem z nim wczoraj, wydawał się zupełnie w porządku.

– Okej – odparł Teddy. Ta rekomendacja wydała mu się równie dobra jak każda inna.

Kandydat, George Carr, okazał się dziewiętnastolatkiem z Burnley. Teddy był kiedyś świadkiem, jak zaoferował on komuś pomoc przy naprawie roweru. Z ogromnym entuzjazmem rozłożył rower na części, po czym na powrót poskładał i oddał właścicielowi, mówiąc: „Proszę, dam głowę, że będzie chodził lepiej niż nowy”. Twierdził, że lubi dłubać przy różnych rzeczach, co w przypadku radiotelegrafisty stanowiło zapewne użyteczną cechę.

George z kolei wskazał im strzelca – kolejna znajomość zadzierzgnięta przy okazji wieczornej popijawy w kantynie. Chłopak nazywał się Vic Bennett i pochodził z Canvey Island. Miał szczerbaty uśmiech (i najgorsze zęby, jakie Teddy kiedykolwiek widział), a gdy go im przedstawiono,

przywołał gestem kumpla, z którym byli razem na kursie strzeleckim. „Ma głowę na karku – oznajmił – i refleks szczura. Zresztą nawet trochę go przypomina. Rudego szczura”. I to właśnie był ich gadatliwy młody Szkot: „Kenneth Nielson, ale wszyscy mówią mi Kenny”.

„A nawigatora jak nie było, tak nie ma” – myślał Teddy rozbawiony tym, jak szybko stracił kontrolę nad procesem doboru załogi. Przypominało mu to trochę zabawę w ciuciubabkę. „Ciekawe, po czym można poznać dobrego nawigatora. Kogoś opanowanego, choć akurat ta cecha była pożądana u wszystkich. Skupionego, skoncentrowanego na swoim zadaniu” – wyliczał w głowie. Wtem za plecami usłyszał spokojny, rozwlekły głos z wyraźnym kanadyjskim akcentem. Odwrócił się, aby zidentyfikować właściciela głosu, i dostrzegł na jego piersi odznakę nawigatora.

– Ted Todd – przedstawił się. – Jestem pilotem i szukam dobrego nawigatora.

– Jestem dobry – odparł Kanadyjczyk, wzruszając lekko ramionami. – W każdym razie dość dobry.

Nazywał się Donald McLintock, dla przyjaciół Mac. Teddy lubił Kanadyjczyków, w swoim czasie miał okazję się przekonać, że można na nich polegać. Nie dawali się ponosić emocjom ani zbyt wybujałej wyobraźni, co było cenne u nawigatora. Samo brzmienie kanadyjskiego akcentu przywodziło na myśl miłe wspomnienia bezkresnego nieba, na którym Teddy uczył się pilotować tiger mothy i fleet finche, szybując ponad olbrzymim wielobarwnym patchworkiem, jakim było Ontario. Tamte maszyny były delikatnymi maleństwami w porównaniu z avro ansonami i harvardami, jakimi potem latał, nie mówiąc już o masywnych wellingtonach, na które mieli się przesiąść w ramach praktyk w jednostce szkolenia operacyjnego. „Kierowcy autobusów” – takim pogardliwym

mianem piloci myśliwców określali tych pilotujących bombowce. Teddy miał jednak wrażenie, że wojnę wygrają właśnie „autobusy”.

– Witamy w załodze – powiedział do nawigatora.

Nastąpiła kolejna runda dżentelmeńskich uścisków dłoni. „Ależ z nas zbieranina” – myślał z pewnym zadowoleniem Teddy. „Trzeba nam jeszcze Nowozelandczyka na mechanika pokładowego – stwierdził Keith, jakby czytając w jego myślach – i będziemy jak cholerna Liga Narodów”. Trafił im się jednak nie Nowozelandczyk, tylko Norman Best z Derby – nieśmiały, poważny chłopak po studiach, z dyplomem z języków obcych, żarliwy chrześcijanin. Nastąpiło to po tym, jak trafili do jednostki przeszkolenia na samoloty ciężkie, więc na razie było ich sześcioro. Odtąd stanowili załogę. Tak po prostu. Pili razem i jedli, razem latali i wzajemnie odpowiadali za swój los.

Zaraz pierwszego wieczoru poszli całą załogą na obowiązkową popijawę. Duch egalitaryzmu wymagał, aby każdy postawił innym kolejkę, więc po sześciu kufkach piwa na głowę powlekli się do kwatery pijani jak bele, deklarując sobie dozgonną przyjaźń. Leżąc owej nocy na górnej pryczy i patrząc, jak wokół wirują ściany pokoju, Teddy zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie był do tego stopnia zalany ani też równie szczęśliwy. A przynajmniej od bardzo dawna, niewykluczone, że od czasów dzieciństwa. Nareszcie czekała go przygoda!

Cała załoga z wyjątkiem Teddy’ego składała się z podoficerów. On sam – o ile się orientował – został mianowany na oficera wyłącznie dlatego, że chodził do odpowiedniej szkoły i studiował na odpowiednim uniwersytecie, a na pytanie, czy lubi grać w krykieta, odpowiedział twierdząco, chociaż w istocie za tym nie przepadał. Wydało mu się jednak oczywiste, że każda inna odpowiedź będzie niemile widziana. Tym oto sposobem kilka miesięcy później znalazł się w drodze do Duisburga jako dowódca załogi, pan

swojego losu i swojej duszy, siedzący za sterami cholernie wielkiego czterosilnikowego halifaksa, który miał irytującą skłonność do przechylania się w prawo podczas startu i lądowania.

Dziesięć minut do punktu celowania, kapitanie.

Zrozumiałem, nawigatorze. Dziesięć minut do punktu celowania, celowniczy.

Tak jest, kapitanie.

W powietrzu zwracali się do siebie wedle pełnionej funkcji, na ziemi zaś byli po prostu sobą. Ted, Norman, Keith, Mac, George, Vic i Kenny, zupełnie jak przyjaciele z powieści przygodowej dla młodzieży. Jeden kumpel Augustusa nosił imię Norman, a drugi – George, lecz w przeciwieństwie do członków załogi Teddy’ego wciąż mieli po jedenaście lat. Wiecznie młodzi, nie rozstawali się ze swoimi procami, łowili płotki i plądrowali spizarnię w poszukiwaniu słoików z dżemem, które z jakiegoś powodu były ich Świętym Graalem. Aktualnie Augustus i jego wesoła kompania służyli ojczyźnie w najnowszej książce zatytułowanej *Augustus i wojna*: zbierali makulaturę, wykradając ludziom gazety ze skrzynek na listy, oraz metale na złom, przywłaszczając sobie garnki i patelnie oburzonych sąsiadów państwa Swift. („Patelnia nie nadaje się na złom” – wybuchnęła pani Swift. „Ale to dla żołnierzy – zaprotestował Augustus. – Stale powtarzasz, że musimy sobie odmawiać różnych rzeczy. Dzięki nam sąsiedzi mogą sobie teraz odmówić patelni”). Teddy pomyślał z pewną urazą, że Augustus w wydaniu Izzie nie musi się użerać z ostrzałem artyleryjskim ani martwić o to, że jakiś messerschmitt rzuci się na niego niczym jastrzęb na swoją ofiarę.

Jego osobista wersja Augustusa – wyimaginowany dorosły sobowtór – niemal na pewno wykpiłaby się od służby. Najprawdopodobniej był kombinatorem, spekulantem handlującym pokątnie alkoholem

i papierosami, czymkolwiek, co tylko wpadło w jego brudne łapy. („Trzymaj pan, należy się dziesięć funciaków. Tylko cicho sza!”).

Z trudem przebijali się przez ogień obrony przeciwlotniczej. Nocne niebo nieustannie rozdzierały błyski, skrywane zaraz przez obłoczki gęstego szarego dymu, ale huk wystrzałów i tak ginął w ogłuszającym ryku silników typu Rolls-Royce Merlin.

– Niech wszyscy mają oczy otwarte – zarządził Teddy.

W dali przed nimi posypał się na ziemię rój bomb zapalających, zrzuconych zapewne przez maszynę, która usiłowała się wzbić na wyższy pułap. Tym samym niechcący wyświadczyła przysługę niemieckim myśliwcom krążącym nad strumieniem bombowców. Zyskawszy nagle doskonałą widoczność, poczęły zrzucać flary, piękne niczym rozjarzone żyrandole, te zaś zdawały się zawisać w powietrzu, oświetlając tor lotu nieszczęsnego bombowca. Chwilę później maszyna eksplodowała, zmieniając się w kulę ognia. Spomiędzy płomieni buchnęły kłęby czarnego dymu.

– Zanotujcie to w dzienniku pokładowym, nawigatorze – polecił Teddy.

– Tak jest, kapitanie.

Wystartowali z opóźnieniem. Jako doświadczona załoga powinni lecieć bliżej początku, mieli jednak kłopoty z lewym wewnętrznym silnikiem, więc wzbili się w powietrze jako ostatni i ostatni też dotarli do punktu kontrolnego nad Flamborough Head. „Trudno, ktoś musi zamykać szyk” – rzucił Teddy, na próżno usiłując podnieść na duchu przybitą załogę. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jako maruderzy stają się łatwym celem dla myśliwców nieprzyjaciela, wyraźną kropką na niemieckim radarze, owcą oddzieloną od stada dającego poczucie bezpieczeństwa.

Rzecz jasna, lot w zwartej formacji też wiązał się z ryzykiem. Na początku tej tury wzięli udział w pierwszym „nalocie tysiąca bombowców” marszałka Harrisa na Kolonię. W powietrznej armadzie łatwo było się dostać w strumień zaśmigłowy maszyny lecącej z przodu. Samolotem niemiłosiernie telepało, a pilot wciąż się rozglądał, by widzieć pozostałych. Teddy miał wrażenie, że większe zagrożenie stanowiły dla nich wówczas własne maszyny niż niemieckie myśliwce albo obrona przeciwlotnicza. Tworzyli swoisty przekładaniec: powolne stirlingi w dole, osiągające wysoki pułap lancastery u góry, halifaksy w środku niczym nadzienie w kanapce. Prędkość, wysokość i pozycja każdego samolotu zostały z góry dokładnie ustalone, co nie oznaczało wcale, że w praktyce wszyscy znajdowali się tam, gdzie powinni.

Tamtej nocy inny halifaks przeleciał w pewnym momencie tuż nad nimi, w odległości może dwudziestu stóp – wielki czarny cień przypominający wieloryba z żarzącymi się na czerwono dyszami wylotowymi. Później, gdy zbliżali się do celu, siedzący w środkowej wieżyczce Vic zaczął naraz kląć na czym świat stoi i wrzeszczeć, ponieważ lecący nad nimi lancaster właśnie otworzył komorę bombową i Teddy musiał wykonać gwałtowny unik, choć groziło to zderzeniem z inną maszyną.

Sami mieli niestety okazję być z bliska świadkami takiej kolizji, gdy lecący z ich lewej strony halifaks rozpoczął manewr wymijania i zderzył się z nadlatującym z tyłu lancasterem. Ich J-Jigiem – to było jeszcze, zanim go stracili – wstrząsnęła potężna eksplozja. Ze zbiorników paliwa na skrzydłach lancastera wystrzeliły oślepiająco białe płomienie. Teddy krzyknął na swoich strzelców, żeby odwrócili wzrok, bojąc się, że blask ich oślepi.

Bez trudu znaleźli Kolonię. Płonęła, zanim do niej dolecieli. Strzelające w górę języki ognia i gęsty dym całkowicie ukryły zrzucone wcześniej

wskaźniki celu, skierowali się więc w sam środek pożogi, zrzucili bomby i czym prędzej odlecieli. Z perspektywy czasu tamta operacja, choć zakrojona na ogromną skalę, wydawała się w zasadzie banalna. Szczerze mówiąc, Teddy z trudem przypominał sobie szczegóły nalotu. Zupełnie jakby przeżywał swoje życie kilka razy, na różne sposoby. Albo jakby zapadł się w noc i ciemność, dla których – jak pisał Blake – niektórzy z nas się rodzą.

Czas również płynął teraz jakby inaczej. Wcześniej przypominał rozległą, z pozoru bezkresną mapę; rozpościerała się przed nim, on zaś mógł wybrać kierunek wędrówki. Obecnie widział ją tylko na odległość wyciągniętego ramienia, w każdej chwili mogła zniknąć. „Też się tak czułam w szczytowym okresie nalotów na Londyn” – wyznała Ursula, próbując odszyfrować tę zawiłą metaforę, kiedy spotkali się podczas jego pierwszego urlopu. Na każde sześć tygodni służby przypadało sześć dni wolnego i Teddy postanowił spędzić je w Londynie zamiast w Fox Corner. Nawet nie zawiadomił Sylvie, że opuścił bazę.

– Przed wojną – mówiła dalej Ursula – wszystkie dni wydawały nam się takie same, prawda? Dom, praca, znowu dom. Rutyna najlepiej potrafi stępiać zmysły. A potem nagle ma się wrażenie życia na krawędzi. Nie wiadomo, czy człowiek z niej spadnie, czy może wzbije się w powietrze.

Teddy zauważył, że i jedno, i drugie wiąże się z ryzykiem.

– Chyba masz rację – przytaknął. Dotarło do niego, że nie wie, o czym mówi, ale niewiele go to obeszło. Żył w obliczu śmierci – konstatacja tak prosta, że nie trzeba jej było ubierać w żadne metafory.

Osiem minut do punktu celowania, kapitanie.

Zrozumiałem, nawigatorze.

Uwaga, strzelcy.

Tak jest, kapitanie.

Robi się, kapitanie.

Strzelcy nie potrzebowali zachęty, aby wzmóc czujność, był to po prostu ich sposób, żeby pozostawać ze sobą w stałym kontakcie. Teddy wiedział, że obaj uważnie śledzą niebo i obracają się z karabinami w wieżyczkach. W trakcie tej tury lotów bojowych praktycznie nie musieli strzelać. Każdy wystrzał był sygnałem dla nieprzyjaciela i wystawiał maszynę na cel myśliwców, które w ciemności łatwo mogły ją przegapić. Co innego, jeśli zostawiało się za sobą czerwone pociski smugowe – wtedy bez trudu można było zostać namierzonym. Potężne działka myśliwca były znacznie groźniejsze niż ich mizerne karabiny maszynowe typu Browning. Dlatego też strzelcy zasadniczo pełnili funkcję czujek. Byli wśród nich tacy, którzy przez całą turę nie wystrzelili ani jednej serii.

Pamela wyszła za mąż za doktora, który miał okazję zapoznać się z danymi dotyczącymi eksperymentów przeprowadzanych w komorach hiperbarycznych. Powiedział on Teddy'emu, że terapia tlenowa jest zbawienna dla wzroku strzelców, który w warunkach niedoboru tlenu jako pierwszy ulega uszkodzeniu. Po tej rozmowie Teddy kazał swoim strzelcom nosić maski tlenowe od startu aż do lądowania.

Znaleźli się w samym centrum gęstego ostrzału. Przed nimi rozciągała się nieruchoma zasłona szarego dymu, zasłona ognia zaporowego, przez który musieli się przedrzeć.

W porównaniu ze spektakularnymi nalotami tysiąca bombowców ten dzisiejszy był stosunkowo skromny: raptem dwieście bombowców – w tym dwanaście maszyn z ich własnej eskadry – kierujących się w luźnym szyku nad Zagłębie Ruhry, nad Szczęśliwą Dolinę [47](#).

Jakiś czas wcześniej widzieli pikującego lancastera trafionego w skrzydło przez niemiecki myśliwiec. Spadał w dół niczym kołysany wiatrem ognisty liść. Widzieli też, jak inny halifaks został schwytyany

w światła reflektorów niemieckiej obrony przeciwlotniczej, i bez słowa śledzili snop błękitnego światła, ku któremu zaraz zbiegły się wiązki innych reflektorów. Wyglądało to tak, jakby bezduszne automaty osaczyły zdobyczą, więżąc ją w powodzi oślepiającego światła i bezlitośnie rażąc gradem pocisków. Maszyna weszła w korkociąg, chwytając się ostatniej deski ratunku, lecz reflektory śledziły ją jak przyklejone. Któryś z pocisków musiał trafić w cel, bo na ich oczach halifaks eksplodował i zmienił się w kulę ognia.

– Zanotujcie to w dzienniku pokładowym, nawigatorze – polecił beznamiętnie Teddy. – Czy któryś zauważył spadochrony?

Przez interkom rozległo się zbiorowe zaprzeczenie. Keith dorzucił: „Biedne sukinsyny”. Tkwił nieruchomo na swoim stanowisku na dziobie samolotu gotowy do strzału. Widok zestrzelonego samolotu zawsze szokował, ale nie mieli czasu o tym rozmyślać. Grunt, że sami nie zostali trafieni.

„Jeżeli mamy oberwać – modlił się Teddy – to niech śmierć przyjdzie natychmiast”. Zdecydowanie wolał ognistą kulę od długiego spadania. Tak czy owak, nie mogli liczyć na miękkie lądowanie. Przemawiał przez niego fatalizm, nie skłonność do makabry. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała w tej chwili załoga, był przygnębiony kapitan. Zwłaszcza tej nocy byli dostatecznie roztrzęsieni. W dodatku Teddy zauważył, że są skrajnie wycieńczeni. Wyglądali po prostu staro, a przecież Keith dopiero co obchodził dwudzieste pierwsze urodziny. Urządzili mu hałaśliwą bibkę w kantynie podoficerskiej. Ich świętowanie zawsze cechowała swego rodzaju niewinność. Byli niczym rozkrzyczane i psotne dzieci na kinderbalu: czarne ślady butów na suficie, sprośne przyśpiewki wykonywane z akompaniamentem pianina po tym, jak co skromniejsze dziewczyny z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet poszły spać (zawsze

zostawała jedna albo dwie). W gruncie rzeczy nie różnili się tak bardzo od Augustusa i jego ferajny.

Sylvie, podejmująca nieudolne próby zapanowania nad upływem czasu, nastawiała zegary w Fox Corner na dziesięć minut naprzód (co skutkowało raczej zamętem niż punktualnością). Jak by to było miło, pomyślał Teddy, gdyby ktoś mógł teraz cofnąć wskazówki zegara, tak aby wydawało im się, że wykonują dwudziestą dziewiątą, a nie trzydziestą akcję bojową. Uwolniłby ich tym samym od złowróżbnych przeczuć.

Na domiar złego mieli na pokładzie drugiego pilota, żółtodzioba na swojej pierwszej misji. Dowództwo miało w zwyczaju posyłać nowicjusza na rekonesans z doświadczoną załogą, zanim zasiądzie on za sterami własnej maszyny, lecz z jakiegoś powodu uważano, że zielony drugi pilot przynosi pecha. O ile Teddy się orientował, przekonanie to nie było w żaden sposób uzasadnione. On sam zaliczył swój chrzest bojowy na pokładzie C-Charlie podczas nalotu na doki w Wilhelmshaven. Załoga, dla której była to dwunasta akcja, praktycznie nie zwracała na niego uwagi, jakby ignorowanie go mogło sprawić, że rozkładany fotel drugiego pilota jakimś cudem opustoszeje. C-Charlie wrócił do bazy właściwie niedraśnięty, miał kilka dziur po ostrzale artylerii przeciwlotniczej i uszkodzony jeden silnik. Mimo to nawet po wylądowaniu załoga unikała Teddy'ego jak zarazy, w przeciwieństwie do jego ludzi, niezmiernie uradowanych, że wrócił na ziemię cały i zdrowy. Zaraz też powędrowali wszyscy – łącznie z personelem naziemnym – na porządną popijawę do pobliskiego pubu, aby uczcić ten fakt. Czarny Łabędź, powszechnie znany jako Brudna Kaczka, miał niezwykle życzliwego właściciela, który pozwalał załogom pić na krechę, choć wiedział, że wielu chłopaków nie uіści swoich rachunków. Nie sposób rozliczać umarłych.

Podczas drugiej tury lotów bojowych Teddy zetknął się z załogą maszyny W-William złożonej z kotów świeżo po szkoleniu, która straciła swego dowódcę, gdy ten przechodził chrzest bojowy z inną załogą. Natychmiast przydzielono im nowego, który także wyruszył na pierwszą akcję jako drugi pilot i także z niej nie wrócił. (Może obecność żółtodzioba na pokładzie faktycznie przynosiła pecha?). W tym momencie pozbawiona dowódcy załoga wyłaziła niemal ze skóry, żeby wreszcie zacząć latać. Byli niczym szczenięta na uwięzi, więc gdy przydzielono im trzeciego pilota (ze zrozumiałych względów chłopak miał solidnego pietra), Teddy wziął wszystkich na pierwszą misję ich własną maszyną. Nowy dowódca poleciał jako drugi pilot. Zmasowany nalot na Berlin okazał się niezwykle wyczerpujący, ale nowicjusze spisali się na medal.

Po powrocie cała załoga nie posiadała się z radości. „Dobra robota, chłopcy” – pochwalił ich Teddy. Naprawdę byli tylko chłopcami, żaden nie przekroczył dwudziestki. Zaprosili go potem na kielicha do kantyny podoficerskiej – bądź co bądź, jak stwierdzili, należał teraz do załogi. Przyjął zaproszenie, ale dość szybko się ewakuował. „Najlepszą połową męstwa jest dyskrecja” ⁴⁸ – napisał w liście do Ursuli, bo wiedział, że to jeden z jej ulubionych cytatów.

„Nie zawsze” – odpisała.

Nazajutrz załoga W-William otrzymała rozkaz wylotu na stosunkowo niegroźną akcję polegającą na zrzuconiu min u wybrzeży Langeoog, jednej z Wysp Wschodniofryzyjskich. Dzień później Teddy poczuł głębszy niż zwykle smutek na widok znajomego wpisu w dzienniku operacyjnym: „Maszyna wystartowała o 16.20 i nie powróciła. Tym samym została uznana za zaginioną”. Po wojnie naprawdę trudno mu było patrzeć na Morze Północne i nie myśleć o nim jak o jednym wielkim wodnym cmentarzu, pełnym zardzewiałych wraków i kości młodych lotników.

Podczas kolejnego lotu bojowego załodze maszyny C-Charlie, która tak niechętnie przyjęła Teddy'ego na pokład jako drugiego pilota, zabrakło paliwa, gdy we mgle szukała miejsca do wylądowania. Samolot rozbił się na wrzosowiskach nieopodal Helmsley. „To była ich trzynasta akcja” – zauważył Vic Bennett, jakby to coś wyjaśniało. Z nich wszystkich był najbardziej przesądny. Gdy sami wykonywali trzynasty lot bojowy – nalot na Stuttgart – w dodatku w piątek, Vic uprosił kapelana, aby specjalnie pobłogosławił ich pocziwego J-Jiga, co ten z radością uczynił, jako że uczynny był z niego chłop.

Pięć pierwszych i pięć ostatnich lotów bojowych uchodziło powszechnie za najbardziej niebezpieczne, chociaż, o ile Teddy się orientował, rachunek prawdopodobieństwa był zawsze taki sam. Na sześć załóg tylko jednej udawało się przetrwać pierwszą turę lotów. (Nigdy przedtem ani nigdy potem tak wielu nie miało takiego bzika na punkcie statystyki). Nie potrzebowali znajomej Ursuli z Ministerstwa Lotnictwa, aby wiedzieć, że ich szanse przeżycia są nikłe. Gdyby Teddy miał naturę hazardzisty – a nie miał – to rozpoczynając obecną turę, nie postawiłby złamanego grosza na to, że któryś z nich zostanie kiedyś dziadkiem. Ani ojcem, skoro o tym mowa; nikt z załogi nie był na tym etapie życia. Żaden nie miał żony. Zdaniem Teddy'ego co najmniej połowa była prawiczkami w momencie, gdy się poznali. Czy od tamtej pory coś się w tej kwestii zmieniło? Nie miał pojęcia. Wyjątek stanowił Vic Bennett, zaręczony z dziewczyną o imieniu Lillian (Lil), o której stale im opowiadał i nie szczędził przy tym co pikantniejszych szczegółów.

W najbliższym tygodniu miał się odbyć ich ślub, cała załoga została zaproszona. Teddy uważał, że Vic nie powinien niczego planować. On sam od dawna tego nie robił. Istniała tylko terażniejszość, po której następowała

nowa terażniejszość. Pod warunkiem, że miało się szczęście, rzecz jasna. („Byłby z ciebie mnich buddyjski jak się patrzy” – śmiała się Ursula).

– Jeśli spojrzeć na odsetek poniesionych strat – mówiła znajoma Ursuli z Ministerstwa Lotnictwa, sącząc sztywno różowy gin – to z matematycznego punktu widzenia śmierć jest w zasadzie nieunikniona.

Ursula łypnęła na nią spode łba, więc dodała pośpiesznie, że dane liczbowe można oczywiście różnie interpretować. Teddy poznał ją w maju na przepustce. Wybrali się we trójkę na drinka i na tańce w Hammersmith Palais. Teddy kiepsko się bawił. Miał wrażenie, że ilekroć dziewczyna z ministerstwa na niego spogląda, widzi tabele aktuarialne.

Czy Nancy znała bezlitosne statystyki śmiertelności Dowództwa Bombowego? Pewnie nie. Tkwiła gdzieś na posterunku, bezpieczna w swoim kokonie intelektualnym. Chciała spotkać się z Teddym w Londynie zaraz po zakończeniu przez niego tej tury lotów. „Może mogłabym pójść z tobą na ślub twojego kolegi? – pisała. – Załatwisz mi zaproszenie? A może osoby towarzyszące uważa się u was za zbędny balast?!”. Nie spodobały mu się ton tego listu i niefortunny dobór słów. Vic Bennett nie był żadnym „kolegą”. Był częścią Teddy’ego, taką samą jak ręka czy noga. Kumplem, kompanem, towarzyszem. Czy jeśli cywilizowany świat przetrwa – w tej chwili jego przyszłość wisiała na włosku – czekało ich społeczeństwo ludzi równych sobie? Nowe Jeruzalem lewellerów i diggerów? Nie chodziło zresztą tylko o RAF, gdzie w obliczu konieczności wspólnej walki obalano bariery klasowe. Teddy obracał się wśród mężczyzn i kobiet, z którymi nigdy by się nie zetknął w świecie prywatnych szkół, absolwentów uczelni w Oksfordzie czy Cambridge, bankowców. Mógł być dowódcą, mógł odpowiadać za członków załogi, ale nie stał wyżej od nich.

Spalił list Nancy w piecyku w swoim baraku. Stale brakowało im podpałki.

Cztery minuty do punktu celowania, kapitanie.

Zrozumiałem, nawigatorze.

Cztery minuty do punktu celowania, celowniczy.

Zrozumiałem, kapitanie.

– Ten pieruński lewy wewnętrzny nadal szwankuje, kapitanie – zameldował Norman Best. Lampka wskaźnika poziomu paliwa zapalała się i gasła przez całą drogę, zupełnie jakby żyła własnym życiem. Ten sam silnik opóźnił ich start, więc Norman od pewnego czasu podejrzliwie go obserwował. Vic Bennett stwierdził, że w sumie opóźnienie wyszło im na dobre. Okazało się, że zapomniał zabrać ze sobą swój talizman i jakimś cudem zdołał przekonać dziewczynę z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, która odwiozła ich na rozśrodkowanie, aby wróciła z nim na kwaterę w czasie, gdy personel naziemny biedził się z opornym silnikiem. Mechanicy byli w ogóle cichymi bohaterami tej wojny. Podoficerowie albo skromni szeregowcy dniami i nocami pracowali bez względu na pogodę. Żegnali załogi, gdy te wylatywały, i witali je po powrocie. Zdarzało im się czuwać przez całą noc w baraku i trzymać tak zwaną czarną wachtę w oczekiwaniu na bezpieczne lądowanie „swojej” maszyny. Oni nie potrzebowali żadnych talizmanów. Wystarczył przyjazny uścisk dłoni i rzucone na pożegnanie słowa: „Do zobaczenia rano”.

Osobistym amuletem Vica Bennetta była para czerwonych satynowych majtek należących do jego narzeczonej, wspomnianej Lil. Owe „niewymowne”, jak zwykł o nich mówić Vic, spoczywały starannie złożone w kieszeni jego kombinezonu i towarzyszyły im podczas każdego lotu.

– Jeżeli dożyjemy do ich ślubu – żartował Keith – to chyba wiem, co każdy z nas sobie pomyśli na widok kroczącej do ołtarza zarumienionej

panny młodej.

– Zarumieniony to będę ja – śmiał się Kenny Nielson.

Wszystko sprowadzało się do łutu szczęścia. Keith uważał, że Pani Fortuna to „nie żadna dama, tylko zwykła dziwka”. W jednostce królowały przesady. Każdy w bazie miał coś, co – jak wierzył – zapewniało mu ochronę: kosmyk włosów, obrazek ze świętym Krzysztofem, kartę do gry, popularną króliczą łapkę. Pewien starszy sierżant zawsze podśpiewywał w szatni *La donna è mobile*, gdy jego załoga przebierała się w kombinezony lotnicze, inny zaś pilnował, aby włożyć lewy but przed prawym. Kiedy zdarzało mu się o tym zapomnieć, zdejmował całą odzież i ubierał się od początku. Przeżył wojnę, w przeciwieństwie do sierżanta, który śpiewał *La donna è mobile*, oraz setek innych przestrzegających swoich przedziwnych rytuałów i obrządków. Zastępy poległych stale rosły, a bogowie mieli wobec ludzi własne plany.

Keith nie miał żadnej maskotki. Twierdził, że cała jego rodzina jest „na opak” i że dotyczy to również kwestii szczęścia. Mógłby zupełnie swobodnie przejść pod drabiną, tuzin czarnych kotów mogłoby mu przebiec drogę i prawdopodobnie nic by mu się nie stało. Jego przodkami byli irlandzcy Cyganie, deportowani do Australii za włóczęgostwo. „Ale nie tacy prawdziwi Cyganie – podkreślał – pewnikiem zwykle łążęgi i powsinogi”.

Kenny Nielson, najmłodszy z dziesięciorga dzieci zwany pędrakiem, miał za talizman sponiewieranego czarnego kotka dość nieporadnie uszytego z kawałków szmatek przez którąś z jego licznych siostrzenic. Owo żalosne stworzenie wyglądało, jakby większość życia spędziło w psim pysku.

Talizmanem Teddy’ego był подарowany mu przez Ursulę srebrny zajaczek. Początkowo lekkomyślnie lekceważony, latał teraz ze swoim

właścicielem na wszystkie akcje, bezpiecznie ukryty tuż nad sercem w kieszeni kombinezonu. Mimowolnie Teddy wypracował własny rytuał: przed każdym startem i po każdym lądowaniu dotykał zajączka niczym relikwii, odmawiając w myślach cichą modlitwę i dziękując za szczęśliwy powrót. Nie wyczuwał go przez barani kożuszek i nadmuchiwaną kamizelkę ratunkową; wiedział jednak, że zajączek tam jest i po cichu robi wszystko, aby go chronić.

Kręcili się posepnie, czekając, aż dziewczyna z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet przywiezie Vica z powrotem. George Carr jak zwykle zjadł cały swój przydział czekolady. Pozostali zachowywali swoje racje na później, lecz George wychodził z założenia, że może zginąć podczas akcji, a wówczas nie zdąży się nacieszyć ulubionym smakołykiem. Podkreślał przy tym, że czekolada to rzadko widywany luksus w Lancashire, gdzie przyszło mu dorastać.

Wypalili ostatniego papierosa, który musiał im wystarczyć na najbliższe sześć godzin z okładem, opróżnili pęcherze pod ogonem stojącego nieopodal S-Sugar, a potem po prostu stali i z ponurymi minami gapili się w ziemię. Nawet ich zazwyczaj gadatliwy Szkot milczał przygnębiony. Biedny drugi pilot wyglądał, jakby czekała go egzekucja. „Oni zawsze tak?” – zagadnął szeptem Teddy’ego. Ten nie mógł nieszczęśnikowi odpowiedzieć: „Boją się, że dzisiaj czeka ich czapa”, wyłamał się więc, zapomniał na chwilę o lojalności wobec załogi i odparł: „Tak, marudne z nich sukinsyny”.

Tego ranka otrzymał list od Ursuli, poświęcony w zasadzie dość nieistotnym sprawom, lecz z dopiskiem u dołu: „Jak się masz?”. Emocje zawarte w tych trzech lakonicznych słowach zdawały się wprost buchać z kartki i promieniować serdecznym ciepłem. „Wszystko w porządku – odpisał równie zwięzle i dodał na pocieszenie: – Nie martw się o mnie”.

O nadanie listu poprosił dziewczynę z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet odpowiedzialną za pakowanie spadochronów, niejaką Nellie Jordan, która się w nim podkochiwała. Wszystkie dziewczyny ze służby pomocniczej miały do niego słabość. Przypuszczał, że chodzi o jego staż, dłuższy niż u większości załóg. List był z rodzaju tych, które się wysyła, a nie zamyka w szafce na wypadek, gdyby jego nadawca nie wrócił. Teddy miał takie trzy, zaadresowane do matki, Ursuli oraz Nancy. Ich treść była w zasadzie podobna: Teddy pisał, że bardzo je kocha, i prosił, aby go zbyt długo nie opłakiwały, gdyż zginął, robiąc coś, w co głęboko wierzył. Powinny żyć dalej, bo tego by sobie życzył. I tak dalej, i tak dalej. Nie sądził, aby w owej jednostronnej korespondencji pożegnalnej było miejsce na głębokie przemyślenia czy filozoficzne introspekcje. Albo na słowa prawdy, skoro o tym mowa. Dziwnie się czuł, pisząc o sobie w kontekście przyszłości, w której miał nie istnieć – ot, zagadka metafizyczna.

Gdyby zginął, ktoś z Komisji Regulacyjnej – idiotyczny eufemizm – zgłosiłby się natychmiast po jego rzeczy. Wszystko, co mogłoby zaniepokoić matkę albo żonę – nieprzyzwoite fotki, listy do innych kobiet, prezerwatywy – odkładano na bok. Teddy nie miał niczego do ukrycia – w każdym razie niczego, co pozostawiłoby po sobie namacalne ślady. Zastanawiał się czasami nad losem tych z dobroci serca ocenzurowanych przedmiotów. Wyrzucano je? A może istniał gdzieś magazyn pełen niechcianych sekretów? Nigdy nie miał poznać odpowiedzi na te pytania.

Rok później, podczas swojej drugiej tury, Teddy przez przypadek zajrzał do składziku w bazie i ujrzał tam wieszaki z pełnym lotniczym umundurowaniem. W pierwszej chwili pomyślał, że to nowy przydział mundurów, lecz przyjrząwszy się uważniej, dostrzegł baretki, odznaki oraz medale i pojął, że zdjęto je z ciał zabitych lub rannych. Te mundury

miałyby dla niego niezwykle silną poetycką symbolikę, gdyby nie to, że w owym czasie na dobre wyrzekł się poezji.

Zdarzało się, że nowo przybyła załoga zastawała w swoim baraku z blachy falistej dobytek poprzednich lokatorów, rzeczy porozrzucane tu i tam, jakby ich właściciele lada chwila mieli po nie wrócić. Komisja Regulacyjna zaraz ich stamtąd przeganiała do czasu, aż wszystko zostanie uprzątnięte. Jej członkowie pakowali mienie poległych, a dziewczęta z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet lub dyżurni na nowo ścielili prycze. Bywało, że taka świeżo upieczona załoga jeszcze tego samego wieczoru wyruszała na akcję i nie wracała, nie zdążywszy przespać nawet jednej nocy w świeżej pościeli. Pojawiali się i znikali, zanim ktokolwiek zdołał ich lepiej poznać. Imiona i nazwiska były zapisane na wodzie. Albo wypalone w ziemi. Albo rozproszone w powietrzu. Nieprzebrane zastępy umarłych.

Vic nareszcie wrócił. W dłoni dzierżył dumnie „niewymowne” swojej narzeczonej („Jakie tam niewymowne, ciągle o nich gada” – zauważył z przekąsem Mac). Wsiedli więc do S-Sugar, która to maszyna zastąpiła ich J-Jiga. Z tego ostatniego była toporna bestia. Jak wiele halifaksów Mark II niechętnie odrywał się od ziemi. Gdyby był koniem, należałby do tych potrzebujących porządnej zachęty, żeby w ogóle rozpocząć wyścig. Dla kogoś, kto go nie znał i nie został uprzedzony o jego kapryśnym charakterze, a zwłaszcza o samobójczej skłonności do gwałtownych przechyłów w prawo, próba pilotowania mogłaby się zakończyć tragicznie, zanim na dobre by się rozpoczęła.

Tej nocy mieli dopiero drugi raz polecieć S-Sugar. Był to nowy bombowiec, prosto z fabryki. Każdy z nich liczył rzecz jasna, że zakończy tę turę na J-Jigu. Obecnie wspominali go z łezką w oku jako samolot, który przyniósł im szczęście i ustrzegł od niebezpieczeństw. Nie mogli przeboleć jego straty, traktowali ją jako kolejny znak, że nie przeżyją tej tury. Kadłub

maszyny zdobyły rysunki dwudziestu sześciu bomb – po jednej na każdą ukończoną misję – klucza symbolizującego dwudziestą pierwszą operację oraz różka lodów, który jakiś dowcipniś wykonał na pamiątkę nalotu na Włochy. Jedyna jak dotąd misja S-Sugar – nalot na Düsseldorf – nie została jeszcze upamiętniona i pomimo swojej nowości maszyna w żadnym z nich nie budziła zaufania. Przegrzewający się lewy silnik stanowił tylko jedno z ich wielu utrapień.

Okazało się, że Vic nie przyjechał sam. Razem z nim na rozśrodkowanie zabrał się dowódca bazy, wielce zafrasowany ich opóźnieniem. „Dziesięć minut” – oznajmił, stukając w szkiełko zegarka. Mieli dziesięć minut na to, aby wystartować, w przeciwnym razie trzeba będzie anulować lot.

Ciężarówka, która ich wiozła, prowadzona przez członkinię Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, przejechała po drodze kołowania i zaparkowała obok furgonetki kontrolera lotów. Wysiedli i dołączyli do mizernie wyglądającej grupki stanowiącej ich eskortę pożegnalną. Zdaniem Teddy’ego część personelu straciła nadzieję, że wystartują, i zwyczajnie sobie poszła.

Potoczyli się ciężko po pasie żegnani entuzjastycznym machaniem przez wszystkich zebranych, zwłaszcza przez dowódcę bazy, który starał się być obecny przy każdym starcie. Często sprawiał wrażenie kogoś, kto wierzy, że jeśli tylko wystarczająco energicznie pomacha – podnosząc w górę obie ręce i kłusując wzdłuż światła pasa startowego obok rozpędzającej się maszyny – to pomoże samolotowi oderwać koła od ziemi i wznieść w powietrze wypełnione bombami cielsko. Katastrofa podczas startu kończyła się zwykle taką jatką, że Teddy odczuwał olbrzymią ulgę, ilekroć udało mu się poderwać ciężkiego halifaksa z asfaltu i wyprowadzić go ponad linię zarośli oraz drzew.

* * *

Jeżeli maszyna zawróciła, nie osiągnąwszy celu – co stale się zdarzało ze względu na pogodę albo usterki techniczne – wówczas taki lot, choćby najbardziej niebezpieczny, nie liczył się jako akcja bojowa. „Cholerna niesprawiedliwość” – zżymał się Teddy. „Raczej niegodziwość, przyjacielu” – odparł Keith, nieudolnie parodiując angielski akcent z wyższych sfer. Obaj koszmarnie pijani korzystali z czterdziestoosmiodzinnej przerwy w lotach po zbombardowaniu Turynu. „Powinniśmy wtedy zawrócić” – pomyślał Teddy. Okazał się wszakże jednym z tych pilotów, którzy parli naprzód.

Gdy pierwszy raz musieli zawrócić – podczas zaledwie drugiej operacji – zostało to spowodowane wyciekiem płynu chłodniczego z prawego silnika, do którego doszło nad Morzem Północnym. Potem przestał działać interkom radiotelegrafisty. Teddy podjął słuszną w swoim mniemaniu decyzję o powrocie do bazy, zrzuciwszy bomby do morza bez szkody dla nieprzyjaciela. Oficer dowodzący, poprzednik obecnego, nie był wówczas zadowolony. Nie tolerował tak zwanych wczesnych powrotów i długo ich wypytywał, z jakiego to powodu uznali, że nie powinni lecieć dalej. Teddy uważał powód za dość oczywisty – silnikowi groziło, że się przegrzeje i zapali (na owym wczesnym etapie przejmowali się jeszcze takimi drobiazgami), poza tym kontakt przez interkom z radiotelegrafistą był absolutnie niezbędny.

– Czyżby? – zapytał oficer dowodzący. – W ostateczności z pewnością byście sobie poradzili. Dobry pilot nie zawahałby się lecieć na trzech silnikach.

Do Teddy’ego dotarło wówczas, że ich zadaniem jest nie tyle walka, ile poświęcenie dla wyższego dobra. Byli niczym ptaki ciskane o mur w nadziei, że w pewnym momencie, jeśli tylko zapewni się dostateczną liczbę ptasich pocisków, mur uda się zburzyć. Byli statystykami

w archiwach Ministerstwa Wojny, którymi zawiadywał Maurice. („Zrobił się z niego nadęty bufon” – pisała rozgniewana Ursula).

Wtedy Teddy postanowił sobie, że nigdy nie dopuści, aby ktokolwiek podawał w wątpliwość ich odwagę i przyczepiał im za Harrisem łatkę braci słabszych. Będą odtąd za każdym razem „parli naprzód”, o ile nie będzie to zwyczajnie niemożliwe. Jednocześnie poprzysiągł zrobić wszystko, co w jego mocy, aby utrzymać załogę przy życiu. Do końca pierwszej tury, ilekroć nie brali udziału w jakiejś akcji, do znudzenia trenował ze swoimi ludźmi skoki spadochronowe i procedury ewakuacyjne. Z pozoru mogło się to wydawać jałowe, ponieważ nie mieli możliwości szkolenia w powietrzu i w wodzie. Teddy uważał jednak, że jeśli wszyscy będą przynajmniej teoretycznie wiedzieli, co mają robić, jeśli wbije im to do głowy, to może ich jakże mizerne z punktu widzenia statystyki szanse na wyjście cało z opresji odrobinę się zwiększą. Po sformowaniu załogi w jednostce szkolenia operacyjnego Vic i Kenny odbyli więcej szkoleń strzeleckich niż kiedykolwiek wcześniej. Brali udział w symulowanych nalotach bombowych na port w Immingham oraz niezliczonych ćwiczeniach mających na celu poprawienie współdziałania samolotów myśliwskich i bombowców, podczas których ćwiczone najróżniejsze manewry. Mimo to Teddy starał się jak najczęściej zabierać ich na loty treningowe nad krajem i przy współdziałaniu spitfire’ów z pobliskiej bazy ćwiczyli uniki przed myśliwcami. Wymagał też od załogi doskonałej znajomości alfabetu Morse’a i obowiązków każdego z członków, aby w razie „ostateczności” wspomnianej przez nieżyczliwego oficera jeden mógł zastąpić drugiego. Keith miał za sobą kurs pilotażu, teoretycznie więc najlepiej nadawał się na zastępcę Teddy’ego. Na wszelki wypadek Teddy przeszkolił jeszcze Normana Besta z podstaw latania. Pamiętał, że choć cholerny Australijczyk dałby może radę utrzymać maszynę w powietrzu, to nie potrafiłby „tym

cholerstwem wyłądować”. Ostatnimi czasy sporo przeklinał – bluźnienie było zaraźliwe – starał się tylko unikać najbardziej wulgarnych wyrażen. Naturalnie, gdyby coś mu się stało, resztę załogi i tak najprawdopodobniej trafiłby szlag.

Teddy wiedział, że Mac ma zawsze w zanadrzu opracowaną trasę wiodącą nad najbliższej położone neutralne terytorium – Szwajcarię, Szwecję albo Portugalię – i korzysta z każdej bezchmurnej nocy, by doskonalić swoją umiejętność astronawigacji. Z kolei nieśmiały i małomówny Norman Best przed każdym lotem wkładał pod kombinezon komplet francuskiej odzieży – z bielizną włącznie – kupionej w Paryżu za czasów studenckich. Do kieszeni chował zaś prawdziwy francuski beret. „Wzorowy skaut” – przyznawał w duchu Teddy. „Bądź gotów duszą przez wydiscyplinowanie się tak, by słuchać każdego rozkazu, przez przemyślenie z góry każdego wypadku lub sytuacji” ⁴⁹. Wydawało się przy tym mało prawdopodobne, aby umiejętność strzelania z łuku, nabyta przez niego samego w bractwie Kibbo Kift, mogła mu się przydać w razie jakiejś przygody.

Norman rzeczywiście katapultował się nad Francją w 1943 roku, kiedy odbywał lot z inną załogą w ramach swojej drugiej tury. Niestety, cała ta zapobiegliwość na niewiele mu się zdała, ponieważ jego spadochron płonął i Norman runął na ziemię niczym ognisty ciężarek. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Nie nosił przy sobie żadnego talizmanu ani nie odprawiał obsesyjnych rytuałów jak George Carr, który – sądząc, że nikt tego nie widzi – przed wejściem na pokład musiał trzykrotnie obrócić się w prawo niczym moszczący się w legowisku pies.

Nieszczęsny drugi pilot nie odstępował Teddy’ego na krok. Miał na imię Guy i był „starym etończykiem”, jak wyznał. Liczył na to, że znajdzie z Teddym wspólny język. „Nie studiowałem w Eton” – odparł Teddy dość

lekceważącym tonem. Guy musiał się jeszcze sporo nauczyć. O ile wystarczy mu czasu. („Co za palant” – mruknął Vic).

Oczywiście nie był to ich pierwszy kot. Latali wcześniej z różnymi przypadkowymi załogantami, gdy któryś ze stałych członków załogi z jakiegoś powodu nie mógł wziąć udziału w misji. George Carr dostał na przykład przepustkę na pogrzeb ojca, Mac opuścił akcję z powodu grypy żołądkowej, a Kenny zwichnął nogę w kostce, co wykluczyło go z nalotu na Bremę (konsekwencja ćwiczeń spadochronowych pomysłu Teddy’ego). Vic Bennett zaś przez paskudne przeziębienie nie uczestniczył w ostatniej pamiętnej wyprawie J-Jiga na Turyn.

Mac nadrobił to, latając inną maszyną, ale i tak obu strzelcom brakowało kilku misji do pełnej tury. Oznaczało to dla nich konieczność latania na doczepkę z innymi załogami w charakterze przynoszących pecha maskotek.

Na Turyn ruszyli z zastępczym strzelcem na stanowisku Vica w środkowej wieżycze. Mówił, grasejując, z twardym akcentem z West Country („Jezdem z Zomerzet”) i przez całą drogę wypowiedział zaledwie kilka słów.

Przy świetle księżyca w pełni przelecieli nad ośnieżonymi szczytami Alp. „Niewielu ma okazję oglądać takie widoki, prawda, kapitanie?” – rozległ się zniekształcony przez interkom głos Kenny’ego. Nawet Mac wyszedł z za swojego przepierzenia, żeby popatrzeć. „Prawie tak ładne jak Góry Skaliste” – stwierdził, na co Kenny odparł: „Pewnie, tyle że tamtych nie oglądałeś z góry, co?”. Keith zaczął mamrotać coś o Górach Błękitnych, więc Teddy uciszył ich, zanim wśród załogi na dobre rozgorzała dyskusja o przewadze jednych łańcuchów górskich nad drugimi.

Strzelec lecący z nimi na doczepkę nie miał w tym temacie nic do powiedzenia. Teddy przypuszczał, że w Somerset nie ma zbyt wielu gór. Południowo-zachodnia część kraju była mu zupełnie nieznaną. Jako

dziecko zaliczył tylko kilka wakacyjnych wypadów nad morze do Kornwalii. Postanowił w duchu, że jeśli przeżyje wojnę, wybierze się w podróż po Anglii, zjedzie wszystkie autostrady i boczne drogi, odnajdzie ukryte w dolinach wioski, zwiedzi słynne zabytki i będzie się zachwycał łąkami, wrzosowiskami oraz jeziorami. Wszystkim tym, za co teraz walczą.

Norman powiedział, że mają rzadki przywilej oglądania świata takim, jakim mało kto go widuje. Teddy pomyślał zaraz, że płacą za ów przywilej straszliwą cenę.

Zachwytem napawał ich nie tylko widok Alp w świetle księżyca, lecz także bezkresnego nieba czarnego jak atrament i usianego tysiącami gwiazd. „Przypominają migotliwe ziarna rozrzucone hojnie przez jakiegoś dobrotliwego boga” – pomyślał Teddy, zbliżając się niebezpiecznie do porzuconego królestwa poezji. Mieli także okazję podziwiać imponujące swoim rozmachem wschody i zachody słońca, a raz, w drodze do Bochum, spektakularny pokaz w wykonaniu zorzy polarnej: rozpostartą na niebie rozdrganą barwną zasłonę, do której opisanie zabrakło im słów.

Kenny Nielson zaklinał się, że to właśnie on na swoim samotnym posterunku w tylnej wieżyczce strzelniczej ma najlepsze miejsce na widowni. W szczególny zachwyty wprawiały go zachody słońca. Ze swego miejsca w ogonie samolotu mógł je obserwować jeszcze długo po tym, jak reszta załogi pogrążyła się w ciemnościach nocy. „Niebo płonie” – zameldował kiedyś podniecony chwilę po tym, jak Teddy poderwał halifaksa z pasa. Teddy przeżył moment grozy, bo wyobraził sobie zgotowaną im przez nieprzyjaciela apokalipsę, lecz zaraz ze środkowej wieżyczki odezwał się Vic:

– To najpiękniejszy zachód słońca, jaki w życiu widziałem.

– Racja. Zupełnie jakby sam Bóg pomalował niebo – zawtórował im Kenny.

– Czy mogę prosić o odrobinę ciszy i spokoju? – burknął Teddy. Ulżyło mu, że to jednak nie koniec świata. Zarazem nie mógł się nadziwić, jak coś takiego w ogóle mogło mu przyjść do głowy.

– Coś wspaniałego – zachwycił się Kenny, niezdolny oderwać wzroku od takiego piękna.

Albo „Piękna”, jak powiedziałyby Sylvie.

Jako tylny strzelec Kenny miał z nich wszystkich najmniejsze szanse na to, aby cieszyć się zachodami słońca w czasie pokoju. Jeśli wierzyć znajomej Ursuli, wynosiły one w jego przypadku zaledwie jeden do czterech. Ostatecznie okazało się, że to ta znajoma – dziewczyna z Ministerstwa Lotnictwa – nie miała zasmakować przyszłości. Zginęła na Aldwych w czerwcu 1944 roku od wybuchu rakiety V1. W porze lunchu opalała się i jadła kanapki na dachu Adastral House, gdzie mieściło się ministerstwo. („Jakie były szanse, aby wydarzyło się coś *takiego*?” – zastanawiał się potem Teddy).

Inne pracownice ministerstwa zginęły, ponieważ zostały dosłownie wysrane z budynku przez roztrzaskane okna i rzucone na jezdnię. Ursula mówiła mu, że jakiś człowiek został przecięty na pół fragmentem rozbitej szyby. Pomyślał wtedy, że dla kogoś jego siostra również jest „dziewczyną” – dziewczyną z Obrony Cywilnej.

Tamta miała na imię Anne. Dziewczyna z Ministerstwa Lotnictwa. Kiedy rozstawali się po wieczornej zabawie w Hammersmith Palais (nieźle tańczyła fokstrota), rzuciła Teddy’emu na odchodnym: „No to powodzenia”. Nie patrzyła mu przy tym w oczy.

W drodze do Turynu nie natknęli się w zasadzie na silną obronę; włoska artyleria przeciwlotnicza zawsze zdawała się strzelać bez przekonania. Zrzucili bomby na wysokości szesnastu tysięcy stóp, kierując się czerwonymi wskaźnikami celu. Gdy nadlatywali nad cel, pogoda zaczęła

się psuć. Alpy nie wyglądały już tak pięknie – w zasadzie stały się niewidoczne. Po zawróceniu do bazy napotkali potężną, górującą nad nimi ciemną wieżę cumulusa. Wnętrze tego potwora rozświetlały groźne błyski, jakby dochodziło tam do drobnych eksplozji. W pierwszej chwili uznali, że musi to mieć jakiś związek z bombardowaniem, podejrzewali nawet, że wróg wypróbowuje jakąś nową broń. Dopiero po pewnym czasie pojęli, że wlatują właśnie w złowrogą chmurę burzową.

Zaczęły się koszarne turbulencje, które telepały J-Jigiem jak zabawką. „Jesteśmy bogom, czym są muchy dzieciom, i dla zabawy swej nas zabijają” ⁵⁰. Zeus ciska gromy, Thor wywija młotem. „Wróżki przesuwają meble” – mawiała Bridget w lepszych, wolnych od przemocy czasach. „Ładne mi wróżki” – pomyślał Teddy. Przez interkom posypały się przekleństwa, od powściągliwych chrześcijańskich okrzyków Normana („Dobry Boże!”) po pełne rozgoryczenia krzyki Keitha: „Kurwa, kurwa, kurwa, wyprowadź nas z tego, kapitanie, do kurwy nędzy!”.

Później wszyscy zgodzili się, że było to gorsze niż jakikolwiek ostrzał artyleryjski. Z nim potrafili sobie poradzić, lecz w chmurze mieli do czynienia z czymś pierwotnym. Błyskawice rozświetlały złowrogie rozpadliny i pieczary w ciemnej masie chmury. Zmienne prądy powietrza szarpały nimi to w dół, to w górę, to znów na boki, aż Teddy zastanawiał się, czy maszyna w końcu nie przełamie się na pół pod ich naporem.

Temperatura na zewnątrz drastycznie spadła i na skrzydłach samolotu zaczął się osadzać lód. Był on groźnym wrogiem – pojawiał się błyskawicznie w olbrzymich ilościach, unieruchamiał silniki oraz kontrolki i pokrywał skrzydła grubymi białymi płatami. Pod jego ciężarem maszyna mogła runąć na ziemię albo rozpaść się na kawałki w powietrzu. Gdy tak nimi rzucało, interkom rozbrzmiewał mimowolnymi okrzykami w rodzaju „Chryste Panie!”, „Słodki Jezu!” i „Kurwa mać!”. Na ich tle dało się

słyszeć wypowiedane półgłosem słowa Psalmu 23: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę”, w które wdarło się zbiorowe westchnienie zdumienia, gdy J-Jig niespodziewanie wynurzył się z chmury, by dla odmiany dostać się we władanie siły nadprzyrodzonej.

Wszędzie płonęły ognie świętego Elma, bladoniebieskie i upiorne. Krawędzie skrzydeł jarzyły się niesamowitą poświatą, łopaty śmigieł rozsiewały w ciemnościach wirujące iskry na podobieństwo szatańskich fajerwerków. Ogniki tańczyły nawet między lufami działek, jak zameldował z tyłu Keith. „Na górze to samo” – zabrzmiało ze środkowej wieżyczki.

Dziwne to zjawisko przywiodło Teddy’emu na myśl willidy z *Giselle*. Jako młody chłopak miał okazję oglądać ów balet w ramach szkolnej wycieczki do Royal Opera House zorganizowanej przez nauczyciela muzyki. Tancerki tonęły w złowrogiej błękitnej poświacie podobnej do tej, jaka teraz spowijała J-Jiga. Z perspektywy czasu wybór przedstawienia wydawał mu się zaskakujący – bądź co bądź, stanowili grupę rozbrykanych trzynastolatków ze szkoły prywatnej. Jego ojciec na wieść o tym zareagował uniesieniem brwi i pytaniem o nazwisko nauczyciela („Domyślam się, że to jakiś wielbiciel Oscara Wilde’a”). Nawet Sylvie, przy całym swoim uwielbieniu dla Sztuki, skrytykowała ów – jak to ujęła – „chybiony strzał”, szczególnie że zwykle opuszczali teren szkoły jedynie z okazji wyjazdowych meczów rugby. Po spektaklu Teddy’ego prześladowały koszmary. Śniły mu się zjawy o twarzach kobiet, które chwyciły go i próbowały wciągnąć w jakąś mroczną otchłań.

Błękitny blask wreszcie przybladł i zniknął, natomiast ich prawy zewnętrzny silnik zaczął dygotać i kaszleć, po czym całkiem oszalał. Teddy wyłączył go, a wówczas wewnętrzny lewy silnik, który wcześniej szwankował, również dostał trzęsionki. Można było odnieść wrażenie, że

usiłuje się oderwać od maszyny, co najprawdopodobniej wyszłoby im na dobre.

Teddy polecił Macowi, aby wyznaczył jak najkrótszą trasę powrotu do bazy. Burza rozregulowała przyrządy pokładowe, przez co stały się kompletnie bezużyteczne. Aby wyznaczyć kurs, Mac musiał się zdać na nawigację zliczeniową, lecz zanim skończył, lewy wewnętrzny silnik zapłonął. „Litości” – stęknął w duchu Teddy. Ściągnął drążek i wprowadził samolot w lot nurkowy („Trzymajcie się chłopcy!”), dzięki czemu udało mu się nie tylko ugasić pożar silnika, lecz także pozbyć się lodu ze skrzydeł. „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” – pomyślał z zadowoleniem. I odwrotnie, wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

Prawy zewnętrzny silnik wciąż dymił i kilka minut później Keith zameldował, że widzi płomienie. Po chwili silnik bez ostrzeżenia eksplodował. Siła wybuchu niemal obróciła samolotem. Przez interkom posypały się okrzyki: „Jezu Chryste” i „Niech to szlag”, na co Teddy rzucił spokojnie: „Jest dobrze”. I zaraz pomyślał: „Co za idiotyzm”. Lecieli teraz na dwóch silnikach, walczyli z przeciwnym wiatrem, maszyna znów zaczynała pokrywać się lodem, nie mieli łączności, mogli korzystać tylko z nawigacji zliczeniowej. Nic nie było dobrze.

Rozważał wydanie komendy do opuszczenia samolotu, gdy nagle stało się coś ze wszech miar niepokojącego. Mac zaczął śpiewać. Mac, ten ponury Kanadyjczyk! I nie była to byle jaka przyśpiewka z kanadyjskiej prowincji, tylko ogłuszające wykonanie *Boogie Woogie Bugle Boy*. Przy tym Mac koszmarnie fałszował. W pewnym momencie zaczął naśladować dźwięk trąbki, co brzmiało niczym porykiwanie rannego słonia. Następnie gromko się roześmiał, co jeszcze bardziej nimi wstrząsnęło. Zupełnie jakby Charles Penrose śpiewał *The Laughing Policeman*. Teddy polecił Normanowi sprawdzić, co się dzieje.

Okazało się, że Macowi zamarzył aparat tlenowy. Norman usiłował go odmrozić kawą ze swojego termosu, lecz ta była letnia. Wyciągnęli Maca z fotela i podpięli do centralnej butli z tlenem w nadziei, że to mu pomoże. Hipoksja robiła z ludźmi najdziwniejsze rzeczy, mogła ich też zabić.

Po wojnie Mac znalazł pracę w dużej firmie ubezpieczeniowej w Toronto. Ożenił się, miał dzieci i gdy Teddy spotkał się z nim na przyjęciu z okazji zlotu ich eskadry – jedyne, w jakim uczestniczył – Mac był na wcześniejszej emeryturze („Sprytnie zainwestowałem”). Wydał się Teddy’emu całkiem innym człowiekiem do tego stopnia, że zwątpił, aby kiedykolwiek naprawdę się znali. Może zresztą nie znał żadnego z tych chłopców, tylko miał takie wrażenie ze względu na okoliczności, jakie ich połączyły. Starsze wydanie Maca wyglądało na całkiem zadowolone z życia. Najwyraźniej potworności, jakie razem przeszli, nie odcisnęły na nim piętna. Teddy’ego uderzyła myśl, że starcy od niepamiętnych czasów wspominają minione wojny. Jerycho, Termopile, Norymbergę. Nie chciał być jednym z nich. Wszedł wcześniej z przyjęcia: „Przykro mi, chłopaki, ale muszę spadać”. Z łatwością użył dawnego żargonu, z którego obecnie wszyscy sobie żartowali.

Po tylu latach podczas długich bezsennych nocy łapał się na tym, że potrafi z pamięci wyrecytować tamte nazwy: Essen, Brema, Wilhelmshaven, Duisburg, Vegesack, Hamburg, Saarbrücken, Düsseldorf, Osnabrück, Flensburg, Frankfurt, Kassel, Krefeld, Aachen, Genua, Mediolan, Turyn, Moguncja, Karlsruhe, Kilonia, Kolonia, Gelsenkirchen, Bochum, Stuttgart, Berlin, Norymberga. Niektórzy liczyli owce, Teddy liczył miasta i miasteczka, które próbował unicestwić, które próbowały unicestwić jego. Niewykluczone, że im się to udało.

W drodze powrotnej z Turynu, gdy byli blisko francuskiego wybrzeża, dopadła ich artyleria przeciwlotnicza. Pociski cięży kadłub maszyny, niemal

strącając ją z nieba. Przelatywali przez gęste chmury i przez jedną dezorientującą chwilę Teddy miał wrażenie, że lecą obrócenie o sto osiemdziesiąt stopni. Samolot cuchnął kordytem, do środka wciskał się dym, choć nigdzie nie było widać płomieni.

Dokonał szybkiego przeglądu załogi. „Wszyscy cali? – zapytał. – Tylne strzelec? Środkowy strzelec? Celowniczy?”. Najbardziej martwił się zawsze o tylnego strzelca, który tkwił na ogonie z dala od pozostałych. Dziwiło go, że ktoś tak rozmowny i towarzyski jak mały Kenny Nielson mógł tam zachowywać optymizm. Sam był przekonany, że nie wytrzymałby w ciasnym, klaustrofobicznym kącie ani chwili.

Załoga odmeldowała się na różne sposoby: „Okej”, „W porządku”, „Jeszcze zipię” i tak dalej. Norman przeszedł się, żeby oszacować zniszczenia. Parę dziur w kadłubie i odstrzelona dolna kłapa wyjścia ewakuacyjnego. Dodał, że hydraulika musi być uszkodzona, bo brnął po kostki w czymś mokrym. Na szczęście nic się nie zapaliło. Z każdą kolejną milą schodzili coraz niżej. Ponieważ znajdowali się poniżej pięciu tysięcy stóp, zdjęli maski tlenowe. Mac dochodził do siebie w miejscu odpoczynku załogi.

Teddy uznał, że długo w ten sposób nie pociągną, i nakazał wszystkim przygotować się do ewakuacji. Załoga doszła jednak do wniosku, że ponieważ są już nad morzem, lepiej będzie lecieć dalej, niż skakać. Ich wiara w to, że Teddy doprowadzi ich bezpiecznie do celu, a następnie z powrotem do bazy, umacniała się w miarę odbywania kolejnych lotów. Teddy pomyślał ze smutkiem, że tym razem mogą się srodze zawieść.

W końcu ujrzeli przed sobą brzegi Anglii („Dzięki Ci, Panie” – westchnął Norman). Lecieli wtedy niemal na oparach. Wiadomo było, że wkrótce zabraknie im paliwa. George, który od kilku godzin usiłował przywrócić łączność, zdołał nadać prośbę o współrzędne do awaryjnego

lądowania, lecz najwyraźniej wszystkie stacje zrobiły sobie tej nocy wolne. Nad lądem zeszli tak nisko, że przelatując nad linią kolejową, wyraźnie widzieli w dole przejeżdżający pociąg i czerwoną poświatę z rozżarzonego pieca lokomotywy, przebijającą przez źle zaciemnione okienka kabiny maszynisty. Na tej wysokości woleli nie ryzykować skoku ze spadochronem. Teddy polecił wszystkim przygotować się do awaryjnego lądowania. W praktyce oznaczało to, że należy się mocno zaprzeć nogami i chwycić czegokolwiek, co było pod ręką. Dosłownie w ostatniej chwili chłodny i kompetentny żeński głos z bazy w Scampton wydał im zezwolenie na lądowanie, a Norman dorzucił: „Damy radę, kapitanie”. I dali radę, bardziej dzięki swojej determinacji niż umiejętnościom pilota, jak skonstatował Teddy. Gdyby siedem współpracujących ze sobą umysłów mogło pilotować maszynę wyłącznie siłą woli, efekt byłby właśnie taki. Jak się zresztą potem okazało, nie siedem umysłów, a sześć.

Nie udało im się dolecieć do początku pasa. Bez sprawnie działającej hydrauliki Teddy nie mógł otworzyć klap ani podwozia, wylądowali więc na brzuchu maszyny z prędkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę. Nie trafili w pas i staranowali okalający lotnisko żywopłot. Następnie wypadli na pole, przecięli drogę, niemal zburzyli ścianę szczytową jednej z wiejskich chat, po czym przebili się przez kolejny żywopłot i zaorawszy kolejne pole, zatrzymali się w końcu z wielkim hukiem i potężnym szarpnięciem. Kilku członków załogi poleciało naprzód i wpadło na gródź. Trochę to trwało, zanim obici i posiniaczeni zdołali wejść na drabinę i wydostać się przez górny właz ratunkowy. Maszynę prędko wypełnił gryzący dym. Teddy, który stał u stóp drabinki i nadzorował ewakuację, zaczął poganiać towarzyszy, żeby się pospieszyli. Przeliczył ich prędko: dwóch brakowało. Jednym był Kenny, drugim – środkowy strzelec.

Gdy wreszcie sam wydostał się na zewnątrz, zobaczył, że tylna wieżyczka wciąż trzyma się kadłuba. Reszta samolotu przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Rozpędzony J-Jig zostawił na ziemi szlak z rozsianych bezładnie części – kół, skrzydeł, silników, zbiorników paliwa – niczym bezwstydną kobietą, rozrzucającą w nieładzie części swojej garderoby. To, co ocalało z kadłuba, stało teraz w ogniu, oszołomiona załoga zaś zebrała się wokół tylnej wieżyczki, w której najwyraźniej uwiązał Kenny. Keith wrzeszczał na niego: „Wyłaź stamtąd, ty dumny sukinsynu!”, choć widać było, że tamten nie może się ruszyć. Drzwiczki wieżyczki się zacięły i nie dało się ich przesunąć.

„Wielkie nieba – pomyślał osłupiały Teddy – czy ten koszmar nigdy się nie skończy?”. Czy już zawsze będzie ich spotykało nieszczęście za nieszczęściem? „Chyba tak – odpowiedział sam sobie – czyż nie na tym polega wojna?”.

Kadłub maszyny płonął coraz gwałtowniej za plecami Kenny’ego. Myśli przerażonego Teddy’ego pomknęły ku taśmom z amunicją do karabinów maszynowych. Ile czasu może upłynąć, zanim dotrze do nich ogień? Kenny darł się wniebogłosy, miotał przekleństwami, których nawet Keith – jak później przyznał – nigdy dotąd nie słyszał. Czy na ich oczach biedak miał się spalić żywcem?

W jednym miejscu z tylnej wieżyczki usunięto szybkę z pleksiglasu, aby strzelec miał lepszy widok (marzył przez to na kość), zaczęli więc radzić Kenny’emu, żeby spróbował się wydostać przez ten niewielki otwór. Wcześniej zdołał jakoś zrzucić ocieplany kombinezon, nadal jednak miał na sobie krępujący ruchy mundur.

Raz podczas wycieczki do londyńskiego zoo Teddy zobaczył ośmiornicę przeciskającą się przez niewiarygodnie mały otwór – pokazowa sztuczka, którą opiekun zwierzęcia lubił się chwalić przed małymi chłopcami. Tyle że

ośmiornica nie była ubrana w wojskową kurtkę i ciężkie buty lotnicze, nie miała też szkieletu kostnego. Jeśli jednak ktokolwiek mógł wykonać ów godny samego mistrza Houdiniego trik, to tylko ich podobny do szczura tylny strzelec.

Udało mu się wystawić na zewnątrz głowę, po czym węzowym ruchem zaczął przeciskać ramiona. Teddy'emu przeszło przez myśl, że tak musi wyglądać poród, chociaż szczegóły tego aktu wciąż były dla niego niejasne. Gdy Kenny zdołał uwolnić ręce, chwycili je mocno i dopóty ciągnęli, wrzeszcząc na całe gardło, dopóki nie wyskoczył niczym korek z butelki albo Jonasz wypluty przez wieloryba. Zamiast zeskoczyć na ziemię, wyrwał im się i ku ich przerażeniu wetknął w otwór głowę oraz prawą rękę. Po chwili odwrócił się ku nim i uniósł triumfalnie swój obszarpany talizman – czarnego kotka. Niezwykle skuteczny talizman.

Dopiero wówczas rzucili się biegiem, byle dalej od wraku samolotu. Minutę później doszło do eksplozji. Najpierw pomarańczowe płomienie zaczęły lizać jaśniejące niebo – to wybuchły butle z tlenem. Następnie rozległy się głośnie trzaski strzelającej amunicji.

Tak oto zakończył swój żywot poczciwy J-Jig, który niczym koń pociągowy woził ich do piekła i z powrotem w swoim cuchnącym olejem brzuchu.

– Dobry był z niego latawiec – stwierdził Keith w ramach mowy pożegnalnej, a wszyscy się z nim zgodzili.

– Niech spoczywa w pokoju – dorzucił Kenny.

Mieszkańcy pobliskiej wioski nie mieli im za złe gwałtownej pobudki. Pewna miła kobieta o matczynym wyglądzie wyniosła im na tacy herbatę w kubkach. Dopiero potem zjawił się jakiś gospodarz i obsztorcował lotników za zniszczenie pola kapusty, za co z kolei sam dostał połajanekę od matczynej kobiety. Zaraz potem nadjechała ciężarówka ze Scampton, która

odwiozła ich do bazy, gdzie dostali śniadanie i poczekała na transport do swojej jednostki.

Oczy same im się zamykały, droga wydawała się nie mieć końca. Na domiar złego po powrocie musieli złożyć raport oficerowi wywiadu. Twarze mieli poszarzałe ze zmęczenia i naznaczone śladami odcisniętych masek tlenowych, warkot silników J-Jiga niemal ich ogłuszył. Teddy'ego męczył w dodatku potworny ból głowy, którym zwykle kończyła się dla niego każda akcja.

Mimo że zbliżała się pora lunchu, wydano im tradycyjnie po kubku herbaty zaprawionej kropelką rumu. Kapelan poczęstował ich papierosami i herbatnikami. „Dobrze was znowu widzieć, chłopcy” – podsumował. Personel naziemny czuwał, dopóki ze Scampton nie nadeszła wiadomość o ich bezpiecznym powrocie, natomiast dowódca bazy w ogóle nie położył się spać, tylko uczestniczył w odprawie z przedstawicielem wywiadu. Miał do nich ojcowski stosunek, bo byli załogą o najdłuższym stażu. Turyn stanowił ich dwudziestą ósmą misję bojową.

Wylądowali bez środkowego strzelca, który poleciał zamiast Vica. Przypuszczali, że katapultował się niemal natychmiast po tym, jak Teddy wydał rozkaz opuszczenia maszyny. Znajdowali się wtedy nad Francją. Albo nad Morzem Północnym. Wykończony Teddy nie wiedział, jak się nazywa, więc co mógł powiedzieć o szczegółach ich koszmarnego powrotu? Za nic też nie mógł sobie przypomnieć nazwiska środkowego strzelca.

– Na imię miał chyba Fred – wtrącił George Carr.

Norman upierał się, że Frank. Z pewnością zaczynało się na „F”, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Oficer wywiadu przejrzał papiery, po czym oznajmił:

– Nie na „F”, tylko na „H”. Harold Wilkinson.

– Byliśmy blisko – mruknął George.

Mac kompletnie nie pamiętał incydentu z hipoksją, zaklinał się nawet, że nie zna słów piosenki *Boogie Woogie Bugle Boy*. Mimo to odśpiewali mu ją podczas popijawy, którą uczcili szczęśliwy powrót z Turynu. Otrzymali czterdziestoosmiodzinną przepustkę, więc połowę tego czasu przespali, a drugą spędzili w barze U Betty, zalewając się w trupa.

Wiele lat po wojnie Teddy próbował się dowiedzieć, jaki los spotkał ich środkowego strzelca. Nie znalazł żadnej wzmianki o jego szczęśliwym lądowaniu, żadnego meldunku, że udało mu się zmylić wroga ani że dostał się do niewoli. Dołączył do grona zaginionych, jego nazwisko trafiło na tablicę w Runnymede upamiętniającą tych wszystkich, którzy nie mieli własnego grobu. Figurował tam naturalnie jako Harold Wilkinson, a nie kot.

– Durny pacan – stwierdził Vic. – Powinien mieć więcej zaufania do swojego pilota, no nie? Nie do wiary, że ominęła mnie taka zabawa.

Nie byli wcale ostatnią załogą, jaka po tej akcji dotarła do bazy. Załoga A-Able, która brała z nimi udział w nalocie na Turyn, zboczyła w drodze powrotnej aż do Algieru, gdy jeden z dwóch silników został przestrzelony. Uznani oficjalnie za zaginionych, po pewnym czasie wrócili do jednostki. Ku wielkiej radości wszystkich okazało się, że ich halifaks jest wyładowany skrzynkami pomarańczy. Zaraz rozdysponowano je wśród lotników i uczniów pobliskiej szkoły podstawowej. Teddy zjadł swoją pomarańczę z wielkim namaszczeniem. Rozkoszował się każdym kęsem i rozmyślał o promieniach śródziemnomorskiego słońca, którego już nigdy nie spodziewał się oglądać. Miał rację; po wojnie nie opuścił kraju, nie wyjechał na żaden zagraniczny urlop, nigdy nie wszedł na pokład nowoczesnego odrzutowca ani nie popłynął statkiem. Gdy Viola stwierdziła, że jego „polityka izolacjonizmu” jest żałosna, odparł, że to nie

żadna polityka. Tak się po prostu złożyło. Nie był też szowinistą ani ksenofobem – kolejne dwa epitety z jej arsenału. Córka oskarżała go o brak żyłki przygodowej, on jednak był zdania, że wojna zapewniła mu dość przygód na całe życie, człowiek zaś może się równie dobrze relaksować we własnym ogrodzie. „*Il faut cultiver nôtre jardin*” [51](#) – oświadczył, lecz Viola nie słyszała o *Kandydzie*. Nie był pewien, czy w ogóle słyszała o Wolterze.

Drzwi bombowe otwarte, kapitanie.

Zrozumiałem, celowniczy.

Prosto, kapitanie. Teraz w lewo. W lewo, prosto. Trochę bardziej w prawo. Prosto, prosto. Poszły.

S-Sugar poderwał się w górę, uwolniony od brzemienia ładunków. Dla nich nie znaczyło to wythnienia – musieli przelecieć nad celem, wyrównać i kontynuować lot jeszcze przez jakieś trzydzieści sekund, dopóki nie rzucono flary rozświetlającej mrok, a w umocowanym w komorze bombowej aparacie nie zwolniła się migawka. Fotografia stanowiła dowód na to, że cel został zbombardowany – bez niej operacja nie zostałaby im zaliczona. „Choć konia z rzędem temu, kto coś na niej wypatrzy” – pomyślał Teddy. Widok przesłaniała gruba warstwa chmur i wszechobecne na obszarze Zagłębia Ruhry czarne wyziewy przemysłowe. Równie dobrze mogliby sfotografować powierzchnię Księżyca. Bomby zrzucili na podstawie znaczników pirotechnicznych pozostawionych przez samoloty nowo utworzonych Sił Rozpoznania. Mieli nadzieję, że większość trafiła w cel.

Dużo później, wiele lat po wojnie, gdy zaczęły się ukazywać te wszystkie książki historyczne, wspomnienia i biografie, a ludzie zamiast zapomnieć o wojnie, zapragnęli nagle o niej pamiętać, Teddy odnalazł informacje o tamtym nalocie i odkrył, że znaczna część ich maszyn zbombardowała miejsce oddalone od celu o dziesięć mil na zachód. Załogi

bombowców ucierpiały wówczas bardziej niż ktokolwiek na ziemi. Im więcej czytał, tym bardziej zdawał sobie sprawę z beznadziejnej niedokładności bombardowań prowadzonych na wczesnym etapie wojny. Poruszył ten temat w rozmowie z Makiem podczas wspomnianego zjazdu ich eskadry.

– Co za marnotrawstwo – powiedział.

– Marnotrawstwo ładunków – podkreślił Mac.

Teddy przypuszczał, że jako nawigator Mac poczuł się osobiście urażony.

– Nie o to mi chodziło – wyjaśnił. – Straciliśmy tylu ludzi i tyle maszyn, żeby osiągnąć tak mizerny efekt. Sądziliśmy, że paralizujemy przemysł wroga, tymczasem zabijaliśmy głównie kobiety i dzieci.

– Nie wierzę, że dołączyłeś do tych wszystkich skrupulantów krytykujących naloty.

– Wcale nie – zaprotestował.

– To Niemcy zaczęli tę wojnę, Ted.

„A my ją skończyliśmy” – pomyślał Teddy. Cieszył się, że ostatnie półtora roku wojny przesiedział w obozie jenieckim i nie musiał patrzeć na to, jak Dowództwo Bombowe usiłuje zetrzeć Niemcy z mapy Europy. To był kluczowy argument każdego sporu: „Niemcy zaczęli”. Siali wiatr. Prosilili się o kłopoty. Frazesy usprawiedliwiające wojnę.

– Oko za oko – dodał Mac. – Możesz mówić, co chcesz, Ted, ale dobry Niemiec to ciągle martwy Niemiec.

(„Każdy? – zadumał się Teddy. – Nawet teraz?”).

– Wiem. Nie twierdzę, że nie powinniśmy byli ich bombardować. Ale z perspektywy czasu...

– Pytanie, Ted, czy z perspektywy czasu, o której mówisz, zrobiłbyś to samo, gdyby było trzeba.

Zrobiliby. Oczywiście, że tak (Auschwitz, Treblinka), milczał jednak, bo nie chciał dać kumplowi satysfakcji.

Migawka się zwolniła. Teddy przechylił maszynę na bok, Mac ustawił kurs na bazę. „Nie było tak źle” – odezwał się drugi pilot. (Na imię miał Guy? Teddy nie był tego pewien. Wyglądał jak Guy. A może przedstawił się jako Giles?). W interkomie rozległy się dwa czy trzy jęknięcia. Mówienie takich rzeczy uważane było za wyjątkowo niefortunne. „Przed nami jeszcze długa droga” – odpowiedział Teddy. I faktycznie, w drodze powrotnej natrafili na silny, może nawet silniejszy ostrzał niż wcześniej. Czuli podmuch wybuchających wokół pocisków, słyszeli stukot i brzęk bębniących w kadłub odłamków.

Nagle z lewej strony pojawił się oślepiający błysk – to jakiś lancaster dostał w skrzydło, które oderwało się i poszybowało w powietrzu, jakby miało własny napęd, po czym uderzyło w innego lancastera i odcięło mu środkową wieżyczkę strzelniczą. Obie maszyny zapaliły się, wpadły w korkociąg i runęły na ziemię niczym tancerze w makabrycznym balecie.

– Kurwa – rozległo się przez interkom.

Przerażony głos należał do Vica albo George’a, Teddy nie był tego pewien. „Nic dodać, nic ująć” – zgodził się w duchu, po czym posłał Normana, aby ocenił uszkodzenia.

– Przestrzelili nam cholernie wielką dziurę – zameldował ten po powrocie.

Właściwie nie musiał nic mówić, bo we wnętrzu S-Sugar hulał lodowaty wiatr. Guy musiał zmienić zdanie co do ich położenia, bo poinformował Teddy’ego, że wybiera się na tył samolotu nawiązać bliższą znajomość z obskurnym wychodkiem. Czyli jednak Guy, absolwent Eton. „Muszę to zapamiętać” – zganił się w myślach Teddy. Miał wyrzuty sumienia, odkąd stracili tamtego środkowego strzelca z Somerset; czuł, że zawiódł jako

dowódca. Bądź co bądź, odpowiadał za wszystkich obecnych na pokładzie, więc mógłby przynajmniej pamiętać ich imiona, na litość boską! Guy nie wrócił już z toalety, ponieważ chwilę po jego wyjściu obaj strzelcy podnieśli jednoczesny krzyk: „Myśliwiec lewa tył, unik!”. Teddy napał na drążek, lecz było za późno – trafił ich ogień z działek myśliwca. Ogłuszający grzechot przywodził na myśl jakiegoś olbrzyma obrzucającego kadłub gradem kamieni. Smród kordytu wypełnił kabinę.

Teddy wprowadził maszynę w lot nurkowy. Gdy odbił w prawo i ponownie zaczął się wspinać na wyższy pułap, myśliwiec przepadł bez śladu. Rozpłynął się w powietrzu, zniknął równie nagle, jak się pojawił. Mac wytyczył kurs bezpośrednio do bazy, aby ominąć najgęściej bronione obszary wokół Rotterdamu i Amsterdamu, lecz zanim dotarli do holenderskiego wybrzeża, musieli zejść na wysokość dwóch tysięcy stóp. Myśliwiec zrobił swoje. Oba wewnętrzne silniki nie działały, stracili lotki z prawej strony, pięć zbiorników paliwa na skrzydłach zostało przestrzelonych. Do tego dochodziła wielka wyrwa w poszyciu kadłuba. Teddy wyłączył bezużyteczne silniki i leciał dalej, jako że było za późno, aby zawrócić. Lecieli w chmurach i kiedy wreszcie się z nich wynurzyli, okazało się, że od dłuższego czasu znajdują się nad Morzem Północnym.

Na krótko dołączył do nich inny pokieroszowany halifaks, lecieli jednak tak nisko i tak wolno, że w końcu dał spokój i wspiał się wyżej, machnąwszy im na pożegnanie skrzydłami. Zostali sami.

Zeszli na tysiąc pięćset stóp. Teddy zarządził ewakuację. „Mamy dziesięć mil do angielskiej linii brzegowej” – zameldował spokojnie. W odpowiedzi usłyszał prośbę: „Doprowadź nas trochę bliżej, kapitanie”. Myśl o wodowaniu była dostatecznie straszna, ale perspektywa wpadnięcia w łapy nieprzyjaciela jeszcze gorsza.

– Lećmy dalej – rzucił Norman. – Wtedy z Turynu się udało, pamiętacie?

Z wysokości tysiąca stóp widzieli białe, spienione grzywy fal wysokich na jakieś piętnaście, dwadzieścia stóp. „Choć się barka nie rozpryska, niech nią wieczna burza ciska!” ⁵² – przemknęło Teddy’emu przez myśl.

W tym momencie wyrzucali na zewnątrz, co popadło: stół nawigatora, poduszki, termosy, butle z tlenem. Keith zaatakował fotele siekierą, Vic zdemontował karabiny ze środkowej wieżyczki i cisnął je do wody. Ich los podzieliła również sama wieżyczka. Byle jak najdłużej utrzymać maszynę w powietrzu. „Cztery mile do linii brzegowej” – zameldował Mac, opanowany jak zawsze. Jego papiery i mapy rozsypały się po kabinie, gdy weszli w lot nurkowy, aby uciec przed myśliwcem, i teraz zbierał je starannie, jakby zamykał biuro na weekend. „Czym innym jest brak paniki – pomyślał Teddy – a czym innym zwykła opieszałość”. Przypomniawszy sobie, jak Mac stał z boku i komentował sytuację, podczas gdy pozostali uwijali się jak w ukropie, by wydobyć Kenny’ego z tylnej wieżyczki.

– Jeszcze, jeszcze, kapitanie – dopingował go inny głos.

Wreszcie na wysokości pięciuset stóp George Carr wcisnął klucz telegraficzny, nastawił system rozpoznawania na międzynarodową częstotliwość alarmową i chwycił niezbędny w pontonie przenośny radionadajnik.

Na wysokości czterystu stóp wskaźnik paliwa pokazywał zero. Otworzyli włazy ratunkowe i Teddy nakazał wszystkim przyjąć pozycję do wodowania. Mac zajął miejsce po prawej, a Norman po lewej stronie kadłuba, zaparli się przy tym stopami o przedni dźwigar skrzydła. Strzelcy wsparli się plecami o tylny dźwigar skrzydła, George i Keith usiedli między ich nogami. Wszyscy splekli dłonie na karku lub oparli je na plecach ze spadochronami, aby złagodzić wstrząs. Teddy dobrze ich wyszkolił.

Uderzyli o powierzchnię z prędkością stu dziesięciu mil na godzinę. Impet roztrzaskał wykonany z pleksiglasu nos maszyny, w którym mieściło się stanowisko celowniczego, i do wnętrza S-Sugar wdarła się fala wody i paliwa, zakrywając ich po same szyje tuż po tym, jak kamizelki ratunkowe zdążyły napełnić się powietrzem. George stracił przytomność przy wodowaniu, wzięli go więc pod ręce i przeciągnęli przez właz ratunkowy. Okazało się przy tym, że Kenny nie umie pływać, więcej, że panicznie boi się wody; Mac musiał go wziąć za kark i holować jedną ręką przez zalany wodą kadłub, podczas gdy tamten miotał się i wrzeszczał ze strachu. Teddy zamykał pochód. Kapitan zawsze schodził z pokładu ostatni.

Umieszczony w skrzydle ponton zdążył się nadmuchać i teraz blokował górny właz. Woda wypełniała niemal całe wnętrze i maszyna powoli zaczęła się przechylać na lewą stronę. „To koniec” – pomyślał w pierwszej chwili Teddy, zaraz jednak zanurkował i przepłynął przez ziejącą w kadłubie dziurę.

Wydostali się wszyscy i z pewnym trudem wgramolili do pontonu. Norman przeciął linkę cumowniczą. Metr za metrem oddalali się od samolotu. Wciąż unosił się na powierzchni, podskakiwał na szarych falach. Kilka minut później morze wciągnęło go i na zawsze znikł im z oczu.

Gdzieś daleko w ciemnościach słyszeli warkot silnika. Mac chwycił pistolet sygnałowy i próbował wystrzelić flarę, lecz palce miał tak spuchnięte i zgrabiące z zimna, że nic z tego nie wyszło. Ile godzin spędzili na wodzie? Stracili rachubę czasu. Mijała druga noc, tego byli pewni. Prędko stało się jasne, że wodowanie stanowiło początek kłopotów. Ledwie wszyscy załadowali się do pontonu, olbrzymia fala zmiotła ich z powrotem do wzburzonego morza. Dobrze, że ponton nie wywrócił się do góry dnem (chwała Bogu choć za to), jednak wdrapanie się doń ponownie wymagało

olbrzymiego wysiłku. Poza tym musieli wciągnąć za sobą nieprzytomnego George'a.

Vic zgubił gdzieś buty i umierał z zimna. Na zmianę rozcierali mu stopy, lecz sami mieli coraz bardziej skostniałe dłonie. Ubrania przesiąkły na wylot, stukrotnie potęgując ich udrękę.

Biedny zamroczony George póležał, wsparty plecami o burtę pontonu, lecz co chwila zsuwał się na dno wypełnione lodowatą wodą. Stale jęczał, półprzytomny. Nie wiedzieli, czy cierpi, ale Mac na wszelki wypadek zrobił mu zastrzyk z morfiny i jęki ustały.

Gdy fala zmyła ich do morza, zgubili radionadajnik. Nie mieli pojęcia, jak daleko ich zniosło od miejsca wodowania. Szanse, że dostrzeże ich załoga samolotu albo łodzi ratunkowej, były znikome.

Warkot silnika ucichł, zanim Norman zdołał nacisnąć spust pistoletu sygnałowego. Keith mruknął: „Za późno, psiakrew”. Wystrzelona flara rozświetliła jedynie bezkresną czarną otchłań, w której dryfowali, co – o ile to możliwe – jeszcze bardziej ich przygnębiło. Teddy zastanawiał się, czy odgłos silnika nie był czasem przywidzeniem. Może tak jak ludzie zabłąkani na pustyni prędzej czy później zaczną widzieć miraż i staną się ofiarami różnego rodzaju halucynacji?

– Oddałbym wszystko za szluga – odezwał się Keith.

– Miałem gdzieś paczkę fajek – odparł na to Kenny i z wielkim trudem wydobyl ją z kieszeni.

Z żalem wpatrywali się w rozmoczone woodbine'y, zanim wylądowały za burtą. Stracili oczywiście całe zapasy: papierosy, żywność. Wszystko, co mogłoby poprawić im humor czy podtrzymać ich przy życiu, zostało zmyte przez fale. Teddy odnalazł w kieszeni reszkę czekolady, a Mac podzielił ją skrupulatnie scyzorykiem i rozdał wszystkim po odrobinie. „George miał rację, że przed wylotem zjadł cały przydział czekolady” – stwierdził

w duchu Teddy. Teraz i tak niczego by nie przełknął. Vic nie wziął swojego kawałeczka; cierpiał potwornie z powodu choroby morskiej.

– Słyszałem opowieści – powiedział Teddy – o ludziach, którzy tygodniami dryfowali po morzu w szalupie, aż w końcu zaczęli się zjadać nawzajem. Na pierwszy ogień poszedł chłopiec okrętowy.

Wszyscy odruchowo spojrzeli na Kenny'ego.

– Ale chcę was uspokoić: prędeż zjadłbym własną stopę niż któregoś z was, nieszczęsne gnojki.

– To mnie osobiście obraża – zaprotestował Mac. – Byłoby ze mnie pyszne danie.

Od słowa do słowa, zaczęli gadać o jedzeniu – kiepski pomysł w sytuacji, gdy go brakowało. Stopniowo jednak rozmowy cichły i wreszcie całkiem ustały. Za bardzo zmęczeni, aby mleć językami, jeden po drugim zapadali w niespokojny sen. Teddy czuwał, obawiając się, że mogą się z tej lodowatej drzemki nie obudzić.

Dla zabicia czasu wyobrażał sobie, na co miałby teraz ochotę. Co by wybrał, gdyby mógł zjeść tylko jeden posiłek? Elegancką restaurację czy kolację w pokoju dzieciennym? Ostatecznie zdecydował się na dziczyznę zapiekaną w cieście pani Glover i wilgotny biszkopt z kremem budyniowym. W istocie wcale nie marzył o jedzeniu, tylko o tym, aby znów siedzieć z rodziną przy stole w stylu regencji, ze zmartwychwstałym Hugh na honorowym miejscu. Mały Jimmy siedziałby u Pameli na kolanach, jego siostry nadal miałyby krótkie spódniczki i wstążki we włosach. Bridget donosiłaby potrawy z kuchni, a pani Glover gderała za ścianą. Sylvie byłaby radosna i pełna gracji. Znalazłoby się nawet miejsce dla Maurice'a. Pod stołem siedziałby pies – albo dwa. Trixie i Jock wciąż żyły w jego wyobraźni; wyraźnie widział, jak drzemią zgodnie zwinięte u jego stóp.

Pomimo najlepszych chęci nie zdołał zapanować nad ciężkimi powiekami i zapadł w czarną czeluść snu.

Drugi poranek zbudził ich ołowianym światłem, niezwiastującym niczego dobrego. Morze, od kilku godzin spokojniejsze, nagle znów się wzburzyło. Przemokli do suchej nitki w powietrzu wypełnionym wilgotną mgłą. Niesione wiatrem kropelki wody zalewały im twarze, utrudniały oddychanie. Wcześniej wydawało się niemożliwe, aby mogło im być jeszcze bardziej mokro, a jednak... Co gorsza, odkryli, że ponton przecieka, i musieli chwycić za pompy awaryjne, żeby wypompować wodę. Niedługo potem pompy także odmówiły posłuszeństwa i nie dało się ich naprawić. Wybierali zatem wodę zgrabiałymi rękami i wkrótce prawie stracili czucie w dłoniach.

George był w fatalnym stanie, podobnie jak Vic. Żaden nie miał siły walczyć z falami, które nieustannie ich zalewały. Teddy podczołgał się do George'a i próbował zmierzyć mu puls, lecz pontonem za bardzo szarpało. Przeszło mu przez myśl, że George nie żyje, nie powiedział jednak o tym pozostałym.

Odwrócił się do Kenny'ego i zobaczył, że ten ze smutkiem wpatruje się w George'a. Po chwili chłopak przeniósł spojrzenie na Teddy'ego.

– Skoro mam umrzeć, kapitanie, to wolę umrzeć z tobą niż z kimkolwiek innym.

– Nie umrzesz – odparł szorstko Teddy.

Jeżeli zaczną rozpaczać, będzie po nich. „Lepiej unikać czarnych myśli”.

– Wiem, ale gdyby jednak...

A Guy, drugi pilot? Nikt go nie widział po ataku myśliwca. W pontonie rozgorzała dyskusja o tym, co się z nim stało. Wreszcie doszli do wniosku,

że nie mógł się rozpląnąć w powietrzu. Najpewniej wypadł przez dziurę w kadłubie i runął bez spadochronu do Morza Północnego.

Kolejna straszliwa fala uderzyła w nich z siłą lawiny. Trzymali się z całej siły, ale zarówno Vic, jak i Kenny wylądowali w wodzie. Teddy nigdy nie zdołał pojąć, skąd wzięli siły, aby wydobyć Kenny'ego („Udało się tylko dlatego, że taki z niego cherlak” – stwierdził później Keith). Natomiast ilekroć próbowali wciągnąć do pontonu Vica, ten wyslizgiwał im się z rąk i znów wpadał do morza. Zwyczajnie byli za słabi. Zdołali zahaczyć jego rękę o linkę przy burcie pontonu, lecz Teddy nie sądził, aby Vic mógł przeżyć w wodzie dłużej niż parę minut.

Usiadł najbliżej niego i usiłował go podtrzymać. W pewnym momencie Vic odrzucił głowę do tyłu i spojrzał mu w oczy. Teddy wiedział, że zgasła w nim wola walki.

– Niech los wam sprzyja – wyszeptał Vic i pozwolił, aby jego ręka ześliznęła się z linki. Zaraz też oddalił się od nich na kilka jardów, przykryły go fale i poszedł cicho na dno, gdzie czekał nań bezimienny grób.

* * *

Wbrew przypuszczeniom załogi George Carr nie zginął, kiedy wpadł do morza. Umarł jednak dwa dni później w szpitalu wskutek „szoku i hipotermii”. Jak przypuszczał Teddy, oznaczało to wyziębienie.

Odnalazła ich przypadkiem łódź marynarki wojennej szukająca innego strąconego samolotu. Przetransportowano ich na pokład, rozebrano, poczęstowano herbatą z rumem oraz papierosami, następnie zawinięto w koce i ostrożnie ułożono na kojach. Teddy natychmiast zapadł w najgłębszy w swoim życiu sen. Gdy po godzinie zbudzono go i ponownie poczęstowano gorącą herbatą z rumem, marzył tylko o tym, aby spać dalej, bez końca.

Noc spędzili w szpitalu w Grimsby, po czym wrócili pociągiem do swojej jednostki. Wszyscy z wyjątkiem George'a. Rodzina odebrała ze szpitala jego ciało i pogrzebała je w Burnley.

Załodze udzielono kilkudniowego urlopu. Wciąż jednak pozostawała kwestia brakującego trzydziestego lotu Kenny'ego. Nie mogli wprost uwierzyć, że po tym wszystkim, co przeszli, dowództwo wciąż będzie od niego wymagało ukończenia tury, lecz dowódca bazy, znany im skądinąd jako porządny człowiek, twierdził, że ma związane ręce.

Tak więc zaledwie tydzień po tym, jak wyłowiono ich z morza niczym na wpół utopione kocięta, znowu znaleźli się na pasie i czekali na sygnał do startu. Pozostali członkowie załogi: Teddy, Mac, Norman i Keith, którzy oficjalnie ukończyli już swoją turę lotów, zgłosili się na ochotnika, żeby ostatni raz polecieć z Kennym. Rozpląkał się, gdy mu o tym powiedzieli, na co Keith burknął: „Ty cholerny mazgaju”.

Był to z ich strony gest iście kawalerskiej fantazji. Z jakiegoś powodu czuli, że tamto wodowanie ich uodporniło, jakby więcej nic złego nie mogło ich spotkać. Dziewczyna z Ministerstwa Lotnictwa potwierdziłaby zapewne, że to niestety nieprawda. Może zadziałała zasada Keitha, u którego w kwestii szczęścia wszystko było na opak, w każdym razie dobrego samopoczucia nie popsują im nawet takie zwiastuny nieszczęścia jak wypożyczony od innej załogi samolot i dwóch „zapasowych” lotników, którzy mieli do wylatania zaległe misje. Wyszli z założenia, że sami także lecą niejako w zastępstwie, i wzięli nawet ze sobą pechowego drugiego pilota, choć tym razem nie zdobywającego doświadczenia kota, tylko ich własnego oficera dowodzącego, którego naszła ochota, by z nimi polecieć. Teddy spodziewał się jakiejś niegroźnej misji, na przykład zrzucania ulotek propagandowych nad terytorium Francji. Ale gdzie tam, polecieł na Wielkie Miasto w ramach zmasowanego ataku bombowego. Całą załogę

ogarnęło wspólne szaleństwo, absurdalny wręcz entuzjazm, jakby byli oddziałem skautów udających się na wymarzoną wycieczkę.

Dotarli nad Berlin i wrócili niedraśnięci przez ogień obrony przeciwlotniczej, nie napotkawszy po drodze ani jednego myśliwca. Wylądowali w bazie jako jedni z pierwszych. Kenny wyskoczył z maszyny i ucałował betonową nawierzchnię pasa. Potem wszyscy uścisnęli sobie dłonie, a oficer dowodzący rzucił: „Nie było wcale tak źle, prawda, chłopcy?”. Nie powinien był tego mówić. Wziął później udział w pamiętnym nalocie na Norymbergę i – jak słyszał Teddy – nie wrócił.

Nie ulegało wątpliwości, że Lillian jest przy nadziei: znoszona wzorzysta sukienka wyraźnie opinała jej się na brzuchu. Wyglądała na zmęczoną, miała ciemne sińce pod oczami i żyłki na chudych łydkach. Teddy pomyślał, że przedstawia sobą obraz nędzy i rozpacz. Aż trudno było uwierzyć, że to owa słynna Lil od czerwonych satynowych „niewymownych”. No i proszę, jak skończyła.

– Zamiast ślubu była stypa – mruknęła pani Bennett i dodała: – Siadaj, Lil, daj wytchnąć nogom.

Lillian posłusznie usiadła, a pani Bennett poszła zaparzyć herbatę.

– Nigdy wcześniej nie byłem na Canvey Island – powiedział do niej Teddy, kiedy wróciła.

– A czego miałbyś tu szukać? – zdziwiła się.

Teddy zauważył, że to po niej Vic odziedziczył fatalne zęby.

– Nic nie wspominał o dziecku – zauważył.

Pani Bennett burknęła:

– A po co miałby wspominać?

Lillian uniosła znacząco brew i uśmiechnęła się do Teddy’ego.

– W końcu to nieślubne – stwierdziła matka Vica, nalewając im herbatę z dużego cynowego dzbanka. Emanowała dziwną mieszanką dezaprobaty

i otuchy.

– Nie pierwsze i nie ostatnie – wtrąciła Lillian. – Vic zostawił list pożegnalny – zwróciła się do Teddy’ego. – Jak wszyscy lotnicy.

– Tak, wiem – odrzekł.

– Pewnie, że wie – odezwała się pani Bennett. – Sam taki napisał.

Matka Vica nigdy nie miała być oficjalnie teściową Lillian, istniała zatem nadzieja, że biedaczka zdoła się w przyszłości od niej uwolnić. Dobrze i to.

– *Napisał* – ciągnęła Lillian, ignorując panią Bennett – że jeśli to będzie chłopiec, mam dać mu na imię Edward.

– Edward? – powtórzył osłupiały Teddy.

– Po tobie.

Wtedy po raz pierwszy od początku wojny coś w nim pękło. Wybuchnął płaczem, zaniósł się gwałtownym, bolesnym łkaniem. Lillian wstała, objęła go i przyciągnęła do swojego pęczniejącego brzucha. „Już dobrze, już dobrze” – powiedziała tonem, jakim za kilka miesięcy miała uspokajać własne dziecko.

Pani Bennett złagodniała i nalegała, aby zjadł z nimi obiad, jakby jej siekane kotlety z peklowanej wołowiny mogły jakoś ukoić ich wspólny ból. Ugościły go też herbatą, papierosami i słodyczami, kupionymi na powrót Vica. Pozwolono mu odejść dopiero, gdy oczy zaczęły mu się kleić.

– Dajmy mu spokój. Odprowadzę biedaka na przystanek – stwierdziła Lillian.

– Pójdę z wami – oznajmiła pani Bennett, wciskając na głowę kapelusz.

Teddy był wszystkim, co im zostało po Vicu, dlatego, jak sądził, nie potrafiły się z nim rozstać.

– Vic pisał o tobie – odezwała się pani Bennett ze wzrokiem wbitym przed siebie, gdy czekali na przystanku autobusowym. – Uważał cię za

najlepszego człowieka, jakiego w życiu znał.

Teddy zauważył, że drży jej dolna warga. Na szczęście nadjechał autobus, wybawiając go od konieczności udzielenia odpowiedzi.

– Byłbym zapomniał – rzekł. – Nasz tylny strzelec, Kenny Nielson, prosił mnie, żebym przekazał coś dla dziecka.

Mówiąc to, wyjął obszarpanego czarnego kotka, który był talizmanem Kenny'ego. Kotek przetrwał wodowanie w Morzu Północnym, lecz niezbyt mu się to przysłużyło. Podczas ich ostatniej akcji siedział dumnie w kokpicie przez całą drogę na Berlin i z powrotem.

– Co za szkaradzieństwo – wzdrygnęła się pani Bennett. – Jak można dawać coś takiego dziecku?

Mimo to Lillian przyjęła maskotkę i zwróciła się do Teddy'ego:

– Dziękuję. Będę go strzegła jak skarbu.

– Do widzenia – pożegnał się Teddy po wejściu do autobusu. – Miło mi było poznać panie. Niech los wam sprzyja – dodał. Dopiero po pewnym czasie dotarło do niego, że tak brzmiały ostatnie słowa Vica.

1982

Odwaga w godzinie próby

Przez większość nocy chlipał w poduszkę. Nie pojmował, czym sobie na to wszystko zasłużył. Coś musiało być z nim nie w porządku. Wszyscy mu to powtarzali – matka, babka, czasami nawet jego siostra – tylko *co?* Gdyby wiedział, starałby się to naprawić, serio. Staralby się ze wszystkich sił. Może wtedy ta wieczna kara dobiegłaby końca i zła czarownica udająca jego babkę pozwoliłaby mu wrócić do domu. Wtedy już nigdy, przenigdy nie byłby niegrzeczny. Słowo.

Każdego wieczoru przed snem zrozpaczony Sunny przeglądał w myślach długi rejestr zdumiewających zasad, pytań i przykładów ogólnego rozczarowania, jakie wypełniały jego dni w Jordan Manor („Stój prosto; zamykaj usta, kiedy jesz; nie rób tego w domu, bardzo cię proszę; myj uszy *od środka*, chyba że chcesz w nich sadzić ziemniaki; co tam masz znowu w ręce; z tobą jest chyba coś *nie w porządku*). Obojętne, co zrobił, zawsze było źle. Stał się przez to strzępkiem nerwów. „Mógłbyś chociaż pamiętać o »proszę« i »dziękuję«” – łajała go babka.

Musiał tłumić płacz, bo gdyby usłyszała, wpadłaby do pokoju i kazała mu być cicho. „Śpij już. I żebym nie musiała tu więcej przychodzić – dodawała zawsze na koniec. – Pewnego dnia te schody mnie zabiją”. „Oby” – modlił się w duchu Sunny. Zresztą po co ulokowała go na piętrze, skoro tak trudno było jej chodzić po schodach?

Przydzielono mu celę, którą babka nazywała „pokojem dziecinnym” – wstrętny pokoik na poddaszu, w tak zwanej służbówce, chociaż w domu nie było już prawdziwej służby, jak z goryczą mawiała babka. Ci, którzy pełnili

obowiązki służących – to znaczy pani Kerrich i Thomas – nigdy tu nie zaglądali. Rodzina znalazła się w trudnym położeniu, powtarzała babka, dlatego ostali się tylko ci dwoje: pani Kerrich, która przychodziła codziennie gotować i sprzątać, oraz Thomas, który mieszkał w domku przy bramie posiadłości. Do jego obowiązków należały: noszenie ciężkich rzeczy, naprawy oraz „próby utrzymania ogrodu w należyтым stanie”. Sunny nie lubił Thomasa. Ciągłe zaczepiał go słowami: „Ady, zaglądnij no kiedy do mojej szopy, smarku”, po czym śmiał się donośnie, jakby właśnie opowiedział znakomity dowcip. Ukazywał przy tym liczne braki w uzębieniu. Oboje z panią Kerrich mówili z dziwną intonacją, jednocześnie płaską i śpiewną. („Tak to już mówią ludziska w Norfolk” – wyjaśniła mu pani Kerrich). „Właściwie to wieśniacy – mówiła babka – ale porządni z nich ludzie. O tyle, o ile”.

Zarówno Thomas, jak i pani Kerrich spędzali mnóstwo czasu, burcząc na siebie i wyrzucając jedno drugiemu, że jest „na posyłki u jaśnie pani”. Równie często – jeśli nie częściej – narzekali na Sunny’ego i „całą tę robotę”, która dodatkowo spadła na nich za jego sprawą. Utyskiwali w jego obecności, jakby był powietrzem, chociaż siedział razem z nimi przy stole kuchennym. Thomas palił woodbine’y, pani Kerrich piła herbatę. Sunny miał ochotę zapytać: „Co by na to powiedział Pan Kindersztuba?”. Z pewnością tak spytałaby go matka, gdyby to *on* był dla kogoś nieuprzejmy. Zaiste, w Jordan Manor Pan Kindersztuba miałby pełne ręce roboty. Sunny nigdy nie zachowałby się niegrzecznie wobec nikogo, gdyby tylko pozwolono mu wrócić do domu.

Mimo wszystko lepiej czuł się w kuchni niż gdziekolwiek indziej w tym domu. Było to najcieplejsze pomieszczenie i zawsze mógł tam coś przekąsić. Jeżeli zasiedział się wystarczająco długo, pani Kerrich karmiła go od niechcienia w taki sam sposób, w jaki z rzadka rzucała ochłapy psom.

Dziadkowie oszczędzali również na jedzeniu, więc Sunny stale chodził głodny. A przecież rósł i powinien jeść, nawet jego matka tak mówiła. Co gorsza, posiłkom towarzyszyła zawsze litania upomnień: „Żuj z zamkniętymi ustami; siedź prosto; trzymaj nóż i widelec jak trzeba, chyba nie wychowywałeś się w lesie”. Jego maniery przy stole babka oceniła jako skandaliczne. Skoro je jak świnia, to może powinien dostawać do jedzenia pomyje? „Nie trzymają świń od dawna – poinformowała Sunny’ego pani Kerrich. – W przeciwnym razie rzuciłaby im ciebie na pożarcie”. Nie zabrzmiało to jak groźba, raczej jak stwierdzenie faktu.

Pani Kerrich westchnęła i zwróciła się do Thomasa: „Lepiej zanieś już jaśnie pani jej »poranną kawę«”. Ociekające sarkazmem dwa ostatnie słowa miały podkreślić wyższość pani Kerrich, dumnej wieśniaczki rozmówianej w mocnej, słodkiej herbacie, nad popijającymi kawę pretensjonalnymi arystokratami. Babka Sunny’ego nie była żadną jaśnie panią, tylko zwykłą panią Villiers. Antonią Villiers. Jego *grandmère*. Sunny dławił się, ilekroć musiał się tak do niej zwracać (w głębi duszy nie wierzył, że są ze sobą spokrewnieni, lecz to niejedyny powód). Dlaczego nie mógł jej po prostu nazywać babcią albo babunią? Raz spróbował – babka stała akurat przy przeszklonych drzwiach balkonowych i przyglądała się, jak Thomas strzyże trawnik („Ten człowiek jest zupełnie do niczego!”), Sunny zaś bawił się na dywanie starym, należącym jeszcze do jego ojca zestawem klocków konstrukcyjnych, które zostały mu przez nią niechętnie wypożyczone („Tylko ich nie pogub!”). W pewnej chwili poprosił: „Czy mógłbym dostać szklanek mleka, babciu?”. Odwróciła się jak smagnięta biczem i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby widziała go po raz pierwszy. „*Słucham?*” – zapytała. Podobnym tonem mówiła do niego matka, lecz ton głosu babki był dziesięć razy mniej przyjemny. Miał wrażenie, że babka chce go ukąsić. „*Grandmère* – poprawił się prędko i dodał: – Proszę”. (Pan Kindersztuba

z aprobatą pokiwał głową). Babka wciąż się na niego gapiła, aż pomyślał, że któreś z nich zaraz zamieni się w kamień. W końcu wymamrotała: „Czy mógłbym dostać szklankę mleka, babciu?”, jakby to była najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszała. A potem odwróciła się i znów zaczęła obserwować Thomasa. („Można by pomyśleć, że nigdy nie widział trawnika!”).

– Mleka? – roześmiała się pani Kerrich. – Ot, kłopot z tobą, synku, ciągle byś coś żarł.

Dorastający chłopcy *powinni* pić mleko, Sunny dobrze o tym wiedział. Wszyscy o tym wiedzieli! Czy tym ludziom brakowało piątej kleпки?! Chłopcy powinni też jeść herbatniki, banany, chleb z masłem i dżemem oraz wszystkie inne rzeczy, które w Jordan Manor uważano za fanaberie, a które dla jego prawdziwego dziadka – dziadka Teda – wyznaczały rytm każdego dnia. Sunny przywykł do obcowania z dorosłymi, którzy nie mieli pojęcia o tym, jak postępować z dziećmi: tak było w Adam’s Acre, w grupie „kobiet dla pokoju”, do której należała matka, nawet w jego klasie, lecz wszędzie tam prędzej czy później mógł liczyć na coś do jedzenia.

– No tak, kurde – śmiał się jego ojciec Dominic. – Życie zupełnie jak u Dickensa: „Proszę, sir, czy mógłbym dostać jeszcze trochę?”. Pamiętam. A po wyjeździe do szkoły z internatem trzeba jeść gówna, którym cię tam karmią.

„Szkoła z internatem?” – pomyślał Sunny. Nie wybierał się do żadnej szkoły z internatem, wraz z końcem wakacji miał wrócić do domu, do szkoły w Yorku, za którą szczególnie nie przepadał, lecz która z wolna zaczynała mu się jawić niczym raj utracony.

– Nie bądź tego taki pewien – przestrzegł go ojciec. – Teraz, gdy cię złapała w swoje szpony, tak prędko cię nie wypuści.

Dominic mieszkał w pomieszczeniu nad stajnią („Moja mansarda”), gdzie zwykle wylegiwał się na sfatygowanej starej kanapie w otoczeniu niedokończonych obrazów. Po koniach pozostał jedynie utrzymujący się w powietrzu zapach nawozu, wyczuwalny na wiodących na górę schodach zewnętrznych. Ojciec Sunny’ego przebywał na („dobrowolnym”) wygnaniu z głównego budynku Jordan Manor.

Dominic chyba także niewiele jadł, choć zazwyczaj miał gdzieś schowaną tabliczkę czekolady, którą dzielił się z synem. Mówił, że wcześniej źle się czuł („szpital i takie tam”), ale teraz jest z nim znacznie lepiej. Ilekroć Sunny odwiedzał ojca, ten zdawał się drzemać, chociaż twierdził, że medytuje. Użalanie się przed nim nie miało żadnego sensu, przyjmował bowiem, jak sam mówił, „silne leki”. Na parapecie stały rządkiem rozmaite fiolki. „Snuje się jak leniwiec” – narzekała babka w rozmowie z dziadkiem („*Grandpère*”, kolejne trudne do wymówienia słowo). Mimo że Sunny czuł się w obowiązku bronić ojca, nie mógł nie przyznać babce racji. W istocie leniwce czułyby się zażenowane postępowaniem Dominica. (Sunny oglądał z dziadkiem Tedem program przyrodniczy o leniwcach). *Grandpère* nie miał na ten temat zdania, a to dlatego, że – jak mówiła pani Kerrich – był „zramolały”: „Papka zamiast mózgu”.

– Jak w takim stanie może przejąć majątek? – trajkotała dalej babka, której nie przeszkadzał jednostronny charakter rozmów z mężem. Może nawet takie wołała? – Co, jeśli nie weźmie się w garść? Wtedy naszą jedyną nadzieją będzie ten, pożał się Boże, dzieciak.

„Ten dzieciak” zastanawiał się, co znaczą te słowa. Prawdę mówiąc, nie czuł się na siłach być czyjąkolwiek jedyną nadzieją. Wyglądało na to, że jest „ostatnim z Villiersów”. A co z Bertie? „To dziewczyna – zbyła go babka lekceważąco. – »Ród wygaś w linii żeńskiej«, napiszą w almanachu

Debretta”. Sunny’emu takie zakończenie wydawało się dobre jak każde inne, babka wyjaśniła mu jednak, że potrzebny jest dziedzic, choćby z nieprawego łoża. („Ten mały gnojek to bękart, no nie?” – mruknęła pani Kerrich do Thomasa). – Jeszcze zrobimy z niego Villiersa – powtarzała babka. – Ale to będzie droga przez mękę.

Najwyraźniej Sunny odpowiadał też za obecny stan swego ojca. Jak to? Z jakiego powodu?

– Bo żeś się urodził – wytłumaczyła pani Kerrich, podając mu suchy herbatnik. – Gdyby młody Dominic nie wpadł w narkotyki i nie zadał się z twoją matką – ciągnęła – jeździłby co dnia na koniu i ożenił się jak przystało z piękną panną z towarzystwa, taką, co nosi perły i aliganckie sweterki. Zamiast tego wolał być – tu pani Kerrich zrobiła palcami znak cudzysłowu – artystą. A potem jeszcze trafił mu się taki bachor jak ty. –

Pani Kerrich stanowiła niewyczerpane źródło informacji, z których większość była niestety błędna lub niekompletna.

Trzy psy, wyczuwszy herbatniki, wpadły do kuchni i zaczęły się kotłować pod nogami siedzących przy stole. Wszystkie miały w sobie coś ze spaniela, okropnie się śliniły i nie interesowało ich nic poza nimi samymi. Nazywały się idiotycznie: Snuffy, Pippy oraz Lopy. Dziadek Ted miał normalnego psa o imieniu Tinker, o którym mówił, że jest „niewzruszony jak gład”. Psy babki stale podszczypywały cichcem Sunny’ego swoimi ostrymi zębami. Raz się na nie poskarżył i usłyszał: „Co im zrobiłeś? Musiałeś im coś zrobić, bez powodu by cię nie gryzły”, chociaż dokładnie tak było.

– Wynocha stąd, wy paskudy – pogoniła je pani Kerrich, lecz na psach nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Nie były przyuczone do czystości i zostawiały – jak czule ujmowała to babka – „serdelki” na jej perskich dywanach, które „pamiętały lepsze czasy”. („Coś obrzydliwego” – burczała

pani Kerrich). Cały dom zresztą pamiętał lepsze czasy. Babka twierdziła, że sypie się na ich oczach. Właśnie w tej chwili jej szorstki głos zaczął nawoływać z innej części budynku: „Snuffy! Pippy! Loppy!”, i psy wypadły z kuchni równie szybko, jak się w niej zjawiły. „Jakbym mogła, uśpiłabym to tałatajstwo” – stwierdziła pani Kerrich.

Sunny podejrzewał, że nie miała na myśli tylko psów. Zachowywał się o niebo lepiej od nich, mimo to traktowano go znacznie gorzej. I gdzie tu sprawiedliwość?

Rozległ się dźwięk jednego z dzwonek w holu wzywających służbę. Zawsze brzmiały niecierpliwie, jakby naciskająca je osoba była wściekła (i zazwyczaj tak było). „O wciórności! Znowu jego lordowska mość – westchnęła pani Kerrich, dźwigając się z krzesła. – Jak dzwonią, trzeba iść”. (Stale to powtarzała). „Jego lordowska mość” nie był w istocie żadnym lordem, tylko „zwykłym” pułkownikiem Villiersem, dziadkiem Sunny’ego (podobno). Rzadko ruszał się ze swojego fotela przy kominku. Miał bladoniebieskie zażawione oczy i właściwie nie mówił. Wydawał jedynie dźwięki przypominające coś między warknięciem a kaszlem (niczym foka). Ich znaczenie było całkowicie zrozumiałe dla babki i pani Kerrich, Sunny jednak w żaden sposób nie potrafił przełożyć ich na angielski. Ilekroć znajdował się w pobliżu dziadka, ten łapał go i przyciągał do siebie, szczypiąc w policzki i rycząc mu do ucha: „Kim ty jesteś, hę?!”.

Sunny nie był do końca pewien, jak odpowiedzieć na to pytanie. Przede wszystkim najwyraźniej nie był już Sunnym. Babka twierdziła, że tak idiotyczne imię nie przejdzie jej przez usta. „Sun” brzmiało jeszcze gorzej, oznajmiła więc chłopcu, że będzie go odtąd nazywać Philipem, na cześć jego zramolałego dziadka.

– O rety – jęknął ze znużeniem ojciec, gdy Sunny go o tym poinformował. – Niech cię nazywa, jak chce. Tak będzie łatwiej, niż gdybyś

miał z nią walczyć. Czym zresztą jest imię? To tylko tabliczka, którą wieszają ci na szyi.

Nie tylko imię miał teraz nowe. Babka zabrała go do Norwich i wyposażyła w całkiem nową odzież, w związku z czym nie nosił ogrodniczek ani ręcznie dzierganych pasiastych swetrów dobrych dla klauna, tylko krótkie spodnie w kolorze khaki oraz „porządne” bluzy. Plastikowe sandały zostały zastąpione przez staroświeckie sandały ortopedyczne. Na domiar złego babka zaprowadziła Sunny’ego do fryzjera, który ściął jego długie loki. Wygolenie włosów z tyłu i po bokach dopełniło zmiany jego wyglądu. Oficjalnie przestał być sobą.

Zataił ową nową tożsamość przed dziadkiem Tedem. Przeczynał, że wywołałoby to lawinę pytań, na które nie był w stanie odpowiedzieć. Raz w tygodniu odbywali rozmowę telefoniczną. Babka stała nad nim, gdy ścisnął w dłoni wielką, nieporęczną słuchawkę i „gawędził” z dziadkiem Tedem. Niestety, złowroga bliskość *grandmère* uniemożliwiała Sunny’emu wykrzyczenie całej prawdy o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwy. Pogawędki nigdy mu nie szły, więc zasadniczo ich rozmowy sprowadzały się do pytań dziadka, na które Sunny odpowiadał monosylabami. Czy dobrze się bawi? Tak. Czy pogoda dopisuje? Tak. (Zazwyczaj padało). Czy je, ile trzeba? Tak. („Nie!”). Na koniec Teddy rzucał zwykle: „Chcesz porozmawiać z Bertie?”. Tak. Po czym – jako że jego siostra była podobnie jak on beznadziejna, jeśli chodzi o pogawędki telefoniczne – następowała trwająca około dwóch minut cisza. Sunny i Bertie wsłuchiwali się nawzajem w swoje nosowe oddechy, aż wreszcie babka fukała zniecierpliwiona: „Daj mi słuchawkę”, i kazała Bertie poprosić do telefonu dziadka. Dopiero wtedy przybierała miłszy ton i mówiła na przykład: „Świetnie się u nas odnalazł, uważam, że powinien zostać nieco dłużej. Tak, świeże wiejskie powietrze. Poza tym jest blisko ojca, czego oczywiście życzy sobie nasza

droga Viola”. I tak dalej, i tak dalej. „Droga Viola?” – dziwił się Sunny. Nie potrafił wyobrazić sobie *grandmère* i „drogiej Violi” w jednym pokoju.

Żałował, że nie zna jakiegoś szyfru albo tajnego języka, w którym mógłby wyrazić swoje cierpienie („Pomocy!”), mówił więc tylko: „To pa, dziadku”, czując jednocześnie, jak w jego (zazwyczaj pustym) żołądku wzbiera coś okropnego (smutek).

– Cierpiełeś na syndrom sztokholmski – oznajmiła mu Bertie z przekonaniem. – Zacząłeś się utożsamiać z tymi, którzy cię przetrzymywali. Jak Patti Hearst. – Był rok 2011, a oni siedzieli na szczycie Gunung Batur, obserwując wschód słońca. Wspięli się tam przed świtem z latarkami. Sunny od dwóch lat mieszkał na Bali. Przedtem był w Australii, a jeszcze wcześniej spędził wiele lat w Indiach. Bertie odwiedziła go tam kilka razy. Viola nigdy.

Bertie lepiej zniosłaby pobyt w Jordan Manor. Wiedziała, jak zadowalać innych, ale wiedziała też, kiedy należy się zbuntować. Sunny nigdy nie nauczył się ani jednego, ani drugiego.

– Oni byli jak wampiry – zwrócił się do siostry. – Potrzebowali zastrzyku świeżej krwi. Choćby i skażonej.

– Myślisz, że naprawdę byli tacy straszni, jak to zapamiętałeś?

– Byli o wiele gorsi – roześmiał się Sunny.

W gruncie rzeczy porwali go i więzili wbrew jego woli. „Może chciałbyś spędzić wakacje z tatą?” – zapytał dziadek Ted latem. Sunny miał wrażenie, że od czasu, gdy porzucili komunę w Adam’s Acre, minęła wieczność. Devon stał się cudownym wspomnieniem, podsycanym niewątpliwie przez sielankowe dziecięce fantazje jego siostry na temat gęsi, czerwonych krów i ciasta. Po przeprowadzce do Yorku Sunny miał nadzieję, że zamieszkają wszyscy z dziadkiem Tedem, lecz matka stwierdziła: „Po moim trupie”. Kilka tygodni później wynajęła obskurny szeregowy domek, Sunny’ego zaś

umieściła w szkole steinerowskiej, której nie lubił. Cóż... Teraz chętnie by do niej wrócił.

– Poznasz lepiej swoich dziadków – dodał Teddy z wyczuwalnie sztucznym entuzjazmem. – Mieszkają na wsi w wielkim domu, mają psy, konie i tak dalej. Miło byłoby spędzić z nimi parę tygodni, prawda?”. (Koni dawno temu pozbyto się z posiadłości, psy zjadłyby go żywcem, gdyby tylko miały taką możliwość). – Mają też labirynt – dodał dziadek. W pierwszej chwili Sunny zrozumiał, że owi nieznani mu dziadkowie są „zdumieni” ⁵³, co w ogóle go nie zdziwiło. Sam był zdumiony tempem, w jakim go do nich wyekspediowano. Wiedział, że nie ma ani odrobiny wolnej woli – Viola skutecznie wbiła mu to do głowy: „Nie ty decydujesz o tym, co masz robić”; „Będziesz robił, co ci każę, a nie co ci się podoba”; „Bo *ja* tak mówię!”.

– To nie mój pomysł – podsłuchał raz dziadka mówiącego przez telefon do nieznanej mu osoby po drugiej stronie przewodu. – Jego matka się uparła.

Było to rzecz jasna po tym, jak Viola porzuciła ich, aby „walczyć za swoje poglądy”. Co to właściwie znaczyło? Czy jej dzieci nie były równie ważne jak jej poglądy? Czy to nie powinno być jedno i to samo? Wyjechała do Greenham Common ⁵⁴. Bertie uważała, że to nazwa jak z bajki (dopóki sama tam nie pojechała). Dla niej wszystko brzmiało jak z bajki. Viola miała tam brać udział w „objęciu bazy”, cokolwiek to znaczyło. „Mogłaby dla odmiany poobejmować własne dzieci” – burczał do telefonu dziadek.

Babka i Dominic przyjechali dużym starym samochodem i gdy wysiadali, dziadek Ted szepnął Sunny’emu do ucha: „To twoja babcia, Sunny”, chociaż sam też jej wcześniej nie widział. Babka włożyła na podróż wyleniałe futro wyglądające, jakby uszyto je ze szczurzych skórek. Miała zęby żółte niczym żonkile w ogrodzie dziadka. Wydała się

Sunny'emu wiekowa, choć z perspektywy czasu doszedł do wniosku, że nie mogła mieć więcej niż siedemdziesiąt lat. („Dawniej ludzie wydawali się starsi” – stwierdziła Bertie).

– Tatuś! – wykrzyknęła jego siostra. Minęła ich w pędzie i rzuciła się ojcu w ramiona.

Jej szczenięcy entuzjazm zadziwił i Sunny'ego, i Dominica.

– Cześć – wykrztusił, robiąc krok w tył.

– Siemasz, Ted – rzucił do dziadka, gdy już rozpoznał w Bertie własne dziecko. – Jak leci?

Teddy zaprosił ich na herbatę.

– Upiekliśmy też ciasto, biszkopt z dżemem i bitą śmietaną – dodał.

Nowa babka zmarszczyła brwi, jakby oburzył ją nie tylko wybór deseru, lecz także fakt, że przyrzędził go mężczyzna.

Potem sprawy potoczyły się bardzo szybko. Zjedli biszkopt (nie wszyscy) i Sunny został załadowany na tylne siedzenie auta, gdzie tłoczyły się trzy wrogo nastawione psy. Zanim się obejrzał, był w Norfolk, a rzekoma babka oświadczała mu, że pora dorosnąć. Miał dopiero siedem lat i jeszcze długo nie musiał dorastać! To było takie niesprawiedliwe.

Ostatni raz żałośnie pociągnął nosem z twarzą wciśniętą w poduszkę. Co noc miał kłopoty z zaśnięciem, a gdy w końcu usnął, budził się zdjęty nagłym lękiem, otoczony masą majaczących w ciemności złowrogich przedmiotów. Za dnia miał przynajmniej krzepiącą świadomość, że to tylko gromadzone latami graty, które ten wstrętny Thomas zostawił tu na wieść, że ma „opróżnić pokój dla chłopca”: wystrzępiona wiklinowa kołyska, połamane łóżeczko dziecięce, pojedyncza narta, ogromny abażur i – o zgrozo – drewniany manekin krawiecki. Sunny mógłby przysiąc, że manekin co noc przysuwał się bliżej łóżka, cal po calu, jakby bawił się z nim w jakąś makabryczną wersję „raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy”.

– Rety – westchnął Dominic – mój pokój dziecienny. Co za nora. Gdybym miał dzieci, dałbym im najładniejszy pokój w całym domu.

– Przecież masz dzieci – wtrącił jego syn.

– No tak. Wiesz, co chcę powiedzieć.

„Nie wiem” – pomyślał Sunny.

W pokoju dzieciennym zawsze panował ziąb, nawet latem. Ściany znaczyły plamy wilgoci, w jednym miejscu oderwana tapeta wisiała na podobieństwo skóry obdartej z ciała. Jedyne okno z poczerniałą od pleśni futryną zatrzaśnięto na amen – gdyby nie to, Sunny dawno spróbowałby przez nie wyjść i spuścić się w dół po rynnie. Byłoby to akurat coś w stylu Augustusa.

Dziadek Ted miał mnóstwo książek o przygodach Augustusa, które podobno napisała jakaś ciotka właśnie z myślą o nim. Viola czytała kilka z nich Sunny’emu. Augustus płatał rozmaite figle, mimo to wszyscy zdawali się go lubić. Jeśli jednak Sunny’emu groszek spadł z talerza na podłogę, dla babki stawał się automatycznie najwstrętniejszym chłopcem na świecie. Co za niesprawiedliwość!

Żałował, że nie ma z nim Bertie. Mogłaby zwinąć się przy nim w łóżku i ogrzać go swoim ciałem. Lubiała go przytulać, podobnie jak dziadek Ted. W Jordan Manor nikt nigdy go nie dotykał, chyba że po to, aby go uszczypnąć, uderzyć albo (w przypadku psów) ugryźć. Babka lubowała się w biciu go po gołych łydkach drewnianą dwunastocalową linijką. „Dominicowi wyszło to na zdrowie” – powtarzała. („Taa, i patrzcie tylko, co z niego wyrosło” – mruzczała pod nosem pani Kerrich. Choć nie była przeciwna karom cielesnym, skądże znowu). Sunny często moczył się w nocy. W domu również mu się to zdarzało, ale tutaj za pranie brudnej pościeli odpowiadała pani Kerrich, która nieustannie mu wytykała, że jest

„małym zafajdańcem”. Jeżeli naprawdę się wkurzyła, kazała mu spać kolejną noc w zimnej, wilgotnej pościeli.

W pokoju dzieciennym pozostawiono także nieopatrzenie butwiejące książki i wiktoriańskie puzzle. Sunny korzystał z nich, jak potrafił. Czytanie mu nie szło, za to z układankami radził sobie znakomicie. Chociaż ile razy można układać „Domek Anny Hathaway” lub „Króla Artura na wrzosowiskach Dartmoor”?

Na podłodze nadal walały się niedobitki zabawek Dominica i Sunny wciąż następował na jakiegoś zabląkanego ołowianego żołnierzyka albo ślizgał się na porzuconym samochodziku. Starannie gromadził wszystkie te skarby w starym pudełku po butach. Wbrew wszelkim przeciwnościom losu udało mu się zatrzymać srebrnego zajączka, którego podarował mu dziadek Ted, brakowało mu jednak pociechy płynącej z jego kolekcji kamieni. Na podjeździe leżał co prawda żwir, ale to mu nie wystarczało. Jego najukochańszy kamyk, znaleziony na plaży tuż przed tym, jak wyjechali z Devonu, został mu odebrany przez babkę. („Pełno na nim zarazków”). Mając swoje kamyki, mógłby, wzorem Jasia i Małgosi, ułożyć z nich szlak i w ten sposób odnaleźć drogę do domu. Albo Bertie, jego Małgosia, trafiłaby za nim aż tutaj, uwolniłaby go z klatki i wepchnęła *grandmère* do pieca, gdzie ta spaliłaby się na popiół. Owa radosna myśl towarzyszyła mu, gdy zasypiał.

* * *

W pewnym momencie pojawiła się kłopotliwa kwestia jego edukacji. W rozmowie z Thomasem pani Kerrich dziwiła się, dlaczego Sunny nie może po prostu chodzić do miejscowej szkoły. „Nie jest dość dobra dla Villiersów” – odparł Thomas. „Przecież na nazwisko mam Todd – pomyślał Sunny. – Sunny Todd, nie Philip Villiers”. Ile czasu musiało minąć, żeby

o tym zapomniał? Pani Kerrich stwierdziła, że jej zdaniem „mały panicz i dziedzic” jest opóźniony w rozwoju, więc „jaśnie pani” nie musi się aż tak przejmować jego wykształceniem. „Wcale nie jestem opóźniony” – wymamrotał Sunny, na co pani Kerrich burknęła: „Siedź cicho, kiedy do ciebie nie gadają, miglancu”. Pan Kindersztuba załamywał ręce: jej i Thomasowi zdecydowanie brakowało wychowania.

Niemniej jednak pani Kerrich miała rację: pobliską podstawówkę wykluczono. Na sam dźwięk wyrażenia „szkoła państwowa” babka dostawała drgawek. Na to, aby zostać uczniem dawnej szkoły z internatem Dominica, Sunny był jeszcze za mały. „Jeszcze” – podkreśliła babka. Musieli poczekać do jego ósmych urodzin. Wiek ośmiu lat wydawał się zbyt wczesny, nawet z perspektywy siedmiolatka. „No – przytaknął jego ojciec – byłem tam nieszczęśliwy, chociaż nie tęskniłem za domem. Nie można *tęsknić* za czymś takim. Jordan Manor jest jak choroba, człowiek odczuwa ulgę, gdy w końcu się stąd wyrwie”. Dominic rzadko zdobywał się na takie długie wypowiedzi. Powoli „wybudzał się ze snu zimowego”, wychodził z odrętwienia.

– Odstawiłem te gówniane leki i nagle wszystko widzę wyraźniej. Muszę stąd spadać.

– Ja też – ucieszył się Sunny. Może mogliby uciec razem? Wyobraził sobie, jak wędrują we dwóch wiejską drogą, dźwigając swój dobytek w czerwonych, biało nakrapianych zawiniątkach przywiązanych do kijków. Obok mógłby biec jakiś piesek.

– Nie mają zielonego pojęcia o wychowywaniu dzieci – ciągnął ojciec. – Nie wiesz, jak to jest tutaj dorastać.

„Wiem – odparł w duchu Sunny – właśnie tutaj dorastam”.

– Wyznają świętą zasadę odmawiania dziecku wszystkiego, w tym cały problem. Wydaje im się, że to buduje charakter, podczas gdy

w rzeczywistości jest wręcz odwrotnie. Oczywiście tak naprawdę wychowywała mnie niania. Była gorsza niż oni oboje razem wzięci.

Sunny nie wiedział, o jaką nianię może chodzić. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to zapamiętana z Devonu koza o tym imieniu. Okropnie cuchnęła i usiłowała zjeść ubranie każdego, kto nieopatrznie się do niej zbliżył. Mało prawdopodobne, aby jego ojca wychowywała koza, chociaż Sunny'ego nic już nie mogło teraz zdziwić.

– No – mruknął Dominic na fali wspomnień – z tej niani była ostatnia pizda.

– Co to znaczy?

– Bardzo zła kobieta.

Rozwiązanie znalazło się za sprawą babki. Prywatna szkoła podstawowa, w dodatku dzienna. Thomas miałby go co rano dowozić na lekcje. („A to ci nowina” – zirytował się Thomas). „Poziom nie jest tam najwyższy – mówiła dalej babka – dzięki czemu Philip nie przyniesie nam wstydu swoim zachowaniem”. Jakim zachowaniem? Sunny był teraz cichy jak myszka.

– Będę tu chodził do szkoły – oznajmił dziadkowi podczas ich cotygodniowej rozmowy telefonicznej.

– Wiem – odrzekł Teddy niemal równie nieszczęśliwym tonem. – Twoja matka dogadała się z Antonią. Spróbuję coś na to poradzić. Tymczasem musisz się wykazać pewnym stoicyzmem, Sunny. – Sunny nie wiedział, co to znaczy „stoicyzm”, ale najwyraźniej nie było to nic miłego.

Na kilka dni przed początkiem szkoły pięknie się wypogodziło, zupełnie jakby aura złośliwie czekała do ostatniej chwili, żeby nie można się było nią nacieszyć. Sunny spędzał długie godziny, bawiąc się w zarośniętym, zaniedbanym ogrodzie. Nudno mu było samemu i szybko sprykrzyło mu

się odgrywanie wymachującego kopią średniowiecznego rycerza, Robin Hooda lub odkrywcy w dżungli. Z ulgą przyjął więc propozycję ojca:

– Wybierzmy się razem na wyprawę. Przeżyjemy wspaniałą przygodę. Co ty na to, Phil?

Sunny czuł co prawda, że ma dosyć przygód. Kilka dni wcześniej zawędrował niechcący do labiryntu, do którego wstępu surowo wzbroniła mu babka. Sunny nie wiedział jednak, czym jest ów labirynt, więc nie mógł go omijać. Okazało się, że to przerażające, gęsto zarośnięte miejsce. Sunny zawrócił po zrobieniu kilku kroków, lecz było za późno! Zgubił się, osaczony przez kolce i uwięziony w ligustrze. Ściemniło się, zanim z odsieczą nadciągnął Thomas, pogwizdując, jakby szukał psa. Sunny tymczasem usnął wśród twardych korzeni żywopłotu; zbudziło go dopiero skierowane prosto w twarz światło latarki Thomasa i lekkie kopnięcie, czyli zachęta do wstania.

– Dlaczego tam poszedłeś, chociaż wyraźnie ci mówiłam, żebyś tego nie robił? – skrzeczała babka.

Nikogo naturalnie nie obchodziło to, że prawie umarł ze strachu. W gruncie rzeczy zdążył się do tego przyzwyczaić, kiedy więc ojciec wspomniał o „przygodzie”, cichy głosik w głowie Sunny’ego doradził mu ostrożność. Słowo to w ustach ojca brzmiało zawsze tak obiecująco, lecz zwykle przynosiło rozczarowanie. W przypadku dziadka Teda było dokładnie na odwrót.

– Właśnie, zabierz mi go sprzed oczu choćby na jeden dzień – przyklasnęła pomysłowi jego kochająca babka.

Dominic od kilku dni malował, pracował dniami i nocami, chlustając farbą na płótna.

– Mam natchnienie – rzekł. – Tworzę genialne rzeczy.

Pewnego ranka wszystkich zaszokował. Zbiegł z hałasem na śniadanie – w najlepszym razie skąpy posiłek – i zażądał radośnie „smakowitych jajek na bekonie” od pani Kerrich, gdy ta zbliżyła się chyłkiem z wazą wodnistej jak zwykle owsianki. „Trzymajcie mnie – burczała pani Kerrich. – Znowu go nosi”. Ani jajka, ani bekon nie pojawiły się na stole, co nie zdziwiło Sunny’ego, który jak nikt znał stan spizarni: stale się tam zakradał w poszukiwaniu jedzenia. Pomieszczenie świeciło pustkami, z rzadka tylko trafiała się marynowana cebulka albo wystygły ziemniak. Czasem Sunny z duszą na ramieniu sięgał palcem do wnętrza słoika z marmoladą; pani Kerrich miała jastrzębi wzrok.

Dominic niemal natychmiast zapomniał o swoim zamówieniu i zapalił papierosa. Babka także dużo paliła; nic dziwnego, że ściany w Jordan Manor miały lekko żółtawe zabarwienie. Dominic otworzył szeroko przekrwione oczy, cały rozedrgany.

– No dalej, Phil – ponaglił Sunny’ego, zanim ten zdążył zjeść łyżkę owsianki. – Zbieraj się.

Wędrowali wiele godzin. Za jedyne pożywienie mieli jeden na wpół roztopiony batonik Mars. Na początku spaceru ojciec zażył dwie małe różowe pigułki. Najpierw położył je na dłoni i pokazał Sunny’emu. Wahał się, czy go nie poczęstować. „Może dam ci chociaż ćwiartkę? – zastanawiał się głośno. – Wyobraź sobie, jak by to było przeżyć odjazd jako dziecko”. Ostatecznie zrezygnował w obawie przed „ochrzanem” ze strony „tej starej jędzy”.

Potem napili się ze stawu zielonkawej wody, która według Dominica miała magiczne właściwości. Na dnie zbiornika mieszkała rzekomo ropucha z rubinem na czole. „Zobaczysz ją, jeśli się dobrze przyjrzysz” – przekonywał, lecz Sunny niczego nie mógł dostrzec, co wielce

rozczarowało Dominica. Ruszyli dalej. Dominic wciąż nawijał o żabie z rubinem. Sunny miał dosyć. Nie podobała mu się ta przygoda.

– Jestem zmęczony – poskarżył się. – Możemy trochę odpocząć? – Martwił się o to, jak wrócić do Jordan Manor. Chyba nie na piechotę? Uszli kilka mil, nogi drżały mu z osłabienia. Gdyby tu był dziadek Ted, wzięłby go na barana, stękając: „Oj, chyba jestem na to za stary”.

– Przyda ci się trochę ruchu – odparł Dominic, nie przerywając marszu. – Idziemy dalej.

Twarz Sunny’ego płonęła. Wiedział, że powinien mieć czapkę dla osłony przed słońcem, a skórę posmarowaną kremem ochronnym. Okropnie chciało mu się pić, ale po drodze nie napotkali żadnych stawów, zielonych albo i nie. Pojął, że znajduje się w towarzystwie osoby *nieodpowiedzialnej*. Jego ojciec nie zachowywał się wcale jak dorosły. Sunny poczuł w żołądku ukłucie strachu. Nie był bezpieczny.

Doszli do lasu. Na szczęście, bo drzewa dawały odrobinę cienia. Sunny znalazł kilka dzikich malin, bardzo kwaśnych, ale przynajmniej oszukał nieco głód.

Co parę kroków przystawali, żeby Dominic mógł podziwiać liście paproci albo zachwycać się ptasim śpiewem. „Słyszysz to? Chryste, czy ty to słyszysz, Phil?” – pytał. Kiedy natknęli się na rosnący na spróchniałym pniaku olbrzymi muchomor, padł na kolana i zagapił się na niego. Muchomor go zahipnotyzował. Sunny czekał. Miał wrażenie, że minęło kilka godzin, zanim wykrztusił: „Możemy już iść?”. Bolał go brzuch, pewnie po tych kwaśnych malinach. Dominic poderwał się z ziemi, zaczął podskakiwać i wołać:

– O Boże! O Boże! Nie do wiary, że dopiero teraz na to wpadłem! Muchomory! Muchomory i ropucha z rubinem na czole łączą się ze sobą [55](#)!

– Dlatego że ropucha mogłaby na nim usiąść? – zaryzykował Sunny.

– Bo jest *królową* muchomorów! Na tym polega sekret! To może wszystko zmienić. Posiedliśmy tajemną wiedzę. Gnozę.

– Gnozę?

– Dokładnie tak, chłopie.

Ruszyli z miejsca i przez dłuższy czas szli przed siebie. Sunny rozważał, czy nie położyć się na ziemi i nie zagrzebać w liście na podobieństwo jakiegoś leśnego zwierzątka. Może gdyby się zdrzemnął, po przebudzeniu znalazłby się z powrotem w Jordan Manor albo – jeszcze lepiej – w domu dziadka Teda? Zamiast tego włókł się dalej noga za nogą.

W pewnym momencie wyszli z lasu i ponownie znaleźli się w prażącym słońcu. Dominic umilkł, w istocie jego nastrój zmienił się diametralnie. Ogarnął go jakiś mrok. Od czasu do czasu mamrotał pod nosem pozbawione sensu słowa.

Wędrowali teraz połą ścieżką. Po obu jej stronach rósł wysoki żywopłot. Naraz ścieżka się skończyła, oni zaś wyszli na wąską, nagrzaną słońcem drogę. Sunny miał tak obolałe stopy, że z trudem trzymał się na nogach. Drogę zagradały otwarte w tej chwili dwie białe bramki, każda z dużym czerwonym kółkiem pośrodku i światełkami na górnej belce, które nie paliły się, bo przecież nie było ciemno. Minęli pierwszą bramkę i Sunny zorientował się, że stoją na torach kolejowych. Nareszcie coś ciekawego. Zobaczą przejeżdżający pociąg. Czy mogą na niego zaczekać? „Jasne – odparł Dominic. – Prawdopodobnie dlatego zostaliśmy tutaj przysłani”. „Przez kogo? – zainteresował się w duchu Sunny. – Przez królową muchomorów?”. Nie zadawał jednak żadnych pytań, po prostu cieszył się, że ojciec znowu wygląda na szczęśliwego.

Nigdy przedtem nie widział przejazdu kolejowego. Uwielbiał pociągi. Dziadek Ted często zabierał go do muzeum kolejnictwa w Yorku. Mówił, że w dzieciństwie również przepadał za pociągami.

Sunny spodziewał się, że przejdą na drugą stronę, lecz Dominic usiadł dokładnie na środku między bramkami i zaczął zwijać papierosa. Sunny stał przy nim niepewnie. Siadanie na drodze, w dodatku takiej, przez którą biegły tory kolejowe, nie wydawało się najmądrzejsze nawet z punktu widzenia siedmiolatka. Czuł jednak, że nie jest w stanie zrobić ani kroku więcej.

W miejscu, gdzie szyny przecinały asfalt, leżały drewniane podkłady. Ojciec poklepał ten obok siebie, mówiąc: „Wyluzuj się i siadaj”. Zapalił skręta i wymacał w tylnej kieszeni spodni paczuszkę całkowicie roztopionych drażetek czekoladowych. Wyjął ją i przyjrzał się jej oszołomiony. „O rety – powiedział – są fioletowe”.

Sunny usiadł przy nim, zachęcony widokiem drażetek. Poza tym drewniany podkład nie był tak rozgrzany jak asfalt. Z obu stron, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się tory. – Super, nie? – zagadnął go Dominic. – Zupełnie jak lekcja perspektywy. Wiesz, co to jest perspektywa? – Sunny nie wiedział.

– Im dalej coś się znajduje, tym mniejsze musi być na obrazie. Zanim ktoś to rozgryzł, minęły tysiące lat.

Sunny nieopatrznie dotknął łydką szyny i pisnął z bólu, taka była rozpalona.

– Taa, słońce, bracie – powiedział Dominic. – Pali. Zaraz, przecież słońce to ty, nie?

„To nawet nie są zdania – pomyślał Sunny – tylko strzępki zdań”.

– Todd i ropucha, *toad*! To nie może być przypadek, że brzmią podobnie! Ra. Apollo. To też byłyby fajne imiona, ale my wybraliśmy Sun jak Słońce. Nasz Sun”. (A może powiedział „syn”? Imię Sunny’ego często bywało źródłem nieporozumień).

– Teraz mam na imię Philip – przypomniał ojcu. Cały się lepił od czekolady. Za coś takiego dostawało się burę od „starej jędzy”, lecz Sunny był zbyt śpiący, aby się tym przejmować. Oparty o chude, rozedrgane ciało ojca powoli przysypiał.

– Dwie linie równoległe, takie jak te szyny, muszą mieć punkt zbiegu...
– ciągnął Dominic.

Sen wydawał się chłopcu czymś rozkosznym. Bełkotliwa gadanina Dominica – kult słońca, perspektywa, muchomory – przyjemnie go kołysała, aż całkiem ucichła.

Zbudziły go dźwięk dzwonek i migające światła. Bramki powoli się zamykały i odcinały im drogę. Czyżby znaleźli się w potrzasku? Bramki opadły ze szcękaniem. „Ale super – powiedział Dominic. – Będzie fantastycznie, sam się przekonasz”. Sunny doszedł do wniosku, że nie ma ochoty o niczym się przekonywać. Próbował się podnieść, ale Dominic go trzymał. – Zaufaj mi, Phil, musisz to zobaczyć. Ja piernicę, zobacz, już jedzie. Widzisz pociąg? Widzisz go? Niewiarygodne, kurwa!

Nagle poderwał się na nogi, pociągając za sobą Sunny’ego.

Malutkim obiektem w oddali, jak wyjaśniono w trakcie dochodzenia, był ekspres do Norwich, odjeżdżający z King’s Cross o godzinie trzeciej trzydzieści. Z każdą chwilą perspektywa się zmieniała, pociąg rósł coraz bardziej. „Zostań, zostań – nalegał Dominic, jakby Sunny był niesfornym psem. – Co z tobą? Nie chcesz tego doświadczyć? To będzie coś niesamowitego. Teraz! Auć!”.

Nie, to nie było żadne „auć”. Tego rodzaju okrzyk mógłby paść z ust Augustusa, nie zaś mężczyzny, który zderzył się czołowo z rozpędzonym pociągiem.

– Chyba jesteśmy na miejscu – oznajmił Teddy.

Na tylnym siedzeniu auta Bertie z głośnym bulgotaniem dopijała resztkę soku z kartonika. Usłyszała słowa Teddy'ego i rozejrzała się z zaciekawiona.

Tablica przymocowana do kolumny łukowatej bramy z piaskowca głosiła: „Jordan Manor”. Poniżej widniała druga: „Teren prywatny”. Teddy był ciekaw, czy posiadłość nazwano na cześć biblijnej rzeki czy kogoś zwanego Jordan. Przed kilkoma laty automatycznie uznałby, że to nazwisko – w czasie wojny znał (nie w biblijnym znaczeniu tego słowa) niejaką Nellie Jordan z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet. Obecnie jednak „Jordan” coraz częściej funkcjonowało jako imię. W klasie Bertie był pewien Jordan. Część dziewczynek nosiła tradycyjne imiona, takie jak Hannah czy Emma, lecz trafiły się także Saffron, Willow i Dharma (blade, patykowate dziecko, którego płci Teddy nie był do końca pewien). Z kolei do klasy Sunny'ego chodziła dziewczynka o imieniu Squirrel. Tego przynajmniej nie dawało się skrócić – była to kwestia, która wielce niepokoiła Nancy, gdy mieli ochrzcić Violę. „Myślisz, że będą na nią wołali »Vi«? Mam nadzieję, że nie”. W miarę upływu lat Teddy zastanawiał się nad losami owej Squirrel. Był ciekaw, czy zmieniła imię, czy też gdzieś na świecie żyje nauczycielka, prawniczka lub gospodyni domowa przedstawiająca się jako „Wiewiórka”.

Przyszłość Squirrel w żadnej z tych profesji nie wydawała się jednak prawdopodobna, jeżeli weźmie się pod uwagę rodzaj szkoły, do jakiej chodziła. Była to szkoła steinerowska, co oznaczało, że dziecko stawiano tam „zawsze na pierwszym miejscu”, jak podkreślała Viola. O niej samej nie dałoby się tego powiedzieć. W dodatku Villersi ją omamili i zaaprobowała ich wybór dotyczący prywatnej szkoły podstawowej dla biednego Sunny'ego. Nie dość, że praktycznie umyła ręce od dalszej odpowiedzialności za chłopca, to jeszcze rozdzieliła go z jego siostrą. Teddy doskonale potrafił sobie wyobrazić własne cierpienie, gdyby

odebrano mu nagle Ursulę i Pamelę, kiedy miał siedem lat. A jeśli Villiersowie zmieniają zdanie co do Bertie? Czy Viola także ją odda?

– Pobyt w Jordan Manor oznacza dla Sunny’ego same korzyści – przekonywała Teddy’ego. – Bądź co bądź, jest dziedzicem Villiersów. Dominic pogodził się z rodzicami, zamieszkał z nimi, podobno znowu maluje.

Teddy miał tendencję do zapominania, że Dominic jest artystą – może dlatego, że w dziedzinie sztuki ponosił tak spektakularne porażki?

– Poza tym chyba się zgodzisz, że Sunny’emu dobrze zrobi ponowny kontakt z ojcem?

I tak dalej, i tak dalej. Viola była gotowa do utraty tchu bronić decyzji o porzuceniu własnego dziecka. Teddy przypuszczał, że powodem są pieniądze i pragnienie ich posiadania.

Naturalnie początkowo mówiło się tylko o dwutygodniowej wizycie w czasie wakacji szkolnych. Teddy nie spodziewał się, że w grę wchodzi dłuższy pobyt, a teraz jego wnuk miał zostać u Villiersów („Na stałe?” – przeraziła się Bertie). Sunny był wrażliwym dzieckiem; Teddy’emu nie spodobał się pomysł wyrwania go z korzeniami z dobrze mu znanego środowiska. Trudno oczekiwać, że dzieciak będzie szczęśliwy z praktycznie obcymi sobie ludźmi. Teddy w tajemnicy przed Violą odwiedził prawnika i zlecił mu przygotowanie wniosku do sądu rodzinnego o przyznanie sobie opieki nad obojgiem wnucząt. Nie liczył na sukces, ale ktoś powinien się chyba o nie upomnieć, prawda?

Strzegąca wstępu na teren posiadłości imponująca brama z kutego żelaza była otwarta na oścież, wjechali więc niezatrzymywani przez nikogo. Podróż do Norfolk zajęła im więcej czasu, niż Teddy zakładał. Nigdy wcześniej nie był na tym wysuniętym na północny wschód cyplu, przypominającym na mapie kaczki kuper. Ostatnie męczące pół godziny

wlekli się jednopasmową szosą, spowalniani przez maszyny rolnicze i stada krnąbrnych owiec. Zdążyli zjeść większość zabranych na drogę kanapek z serem i piklami na białym chlebie, chipsów z solą i octem oraz batoników Kit Kat, których jedzenia surowo zabraniała dzieciom Viola. Przed wyjazdem zostawiła Teddy'emu „sugestie dietetyczne”: Bertie i Sunny mieli unikać jedzenia „wszystkiego, co miało oczy” i żywić się na przykład zapiekanką z kaszy jaglanej oraz szpinaku i makaronem z tofu. Nie przeszkadzało mu, że są wegetarianami („Nie jadam martwych zwierząt, dziadku” – oznajmiła Bertie), pod wieloma względami była to postawa godna podziwu, nie zamierzał jednak pozwalać, aby Viola pouczała go ze swoich wyżyn moralnych. „Mój dom, moje zasady – odparł. – A to oznacza: żadnej karmy dla papug”. Pamiętał, że kupował jaglane przysmaki dla papużki Violi, Tweetie. Pomimo upływu lat wciąż było mu żal tego ptaka.

Wegetarianizm, szkoła steinerowska, ciąганie dzieci przez całe miasto na spotkania organizacji puszcząńskiej Woodcraft Folk – Teddy mógłby to wszystko zaakceptować, byleby Viola pozwoliła dzieciom zostać u niego. Popełnił błąd, bo zgodził się na wyjazd Sunny'ego do Villiersów. Viola wybyła na południe protestować przeciwko rakietom typu Cruise. Teddy delikatnie napomknął, że obowiązki matki, w dodatku samotnej, powinny mieć pierwszeństwo przed kwestią pokoju na świecie. Odrzekła, że to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała, walczy bowiem o pokój dla wszystkich dzieci tego świata, co z kolei wydało się Teddy'emu karkołomnym zadaniem dla jednej osoby. Na poprzedni protest wzięła ze sobą Bertie oraz Sunny'ego i koczowała z nimi kilka dni w Greenham Common. Dzieci błagały ją później, aby tego nie powtarzała; ich przeżycia najlepiej podsumowywały słowa „zimno” i „głodno”. W dodatku przeraziła je policja konna z Thames Valley, która rozprawiła się z protestującymi

kobietami jak z chuliganami po meczu. Viola oświadczyła przy tej okazji, że następnym razem ma nadzieję trafić do aresztu. „Większość ludzi stara się *unikać* aresztowania” – zauważył Teddy. Na co Viola stwierdziła, że najwyraźniej obca mu jest doktryna *non violence*, po czym zapytała, czy choć raz pomyślał o tysiącach niewinnych ludzi, na których zrzucił bomby w czasie wojny. Logiczne rozumowanie nigdy nie było jej mocną stroną. „To nie ma nic do rzeczy” – stwierdził. „Wręcz przeciwnie” – odparła. (Czy miała rację? Niczego nie był już pewny; Ursula na pewno by wiedziała). Koniec końców zaproponował: „Sunny i Bertie mogą zostać u mnie”. Viola miała minę Atlasa, któremu ktoś powiedział, że może zdjąć z barków ciężar i odłożyć go na bok.

To było kilka miesięcy temu. Od tamtej pory ich życie toczyło się ustalonym rytmem. Teddy zawsze uważał, że miłość wyraża się przede wszystkim w uczynkach, dlatego tak ważne były szkolne koncerty, czyste ubrania i regularne posiłki. Sunny i Bertie zdawali się z nim zgadzać. Wcześniej długo znosili kaprysy niestałej matki („Byłam okropną matką!” – wyznała radośnie w wywiadzie udzielonym w 2007 roku czasopismu „Mother and Baby”. „Owszem” – przytaknęła Bertie).

Teddy wciąż hodował kury i pszczoły, a dzieci uwielbiały jedno i drugie. Spędzały dużo czasu na powietrzu. Teddy zawiesił im huśtawkę na gałęzi gruszy rosnącej w głębi ogrodu. Urządzali sobie wycieczki na wieś w okolice Yorku, podziwiali lilie wodne w Pocklington, zwiedzali zamki Howard oraz Helmsley, robili wypadki do Yorkshire Dales w porze kocenia się owiec, do opactwa Fountains i do Whitby. W towarzystwie wnuków Morze Północne wydawało się Teddy’emu mniej ponure. Uwielbiali piesze wędrówki wśród paproci i pikniki na fioletowych wrzosowiskach. Dzieci czujnie wypatrywały żmij, motyli oraz jastrzębi (czy to możliwe, aby były

spokrewnione z Violą?). Teddy był na emeryturze i wnuki wypełniały puste miejsca w jego życiu. On zaś wypełniał ogromną pustkę w ich sercach.

Począł snuć dalekosiężne plany. Może powinien przenieść oboje do państwowej szkoły, zapisać je do zuchów, zamiast wozić na spotkania Woodcraft Folk? Naraz, ni z tego, ni z owego, zatelefonowała do niego Viola i wydała nowe zalecenia dotyczące Sunny'ego. Teddy był przeciwny wyjazdowi chłopca do Jordan Manor. Cóż jednak mógł poradzić? Jego córka nadal miała pełnię praw rodzicielskich. Teddy trwał w przekonaniu, że Viola mieszka w kobiecym obozie w Greenham Common. Dopiero wiele miesięcy później wyszło na jaw, że po którejś z liczniejszych demonstracji Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego w Hyde Parku spiknęła się z Wilfem Romainem i od tamtej pory, jak to ujęła, oboje rezydowali w Leeds. Teddy dowiedział się o tym, gdy córka oznajmiła:

– W przyszłym tygodniu wychodzę za mąż. Przyjdiesz na ślub?

Wiązy, którymi wysadzono aleję, musiały niegdyś dzielnie pełnić wartę honorową wzdłuż długiego podjazdu Jordan Manor. Uschły jednak i pozostały po nich tylko pniaki. Ponad dekadę wcześniej podobna tragedia dotknęła Ettringham Hall, lecz tam wiązy zastąpiono dębami. W odczuciu Teddy'ego sadzenie dębów dowodziło wiary w przyszłość. Chętnie sam by jakiś zasadził. W 1999 roku powrócił do Ettringham Hall razem z Bertie podczas swojej „podróży pożegnalnej”. W posiadłości mieścił się hotel. Zamówili drinki w barze U Dauntów i zjedli całkiem przyzwoity posiłek w restauracji hotelowej, lecz na nocleg zatrzymali się w znacznie tańszym pensjonacie we wsi, oferującym pokoje ze śniadaniem. W gruncie rzeczy nie była to wieś; wokół Fox Corner i Jackdaws wyrosło całe osiedle luksusowych domków jednorodzinnych. Bertie nazywała je gargamelami. Wybudowano je na łące. Len, ostróżki, jaskry i maki polne, lepnica czerwona i złocienie zniknęły bez śladu.

Na widok tych zmian Teddy poczuł smutek większy, niż się spodziewał. Bertie zareagowała podobnie, bo chociaż było to dla niej całkiem obce miejsce i nigdy nie miała go poznać takim, jakim je zapamiętał dziadek, w pewien sposób wyczuwała, że ona także została przez nie ukształtowana. Chciała zapukać do drzwi Fox Corner i poprosić obecnych właścicieli, aby pozwolili im się rozejrzeć, ale dostępu broniła elektronicznie otwierana brama z kamerami monitoringu, a gdy Bertie nacisnęła dzwonek, nikt się nie odezwał. Teddy odetchnął z ulgą; nie sądził, by starczyło mu sił na ponowne przekroczenie progu domu.

– Holenderska choroba wiązów – wyjaśnił Bertie, gdy zmierzali ku Jordan Manor. – Zabiła tutejsze drzewa.

– Biedactwa – odparła.

Ściętych wiązów niczym nie zastąpiono i widok suchych pniaków działał przygnębiająco. Zupełnie jakby na terenie posiadłości rozegrała się jakaś bitwa. Wrażenie opuszczenia i zaniedbania pogłębiało się z każdą chwilą i gdy zajechali przed dom, Teddy doszedł do wniosku, że Viola musiała chyba przecenić majątek Villiersów. Sama naprawa tak wielkiego dachu kosztowałaby fortunę.

Wyrzucał sobie w myślach, że wtedy sam nie przywiózł tu Sunny’ego; od razu by pojął, jakim ubóstwem materialnym i duchowym odznaczają się Villiersowie. Niestety, Dominic i jego matka uprzedzili go, przyjechali niespodziewanie po chłopca pewnego popołudnia na początku wakacji.

– Witaj, Antonio – odezwał się przyjaźnie Teddy, wyciągając rękę na powitanie.

Podawała mu zimną, bezwładną dłoń i mruknęła: – Panie Todd – nawet na niego nie patrząc.

– Proszę mi mówić po imieniu. Ted – poprosił.

„Antonia” miała na palcach liczne brylanty, poszarzałe i mętne, bo nieczyszczone od lat. Po narodzinach Violi Teddy podarował Nancy pierścionek z brylancikiem – nic ekstrawaganckiego – ona jednak stwierdziła, że dawanie kobiecie pierścionka zaręczynowego *post facto*, gdy od lat są małżeństwem, jest zwyczajnie nielogiczne. Rzecz w tym, że z powodu wojny nie zaręczyli się, jak należy, i Teddy chciał, aby Nancy miała na wspólną przyszłość dowód jego wierności. Pomimo początkowego sceptycyzmu uznała jego gest za wzruszający. Co tydzień czyściła pierścionek szczoteczką i pastą do zębów, żeby pięknie błyszczał. Teddy zachował go dla Violi i wręczył jej na dwudzieste pierwsze urodziny, nie przypominał sobie jednak, aby kiedykolwiek go nosiła.

Dominic, co wyszło na jaw w trakcie owego popołudnia, musiał zażyć wcześniej jakiś środek halucynogeny (Teddy stawiał na LSD) albo był najzwyczajniej w świecie szalony. „Ciasto! – zawołał, zacierając dłonie, gdy Teddy wykładał deser na talerz. – I co na to powiesz, mamó?”. Chwycił trzy kawałki i odszedł, zostawiwszy Teddy’ego i Antonię samych na placu boju.

– Herbaty, Antonio? – zaproponował Teddy nieświadomy tego, jak bardzo ją irytuje; nie cierpiała, gdy ktoś zwracał się do niej po imieniu. Zależało mu wszakże, aby pojęła, że są sobie równi jako przodkowie tego oto wierzącego się chłopca, który niechętnie dotrzymywał im towarzystwa.

Sunny i Bertie przypadli niemal zaraz po tym, jak goście wysiedli z samochodu, i Teddy musiał długo namawiać wnuka, aby wrócił do salonu. Kręcił się zresztą bez przerwy i po chwili jego nowo poznana babka zaczęła mu zwracać uwagę: „Siedź spokojnie”; „Przestań podskakiwać na kanapie”. Teddy zorientował się, że pozwolić jej, by zabrała chłopca, to błąd. I mimo wszystko do tego dopuścił.

– Jaką lubisz herbatę? – zapytał grzecznie.

– Chińską, słabą, z odrobiną cytryny.
– Przykro mi – zafasował się Teddy. – Mam tylko angielską mieszankę Ringtona. Za to sypką, nie w torebkach.

– Muszę sprawdzić, czy psom niczego nie brakuje – oznajmiła Antonia. Wstała gwałtownie i odstawiła filiżankę z nietkniętą herbatą. – Zostały na tylnym siedzeniu samochodu – dodała, widząc zdezorientowaną minę Teddy’ego, który nie zauważył w aucie żadnych psów.

– Psy – zwrócił się do Sunny’ego, który nieznacznie się ożywił, bo lubił psy. – Pójdiesz z babcią zobaczyć jej pieski? – zasugerował. Zobaczył, że Antonia wzdrygnęła się na dźwięk słowa „babcia”.

I mimo wszystko pozwolił jej zabrać chłopca!

– *Mea culpa* – wymamrotał, gdy zajechali z Bertie przed drzwi frontowe Jordan Manor. Żadnego znaku życia; nie dostrzegł psów, Antonii ani Sunny’ego. Westchnął: – Miejmy nadzieję, że ktoś nastawił wodę na herbatę, Bertie.

Gdy wtedy Antonia wyszła zajrzeć do psów, Teddy poszukał Dominica. Znalazł go w głębi ogrodu w towarzystwie Bertie i Tinkera. Róże właśnie kwitły, pod nasłonecznionym murem rośło kilka przepięknych odmian. Dominic zerwał jedną, cudowną jasnoczerwoną Belle de Crécy. Sadząc ten krzew, Teddy myślał o „szczęśliwym szkarłacie serca” [56](#); miał nadzieję, że żaden „czerw niewidoczny” nie znajdzie w nim łoża, chociaż wiedział, że to tylko wymyślona przez Blake’a metafora, a nie realne, znane w ogrodnictwie zagrożenie.

Bertie spojrzała na zerwany kwiat i zwróciła się do dziadka z pytaniem: „Wolno mu to robić?”. Z pewną podejrzliwością śledziła poczynania Dominica; początkowy entuzjazm, z jakim go witała, rozplynął się bez śladu. Czyżby sobie przypomniała, jak nieprzewidywalny bywał jej ojciec, gdy jeszcze mieszkali razem? Tinker warował czujnie obok dziewczynki,

nie odstępował jej na krok, gotów w każdej chwili przyjść jej z pomocą, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Tak, oczywiście – odparł Teddy. – Jak najbardziej. Prześliczny kwiat, prawda? – zagadnął Dominica, który sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego różą, którą trzymał tuż przy twarzy.

– No – przytaknął – fantastyczny.

– Ta odmiana nazywa się Belle de Crécy – poinformował go uprzejmie Teddy.

– *Spójrzcie* tylko no nią. Wyobraźcie sobie, jak by to było znaleźć się tam w środku.

– W środku róży?

– No, jest taka... Wewnątrz jest cały *wszechświat*. Mogą się tam kryć niezliczone galaktyki. Gdyby w niej zanurkować, byłoby to jak podróż w kosmos...

– To ktokolwiek tam podróżuje? – zainteresował się Teddy.

– Jasne, wszyscy podróżujemy w kosmosie. Nagle natrafia się na tunel w czasoprzestrzeni, rozumiesz?

– Nie bardzo.

– *Sens* róży – powiedział nagle Dominic. – W tym może być ukryta podpowiedź. A niech mnie!

– Wróc może do domu, co? – poprosił go Teddy. „Zanim zanurkujesz w różę i stracimy cię na zawsze” – dodał w myślach. Miał wrażenie, że słucha bełkotu idioty. I mimo wszystko pozwolił Sunny’emu z nimi wyjechać! – Chodź z nami, zjesz trochę ciasta – poprosił tonem, jakim ktoś mógłby uspokajać dziecko w napadzie furii.

W tej samej chwili drzwi na patio (przesuwne, z podwójnymi szybami; Teddy kazał je niedawno zamontować i był z nich bardzo zadowolony) otworzyły się i do ogrodu wpadły trzy rozszczekane psy. Tinker, którego

czujność uśpiła bezsensowna paplanina Dominica, został naraz osaczony przez trio jazgotliwych, powarkujących gości.

– Snuffy! Pippy! Lopyy! – krzyknęła z patia Antonia.

Teddy i Tinker wymienili spojrzenia. Teddy rzucił: „Spokojnie, piesku”, tak łagodnie, jak tylko potrafił. Nie oddałby Villiersom własnego psa, a pozwolił im zabrać wnuka.

– Nie chcę z nimi jechać – protestował Sunny i kurczowo chwycił rękę dziadka.

Stali przy samochodzie, Dominic wkładał do bagażnika walizeczkę Sunny’ego. Teddy musiał się wyswobodzić i uczynił to najdelikatniej, jak potrafił.

– Mam coś dla ciebie – powiedział. Sięgnął do kieszeni i wyjął srebrnego zajączka, który według Ursuli wisiał niegdyś nad jego kołyską. –

Dzięki niemu przeżyłem bezpiecznie wojnę. Teraz będzie strzegł ciebie, Sunny. Zresztą to tylko kilka tygodni. Spodoba ci się tam, zobaczysz. Zaufaj mi.

„Zaufaj mi”! Oddał wnuka tym ludziom, więc na całej linii zawiódł jego zaufanie. Z ciężkim sercem patrzył za odjeżdżającym samochodem. Bertie płakała, więc Tinker pocieszająco polizał jej rączkę. Stało się coś złego, lecz co dokładnie, tego pies nie wiedział. Teraz przejechali szmat drogi, aby to zło naprawić. Musieli uratować Sunny’ego.

* * *

Wysiedli z auta. Teddy przeciągnął się i westchnął:

– Robię się za stary na takie eskapady. Stare kości szybko drętwieją w jednej pozycji.

Zamiast przycisku przy drzwiach wisiał prawdziwy dzwonek ze sznurem. Teddy musiał nim z całej siły szarpnąć, zanim usłyszał słabiutkie

dzwonienie dobiegające gdzieś zza drzwi przypominających warowne wrota. Nie rozległ się jednak stukot kroków i nikt nie pospieszył, by im otworzyć. Teddy przypuszczał, że cały dom jest pogrążony w żałobie.

Dominic nie żył od trzech tygodni, zanim Antonia uznała za stosowne ich o tym zawiadomić. W tym czasie nikt nie odbierał powtarzających się regularnie telefonów Teddy'ego do wnuka. Wreszcie Antonia zadzwoniła z wiadomością, że „zdarzyła się tragedia”. W pierwszej potwornej chwili Teddy sądził, że chodzi jej o Sunny'ego. Gdy wreszcie wymieniła imię Dominica, mało brakowało, a roześmiałyby się z ulgą. Zdołał wykrztusić: „Dominic?”. „Czyżby przedawkował?” – pomyślał. Antonia wyjaśniła, że doszło do strasznego wypadku. Nie chciała – „nie mogła” – powiedzieć nic więcej.

– Naprawdę nie mogę o tym mówić.

– Dlaczego nie zatelefonowałaś wcześniej?

– Straciłam jedyne dziecko – odrzekła chłodno. – Miałam na głowie inne rzeczy niż zawiadamiać byle kogo.

– Byle kogo? – wybuchnął Teddy. – Bertie jest *córką* Dominica.

„A co z Sunnym? – pomyślał zaraz. – Jak on sobie z tym radzi, na Boga?”.

Długo się gryzł, bo nie wiedział, jak to przekazać Bertie. Okazało się, że bardziej niż śmiercią ojca przejęła się innym problemem egzystencjalnym, a mianowicie tym, gdzie Dominic obecnie przebywa. „Nigdzie” – pomyślał Teddy. Może w mistycznym sercu róży? Postawił na reinkarnację, jako najbardziej przyjazne dla dziecka rozwiązanie zagadki. Powiedział Bertie, że być może jej ojciec powróci na ziemię jako drzewo. Albo ptak. Dziewczynka wolała kota. Teddy zgodził się z nią w duchu – Dominic istotnie miał w sobie coś kociego, głównie nieustającą potrzebę snu.

– Będzie małym kotkiem? – dociekała Bertie. – Czy od razu dorosłym kocurem?

– Chyba kotkiem – odpowiedział Teddy. Wydawało mu się to logiczne.

– Czy jeżeli go znajdziemy – spytała jeszcze – powinniśmy go przygarnąć?

– Chyba nie – odrzekł. – Tinkerowi mogłoby się to nie spodobać.

Co w tym czasie działo się z biednym Sunnym?

Posłano go do szkoły, zanim jego ojciec zdążył ostygnąć i spocząć w ziemi, jak to ujęła pani Kerrich. Nawet jej stwardniałe na kamień serce zmiękło odrobinę, gdy zobaczyła, jak potraktowano chłopca – jakby nic się nie stało. Po trzech dniach poproszono jego babkę, by go zabrała.

– Zachowuje się jak dzdiział – skarżył się wychowawca. – Gryzie, kopie, wrzeszczy, bije każdego, kto się nawinie. Pokąsał opiekunkę. Można by pomyśleć, że wychowywały go wilki.

– Tylko jego matka. Efekt jest podobny, jak sędzę. Obawiam się, że brakowało mu odpowiedniej dyscypliny.

Babka zwróciła się do Sunny'ego (owszem, rozmowa odbywała się w jego obecności; Pan Kindersztuba skrzywił się z oburzeniem) i zapytała:

– Masz coś na swoją obronę?

Co miał jej odpowiedzieć? Że odkąd przestąpił próg szkoły, okrutnie się nad nim znęcano? Inni uczniowie żartowali sobie ze śmierci jego ojca, wyśmiewali jego akcent (niedostatecznie arystokratyczny), ignorancję w zakresie „trójcy świętej” (czytanie, pisanie, rachunki) oraz wszystko, co tylko mogli wykorzystać przeciwko niemu. Popychali go między sobą, szczypali, uderzali i robili mu tak zwaną pokrzywkę. W toalecie dwukrotnie ściągnęli mu do kostek szare flanelowe spodenki, a raz jeden z chłopców zaczął wymachiwać linijką, wołając: „Złożę mu tyłek!”. Byłby spełnił tę groźbę, gdyby do sali nie zajrzała opiekunka i nie powiedziała: „Chłopcy,

dość tych figlów”. („Zwykle przepychanki, jak to w szkole dla chłopców” – stwierdził wychowawca).

W dodatku przez cały ten czas Sunny nie mógł się otrząsnąć z tego, co zaszło na przejeździe kolejowym (po fakcie usłyszał, że tak właśnie nazywało się to miejsce). Dosłownie w ostatniej chwili zdołał się wyrwać ojcu; reszta była chaosem, w którym dominowały hałas i pęd. Sunny rzucił się szczupakiem w bok przed nadjeżdżającą lokomotywą, nie zobaczył więc, co się stało z ojcem, chociaż nietrudno się było tego domyślić. Ze swojego miejsca widział niknące w dali tory i wagony, które ujechały spory kawałek, zanim się zatrzymały. Nie czuł bólu, nie sądził, że stała mu się jakaś krzywda – najwyżej parę siniaków i zadrapań – wolał jednak zostać na ziemi i udawać pogrążonego we śnie. Konsekwencje tego, co się wydarzyło, były zbyt potworne, aby się z nimi zmierzyć.

Pamiętał, że podniósł go jakiś policjant i odwiózł do szpitala. Gdy zamykał oczy, wciąż czuł przy twarzy gruby materiał policyjnego munduru opinającego pierś mężczyzny, na której oparł głowę. „Nic ci nie będzie, synku” – szepnął policjant, a Sunny zdziwił się, skąd tamten zna jego imię ⁵⁷. Poczul, że kocha tego obcego człowieka.

– To, co spotkało jego ojca, jest straszne – mówił dalej wychowawca („Mnie też to spotkało” – pomyślał Sunny). – Wiem, że zginął jak bohater.

Babka powściągliwie skinęła głową w milczeniu, uznała to za komplement.

– Ale zdaje sobie pani sprawę, że dziecko takie jak to... – Nie dokończył zdania i Sunny nigdy się nie dowiedział, jakim jest dzieckiem. Na pewno złym, to się rozumiało samo przez się. Wyglądało na to, że zabił swojego ojca. Tylko jak? Jak tego dokonał? Jak?!

– Wiadomo. Byłeś tam, kiedy zginął twój tata – wyjaśniła mu pani Kerrich. – Gdyby ciebie nie było, jego też by tam nie było, dobrze gadam?

Na tym sakramenckim przejeździe. A tak poświęcił się dla ciebie. Wyciągnął cię spod tego sakramenckiego pociągu.

„Serio?” – zdumiał się Sunny. To się zupełnie nie zgadzało z jego szczątkowymi makabrycznymi wspomnieniami, ale z drugiej strony, co on tam wiedział? („Nic” – orzekła babka). Najwyraźniej taką wersję wydarzeń przyjęto ostatecznie w wyniku wszczętego po wypadku dochodzenia. Ojciec wypchnął go spod nadjeżdżającego pociągu. Zszokowany maszynista (który od czasu incydentu przebywał na zwolnieniu lekarskim) zeznał, że „wszystko stało się tak szybko”. Jakiś człowiek – pan Villiers – szamotał się na przejeździe z małym chłopcem. Wszystko wskazywało na to, że ów człowiek usiłował zejść z dzieckiem z drogi pędzącego pociągu. W ostatniej chwili udało mu się wypchnąć chłopca na pobocze, nie starczyło mu jednak czasu, aby uratować siebie. Zgodnie z werdyktem koronera heroiczny altruizm pana Villiersa zasługiwał na najwyższy podziw.

W lokalnej gazecie pojawił się nagłówek: „Bohater zginął, ratując syna”. Dzięki koneksjom w redakcji Teddy zdobył mikrofiszę z opisem wypadku oraz relację z dochodzenia. Strzeżony przejazd kolejowy, ekspres o trzeciej trzydziści relacji King’s Cross – Norwich i tak dalej. Dominic Villiers, miejscowy artysta malarz. Jego syn przejawiał zaburzenia behawioralne. „Uwielbiał pociągi”, jak powiedział gazecie niejaki Thomas Darnley, ogrodnik i złota rączka z Jordan Manor, rodzinnej posiadłości chłopca.

– Dobry Boże – jęknął Teddy.

Ojciec Sunny’ego okazał się nie dość szybki, aby zejść z drogi rozpędzonemu pociągowi? Teddy przypuszczał, że zabił się on, będąc pod wpływem koktajlu z LSD oraz innych substancji odurzających. Taka wersja wydarzeń nie została nawet wzięta pod uwagę.

Biedny Sunny nigdy nie poznał prawdy. Do końca życia miał dźwigać na barkach poczucie winy – a przynajmniej dopóty, dopóki nie został buddystą i nie odrzucił swojej przeszłości.

(„Byłeś siedmioletnim chłopcem! – Bertie nie posiadała się z oburzenia. – Jak mogli cię obwiniać?”).

– Będziemy go trzymać w domu – postanowiła babka.

– Najlepiej na łańcuchu – parsknął śmiechem wychowawca.

Teraz moczył się nie tylko każdej nocy, lecz także często w ciągu dnia. Miał wrażenie, że nie panuje nad własnym ciałem ani umysłem. Przerazało go to. Babka najęła dla niego korepetytora, pana Alistaira Treadwella. Jego metoda nauczania sprowadzała się do powtarzania coraz głośniejszego samego siebie. Milkł, kiedy tracił cierpliwość. Pan Treadwell godzinami rozwodził się przy Sunny'emu nad niesprawiedliwością, jaka go spotkała. Twierdził, że dowody przeciwko niemu sfabrykował ktoś, kto był mu niechętny. Przecież on nawet nie był *sam na sam* z tamtym dzieckiem. Wystarczy jednak raz zszargać człowiekowi reputację i koniec pieśni.

Lekcje odbywały się przy stole w jadalni, który był równie duży jak cała jadalnia Teddy'ego, jeśli nie większy. Pan Treadwell jadał na lunch kanapki z jajkiem, a potem chuchał nimi na Sunny'ego przez całe popołudnie. Chłopiec zazwyczaj przysypiał. Gdy się budził, korepetytor czytał jakąś opasłą książkę („Tołstoj”). Pan Treadwell oznajmił babce, że Sunny jest „praktycznie niewyuczalny”. Pytał go też stale: „Niczego nie wyniosłeś ze swojej poprzedniej szkoły? *Żadnych* podstaw? Nic z »trójcy świętej«? Z czytania, pisania, rachunków?”. Najwyraźniej nic. Zgodnie z założeniami pedagogiki steinerowskiej podstawy nauczania wprowadzano dopiero w wieku lat sześciu, więc Sunny rysował na lekcjach kredkami świecowymi i śpiewał piosenki o krasnoludkach, aniołkach oraz kowalach, tajemnicza „trójca święta” majaczyła zaś na horyzoncie niby odległa groźba.

Pewnego dnia zajmowali się „prostymi działaniami arytmetycznymi”. Przynajmniej tak nazywał je pan Treadwell, bo zdaniem Sunny’ego wcale nie były proste. Nagle Sunny poczuł, że musi wyjść za potrzebą. Pan Treadwell stwierdził jednak: „Dopiero jak wykonasz obliczenia”. Zanim to nastąpiło – a raczej zanim pan Treadwell pojął, że nie uzyska prawidłowej odpowiedzi – Sunny był całkiem pewien, że nie zdąży do toalety. Najbliższa znajdowała się w tak zwanej dolnej garderobie, czyli bardzo daleko. Puścił się więc biegiem i niemal wyzionął ducha ze strachu, gdy wypadłszy zza załomu korytarza, zderzył się z babką.

– Muszę do łazienki – wysapał, zaciskając kolana.

– Czy przypadkiem o czymś nie zapomniałeś? – zapytała.

Sunny’ego ogarnęła panika, nie miał bowiem pojęcia, czego babka od niego chce. Potrzeba stawała się coraz bardziej nagląca. O czym znowu zapomniał?

– Proszę, dziękuję, przepraszam, *grandmère* – wykrztusił rozpaczliwie, wyrzucając z siebie wszystko, co w danej chwili przyszło mu do głowy.

– Proszę o wybaczenie – podsunęła.

– Właśnie.

– Nie. „Proszę o wybaczenie”.

– Wiem.

– Zapomniałeś powiedzieć: „Proszę o wybaczenie”.

Było za późno. Sunny czuł, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej. Błyskawicznie podjął decyzję, co będzie gorsze: zostać w spodenkach czy je zdjąć. Co zrobiłby w takiej sytuacji Pan Kindersztuba? Postanowił ratować spodenki i za przykładem psów przykucnął na dywanie.

– Co ty *robisz*?! – babka wrzasnęła, jakby ujrzała mordercę.

– Kupę – odpowiedział, w chwilowym przypływie szaleństwa sięgając po słowo, którym często posługiwała się jego matka („Trzeba nazywać

rzeczy po imieniu”).

– *Co takiego?!* – Babce zabrakło tchu. Żeby się nie przewrócić, odruchowo chwyciła się pierwszego przedmiotu w zasięgu ręki (tak się złożyło, że była to ozdobna żardiniera) i zrzuciła go na ziemię. Rumor zaalarmował panią Kerrich i Thomasa, którzy przybiegli ile tchu w piersiach.

– Ty wstrętny bachorze! – oburzyła się pani Kerrich.

A przecież psom było wolno!

– To tylko serdelki – zwrócił się Sunny do babki, mając nadzieję wzbudzić w niej litość.

Zjawił się także pan Treadwell. Strasznie to było krępujące kucać wśród takiego zgromadzenia.

– Jesteś najbardziej odrażającym chłopcem, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi! – krzyknęła na niego babka.

Na co on odkrzyknął:

– A z ciebie jest ostatnia pizda!

Łup! Ktoś (Thomas, jak się później okazało) zdzielił go w głowę, aż Sunny potoczył się po podłodze i wpadł na ścianę.

Odesłano go do jego pokoju. „O kolacji możesz zapomnieć, mój mały lordzie Fauntleroy – oznajmiła mu pani Kerrich. – Upiecze ci się, jeśli w ogóle dostaniesz jeszcze coś do żarcia”. Głowa okropnie go bolała w miejscu, którym uderzył o ścianę. Żałował, że nie przejechał go tamten pociąg.

Na szczęście nie zamierzali go głodzić. Pani Kerrich przyniosła mu nazajutrz talerz owsianki i poradziła, aby został w pokoju i do końca dnia siedział cicho, co też uczynił. Nie wystawił nosa za drzwi nawet wtedy, gdy do Jordan Manor przybyli Teddy i Bertie.

Ostatecznie szarpanie sznura poskutkowało i drzwi wejściowe uchyliły się ze zgrzytem, a w szczelinie ukazała się podejrzliwa twarz.

Pani Kerrich powiodła ich za sobą długim holem, którego stan w połączeniu z tym, co udało się Teddy'emu dostrzec w mijanych pomieszczeniach, wyraźnie świadczył o upadku tego miejsca. „Zupełnie jak u panny Havisham” ⁵⁸ – mruknął do Bertie. Zaprowadzono ich do olbrzymiej bawialni, w której obecnie samotnie królowała skurczona Antonia. Pułkownik został zesłany do oranżerii z przeciekającym dachem, ponieważ po śmierci Dominica nikt nie miał do niego cierpliwości.

– Wybacz, że tak wpadamy bez zapowiedzi – zaczął Teddy.

Byli wszyscy zbyt zmęczeni, aby tego samego wieczoru tuc się do domu. Zatrzymali się więc na farmie, której właściciel oferował pokoje ze śniadaniem, rano zaś wyruszyli. „Gdzieżeś ty bywał, czarny baranie?” – zanuciła Bertie, gdy Teddy uruchamiał silnik. Droga powrotna dłużyła im się niemiłosiernie. Ostatni odcinek Sunny i Bertie przespali, zwinięci razem na tylnym siedzeniu auta niczym kociaki.

Teddy spodziewał się oporu ze strony Antonii, lecz ta poddała się bez walki. „Proszę bardzo – oznajmiła – możesz go sobie wziąć”. Sunny miał na skroni paskudny siniak, więc Teddy rzucił na odchodnym: „Powiniennem zawiadomić policję”. Najważniejsze było to, że zabiera wnuka z tego miejsca.

Wyciągnął rękę, aby pogłaskać Sunny'ego, lecz ten się wzdrygnął. Teddy spróbował raz jeszcze, jakby miał do czynienia z płochliwym psem. Odwrócił dłoń grzbietem do góry i ze ściśniętym sercem delikatnie położył ją na wygolonej główce chłopca.

Pułkownik zmarł następnego lata, lecz Antonia jeszcze długo wegetowała. W końcu interweniowała opieka społeczna; Thomasa i panią Kerrich oskarżono, że okradali swoją chlebobawczynię. („Wzięłam raptem

parę drobiazgów” – broniła się pani Kerrich). Usiłowali także (nadaremnie) nakłonić ją do zmiany testamentu na ich korzyść (była wówczas kompletnie zramolała, jakby zaraziła się od pułkownika). W chwili jej śmierci głównym spadkobiercą nadal był Dominic, cały majątek odziedziczyli więc Sunny i Bertie. Postępowanie spadkowe ciągnęło się w nieskończoność, co przywiodło Teddy’emu na myśl *Samotnię* Dickensa. Gdy wreszcie posiadłość sprzedano, po uiszczeniu podatku zostało im po kilka tysięcy na głowę. Bertie kupiła sobie nowy samochód, Sunny przekazał pieniądze jakiemuś sierocińcowi w Indiach.

Jakby pod wpływem tajemniczego impulsu Sunny i Bertie obudzili się dokładnie w chwili, gdy samochód skręcał w ulicę, przy której mieszkał Teddy. „We młynie, we młynie, mościwy panie” – powiedziała sennie Bertie, gdy Teddy parkował auto na podjeździe przed domem.

Zostawił Tinkera pod opieką sąsiadki. Gdy ta otworzyła drzwi i zapytała: „Witaj, Ted, udała się wam wycieczka?”, Tinker prześlizgnął się grzecznie obok jej nóg i podszedł się przywitać. Serce Sunny’ego wezbrało tak, że prawie zaniemówił. Do tego dziadek powiedział:

– Co tak stoicie? Mam ogromną ochotę na filiżankę herbaty. Chyba nie pogardzicie kubkiem mleka i kawałkiem ciasta, co, Sunny? Upiekłem twoje ulubione, czekoladowe.

Sunny był pewien, że jeszcze moment i pęknie ze szczęścia.

– Tak, dziadku, poproszę – wyjąkał. – Dziękuję. Bardzo, bardzo dziękuję!

– Nie musisz mi za nic dziękować, Sunny.

1943

Wojna Teddy'ego

„Co piękne, cieszyć nigdy nie przestanie” [59](#).

Ciepły wietrzyk niósł ze sobą drobinki kurzu i woń ostatnich dzikich róż. Na krzewach wrośniętych w żywopłot czerwieniało sporo dojrzewających owoców, lecz kilka kwiatów uchowało się jakoś w upale ostatnich dni. Towarzyszący mu pies przystanął i wzniosł nos do góry, jakby on także rozkoszował się słodkim aromatem.

– *Rosa canina*, psia róża – zwrócił się do niego Teddy, jakby zwierzak mógł to docenić. – A na takie upały mówi się kanikuła, od starożytnej łacińskiej nazwy pory roku, gdy Słońce znajdowało się w gwiazdozbiornie Psa – dodał do kompletu. Pies nie mógł sam objaśniać sobie świata, więc Teddy niejako w zastępstwie wziął na siebie obowiązek nadawania rzeczom imion.

Byli dwoma weteranami na spacerze i obaj mieli to samo puste spojrzenie spowodowane wiekiem albo cierpieniem. W rzeczywistości Teddy nie miał pojęcia, ile lat liczy sobie pies, wiedział jednak, że przeżył ciężkie chwile w trakcie Blitzu. On sam – dwudziestodziewięciolatek – w porównaniu z resztą załogi czuł się zgrzybiałym starcem (bliscy mu ludzie nazywali go czasami czule „staruszkciem”). Pies miał na imię Lucky i faktycznie był szczęściarzem. Wymyśliła je siostra Teddy'ego („Okropnie to banalne, wiem”) po tym, jak uratowała go od śmierci na jednej z ulic bombardowanego Londynu. „Pomyślałam, że twojej załodze przyda się maskotka” – powiedziała.

Kiedy ostatni raz spacerował z jakimś psem polną drogą, wojna właśnie się rozpoczęła. Pies należał do Shawcrossów i nazywał się Harry. Zdechł, gdy Teddy szkolił się w Kanadzie. Nancy napisała do niego wówczas: „Przepraszam cię za tę ciszę w eterze, ale przez długi czas nie byłam w stanie wziąć pióra do ręki. Na samą myśl, że miałabym skreślić słowa: »Harry nie żyje«, ogarniał mnie smutek”. Jej list dotarł tego samego dnia co telegram z wiadomością o śmierci Hugh i chociaż strata psa była nieporównywalnie mniejsza, Teddy znalazł w sercu dość miejsca dla nich obu.

Lucky pobiegł naprzód i zaczął szczekać, zaniepokojony jakimś ruchem w żywopłocie. Karczownik albo ryjówka. Albo nic – dla miejskiego psa wieś i jej mieszkańcy stanowiły zagadkę. Potrafił się przestraszyć przelatującego nisko ptaka, natomiast obojętnie przyjąć dolatujący z nieba ryk silników Rolls-Royce Merlin. W halifaksach od początku należało instalować zaprojektowane do tego typu samolotów silniki Bristol Hercules, a nie merliny, które zbyt często zawodziły. Dobrze, że zmodyfikowano przynajmniej stateczniki pionowe – po części dzięki naciskom poczciwego Cheshire’a [60](#), który przekonał odpowiednie władze, że te stare, trójkątne, mogą w przypadku wejścia w korkociąg powodować tragiczną w skutkach niestabilność samolotu – ale nieszczęsne merliny wciąż stanowiły problem. Teddy przypuszczał, że decyzję, aby mimo wszystko je instalować, podjął w Ministerstwie Lotnictwa ktoś pokroju Maurice’a. Stały za nią względy ekonomiczne albo zwyczajna głupota, albo jedno i drugie, jako że zwykle szły one ze sobą w parze. W herkulesach na przykład...

– Błagam cię, mój drogi – przerwała mu Nancy – nie mówmy już o wojnie. Jestem nią taka zmęczona. Porozmawiajmy o czymś ciekawszym niż techniki bombardowania.

Jej uwaga skutecznie uciszyła Teddy'ego. Na próżno szukał bardziej interesującego tematu. W istocie silniki do halifaksów miały stanowić wstęp do anegdoty, która z pewnością spodobałaby się Nancy, jednak Teddy się zbuntował i postanowił jej nie opowiadać, uległszy małoduszny podszepcom zranionego ego. To *oczywiste*, że chciał rozmawiać o wojnie i „technikach bombardowania” – te sprawy wypełniały jego obecne życie i niemal na pewno miały zdecydować o jego śmierci. Wątpił wszakże, aby Nancy mogła to pojąć, zamknięta przez ustawę o ochronie tajemnicy państwowej w swojej niedostępnej wieży.

– Możemy porozmawiać o tym, czym ty się zajmujesz całymi dniami – rzekł z pewną dozą złośliwości.

Nancy mocniej ścisnęła jego dłoń i odparła:

– Och, dobrze *wiesz*, że nie wolno mi o tym mówić. Obiecuję, że kiedyś wszystko ci powiem, ale nie teraz.

„Jakie to dziwne – myślał Teddy – wierzyć w istnienie owego mitycznego »kiedyś«”.

Rozmawiali tak przed kilkoma dniami podczas spaceru nadmorską promenadą. („To jest morze” – wyjaśnił rozentuzjasmowanemu psu). Jeśli nie zwracali uwagi na wszechobecne umocnienia (trudna sprawa), mogli sobie wyobrazić, że są zwykłą parą spędzającą letni dzień na wybrzeżu. Nancy jakimś cudem udało się zsynchronizować swój urlop z przepustką Teddy'ego. „Schadzka kochanków! – cieszyła się. – Jakie to romantyczne!”. Teddy, po odprawie dotyczącej ich ostatniego nalotu na Gelsenkirchen oraz po zwyczajowej porcji jajek na bekonie w nagrodę za przeżycie akcji, poszedł prosto na stację kolejową, skąd wyruszył w koszmarne długą podróż na King's Cross. Nancy czekała na niego na peronie, co istotnie mogło się wydawać romantyczne, przynajmniej wedle norm propagowanych przez film oraz literaturę (choć w pierwszej

kolejności skojarzyła się Teddy'emu z Anną Kareniną). Na widok jej rozradowanej twarzy w tłumie zdał sobie sprawę, że niemal zdążył zapomnieć, jak Nancy wygląda. Nie miał jej fotografii i postanowił czym prędzej to naprawić. Objęła go mocno: – Najdroższy, tak bardzo się za tobą stęskniłam. Masz psa! Nie wiedziałam.

– Tak. Nazywa się Lucky. – Pies był z nim już od dłuższego czasu. Najwyraźniej Teddy zapomniał jej o nim napisać.

Nancy przykucnęła i zaczęła się rozkliwiać nad zwierzakiem bardziej niż nad nim – nie żeby Teddy miał jej to za złe.

Spodziewał się, że zostaną w Londynie, jednak Nancy stwierdziła, że „miło byłoby się gdzieś wyrwać”, choćby na jedną noc (chyba rzeczywiście bardzo chciała zapomnieć o wojnie). Przejechali więc miasto, aby dotrzeć do innego dworca, a tam wsiedli do pociągu nad morze. Nancy zarezerwowała wcześniej pokój w dużym hotelu („Właścicielki pensjonatów są stanowczo zbyt wścibskie”), miała nawet w zanadrzu przygotowaną obrączkę („Od Woolwortha”). W hotelu pełno było oficerów marynarki wojennej z żonami, lecz głównie widziało się te ostatnie, oficerowie zaś znikali gdzieś, gdzie zwykle znikają na lądzie marynarze. Teddy czuł, że w mundurze lotnika RAF-u ściąga na siebie wszystkie spojrzenia.

Gdy czekał w barze na Nancy, podeszła do niego jedna z oficerskich żon, dotknęła jego przedramienia i rzekła: „Chciałam tylko powiedzieć, że moim zdaniem świetnie się spisujecie, chłopcy. Pochwały należą się nie tylko Królewskiej Marynarce Wojennej, nawet jeśli im się tak wydaje”. Teddy nigdy tak nie uważał – jego zdaniem to dzięki lotnictwu bombowemu udało się przenieść działania wojenne na terytorium wroga – uśmiechnął się jednak, uprzejmie skinął głową i podziękował. Poczł aromat gardenii. Dłoń mocniej ścisnęła jego przedramię. Nieznajoma

wyjęła papierośnicę i zagadnęła: „Ma pan ochotę zapalić?”. W momencie, gdy nachyliła się ku niemu, aby przypalić papierosa od jego zapalniczki, nadeszła Nancy, śliczna w bladoniebieskiej sukni, i kobieta wykrzyknęła: „Dobry Boże, to pańska żona? Ależ z pana szczęściarz. Poprosiłam tylko o ogień” – dodała na użytek Nancy, po czym oddaliła się z wdziękiem.

– Moje uznanie – roześmiała się Nancy. – W samą porę salwowała się ucieczką.

– Co masz na myśli?

– Och, skarbie, nie bądź naiwny! Chyba wiesz, o co jej chodziło.

– O co?

– O ciebie, naturalnie.

Oczywiście zdawał sobie z tego sprawę i ciekawiło go, co by się stało, gdyby nie miał towarzystwa. Prawdopodobnie poszedłby z tą kobietą do łóżka. Nieustannie go zaskakiwało, jak bardzo bezpośrednio stały się kobiety za sprawą wojny. Wiedział też, że stan jego umysłu czyni z niego łatwą ofiarę. Nieznajoma miała piękne ramiona i sporą dozę pewności siebie, jakby dobrze znała własną wartość.

– Pożarłaby cię żywcem – zauważyła Nancy. Zakładała najwyraźniej, że to by mu się nie spodobało. Albo że nie miałby ochoty na tego rodzaju przelotną znajomość. – Napiłabym się dżinu – dodała.

– Ślicznie wyglądasz.

– Dziękuję, bardzo pan uprzejmy, sir. Pan także znakomicie się prezentuje.

Z pewną niechęcią musiał przyznać, że Nancy miała rację i miło było wyrwać się z miasta. Obudził się o świcie ze zdrętwiałym ramieniem przygniecionym przez jej ciało. Pościel pachniała jej konwaliowymi perfumami, bardziej naturalnymi niż dusząca woń gardenii.

Musiały go zbudzić mewy. Robiły za oknem okropny zgiełk, lecz Teddy z przyjemnością wsłuchiwał się w ich skrzekliwe nawoływania. Pojął, że od wybuchu wojny wiódł w zasadzie życie w głębi lądu (nocne loty nad Morzem Północnym trudno uznać za wypadki nad morze). Na wybrzeżu światło miało inny odcień – nawet ta odrobina, której udało się przebić przez ciężką zasłonę chmur. Mieli niezły pokój z widokiem na morze; przeszklone drzwi balkonowe wychodziły wprost na balustradkę z kutego żelaza. Nancy wyznała, że zapłaciła za niego krocie, a i tak dostali go tylko dlatego, że jakiś kontradmirał zwolnił go na tę jedną noc. Była na bieżąco ze stopniami wojskowymi w Królewskiej Marynarce Wojennej, zdecydowanie bardziej niż Teddy, który pogardzał innymi formacjami, jak na lotnika przystało. „Kryptografia – pomyślał – pewnie tym się w pracy zajmuje”.

Pies, dostrojony do jego rytmu oddychania, obudził się równocześnie z nim. Wieczorem zrobili mu prowizoryczne posłanie w szufladzie, którą wyjęli z komody i wyłożyli znalezionym w szafie dodatkowym kocem. „A niech mnie – powiedziała Nancy – wygląda wygodniej niż nasze łóżko”. Teddy czuł się absurdalnie skrępowany, kochając się z nią w obecności Lucky’ego. Wyobrażał sobie, że zwierzak przygląda im się osłupiały, jeśli nie zatrwożony, ale gdy w trakcie „aktu” rzucił okiem na szufladę („Wszystko w porządku, kochany?” – zapytała go Nancy), pies sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie. Bądź co bądź, najlepszą poławą męstwa jest dyskrecja.

Przypuszczał, że w dobrze wymoszczonej szufladzie istotnie spało się lepiej niż na nierówno wypchanym końskim włosiem materacu kontradmirała, niemal równie twardym jak osławione sienniki RAF-u. Po przebudzeniu Teddy był tak sztywny i obolały, jakby spędził dziewięć godzin na pokładzie halifaksa. Nancy miała rację co do jeszcze jednego

(w ogóle rzadko się myliła): poprzedniego wieczoru nie uległby zakusom osamotnionej żony oficera marynarki; był zbyt wyczerpany, aby przyjąć jej modliszkowate zaloty.

Wyplątał się z pościeli i bezszelestnie zsunął stopy na podłogę, zanim Lucky zdążył wskoczyć na łóżko – zwyczaj dozwolony w kwaterze Teddy’ego – i obudzić Nancy. Okno przez całą noc było szeroko otwarte, uchylił więc tylko kotarę i znalazł się na balkonie. Wzniósł ramiona nad głową i wciągnął do płuc rześkie powietrze. Miało słonawy posmak – fakt, który nie wiedzieć czemu Teddy przyjął z ulgą. Pies przyłączył się do niego; ciekawe, czy też podobał mu się ten widok? „To jest morze” – pouczył go Teddy. Nocą przed dwoma dniami jego nowa maszyna, Q-Queenie, musiała awaryjnie lądować w Carnaby, wiosce na wybrzeżu z wyjątkowo długim pasem startowym przeznaczonym dla wszystkich zabłąkanych i podziurawionych biedaków powracających znad Morza Północnego oraz takich ofiar losu jak Q-Queenie, które zwyczajnie zgubiły się w ciemnościach. Lotnisko w Carnaby było wyposażone w tak zwane FIDO. Teddy nie pamiętał, co dokładnie oznaczał ten skrót, wiedział tylko, że ma coś wspólnego z mgłą [61](#). Po obu stronach pasa ciągnęły się perforowane rury, do których pod ciśnieniem tłoczono tysiące galonów paliwa. We mgle je podpalano i płomienie strzelały wysoko w górę, dzięki czemu udawało się bezpiecznie sprowadzić na ziemię wszystkie uszkodzone i zabłąkane maszyny.

Po powrocie do macierzystej bazy Teddy przyłapał się na tym, że opowiada Lucky’emu, swemu wiernemu towarzyszowi, o Carnaby, jakby pies mógł cokolwiek zrozumieć z tej całej przygody. Jednocześnie pomyślał, że chyba mu odbiło. Teraz roześmiał się na to wspomnienie i podrapał psiaka za uchem. A jeśli nawet, to co z tego? Całemu światu odbiło.

Balustradzie wyraźnie nie służyło morskie powietrze, bo spod białej farby wyzierały spore plamy rdzy. Kraj znajdował się w rozsypce. Teddy zastanawiał się, ile czasu musi minąć, zanim ów trend stanie się nieodwracalny, a Wielka Brytania zmieni w przeżartą rdzą ruinę.

Nie usłyszał dyskretnego pukania do drzwi zwiastującego przybycie tacy z poranną herbatą, którą zamówili poprzedniego wieczoru. Zdziwił się więc, gdy na balkon wyszła Nancy, stanęła obok niego i podała mu parującą filiżankę na spodeczku. Miała na sobie praktyczną bawełnianą piżamę, „niezbyt odpowiednią na miesiąc miodowy”, jak sama zauważyła.

– To ma być nasz miesiąc miodowy? – spytał Teddy. Pił herbatę, która szybko stygła w porannym powietrzu.

– Nie, ale chyba powinniśmy coś zorganizować, nie sądzisz? Naturalnie najpierw musielibyśmy się pobrać. To jak? Pobierzemy się?

– Teraz? – Teddy był kompletnie zdezorientowany. W pierwszej chwili posądził ją, że postanowiła zrobić mu niespodziankę i za jego plecami załatwiła formalności w miejscowym kościele. Spodziewał się nawet, że do pokoju wpadną zaraz gromadnie Toddowie i Shawcrossowie, wykrzykując gratulacje. Pomyślał o Vicu Bennecie, który nie dożył swojego ślubu. Ależ byłaby zabawa! Pohulaliby jak trzeba i to bez względu na stan Lillian. Ogarnęły go nagle wyrzuty sumienia na myśl, że stracił z nią kontakt i nie wie nic o synku Vica, Edwardzie. A może to jednak dziewczynka? Lillian i dziecko będą żyli, podczas gdy pamięć o Vicu z każdym dniem będzie bladła, aż w końcu wszyscy o nim zapomną. „Uważał cię za najlepszego człowieka, jakiego w życiu znał”. „Vic powinien dłużej pożyć – pomyślał Teddy. – Poznałby wtedy wielu lepszych ode mnie”.

– Nie, nie *teraz*. Po wojnie.

„No tak, sławetne »kiedyś«” – pomyślał. Jedno wielkie kłamstwo.

– Masz rację – odparł. – Oczywiście powinniśmy się pobrać. Czy to znaczy, że właśnie się zaręczyliśmy? Mam teraz uklęknąć? – Odstawił filiżankę ze spodkiem na balustradę, zgiął jedno kolano. – Nancy Roberto Shawcross, czy zgodzisz się zostać moją żoną? – Chyba tak się mówiło w podobnych sytuacjach?

– Będę wniebowzięta.

– Powinniśmy kupić pierścionelek?

Pokazała mu rękę z obrączką od Woolwortha.

– To na razie wystarczy. Pewnego dnia kupisz mi brylant.

Gdy po wojnie w urzędzie stanu cywilnego w Chelsea Teddy wsuwał jej na palec tę samą obrączkę, Nancy skwitowała to krótko: „Ma wartość sentymentalną”.

Sama ceremonia była więcej niż skromna i po latach Teddy zastanawiał się, czy nie należało zorganizować czegoś bardziej hucznego. Ursula i Bea odgrywały role gości, druzhen oraz świadków. Ursula przyszła oczywiście z Luckym, przyozdobionym przy obroży czerwoną kokardą, i oznajmiła: – Oto twój družba, Teddy.

Nigdy nie zastąpili obrączki od Woolwortha niczym droższym, chociaż z czasem tandetny stop zaczął pozostawiać na serdecznym palcu Nancy brzydką czarną obwódkę. Teddy kupił jej jednak brylant – malutki – po narodzinach Violi.

– Zaręczeni – powiedziała, gdy po śniadaniu spacerowali ramię w ramię nadmorską promenadą. Pokonali kamienisty odcinek plaży oraz rów przeciwczołgowy, aby dotrzeć do odsłoniętego przez odpływ szorstkiego, brązowego piasku na samym brzegu. Pies to wbiegał do wody, to zmykał przed falami. Od czasu do czasu Teddy rzucał mu jakiś kamyk, lecz morze było dlań zbyt wielką nowością, aby interesowały go przyziemne psie

zajęcia w rodzaju aportowania. – Zrękowiny – podjęła temat Nancy. – Cóż za archaiczne określenie. Jak myślisz, od czego pochodzi?

– Zapewne od symbolicznego podania sobie rąk na znak, że oboje narzeczeni zgadzają się wstąpić w związek małżeński.

– Tak, to ma sens. – Ścisnęła jego ramię.

Pomyślał o spotkanej minionego wieczoru żonie oficera marynarki.

– Jesteś szczęśliwy, najdroższy?

– Tak. – Nie wiedział już, co to słowo znaczy, ale skoro zależało jej na deklaracji szczęścia, gotów był ją złożyć. („Błędem jest – mawiała Sylvie – sądzić, że miłość równa się szczęściu”). – Mam dla ciebie ciekawą historyjkę – dodał, ulegając chęci uraczenia jej anegdotą, którą pominął poprzedniego dnia. – W ubiegłym tygodniu siedziałem w kantynie. Graliśmy w karty. W nocy mieliśmy lecieć na akcję nad Wuppertal. Przed wylotem koło południa zawsze jest trochę spokoju, już po przeglądzie, a przed wieczorną odprawą... – Poczuł, że uścisk dłoni Nancy nieco zelżał. Sam z przyjemnością posłuchałby o jej codziennych zajęciach, gdyby tylko zechciała mu o nich opowiedzieć. – Mam mówić dalej?

– Naturalnie.

– W pewnej chwili dobiegł mnie warkot silnika jakiejś maszyny. Nie ma w tym nic dziwnego, lecz nagle mój nawigator Sandy Worthington wsadził głowę do kantyny oficerskiej i mówi: „Chodź, Ted, zobaczysz nowego Halifaksa Mark III”.

– Który jest o wiele lepszy, bo ma inny ogon – wtrąciła Nancy tonem pilnej uczennicy zadowolonej, że pamięta tyle nudnych szczegółów.

– To akurat nie najciekawsze, chociaż dla mnie tak, bo dzięki temu mniej chłopaków zginie. No więc pożyczyłem rower i pogałem w stronę pasa; kantyna znajduje się na uboczu, a teren bazy jest rozległy... – Nancy podniosła kawałek wyrzuconego przez morze drewna i rzuciła psu, który

przez moment rozważał skok do wody, ale zaraz zmienił zdanie. – Maszyna – podjął Teddy – właśnie kołowała po pasie na miejsce rozśrodkowania i nigdy nie zgadniesz, kto nią przyleciał.

– *Gertie?*

Nareszcie skupił na sobie jej uwagę.

– Owszem, *Gertie*. Ależ była niespodzianka.

Starsza siostra Nancy służyła w jednostce transportowej ATA [62](#). Zajmowała się pilotowaniem samolotów między lotniskami bojowymi, fabrykami a zakładami naprawczymi. Licencję pilota zdobyła przed wojną i Teddy pamiętał, jak ogromnie jej wtedy zazdrościł. Lotnicy z jego eskadry, choć rzadko to przyznawali, mieli wiele szacunku dla dziewcząt z ATA („Kobiet” – poprawiła go *Gertie*). Potrafiły bez wahania sięść za sterami dosłownie każdej maszyny – lancastera, mosquito, spitfire’a, nawet amerykańskiej „latającej fortecy”. Takiemu zadaniu nie sprostałaby większość pilotów RAF-u.

– To chyba twoja – zwrócił się do Teddy’ego oficer dowodzący, gdy stali z *Gertie* na miejscu rozśrodkowania i podziwiali nową maszynę.

– Moja? – nie zrozumiał Teddy.

– Jesteś dowódcą eskadry, Ted, więc powinieneś mieć najlepszy latawiec.

– Świetnie się prowadzi – wtrąciła *Gertie*.

W ten oto sposób Q-Queenie trafiła w jego ręce.

Gertie przyjęto z honorami należnymi oficerowi i zaproszono do kantyny na herbatę („I słodkie bułeczki! Palce lizać”. Niestety, bułeczek tym razem nie dało się zjeść). Przypadkiem okazało się, że *Gertie* nie musi wracać pociągiem – jeden z samolotów miał wgniecenia w kadłubie i trzeba go było odstawić do zakładu naprawczego. Widocznie nie zaprojektowano go z myślą o tak gwałtownych manewrach jak korkociąg („Ja też się do

nich nie nadaję” – myślał często Teddy). Podczas krótkiego pobytu w bazie Gertie nie wprawiła w drżenie żadnego męskiego serca – może z wyjątkiem serca oficera dowodzącego, który wyraził podziw dla jej odwagi – ponieważ podobnie jak Winnie należała do dziewcząt prostolinijnych i dość nijakich. Jeśli chodzi o powierzchowność, Teddy – jak zapewne wszyscy – klasyfikował dziewczęta („kobiety”) od Shawcrossów od najmniej urodziwej Winnie po Nancy i eteryczną Beę. W głębi duszy uważał tę ostatnią za najładniejszą, lecz lojalność wobec Nancy kazała mu cenzurować tego rodzaju myśli. „Każda kolejna Shawcrossówna jest drobniejsza i wdzięczniejsza od poprzedniczek” – zauważył w ich dzieciństwie Hugh. Środkowa z sióstr, Millie, byłaby wielce urażona tą uwagą.

Mimo wszystko Gertie została ciepło pożegnana przez całą jednostkę, po części dlatego że dostarczyła długo wyczekiwanego nowego „halibaga”, po części ze względu na jej związek z Teddym, dla którego była – jak wyjaśnił – prawie szwagierką. Przypuszczał, że istotnie nią zostanie w owym mitycznym kiedyś, o ile ono rzecz jasna nadejdzie. Przed jej odlotem przy ciężarówce kontrolera lotów zebrała się niewielka grupka, wśród nich Teddy, i wszyscy żywiłowo machali, zupełnie jakby Gertie leciała bombardować Essen, a nie odstawić halifaksa do zakładu naprawczego w Yorku. Na do widzenia machnęła im jeszcze skrzydłami i wkrótce pochłonął ją błękit. Wsłuchany w cichnący ryk maszyny Teddy czuł, że jest z niej bardzo dumny.

– Wieki całe jej nie widziałam – westchnęła Nancy.

– Nie tylko jej.

– Przecież nie robię tego celowo – odparła dosyć szorstko.

Teddy się zreflektował. Był wobec niej niesprawiedliwy; to oczywiste, że wojna i na niej odcisnęła swoje piętno. Ująwszy ją mocniej pod rękę,

zagwizdał na psa. – Chodźmy – powiedział – kupię ci kanapkę w poczekalni dworcowej. Do odjazdu pociągu zostało jeszcze mnóstwo czasu.

– Potrafisz zaimponować dziewczynie – uśmiechnęła się Nancy, znów w dobrym humorze.

Pies nie odpowiedział na wezwanie. Teddy rozejrzał się po plaży i odwrócił ku morzu. Czuł narastającą panikę. Lucky zawsze przybiegał na gwizd. Wody kanału wyglądały spokojnie, ale psiak nie był duży. Może zmęczył się pływaniem albo natrafił na zdradziecki prąd lub sieć rybacką? Teddy pomyślał o tonącym Vicu Bennecie. „Niech los wam sprzyja”. Nancy przemierzała plażę wzdłuż i wszerz, nawołując psa po imieniu. Wiedział, że zmysły zwierzaka są niezwykle wyostrzone, jakby funkcjonowały na niedostępnych człowiekowi częstotliwościach. Ludzie z personelu naziemnego opowiadali mu, że Lucky na długo przed innymi wie, że jego maszyna zbliża się do lotniska, i wybiega jej na spotkanie. Kiedy załódze zdarzało się opóźnienie albo musieli awaryjnie lądować, pies trwał cierpliwie na posterunku. Gdy pewnego dnia Teddy w ogóle nie wrócił, wzięty do niewoli przez Niemców, Lucky przez wiele dni wyglądał go ze wzrokiem wbitym w niebo.

W końcu oddano go pod opiekę Ursuli. Teddy nie upomniął się o niego po powrocie, chociaż chętnie by to zrobił. Teraz jego towarzyszką była Nancy, jego siostra zaś nie miała nikogo i kochała psiaka niemal tak mocno jak on sam.

Niedawno Lucky zabrał się z nimi na gapę. Nigdy nie doszli, jakim sposobem dostał się na pokład Q-Queenie. Czasami wskakiwał za nimi do ciężarówki rozwożącej lotników na rozśrodkowanie, choć akurat tego dnia nikt sobie nie przypominał, aby go tam widział. Z jego obecności zdali sobie sprawę dopiero w powietrzu, gdy przelatywali nad punktem

kontrolnym w Hornsea, a Lucky wychynął, pełen poczucia winy, ze swojego ukrycia pod lewą ścianą kabiny.

– Słuchajcie – obwieścił przez interkom Bob Booth, ich radiotelegrafista – wygląda na to, że leci z nami drugi pilot. – Fakt, że było to niezgodne z przepisami, gorsze chyba od zabrania na pokład dziewczyny z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, nie stanowił problemu. Problemem było natomiast to, że przekroczyli właśnie wysokość pięciu tysięcy stóp i Teddy polecił załodze nałożyć maski tlenowe. Pies wyglądał, jakby ledwo trzymał się na nogach, chociaż mogło to mieć związek z tym, że znalazł się wewnątrz olbrzymiego czterosilnikowego bombowca osiągającego akurat swoją wysokość przelotową nad Morzem Północnym.

Ni stąd, ni zowąd Teddy przypomniał sobie Maca śpiewającego *Boogie Woogie Bugle Boy* w drodze powrotnej znad Turynu. Nie przypuszczał, aby Lucky’ego stać było na równie szalony wyczyn, nie ulegało jednak wątpliwości, że brak tlenu oznacza dla zwierząt to samo co dla ludzi.

Niewykluczone, że piesak zwyczajnie był ciekaw, dlaczego tak regularnie znikają w swoich stalowych kolosach. Być może powodowała nim lojalność wobec Teddy’ego albo chęć przetestowania własnej odwagi. Kto zresztą wie, co takiemu psu chodzi po głowie?

Ostatecznie członkowie załogi z wyjątkiem strzelców kolejno użycjali mu swoich masek tlenowych. Było to ciekawe przeżycie dla wszystkich zainteresowanych. „To jest tlen” – wyjaśnił zwierzakowi Teddy, wkładając własną maskę na krótki psi pyszczek. Na szczęście nie był to nalot na Wielkie Miasto, mieli jedynie zrzucić miny do holenderskich kanałów. Po wylądowaniu Teddy niepostrzeżenie wyniósł psa z samolotu ukrytego pod połą kurtki lotniczej.

Później zawsze pamiętał, aby zabierać na pokład zapasową maskę na wypadek, gdyby znów trafił im się pasażer na gapę i trzeba go było

podłączyć do centralnej butli z tlenem. Chociaż kto przy zdrowych zmysłach chciałby się ukrywać w kabinie bombowca?

Odwrócił się i ujrzał psa pędzącego ku niemu przez plażę. Lucky wyglądał na zmęczonego, lecz z oczywistych względów nie mógł niestety opowiedzieć o swoich przygodach.

Wszyscy troje ruszyli spokojnym krokiem wzdłuż nabrzeża. W pewnej chwili zatrzymał ich fotograf i zaproponował zrobienie zdjęcia. Teddy zapłacił mu z góry i podał adres jednostki. Gdy wrócił do bazy z sześciodniowej przepustki, fotografia – o której zdążył zapomnieć – czekała na niego. Stwierdziwszy, że jest bardzo udana, postanowił zamówić więcej odbitek – na przykład dla Nancy – ale nigdy tego nie zrobił. Na zdjęciu był naturalnie w mundurze. Nancy w letniej sukience i ładnym słomkowym kapeluszu (taniej obrączki nie było widać). Oboje uśmiechali się tak, jakby nie mieli żadnych strapień. Przy nich siedział Lucky, niezwykle zadowolony z siebie.

Teddy nosił tę fotkę w kieszeni munduru razem ze srebrnym zajączkiem. Przetrwiała wojnę i obóz, po czym ciśnięto ją – dość niedbale – do pudełka z pamiątkami i odznaczeniami. – *Objets de vertu* [63](#) – powiedziała Bertie, przeglądając zawartość pudełka po jego przeprowadzce do Fanning Court. Zawsze fascynowała ją Nancy, babka, której nie poznała. – I jest z wami pies! – skomentowała z rozbawieniem sympatyczną mordkę. („Lucky” – odparł z czułością Teddy. Pies nie żył od ponad czterdziestu lat, ale ilekroć go wspominał, odczuwał ukłucie bólu).

Na fotografii była teraz plama, brązowawe zabrudzenie wzdłuż górnej krawędzi. Gdy Bertie spytała, skąd się tam wzięło, Teddy odrzekł, że to chyba rozlana herbata.

Gdy jego pierwsza tura lotów bojowych dobiegła końca, Teddy trafił jako instruktor do jednostki szkolenia operacyjnego. Poprosił jednak przed

czasem o przywrócenie do czynnej służby. „Na litość boską, dlaczego? – pytała w liście Ursula. – Mogłeś względnie bezpiecznie przeżyć kilka miesięcy przed rozpoczęciem drugiej tury!”. „Względnie bezpiecznie” – te słowa znakomicie opisywały rzeczywistość w jednostce szkolenia operacyjnego. Pierwszego dnia po przyjeździe Teddy rozejrzał się po okolicy i naliczył pięć wraków, których jeszcze nie uprzątnięto. Latało się na rozklekotanych maszynach – głównie spisanych na straty – zupełnie jakby ktoś chciał dodatkowo zmniejszyć szanse przeżycia niedoświadczonych załóg. Teddy nie pytał o los użytkowników samolotów, których części walały się na pobliskich polach. Uznał, że woli nie wiedzieć.

„Chodzi o to – odpisał siostrze – że jest sporo do zrobienia”. Wciąż nie było widać końca wojny. O mur ciśnięto tysiące ptaków, a on nadal stał. „Poza tym cholernie dobry ze mnie pilot – dodał – więc chyba lepiej się przysłużyć ojczyźnie, latając niż niańcząc nieopierzone żółtodzioby”.

Ponownie przeczytał swoją odpowiedź – uzasadnienie brzmiało całkiem rozsądnie. Tak rozsądnie, że można je było przedstawić siostrze, Nancy, całemu światu. W pewnym sensie Teddy czuł się urażony, że musi się komukolwiek tłumaczyć, podczas gdy ważą się losy wojny. Czyż nie jemu przypadł w udziale honor reprezentowania rodziny w boju? Z drugiej strony mógł teraz śmiało przekazać pałeczkę Jimmy’emu.

Prawda była jednak taka, że nie chciał, nie potrafił robić niczego innego. Loty bojowe stały się jego *częścią*. Tym, kim był. Jedynym miejscem, w którym czuł się naprawdę dobrze, stało się wnętrze halifaksa. Brakowało mu woni brudu i oleju, kwaśnego potu, gumy, metalu i cierpkiego posmaku tlenu. Tęsknił za ogłuszającym rykiem silników, za oczyszczającym umysł z wszelkich myśli zimnem, za hałasem, za nudą i równoważącymi ją skokami adrenaliny. Dawniej sądził, że wojna uformuje go jako człowieka, pojął jednak, że całkiem się w niej zatracił.

Miał teraz nowych członków załogi: strzelców Tommy'ego i Olufa. Jeden pochodził z okolic Newcastle, drugi z Norwegii. W 4. Grupie RAF-u służyło sporo Norwegów, lecz nie dość, aby można z nich było sformować odrębny dywizjon jak w przypadku krwiożerczych Polaków, którym Norwedzy niemal dorównywali zaangażowaniem. *Tamci* nigdy nie rezygnowali. Żyli nadzieją powrotu do wolnej Polski. Oczywiście dzień ten nigdy nie miał nadejść. Teddy często ich wspominał, gdy w dwudziestym wieku Polska szukała swojego miejsca w Europie.

Jego załoga ponownie stanowiła przedziwną zbieraninę: nawigator Sandy Worthington był Nowozelandczykiem, Geoffrey Smythson, pierwszy mechanik pokładowy, studiował w Cambridge. („Matematykę” – podkreślał zawsze z powagą, jakby chodziło o teologię). Teddy zainteresował się, czy nie zna przypadkiem Nancy. Geoffrey odparł, że o niej słyszał. „Wyróżniono ją Nagrodą Philippy Fawcett, prawda? Bystre dziewczę” – dodał. „Bystra kobieta” – poprawił go Teddy. Ich nowy radiooperator nazywał się Bob Booth i pochodził z Leeds, a celowniczym był...

– Siemano, chłopie.

– A co ty tu robisz?! – zdumiał się Teddy.

– Szkoliłem koty w OTU, ale jak tylko usłyszałem, że słynny Ted Todd wraca wcześniej do czynnej służby, pomyślałem: „Cholera, nie dam mu latać bez mnie”. Starła się o mnie eskadra australijska, ale pociągnąłem za odpowiednie sznurki i jestem.

Teddy nie posiadał się z radości – spośród członków poprzedniej załogi to Keith był mu najbliższy. Przeszli razem tak wiele, że nie mogli o tym rozmawiać z nikim innym. Mimo to przy ponownym spotkaniu ograniczyli się do krótkiego męskiego uścisku dłoni. W miarę upływu lat Teddy miał obserwować, jak mężczyźni stopniowo tracą wszelkie zahamowania, jeśli chodzi o wyrażanie uczuć, by na przełomie dwudziestego i dwudziestego

pierwszego wieku (u zarania lat niefortunnie nazwanych „zerowymi”) utracić wszelką kontrolę nad emocjami, a niewykluczone, że także nad życiem. Piłkarze i tenisiści pochlipywali przed kamerami, zwykli mężczyźni przytulali się na ulicy i całowali w policzki.

– Och, na litość boską, tato! – niecierpliwiła się Viola. – Jak możesz wygadywać takie brednie? Ta twoja angielska flegma! Naprawdę uważasz, że świat był lepszy, gdy mężczyźni tłamsili w sobie uczucia?

– Tak.

Wspomnienie tego, jak wybuchnął płaczem w kuchni matki Vica Bennetta, wciąż napawało go zgrozą. Nic dobrego z tego nie wynikło, zwłaszcza jeśli chodzi o niego. Po śmierci Nancy płakał po cichu, w samotności; wydawało mu się to jedynym godnym sposobem odbycia żałoby.

– Wszystkiemu winna Diana – stwierdziła Bertie.

– Diana?

– Księżna Diana. Uczyniła z rozpaczyny postawę heroiczną. Za twoich czasów było odwrotnie. – Siedzieli w Kilburn na szczycie wzgórza z wizerunkiem kredowego białego konia i jedli kanapki przygotowane przez miłą właścicielkę pensjonatu, w którym się zatrzymali podczas „podróży pożegnalnej” Teddy’ego.

Teddy pomyślał, że przeżył już swoje dni tak jak Lucky.

– Jestem za stary na ten świat.

– Ja też – pocieszyła go Bertie.

Nancy mogła się wyrwać z pracy tylko na dwa dni, więc dwadzieścia cztery godziny po powitaniu na jednym dworcu musieli się na innym pożegnać. Teddy czuł się zawiedziony; liczył, że spędzą ze sobą więcej czasu. Machając jej, czuł ogarniający go smutek. Lecz kiedy tylko pociąg zniknął mu z oczu, zrozumiał, że to poczucie winy spowodowane ulgą.

Keith także przyjechał do Londynu na przepustkę, spotkali się więc w miłym, całkowicie platonicznym gronie w restauracji Quaglino's z Beą i jej przyjaciółką Hannie, uchodźczynią z Niemiec. Wszyscy sporo wypili. Keith wychodził ze skóry i usiłował flirtować z obiema kobietami jednocześnie. Hannie była bardzo ładna, ale robiła wrażenie niezainteresowanej. Bea natomiast okazała się zajęta – zaręczona z jakimś lekarzem. Obie jednak odnosiły się do Keitha z dużą sympatią. Teddy nie zdążył poznać narzeczonego Bei, który wylądował z wojskiem w Normandii i zginął na plaży Gold. Co ciekawe, wyszła po wojnie ze chirurga.

Bea pracowała w BBC w dziale produkcji jako sekretarka planu i dziewczyna „od wszystkiego”, Hannie natomiast była tłumaczką jakiejś rządowej instytucji o niewiele mówiącej nazwie. Podczas Blitzu o Beę upomniał się świat medycyny. Zwerbowano ją do pracy w kostnicy, jej zadanie polegało na dopasowywaniu ludzkich szczątków. Z jakiegoś powodu ktoś uznał, że pomoże jej w tym artystyczne wykształcenie. „Chodziło zapewne o znajomość anatomii” – stwierdziła. Nawet Teddy, który zdążył się przyzwyczaić do widoku zmasakrowanych zwłok, nie sądził, aby zdołał podołać takiemu wyzwaniu. Po latach, w całkiem innej epoce – epoce współczesnego terroryzmu – czytał o ładunkach wybuchowych podkładanych w parkach i nocnych klubach, w wieżowcach i samolotach pasażerskich, o ciałach rozrywanych na strzępy lub spadających na ziemię z dużych wysokości. Zawsze się wówczas zastanawiał, czy ktoś próbował dopasowywać do siebie porzucane fragmenty. Sylvie zwykła powtarzać, że nauka zmienia świat na gorsze i chodzi w niej tylko o wymyślanie coraz to nowych sposobów zabijania ludzi. W miarę upływu lat Teddy był coraz bardziej skłonny przyznać jej rację (tak jakby wojna nie była na to wystarczającym dowodem).

Owego wieczoru tańczył z Hannie, która bardziej odpowiadała mu wzrostem i pachniała perfumami *Soir de Paris*, które „ktoś” przywiózł dla niej z Francji. Teddy’emu przyszło do głowy, że dziewczyna musi się obracać w dość tajemniczych kręgach (czy któraś ze znanych mu kobiet się w nich nie obracała?). Nosila szmaragdowe kolczyki i gdy Teddy to skomentował, ryknęła gromkim śmiechem. „Są sztuczne! Wyglądam ci na kogoś, kogo stać na szmaragdy?”. W Niemczech zostawiła rodzinę i życzyła „każdemu naziście z osobna” śmierci w cierpieniach. „Całkiem zrozumiałe” – pomyślał Teddy.

Uzgodnili, że spotkają się ponownie we czwórkę następnego wieczoru, i wybrali się do kina na *Arszenik i stare koronki*, który to film jednogłośnie uznali za znakomite antidotum na ponurą rzeczywistość.

Po wojnie Teddy dowiedział się od Bei, że Hannie pracowała dla Kierownictwa Operacji Specjalnych i przed lądowaniem w Normandii została zrzucona ze spadochronem na terytorium Francji. Ursula i Bea robiły, co w ich mocy, aby dojść, co się z nią stało („Bo teraz nie ma już nikogo”). Los, jaki ją spotkał, był niestety typowy i ze wszech miar tragiczny.

Okazało się, że tamte przepiękne kolczyki nie były wcale tanią podróbką, tylko prawdziwymi francuskimi szmaragdami w stylu *fin de siècle*. Należały niegdyś do jej matki, Francuzki. („Mam też w sobie domieszkę krwi węgierskiej, oczywiście niemieckiej, i kropelkę rumuńskiej. Prawdziwy ze mnie europejski mieszaniec!”). Rozpoczęły swój żywot w atelier złotnika w Marais w 1899 roku i jak to z przedmiotami bywa, przetrwały dłużej niż ci, co je nosili. Hannie zostawiła je Bei na przechowanie. („Przez kilka tygodni mogę być nieuchwytna”).

– Chyba wiedziała, że nie wróci – powiedziała Bea.

Sama z kolei przekazała je przed śmiercią Teddy'emu, jedynemu człowiekowi na świecie – dosłownie – który jeszcze pamiętał Hannie. W ten oto sposób trafiły w ręce Bertie; miała je w uszach w dniu swojego ślubu, którego to dnia Teddy niestety nie dożył. Wyszła za mąż zimą za człowieka poznanego przypadkiem na moście Westminsterkim. Ceremonia odbyła się w zabytkowym kamiennym kościółku w Cotswolds. Bertie miała suknię ze starej koronki, w ręku trzymała bukietik przebiśniegów. Po krótkiej sprzeczce pozwoliła Violi poprowadzić się do ołtarza. Było wprost idealnie.

* * *

Nazajutrz, w niedzielę, Keith i Teddy złapali poranny pociąg do Fox Corner, dokąd zaprosiła ich na lunch wielce zaaferowana Sylvie. Keith niezwykle się cieszył – był u nich już wcześniej i oczarował matkę Teddy'ego. Wiedział również, jak dobrze zaopatrzona jest jej spiżarnia. Ursula wymówiła się od wspólnego wyjazdu. „Mama będzie miała was tylko dla siebie” – stwierdziła, śmiejąc się przy tym złowieszczo.

Teddy zabrał Keitha do Jackdaws, aby poznał panią Shawcross, która zawsze chętnie – może nawet chętniej niż Sylvie – spotykała się z odwiedzającymi Fox Corner członkami załogi Teddy'ego. Opowiedział jej o swoim spotkaniu z Gertie, a pani Shawcross odparła: „To wspaniale. Okropnie się o nią martwię. Stale myślę o biednej Amy Johnson [64](#), sam rozumiesz”. Millie była akurat „przelotem” w domu i skandalicznie flirtowała z Keithem. „Tę dziewczynę powinno się trzymać na łańcuchu” – śmiał się, gdy wreszcie udało im się wyrwać z jej szponów. „Nie jest w moim typie” – dodał. Teddy odgadł, że Keith wciąż jest pod urokiem Hannie, przyjaciółki Bei. „Chociaż nie wyobrażam jej sobie na owczej farmie” – przyznał. Keith nigdy nie wątpił, że wróci kiedyś do Australii.

Teddy czerpał pociechę z tej niezachwianej pewności. – Wiesz, że ona jest Żydówką? – zagadnął go Keith.

– Wiem.

– Pierwszą, jaką znam – zaznaczył Keith, wyraźnie pod wrażeniem. („Osobą wyznania mojżeszowego” – powiedziałaaby Sylvie). – Musi być miło się zakochać – dorzucił, odsłaniając ukrytą dotąd naturę romantyka. – Pójść za głosem serca i tak dalej.

– Spokojnie – pohamował go Teddy. – Zaczynasz bredzić jak jakieś bożyszczce kobiet. – (Albo po prostu jak kobieta). Kilka miesięcy później Teddy sam się zakochał. Poszedł za głosem serca, który zaprowadził go w ślepą uliczkę. Lecz jemu było to obojętne.

Romantyczny przerywnik.

Julia była wysoką blondynką; żadnej z tych cech Teddy nie uważał dotąd za atrakcyjną u kobiet. „Naturalną blondynką” – podkreśliła, na co Teddy odparł: „Chyba nigdy takiej nie spotkałem”. „Teraz już tak” – roześmiała się. Śmiejąc się, odrzucała głowę do tyłu w sposób, który mógł się wydawać prostacki, lecz w istocie był czarujący. Nie należała do kobiet, które zakrywają usta, kiedy się śmieją, zamiast tego odsłaniała śliczne zęby, mlecznobiałe, o perłowym połysku. („Dobre geny – żartowała. – I dobry dentysta”). Często się śmiała.

Chodziła do jednej szkoły ze Stellą, ta zaś poprosiła Teddy’ego, aby będąc w Londynie, „sprawdził, co u Julii”. Był to z jej strony akt czystego altruizmu. „Tylko się w niej nie zakochaj – przestrzegła (dolewając oliwy do ognia) – łamała serca lepszym od ciebie”. Chociaż sama nie знаła nikogo, kto byłby lepszy od Teddy’ego.

Teddy nie chciał ginąć, nie dowiedziawszy się, co znaczy być zakochanym. Ponieważ spodziewał się umrzeć lada dzień, niewątpliwie

dopomógł Kupidynowi i tak pokierował jego strzałą, aby poznać smak wojennego romansu. Był gotowy.

Julia należała do Pomocniczej Służby Terytorialnej. Skierowano ją do pracy w warsztacie w centralnym Londynie – jeździła ciężarówką, roztaczała wokół siebie woń benzyny i smaru, miała wiecznie brudne paznokcie. Mimo to kierowały się ku niej wszystkie spojrzenia, co było dla niej czymś równie naturalnym jak kolor jej włosów. Należała do dziewcząt, które zawsze dostają najlepszy stół w restauracji i najlepsze miejsce w teatrze. Ludzie chętnie ją obdarowywali. Miała w sobie coś, co oszałamiało, jakiś czar, który nikogo nie pozostawiał obojętnym. Teddy również mu uległ, na cały tydzień.

Po pierwszej wspólnej kolacji i pierwszej wspólnej nocy („Nie ma co z tym zwlekać, skarbie” – powiedziała, rozpinając mu mundur) wycygała kilka dni przepustki. Chyba przyszło jej to bez trudu: „Papcio zna wszystkich”. Papcio Julii „doradzał rządowi”, cokolwiek to znaczyło. Swojej złotowłosej jedynaczce dawał nieograniczoną swobodę. Miała dwadzieścia jeden lat, nie była zatem dzieckiem. Jej matka nie żyła („To takie smutne”).

Julia „spała na forsie” – tak się składało, że jej papcio był także lordem. W szkole Teddy miał okazję poznać synów wielu lordów, więc nie onieśmieliło go jej pochodzenie. Musiał jednak przyznać, że widok olbrzymiej rezydencji nieopodal Regent’s Park, jej londyńskiego domu, zrobił na nim wrażenie. Rodzina miała jeszcze „rodowe gniazdo” w Northamptonshire i posiadłość w Irlandii. No i apartament w Paryżu, zajmowany obecnie przez jakiegoś wstrętnego gauleitera. Papcio wyprowadził się i mieszkał teraz w Westminster, Julia miała własne mieszkanie w Petty France.

Londyński dom zamknięto na czas bliżej nieokreślony. Wszystko zostawiono, tak jak stało, zabezpieczone przed kurzem. Zwieszające się z sufitu olbrzymie żyrandole przypominały nieporadnie zapakowane prezenty. Cenne obrazy zasłonięto szmatami, jakby dom był w żałobie. Na meble zarzucono ścierki i stare prześcieradła – niektóre wcale nie takie stare. Pod pluszową narzutą Teddy wypatrzył sofę w stylu Ludwika XV. Na okazałej intarsjowanej komodzie w stylu Ludwika XIV według projektu Boullé'a udrapowano prześcieradło, puchowa kołdra okrywała sekretkę należącą podobno do samej Marii Antoniny. Z kolei pod kuchenną ścierką Teddy znalazł obraz pędzla Gainsborougha i poważnie się zafrasował o los tak cennych przedmiotów.

– Nie martwisz się o nie? – zapytał.

– Czy się nie *martwię*? (Wyraz ten nie występował w słowniku Julii; była wręcz karygodnie beztroska i to właśnie tak go w niej pociągało).

– Że ktoś je ukradnie albo zniszczy je bomba?

Julia tylko wzruszyła ramionami. – Mamy tego mnóstwo.

Teddy uchylał zasłonę skrywającą mały obraz Rembrandta, ilekroć go mijał na schodach. Nie do wiary, że nikt by po nim nie płakał. Czy równie lekkomyślni ludzie w ogóle zasługiwali na taki skarb? Gdyby po kryjomu go stąd wyniósł, jego życie całkiem by się zmieniło. Przede wszystkim stałby się złodziejem, co nie pozostałoby bez wpływu na jego dalsze losy.

W holu rezydencji wisały dwa Rubensy, Van Dyke, Bernini i liczne arcydzieła mistrzów włoskiego renesansu, lecz to właśnie ów mały Rembrandt skradł mu serce. Mógł огоłocić ten dom z jego skarbów. Klucz leżał schowany pod donicą przy drzwiach wejściowych. Gdy Teddy skarcił Julię za tę niefrasobliwość, roześmiała się tylko i odparła: „Ale to bardzo ciężka donica” (miała rację).

– Jeśli o mnie chodzi, możesz go sobie wziąć – powiedziała, widząc, jak się przygląda Rembrandtowi. – To starość, w dodatku strasznie ponury.

– Dziękuję, ale nie.

Cóż za niezłomność moralna! W późniejszych latach żałował, że nie zaopiekował się tamtym Rembrandtem. Nikt by nie uwierzył, że to oryginał, więc Teddy mógłby go powiesić na ścianie swojego podmiejskiego domku i rozkoszować się nim do woli. Powinien był go wtedy przyjąć. Dom został trafiony przez rakietę V2 i Rembrandt przepadł na wieki.

– Nie rozumiem, co ty w nim widzisz – dziwiła się Julia. – Obawiam się, że jestem bardzo płytką.

Teddy z doświadczenia wiedział, że ludzie, którzy przypisują sobie jakieś cechy, są zazwyczaj zupełnie inni, choć akurat Julia się nie myliła. Była cudowną ignorantką.

Nie chodzili do jej mieszkania w Petty France. Romantyczne uniesienia przeżywali w londyńskiej rezydencji, spędzili też jedną całkiem bezsensną noc w apartamencie hotelu Savoy, który najwyraźniej pozostawał stale do dyspozycji Julii. W piwnicach rezydencji przechowywano bogate zapasy szampana, więc przez okrągły tydzień opróżniali kolejne butelki i kochali się na rozmaitych bezcennych antykach. Teddy’emu przeszło przez myśl, że z dużym prawdopodobieństwem tak właśnie musiało wyglądać codzienne życie Julii.

Miała doskonałe ciało greckiej bogini; Teddy z łatwością wyobrażał ją sobie w roli Artemidy: chłodnej, obojętnie skazującej biednego Akteona na rozszarpanie przez psy. Nancy nigdy nie zadomowiłaby się na okrutnym Olimpie, przypominała raczej wesołego pogańskiego chochlika.

– Kim jest Nancy?

– Moją narzeczoną.

– Och, skarbie, jakie to słodkie!

Reakcja Julii mocno go zawiodła. Odrobina zazdrości dodałaby całej przygodzie pikanterii. Bo tym to właśnie było – przygodą. Jego serce pozostało niezaangażowane. Bawił się tym romansem. Wszystko to działo się po Hamburgu i Beethovenie, po śmierci Keitha, niedługo przed Norymbergą, gdy Teddy w zasadzie o nic już nie dbał, zwłaszcza o piękne i pływki blondynki. Doceniał wszakże możliwość uprawiania nieskrępowanego, namiętnego seksu („Wyuzdanego”, jak mówiła Julia). Dzięki temu później, gdy jego życie znów stało się zwyczajne, wiedział przynajmniej, jak to jest pieprzyć się bez opamiętania. Nie przepadał za tym określeniem, lecz tak naprawdę tylko ono pasowało do Julii.

Gdy ostatniego dnia przepustki zjawił się przed londyńską rezydencją i uniósł ciężką donicę, nie znalazł tam klucza, tylko karteczkę z nagryzmołą wiadomością: „Skarbie, było uroczo, do miłego, J”. Poczuł się urażony, że nie może się dostać do środka; zdążył poczuć się tam jak u siebie.

Wkrótce później Julię przydzielono do bazy artyleryjskiej. Znalazła się wśród siedemnastu osób, które straciły życie, gdy na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności cały skład materiałów wybuchowych wyleciał w powietrze. Teddy był wówczas w obozie jenieckim i dowiedział się o tym dopiero po latach, gdy we własnej gazecie przeczytał o śmierci jej ojca („Uwikłany w skandal seksualny członek Izby Lordów skacze z dachu”).

Wyobrazil sobie doskonale, śnieżnobiałe ciało Julii zmasakrowane, jej członki rozrzucone w nieładzie niby kawałki antycznej rzeźby. Wiadomość była zbyt nieaktualna, aby jej śmierć go obeszała, zresztą Nancy właśnie rozpoczynała swoją walkę z chorobą. Losów londyńskiej rezydencji również nie znał, dopóki nie przeczytał o nich w tym samym artykule

(„Liczne bezcenne dzieła sztuki utracone podczas wojny”). Żałował małego Rembrandta bardziej niż Julii, o której od dawna nie myślał.

To jednak miało dopiero nastąpić w przyszłości. Na razie, wróciwszy z Jackdaws z Keithem, zastał w Fox Corner bawialnię pełną gości. Sylvie zaprosiła na lunch ludzi, których Teddy nie znał ani nie miał ochoty poznać.

Byli tam nieustannie perorujący miejscowy radny z żoną oraz prawnik (jak sam o sobie mówił, „staroświecki kawaler”), który zdawał się smalić cholewki do Sylvie. Była także dość wiekowa wdowa, która stale narzekała, głównie na to, jak bardzo wojna utrudnia jej życie, oraz „osoba duchowna”, jak przedstawiła gościa Sylvie, nie byle klecha, ale biskup, wyższej klasy specjalista od walki z szatanem. Zachowywał się w sposób napuszony, zgodnie z tym, czego Teddy spodziewał się po biskupie.

Wszyscy oni, nie wyłączając mężczyzn, sączyli z kieliszków sherry. Sylvie zwróciła się do Keitha i Teddy’ego: – Przypuszczam, że wolelibyście piwo.

– Nie odmówiłbym kufelka, pani T – odrzekł jak najuprzejmiej Keith z tym swoim australijskim akcentem.

Wyglądało na to, że gospodyni zgromadziła w bawialni obsadę stereotypowej farsy. Zwykle nie tolerowała równie burżuazyjnego towarzystwa, więc Teddy nie mógł się nadziwić, dlaczego matka postanowiła nagle poszerzyć swój krąg znajomych o podpory lokalnej społeczności. Dopiero gdy zaczęła zwracać uwagę gości na baretki Teddy’ego i przechwalać się jego „bohaterskimi czynami” – chociaż nie opowiadał jej praktycznie nic o swoich czynach, bohaterskich lub nie – zaczął podejrzewać, iż ściągnęła go, aby brylować przed tą gromadką ważniaków. Gdy nalegali, aby podzielił się z nimi swoimi „brawurowymi dokonaniem”, pojął, że nie ma im absolutnie nic do powiedzenia. Ostatecznie Keith musiał zabawiać towarzystwo dowcipnymi anegdotkami

o ich wspólnych wyczynach. W jego ustach wojna przypominała serię szaleńczych eskapad, coś w rodzaju kolejnej przygody Augustusa.

– Mimo wszystko – odezwał się stary kawaler, najwyraźniej żądny czegoś bardziej krwistego – to nie tylko zabawa. Napędziliście szkopom niezłego pietra.

– Brawo, tak trzymać – włączył się napuszony radny. – Zgotowaliście im nie lada widowisko. Hamburg to rzeczywiście wielki sukces RAF-u.

– Moje uznanie, chłopcy – dodał biskup, unosząc w górę kieliszek w geście toastu. – Teraz czas dorwać całą resztę.

„Całą resztę?” – pomyślał Teddy.

* * *

„Powinam Cię uprzedzić – ostrzegła go w liście Ursula – że świnia została zabita”. Odkąd świnia pojawiła się w gospodarstwie – jako tłusciutki, różowy prosiaczek – Teddy miał okazję widzieć ją kilkakrotnie i szczerze podziwiał. Nie rościła sobie żadnych pretensji do wielkości, ryjąc i węsząc głośno w zbitym z desek kojcu, wdzięczna za rzucane jej odpadki. Teraz zaś najwyraźniej biedne stworzenie przerobiono na bekon, kiełbasy, szynkę i czym tam jeszcze przeznaczenie każe być świniom po śmierci, które to produkty miały przypuszczalnie zostać z zyskiem sprzedane przez pozbawioną skrupułów Sylvie.

Na lunch przewidziano pieczoną golonkę z warzywami z ogrodu oraz butelkowanym sosem jabłkowym z zeszłorocznych jabłek, na deser zaś pudding królewski, na który składniki dostarczyły przede wszystkim przepracowane kury. Teddy nie potrafił przestać myśleć o świni, gdy ta wciąż jeszcze żyła i była posiadaczką czterech krzepkich nóg.

– Wszystko własne, z Fox Corner – oznajmiła z dumą Sylvie – od wieprzowiny na stole po dżem i jajka w puddingu. – Może chciała się

pochwalić gospodarnością przed prawnikiem. Albo przed biskupem. Teddy nie wyobrażał sobie matki stającej ponownie na ślubnym kobiercu. Weszła w stateczny wiek średni jako zadowolona z życia kobieta; decydowanie o sobie wyraźnie sprawiało jej przyjemność.

– Te zapachy każdego podniosłyby na duchu – orzekł biskup, zadzierając w górę swój wybredny episkopalny nos, aby wciągnąć w nozdrza woń pieczeni.

– Za twoją samowystarczalnością stoi ogromna pomysłowość, moja droga – zwrócił się do Sylvie prawnik, osuszając kieliszek z sherry i rozglądając się z nadzieją za karafką.

– Kobietom powinno się dawać medale za ich działalność na froncie domowym – mruknęła żona radnego. – Przynajmniej za pomysłowość, jeśli nie za to wszystko, co musimy wycierpieć. – Jej uwaga sprowokowała wiekową wdowę do dalszych narzekań. („Cierpienie! Coś o tym wiem”).

Teddy czuł, że jest mu coraz bardziej gorąco. Nie mógł usiedzieć na miejscu. – Przepraszam na chwilę – powiedział, odstawiając szklanekę z piwem na stół. – Wszystko w porządku, stary? – zagadnął go Keith, gdy Teddy go mijał. – Muszę po prostu odetchnąć świeżym powietrzem – odparł.

Usłyszał jeszcze, jak Keith tłumaczy go, mówiąc: – Wyskoczył na papierosa.

Zagwizdał na psa, który został na podwórzu i z wielkim zainteresowaniem obserwował kury bezpiecznie osadzone za siatką. Lucky, posłuszny jak zwykle, podążył za nim polną drogą.

Prześlizgnąwszy się pod bramą wiodącą na pastwisko należące do mleczarni, stanął jak wryty na widok krów. „To krowy – pouczył go Teddy. – Nie zrobią ci krzywdy” – dodał, lecz pies mimo to gwałtownie się rozszczękał. Był zarazem zdenerwowany i czupurny, co z punktu widzenia

zazwyczaj zrelaksowanych krów stanowiło dość niepokojącą mieszankę. Teddy zabrał psa, żeby ten nie narobił jakichś kłopotów.

Doszedł do wniosku, że Hamburg to było istotnie „nie lada widowisko”. Nad Morzem Północnym panowały znakomite warunki pogodowe, w dodatku Niemcy zakłócili działanie niewłaściwego nadajnika systemu radionawigacyjnego RAF-u, dzięki czemu nawigatorzy mogli bez problemu wyznaczyć odległość od celu. („Porozmawiajmy o czymś ciekawszym niż techniki bombardowania”).

Po długim i nudnym locie nad mroczną tonią Morza Północnego z ulgą powitali niemieckie wybrzeże i widok zrzuconych przez Siły Rozpoznania wskaźników podejścia, złotych języków ognia opadających z gracją ku ziemi, wyznaczających bramę wjazdową, nakierowujących i prowadzących ich prostą, pewną ścieżką do celu nalotu. Podczas odprawy podkreślano, że maszyny muszą lecieć w zwartym szyku, nie tylko aby zwiększyć ich koncentrację w strefie bombardowania, ale także aby system przeciwdziałania namiętom radarowym o kryptonimie „Okno”, z którego korzystano po raz pierwszy, mógł zapewnić bezpieczeństwo jak największej liczbie samolotów. Tajemnicze „Okno” wzbudzało pewne kontrowersje; na odprawie można było odnieść wrażenie, że spece z dowództwa złapali Pana Boga za nogi, jednak ostatecznie załogi były zachwycone wynalazkiem. „Okno”, czyli kłęby folii zakłóceniewej, stało się ich nową „tajną bronią”.

Niektóre maszyny zostały wcześniej przygotowane – w ich kadłubach wycięto otwory do wyrzucania w powietrze pasków aluminium. Większość, w tym Q-Queenie, nadal wykorzystywała w tym celu zsuwnie flar. Była to niewdzięczna robota. Teddy posłał naburmuszonego Keitha w głąb lodowatego kadłuba, gdzie ten, obarczony przenośną butlą tlenową oraz latarką i stoperem, musiał przykucnąć nad zsuwnią i w tej niewygodnej pozycji równo co sześćdziesiąt sekund wyłuskiwać z pakunków kłęby folii

i wyrzucać je na zewnątrz. Ależ to pięknie wyglądało! Długie, srebrzyste wstęgi sypały się z nieba i zakłócały odczyty niemieckich radarów naziemnych, uniemożliwiając naprowadzanie myśliwców wroga na cel. Nadlatujący widzieli nieprzyjacielskie szperacze omiatające niebo, podczas gdy snopy błękitnego światła głównych reflektorów zamarły bezradnie w oczekiwaniu. Niemiecka artyleria przeciwlotnicza nie miała do czego celować, słała więc tylko w górę serie na oślep, w miarę jak nadlatywali. Przypominało to fajerwerki w Noc Guya Fawkesa. Cel osiągnęli bez większych uszkodzeń.

Cóż to była za operacja – w ciągu godziny na miasto spadło 2300 ton ładunków wybuchowych oraz 350 tysięcy bomb zapalających, światowy rekord. Pierwsze wskaźniki celu zrzucone przez Siły Rozpoznania przypominały czerwono-złote fontanny. Rozświeciły ziemię ognistą poświatą, po nich poleciały w dół piękne zielone flary. Ogólny efekt przywodził na myśl kaskadę drogocennych klejnotów na tle czarnego nieba. Do kolorowych świateł dołączyły wkrótce jaskrawe, krótkotrwałe rozbłyski bomb burzących i potężniejsze, dłuższe eksplozje ważących cztery tysiące funtów ciasteczek, czyli bomb burzących wielkiej mocy, wśród nich zaś urokliwie migotały niezliczone białe ogniki bomb zapalających, które tysiącami posypały się na miasto.

Ciężkie bomby miały za zadanie wybuchnąć przede wszystkim wewnątrz budynków. Siła eksplozji zrywała dachy, otwierając drogę ładunkom zapalającym, które z kolei wzniecały pożary, zmieniając domy w buzujące ogniem kominy. Tym właśnie zajmowali się piloci bombowców – podpalaniem wszystkiego, co znajdowało się na ziemi. Miasto było wysuszone na pieprz, wilgotność powietrza niemal zerowa – idealne warunki, aby wreszcie pokazać Hitlerowi (a przy okazji rządowi brytyjskiemu), na co stać Dowództwo Bombowe RAF-u.

Q-Queenie nadciągnęła nad Hamburg wraz z drugą falą maszyn, tuż za pathfinderami i lancasterami, które zdążyły odpowiednio oświetlić cel.

Miasto wyglądało jak w Boże Narodzenie, roziskrzone pod znaczną wybuchami bomb zapalających kopułą nieba. Wszędzie widzieli czerwone płomienie, które wkrótce spowił ciemny całun dymu. Keith doprowadził ich w sam środek tego pirotechnicznego spektaklu – „W lewo, w prawo, jeszcze trochę w prawo...” – po czym Teddy usłyszał głośne: „Bomby poszły”. Zawrócili do bazy. Ich miejsce zajęły inne bombowce, które przez nikogo nie niepokojone czterema kolejnymi falami spokojnie zmierzały do celu.

Następnej nocy ruszyli na Essen – jeszcze jeden zmasowany nalot, po którym czekały ich zasłużone dwadzieścia cztery godziny odpoczynku. W tym czasie pałeczkę przejęli Amerykanie. Dwukrotnie zbombardowali Hamburg za dnia, raz za razem, podsycili szalejące pożary ładunkami zapalającymi i wzniecali nowe ciężkimi bombami. Teddy serdecznie współczuł amerykańskim lotnikom, którzy nadlatując nad cel w zwartym szyku przy świetle dziennym, ściągnęli na siebie cały gniew niemieckiej obrony. Kilka tygodni wcześniej Q-Queenie lądowała awaryjnie w amerykańskiej bazie w Shipdham, gdzie powitano ich gromkimi owacjami. Dotychczas rzadko mieli okazję spotykać swoich sojuszników zza oceanu, z przyjemnością zatem znaleźli się w gronie ludzi, którzy – aby zacytować Tommy’ego – byli „tacy sami jak my”. Może tylko mniej zużyci i bardziej energiczni, choć niedługo i to miało się zmienić. W dodatku znacznie lepiej karmieni, dzięki czemu załoga Q-Queenie wróciła do macierzystej bazy obładowana czekoladą, papierosami oraz owocami w puszkach i podniesiona na duchu życzliwością amerykańskich kolegów.

Pogoda w dniu wypoczynku dopisała, więc załogi powyciągały na zewnątrz leżaki i stoliki do gry w karty. Na pobliskim polu ktoś

zorganizował naprędce mecz krykieta – warunki były prymitywne, lecz uciechy co niemiara – większość lotników jednak spała, utrudzona ostatnimi nalotami. Teddy i Keith wybrali się na dłuższą leniwą przejażdżkę rowerową z dwiema członkiniami Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet. Lucky truchtał dzielnie obok. Gdy się zmęczył, trafił do koszyka, który jedna z dziewcząt miała umocowany przy kierownicy. Tkwił tam dumny niby galion na dziobie statku, z uszami spłaszczonymi od wiatru. „Jak w kokpicie” – zauważyła Edith, pechowa dziewczyna, której nie sposób było nie współczuć. Ostatnich trzech lotników, z którymi się umawiała, nie wróciło z misji i w rezultacie nikt nie chciał się do niej zbliżyć. Raz w przypływie gorszego nastroju Teddy rozważał, czyby się z nią nie przespać tylko po to, aby sprawdzić, co go wtedy spotka. Teraz pomyślał, że może to jeszcze zrobić. Edith miała do niego słabość, jak zresztą wszystkie dziewczęta z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet.

Zjedli kanapki z pastą rybną i popili je wodą ze strumienia. Zupełnie jakby Trzecia Rzesza nie istniała, Anglia zaś znowu była taka jak dawniej, piękna i zielona.

Spojrzał na zegarek. Trzecia. Lunch w Fox Corner powinien dobiec końca bez niego. Taką miał przynajmniej nadzieję. Doszedł do wniosku, że najwyższy czas wyrwać Keitha ze szponów nieciekawego towarzystwa.

Przecięli z psem łąkę w całej jej letniej krasie – cieszącą oko rozkwitłym lnem i ostrózkami, pełną maków, lepnicy czerwonej oraz złocieni – i przeszli skrajem jednego z należących do pobliskiego gospodarstwa rozległych pól pszenicy. Zboże błyszczało i falowało na wietrze. W czasie zbiorów Teddy często najmował się do pracy na tych polach; do dziś pamiętał posiłki złożone z sera i piwa, spożywane w palącym słońcu w towarzystwie miejscowych parobków. Trudno uwierzyć, że życie było kiedyś takie proste. Czasy sprzed wojny jawiły mu się niczym romantyczna

sielanka. „Opaleni żniwiarze, zmęczeni sierpami, opuśćcie bruzdy wasze, a ciescie się z nami” ⁶⁵. Przypuszczał jednak, że dla tamtych parobków ich praca nie była żadną szekspirowską idyllą, żniwa zaś wyznaczały kolejną porę roku na roli w niekończącym się trudzie i znoju.

Wśród zboża rozsiane były maki polne, czerwone plamy krwi wśród powodzi złota. Ich widok przywiódł mu na myśl inne pola innej wojny, wojny jego ojca, i na wspomnienie Hugh ścisnęło mu się serce. Pożałował, że ojciec nie czeka na niego w ogrodzie Fox Corner z kuflem piwa w dłoni albo w swojej „pustelni” ze szklaneczką whisky.

Pies wyrwał nagle przed siebie i zniknął w łanie pszenicy. Teddy nie widział go, lecz słyszał głośnie poszczekiwanie. Tym razem zamiast zdenerwowania pobrzmiewało w nim podniecenie, musiał więc natknąć się na jakieś stworzenie mniej groźne od krowy – na królika albo mysz polną. Teddy zagwizdał, żeby Lucky nie stracił orientacji i odnalazł drogę powrotną przez pole.

– Czas na nas – powiedział, gdy psiak w końcu do niego przytruchtał.

– Już się baliśmy, że zginąłeś – ofuknęła go zagniewana Sylvie.

– Jeszcze nie – odparł.

– Wszystko gra? – zagadnął Keith, podając mu szklanę z piwem. Siedział na terasie i wyglądał na całkowicie zadomowionego. Podpory lokalnej społeczności najwyraźniej już się pożegnały.

Ostatni wieczór urlopu Teddy postanowił spędzić z Ursulą. Keith tymczasem chciał się zabawić ze swoimi rodakami.

Przeszedłszy przez kilka parków, zajął posterunek przed biurem Ursuli i czekał, żeby zrobić jej niespodziankę, gdy siostra wyjdzie z pracy.

– Teddy!

– We własnej osobie.

– I Lucky! Jak się cieszę, że go przyprowadziłeś! – Teddy znowu poczuł, że w obecności psa gra drugie skrzypce. Lucky nie posiadał się ze szczęścia na widok Ursuli. – Doskonale trafiłeś – zwróciła się do Teddy’ego – a może wcale nie będziesz zadowolony? Co powiesz na koncert promenadowy? Mam dwa bilety. Znajomej, która miała ze mną pójść, coś nagle wypadło. Później możemy pójść coś zjeść.

– Znakomity pomysł – odrzekł i westchnął w duchu na myśl o koncercie. Była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę. Morskie powietrze, dwadzieścia cztery godziny spędzone z Nancy i lunch w Fox Corner pozbawiły go resztek energii, jakie jeszcze miał. Wolałby pójść do kina i zdrzemnąć się w dusznej, ciemnej sali albo upić do nieprzytomności w jakimś niezobowiązującym miejscu.

– To świetnie – ucieszyła się Ursula.

Postanowiła zostawić psa w biurze. „To wbrew przepisom, jak sądzę – stwierdziła radośnie – ale w nocy będzie tam mnóstwo ludzi. Rozpieszczą go do niemożliwości”. Lucky był z natury pragmatykiem i prędko zaprzyjaźnił się z jedną z sekretarek.

Wieczór był piękny, więc z przyjemnością przeszli się do nieodległego Royal Albert Hall. Do koncertu zostało jeszcze trochę czasu i mogli wygrzać się na słońcu w Ogrodach Kensington. Usiedli na ławce i zjedli pozostałości kanapek, których Ursula nie zdążyła spożyć na lunch, musiała bowiem biegać do Whitehall w tę i z powrotem.

– W zasadzie moim głównym zajęciem jest przerzucanie papierów. Chyba większość z nas to robi. Z wyjątkiem ciebie, rzecz jasna.

– I dzięki Bogu – mruknął Teddy, przypominając sobie monotonię pracy w banku. Czym miałyby się zająć, gdyby jakimś cudem przeżył wojnę? Sama myśl o tym, co będzie potem, napełniała go przerażeniem.

Jego siostra wstała i strzepnęła ze spódnicy okruszki. – Lepiej już chodźmy. Beethoven nie powinien czekać.

Mieli dobre miejsca – bilety załatwił Ursuli „ktoś znajomy”. Wybierała się na koncert z panną Wolf, lecz ta w ostatniej chwili odwołała. „To takie smutne – powiedziała Ursula – właśnie się dowiedziała, że jej siostrzeniec zginął w Afryce Północnej. Panna Wolf jest cudowna, po prostu *cudowna*, i głęboko wierzy w to, że muzyka leczy rany. Byłaby przeszczęśliwa, mogąc w czasie wojennej zawieruchy posłuchać Beethovena, zwłaszcza *tego Beethovena*”.

„Którego?” – zastanowił się Teddy. Zerknął do programu: *IX Symfonia* w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej BBC pod dyрекcją Adriana Boult’a z towarzyszeniem chóru.

– *Alle Menschen werden Brüder* ⁶⁶ – odezwała się Ursula. – Myślisz, że to możliwe? Że pewnego dnia wszyscy będą braćmi? Ludzie – przeważnie mam na myśli mężczyzn – zabijają się od początku świata, odkąd Kain rzucił kamieniem w głowę Abla, czy co tam dokładnie mu zrobił.

– W Biblii nie jest to chyba szerzej opisane.

– Kierują nami okropnie plemienne instynkty – ciągnęła Ursula. – W głębi duszy wszyscy jesteśmy prymitywnymi istotami, dlatego musieliśmy wymyślić Boga, aby był głosem naszych sumień. W przeciwnym razie byśmy się nawzajem powybijali.

– Wydaje mi się, że właśnie to robimy.

Widownia szybko się zapełniała, zewsząd nadciągali melomani. Teddy z Ursulą musieli kilkakrotnie przesuwac kolana, aby przepuścić kolejną osobę. W dole posiadacze wejściówek kulturalnie rywalizowali ze sobą o lepsze miejsca na płycie. – Mamy znakomite miejsca – pochwalił Teddy. – Ktokolwiek sprezentował ci te bilety, musi cię bardzo lubić.

– Owszem, ale nie tak, żeby wykupić najlepsze miejsca – podkreśliła Ursula, którą najwyraźniej bardzo rozbawiła ta uwaga. – Te ciężkie naloty z ubiegłego tygodnia – powiedziała niespodziewanie i bez związku, kompletnie wytrącając go z równowagi.

– Tak?

– Myślisz, że już po Hamburgu?

– Tak. Nie. Nie wiem. Raczej tak. Z pułapu siedemnastu tysięcy stóp niewiele widać. Tylko pożary. – Chór zaczął zajmować miejsca na scenie.

– Porządnie oberwali – dodała Ursula.

– Oni?

– Ludzie. Mieszkańcy Hamburga.

Teddy nie myślał o nich jak o ludziach. Dla niego to były tylko miasta. Ewentualnie fabryki, bocznice kolejowe, bazy myśliwców, porty.

– Miewasz czasami wątpliwości?

– Wątpliwości?

– No wiesz, w kwestii nalotów dywanowych.

– Nalotów dywanowych? – Spotkał się wcześniej z tym określeniem, ale nigdy nie zwracał sobie nim głowy.

– Zmasowanych ataków. Gdy ludność cywilna staje się celem militarnym. Przecież to są niewinni ludzie. Nie czujesz się przez to... niekomfortowo?

Zdumiony taką bezpośredniością Teddy odwrócił się i popatrzył na siostrę. (*Niekomfortowo?!).* – Przecież nie celujemy w cywili! Wyobrażasz sobie wojnę, na której nikt nie ginie? Jeżeli mamy wygrać, musimy zniszczyć ich przemysł, gospodarkę. Budynki mieszkalne także, jeśli trzeba. Robię – robimy – tylko to, czego się od nas wymaga w obronie kraju i wolności. Ilekroć jesteśmy w powietrzu, rzucamy wyzwanie śmiertelnemu wrogowi i kładziemy własne życie na szali. – Uświadomił

sobie, że zaczyna z patosem perorować, i zirytował się, bardziej na siebie niż na Ursulę, która przecież jak nikt rozumiała, czym jest obowiązek.

„Teraz czas dorwać całą resztę” – powiedział poprzedniego dnia biskup na lunchu u Sylvie.

– Jak zdefiniować niewinność? – dociekał Teddy. – Czy niewinni są robotnicy w fabrykach produkujących bomby? Albo broń, albo samoloty, albo stal, albo łożyska, albo czołgi? Gestapo? Może nawet sam Hitler? – Coraz bardziej się zapędzał. – Nie zapominajmy też, że to Niemcy rozpętali tę wojnę.

– Mam wrażenie, że to my ją rozpętaliśmy w Wersalu – stwierdziła cicho Ursula.

Teddy westchnął, żałując swojego cholerycznego wybuchu. Chyba zbyt zawzięcie się bronił. – Czasami – rzekł – żałuję, że nie mogę cofnąć się w czasie i zastrzelić Hitlera albo jeszcze lepiej zabić go zaraz po urodzeniu.

– Tyle że to by znaczyło – odparła Ursula – że można się tak cofać bez końca i zmieniać historię, aż dotarłoby się właśnie do Kaina i Abla.

– Albo do jabłka.

– Ciii – syknął ktoś gniewnie, gdy na podwyższenie wstąpił pierwszy skrzypek. Włączyli się w owacje, z ulgą kończąc rozmowę. Ursula dotknęła jeszcze dłonią jego ramienia i szepnęła: – Przepraszam cię. Nie straciłam wiary w sens wojny, po prostu byłam ciekawa, jak się czujesz. No wiesz, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Oczywiście, że tak. – Teddy z wdzięcznością powitał przybycie gromko oklaskiwanego Boultta. Na sali zapadła głęboka cisza.

W zasadzie Ursula powinna mu była pogratulować, a nie budzić w nim wątpliwości. Załogi uważały operację „Gomora” za olbrzymi sukces, punkt zwrotny, który przyspieszy upadek wroga i dopomoże tym wszystkim biedakom z amerykańskiej piechoty, którzy pewnego dnia znowu będą

musieli lądować na kontynencie europejskim i walczyć aż do końca. „Niezła rozpierducha” – zapisał w dzienniku pokładowym ich mechanik pokładowy, Geoff Smythson. A znajomy prawnik Sylvie nazwał nalot „nie lada widowiskiem”, śliniąc się w oczekiwaniu na piecyste z biednej świni.

„Lotnicy się cieszyli – myślał Teddy, zerkając na pochłoniętą muzyką siostrę. – Więc chyba inni też powinni?”.

Później, znacznie później, wiele lat po wojnie, dowiedział się, że owej nocy w Hamburgu rozpętała się „burza ogniowa”. Nie słyszał wcześniej tego określenia, z pewnością nie w czasie wojny. Okazało się, że celowo posłano ich nad dzielnice mieszkalne. Ludzie gotowali się żywcem w fontannach i piekli w piwnicach jak w piekarniku. Płonęli jak pochodnie albo się dusili, pozostawiając po sobie jedynie popiół i kałuże roztopionego tłuszczu. Ci, którzy usiłowali przebiegać przez dobrze sobie znane ulice, grzęźli we wrzącym asfalcie niczym muchy w smole. „Niezła rozpierducha”. („Oko za oko”, jak stwierdził Mac na zjeździe ich eskadry po latach. „Dopóki wszyscy nie oślepną” – dodał w myślach Teddy). Gomora. Armagedon. Starotestamentowy Bóg zemsty i odpłaty. Gdy raz się zaczęło, nie miało się odwrotu. Hamburg nie był żadnym przełomem, zaledwie krótkim przystankiem w drodze do Tokio i Hiroszimy. W czasach, gdy można było nacisnąć przycisk na jednym kontynencie i pozbawić życia tysiące ludzi po drugiej stronie globu, dyskusje o niewinności stały się nieistotne. Kain musiał przynajmniej spojrzeć w twarz swojemu bratu Ablowi.

Kolejnej nocy, we wtorek, bombowce RAF-u wróciły na dogrywkę i ujrzały miasto wciąż stojące w ogniu. Przypominało gorejące piekło, płonąca, rozświetloną płachtę, która ciągnęła się aż po horyzont, dusząc pod sobą wszelkie życie.

Zupełnie jakby przelatywali nad kraterem olbrzymiego wulkanu, który raz za razem wyrzucał ze swych rozpalonych trzewi strumienie wrzącej lawy. Miasto zniszczenia. Ta furia, ta groza i dzikie piękno na krótką chwilę pchnęły Teddy'ego w objęcia poezji. „Średniowieczna apokalipsa” – pomyślał.

– Nawigatorze, chodź tutaj i patrz – zwrócił się do Sandy'ego Worthingtona, wywołując go z za jego przepierzenia. – Nigdy więcej nie zobaczysz czegoś podobnego.

Keith nie musiał ich naprowadzać, pożogę było widać z odległości wielu mil. Gdy przelatywali nad tym bulgoczącym, plującym płomieniami kotłem, powiedział tylko: – Dorzucmy jeszcze jedną łopatę węgla do ognia, co, kapitanie?

Słup gęstego, ciemnego dymu sięgał niemal ich podwozia. Przez maski tlenowe czuli buchający z dołu żar oraz gryzącą woń spalenizny – i czegoś jeszcze bardziej wstrętnego – a gdy wylądowali w bazie, stwierdzili, że wieżyczki i kadłub Q-Queenie pokrywa cienka warstwa sadzy.

Dym i sadza uniosły się na kilka tysięcy stóp w górę na ich spotkanie. I coś jeszcze – coś, czego Teddy nigdy nie mógł zapomnieć, o czym nigdy nie był w stanie rozmawiać – smród palących się na tym stosie ofiarnym ludzkich ciał.

W głębi duszy już wtedy wiedział, że przyjdzie im za to zapłacić.

Zdarzało się, że w drodze powrotnej, nad Morzem Północnym, do strumienia bombowców dołączał niepostrzeżenie nieprzyjacielski myśliwiec. Był to wyjątkowo podły podstęp. Wróg wybierał sobie jedną z maszyn lecących do bazy i zestrzeliwał ją w chwili, gdy bezpieczny ląd był w zasięgu wzroku. Kilka tygodni po nalotach na Hamburg, po wielu miesiącach kluczenia i wymykania się śmierci, wracająca znad Berlina Q-Queenie została w końcu trafiona.

Lot znad Wielkiego Miasta był długi i ciężki, cała załoga śpiąca i przemarznięta. Zjedli swój przydział czekolady, wypili kawę, zażyli tabletki pobudzające, by wreszcie z ogromną ulgą powitać czerwone światło na wieży kościelnej w miasteczku sąsiadującym z lotniskiem. Teddy przypuszczał, że umieszczono je tam po to, aby żadna maszyna nie rozbiła się o wieżę, lecz wspólnie z załogą traktowali je zawsze jak latarnię morską gwarantującą bezpieczny powrót do domu. Światła pasa startowego płonęły, w słuchawkach usłyszeli wesoły głos członkini Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet z wieży kontrolnej, wydającej im zgodę na lądowanie. Ledwo jednak skończyła mówić, oświetlenie pasa zgasło i rozległ się alarm zwiastujący nieprzyjaciela.

Teddy również wygasił światła pozycyjne i przyciągnął do siebie dźwignię przepustnicy, aby wzbić się w górę i odlecieć, byle dalej stąd. Mrok przed nimi przecięły pociski smugowe, a strzelcy wrzeszczeli do interkomu, że są atakowani, chociaż sądząc po tym, jak posyłali w niebo serie na oślep, żaden raczej nie widział napastnika. Znajdowali się zbyt nisko, aby wprowadzić samolot w korkociąg, zmniejszona prędkość też nie pozwalała na jakiegokolwiek manewry. Teddy doszedł do wniosku, że w tej sytuacji najlepiej będzie po prostu wylądować, posadzić maszynę, gdziekolwiek się da.

Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, Q-Queenie oberwała seria z działka myśliwca. Musiała dostać w podwozie, bo wylądowała na jednym kole i natychmiast się przechyliła, orząc ziemię skrzydłem. Drugie sterczało do góry. Wypadli z pasa, przelecieli przez pole i walnęli w drzewo, które – byli gotowi przysiąc – nigdy tam wcześniej nie rosło. Impet wystarczył wszakże, aby maszynę obróciło. Q-Queenie legła na grzbiecie niby olbrzymi robak. Świat stanął dla nich na głowie.

Za plecami Teddy'ego rozległy się głośne jęki, były to jednak jęki ludzi, których wytrzęsło, którzy byli obolali i poobijani, lecz nie śmiertelnie ranni. W ogólnym hałasie dało się słyszeć liczne przekleństwa po norwesku. Tylko Keith milczał, więc Sandy Worthington pospołu z ich środkowym strzelcem wyważyli kopniakami dolny – a obecnie górny – właz ratunkowy i pomogli reszcie wyciągnąć go na zewnątrz.

Ledwie wydostali się z przewróconego samolotu, światła pasa ponownie rozbłysły i Teddy ze zdumieniem stwierdził, że nie opuścili terenu lotniska. W ich stronę pędziły ambulans z zapasem krwi oraz wóz straży pożarnej. Pomimo tego, że maszyna uległa kapotażowi – a może właśnie dzięki temu – udało im się całkiem bezpiecznie wylądować. Ów „odważny czyn” został odpowiednio doceniony, a Teddy wzbogacił się o jeszcze jedną kolorową baretkę na mundurze, tę od Zaszczytnego Krzyża Lotniczego.

Keith stracił mnóstwo krwi, trafiony serią z działka tuż przed awaryjnym lądowaniem. Leżał bez słowa, jakby już nie żył, choć oczy miał na wpuł otwarte. Mały palec u jego ręki drgał niespokojnie. Żadnego ostatniego słowa, żadnego „Niech los wam sprzyja”.

Położyli go na ziemi, Teddy przyciągnął go do siebie i niezgrabnie objął. Wyglądali jak prymitywna pieta. Szczęście Keitha skończyło się, przestało być „na opak” i zastąpił je zwyczajny pech. Teddy wiedział, że śmierć przyjaciela to kwestia sekund. Nie umknęło mu, że dygoczący palec nieruchomieje, że na wpuł otwarte oczy tracą swój blask. Z bólem musiał przyznać, że zabrakło mu słów, aby dodać Keithowi otuchy i ułatwić mu choć trochę rozstanie z tym światem. Co zresztą miałby mu powiedzieć?

Po powrocie na kwaterę zdjął zakrwawiony mundur i opróżnił kieszenie. Paczka papierosów, srebrny zajaczek, wreszcie z opóźnieniem odebrana fotografia przedstawiająca ich oboje z Nancy w towarzystwie psa na nadmorskiej promenadzie. Górna część zdjęcia była wilgotna. Zabrudzona

krwią Keitha. Teddy przechowywał je niby najdroższą relikwię. Gdy po latach wnuczka zapytała go o tę plamę, odparł, że to rozlana herbata – nie dlatego, że prawda by jej nie zainteresowała, ale ponieważ było to dla niego zbyt osobiste.

Jedynie pies był świadkiem jego rozpacz. Teddy dał upust emocjom, wtulając twarz w sierść na jego karku. Zwierzę znosiło to cierpliwie przez pewien czas, po czym wyrwało mu się z objęć.

– Wybacz – rzekł Teddy, biorąc się w garść.

To wszystko miało się jednak dopiero wydarzyć za kilka tygodni. W chwili obecnej siedzieli z Ursulą w Royal Albert Hall, a Beethoven odprawiał nad Teddym swoje tajemne czary.

Teddy uznał, że nie ma sensu szukać słów na opisanie tego, co słyszy. Postanowił po prostu *wczuć się* w muzykę i gdy orkiestra przeszła do finału, a Roy Henderson, baryton, zaczął śpiewać kantatę do słów *Ody do radości*, włosy zjeżyły mu się na karku z wrażenia. Siedząca obok Ursula aż drżała z emocji jak ściśnięta sprężyna, jak ptak gotów lada moment wzbić się do lotu. Pod koniec czwartej części, gdy majestatyczny chorał staje się tak cudowny, że niemal nie do zniesienia, Teddy'ego ogarnęło dziwne wrażenie, że siostra istotnie wzniesie się w powietrze i odleci, jeśli jej mocno nie przytrzyma.

Wyszli z sali koncertowej i ruszyli przed siebie otoczeni balsamicznym wieczornym powietrzem. Wokół z wolna zapadał zmierzch, oni zaś przez dłuższy czas zgodnie milczeli.

– Doświadczenie tajemnicy – powiedziała w końcu Ursula, przerywając ciszę. – Nasz świat ożywia nadprzyrodzona iskra. Nie jest to Bóg – z Bogiem koniec – ale niewątpliwie coś ponadnaturalnego. Może miłość? Nie taka głupia, romantyczna, tylko coś znacznie głębszego...

– Myślę, że to coś nie ma nazwy – odrzekł Teddy. – Człowiek chciałby wszystko nazywać. I może właśnie na tym polega jego błąd.

– „Każde jednak zwierzę, które określił mężczyzna, otrzymało nazwę »istota żywa«” [67](#). Władza nad wszystkim, co żyje, okazała się straszliwym przekleństwem.

Później – ponieważ, jak się okazało, istniało dla niego jakieś „później” – Teddy obiecał sobie, że w życiu już zawsze będzie się starał być dobry. Była to najlepsza – i jedyna – rzecz, jaką mógł zrobić. Mógł kochać.

1960

Nienazwane i zapomniane czyny dobroci i miłości

Zaczęło się od koszmarnego bólu głowy pewnego dnia w szkole około południa. To było już po ich przeprowadzce do Yorku i Nancy wciąż jeszcze uczyła w ogólnokształcącej szkole średniej w Leeds. Nastął paskudny zimowy poniedziałek, od wschodu wiał przenikliwy wiatr, słońce prawie nie świeciło. „Trochę kiepsko się czuję” – odparła Nancy, gdy Teddy zauważył przy śniadaniu, że jest jakaś mizerna.

W porze lunchu zajrzała do izby chorych, gdzie pielęgniarka szkolna dała jej dwie aspiryny. Nic nie pomogły, więc Nancy musiała odwołać pierwszą lekcję po długiej przerwie i znowu pójść do izby chorych. „To mi wygląda na migrenę – orzekła z przekonaniem pielęgniarka. – Niech pani poleży sobie po ciemku i odpocznie”. Tak też zrobiła: wyciągnęła się na niewygodnej wąskiej leżance nakrytej szorstkim czerwonym kocem, z której z reguły korzystały nastolatki z bólami menstruacyjnymi. Po półgodzinie dźwignęła się do pozycji siedzącej i zwymiotowała na czerwony koc. „Mój Boże, jakże mi przykro!” – jęknęła, zwracając się do pielęgniarki.

– Bezwarunkowo migrena – powtórzyła tamta. Sprawnie posprzątała i poklepała Nancy po ręce. – Wkrótce poczuje się pani jak nowo narodzona.

Wymioty istotnie poprawiły nieco jej samopoczucie, więc przed upływem popołudnia Nancy zdecydowała się wsiąść do samochodu i wrócić do Ayswick. Jechała ostrożnie, lecz miała wrażenie, że w jej głowie uwija się ochoczo rój pszczoł.

W domu zastała Violę i Ellen Crowther. Pani Crowther mieszkała po sąsiedzku. Zatrudnili ją, aby odbierała Violę z przedszkola we wsi i siedziała z nią do powrotu z pracy któregoś z rodziców. Jej własny przychówek dawno wyfrunął z gniazda, miała natomiast w domu męża, robotnika rolnego, oraz wiekowego teścia (którego nazywała „staruszkim”). Każdy z nich sprawiał wrażenie bardziej wymagających niż jakiegokolwiek dziecko, nawet Viola. Z wyglądu pani Crowther przypominała czarownicę: rzadkie czarne włosy zebrane w kok i wieczny grymas na twarzy spowodowany porażeniem nerwowym w dzieciństwie. Pomimo tego wydawała się całkiem pozbawiona charakteru, jakby wyblakła od ciężkiej pracy i posłuszeństwa. „Lubisz panią Crowther?” – zapytała raz Violę Nancy. Córka odpowiedziała jej zdziwionym tonem: „*Jaką* panią?”.

Zwykle pani Crowther czekała na ich powrót gotowa do wyjścia, w chustce na głowie i brązowym gabardynowym płaszczu ściągniętym paskiem. Zanim Nancy zdążyła się przywitać, wypadała z domu niczym koń wyścigowy z boksu. Jej mąż (a zapewne także teść) przywiązywał najwyraźniej dużą wagę do punktualności, zwłaszcza jeśli chodzi o porę podwieczorku. „Jak się spóźnię, będzie gadanie” – rzucała zwykle na odchodnym.

Tego dnia Nancy zjawiała się nieco wcześniej niż zwykle. Pszczoły wciąż uwijały się skrzętnie w jej głowie. Musiała wejść do domu niemal bezszelestnie, bo ani Viola, ani pani Crowther nie zwróciły na nią uwagi. Nawet pies Bobby nie wyszedł jej na spotkanie. Viola siedziała przy dużym przywiezionym z farmy stole, czytając komiks dla dziewcząt zatytułowany *Bunty*. W jednej rączce trzymała kanapkę z szynką, na palec drugiej nawijała pasmo włosów – zaskakująco irytujący nawyk, którego nie potrafili wykorzenić. Pani Crowther pochylała się nad czymś, co wyglądało jak lista zakupów, krótkim ołówkiem stolarskim skrobała po odwrocie

koperty. Obok niej stała filiżanka herbaty. Na widok tej scenki rodzajowej Nancy ogarnęło dziwne wzruszenie. Musiało chodzić o pełną spokoju zwyczajność, jaką tchnął ten obrazek: szydełkowy ocieplacz na imbryk, to, jak pani Crowther, nie odrywając wzroku od swojej listy, mieszała swoją herbatę. Wyraz skupienia na twarzączce Violi, pilnie przeżuwającej kanapkę i zaczytanej w cotygodniowych przygodach Czterech Maryś.

Przez kilka sekund Nancy doświadczyła dziwnego poczucia odłączenia. Była niewidzialną obserwatorką spoglądającą z boku na życie, do którego z jakiegoś powodu odmówiono jej dostępu. Doznała wrażenia niebezpiecznej nieważkości, jakby lada moment miała odpłynąć i nigdy nie wrócić tam, gdzie przecież było jej miejsce. Ogarnęła ją panika; na szczęście w tej samej chwili Viola podniosła wzrok znad komiksu i ją dostrzegła. „Mamusia!” – wykrzyknęła rozpromieniona. Zły czar prysł, Nancy przeszła przez próg i znalazła się w bezpiecznej kuchni, gdzie stary piec powitał ją znajomym ciepłem dającym ukojenie.

Pani Crowther powiedziała:

– Wielkie nieba, ale mnie pani przestraszyła. Przez chwilę myślałam, że to duch stanął w drzwiach. Jest pani blada jak każdy szanujący się duch – dodała (jakby była za pan brat ze zjawami). – Dobrze się pani czuje? Niech pani siądzie, naleję pani herbaty.

– W szkole dopadła mnie migrena – wyjaśniła Nancy i osunęła się na stojące przy stole krzesło. Pszczoły roiły się niespokojnie pod jej czaszką, tuż za oczami. Pani Crowther napełniła filiżankę i zanim Nancy zdołała zaprotestować, wsypała do niej trzy łyżeczki cukru.

– Gorąca słodka herbata – orzekła. – W sam raz na ból głowy.

Dziwnie było być obsługiwanym przez kogoś, kto zwykle był tylko plamą gabardyny w holu. (Pani Crowther okazała się obdarzona niespodziewanym talentem do prowadzenia konwersacji).

– Dziękuję – szepnęła Nancy, niezmiernie wdzięczna za herbatę, nawet tak obficie posłodzoną.

– Wcześniej wróciłaś – zauważyła Viola. Wszelka zmiana utartych schematów budziła jej podejrzliwość. Nie lubiła spontaniczności może dlatego, że była ich jedynym dzieckiem. Albo po prostu dzieckiem.

– Tak, kochanie, rzeczywiście.

Opróżniła filiżankę i namówiona przez panią Crowther zjadła herbatnik, żeby uspokoić żołądek („Od razu poczuje się pani lepiej”).

– Wiem, że nadużywam pani uprzejmości, ale czy mogłaby pani zostać z małą, dopóki mąż nie wróci do domu? Chciałabym się na trochę położyć – poprosiła.

Musiała zasnąć i mocno spać, bo gdy się obudziła, za oknem zobaczyła ciemność. Przez uchylone drzwi sypialni wpadało światło w holu. Pszczoły nareszcie umilkły, odleciały poszukać innej królowej. Zegar przy łóżku wskazywał dziewiątą. Mimo lekkiego oszołomienia Nancy czuła się znacznie lepiej.

– Jak się masz? – powitał ją Teddy, gdy zeszła na dół. – Pani Crowther powiedziała, że dopadła cię migrena. Dałem jej coś ekstra za to, że dłużej została. Rano mówiłem, że mizernie wyglądasz. Usmażyć ci kotlet na kolację?

„Ciekawe, czy pani Crowther dostała burę od męża i teścia?” – pomyślała Nancy.

Kolejna migrena nie nadeszła, w każdym razie nie tak silna i niespodziewana jak wówczas w szkole. Może tylko trochę częściej niż zwykle Nancy bolała głowa. „Przypuszczam, że jest pani przemęczona pracą” – stwierdził okulista, którego odwiedziła, aby się dowiedzieć, dlaczego od czasu do czasu w lewym oku widzi strumień światła,

połyskliwą złotą nić, nawet ładną. „Migrena optyczna – zawyrokował, zaglądając jej do oka z tak bliska, że czuła zapach miętówek, którymi próbował (na próżno) zatuszować woń zjedzonej na lunch cebuli. – Rzadko towarzyszy jej ból, moja droga”. Był starszym dobrotliwym mężczyzną i od lat praktykował w ich miasteczku. Uspokajająco dodał, że nie ma takiej rzeczy, jakiej by nie wiedział o schorzeniach oczu.

– Czasami, gdy dużo piszę na tablicy – powiedziała Nancy – wzrok mi się zaćmiewa, jakby ktoś rozsmarował na szkle wazelinę. Nie mogę wtedy ani czytać, ani pisać.

– Zdecydowanie migrena optyczna.

– Ostatnio miałam silną migrenę – dodała – i trochę częściej bolała mnie głowa.

– Otóż to.

– Moja matka cierpiała na bóle głowy. – Przypomniała sobie matkę wlokącą się po schodach do zaciemnionej sypialni i jej smutny, cierpliwy uśmiech, gdy mówiła: „Obawiam się, że potrzebna mi nowa głowa”. Śmiały się z tego (nie, kiedy ją bolało; nie były bezdusznymi córkami) i czule nazywały „hydrą”. „Ale taką milutką – zastrzegła się zawsze Millie. – Naszą cudowną, kochaną mamusią hydrą”.

Później Nancy zastanawiała się, czy już wtedy coś przeczuwała, czy to jakiś wewnętrzny głos kazał jej właśnie tego konkretnego wieczoru zaproponować przenosiny ich trojga do miasta, gdzie żyłoby im się łatwiej i wygodniej. Po wyjściu od okulisty z receptą na szkła do czytania („Po prostu taki wiek, moja droga, nie ma się czym martwić”) mogła myśleć jedynie o imbryku herbaty i opiekanej słodkiej drożdżowej bułeczce, które to smakołyki zamierzała sobie zafundować w kawiarni za rogiem, zanim ruszy w mozolną podróż rowerem do domu. Był upalny dzień, a Teddy wziął samochód. Pojechał na pokaz rolniczy w towarzystwie

naburmuszonej Violi. Nancy czuła się okropnie zmęczona, liczyła jednak, że filiżanka herbaty postawi ją na nogi.

Tak też się stało i gdy szukała w portmonetce drobnych na napiwek dla kelnerki, przyszło jej do głowy, że to, co się z nią dzieje – z nią oraz Teddym (a nawet z Violą, chociaż w mniej gwałtowny sposób) – można łatwo wytłumaczyć wpływem czasu. Starzeli się, poza tym jednak ich życie było wciąż takie samo. Dreptali w miejscu, kręcili się w kółku. Dlaczego nie mieliby czegoś zmienić, otrząsnąć się z tego marazmu?

– Brniemy? – powtórzył Teddy.

Nancy dostrzegła na jego twarzy skurcz zaniepokojenia. Siedzieli w łóżku: kakao, książki z biblioteki i tak dalej, według Nancy doskonała ilustracja tego, co rozumiała przez „brnięcie”. Przypomniała sobie słowa Sylvie: „Po ślubie człowiek tak strasznie głupieje”.

– To nic obraźliwego – podkreśliła, ale nie wydawał się przekonany.

Pewnego weekendu, wkrótce po przeprowadzce do Yorku, Nancy wyjmowała z piekarnika niedzielną pieczeń, gdy nagle i bez żadnego ostrzeżenia lewa ręka odmówiła jej posłuszeństwa. Brytfanka runęła na podłogę wraz z całą zawartością. Zaalarmowany hałasem Teddy wpadł do kuchni.

– Czy coś się stało?

– Nic takiego – uspokoiła go i z niesmakiem rozejrzała się po pobojuwisku. Jagnięcina i ziemniaki wymieszane, w dodatku wszystko opryskał rozgrzany tłuszcz.

– Sparzyłaś się? – zatroszczył się Teddy.

– Nie – zapewniła. – Po prostu mam dwie lewe ręce.

– Przyniosę ścierkę.

– Przyzwyczaiałam się do naszej kuchni na farmie i źle wymierzyłam odległość albo co... Biedne jagnię – dodała ze smutkiem, jakby udziec był starym przyjacielem. – Myślisz, że można coś z tego uratować? Zebrać z podłogi i udawać, że nic się nie stało? – Mięso wyglądało jak obtoczone w panierce z brudu i kurzu, chociaż Nancy mogłaby przysiąc, że podłoga w kuchni jest doskonale czysta. W myślach zrugła się za niechlujstwo. – Może obmyjemy je w gorącej wodzie? Szkoda wyrzucać. Podczas wojny nie pozwolilibyśmy sobie na takie marnotrawstwo. Jest jeszcze marchewka – dodała z nadzieją w głosie. – I sos miętowy.

– Chyba będzie lepiej, jeśli podgrzeję puszkę fasoli i zrobię jajecznicę. Jakoś nie wyobrażam sobie Violi pałaszującej marchew na niedzielny obiad – roześmiał się Teddy.

Pojawiły się też inne dolegliwości, drętwienie i mrowienie felernej lewej ręki, dalsze bóle głowy i kolejna okropna migrena, która zaczęła się w piątek wieczorem i trwała aż do poniedziałkowego poranka. Skłoniło to Nancy do odwiedzenia ich nowego internisty w nadziei otrzymania recepty na silny lek przeciwbólowy. Po serii dość dziwnych badań – musiała między innymi przejść kilka kroków w linii prostej i obracać głowę w różne strony jak kierowca podczas sprawdzania trzeźwości – lekarz oznajmił, że chciałby ją skierować do szpitala. Był to młody człowiek, partner starszego lekarza, który od lat prowadził w ich miasteczku praktykę, i bardzo nie chciał popełnić jakiegoś błędu. „Nie ma powodu do obaw – uspokoił ją jednak. – Prawdopodobnie ma pani rację i to rzeczywiście migrena”. Sprawa najwyraźniej nie była pilna, bo gdy listonosz przyniósł potwierdzenie terminu wizyty u specjalisty, Nancy była już przekonana, że szpital o niej zapomniał. Nie powiedziała o niczym Teddy’emu. Uznała, że nie ma sensu go denerwować (w przeciwieństwie do niej stale się czymś zamartwiał). Przypuszczała, że wyniki badań okażą się niejasne i skończy

tak jak matka, nękana przez okresowe migreny. Wątpiła tylko, czy zniesie je z podobną cierpliwością.

Tego dnia, w którym miała się zgłosić na badania, panowała piękna wiosenna pogoda. Nancy wyszła ze szkoły w czasie przerwy („Na lunch będę z powrotem!”) i postanowiła pieszo pójść do szpitala. Jeżeli dobrze rozplanuje spacer, zdąży przejść się kawałek wzdłuż murów miejskich i nacieszyć oczy niedawno rozkwitłymi żonkilami w ich „złocistej krasie”. Zapamiętała to określenie z felietonu Agrestisa sprzed kilku lat. Teddy zachwycał się w nim dzikimi żonkilami, na które natknął się podczas przechadzki po lesie.

Na razie nie rezygnował ze „Szkiców z natury”. Tłumaczył (głównie sobie samemu), że to tylko krótki tekst do napisania raz w miesiącu, a on może przecież urządzać wycieczki na wieś. Mogliby jeździć wspólnie, zabierać kosz piknikowy oraz lornetkę. „Wiem oczywiście, że to nie to samo, co *mieszkać* na wsi, »na odludziu« – dodawał znacząco – ale skoro nie ma innej rady... Przynajmniej dopóki redakcja nie znajdzie kogoś na moje miejsce”. Rok później zastępstwo się znalazło – kobieta, chociaż Agrestis nigdy nie przyznał się publicznie do zmiany płci. Wówczas nie miało to już dla Teddy’ego żadnego znaczenia. Bez żalu porzucił Agrestisa, bo niewiele się dla niego liczyło.

Żonkile porastające trawiaste zbocze pod murami miejskimi wyglądały naprawdę prześlicznie. Z jakiegoś powodu nie mieli ich w ogrodzie nowego domu (chyba wszyscy sadzili żonkile?) i Nancy obiecała sobie, że porozmawia z Teddym, aby je zasadził. Najlepiej od razu więcej (morze żonkili), żeby było jak u Wordswortha. Teddy na pewno chętnie na to przystanie. Ku jej zdziwieniu odkrył w sobie zamiłowanie do ogrodnictwa, nieustannie przeglądał katalogi nasion i rozrysowywał plany grządek oraz rabatek. Nancy dała mu wolną rękę, mimo to stale się z nią konsultował:

„Co powiesz na mieczyki? A na oczko wodne? Wolisz zielony groszek czy fasolkę? A może jedno i drugie?”.

Gdy zeszła z murów przy Monk Bar i czekała na światłach, aby przejść na drugą stronę, na jej lewe oko nieoczekiwanie spadła czarna zasłona, a raczej ciężka, nieprzepuszczająca światła kurtyna. Prywatne zaciemnienie. Ogarnęło ją przeczucie katastrofy. „Ociemniała”; nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym, skąd wzięło się to określenie. Oślepią jak święty Paweł, chociaż ulica Monkgate w niczym nie przypominała drogi do Damaszku.

Zdołała jakoś dotrzeć do pobliskiej ławki, usiadła i spokojnie czekała, co się dalej wydarzy. Może dozna objawienia i się nawróci? Marne szanse. Gdyby całkiem oślepiła, wezwałaby pomoc, ale utrata widzenia w jednym oku nie uzasadniała jej zdaniem angażowania nieznanym. („Nonsens – skarciła ją Millie, gdy Nancy o wszystkim jej opowiedziała. – Na twoim miejscu darłabym się jak opętana”). Ale Nancy różniła się od Millie). Po mniej więcej dziesięciu minutach, które spędziła na ławce w cichej kontemplacji, kurtyna uniosła się tak szybko, jak opadła, i w tajemniczy sposób Nancy odzyskała utracony wzrok.

– To prawdopodobnie coś na tle nerwowym – stwierdziła, gdy wreszcie dotarła na wizytę u specjalisty. – Całe szczęście, że akurat nie prowadziłam auta albo nie jechałam rowerem. – Rozgadała się uspokojona tym, że kryzys minął i udało jej się uniknąć biblijnego kataklizmu. – Możliwe – mruknął lekarz – Ale i tak dokładnie panią przebadamy. – Nie był młody, opiekuńczy ani dobrotliwy i miał bardzo niewiele do powiedzenia na temat migren.

Potem wszystko potoczyło się tak prędko, jakby wsiadła do jakiegoś koszmarnego pociągu, który nie chciał się zatrzymać. W szpitalu zrobili jej kolejne badania, w tym prześwietlenie. Lekarze unikali konkretnych

odpowiedzi, twierdzili, że nie są pewni diagnozy. Czy Nancy jest mężatką? Tak? Wobec tego niech na następną wizytę przyjdzie z mężem.

– Wykluczone, o ile się wcześniej nie dowiem, co mi właściwie dolega – oznajmiła Bei przez telefon. – Zwodzą mnie bez żadnego powodu.

Wiedziała, jak się traktuje beznadziejne przypadki. Lekarze informowali o diagnozie współmałżonków, rodzeństwo, nawet przyjaciół – wszystkich, byle nie samego pacjenta, aby pozwolić mu „jak najdłużej cieszyć się życiem”. W Bletchley Park poznała pewną wrenkę ⁶⁸, Barbarę Thoms, praktyczną, twardo stąpającą po ziemi dziewczynę. Była ona jednym z wielu trybików w maszynie. Pionkiem. Nancy jako deszyfrantka stała nieco wyżej w hierarchii i traktowano ją jak „jedną z chłopaków”. Zwykle nie miała wiele do czynienia z pionkami pokroju Barbary, tak się jednak złożyło, że obie reprezentowały kiedyś hrabstwo w grze w netball, a w Bletchley na próżno próbowały sformować drużynę. (W Cambridge Nancy zdobyła nawet wyróżnienie w rozgrywkach regionalnych). Pod koniec wojny Nancy została zastępczynią szefowej swojej komórki i miała w jadalni własny stół. Znała ich wszystkich – Turinga, Tony’ego Kendricka, Petera Twinna. Uwielbiała tamten świat – zamknięty, tajemniczy, samowystarczalny – zawsze jednak towarzyszyła jej świadomość, że to nie może trwać wiecznie i że z czasem trzeba będzie „na nowo podjąć regularną służbę”. Wszystko trzeba będzie zacząć na nowo.

Biedna Barbara miała raka, wyjątkowo agresywnego i nieuleczalnego. Chodziło o „sprawy kobiece”; dla jej mniej praktycznej matki był to zbyt krępujący temat, aby się wdawać w szczegóły. Pani Thoms powiedziała o chorobie komuś, z kim pracowała jej córka, i wkrótce wstydlivy sekret znały wszystkie dziewczęta z sekcji Barbary poza nią samą. Pani Thoms zażądała od nich przysięgi, że będą milczały jak grób, bo tak doradzili jej lekarze – żeby córka „nie musiała żyć w cieniu swojej choroby”. Biedaczka

pracowała, dopóki starczyło jej sił, po czym wróciła do domu, aby tam umrzeć, nadal niczego nieświadoma, wciąż licząca na to, że wyzdrowieje.

Nancy prawie zdążyła o niej zapomnieć, gdy pewnego dnia otrzymała od pani Thoms list z informacją, że Barbara umarła i została pochowana. „Pogrzeb odbył się w wąskim gronie. Na szczęście do końca nie wiedziała, co jej dolega”. „Ładne mi szczęście!” – pomyślała Nancy. Gdyby sama poważnie zachorowała i groziłaby jej śmierć, nie chciałaby być trzymana w niewiedzy, wolałaby *wiedzieć*. A najlepiej, żeby było dokładnie na odwrót, to znaczy żeby *ona* wiedziała, a jej najbliżsi nie. Dlaczego miałyby skazywać Teddy’ego i Violę na „życie w cieniu swojej choroby”?

– Powinnaś się skonsultować z kimś z Harley Street – doradziła jej Bea.
– Mam jeszcze kilka znajomości w lekarskim świecie. – Po wojnie Bea wyszła za mąż za chirurga, ale związek nie przetrwał („Chyba nie jestem stworzona do małżeństwa”). – Dowiem się, kto jest w tej dziedzinie najlepszy i nie będzie ci mydlił oczu. Ale musisz powiedzieć Teddy’emu.

– Powiem mu. Obiecuję.

* * *

Niewiele brakowało, aby umarła, rodząc Violę, i z tego powodu czuła, że jest w pewnym sensie uodporniona na wszelkie nieszczęścia. Może dlatego dotarcie do sedna problemu zajęło jej tyle czasu. Tymczasem licho nie spało. Choroba atakowała ją, a przede wszystkim jej umysł. Gdyby tylko chodziło o pierś, rękę, oko! Nawet gdyby czekała ją przedwczesna śmierć, przynajmniej zachowałaby do końca jasność umysłu. Czasami, gdy czuła, że grzęźnie w podwójnych obowiązkach żony i matki, myślała o tym, jak bardzo miłość niszczy jej życie. Viola wypchnięta z jej łona na fali gniewu, Teddy robiący wiecznie dobrą minę do złej gry, udający, że w głębi duszy niczym się nie martwi.

Gdy zamieszkali w nowym domu, w ogrodzie od frontu rósł śliczny bez, lecz Teddy ściął go w pełnym rozkwicie. „Ale dlaczego?” – dopytywała się. Dostrzegła jednak wyraz jego oczu i już wiedziała, że chodzi o coś, co stało się podczas wojny – o ostateczny upadek człowieka. Nie liczyła, że Teddy wyjaśni jej, o co chodzi. Jego wojna stanowiła prawdziwą enigmę, jedyną zagadkę, której Nancy nigdy nie zdołała rozwikłać. Bywało, że brakowało jej do niego cierpliwości. Myślała wtedy: „Przecież mamy już lata sześćdziesiąte, na litość boską!”. Była taka zmęczona. Miała wrażenie, że życie upływa jej głównie na motywowaniu innych i dodawaniu im odwagi: Teddy’emu, Violi, uczniom. Zupełnie jakby znów była kapitanem drużyny netballu.

Nie tylko Teddy poświęcił wojnie swoje najlepsze lata. Nancy studiowała matematykę w Newnham, trzeci rok ukończyła z wyróżnieniem i w 1936 roku obroniła dyplom z pierwszą lokatą. Otrzymała nagrodę Philippy Fawcett, a następnie została zwerbowana i wiosną 1940 roku wysłana do Rządowej Szkoły Kodów i Szyfrów. Dla wojny zrezygnowała z błyskotliwej kariery. Potem zrobiła to jeszcze raz dla Teddy’ego i Violi.

– Wybieram się do Lyme pomóc Gertie w przeprowadzce.

– Dobrze. To miło z twojej strony – odparł Teddy.

– Trzeba spakować lżejsze rzeczy, naczynia, bibeloty i tak dalej. Nie będzie mnie tylko kilka dni. Chętnie spędzę z nią trochę czasu.

Nancy wróciła do domu jak gdyby nigdy nic. Dzień później przyszła kartka od Gertie z namalowanymi akwarelą fiołkami. „Ulubione kwiaty naszej mamy, jak zapewne pamiętasz”. Nie pamiętała. Córce dała na imię Viola ⁶⁹ z myślą o bohaterce sztuki Szekspira, nie o swojej matce. Kto zapomina o czymś takim? A w każdym razie spycha takie wspomnienie w podświadomość? O czym z czasem zapomni jej własne dziecko? Ogarnęło ją nagłe poczucie osamotnienia i pożałowała, że matka nie żyje.

Niedługo Viola doświadczy tego samego. Myśl, że córka zostanie pólsierotą, była nieznośna. Po policzku popłynęła łza. Nancy otarła ją i w duchu nakazała sobie wziąć się w garść.

Znów pochyliła się nad kartką od Gertie: „Tylko dwa słowa, żeby cię uprzedzić: Teddy telefonował i szukał cię, gdy byłaś »u mnie«. Mam nadzieję, że dobrze to rozegrałam, zrobiłam z siebie skończoną idiotkę. Jesteś pewna, kochanie, że nie powinien wiedzieć, co się święci? (Nie wtrącam się, tylko pytam). Ściskam Cię, G. PS. Zdecydowaliście coś w sprawie tego kredensu?”.

– Powinnaś mu powiedzieć – stwierdziła Millie. – Naprawdę powinnaś. *Koncertowo* cię kryłam, powiedziałam, że właśnie wsadziłam cię do pociągu i że świetnie się bawiliśmy razem w Krainie Jezior, ale prędzej czy później Teddy dowie się prawdy.

Nancy szukała wsparcia nie u męża, lecz u sióstr, uruchomiła z tego powodu lawinową wymianę korespondencji i telefonów między całą piątką. Siostry mogła obarczyć swoimi kłopotami, Teddy’ego nie. Nie był naiwny i prawdopodobnie coś podejrzewał, ale Nancy nie zamierzała go niepokoić, dopóki sama nie zdobędzie pewności. Jako matematyczka pokładała wiarę w prawdach absolutnych. Jeżeli potwierdzą się najgorsze prognozy, Teddy będzie przynajmniej krócej cierpieł. I bardzo dobrze.

– Musisz mu powiedzieć, Nancy.

– Powiem, Millie. Oczywiście, że mu powiem.

Nie kłamała, kiedy oznajmiła, że chce odwiedzić Beę w Londynie. Co prawda nie po to, aby obejrzeć przedstawienie albo wystawę, jak powiedziała Teddy’emu, ale aby pić whisky na sofie siostry w jej ekstrawagancko urządzonej kawalerce w Chelsea. Siedząca obok Nancy Ursula przyniosła ze sobą całą butelkę.

– Pomyślałam, że przyda nam się coś mocniejszego niż herbata.

– Zawsze mam w domu dzin – zauważyła Bea. Jakiś czas temu rozwiodła się ze swoim mężem chirurgiem i pracowała w BBC. Twierdziła, że samotne życie jej służy.

Nadciągnęła Millie, zarumieniona i zdyszana od sprintu po schodach.

– Zgubiłam się – oznajmiła. – Przepraszam.

– Whisky czy dzin? – zwróciła się do niej Bea. – Czy raczej herbata?

– Wszystko brzmi kusząco... Poproszę o dzin. Czysty. – Zerknęła na Nancy i dodała, nachylając się do Bei: – Bo chyba będę go potrzebować, prawda? Jest źle?

– Bardzo źle – odparła ponuro Bea.

– *Naprawdę źle?* – Millie mówiła z zabawnym akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer. Albo chciała w ten sposób zapanować nad emocjami, albo wyobrażała sobie, że wciela się w filmie lub sztuce w rolę bohaterki będącej uosobieniem angielskiej flegmy. Na przykład w postać graną przez Celię Johnson w *Spotkaniu*. Poczucie obowiązku, imperatyw moralny nakazujący właściwy wybór; Nancy wszystko to podziwiała, a zarazem coś się w niej buntowało. Pomyślała, że najchętniej by teraz uciekła i niech diabli porwą wszelką powinność. Wyobraziła sobie, jak zbiega po wąskich schodach prowadzących do mieszkanie Bei, wypada na ulicę i pędzi najpierw wzdłuż rzeki, a potem dalej, dopóki nie prześcignie depczących jej po piętach lęków.

Wilgotny błysk w oku Millie i lekkie drżenie jej dłoni, gdy brała do ręki kieliszek, upewniły Nancy, że siostra jednak nie gra.

– Jestem tutaj – odezwała się. – Możesz *mnie* zapytać.

– Chyba nie chcę cię o nic pytać – odrzekła Millie. – Wolę nie wiedzieć.

– Wilgotny błysk zmienił się w łzę. Bea popchnęła Millie lekko w kierunku fotela i usiadła na dywanie u jej stóp.

– No więc to prawda – powiedziała spokojnie Nancy. – Diagnoza się potwierdziła. Obawiam się, że jest *naprawdę* źle, jak to ujęłaś. Z przykrością muszę stwierdzić, że trafił mi się najgorszy wariant.

Z ust Millie wyrwało się gwałtowne łkanie. Zaraz też przycisnęła ręką wargi, jakby chciała powstrzymać płacz, ale było za późno. Bea chwyciła jej drugą rękę i mocno ścisnęła. Obie wyglądały jak pasażerki statku w obliczu nieuniknionej katastrofy.

– Nic się nie da zrobić? – spytała Ursula. – Z pewnością...

– Nie – ucięła Nancy, wchodząc jej w słowo. Zaczną się teraz chwytać nadziei, liczyć na cud. Nie ma nadziei. – Lekarz powiedział, że może gdyby guz został wcześniej zdiagnozowany, można by było coś poradzić. Teraz jest za późno na operację – dodała, uniósłszy dłoń, żeby uciszyć Beę, która chciała zaprotestować. – Nie można go wyciąć ze względu na jego umiejscowienie, poza tym nacieka na naczynia krwionośne... – „O Boże” – jęknęła Millie, całkiem zielona na twarzy; zawsze była najbardziej z nich wszystkich przewrażliwiona – ...co dodatkowo uniemożliwia operację. Zabieg w najlepszym razie zakończyłby się moją śmiercią.

– Skoro śmierć to najlepsze, co cię czeka, jaki jest najgorszy scenariusz? – chciała wiedzieć Ursula.

Millie głośno wciągnęła powietrze na dźwięk słowa „śmierć”, jakby samo wymówienie go równało się bluźnierstwu.

– Najprawdopodobniej stałabym się kompletnie niesprawną pod względem zarówno psychicznym, jak i fizycznym...

– Najprawdopodobniej? – wtrąciła Bea, desperacko chwytając się desek zmiotanego burzą wraku.

– Niemal na pewno – odparła Nancy. – Co też oznaczałoby koniec, chociaż nieco innego rodzaju. Lecz i to na nic, bo z uwagi na położenie guza nie można go wyciąć w całości. (Millie wyglądała, jakby miała za

chwilę zwymiotować). Rósłby sobie dalej. Słuchajcie – dodała nieco ostrzej, niż zamierzała – naprawdę byłoby lepiej, lepiej *dla mnie*, gdybyście po prostu to zaakceptowały.

W głębi duszy przeczuwała, że tak będzie – odkąd pierwszy raz odwiedziła specjalistę z Harley Street w czasie, gdy rzekomo pomagała Gertie w przeprowadzce. Lekarz, którego poleciła jej Bea, doktor Morton-Fraser, okazał się całkiem rozsądnym Szkotem. „Ma znakomitą renome – zachwalała Bea – i słynie z dokładności. To jeden z tych, co poruszają niebo i ziemię, żeby ratować pacjenta”. Wtedy była jeszcze odrobina nadziei, która zbladła przy kolejnej wizycie („Dom Wordswortha i takie tam”). Doktor Morton-Fraser pokazał Nancy prześwietlenia i sama mogła się przekonać, jak bardzo guz urósł w ciągu miesiąca. „Może gdyby zgłosiła się pani do mnie rok wcześniej – rzekł – ale nawet wtedy nie mógłbym niczego zagwarantować...”. „Rak agresywny i nieuleczalny” – brzmiała diagnoza, taka sama jak w przypadku biednej Barbary Thoms.

– Nie zniosę tego – wymamrotała Millie, gdy Bea wstała, aby napełnić kieliszki. Nancy poczuła nagły gniew; przecież to ona będzie musiała znosić chorobę, nie one.

Chciała, aby zostawiono ją w spokoju, chciała się zaszyć w swoim cichym świecie i rozmyślać o śmierci. Śmierć. Owszem, potrafiła wymówić to okrutne, dla niektórych tak trudne do przyjęcia słowo. Zamiast tego musiała być uprzejma i silna, musiała powtarzać, że wszystko będzie dobrze (choć wiadomo było, że to nieprawda) i że „już się z tym pogodziła”.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszyła teraz Millie. – Naprawdę. Już się z tym pogodziłam. Teraz kolej na was.

– A co z Teddym? – spytała Ursula łamiącym się głosem. – Dzwonił do mnie dziś rano, Nancy. Podejrzewa cię o romans, na litość boską! Musisz

go wyprowadzić z błędu, żeby dłużej nie cierpiał.

Nancy roześmiała się z goryczą. – I zafundować mu jeszcze gorsze cierpienie?

– Powiedz mu jak najszybciej. To nie fair, że tak długo trzymałaś go w niewiedzy. (Nancy pomyślała poirytowana, że Ursula zawsze brała stronę Teddy’ego). Chociaż Viola chyba nie powinna się dowiedzieć...

– Broń Boże – wtrąciła prędko Bea. – Violi nic nie mów. Jest za mała, żeby zrozumieć.

– Zaopiekujemy się nią – wyrwało się Millie. – Będziemy przy niej...

– Musisz powiedzieć Teddy’emu – powtórzyła stanowczo Ursula. – Wrócisz do domu i mu powiesz.

– Dobrze – westchnęła Nancy. – Powiem.

Odprowadziły ją na stację King’s Cross i wsadziły do pociągu. Bea ucałowała ją czule, jakby nagle odkryła, że Nancy jest zrobiona z kruchego szkła i byle co może jej zaszkodzić. „Odwagi” – wyszeptała. Ursula dla odmiany najwyraźniej nie obawiała się, że skrzywdzi Nancy, i mocno ją uściskała. „Będziesz musiała pomóc Teddy’emu – rzekła z naciskiem. – Inaczej sobie nie poradzi”. „Chryste Panie – pomyślała Nancy ze znużeniem – czy nikt już nie pozwoli mi być słabą i beznadziejnie samolubną?”.

Gdy pociąg ruszał, machały jej, stojąc na peronie ze łzami w oczach (z wyjątkiem Millie, która spazmatycznie łkała). „Można by pomyśleć, że wyjeżdżam na wojnę” – pomyślała Nancy. Na wojnę, która niestety jest z góry przegrana.

– Brnie? – powtórzyła.

– Wiem, co się święci – odparł Teddy. Przez wszystkie te lata nie widziała go w gniewie. W *takim* gniewie. A już na pewno nie z jej powodu.

Weszła do kuchni, nachyliła się nad zlewem, odkręciła kran i napełniła szklankę wodą. Przygotowywała się do tej chwili w pociągu (koszmarna podróż w wagonie pełnym żłopiących piwo palaczy, którzy lubieżnie na nią łypali), lecz gdy przyszło co do czego, zabrakło jej słów. Żeby zyskać na czasie, powoli piła wodę.

– Wiem wszystko – powtórzył Teddy głosem napiętym z wściekłości, jakiej dotąd u niego nie znała.

Odwróciła się, stanęła twarzą do niego i powiedziała:

– Nie, Teddy. Niczego nie wiesz.

Początkowo guz wydawał się Nancy drapieżnikiem, intruzem zagłębiającym się w tkanki jej mózgu, pożerającym ją żywcem. Teraz, gdy klamka zapadła i wyczerpały się możliwości, przestała traktować go jak wroga. Nie był jej przyjacielem (wręcz przeciwnie), ale stanowił część niej samej. Należał do niej, a ona do niego, wierni kompani aż do straszliwego końca.

Z dnia na dzień rzuciła pracę. Jaki sens miałoby teraz poświęcanie czasu innym? Viola, która zdążyła się przyzwyczaić, że matka odwozi ją do szkoły, a następnie z niej odbiera, buntowała się, że musi podróżować całkiem sama. Nancy pokazała jej, jak się jeździ autobusem („Ale *dlaczego?*”). Wyjaśniła, że nie czuje się najlepiej i musi trochę odpocząć od uczenia, żeby wydobrzeć. Violi trudno było się nagle przestawić na samodzielność, do której powinna była stopniowo dojrzewać, ale w tej sytuacji liczyły się nie sentymenty, tylko to, co praktyczne. Nancy stała się nieugięta.

Kupowała córce ubrania o dwa i trzy rozmiary za duże, spisywała dla Teddy’ego co ważniejsze informacje: gdzie mieszka nauczyciel fortepianu, adresy i numery telefonów rodziców szkolnych koleżanek Violi, co ich

córka lubi, a czego nie toleruje. Teddy'emu rzecz jasna nie były obce upodobania małej, ale nie znał całej ich gamy.

Jak na ironię, Nancy czuła się wyjątkowo dobrze w ciągu tych kilku pierwszych tygodni po tym, jak wydano na nią wyrok śmierci. Według niej tak właśnie było, chociaż ze względu na innych uciekała się do eufemizmów. Uprzątnęła szuflady i szafki, wyrzuciła rupiecie, zrobiła przegląd własnej garderoby i pozbyła się części ubrań. Czy dożyje kolejnej zimy? Czy będzie potrzebowała tych wszystkich wełnianych swetrów, ciepłych podkoszulków i grubych rajstop? Przypuszczała, że po jej odejściu siostry przyjadą przejrzeć jej rzeczy, tak jak razem z nią przeglądały rzeczy zmarłej matki. Będzie im łatwiej, jeśli nieco oczyści przedpole. Nie omawiała z nikim tych dość makabrycznych poczynań. Bliscy znieśliby to gorzej od niej. W istocie czerpała sporą satysfakcję ze świadomości, że pozostawia po sobie ład. W wyobraźni widziała Gertie, jak ta rozgląda się po sypialni i mówi: „Pocziwa Nancy, jakie to do niej podobne, dopiąć wszystko na ostatni guzik, zostawić wzorowy porządek”. Gdy nadszedł ten moment, Gertie niczego podobnego nie powiedziała, zbyt zrozpaczona, aby wygłaszać równie niepoważne uwagi.

Teddy był zdezorientowany tym nagłym przypływem energii i zaryzykował stwierdzenie, że lekarze mogli się pomylić („Wiesz, jaki mają bałagan w papierach. Może dostali niewłaściwe wyniki badań?”). A może jednak jej się poprawiło? „To byłby cud, Teddy – odparła tak łagodnie, jak potrafiła. – Na tę chorobę nie ma lekarstwa”. Nadzieja była w ich sytuacji najgorszą rzeczą. Chciała cieszyć się tym chwilowym odroczeniem wyroku i nie łudzić się, że to coś innego.

– Przecież sama myślałaś, że zginąłem na wojnie – nie ustępował Teddy.
– Straciłaś wtedy nadzieję?

– Tak, straciłam. Dobrze wiesz, że tak było. Jak powiedziałaś: myślałam, że zginęłam.

– Czyli kiedy wróciłem, zdarzył się cud – stwierdził takim tonem, jakby postawił na swoim. Tyle że on wrócił z obozu jenieckiego, nie z grobu. Ostatnio nie rozumował logicznie, ale jakie to właściwie miało znaczenie? Wkrótce na dobre straci wiarę w cuda.

W końcu nastąpił dzień, gdy wszystkie szuflady zostały uprzątnięte, a wszystkie ważne informacje spisane. Kiedy Nancy przestała się krzątać, odkryła, że pragnie po prostu samotności. Ciszę w domu wypełniała grą na pianinie – sporadycznie Beethovenem, najczęściej Chopinem. Przez lata wyszła z wprawy, lecz z dnia na dzień obserwowała niewielkie postępy. W rozmowie z Teddym żartowała nawet, że przynajmniej w tej dziedzinie może liczyć na poprawę, lecz jej wisielczy humor do niego nie przemawiał.

Pewnego popołudnia, gdy Nancy ćwiczyła *Poloneza Es-dur* – zabójczo trudny utwór – Teddy wrócił wcześniej do domu. Zauważyła, że zdarza mu się to coraz częściej, jakby usiłował na zapas wypełnić jej obecnością swoje serce i umysł, gdzie przecież miała odtąd żyć (podobnie jak w sercach swoich sióstr). Jakaś drobna jej część miała również trwać w Violi, lecz i ona z czasem zblednie, stanie się mglistym wspomnieniem, iluzją, aż wreszcie popadnie w zapomnienie. „Ulubione kwiaty naszej mamy, jak zapewne pamiętasz”. „Moje ulubione kwiaty to dzwonki leśne” – powiedziała kiedyś zupełnie nie à propos do Violi, która obojętnie odparła: „Tak?”, bardziej zainteresowana oglądaniem programu dla dzieci w telewizji. Kiedyś jednak Teddy umrze, odejdą jej siostry, a nawet Viola i po Nancy nic nie zostanie. Tak to już było. Śmierć jako tragedia życia. *Sic transit gloria mundi* ⁷⁰. „Dam pensa za twoje myśli” – mawiał (zbyt często) Teddy, gdy siedziała pogrążona w podobnych filozoficznych rozważaniach (z natury pozbawionych sensu). Lepiej być niemym stworzeniem jak Bobby

i witać każdy poranek z taką samą ignorancją. – Och, moje myśli nie mają żadnej wartości – odpowiadała, siląc się na uśmiech. – Zmarnowałbyś tego pensa.

Nie chodziło o to, że nie chciała dzielić z nim swoich myśli czy spędzać z nim czasu – no i z Violą, rzecz jasna. Po prostu przygotowywała się do samotnego przejścia w mrok, w nicość (bo trudno to było nazwać miejscem), gdzie nic nie ma znaczenia: ani kakao, ani książki z biblioteki, ani Chopin. Ani nawet miłość. Gdyby chciała dalej wyliczać, lista ciągnęłaby się bez końca, postanowiła więc tego nie robić. Skończyła z listami. Odłożyła na bok ponurą filozofię i wzięła się za Chopina.

– Czy to *Etiuda Rewolucyjna*? – zainteresował się Teddy, wrywając ją ze skupienia. Nancy pomyliła klawisze; fałszywa nuta zabrzmiała w jej uszach wyjątkowo drażniąco. – Moja matka też to grała – dodał.

Sylvie była znakomitą pianistką. Nancy zwykła zakradać się do Fox Corner, żeby posłuchać jej gry. Kiedy Sylvie miała zły humor, Nancy nie musiała nigdzie chodzić. Muzyka dobiegała z drugiego końca drogi. („Znowu słyhać panią Todd!” – mówił z sympatią major Shawcross, który darzył Sylvie ogromnym szacunkiem).

Wtedy Nancy o tym nie myślała, ale może Sylvie również wolała, aby ją zostawiono w spokoju, i przeszkadzała jej nieproszona jednoosobowa widownia w kąciku bawialni? Wydawała się pochłonięta muzyką, nieświadoma czyjejkolwiek obecności, dopóki nie skończyła grać i Nancy nie poderwała się, wiedziona impulsem, aby ją oklaskiwać („Brawo, pani Todd!”).

– Ach, to ty, Nancy – rzucała wówczas dość szorstko.

– Nie *Etiuda Rewolucyjna*, tylko *Polonez Heroiczny* – odrzekła Nancy, ze zniecierpliwieniem. „Lotny czas, co przybliżyła się w swoim rydwanie” ⁷¹
– pomyślała. Niemal słyszała mozolny łopot skrzydeł, jakby ociężalej gęsi.

Czuła, że ją również opuszczają siły, i nie mogła nic na to poradzić. – Twoja matka miała talent – dodała. – Ja, obawiam się, jestem amatorką. A to taki trudny utwór.

– Dla mnie brzmiał zupełnie dobrze – stwierdził Teddy. Nancy wiedziała, że kłamie. – Wszedłem do pokoju i pomyślałem, że wyglądasz jak żywcem przeniesiona z obrazu Vermeera.

– Vermeera? A to dlaczego?

– Przypomniał mi się ten obraz z National Gallery – *Dziewczyna przy wirginalu* czy coś w tym rodzaju.

– *Młoda kobieta siedząca przy wirginalu* – poprawiła go Nancy.

– Właśnie. Jak zwykle masz niezawodną pamięć.

– Dlaczego akurat Vermeer? – dociekała.

– Chodzi o sposób, w jaki się odwróciłaś, żeby na mnie spojrzeć. Miałaś taki enigmatyczny wyraz twarzy.

– Zawsze sądziłam, że tamta dziewczyna u Vermeera wygląda jak żaba – prychnęła Nancy, myśląc jednocześnie: „Wyglądam enigmatycznie, bo umieram”.

– Czy mi się wydaje, czy jest jeszcze jeden obraz, przedstawiający kobietę stojącą przy wirginalu? – zastanawiał się Teddy.

– Nie wydaje ci się. Są dwa, oba w National Gallery.

– Ciekawe, czy przedstawiają tę samą kobietę – dumiał głośno Teddy. – I ten sam instrument.

„Och, idź sobie, kochany, i daj mi wreszcie spokój – pomyślała Nancy. – Przestań przeciągać rozmowy, żebyś miał potem co wspominać, przestań gromadzić chwile. Zostaw mnie samą z moim Chopinem”. Westchnęła, zamknęła wieko fortepianu i siłąc się na pogodny ton, zaproponowała: – Napijemy się herbaty?

– Zaraz zaparzę – ożywił się Teddy. – Masz ochotę na ciasto? Mamy w ogóle jakieś ciasto?

– Sądzę, że coś się znajdzie.

– Chcę, żebyś mi coś obiecał.

– Wszystko, co zechcesz – zgodził się. „Nawet nie wiesz, na co się decydujesz” – pomyślała Nancy. Siedzieli przy stole w jadalni, Teddy przeglądał rachunki, a ona naszywała na ubrania Violi zamówione wcześniej tasiemki z imieniem i nazwiskiem. Letnie wakacje dobiegały końca, zbliżał się nowy rok szkolny. Rytm życia Nancy był dotąd ściśle związany z zajęciami w szkole; dziwnie się czuła, kiedy myślała, że najprawdopodobniej nie doczeka końca semestru wiosennego.

Na tasiemce widniało: „Viola B. Todd”, wydrukowane pochyłą czerwoną czcionką. „B.” jak Beresford, pierwszy człon nazwiska Teddy’ego, panińskie nazwisko jego matki, zanim została Sylvie Todd. Jej ojciec był malarzem – według Sylvie w swoim czasie bardzo znanym – jednak w rodzinie nie zachowały się żadne jego prace. Serce Nancy przyspieszyło, gdy podczas zwiedzania z Violą jednej z galerii sztuki w Yorku natknęła się na portret dawno zapomnianego świeckiego dygnitarza namalowany przez ojca Sylvie pod koniec minionego wieku. Mała mosiężna tabliczka u dołu ramy głosiła: „Llewellyn A. Beresford, 1845–1903”, w rogu płótna widniały wyblakłe inicjały „L.A.B.”. „Spójrz – zwróciła się do Violi – ten obraz wyszedł spod pędzla twojego pradziadka”, lecz tak odległe pokrewieństwo nie zainteresowało dziewczynki.

Zaczęła przyszywać kolejną tasiemkę, tym razem przy kołnierzu bluzy, i niemal natychmiast ukłuła się igłą. Ostatnio marnie jej się szło. Nie dawała też rady robić równo na drutach. Wyobraziła sobie rój pszczół w ciszy lepiących w jej mózgu plaster miodu.

– Dobrze się czujesz? – zagadnął Teddy, patrząc na doskonale okrągłą kropelkę krwi na palcu żony. Skinęła głową i zlizwała krew, zanim ta zdążyła zaplamić materiał.

– Obiecuj mi – podjęła i odłożyła szycie – że kiedy nadejdzie wiadoma chwila... (Teddy wzdrygnął się na dźwięk tych słów) ...kiedy nadejdzie wiadoma chwila, to mi pomożesz.

– Pomogę? W czym? – Teddy porzucił rachunek za gaz, który właśnie sprawdzał.

Doskonale wiedział, co Nancy ma na myśli. – Pomożesz mi odejść, gdy będzie naprawdę źle i uznam, że więcej nie zniosę. Bo będzie źle, Teddy.

– Niekoniecznie.

W obliczu jego uników mogłaby krzyczeć z frustracji. Umierała na raka mózgu, czekały ją niewyobrażalne męczarnie („Naprawdę źle”). O ile nie dopisze jej wyjątkowe szczęście i nie odejdzie spokojnie pogrążona we śnie. – Jeśli jednak *zacznie* być źle – podjęła cierpliwie – chcę odejść, zanim choroba zrobi ze mnie śliniacą się kretynekę. („Chcę umrzeć jako ja” – pomyślała). Nie pozwolilibyś cierpieć psu, więc nie pozwól i mnie.

– Chcesz, żebym cię uśpił jak psa? – zapytał z irytacją.

– Wiesz dobrze, że nie to miałam na myśli.

– Jednak chcesz, żebym cię zabił.

– Nie. Tylko żebyś mi pomógł popełnić samobójstwo.

– A czym to się różni od zabójstwa?

– Może się zdarzyć, że stanę się niedołączna i nie będę w stanie sama tego zrobić. Chodzi o to, żebyś podał mi wtedy morfinę albo jakieś tabletki, coś w tym rodzaju. („Albo po prostu przyłożysz mi do twarzy poduszkę i będzie po sprawie” – pomyślała. Tyle że to rzecz jasna nie wchodziło w grę). To musi wyglądać na samobójstwo – podkreśliła. – W przeciwnym razie oskarżą cię o morderstwo. (Nie mogła wybrać gorszego słowa).

– I będą mieli rację. To *będzie* morderstwo.

Splótł palce dłoni i wpatrywał się w nie tak, jakby w myślach oceniał, czy są w stanie wykonać jej prośbę. Wreszcie po dłuższym milczeniu powiedział:

– Nie jestem pewien, czy dam radę to zrobić. – Na jego twarzy odmalowała się rozpacz. Nie patrzył na nią, nie chciał na nią patrzeć.

„Złożyłeś fatalną obietnicę – pomyślała Nancy. – Przysięgłeś zrobić wszystko, czego zażądam. I poprzysiągłeś mi coś jeszcze – dodała w duchu. – Że będziesz przy mnie na dobre i na złe. Teraz zaczyna się dla nas to, co złe. Najgorsze”. Przemknęła jej przez głowę podła myśl: „Ciekawe, ilu ludzi zabił w czasie wojny?”.

– Zapomnijmy o tej rozmowie – poprosiła po chwili. Wyciągnęła ręce nad blatem i objęła swoimi przebaczącymi dłońmi jego zaciśnięte pięści. – Może wcale nie będzie tak strasznie. Zobaczymy. – Kiwnął głową z wdzięcznością, jakby udzieliła mu rozgrzeszenia.

Zachował się jak ostatni tchórz. Zgotował śmierć tysiącom ludzi – kobietom i dzieciom, niczym się nieróżniącym od jego żony i dziecka, od jego matki i siostry. Wtedy zabijał z bezpiecznej odległości dwudziestu tysięcy stóp. Ale zabić jednego człowieka, w dodatku takiego, który sam prosi o śmierć? Widział, jak życie uchodzi z Keitha, i nie był pewien, czy potrafiłby znowu przejść przez coś podobnego. Nawet przez wzgląd na Nancy. Znał ją, odkąd skończył trzy lata („Od dziecka sobie przeznaczeni”), czyli przez całe świadome życie, a teraz miał być jej katem?

Zawsze sądził, że się razem zestarzeją. Nie wyobrażał sobie siebie jako starca, z łatwością jednak widział Nancy z pogrubioną talią, przyjemnym podwójnym podbródkiem i siwymi włosami. Przypominała mu trochę panią Shawcross – mrużyła oczy nad robótką i rozwiązywała krzyżówki w „The Telegraph”. On uprawiałby ziemniaki, ona pełnaby grządki. Ogrodnictwo

nie było jej pasją, ale nie potrafiła siedzieć beczynn timer. Mieli być parą wiernych kompanów, którzy zasną wspólnie w ciszy i spokoju, a teraz okazało się, że Nancy ma odejść pierwsza. Teddy przypomniał sobie niezadowolenie Sylvie z powodu nagłej śmierci Hugh: „Tak mi się wymknął bez słowa!”. „Chcę szczeznąć o północy bez męki konania” [72](#). Czy Nancy naprawdę na to nie zasługiwała?

* * *

Zrozumiała, że sama będzie musiała poszukać ulgi w cierpieniu. Leżała skulona na łóżeczku Violi, obejmując uspioną córkę ramieniem. Niedługo Viola będzie potrzebowała większego łóżka, ale już nie Nancy je wybierze. Przed snem czytała małej *Anię z Zielonego Wzgórza*. Ania także musiała być twarda. Czasem zamieniały się rolami i to Viola czytała matce. Lubiła czytać, była prawdziwym mołem książkowym – określenie, którego szczerze nie cierpiała. „Jaki robak może być miły?”. „Mogłabym być robakiem – pomyślała Nancy – gdyby to była jedyna możliwość, aby dalej żyć”, po czym wyśmiała w duchu własną desperację. – Bez robaków nie można by niczego uprawiać i wszyscy pomarliibyśmy z głodu – odparła rozsądnie.

Musi koniecznie powiedzieć Teddy’emu, że chce zostać skremowana. Odejść w płomieniach, na stosie, powrócić do świata cząstek elementarnych. Dla Violi też będzie lepiej, jeśli przez resztę dzieciństwa nie będzie musiała sobie wyobrazać matki pogrzebanej w ciemnej, wilgotnej ziemi, zżeranej przez robactwo. Z każdym dniem serce Nancy stawało się coraz cięższe. Myśleć o takich rzeczach (być zmuszoną do myślenia o takich rzeczach), podczas gdy tuli się w ramionach jedyne dziecko, na narzucie leży otwarta *Ania z Zielonego Wzgórza*, a na nocnej szafce stoi

niedopite mleko Violi („Kakao, książki z biblioteki i tak dalej”) – to było ponad jej siły.

W ostatnich tygodniach przeczytały razem *Tajemniczy ogród* oraz *Heidi*. Nieprzypadkowo bohaterką każdej z tych książek była sierota. Po *Ani* (o ile wystarczy im czasu) Nancy planowała przejść do *Małych kobietek*. Tam bohaterki nie były sierotami, tylko silnymi, przedsiębiorczymi młodymi kobietami. Wszystkie Shawcrossówny uwielbiały Louise May Alcott. „No i bajki, rzecz jasna” – powiedziała, zwracając się do Winnie, która „wpadła z krótką weekendową wizytą”. Najstarsza z całej ich piątki, mieszkała w Kent, gdzie „dobrze wyszła za mąż” za samozwańczego „rekina przemysłu” – określenie, które niezwykle bawiło wszystkie siostry. Winnie pozostała jednak dobra, poczciwa i zaradna.

– Pomyśl o tych wszystkich bohaterkach, które muszą się wykazywać bystrością umysłu, żeby przeżyć – mówiła dalej Nancy. – O Czerwonym Kapturku, Kopciuszku, Królowie Śnieżce. Ludzie mają mylne wyobrażenia o baśniach. Wydaje im się, że jest w nich głównie mowa o księżniczkach ratowanych z opresji przez przystojnych księząt, tymczasem w istocie baśnie bardziej przypominają poradniki przetrwania.

– Na przykład *Piękna i Bestia* – podsunęła Winnie, ożywiając się. Kroiła wiśniowy keks, który przywiozła. Jadły go do herbaty. Nikt już nie oczekiwał od Nancy, że będzie piekła ciasta. I bardzo dobrze, bo z trudem podnosiła czajnik. Teddy co wieczór po powrocie z pracy sprzątał i gotował, jednak Nancy przestała odczuwać głód. Stale była zmęczona. Dawniej zrywała się o świcie rześka jak skowronek, teraz każdego ranka mąż przynosił jej herbatę do łóżka, w którym leżała godzinami po tym, jak Teddy i Viola wychodzili z domu, aby żyć swoim życiem.

– Mimo wszystko świetnie wyglądasz – stwierdziła Winnie.

– Miewam bóle głowy – odparła Nancy obronnym tonem. Miała dość ludzi powtarzających jej, że świetnie wygląda, jakby ich w jakiś sposób oszukiwała. „Oczywiście Winnie nie miała tego na myśli” – skarciła się w duchu.

– I Gęsiareczka – Winnie wyraźnie się rozkręcała. – Czy ona miała w ogóle jakieś imię? Pamiętam tylko imię jej konia.

– Falada. Dla konia trochę dziwne. Gęsiareczka chyba była bezimienna.

– Pozwól, że dzisiaj to ja odegram rolę mamy kwoki i naleję nam herbaty – powiedziała Winnie.

Nawet najniewinniejsze słowa raniły serce Nancy jak nożem.

– Tak, poproszę.

Zastanawiała się, czy po raz ostatni widzi swoją najstarszą siostrę. Wkrótce zaczną się dla niej (właściwie już się zaczęły) same ostatnie razy. Była zdeterminowana odejść szybko, bez ociągania i w ten sposób uniknąć koszmaru pożegnań. Mogłaby rzucić się pod koła pociągu pospiesznego (ale jak by się z tym czuł biedny maszynista?). Już lepiej wejść do morza albo skoczyć do rzeki. Chociaż instynkt mógłby ją zmusić do wypłynięcia na powierzchnię.

– A tamta dziewczynka, której bracia zmienili się w łabędzie? – ciągnęła Winnie. – Jakże ona miała na imię? Była bardzo odważna.

– Eliza z *Dzikich łabędzi* Andersena.

„Trucizna? Zbyt drastyczne i zbyt niepewne. Mogłabym zwymiotować. Cały wysiłek na nic”.

– *Jaś i Małgosia* – wyliczała dalej Winnie. – Chociaż w zasadzie za bystrą można uznać tylko Małgosię. Jaś okazał się niezbyt lotny, prawda?

– Tak, dał się zamknąć w klatce. W bajkach siostry są zawsze mądrzejsze od braci.

Śmierć przez powieszenie uchodziła za szybką, lecz ten, kto znajdował wisielca, przeżywał okropny wstrząs. W jej przypadku byłyby to najprawdopodobniej Teddy albo – nie daj Boże – Viola.

– A Złotowłosa? – spytała Winnie. – Niemądra czy przedsiębiorcza?

– Raczej niemądra – odparła Nancy. – Trzeba ją było ratować.

Jej nikt nie wyratuje, musi zrobić to sama. Znaleźć jakąś skrytkę i zacząć w niej składać tabletki nasenne oraz leki przeciwbólowe, wszystko, co się nawinie. Musi je zażyć, gdy jeszcze będzie samodzielna. Trudno ocenić, jaka dawka okaże się śmiertelna. Nie może się nikogo poradzić, chociaż mają teraz innego internistę, doktora Webstera, starszego, mądrzejszego współnika lekarza, którego Nancy odwiedziła w pierwszej kolejności (doktor Webster nazywał go „młodym byczkiem”). Dzięki Bogu doktor Webster był gotów rozmawiać z nią o tym, co miało nadejść.

A jeśli zbyt długo zwlekała? Może jest już za późno?

– Gerda z *Królowej Śniegu* – zwróciła się do Winnie. – Ta dopiero była przedsiębiorcza.

Szereg Fouriera, twierdzenia, lematy, wykresy, twierdzenie Parsewala, liczby naturalne – słowa szumiały jej w głowie. Niegdyś rozumiała je wszystkie, teraz całkiem straciły znaczenie. Pszczoły powróciły – ich nieznośne, niemilknące brzęczenie starała się zagłuszyć muzyką. Od rana grała *Poloneza Heroicznego*. Utwór był niezwykle trudny, ale uparła się go opanować.

Grała z wielką werwą. *Con brio*. W jej uszach dźwięki brzmiały niemal perfekcyjnie. Jakie to niezwykle, jakie cudowne, że zdołała osiągnąć mistrzostwo w tak niełatwym utworze. Zupełnie jakby to i tylko to miało być największym dokonaniem, na które pracowała całe swoje życie. Finał odegrała w uniesieniu i zakończyła z rozmachem.

– Witaj – powiedział Teddy, wchodząc do pokoju. – Masz ochotę na filiżankę herbaty? – W rękach niósł tacę, Viola deptała mu po piętach. – Pomóc ci przenieść się na fotel? – Strasznie się z nią cackał. Odstawił tacę i podprowadził ją do fotela przy oknie. – Lubisz to miejsce, prawda? – dodał. – Widać stąd ptaki w karmniku. – Chciała mu powiedzieć, żeby się tak na nią nie gapił, jakby próbował dojrzeć coś, co kryło się w głębi jej czaszki. Podsunął jej pod stopy podnózek, herbatę postawił obok na stoliku. W kubku. Filiżanki i spodeczki stały się ostatnio nieporęczne, kłopotliwe w użyciu.

– Chcesz ciasteczko, mamusiu? – Viola zaglądała jej przez ramię. – Czekoladowy herbatnik czy różowy wafelek?

– Jest jeszcze trochę ciasta od Winnie – zaproponował Teddy. – Jakoś nie możemy go skończyć. Nadałoby się lepiej od chlebów i ryb, żeby wykarmić pięciotysięczny tłum. – Nancy zignorowała obie propozycje. Była nieco urażona, że żadne z nich nie pogratulowało jej świetnej gry („Brawo, pani Todd!”). Lecz wspomnienie triumfu nad Chopinem powoli bladło. Brzęczenie pszczoł ją usypiało. Jej mózg zalewał miód.

Czas się zaginał. Dokąd poszedł Teddy? Przecież był tu jeszcze przed minutą. Miała wrażenie, jakby wszyscy dopiero co wyszli z pokoju. A może to ona z niego wyszła? Tyle że nie było żadnego pokoju, tylko coś, czego nie potrafiła nazwać. Nicość. A potem nawet to zniknęło. Jeszcze później pszczoły odleciały, błogosławiąc ją na pożegnanie, i serce Nancy stanęło. Umarła.

– Czysta whisky. To zalecenie lekarza. Dla mnie też proszę nalać. – Doktor Webster, ich internista, z niecierpliwością wyglądający emerytury, kiedy to miał nadzieję zająć się wreszcie grą w golfa i malowaniem akwarel, był

człowiekiem staroświeckim. Nie nalegał, gdy Nancy odmówiła poddania się operacji, nie skąpił jej morfiny i powstrzymywał się od kazań.

Nadszedł rześki październikowy poranek. Pajęczyny oplatały rośliny w ogrodzie. Zapowiadał się piękny dzień.

Labrador Bobby plątał się między pokojami, zdezorientowany nagłą zmianą swojego rozkładu zajęć. Nie wiedział, że pierwszą rzeczą, jaką się porzuca w obliczu śmierci, jest rutyna.

Teddy nalał whisky i podał szklaneczkę lekarzowi. Ten wzniósł ją i przez jedną okropną chwilę Teddy spodziewał się usłyszeć „Na zdrowie”. Zamiast tego rozległo się jednak: „Wypijmy za Nancy”. To także brzmiało dziwnie i trochę makabrycznie, lecz w pewnym sensie wydawało się na miejscu, więc Teddy podniósł swoją szklaneczkę i powtórzył: – Za Nancy.

– „Z tego świata do tamtego, który nadejdzie” – dodał lekarz, zaskakując Teddy’ego znajomością podtytułu *Wędrówki pielgrzyma*. – To była dobra kobieta. Co za umysł, co za łagodność charakteru. – Teddy jednym haustem opróżnił szklaneczkę, niegotowy na mowy pogrzebowe. – Powinien pan zawiadomić policję – rzekł.

– Dlaczego miałbym to robić, na litość boską?

– Bo ją zabiłem – wyznał Teddy.

– Za pomocą nieco większej dawki morfiny pomógł jej pan odejść. Gdyby to była zbrodnia, odsiadywałbym kilkukrotne dożywocie.

– Zabiłem ją – powtórzył z uporem Teddy.

– Niech pan mnie posłucha. Za kilka godzin i tak by umarła.

Teddy zauważył, że lekarz wygląda na silnie zaniepokojonego. Bądź co bądź, to on przez ostatnie tygodnie hojną ręką wypisywał recepty na morfinę, aby uśmierzyć potworne bóle głowy Nancy.

– Pańska żona cierpiała. Słusznie pan postąpił.

Poprzedniego wieczoru doktor Webster zajrzał z wizytą do Nancy i orzekł, że „to już długo nie potrwa”, na koniec zaś spytał: – Ma pan dość morfiny?

„Dość, czyli ile?” – zapytał w myślach Teddy.

Był w kuchni, gdzie przygotowywał zapiekankę z mielonego mięsa i ziemniaków, gdy z salonu dobiegła go koszmarna kakofonia dźwięków. Zanim tam pobiegł, by sprawdzić, co się dzieje, do kuchni wpadła zapłakana Viola: „Coś się stało mamusi!”.

Nancy waliła w klawisze jak opętana, jakby chciała zniszczyć instrument. Dłonie miała zaciśnięte w pięści. Teddy chwycił jej rękę, aby ją uspokoić. Spojrzała na niego z dziwnym, krzywym uśmiechem i próbowała wymówić jakieś słowa. Wyglądało na to, że bardzo chce mu coś przekazać, lecz dopiero Viola przetłumaczyła konwulsyjny bełkot: *Polonez Heroiczny*.

Teddy delikatnie pomógł żonie przejść na stojący pod oknem fotel, po czym przynieśli z Violą herbatę i ciasteczka. Wystarczyło mu jednak popatrzeć chorej w oczy, aby stwierdzić, że to, czego najbardziej się obawiał, właśnie się dokonało: Nancy przestała być sobą.

Położył ją wcześniej do łóżka, ale przed północą obudziła się, jęcząc i krzycząc z bólu albo ze strachu, trudno wyczuć. Teddy przypuszczał, że dręczy ją jedno i drugie. Strzęp, cień kobiety, która niegdyś była jego żoną, wykrzykiwał coś bez sensu. Nie brzmiało to nawet jak słowa, raczej jak zawodzenie i pomruki dzikiego zwierzęcia.

Teddy podgrzał mleko, dodał kropelkę rumu i wlał do szklanki kilka fiolek morfiny. Potem posadził Nancy i otulił jej wychudzone ramiona lizeską.

– Wypij to – poprosił, siląc się na wesoły ton. – Od razu poczujesz się dużo lepiej.

Nie zauważył Violi, która zbudzona niehumanicznymi odgłosami wydawanymi przez matkę stanęła zaspana w drzwiach sypialni boso i w samej piżamie.

Zamiast jednak zapaść w głęboki sen poprzedzający śmierć, Nancy stała się jeszcze bardziej niespokojna. Rzucała się po łóżku, szarpała pościel, nocną koszulę i swoje włosy, jakby usiłowała odpędzić przypiekającego ją żywym ogniem demona. Teddy dolał więcej morfiny do resztki mleka, ale gwałtowny ruch Nancy sprawił, że kubek wylądował po przeciwnej stronie pokoju. Zaczęła krzyczeć. Z ciemnej jamy szeroko otwartych ust wydobywało się przeciągłe, diabelskie wycie, jakby tkwiący w jej mózgu demon ostatecznie ją posiadł. W przypływie desperacji Teddy chwycił poduszkę i przycisnął ją do twarzy żony, z początku z wahaniem, po chwili bardziej zdecydowanie. Nie mógł znieść myśli, że na sam koniec Nancy odmówiono spokoju, nie dano jej „szczęść o północy bez męki konania”. Docisnął z całej siły. A więc tak to jest kogoś zabić. Walka wręcz. Póki śmierć nas nie rozłączy.

Znieruchomiała. Odsunął na bok poduszkę. Zabrakło jej sił, aby walczyć, a może zadziałał narkotyk. W każdym razie leżała nieruchomo. Teddy zbadał jej puls. Niczego nie wyczuł. Jego własne serce biło jak szalone. Na twarzy zmarłej malował się spokój, cierpienie i zwierzęcy lęk gdzieś zniknęły. Znów wyglądała jak Nancy. Znów była sobą.

Viola podreptała cicho z powrotem do łóżka. „Prawdziwe koszmary zdarzają się na jawie” – miał stwierdzić narrator *Co trzeciej myśli*, jej ostatniej powieści („najlepszej w dorobku” według miesięcznika „Good Housekeeping”).

– Proszę pomyśleć, co by się stało z tą śpiącą na górze dziewczynką, gdyby pana aresztowano – upomniął go doktor Webster.

„Zamieszkałaby z którąś ze swoich licznych ciotek” – pomyślał Teddy. Każda z nich spisałaby się zapewne lepiej od niego, jeśli chodzi o wychowanie małej. „Gdyby tobie też coś się stało – powiedziała mu kiedyś Nancy – myślę, że Viola powinna zamieszkać z Gertie”. („Broń Boże, aby coś złego miało ci się stać!”).

Ze wszystkich dostępnych ciotek Gertie wydała mu się drugą najmniej odpowiednią kandydatką. Palmę pierwszeństwa dzierżyła ta wariatka Millie.

– Dlaczego akurat z Gertie? – zapytał.

– Jest rozsądna, praktyczna i cierpliwa. Nancy zaginała kolejno palce w miarę wyliczania zalet siostry. – Jednocześnie ma żyłkę awanturniczą i nie brak jej śmiałości. Nauczyłaby Violę odwagi. – Oboje wiedzieli, że Viola nie jest odważna, lecz żadne nigdy głośno tego nie przyznało.

„Jakie ja mam prawo mówić o odwadze?” – pomyślał Teddy, nalewając sobie i doktorowi Websterowi po jeszcze jednej szklaneczce whisky.

– Wypiszę akt zgonu. Pan niech zadzwoni do zakładu pogrzebowego. Czy ja mam to zrobić?

– Nie – westchnął Teddy. – Zadzwonię.

Po wyjściu lekarza poszedł na górę do Violi. Wciąż twardo spała. Nie mógł się zdobyć na to, aby obudzić córkę i przekazać jej najgorszą nowinę, jaką najprawdopodobniej kiedykolwiek usłyszy. Pogłaskał lekko wilgotne czoło dziewczynki i delikatnie musnął je wargami. „Kocham cię” – wyszeptał. Tak powinny brzmieć jego ostatnie słowa skierowane do Nancy, był jednak zbyt pochłonięty walką na śmierć i życie, aby cokolwiek mówić. Viola poruszyła się i coś wymamrotała, ale się nie zbudziła.

2012

Miłość, dobroć, litość, pokój

Królowa żeglowała majestatycznie w dół Tamizy.

– To królowa – powiedziała Viola. – Jest w telewizji. – Odmalowywała rzeczywistość w jak najprostszych słowach: flotylla na rzece, deszcz, wspaniała niezłomność monarchini. – Ale ty i tak nie widzisz telewizora, prawda? – Przemawiała do Teddy’ego głośno i wyraźnie, jakby był wyjątkowo tępym dzieckiem. Siedziała przy jego łóżku na jednym z tych foteli z wysokim oparciem, których mnóstwo stało w domu opieki. Zawsze źle się na nim czuła. Fotel był przeznaczony dla osób starszych, a ona śmiertelnie się bała, że ktoś zaliczy ją w ich poczet, szczególnie teraz, gdy kwalifikowała się już na wyjazdy wakacyjne dla seniorów i parafialne spotkania przy herbatce. Osiągnęła wiek, w którym mogłaby spokojnie nosić beżowe skafandry i luźne spodnie z gumką w pasie (niedoczekanie!). Odpowiedni wiek, aby zamieszkać w Fanning Court – uchwaj Boże!

Teddy nie mógł siedzieć w fotelu. Nie mógł opuszczać łóżka, w zasadzie niczego nie mógł. Jego światło gasło, nadciągał mrok. Viola wyobrażała sobie, że synapsy w mózgu ojca rozbłyskują i przygasają jak umierające gwiazdy. Wkrótce Teddy całkiem się wypali, a potem imploduje i stanie się czarną dziurą. Viola nie miała wielkiego pojęcia o astrofizyce, lecz spodobała jej się ta wizja.

Ojciec został oznakowany, na nadgarstku umieszczono mu plastikowy identyfikator szpitalny. Sunny i Bertie też takie dostali na oddziale położniczym. Inni ludzie zachowywali takie rzeczy na pamiątkę: pierwszy ząbek, pierwsze buciki, prymitywne dziecięce rysunki, świadectwa szkolne.

Traktowali je jak cenne relikwie dzieciństwa. Viola systematycznie pozbywała się tego wszystkiego. (Okej, teraz tego żałowała, w porządku?).

Na plastikowej bransoletce Teddy'ego widniał skrót DNR ⁷³, co znaczyło, że jego termin ważności dawno minął, a on z uporem trwa dalej. Boże, jakie to życie jest okropne! Powróciło wspomnienie minionej nocy, choć tak naprawdę nigdy jej nie opuściło. Viola wzdrygnęła się na samą myśl o tym, jak się skompromitowała. Lepiej byłoby powiedzieć: upokorzyła.

Wieczorem przyjechała do Yorku z Harrogate z nadzieją, że zobaczy się z przyjaciółkami. Owszem, miała przyjaciółki, pomimo wszystko. Zamierzała do nich zadzwonić i rzucić niezobowiązująco: „Może spotkamy się na drinka?”, jakby właśnie wpadła na ten pomysł, choć w istocie planowała to już od kilku dni. Ostatnimi czasy starała się być bardziej spontaniczna – to, co niegdyś uważała w sobie za spontaniczność, teraz oceniała jako zwykłą apatię. („Wyskoczmy nad morze?”. „Okej”). Usiłowała również ożywić dawne życie towarzyskie, które zaniedbała po osiągnięciu sukcesu. („Jestem taka zajęta, wybaczenie”).

Akurat tych przyjaciółek nie widziała od dawna – od lat (od wieków) – w dodatku rozstały się w niezbyt miły sposób. Należały wspólnie do Kobiecej Spółdzielni Zdrowej Żywności, co w praktyce oznaczało kupowanie worków paskudnych otrębów i plew, które uchodziły za musli, a następnie rozdzielanie ich między sobą. Niewiele je łączyło, z wyjątkiem szkoły steinerowskiej i Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego – mogłoby się wydawać, że to dużo, ale nie z punktu widzenia Violi.

Dopiero po przyjeździe do Yorku zorientowała się, że jest sobota, w dodatku świąteczny weekend. Całe miasto tonęło w dekoracjach z okazji jubileuszu królowej, istne morze czerwono-biało-niebieskich chorągiewek.

W weekendy York oblegały także rozwydrzone hordy uczestników wieczorów panieńskich i kawalerskich, którzy ściągali tu z północy.

Viola zameldowała się w hotelu Cedar Court, w którym mieściła się niegdyś siedziba Kolei Północno-Wschodniej. Wszystkie budynki zmieniały się z czasem w hotele. Kurz, piach i hotele. Liczyła na pokój z widokiem, jeden z tych wychodzących na mury miejskie, ale wszystkie już zajęto. Gdyby była bohaterką powieści Forstera, w tym momencie spotkałaby miłość swojego życia (miałaby czterdzieści lat mniej), przeżyłaby miłosne perypetie, a na koniec dostałaby swój pokój z widokiem. Nie żeby koniecznie chciała przeżywać miłosne perypetie (zrezygnowała z mężczyzn) czy nawet spotkać miłość życia, ale widok by się przydał. Dziewczyna w recepcji najprawdopodobniej nigdy nie słyszała o Forsterze, mogła natomiast słyszeć o Violi Romaine, lecz Viola wolała tego nie sprawdzać. Miała wrażenie, że całe życie brodzi w oceanie ignorancji – płytkim, to prawda, lecz bez szansy ujrzenia lądu majaczącego na horyzoncie. Zgoda, kierowały nią elitystyczne uprzedzenia. Zgoda, nie miała prawa czynić podobnych założeń. Recepcjonistka (która istotnie nie słyszała ani o Forsterze, ani o Violi Romaine, za to uwielbiała *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, co niechybnie przyprawiłoby Violę o apopleksję) podała jej klucz i powiedziała, że ktoś zaprowadzi ją zaraz do pokoju. – Czy mogę służyć pani czymś jeszcze, pani Romaine?

Po rozwodzie Viola zachowała nazwisko Wilfa (oraz połowę zysków ze sprzedaży domu, rzecz jasna), bo uznała, że brzmi bardziej interesująco niż prozaiczne „Todd”. „Jak to się pisze? Jak ta sałata ⁷⁴?” – spytał ją ktoś. Ciotka jej ojca, autorka koszmarnej, tasiemcowatej serii o przygodach Augustusa, podpisywała się nazwiskiem Fox, budzącym przyjemniejsze skojarzenia niż te z sałatą. Czemu sama na to nie wpadła? Viola Fox. Może mogłaby wykorzystać to jako pseudonim i wydać pod nim książkę – coś

innego, poważniejszego, co by się kiepsko sprzedawało, za to zgarniałyby pochwały krytyków? („Tekst rzucający wyzwanie epistemologicznym założeniom dotyczącym tego, czym ma być literatura” – dodatek literacki „Timesa”).

Pobrali się miesiąc po pierwszym spotkaniu. „Szalona namiętność” – tłumaczyła Viola rozczarowanym, a zarazem dziwnie zawistnym członkiniom kobiecej spółdzielni. „Namiętność” była słowem, które bardzo do niej przemawiało, może nawet bardziej niż sama namiętność. Było to uczucie z góry skazane na porażkę, bardzo w stylu sióstr Brontë. Viola czuła, że doświadczyła go w życiu zbyt mało. Pragnęła być romantyczką z krwi i kości. Z Wilfem Romainem połączyło ją jednak myślenie życzeniowe, nie namiętność ani romantyczna miłość.

Z pozoru Wilf wydawał się wicherzycielem, w rzeczywistości był po prostu pompatyczny. Polityczny aktywista bawiący się w polemiki: Kampania na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego, Partia Pracy i tak dalej. Na prawo i lewo podkreślał, że jest synem górnika. Jednak – jak Viola nie omieszkała mu tego wytknąć niedługo po ich ślubie – bycie synem górnika nie czyni z nikogo górnika. Wykładał komunikację społeczną (bezsensowny kierunek) w szkole wieczorowej, miał cukrzycę typu 2 i problem z alkoholem. Robił wrażenie bezkompromisowego i szlachetnego, ostatecznie jednak rozczarował ją tak samo jak inni.

– Bił cię? – chciał wiedzieć jej terapeuta Gregory, który przyczyn wszelkiego zła z zasady upatrywał w przemocy domowej.

– Tak – odpowiedziała, ponieważ brzmiało to o niebo ciekawiej od smutnej prawdy, że rozdzieliła ich obustronna obojętność. W miarę upływu lat, im bardziej człowiek się starzał, tym częściej dochodził do wniosku, że prawda nie różni się znowu tak bardzo od fikcji, zwłaszcza że wszystko

i tak zmieszają się kiedyś w historycznej zupie i popadnie w niepamięć. Dotyczyło to jednakowo faktów politycznych i indywidualnych biografii.

Po tym, jak jej dzieci wyprowadziły się z domu, przeniosła się do Whitby – chociaż w gruncie rzeczy to nie Sunny się wyprowadził, tylko Viola. To było wtedy, gdy została pisarką. Nawet ona musiała w końcu przyznać, że czas się otrząsnąć z wiecznego rozmemłania i zająć realiami codziennego życia, jak ująłby to zapewne Głos Rozsądku. Pisanie wydawało jej się dobrze znaną czynnością, mimo że z literaturą obcowała dotąd wyłącznie jako czytelniczka. Chwilę potrwało, zanim pojęła, że pisanie i czytanie to dwie zupełnie różne rzeczy, w istocie skrajne przeciwieństwa. A to, że opanowała ładne, pochyłe pismo, nie znaczy wcale, że potrafi pisać książki. Nie poddała się jednak, chyba po raz pierwszy w swoim życiu.

Miała dobry punkt wyjścia: wcześniej nauczyła się czytać, była jedynaczką, w dodatku półsierotą i z natury ciągnęło ją do podpatrywania innych. Jako dziecko stale kręciła się pod drzwiami, podsłuchiwała i obserwowała. („Pisarze to zwykle sępy” – „People’s Friend”, 2009). *Wróble o świcie* wysłała najpierw do jednego agenta, który je odrzucił, potem do drugiego i trzeciego, aż w końcu któryś odpisał, że książka jest „interesująca”. Zabrzmiało to jak obelga, niemniej jednak Viola sprzedała ją wydawcy, podpisując (skromniutką) umowę na dwie kolejne powieści. Nie minął rok i *Wróble o świcie* przestały być zbieraniną luźnych pomysłów w jej głowie, przybrały natomiast realny kształt w świecie rzeczy. („Co dalej? – ironizowała Bertie w rozmowie z Teddym. – *Borsuki na śniadanie? Króliki na dobranoc?*”).

To wybitne osiągnięcie, jakim był debiut literacki, zrobiło na ojcu mniejsze wrażenie, niż Viola by sobie życzyła. Przesłała mu egzemplarz sygnałny, a gdy w dniu premiery książki przyjechała do Yorku, Teddy zabrał ją na obiad z szampanem dla uczczenia tego faktu. Samą powieść

zrecenzował jednak bez większego entuzjazmu. Viola oczekiwała, że będzie zaskoczony jej talentem i pełen podziwu, lecz usłyszała tylko: „Bardzo dobra książka”. W jego ustach zabrzmiało to niemal jak krytyka. Najwyraźniej też nie zrozumiał, że powieść – opisująca skomplikowane relacje bohaterki, młodej, nad wiek dojrzałej dziewczyny z samotnie ją wychowującym ojcem – jest tak naprawdę *o nich*. Chyba musiał się zorientować? Dlaczego nic nie powiedział? Zamiast tego w drodze powrotnej do domu podśpiewywał: „»Więc powie mi karteczka ta, gdzie kogo w każdy czas bez żalu można ściąć. Więc naprzód tych, co swym talentem wiecznie nudzą nas, czytając nędzne swe utwory, kradną drogi czas«” ⁷⁵ – jakby to było okropnie zabawne. Wyjaśnił jej, że to fragment operetki Gilberta i Sullivana. „Akurat” – pomyślała.

Wróble o świcie odniosły umiarkowany sukces: „Zanadto sentymentalne”; „Niecóż rozwlekłe”. Viola zapędziła się w koziego róg, z którego wydobyła się dzięki kolejnej książce *Dzieci Adama*, „słodko-gorzkiej tragikomedii o życiu w komunie w latach sześćdziesiątych”. Antydatowała własne doświadczenia, przesuwał je w czasie do modniejszej dekady, i przedstawiła z punktu widzenia czterolatki. „Ale to chyba moja historia, nie twoja?” – zauważyła z pewną urazą Bertie. Powieść okazała się niezwykle popularna („Zupełnie nie wiem czemu” – dziwiła się Bertie w rozmowie z Teddym). Na jej podstawie nakręcono bardzo angielski i obecnie praktycznie zapomniany film z Michaeliem Gambonem i Gretą Scacchi.

W ten sposób rozpoczęła się spektakularna kariera Violi.

Sypialnia w Cedar Court była olbrzymia, mroczna i kiedyś musiał się w niej mieścić czyjś gabinet. Viola obdzwoniła przyjaciółki, z którymi planowała się spotkać, i stwierdziła, że ich numery są nieaktualne. Najlepszy dowód, jak dawno się ze sobą nie kontaktowały. Szczerze mówiąc (ostatnio

stawiała na szczerość), poczuła ulgę. Ominie ją nadrabianie zaległości. Poza tym jej życie tak bardzo się zmieniło, odkąd ostatni raz się widziały, podczas gdy ich zapewne stało w miejscu. Myśląc o nich, Viola wyobrażała je sobie wciąż w tych samych grubych swetrach i długich spódnicach, jak w drewniakach na nogach i z rozpuszczonymi włosami opadającymi na twarz rozdzielają koński obrok z jutowych worków (choć w istocie jedna z jej przyjaciółek pracowała w Izbie Adwokackiej, a inna nie żyła).

Viola położyła się na hotelowym łóżku i wbiła wzrok w sufit. Była dopiero szósta, letni zmierzch miał się niestety ciągnąć bez końca. Mogła tak leżeć i gapić się w sufit albo włączyć telewizor i zamówić coś do jedzenia. Ani jedno, ani drugie nie przypadło jej do gustu, postanowiła więc stawić czoła świątecznemu sobotniemu wieczorowi w Yorku, co nie było łatwym zadaniem. Dobrze przynajmniej, że nie trafiła na dzień wyścigów konnych. Wydarzenie to również ściągało do miasta gromady nieodpowiednio ubranych młodych kobiet, które wyróżniały się spośród amateerek wieczorów panieńskich dziwnymi ozdobami do włosów zwanymi fascynatorami. W dodatku wszystkie były okropnie grube! Jak one się mieściły w kabinie toalety i fotelu kinowym? Wystarczyła chwila nieuwagi i mogły człowieka zgnieść.

Po wyjściu z hotelu Viola przekonała się, że wieczory panieńskie i kawalerskie trwają w najlepsze mimo wczesnej pory, a ich uczestnicy zdążyli się niewąsko nawalić. Aż się wzdrygnęła na myśl, w jakim stanie będą kilka godzin później. Niektórzy mężczyźni nosili kostiumy – schodami ciągnęła w dół grupa (w zasadzie powinna ich nazwać bandą) koleśków przebranych za banany. Kierowali się najwyraźniej nad rzekę, do restauracji „Pod Ślimakiem i Sałatą”. Większość jednak miała na sobie męski strój uniwersalny – czyste dzinsy i T-shirty. Na kilometr czuć ich było wodą po goleniu, zwiotczałe mięśnie spowijała warstewka tłuszczu.

Dziewczęta natomiast stawiały na barwy plemienne – o przynależności do danej grupy informowały podkoszulki z wyszywanymi cekinami hasłami: „Wieczór panieński Claire”; „Panny w wielkim mieście”; „Darlington górą”. Ta ostatnia grupa była, zdaniem Violi, najbardziej oderwana od rzeczywistości. Obowiązywał róż – różowe kapelusze kowbojskie, różowe T-shirty, różowe spódniczki baletnicy, różowe szarfy. Takie dziewczyny uważały zapewne babeczki z kremem za szczyt wyrafinowania. Babeczki z kremem stanowiły kolejną zmoreę Violi. To najzwyczajniejsze ciastka, więc o co tyle szumu, na litość boską?! Oczywiście jak zwykle chodziło o kasę.

Na głowach gromadki dziewcząt („Napalone kumpele Hanny”) kręcących się w okolicy przejścia dla pieszych przy Lendal Bridge Viola dostrzegła opaski z antenkami (naturalnie także różowe). Ostatni raz widziała takie opaski w latach osiemdziesiątych. Kilkuletnia Bertie miała podobną, ze srebrnymi kuleczkami na sprężynkach, które podrygiwały nad jej głową niczym owadzie czułki. Do kompletu – przypomniała sobie – była para nakrapianych srebrnych skrzydełek. „Wyglądam w nich jak ćma, nie jak motyl” – stwierdziła Bertie. Cios w samo serce. Z tymi ciosami trzeba było uważać – jeśli zebrało się ich za dużo, mogły nadwątlić delikatną tkanę, a wówczas w sercu tworzyły się uskoki, bruzdy i rozpadliny. Zanim się człowiek obejrzał, cała krucha konstrukcja mogła się rozpaść na tysiące kawałeczków. Serce Violi utrzymywało się w całości dzięki plasterom i taśmie klejącej. Czy to aby trafne wyobrażenie? Nie miała pewności.

Bertie, wbrew radom Violi, uparła się spać w swoich srebrnych skrzydełkach. Nazajutrz rano zobaczyła, że są całkiem zniszczone, i wpadła w histerię.

– Trzeba mnie było słuchać – ofuknęła ją Viola. – Przecież mówiłam, że tak będzie.

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, Violu. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Pochód „Napalonych kumpel Hanny” zamykały dwie starsze kobiety o niepocieszonych minach: matka panny młodej i jej ciotka, a może przyszła teściowa. Widać było, że niewymownie cierpią, zmuszone do wciśnięcia zwiędłego ciała w przyciasny różowy T-shirt. Prowokacyjne hasło wypisane cekinami na ich obwisłych piersiach też nie poprawiało im humoru. („Dobrze dobrany biustonosz – radzi konspiracyjnie Viola Romaine – to sekret atrakcyjności starszych kobiet”, „Sunday Express, Life and Style”, 2010. Nic podobnego nie powiedziała! Dziennikarka przekręciła jej słowa).

„Czy ja też pewnego dnia będę tak wyglądała?” – zastanawiała się Viola. Ostatecznie Bertie w swoim postironicznym stylu mogła się zdecydować na tradycyjny wieczór panieński („Laseczki Bertie”) i upokorzyć swoją świętę równie koszmarnymi przebraniami. Rzecz jasna, aby wyjść za mąż, musiałyby najpierw kogoś poznać. Wszystko jednak wskazywało na to, że Violi nie będzie dane doświadczyć odkupienia w roli babci. Sunny mógłby równie dobrze zostać mnichem, Bertie zaś w ogóle nie umawiała się na randki, a jeśli nawet, to nie zwierzała się z tego matce.

„Napalone kumpele Hanny” musiały dojść do niemego porozumienia, bo całe stadko ruszyło zgodnie w dół Rougier Street. Gdy ją mijaly, Viola odkryła, ku swemu wielkiemu zażenowaniu, że podrygujące antenki, na które się dotąd gapiła, to w istocie krótkie, pękate penisiki. Nagle bez ostrzeżenia penisiki rozbłysły światłem i zaczęły migać, a kobiety zaniósły się hałaśliwym rechotem. Viola poczuła, że się rumieni, i pospieszyła szukać schronienia w herbaciarni U Betty, niezmiennie czystym i dobrze oświetlonym miejscu, azylu w krainie dystopii.

Zjadła sałatkę z kurczaka i popiła dwoma kieliszkami wina. Przestała być wegetarianką. Przy diecie opartej na roślinach strączkowych trudno zachować szczupłą sylwetkę. Jakiś mężczyzna grał na pianinie, i to nie było co, bo utwory Chopina oraz Rachmaninowa. Chopin kojarzył się Violi z jej matką. Zawsze przepełniał ją wtedy niewyobrażalny smutek. Po śmierci Nancy zrezygnowała z lekcji gry na fortepianie. Gdyby je kontynuowała, mogłaby zrobić karierę pianistyczną. Może by nawet koncertowała? Właściwie dlaczego nie?

Zeszła na dół do toalety. Wisiał tam fragment lustra, które podczas wojny – w czasach, gdy mieścił się tu bar U Betty – wisiało za barem. Lotnicy RAF-u wydrapywali na nim swoje imiona i nazwiska. Ojciec opowiadał jej o tym lokalu, o tym, jak spotykali się tu podczas wojny, żeby pić, lecz nigdy nie wsłuchiwała się w jego wspominki. Teraz lustro stanowiło relikwię. Niemal wszyscy, którzy pozostawili na nim swoje podpisy, dawno nie żyli. Viola przypuszczała, że wielu z nich zginęło na wojnie. Przyjrzała się zatartym przez czas napisom. Czy ojciec także odcisnął tutaj swój ślad? Pożałowała, że nie rozmawiała z nim o wojnie, kiedy był wciąż *compos mentis* ⁷⁶. Na podstawie jego wspomnień mogłaby napisać powieść – taką, która wzbudziłaby powszechne uznanie. Książki o wojnie zawsze traktuje się poważnie.

Wróciwszy do stolika, ujrzała grupę mężczyzn przebranych za kondomy, zmierzających chwiejnym krokiem przez St Helen's Square. Znajdowali się w jednym z najlepiej zachowanych średniowiecznych miast w Europie i byli przebrani za kondomy. Benidorm już im nie wystarczał? Albo Magaluf? („Od wszystkich oczekujesz właściwego zachowania, ale sama wcale lepiej się nie zachowujesz” – wypomniła jej Bertie).

Jeden z ludzkich kondomów rozpląszczył się niczym owad na witrynie i łypał lubieżnie na gości herbaciarni. Pianista podniósł na moment wzrok

znad klawiatury, po czym spokojnie grał dalej Debussy'ego. Na środku placu zatrzymała się furgonetka, z której wysypało się kilkanaście osób poprzebieranych za zombi. Chwilę później zombi rzuciły się w pościg za mężczyznami kondomami. Ci ostatni nie wyglądali wcale na zaskoczonych, zupełnie jakby się *spodziewali* pościgu zombi. („Ludzie za to płacą” – wyjaśniła jej Bertie). „Jak coś takiego można uznać za dobrą zabawę?” – zastanawiała się z rozpaczą Viola. „Niewykluczone – pomyślała – że właśnie wygrałam wyścig pod hasłem »Kto pierwszy dotrze do kresu cywilizacji?«”. Wyścig, w którym dla zwycięzcy nie przewidziano żadnej nagrody. Oczywiście.

Może nie było jeszcze tak źle. Meta znajdowała się w zasięgu wzroku, lecz Viola jeszcze jej nie przekroczyła. Wyszła z herbaciarni i przeszła na drugą stronę Lendal Bridge, gdzie atmosfera zdążyła się tymczasem jeszcze bardziej podgrzać. Nie wiedzieć kiedy wmieszała się w tłum „Pani na wydaniu Amy”, kompletnie zamroczonych alkoholem i prowadzonych przez rzeczoną Amy w przekrzywionej tiarze na głowie. Przez jej pierś opiętą tandetnym topem bez ramiączek biegła szarfa z napisem „Panna młoda”, a do okazałego zadka miała przyczepioną tabliczkę informującą „Nauka jazdy”. Co się porobiło z tymi dziewczynami? Czy po to Emily Davison ⁷⁷ pozwoliła się stratować? Żeby młode kobiety mogły nosić na głowach podświetlane penisy i zajadać się babeczkami z kremem? Naprawdę? Ilekroć kobiety napotykały jakiegoś przedstawiciela płci męskiej, wystawiały w górę palec i wrzeszczały: „Możesz mnie zaobrączkować!”, po czym padały sobie w objęcia. Ten błyskotliwy żart bawił je do łez. „Chyba się posikam!” – zapiszczała jedna.

Naraz Violę otoczyła gromada uczestników wieczoru kawalerskiego. Jeden z nich krzyknął na nią: „Coś taka skrzywiona? Uśmiechnij się, starucho, może ci się poszczęści!”. Viola parła naprzód, gotując się cała

z wściekłości. Bruzdy i rozpadliny pogłębiały się, powierzchnię jej serca pokrywała gęsta krakelura. Była niczym rozstrojony fortepian – struny napięte do granic możliwości, gotowe lada moment potrzaskać w kakofonii kiepskich metafor.

Jak ludzie mogą być takimi kretynami i ignorantami?! („Czemu ciągle się o coś gniewasz?” – zapytał ją dawno temu Sunny. „A czemu nie?” – odwarknęła). Dlaczego dzieci jej nie kochają? Dlaczego nikt jej nie kocha? Dlaczego czuje się taka samotna, znudzona i – spójrzmy prawdzie w oczy – całkowicie nieszczęśliwa, w dodatku...

Viola potknęła się na nierównym bruku i poleciała przed siebie, szorując dłońmi po twardych kamieniach. Wylądowała na czworaka niczym ciężki kot. Przez chwilę na skutek szoku miała w głowie zupełną pustkę. Kolana bolały ją tak bardzo, że nie była w stanie się ruszyć. Może popękały jej rzepki? Jeden z młodych mężczyzn rzucił jakąś niewybredną uwagę na temat pozycji Violi, na co kobiecy głos z gardłowym akcentem z okolic Newcastle kazał mu się odpieprzyć. Viola dźwignęła się i uklękła na chodniku. Kolana zawyły z bólu. Na wysokości jej oczu pojawił się różowy T-shirt. Napis z cekinów głosił: „Lalunie imprezują w Yorku”. Kobieta znacznie młodsza, niż wskazywał na to jej zachrypnięty głos palaczki, przykucnęła obok Violi i zapytała ją z uśmiechniętą, a zarazem zatroskaną twarzą: – Wszystko w porządku, złotko?

„Raczej nie – odparła w myślach Viola. – Nawet na pewno nie”. Wybuchnęła płaczem. Drogie pończochy od Wolforda miała całe w strzępach, kolana zdarte do krwi. Płakała, płakała i nie mogła przestać. To było straszne. Łzy lały się ciurkiem, zupełnie jakby nagle otworzył się w niej zbiornik jakiegoś pradawnego żalu. Przy czym mniej przeraziły ją łzy, a bardziej słowa, jakie wydobyły się z jej ust. Był to pierwotny jęk, alfa

i omega wszystkich ludzkich inwokacji, bardziej przypominający skomlenie niż wycie. – Mamusiu – łkała – ja chcę moją mamę.

– Możesz sobie wziąć moją, złotko – rzuciła któraś z imprezowiczek i wszystkie zanosły się śmiechem. Wyczuwając jednak bratnią duszę – kobietę upadłą, być może pod wpływem alkoholu, być może nie – otoczyły ją ciasnym kręgiem, instynktownie gotowe zaopiekować się nią. Któraś pomogła się Violi podnieść, inna podała jej jednorazową chusteczkę, jeszcze inna butelkę po wodzie Evian, zawierającą, jak się okazało, czystą wódkę. Jedna ze starszych kobiet, z pomarszczoną jak u indyczki szyją i zapadniętą twarzą, która według napisu na T-shircie była matką panny młodej, wręczyła Violi paczkę nawilżanych chusteczek. „Lalunie” upewniły się, dokąd zmierza, po czym odprowadziły ją gromadnie do Cedar Court. Hotelowy odźwierny na próżno usiłował dać im odpór – przełamawszy tę linię obrony, kobiety wdarły się do lobby. Viola niezbornie wydobyła z torebki kartę klucz, a jedna z „laluń” uniosła ją do góry w triumfalnym geście i pomachała nią przed nosem nieufnej recepcjonistki.

– Trochę za dużo wzruszeń jak na jeden wieczór – oznajmiła jedna z imprezowiczek.

– Biedna stara – dodała inna, młodsza, nieopierzony kurczak.

Stara! „Mam dopiero sześćdziesiąt lat” – chciała zaprotestować Viola. Bądź co bądź, sześćdziesiątka to teraz nowa czterdziestka. Brakło jej jednak pary, żeby się buntować.

Zdjęło ją przerażenie na myśl o tej wesołej gromadce kontynuującej wieczór panieński w jej pokoju hotelowym. Ostatecznie zdołała przekonać swoje samozwańcze opiekunki, aby ją zostawiły przy windzie. Na pożegnanie matka panny młodej wcisnęła jej do ręki coś zawiniętego w chusteczkę. „Valium – powiedziała – o silniejszym działaniu, więc weź

tylko pół tabletki. Ja już się uodporniłam”. Wciąż zapłakana Viola wykrztusiła słowa podziękowania między jednym czknięciem a drugim.

W zaciszu swojego pokoju zrezygnowała z rutynowych czynności, które poprzedzały zwykle jej udanie się na spoczynek – zmycia makijażu, czyszczenia zębów, rozczesywania włosów. Zamiast tego wsunęła się pod sztywną od krochmalu pościel i zuchwale popiła całe valium dwiema buteleczkami wódki z barku. Obawiała się koszmarów, tymczasem zapadła w zaskakująco rozkoszny sen, który zasypał jej powieki złotymi pocałunkami. Wokół jej głowy trzepotały srebrne ćmy, a ona śniła, pięknie śniła.

Zbudziła się wcześnie, wzięła prysznic, ubrała się, zamówiła duży dzbanek kawy i oszacowała straty. Czuła się tak, jakby brała udział jeśli nie w wojnie, to z pewnością w krwawej potyczce. Czy coś jej dolegało? Obejrzała całe ciało. Miała lekko nadwyreżone nadgarstki i zeszywniałe, pulsujące bólem kolana, jakby ktoś przez całą noc walił w nie młotkiem. W głowie czuła watę – zapewne skutek valium podarowanego jej przez matkę panny młodej – lecz poza tym nie stwierdziła żadnych poważniejszych obrażeń. Potem zajrzała w głąb siebie. „Kompletna rozsypka” – uznała.

Poszła się wymeldować i z ulgą zauważyła w recepcji brak personelu, który poprzedniego wieczoru był świadkiem jej upokarzającego upadku. Ciekawe, jak dziś rano czują się „lalunie”? Prawdopodobnie odsypiają koszmarne kaca. (W istocie cała gromadka entuzjastycznie pałaszowała typowo angielskie śniadanie w hotelowym bufecie serwowane według zasady „jesz, ile zmieścisz” i szykowała się na łowy w Primarku. Dziewczyny z Gateshead miały dobrą kondycję).

Viola poprosiła odźwiernego o zamówienie taksówki do Topolowego Wzgórza. Dzień spędzony z ojcem będzie odpowiednią pokutą za miniony wieczór. W ramach dodatkowego zadośćuczynienia obejrzy z nim relację z obchodów diamentowego jubileuszu królowej.

Ojciec wyglądał na wyczerpanego. Ostatnio niczym wiekowy pies przesypiał większość dnia. Nie mógłby po prostu odejść? Zamierzał dotrzeć do setki? Czyżby czekały ją jeszcze dwa lata takiej męki? Zwykła wegetacja – ameba ma w sobie więcej życia. „Triumf ludzkiego ducha nad materią” – orzekła nowa pielęgniarka, tak nowa, że opowiadała Violi o „pozytywnym wpływie programów terapeutycznych” – czcza gadanina, niezrozumiała dla większości rezydentów Topolowego Wzgórza, którzy albo byli umierający, albo dotknięci demencją, albo jedno i drugie. Ośrodek funkcjonował pod nazwą domu opieki, lecz można jej tam było doświadczyć w bardzo niewielkim zakresie. I nic dziwnego: właściciel Topolowego Wzgórza, zorientowana na zyski firma świadcząca usługi medyczne, płaciła personelowi minimalne pensje. Nawiasem mówiąc, w okolicy na próżno by szukać topoli oraz wzgórz. Nie dawało to Violi spokoju i regularnie poruszała ów problem, chociaż zarzut nie należał wcale do najistotniejszych na jej liście. W związku z tym wychodziła na jeszcze jedną wariatkę przed pracownikami domu opieki, głównie obcokrajowcami. („Mówimy po polsku i tagalsku” – obwieszczała z dumą broszurka reklamująca Topolowe Wzgórze).

– Okropnie tutaj duszno – poskarżyła się Teddy’emu. Ten wymamrotał coś, co można było uznać za przytaknięcie. Ogrzewanie nastawione na maksimum nasilało obrzydliwe zapachy, od których człowiekowi zaraz po przekroczeniu progu budynku zbierało się na wymioty. W takiej temperaturze z pewnością błyskawicznie mnożyły się miliony bakterii. Powietrze nasycone typowo zwierzęcym odorem moczu i kału cuchnęło

jeszcze czymś zepsutym, zgnilizną, której nie mogły zatuszować żadne ilości środków odkażających. Viola przypuszczała, że to zapach starości. Przed wizytą w Topolowym Wzgórzu chowała w rękawie materiałową chusteczkę nasączoną perfumami Chanel i od czasu do czasu przykładła ją do nosa jak niegdyś przytykało się do nosa bukieciki pachnących kwiatów dla ochrony przed zarazą.

Drzwi wszystkich pokoiów pozostawiono szeroko otwarte, przez co każde pomieszczenie wraz z jego lokatorem stanowiło swego rodzaju ekspozycję ze szczątkami życia wystawionymi na widok publiczny niczym w zoo albo jakimś makabrycznym muzeum. Niektórzy pacjenci leżeli nieruchomo, inni jęczeli i pokrzykiwali. Byli też tacy, którzy z głową zwieszoną na piersi tkwili w fotelu na podobieństwo śpiącego dziecka. Jakaś kobieta pomiaukiwała. Na korytarzach ośrodka Viola wykonywała swoisty slalom, aby ominąć „żywe trupy” (tak nazywała ich w myślach), zagubione dusze, które całymi dniami pałętały się tam i z powrotem, nie wiedząc, skąd ani dokąd zmierzają (najwyraźniej donikąd). Żadna z tych ofiar losu nie знаła kodu odblokowującego automatycznie zamykane drzwi prowadzące do drugiego skrzydła budynku (1-2-3-4 – czy można wymyślić łatwiejszą kombinację?). Zresztą nawet gdyby któraś go znała, nie zdołałaby go spamiętać, a gdyby jakimś cudem jej się to udało, i tak nie wiedziałyby, jak go wykorzystać. Ich umysły były jak koronka: pełne dziur. Od czasu do czasu Viola widywała starców gromadzących się przed drzwiami na podobieństwo zombi (bardzo powolnych zombi; te nikogo by nie goniły, za opłatą czy bez niej) i w milczeniu spoglądających przez szybę wzmocnioną drucianą siatką na świat, do którego zabroniono im dostępu. Byli więźniami odsiadującymi dożywocie.

Opresyjność panującej tu atmosfery zwiększały konkurujące ze sobą porykiwania telewizorów nastawionych na maksymalną głośność, istna

kakofonia dźwięków. Teleturniej *Grasz czy nie grasz* usiłował zakrzyczeć *Ucieczkę na wieś*, przy czym nikt nie dbał o to, co ogląda, bo i tak niczego nie rozumiał. Co chwila gdzieś rozlegał się przeciągły, natarczywy dźwięk dzwonka, gdy któryś z rezydentów próbował zainteresować kogoś – kogokolwiek – swoją marną osobą.

W ośrodku był także ogólnodostępny pokój telewizyjny; starszycy tkwili tam przed jednym ogromnym i jeszcze głośniejszym nastawionym odbiornikiem. Z niepojętych dla Violi powodów w pokoju tym znajdowała się duża klatka z uwięzioną w niej parą papużek nierozłączek, na które absolutnie nikt nie zwracał uwagi. Viola nie lubiła Fanning Court – osiedla mieszkań chronionych, w którym dzięki pochlebstwom i groźbom przed niemal dwudziestu laty umieściła ojca – lecz w porównaniu do domu starców – przepraszam, domu *opieki* – był to raj utracony. „»Przecież tu jest piekło – zwróciła się do ojca tonem lekkiej pogawędki. – Ja z niego wcale nie wyszedłem«⁷⁸. I ty też nie”. Uśmiechnęła się promiennie do przechodzącej korytarzem salowej. Kto przy zdrowych zmysłach mógł uważać eutanazję za coś złego? Wszystko przez tego cholernego Shipmana⁷⁹.

Pobyty Teddy’ego w ośrodku oznaczał przynajmniej tyle, że Viola nie była pozostawiona sama sobie, jeśli chodzi o zmienianie pieluch, podawanie łyżeczką kleiku i szukanie sposobów na zabawianie ojca w trakcie długich godzin pomiędzy jednym a drugim. Kiepsko sobie radziła z opieką nad własnymi dziećmi, gdy te były małe, nie należało się więc spodziewać, że nagle odkryje w sobie zdolności pozwalające zatroszczyć się o kogoś na przeciwnym biegunie życia. Po prostu nie była stworzona, aby się kimkolwiek opiekować.

Wyobrażała sobie siebie jako kogoś, czyje wnętrze jest zbudowane z jakiejś twardej substancji, jakby w odległej przeszłości miękkie tkanki jej

narządów uległy zwapnieniu. *Petryfikacja Violi Romaine*, nie najgorszy tytuł, na przykład biografii. Tylko kto miałby ją napisać? I jak ona mogła w tym przeszkodzić?

Jeśli miałyby być całkiem szczerą (przynajmniej wobec siebie), to nieszczęśliwie przepadała za ludźmi. („»*L'enfer, c'est les autres*«⁸⁰ – śmieje się cicho Viola Romaine, choć to oczywiście nieprawda, bo o kondycji człowieka pisze z dużą dozą empatii” – miesięcznik „Red”, 2011). Na swoją obronę (Viola często myślała o sobie samej w trzeciej osobie, jakby występowała przed ławą przysięgłych), a więc na swoją obronę mogła powiedzieć, że z biegiem lat coraz głębiej wzruszały ją opowieści o okrucieństwie wobec zwierząt, co chyba najdobitniej przemawiało za tym, że nie była socjopatką. (Ława przysięgłych zwlekała z wydaniem wyroku). Kiedy ktoś czytał brukowce – a Viola je czytała (wymagowanej ławie przysięgłych wyjaśniłaby, że chce „lepiej poznać wroga”, choć w istocie stanowiły one ciekawszą lekturę niż zadufane w sobie poważne dzienniki) – można było odnieść wrażenie, że świat jest pełen ludzi, którzy głodzą konie na śmierć, wkładają szczeniaki do suszarek bębnowych i smażą w mikrofalówkach kocięta, jakby to były przekąski.

Tego rodzaju historie nieodmiennie wprawiały Violę w ciężkie przerażenie, którego nie odczuwała, kiedy czytała na przykład o maltretowanych dzieciach. Było to coś, co wolała zachować dla siebie, takie samo tabu jak fakt, że głosowała na torysów. Nie wiedział o tym nawet jej terapeuta Gregory. Jemu szczególnie nie mogła powiedzieć – dopiero miałyby używanie! *Jej sekretne oblicze: jak ukryć swoją prawdziwą naturę* pióra Violi Romaine.

Wymówką (czy w ogóle jakiejś potrzebowała? Chyba tak) było to, że po śmierci matki została pozbawiona miłości. Jej ojciec zwykł powtarzać: „Po tym, jak straciłem żonę...”, zupełnie jakby zgubił ją gdzieś przez nieuwagę.

Viola zatytułowała jedną ze swych wczesnych powieści *Wygnańcy z Krainy Miłości*. Tygodnik „Woman’s Own” uznał ją za „przejmującą opowieść o cierpieniu i stracie”. Właśnie tam, w swoich książkach, Viola zawarła wszystko, co było w niej najlepsze. („Jest prawie tak dobra jak Jodi Picoult”, „Mumsnet”). W oczach czytelników (niemal wyłącznie kobiet), a miała ich wielu, wiernych i tak dalej, uchodziła za sympatyczną – gdzie tam, przemiłą! – osobę. Było to trochę niepokojące. Viola miała poczucie winy, jakby złożyła obietnicę, której nie mogła dotrzymać.

Obecnie od trzech lat składała cotygodniowe wizyty w Topolowym Wzgórzu. Najchętniej nie przekroczyłaby więcej progu domu opieki, ale nie chciała, aby wyglądało, że zanedbuje ojca. Przebywanie z nim nie sprawiało jej żadnej przyjemności. Zawsze z tej czy innej przyczyny była wobec niego nieufna, a teraz, gdy na domiar złego stał się wrakiem, bardziej dzieckiem niż kolosem, widziała w nim całkiem obcego człowieka. Sędziwy marynarz Coleridge’a miał przynajmniej to szczęście, że gdy uwiązano mu u szyi albatrosa, nieszczęsny ptak już nie żył.

Tego dnia przyjechała pociągiem z Harrogate, gdyż była w drodze gdzieś znacznie dalej. *W drodze gdzieś dalej*, niezły tytuł. Zanotowała go sobie w pamięci. Harrogate należało do miast, które wygrywały konkursy na najbardziej ukwiecony zakątek Wielkiej Brytanii. Wszelkie przejawy ubóstwa skrzętnie tam ukrywano przed wzrokiem przyjezdnych. W głębi duszy Viola żałowała, że nigdy nie udało jej się wyrwać poza granice Yorkshire, że obce jej było londyńskie życie, wielkomiejskie i pełne wyrafinowania (przynajmniej tak je sobie wyobrażała).

Krótki pobyt w squacie z wiecznie splukanym Dominikiem się nie liczył. Mieszkali w Islington, zanim jeszcze ta dzielnica stała się modna. Viola praktycznie nie wychodziła z domu. „Miałam depresję poporodową” – tłumaczyła się później (wiarygodna przyczyna udręki, z którą modnie się

było obnosić), chociaż dopadła ją zwyczajna depresja. („Myślę, że urodziłam się z depresją – zwierza się miesięcznikowi „Psychologies” Viola Romaine. – Sądzę, że dzięki temu lepiej rozumiem ludzi”).

Gdyby mieszkała w Londynie, zapraszano by ją teraz na przyjęcia, lunche i inne eventy. Jej książki zbyt dobrze się sprzedawały („Autorka światowego bestsellera”), aby mogła zostać doceniona przez śmietankę towarzyską, ale miło byłoby pozbyć się wreszcie wrażenia, że jest szturmującym zamknięte wrota populistycznym barbarzyńcą. („Pochodzę z północy i jestem z tego dumna” – wywiad dla „Daily Express”, marzec 2006. Czy rzeczywiście była dziewczyną z północy? Chyba jednak nie).

Wolałaby dorastać w którymś z zielonych podlondyńskich hrabstw albo w Fox Corner, miejscu, które w jej wspomnieniach (we wspomnieniach całej ich rodziny) zyskało status mityczny. Viola miała sześć lat, gdy Sylvie umarła i dom sprzedano. Rok później jego los podzieliło rodzinne gniazdo jej matki, Jackdaws. Pani Shawcross, którą dotknęła lekka demencja starcza, dożyła swoich dni w Dorset pod opieką tolerancyjnej Gertie. To wina ojca, że po wojnie zdecydował się osiedlić na północy. Nigdy go nie pytała o powód. Teraz za późno tego dociekać. Na wszystko za późno.

Królowa dzielnie żeglowała rzeką pomimo zacinającego deszczu i wiatru. „Obchodzi swój diamentowy jubileusz – wyjaśniła Teddy’emu Viola. – Sześćdziesiąt lat panowania to *kawał* czasu. Pamiętasz jej koronację?”. Miała zaledwie roczek, gdy Elżbieta II została królową, i nie znała innego brytyjskiego monarchy. Przypuszczała, że ma jeszcze szansę zobaczyć, jak na tron wstępuje Karol – może nawet, jeśli jej się poszczęści, dożyje koronacji Williama? Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie doczeka dnia, w którym ten tłuściutki brzdąc, jego syn, zostanie królem Jerzym VII. Życie było z natury rzeczy ograniczone. Cywilizacje powstawały i upadały,

wszystko i tak na koniec obracało się w proch. Śmierć nie ominie nawet królewskiego prawnika. Nie pozostanie nic, może tylko hotele.

Viola popadła (na własne życzenie i nie bez pewnej przyjemności) w egzystencjalne przygnębienie. Z zadumy wyrwało ją charczenie. Ojciec czymś się zakrztusił. Spanikowała i spróbowała go posadzić. W stojącym obok łóżka dzbanku została odrobina wody, chociaż personel miał pilnować, aby dzbanek był stale pełny. „Rezydenci” domu opieki (co za idiotyczne określenie, tak jakby ktoś decydował się tu zamieszkać z własnej woli) musieli chyba zbiorowo cierpieć na odwodnienie i głód. „Trzy pożywne posiłki dziennie” – głosiła strona internetowa Topolowego Wzgórza. Codziennie do tablicy ogłoszeń przypinano nowy jadłospis: zapiekanka pasterska, ryba z podsmażanymi ziemniakami, potrawka z kurczaka. Brzmiało to bardzo apetycznie, lecz wszystkie dania, jakie Viola miała tu okazję oglądać, przypominały burą papkę, do której na deser podawano galaretkę. Nie miało to większego znaczenia, bo ojciec i tak niczego nie jadł. Żył samym powietrzem. Breatharianin z konieczności. Violę przez krótki (bardzo krótki) czas pociągała idea breatharianizmu, jak wszystko, co miało posmak sekciarstwa. Życie dzięki „energii światła” wydawało jej się dobrym sposobem na zrzućenie wagi. Pomysł był absurdalny. Na swoją obronę – ponownie zwróciła się do ławy przysięgłych – mogła jedynie dodać, że miała wtedy w życiu wyjątkowo trudny okres. To było, zanim odkryła, że aby schudnąć, wystarczy mniej jeść. („Mail on Sunday” opisał ją jako „wysmukłą posiadaczkę wciąż niezłych nóg, choć od jakiegoś czasu przysługuje jej komunikacyjna zniżka dla seniorów”. Bzdura. Viola z zasady nie jeździła komunikacją miejską. Zamawiała taksówki lub limuzyny z szoferem. Poza tym wolałaby, aby o jej nogach napisano, że są „świetne”, a nie tylko „niezłe”).

Przełała resztkę wody do plastikowego kubka i dodała zagęszczacz, który zmieniał każdy płyn w ohydny breję i miał rzekomo zapobiegać zakrzuszeniu. Następnie przysunęła kubek do ust ojca, żeby mógł pociągnąć łyżeczek.

– Czy wiek starczy generalnie jest dla ciebie odrażający – zapytał ją Gregory – czy odstręcza cię tylko starość twojego ojca?

– Jedno i drugie – odparła.

– A twoja własna?

Zgoda, Viola panicznie się bała, że się zestarzeje. („Przecież już jesteś stara” – zauważyła Bertie). Czy pod koniec życia czeka ją podobny los? Darmowe posiłki i miejsca dla seniorów, a na finał ohydny breja podsuwana przez kogoś mówiącego do niej po tagalsku? Kogoś obcego, komu będzie zupełnie *obojętna*. „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz” – zwykł mawiać jej ojciec. Bertie z pewnością by jej nie przygarnęła. Może mogłaby zamieszkać z Sunnym na Bali? Ostatecznie jej syn był buddystą, religia nakazywała mu okazywać współczucie potrzebującym. Prawda? „W jego przypadku chodzi raczej o stan ducha niż o religię” – wyprowadziła ją z błędu Bertie.

A gdyby opieka nad starszymi ludźmi była prawnie nałożonym obowiązkiem i wszyscy mu podlegali? Gdzie spojrzeć, uśmiechnięte twarze i troskliwe spojrzenia ludzi pytających, czy niczego ci nie potrzeba. Czy to byłoby utopijne czy zwyczajnie wkurzające?

Ostatni raz widziała Sunny’ego dziesięć lat temu. Cała dekada! Jak to możliwe? Jaka matka dopuściłaby do tego, aby przez dekadę nie oglądać własnego dziecka? Trzeba przyznać, że kilka razy próbowała się z nim spotkać. Na przykład kiedy promowała w Australii swoją nową książkę. On jednak stwierdził, że „w tym czasie będzie w Tajlandii”. Zasugerowała, że w drodze powrotnej mogłaby go tam odwiedzić. Usłyszała, że Sunny

wybiera się z pieszą wyprawą na północ, gdzie ciężko go będzie znaleźć. „Za słabo się starałaś” – mruknęła Bertie, prawa i sprawiedliwa jak jej dziadek. Akurat.

– Oddałaś go – przypomniała jej córka.

To prawda, oddała go tym podłym Villiersom. „Na swoją obronę mogę powiedzieć...”. Ale członkowie ławy przysięgłych nie słuchali.

Barka „Spirit of Chartwell” zacumowała w pobliżu Tower Bridge. –

Królowa dobiła do brzegu – poinformowała ojca Viola. – Nadal leje jak z cebra. Kto jak kto, ale ty byłbyś pełen podziwu dla stoickiej postawy naszej monarchini, gdybyś mógł ją teraz zobaczyć.

Teddy coś wymamrotał. Brzmiało to tak, jakby miał usta pełne kamieni. Wzrok pogorszył mu się do tego stopnia, że nie mógł oglądać telewizji. Nawet gdyby mógł, łączenie wydarzeń w ciąg logiczny sprawiało mu wyraźny kłopot, jakby poszczególne chwile wymykały mu się, gdy usiłował je zatrzymać. Książki też nie wchodziły w rachubę. Przed ostatnim zapaleniem płuc, gdy ojciec wciąż jeszcze rozróżniał duży druk, Viola odkryła, że na okrągło czyta on pierwszy rozdział *Barchester Towers*. Może teraz jego mózg oszczędniej traktował czas, wykorzystywał do oporu tę resztkę, jaka mu jeszcze pozostała? Chociaż z drugiej strony czas był sztucznie stworzonym konstruktem. Strzała Zenona z Elei przesuwała się gwałtownymi skokami do jakiegoś fikcyjnego punktu w przyszłości. W rzeczywistości ta strzała nie zmierzała do żadnego celu, życie człowieka zaś nie było wcale podróżą, u której kresu wszystkie elementy transcendentnej układanki miały trafić na swoje miejsce, a odwieczne zagadki znaleźć swoje rozwiązanie. Ludzie byli zagubionymi duszami błakającymi się po salach kosmicznego gmachu, gromadzącymi się w milczeniu przed wyjściem. Nie czekała ich żadna ziemia obiecana ani raj odzyskany. „To wszystko jest całkiem bez sensu” – oznajmiła ojcu, lecz ten

chyba się zdrzemnął. Viola westchnęła i odstawiła nietkniętą breję na stolik obok łóżka.

– A teraz pokazują same barki, przepływające przed królową łodzie. Każda jest inna, choć w sumie są okropnie nudne. – Rozległ się dzwonek jej komórki. Spojrzała na wyświetlacz. Bertie. Viola najchętniej by nie odebrała. – Halo?

– Oglądasz flotyllę łodzi na Tamizie z dziadkiem Tedem? – spytała córka.

– Tak, jestem u niego.

– Nudziarstwo, prawda? Biedna królowa, jest prawie w wieku dziadka i musi znosić coś takiego.

– W tym deszczu złapie własną śmierć – mruknęła Viola. Przez większość swojego dorosłego życia była zagorzałą socjalistką i republikanką, ale ostatnimi czasy zaczęła przejawiać dziwne przywiązanie do rodziny królewskiej. W dodatku podczas ostatnich wyborów oddała głos na Partię Konserwatywną, choć nie przyznałaby się do tego nawet na torturach. „Na swoją obronę mogę powiedzieć, że to było głosowanie taktyczne” – wyjaśniła ławie przysięgłych. Ławnicy nie wyglądali na przekonanych. Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa wciąż pozostawała poza progiem wyborczym, ale nigdy nie należy tracić nadziei. Z punktu widzenia Violi ludzie na stare lata wcale nie łagodnieli, po prostu ulegali rozkładowi.

– Tak czy inaczej – podjęła Bertie, jakby pragnęła zaznaczyć, że wyczerpały z matką wszystkie ciekawe tematy – dasz mi do telefonu dziadka?

– I tak cię nie zrozumie.

– Daj mi go i już.

Gdyby Viola mogła zacząć wszystko od nowa – nikt nie dostaje drugiej szansy, życie to nie próba, ple, ple, ple. Wszystko to oczywiście prawda, ale gdyby *mogła* raz jeszcze odbyć tę podróż, która nie była żadną podróżą, to co by zmieniła? Nauczyłaby się kochać. *Nauka miłości*, opis trudnej i bolesnej, lecz w ostatecznym rozrachunku zbawczej drogi, ciepła, wzruszająca opowieść o zmaganiach autorki z rozpaczą i samotnością. Na szczególne uznanie zasługują jej wysiłki, aby naprawić relacje z dziećmi. (W tym momencie połowa członków ławy przysięgłych drzemała w najlepsze). Viola próbowała, naprawdę próbowała. *Pracowała* nad sobą. Lata terapii i zaczynania od zera – nic, co wymagałoby od niej naprawdę aktywnego udziału. Pragnęła, aby to ktoś inny ją zmienił. Jaka szkoda, że nie można po prostu dostać zastrzyku, po którym wszystko stanie się takie jak trzeba! („A próbowałaś heroiny?” – podsunęła Bertie). Na razie Viola nie powróciła jeszcze na łono Kościoła, ale skoro zagłosowała na torysów (ze względów taktycznych!), anglikanizm czekał zapewne za progiem. Wyglądało jednak na to, że ilekroć zaczynała od nowa, lądowała zawsze w tym samym miejscu. Bez względu na to, jak się starała, „pierwotna matryca” nieubłaganie wygrywała z późniejszymi wersjami. Więc po co sobie zawracać głowę? Szkoda zachodu.

– Całkiem bez sensu – powtórzyła.

Usiłowała otworzyć szerzej okno, lecz blokada uniemożliwiała uchylenie go na więcej niż kilka centymetrów, jakby szefostwo ośrodka chciało zapobiec wypadnięciu na zewnątrz skrzatów, nie zaś dorosłych, choć nieco skurczonych ludzi. Znajdowali się na pierwszym piętrze i z okna rozciągał się widok na ogromne kontenery na śmieci, zawierające Bóg wie jakiego rodzaju obrzydlistwa.

Ojcu brakuje pewnie świeżego powietrza. Nigdy nie lubił tkwić zamknięty w czterech ścianach. Uwielbiał przyrodę. Viola poczuła, że

budzi się w niej współczucie, i szybko je stłumiła.

Kiedy była mała, niemal co weekend jeździli na wieś na długie spacery, podczas których ojciec zasypywał ją informacjami na temat kwiatów, zwierząt i drzew. Boże, jakże nie cierpiała tych wędrówek! Ojciec latami prowadził rubrykę przyrodniczą w jakimś prowincjonalnym czasopiśmie. Gdyby uważnie go słuchała, mogłaby się dowiedzieć wielu pożytecznych rzeczy, nie słuchała jednak z zasady, bo i tak nic, co by powiedział, nie wynagrodziłoby jej straty matki. „Ja chcę moją mamę” – rozpaczliwy krzyk dziecka w środku nocy. („Och, weź się wreszcie w garść, na litość boską” – ofuknęła ją Bertie; Viola uważała, że córka zupełnie niepotrzebnie jest dla niej taka opryskliwa).

– Wcześniej stwierdziłaś, że zawsze byłaś wobec ojca „nieufna” – wtrącił Gregory, kolejne wcielenie Głosu Rozsądku. Głosu, który prześladował Violę przez całe jej życie.

– Nieufna – powtórzył, aby skłonić ją do mówienia.

– Naprawdę użyłam tego słowa?

– Tak.

Przypuszczała, że terapeuta węszy w powietrzu przemoc domową albo coś równie traumatycznego. W istocie tym, co narzucało jej dystans do ojca, była jego zapobiegliwość. Wrodzony stoicyzm (tak, znów to nadużywane słowo) i pogodna oszczędność: pszczoły, kury, warzywa z własnego ogródka. Obowiązki domowe, które należało wykonywać bez gadania („Ja upiorę, ale ty rozwieszysz”). Niewyrzucanie resztek z posiłków („Zobaczmy, w lodówce jest trochę szynki i kilka zimnych ziemniaków. Skocz no i zobacz, czy nasze pierzaste przyjaciółki nie obdarowały nas przypadkiem jajkami”). I ta jego niezmordowana cierpliwość do córki, jakby była upartym psem („No, Violu, jeśli teraz grzecznie usiądziesz i odrobisz lekcje, może znajdzie się dla ciebie później jakiś smakołyk”).

– Twój ojciec robi wrażenie rozsądnego człowieka.
– Nie powinienes przypadkiem być po mojej stronie? (Rozsądny! Co za koszmarne słowo).

– A powinienem? – spytał łagodnie Gregory.

Czy doprawdy nie mogła liczyć na to, że ktoś w końcu ze współczuciem wysłucha jej żalów? Nawet ktoś, kto teoretycznie był do tego zobowiązany, bo płaciła mu za to ciężkie pieniądze?

– W dodatku po śmierci matki obciął mi włosy!

– Sam?

– Nie, zaprowadził mnie do fryzjerki. – Nancy zwykła chodzić z nią do salonu Swallow & Barry's w Stonegate, a potem zabierała Violę do herbaciarni U Betty na bezy z bitą śmietaną. Były pyszne, ale nie zapamiętała ich jako utraconego smaku dzieciństwa.

Na dole w salonie fryzjerskim była lada, przy której sprzedawano ozdobne szylkretowe grzebienie oraz kłamry do włosów i gdzie pachniało ślicznymi perfumami dla dorosłych pań. Urzędujący na górze fryzjer zawsze zachwycał się długimi włosami Violi, po czym starannie przycinał ich końce, żeby były „jeszcze ładniejsze”. W tym luksusowym miejscu folgowano kaprysom klientek. Wszyscy tam uwielbiali Nancy i mówili Violi, jaka jest ładna. Ojciec uznał, że Viola potrzebuje jakiejś „wygodnej” fryzury, bo on nie da rady pleść jej co rano warkoczy. Zabrał ją do okropnego malutkiego zakładu, którego ściany były pomalowane na fioletowo. Dzisiaj takie miejsce nazywałoby się „Szybkie Cięcie” albo „Pod Włos”, ale wtedy nosiło całkiem zwyczajną nazwę „U Jennifer”. Viola do dziś pamiętała, że w środku było zimno, a fiołkowa farba łuszczyła się ze ścian.

Pozostawiła swoje śliczne włosy na popękany linoleum zakładu Jennifer. Wyszła stamtąd z paskudną krótką i nietwarzową fryzurką –

wyglądała w niej drętwo i nieciekawie. Tym razem nie było żadnych bez U Betty, tylko woda jęczmienna z dodatkiem soku cytrynowego i czekoladowe herbatniki w domu. Viola płakała i płakała...

– Nie mogłaś sama się czesać?

– Słucham?

– Nie mogłaś sama czesać włosów?

– Miałam dziewięć lat, więc nie. Przynajmniej nie tak, jak należy. – Nancy starannie szczotkowała jej włosy każdego ranka i każdego wieczoru. To był ich cudowny wspólny rytuał.

Bertie jako mała dziewczynka też miała długie włosy. W zasadzie tak wyszło; Viola po prostu nigdy nie była z nią u fryzjera. Pamiętała, jak rano z pośpiechem wyprawiała dzieci do szkoły – w domu przez godzinę panował koszmarny rozgardiasz, bo Bertie z natury była powolna, a Sunny niegrzeczny. („Może wstawałaś trochę wcześniej?” – podsunął jej ojciec. Jasne, jakby nie dość wcześnie się zrywała!). Dodatkowo zawsze czekały ją poranne przepychanki z Bertie – córka nie cierpiała rozczesywania włosów nylonową szczotką, która najwyraźniej była do niczego. Nieustannie się wierciła i wrzeszczała, ilekroć szczotka zaplątała się w jej długie kosmyki, w związku z czym do szkoły szła zwykle rozczochrana. Szkoła była steinerowska, więc nie miało to większego znaczenia; pozostali uczniowie też prezentowali się co najmniej niedbale.

Viola wzdrygnęła się na myśl o dawno zapomnianej scenie, która niespodziewanie stanęła jej przed oczami. Ujrzała siebie, krzyczącą na Bertie: „Uczesz się sama, skoro nie potrafisz spokojnie usiedzieć!”, i szczotkę do włosów ciśniętą na drugi koniec pokoju. Ile lat mogła mieć wtedy jej córka? Sześć? Siedem?

Och, Violu...

To zaskakujące wspomnienie było niczym kolejny cios w serce, mocno nadwyrężone szaleństwami minionego wieczoru. („Naprawdę byłam taką okropną matką?” – zapytała kiedyś Bertie. „Dlaczego użyłaś czasu przeszłego?” – odparowała córka. Jak sobie pościelesz... Jeszcze jeden cios). Zdawała sobie oczywiście sprawę, że to nieprawda, iż nikt jej nie kocha (choć tak właśnie się *czuła*). Nie była wygnańcem z Krainy Miłości, sama ją opuściła. Dobrze o tym wiedziała.

– A zatem jaki powinien być twój następny krok? – spytał ją Głos Rozsądku. – Może pora zacząć...

– Och, przymknij się, do cholery – mruknęła ze znużeniem.

Gdy Bertie zaczęła pomieszkiwać u ojca Violi („*Mieszkałam z nim, a nie pomieszkiwałam*”), ten zgodnie z tradycją zabrał ją do zakładu fryzjerskiego, skąd wróciła ze staroświeckim bobem podpiętym plastikowym grzebykiem. Twierdziła, że jest zachwycona nową fryzurą, lecz Viola przypuszczała, że córka mówi tak tylko po to, żeby ją zirytować. „Teraz sama może dbać o swoje uczesanie” – orzekł z zadowoleniem ojciec. Miał obsesję na punkcie samowystarczalności; zawsze powtarzał, że ludzie powinni za siebie *odpowiadać*.

Teddy zaczął pochrapywać.

– Wciąż interesuje mnie to słowo „nieufna” – przypomniał jej Gregory.

Viola westchnęła. – Może niewłaściwie się wyraziłam.

Wszyscy lubili jej ojca. Był taki dobry. Życzliwy. A ona patrzyła, jak zabija jej matkę.

– Chciałabyś o tym porozmawiać, Violu?

Nudna parada łodzi w deszczu powoli dobiegała żalostnego końca. Do pokoju weszły dwie salowe i zgodnie wyrecytowały: „Ted, Ted, pora spać”. Zabrzmiało to niczym początek dziecięcej rymowanki. „On już śpi” – zwróciła im uwagę Viola, na co obie wybuchnęły śmiechem, jakby

powiedziała coś zabawnego. Pochodziły z Filipin („Mówimy po tagalsku”) i na wszystko reagowały śmiechem. Czy Filipińczycy z natury byli tacy radośni, czy też salowe po prostu cieszyły się, że wyjechały z ojczyzny? A może nie rozumiały ani słowa z tego, co właśnie powiedziała? Była dopiero szósta – wczesna pora udania się na spoczynek nawet jak dla dziecka. Jedna z salowych przyniosła pieluchomajtki. W milczeniu zaczekały, aż Viola wyjdzie na korytarz. („Troska o godność naszych rezydentów ma dla nas kluczowe znaczenie”).

Gdy ojciec został umyty i ułożony do snu, Viola wróciła, żeby się pożegnać. – W przyszłym tygodniu mnie nie będzie – oznajmiła, chociaż jakakolwiek rozmowa z Teddym o przyszłości wydawała się pozbawiona sensu, podobnie jak w zasadzie na każdy inny temat. – Nie wracam do domu – dodała – tylko jadę na festiwal literacki do Singapuru.

Teddy wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „Sunny”.

– Tak, będzie słonecznie – odparła, chociaż wiedziała, że nie to miał na myśli. Słońce, syn, Sunny. Według Bertie z Singapuru na Bali był „rzut beretem”. Skoro leciała tak daleko, czemu nie miałyby się zobaczyć ze swoim „jedynym synem”? (I to *ją* Bertie uważała za pasywno-agresywną!). W istocie lot z Singapuru na Bali trwał cztery godziny, lecz nie o czas ani odległość chodziło – chyba że traktowało się je w sposób metaforyczny, jak to czyniła Viola.

– No, muszę lecieć – powiedziała, zerkając z ulgą na zegarek. – Mam zamówioną taksówkę. – Pocałowała Teddy’ego lekko w czoło – bliskość rozstania sprawiła, że poczuła do niego coś w rodzaju tkliwości. Jego skóra była chłodna i sucha w dotyku, jakby już połowicznie zabalsamowana i zmumifikowana. Ojciec nie zareagował, tylko jego ręka delikatnie drgnęła.

Na dole przy głównym wyjściu starsza kobieta z gatunku żywych trupów przestępowała z nogi na nogę. Wyglądała przez szybę na plac przed budynkiem, dobre miejsce na przyjemny ogród dla „rezydentów”. Urządzono na nim jednak parking dla personelu. W starszej kobiecie Viola rozpoznała Agnes. Jeszcze niedawno miała ona całkiem sprawny umysł i gdy ojciec Violi zamieszkał w ośrodku, często do niego zaglądała na pogawędki. Teraz oczy Agnes przypominały oczy śniętej ryby, a z jej ust wydobywał się niezrozumiały bełkot.

– Dzień dobry – odezwała się grzecznie Viola. Z doświadczenia wiedziała, że trudno konwersować z ludźmi, którzy patrzą przez ciebie na wylot, jakbyś to ty był duchem, a nie oni, mimo to nie rezygnowała. – Mogłaby się pani przesunąć? Chciałabym wyjść, a pani stoi w przejściu. – Agnes odpowiedziała, ale przypominało to gadanie Bertie przez sen. – Nie wolno pani opuszczać ośrodka – upomniała ją Viola, usiłując przesunąć nieco staruszkę, lecz Agnes się zaparła, niewzruszona jak krowa albo koń. Viola westchnęła i mruknęła: – W razie czego to nie będzie moja wina – i wystukała na klawiaturze magiczny kod otwierający drzwi („4-3-2-1”). Agnes zwinnie wyśliznęła się na dwór z szybkością, która naprawdę robiła wrażenie. Zanim Viola wsiadła do taksówki, znajdowała się w połowie podjazdu. Nie sposób było nie podziwiać hartu ducha uciekinierki.

Nowa pielęgniarka wypadła zdenerwowana z budynku i zawołała do Violi: – Nie widziała pani przypadkiem Agnes?

Viola wzruszyła ramionami: – Niestety nie.

* * *

Złapała ostatni pociąg do Londynu. Nazajutrz umknęła jej krótka informacja w „The Press”, ukryta między fotoreportażami z weekendowych przyjęć ulicznych i obchodów jubileuszu królowej. Nie dowiedziała się

w związku z tym, że „Ogłoszono zaginięcie osiemdziesięcioletniej pensjonariuszki domu opieki cierpiącej na chorobę Alzheimera. Ostatnio była widziana przez kierowcę na utwardzonym poboczu autostrady A64. Policja usiłuje ustalić miejsce jej pobytu na podstawie nagrań z monitoringu. Kobieta, której danych nie upubliczniono, to rezydentka domu opieki Topolowe Wzgórze. Rzecznik ośrodka poinformował tylko, że wszczęto dochodzenie mające ustalić, w jaki sposób wydostała się ze ściśle strzeżonego oddziału, i odmówił dalszych komentarzy”.

Viola była już wtedy na lotnisku Changi. Jeszcze jedna uciekinierka.

Prosto ze stacji King's Cross taksówką pojechała do hotelu Mandarin Oriental w Knightsbridge. Wcześniej zasugerowała Bertie, że mogłyby się spotkać, gdy będzie przejazdem w Londynie. – Może zjadłybyśmy razem kolację w hotelowej restauracji? W »Dinner« Hestona Blumenthala? (Ten to potrafi nazywać rzeczy po imieniu). Ja stawiam!

– Przykro mi, nie mogę – wymówiła się jej córka. – Jestem zajęta.

– Zbyt zajęta, aby się spotkać z własną matką? – rzuciła lekko Viola. (Jak sobie pościelesz...). Ponownie zalała ją fala paniki z sobotniego wieczoru. Gregory powiedział jej, że cierpi na syndrom odrzucenia. („Chodzi o to, że nas odrzuciłaś?” – chciała wiedzieć Bertie). Zrobiło jej się niedobrze.

Gdyby mogła spełnić swoje trzy życzenia, o co by poprosiła? Żeby jej dzieci znowu były małe. Żeby jej dzieci znowu były małe. Żeby jej dzieci znowu były małe.

Gdzieś wysoko nad Oceanem Indyjskim przypomniała sobie niezwykle wyrazisty sen, jaki nawiedził ją poprzedniej nocy. Była na dworcu kolejowym – nie takim nowoczesnym, raczej starym, całym czarnym od sadzy. Był z nią Sunny, pięcio- czy sześćoletni, ubrany w tę swoją

śmieszoną czerwoną budrysówkę. Na szyi miał szalik w paski. (Owszem, to prawda, że fatalnie go ubierała. Zadowoleni?). Na dworcu było gwarno, pasażerowie tłoczyli się przy wejściu na peron, spieszno im było wrócić do domu. Spowalniały ich przejście z kołowrotem i kontrola biletów w okienku. Dalej trzeba było zejść schodami na peron i do pociągu, lecz zarówno jedno, jak i drugie znajdowało się poza zasięgiem wzroku. Zadaniem Violi i Sunny’ego było pomagać pasażerom, aby zdążyli na pociąg. Niczym psy pasterskie zaganiali ich do kolejki, wykrzykując ponaglenia. Naraz tłum się przerzedził i ostatni maruderzy zbiegli na peron. Z dołu dobiegł odgłos zatraskiwanych drzwi pociągu, zawiadowca dmuchnął w gwizdek. Sunny odwrócił się do Violi z promiennym uśmiechem i powiedział: „Udało się nam, mamusiu! Wszyscy zdążyli wsiąść!”. Viola nie miała pojęcia, co miałyby oznaczać ów sen.

– Wszystko w porządku, pani Romaine? – zagadnęła ją stewardesa, przemiała Azjatka. W pierwszej klasie cały personel pokładowy był przemity. Bądź co bądź, za to się im płaciło. Po policzkach Violi płynęły łzy. – Smutny film – powiedziała, wskazując na wygaszony ekran telewizora. – Mogłaby mi pani przynieść filiżankę herbaty?

Przeszła przez kontrolę paszportową, odebrała bagaż i ruszyła w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą walizkę. Automatycznie otwierane drzwi wiodące do hali przylotów rozsunęły się bezszelestnie. Po drugiej stronie barierki czekał szofer. Trzymał uniesioną tabliczkę z jej nazwiskiem. Miał ją zabrać do eleganckiego hotelu, a nazajutrz – Viola zorientowała się, że zapodziała gdzieś plan wizyty – na spotkanie autorskie, podczas którego miała czytać fragmenty swojej najnowszej książki zatytułowanej *Co trzecia myśl*. Powieść wychodziła dopiero za miesiąc. Coś jej świtało, że była też mowa o kilku sesjach panelowych. „Rola pisarza we współczesnym świecie”. „Literatura popularna a literatura piękna – fałszywe rozróżnienie?”. Albo

coś w tym rodzaju. To było zawsze coś w tym rodzaju. Festiwale literackie, spotkania w księgarniach, wywiady, czaty internetowe – wszystko w zasadzie polegało na zapełnianiu pustki w życiu innych ludzi, którzy z kolei zapełniali jej pustkę.

Podeszła do szofera. Nie będzie wiedział, kim jest, dopóki mu się nie przedstawi. W ostatniej chwili odbiła w bok i poszła przed siebie, jakby od początku miała taki zamiar. Ruchomymi schodami wjechała do hali odlotów, odszukała stanowisko Singapore Airlines i kupiła bilet do Denpasar.

Wyobraziła sobie minę Sunny'ego. („Niespodzianka!”). Razem dopilnują, żeby wszyscy wsiedli do pociągu. Tak czy inaczej, musi im się udać.

30 marca 1944

Ostatni lot

Upadek

Zagwizdał na psa i niemal jednocześnie dostrzegł parę zajęcy w trawie na polu przylegającym od zachodu do zabudowań farmy. Marcowe szaraki ogarnięte wiosennym szaleństwem, boksujące się zawzięcie niczym dwóch zawodników walczących na gołe pięści. Po chwili dojrzał trzeciego, a potem czwartego. Kiedyś w dzieciństwie naliczył za jednym razem siedem zajęcy na łące w Fox Corner. Od Pameli wiedział, że tej łąki już nie ma – zaorano ją pod pszenicę ozimą, aby wykarmić głodne ofiary wojny. Len, ostróżki, jaskry i maki polne, lepnica czerwona oraz złocienie przepadły i nigdy nie miały powrócić.

Zające mogły mieć w sercu wiosnę, lecz Teddy jakoś jej nie wyczuwał. Po wyblakłym niebie mknęły szare chmury aż znad Morza Północnego, gnane silnym wiatrem wschodnim, który smagał płaski krajobraz i wzbijał w powietrze pył z grzbietów nagich, wyschniętych skib. Przy takiej pogodzie ludzie podupadali na duchu, chociaż nastrój Teddy'ego chwilowo poprawił widok walczących zajęcy i przenikliwy, śpiewny gwizd niewidocznego kosa, który odpowiedział skądś na jego gwizd.

Lucky również go usłyszał – zawsze reagował na jego wezwanie – i właśnie pędził ku niemu przez pole nieświadomy rozgrywającego się meczu bokserskiego. Ostatnimi czasy beztrósco eksplorował okolicę, czuł się na wsi jak u siebie w domu. Podobnie czuł się w kwaterze Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet. Gdy wreszcie dopadł nóg pana, usiadł grzecznie

i wznosząc do góry pyszczek, popatrzył mu w oczy w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

– Idziemy – powiedział Teddy. – Wieczorem lecimy na akcję. To znaczy ja lecę – sprostował. – Ty zostajesz. – Wystarczy, że psiak raz zabrał się z nimi na gapę.

Gdy znów spojrzął na pole, po zajęcach nie został ślad.

Rankiem z Kwatery Głównej Dowództwa Bombowego RAF-u w High Wycombe przyszły rozkazy, lecz tylko garstka ludzi w bazie – wśród nich Teddy – została wcześniej poinformowana o celu nalotu.

Jako dowódcy skrzydła Teddy'emu zalecono, aby zbyt często nie latał. „W przeciwnym razie tracilibyśmy jednego dowódcę skrzydła tygodniowo” – stwierdził ich oficer dowodzący. Przedwojenną hierarchię obowiązującą w Królewskich Siłach Powietrznych dawno postawiono na głowie. Teraz dowódcą skrzydła można było zostać w wieku dwudziestu trzech lat, a w wieku dwudziestu czterech zginąć.

Dla Teddy'ego była to trzecia tura lotów bojowych. Nie miał obowiązku wracać do służby w powietrzu, mógł spokojnie być instruktorem albo poprosić o przeniesienie za biurko. Sylvie w liście uznała jego decyzję za „czyste szaleństwo”. Teddy w zasadzie się z nią zgadzał. Miał za sobą siedemdziesiąt operacji i wielu lotników z eskadry uważało go za niezniszczalnego. Pomyślał, że tak tworzą się współczesne mity: wystarczy dłużej niż pozostali utrzymać się przy życiu. Może właśnie taką rolę miał odtąd odgrywać – być dla innych talizmanem, maskotką na szczęście. Ocalić od śmierci tylu, ilu zdoła. Może *faktycznie* był nieśmiertelny. Testował tę teorię, pchając się do walki tak często, jak to było możliwe, pomimo sprzeciwów z góry.

Po przerwie wrócił do pierwszej eskadry, w której służył, lecz tym razem zakwaterowano ich nie w wygodnej, solidnie zbudowanej z cegieł

przedwojennej bazie RAF-u, gdzie stacjonowali przed wybuchem wojny, lecz w naprędcie skleconych na środku błotnistego klepiska barakach z blachy falistej. Gdy opuścą jednostkę (bo przecież opuścą – nawet wojna stuletnia kiedyś się skończyła), wystarczy kilka lat, aby cały teren znów stał się polem malowanym brązem, zielenią i złotem.

Ilekroć wyruszał na akcję, pilotował F-Foxa, niezawodną maszynę, z którą jedna załoga wytrwała szczęśliwie do końca tury wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa. W istocie Teddy'emu po prostu podobała się jej nazwa, budząca skojarzenia z domem. Ursula doniosła mu, że Sylvie, która niegdyś kochała lisy odwiedzające ich ogród w Fox Corner, zaczęła wykładać dla nich trutkę po tym, jak przeprowadziły szczególnie udany napad na kurnik. „Niewykluczone, że w przyszłym życiu powróci na ziemię jako lis – pisała mu siostra – a wtedy gorzko pożałuje”. Dodała, że podoba jej się idea reinkarnacji, choć naturalnie w nią nie wierzy. „Na tym polega cały kłopot z wiarą – pomyślał Teddy – z natury rzeczy jest czymś niemożliwym”. On sam nie wierzył już w nic. Może tylko w drzewa. Drzewa, kamienie i wodę. Wschody słońca i gonitwy jeleni.

Żał mu było tych lisów. W każdej sytuacji przyznałby im pierwszeństwo przed stadkiem kur, przed ludźmi również.

Wymówił się od przyjazdu do Fox Corner na Boże Narodzenie. Wyjaśnił, że musi pozostać na posterunku, co tylko połowicznie było kłamstwem. Od miesiący nie widział zatem swojej nieludzkiej matki – w zasadzie od tamtego nieznośnego lunchu zaraz po nalocie na Hamburg. Przyłapał się na tym, że myśl o Sylvie nie budzi w nim żadnych ciepłych uczuć. „Doskonale to rozumiem” – napisała mu Ursula.

Obsługa naziemna F-Foxa nie szczędziła surowych przestróg każdemu, kto wypożyczał od nich maszynę. „Latawiec dowódcy skrzydła ma wrócić do bazy w jednym kawałku, w przeciwnym razie...”. W rzeczywistości byli

święcie przekonani, że samolot należy do nich, i Teddy'ego upominali tak samo jak innych.

Czasami, żeby przetestować teorię dotyczącą własnej nieśmiertelności, Teddy brał na akcję jedną ze starych rozklekotanych maszyn. Jego obsługa naziemna wpadała w rozpacz, ilekroć latał z niesprawdzonymi w boju nowicjuszami. Zdarzało się, że jako kapitan brał na pokład załogę złożoną z samych „kotów”, zwykle jednak zajmował miejsce drugiego pilota i po prostu dodawał im odwagi. Nikt nie uważał, że jego obecność może przynieść pecha – wręcz przeciwnie. Słyszał, jak chłopcy mówili: „Nic nam się nie stanie, bo leci dziś z nami dowódca skrzydła”, i przypominał sobie Keitha z jego szczęściem na opak, które ostatecznie się od niego odwróciło.

Poszedł na płytę postojową, żeby obejrzeć F-Foxa i pogadać z mechanikami.

Dla załogi, z którą miał lecieć, była to pierwsza operacja. Kompletnie zieloni zjawili się w bazie tego ranka prosto z jednostki szkolenia operacyjnego w Rufforth. Przydzielono im ich własną maszynę, ale po przelocie testowym personel naziemny uznał ją za niesprawną. Wówczas Teddy zaoferował im F-Foxa oraz siebie do kompletu. Chłopaki były wniebowzięte i podniecone perspektywą czekającej ich akcji.

Na miejscu stała cysterna i napełniała paliwem zbiorniki na skrzydłach F-Foxa. Po jego ilości personel naziemny mógł się mniej więcej zorientować, dokąd lecą, lecz nikt z obsługi nigdy nie rozmawiał na ten temat z załogą. Jeżeli nawet czegoś się domyślali, zachowywali to dla siebie. Może uważali, że takie gadanie przynosi pecha? Niektórzy czuwali przez długie godziny nocne, zazwyczaj skuleni wokół marnego piecyka w ponurym baraku nieopodal miejsca rozśrodkowania albo niespokojnie drzemali na łóżkach polowych, ewentualnie siedzieli na przewróconej do

góry dnem skrzynce z narzędziami w oczekiwaniu na powrót F-Foxa. Na powrót Teddy'ego.

Do samolotu niczym miniaturowy pociąg z turkotem dotoczył się wózek z bombami i zbrojmistrze za pomocą wciągarki zaczęli ładować je do komory bombowej. Na jednej z bomb ktoś napisał kredą: „To za Erniego, Adolf”. Teddy był ciekaw, kim był ów Ernie, ale nie zapytał, a nikt nie pospieszył z wyjaśnieniami. Jeden z szeregowych lotników, wesoły chłopak z Liverpoolu, stał na szczycie drabiny i z wielkim przejęciem polerował pleksiglasową osłonę tylnej wieżyczki parą praktycznych barchanowych majtadałów noszonych przez członkinie Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet. Odkrył bowiem – lepiej sobie nie wyobrazać, w jaki sposób – że materiał, z jakich je uszyto, znakomicie się nadaje do tej jakże ważnej czynności. Strzelec mógł wziąć ciemną plamkę na osłonie wieżyczki za niemiecki myśliwiec i zanim ktokolwiek by się obejrzał, zaczęłby strzelać na oślep, zdradzając tym samym nieprzyjacielowi pozycję maszyny. Na widok Teddy'ego szeregowiec rzucił: – Wszystko gra, kapitanie?

Teddy pogodnie przytaknął. Spokój i pewność siebie dowódcy miały się udzielić reszcie załogi. Ważne też było, aby zapamiętać, jak się który nazywa. I okazać im życzliwość. Właściwie dlaczego nie?

W trakcie długich nocnych czuwań Teddy coś sobie poprzysiągł – taka prywatna obietnica złożona światu. Poprzysiągł, że jeśli przeżyje, to w owym mitycznym „kiedyś” będzie się zawsze starał być dobrym człowiekiem. Wieść ciche, uczciwe życie, jak Kandyd spokojnie uprawiać swój mały ogródek. To będzie jego odkupienie. Jeżeli tylko zdoła choć o piórko przechylić szalę na stronę dobra, stanie się to jakąś formą zadośćuczynienia za to, że śmierć go oszczędziła. Niewykluczone, że gdy wszystko się dokona i nadejdzie czas zapłaty, o jego losie zadecyduje właśnie to jedno piórko.

Dobrze wiedział, że kręci się bezużytecznie. Ostatnio coraz częściej dopadał go nagły niepokój, objawiający się napięciem psychicznym i wzmożoną ruchliwością. Czasami zaś łapał się na tym, że odpływa, tonie nie tyle w myślach, ile w niemyśleniu. Tak było i tym razem: nie wiedząc jak, znalazł się przy gołębniku. Gołębie pocztowe trzymano w szopie stojącej za barakami z blachy falistej, w których kwaterowały załogi. Zajmował się nimi jeden z kucharzy, gołębiarz z zamiłowania, który tęsknił za własnymi gołębiami wyścigowymi pozostawionymi w Dewsbury.

Teddy polecił psu zostać przed szopą. Lucky zawsze czekał na ptaki, które spłoszone zaczynały trzepotać skrzydłami, choć z natury były zasadniczo nieustraszonymi, wręcz bohaterskimi stworzeniami. Gołębie zabierane na pokład samolotu miały przenosić meldunki. W przypadku wodowania albo ewakuacji poprzez skok na spadochronie należało zapisać swoje położenie i umieścić wiadomość w kapsułce, którą skrzydlaty pocztylion zaniósłby do bazy. Teddy'emu wydawało się wysoce nieprawdopodobne, aby na podstawie nieczytelnych gryzmołów ktokolwiek mógł odnaleźć lotnika zagubionego na terytorium wroga. Po pierwsze, lotnik musiałby dokładnie znać swoją pozycję. Po drugie, gołąb miał znikome szanse dotarcia do ojczyzny. (Ciekawe, czy dziewczyna z Ministerstwa Lotnictwa dysponowała danymi na *ten* konkretny temat). Niemcy trzymali wzdłuż francuskiego wybrzeża sokoły tylko po to, aby te polowały na przenoszące meldunki ptaki.

Pozostawała też kwestia wyjęcia gołębia z klatki, w której podróżował w kabinie samolotu, i umieszczenia go w pojemniku niewiele większym od termosu (co samo w sobie nastęczało sporych trudności). Ewakuacja z uszkodzonego bombowca wymagała – w najlepszym razie – szaleńczego wyścigu z czasem. Lotnicy jednocześnie przypinali spadochrony, otwierali włazy ratunkowe, pomagali wydostać się rannym. W tym czasie maszyna

płonęła lub wpadała w niekontrolowany lot nurkowy. W ostatnich dramatycznych sekundach biedne gołębie znajdowały się na szarym końcu listy priorytetów załogi. Ciekawe, ile z nich pozostawiono na pewną śmierć zamknięte w klatkach, aby spłonęły, utonęły lub w ułamku sekundy zmieniły się w obłoczek pierza, gdy samolot eksplodował. Wszyscy w bazie wiedzieli, że w maszynie dowódcy skrzydła nie ma miejsca dla żadnych gołębi.

Ciche gruchanie i zalatująca amoniakiem woń ptasich odchodów, którą był przesycony gołębnik, działały na Teddy'ego uspokajająco. Wyjął z klatki gołębia i delikatnie go pogłaskał. Ptak cierpliwie znosił pieśczość. Odkładając go z powrotem, Teddy czuł na sobie spokojny wzrok czarnych oczu. Zainteresowało go, co taki ptak myśli. Pewnie niewiele. Gdy wyszedł na zewnątrz, na jasne słońce, pies obwąchał go podejrzliwie w poszukiwaniu dowodów zdrady.

Dochodziła pora lunchu, Teddy poszedł więc do kantyny. Ostatnio nie miał apetytu, mimo to zmusił się, aby coś przełknąć. Tego dnia serwowano wyjątkowo zapychający parzony biszkopt z suszonymi śliwkami, który w umieszczonym na czarnej tablicy menu nosił szumną nazwę puddingu śliwkowego. Danie długo zalegało mu w żołądku. Z przyjemnością wspominał deser *Far Breton*, którym zajadał się we francuskim upale. Francuzi nawet suszone śliwki potrafili zmienić w smakowite dzieło sztuki kulinanej. Gdy raz wylądował awaryjnie w Elvington, gdzie stacjonowali francuscy lotnicy, odkrył, że tamtejsi kucharze, również Francuzi, wykorzystują skromne racje żywnościowe ze znacznie większym połotem niż personel kantyny RAF-u. Co więcej, jadano tam posiłki z kieliszkiem czerwonego wina. Algierskiego, to prawda, ale zawsze. Śliwkowy pudding by u nich nie przeszedł.

Resztę popołudnia załogi poświęciły na odpoczynek – pisanie listów, grę w rzutki, słuchanie w kasynie radia wiecznie nastawionego na program rozrywkowy BBC nadawany specjalnie dla wojska. Niektórzy spali. Wielu poprzedniej nocy uczestniczyło w operacji i położyło się dobrze po wschodzie słońca.

Cel ujawniano najpierw pilotom i nawigatorom na popołudniowej odprawie wstępnej. Dla radiotelegrafistów i celowniczych organizowano osobne specjalistyczne odprawy. W głębi duszy Teddy się spodziewał, że wylot zostanie w ostatniej chwili odwołany – księżyc niemal w pełni, na niebie ani jednej chmurki. Wkrótce, wraz z nadejściem wiosny i coraz krótszymi nocami, nie sposób będzie wykonywać długich lotów w głąb Niemiec. Przypuszczał, że to ostatnia uwertura rozpoczętej przez Harrisa bitwy o Berlin. Długa seria wyczerpujących, okupionych ciężkimi stratami zimowych lotów dobiegała końca. W ubiegłym miesiącu nad Lipskiem stracili siedemdziesiąt osiem maszyn, tydzień temu nad Berlinem siedemdziesiąt trzy. Od listopada oddało życie prawie tysiąc lotników. Sami młodzi. Ostatnio na pogrzebie kanadyjskiego nawigatora, którego Teddy i Mac pamiętali jeszcze z pierwszej tury lotów, grano *Leśne kwiaty*, tradycyjny szkocki lament. Nawigator miał na imię Walter – Walt. Mówili o nim „Disney”. Teddy nie przypominał sobie jego prawdziwego nazwiska, choć przecież musiał je znać. Miał wrażenie, że to wszystko wydarzyło się tak dawno temu, a zarazem niedawno.

Dowódca bazy poprosił ich, aby odprowadzili ciało „Disney’a” do Stonefall i ponieśli trumnę. Ktoś znalazł w Leeds szkockiego dudziarza, który zagrał przy grobie. „Disney” zginął od ostrzału artylerii przeciwlotniczej w trakcie nalotu na Bremę. Mechanik pokładowy musiał się posłużyć astronawigacją, aby sprowadzić samolot z powrotem do bazy.

Nie mógł skorzystać z map ani wykresów „Disneya”, ponieważ tak nasiąkły krwią, że stały się całkiem bezużyteczne.

Palili ogniem spalone wsie, bombardowali zbombardowane miasta. Pomysł był w założeniu dobry: pokonać wroga w powietrzu i oszczędzić światu makabry wojny lądowej znanej spod Ypres, znad Sommy, spod Passchendaele. Tyle że się nie sprawdził. Raz pobity nieprzyjaciel znów się podnosił jak w koszmarze sennym. Ze smoczych zębów zasianych na polu Aresa rodziły się kolejne zastępy wojowników. Uparcie ciskali więc ptakami o mur. A ten jak stał, tak stał.

Niezapowiedzianą wizytę w bazie złożył im sam wicemarszałek lotnictwa. Na mundurze miał mnóstwo odznaczeń i sznur galowy w kolorze jajeczniczy. „Chcę, żeby żołnierze znali moją twarz” – powiedział. Teddy nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek wcześniej ją widział.

Jego myśli krążyły wokół Nancy. Rano otrzymał list jak zwykle pełen niczego niewyrażających słów. Pod koniec Nancy wspominała o ich zaręczynach i zapewniała go, że „zrozumie, jeśli jego uczucia do niej uległy zmianie”. („Tak rzadko do mnie piszesz, najdroższy”). Czy chciała mu w ten sposób przekazać, że to *jej* uczucia się zmieniły? Z zadumy wyrwało go pytanie oficera dowodzącego: „Jesteś gotowy, Ted?”. Razem udali się na salę odpraw. Na czele maszerował dumnie wicemarszałek. Towarzyszyła mu olśniewającej urody członkini Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, występująca w roli szofera, która ku zdumieniu Teddy’ego puściła do niego oko.

Załogi były na miejscu. Przy wejściu do baraku żandarm RAF-u skrupulatnie sprawdzał listę obecności. Gdy wszyscy się zebrali, zamknięto drzwi na klucz i zasłonięto okna. Szoferka wicemarszałka została na zewnątrz. Przed każdym nalotem zastrzano zasady bezpieczeństwa. Nikt nie mógł opuszczać bazy ani telefonować.

Najważniejsze było utrzymanie celu w tajemnicy, choć lotnicy często żartowali, że aby go poznać, wystarczy zajrzeć do baru U Betty. W istocie od wylotu Niemcy śledzili ich trasę na wiele sposobów. Prowadzili nasłuch ich częstotliwości radiowych, zakłócali działanie systemu nawigacyjnego, namierzali pokładowe stacje radarowe HS2 i przechwytywali je w sieć własnych radarów rozciągniętą wzdłuż wybrzeża Europy. Wet za wet, cios za cios.

Gdy weszli na odprawę, rozległ się hurgot odsuwanych krzeseł i lotnicy – jakieś sto dwadzieścia chłopów – stanęli w pozycji na baczność. Wnętrze baraku z blachy falistej wypełniały papierosowy dym i zaduch spoconych ciał. Ponownie zaszurały krzesła, gdy wszyscy zajmowali miejsca. Wiszącą na ścianie mapę skrywała czarna zasłona. Oficer dowodzący odsunął ją na bok teatralnym gestem, jakby wykonywał magiczną sztuczkę, po czym wypowiedział tradycyjne już słowa: „Panowie, dziś w nocy waszym celem jest...”.

Norymberga? Przez barak za sprawą co bardziej doświadczonych załóg przetoczył się szmer niezadowolenia. Pomimo obecności wyorderowanego wicemarszałka rozległo się kilka „Chryste Panie”, „Niech to szlag” i jakieś australijskie przekleństwo. Czekał ich długi lot w samo serce wrogiego terytorium, prawie trzy razy dłuższy niż do Zagłębia Ruhry. Czerwona tasiemka prowadziła niemal prosto do celu, bez zwykłego kluczenia.

W tym momencie wstała starsza oficer wywiadu o surowym wyrazie twarzy – członkini Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, która z wielkim nabożeństwem traktowała swoje obowiązki. Wygłosiła pogadankę o wielkiej wadze operacji. Od ostatniego ataku na Norymbergę minęło siedem miesięcy i miasto było w zasadzie niezniszczone, chociaż mieściły się w nim wielkie koszary SS oraz słynne zakłady zbrojeniowe MAN. Dodatkowo po zbombardowaniu fabryki Siemens w Berlinie firma

zwiększyła produkcję reflektorów, silników elektrycznych „i tak dalej” w swojej norymberskiej filii.

Miasto stanowiło symbol Trzeciej Rzeszy, bo to tam Hitler zwoływał masowe wiece. W związku z tym jest bliskie sercu nieprzyjaciela, tłumaczyła oficer wywiadu. Zniszczenie go znacznie podkopałoby niemieckie morale. Punkt celowania znajdował się nad bocznicą kolejową, ponieważ jednak nadlatujące falami maszyny zwykle przedwcześnie rzucały bomby, dywan ognia miał objąć również „Altstadt”, dodała oficer wywiadu, nieudolnie wymawiając niemiecką nazwę historycznego centrum. W ładunku znalazło się dużo bomb zapalających, więc stare drewniane budynki powinny spłonąć.

W Altstadt przyszedł na świat Albrecht Dürer. Jako dziecko Teddy codziennie oglądał dwie reprodukcje jego obrazów, które wisiały w pokoju dziennym w Fox Corner: jedna przedstawiała młodego zająca, druga parę wiewiórek. Oficer wywiadu nie wspomniała im o Dürerze, bardziej interesowały ją stanowiska obrony przeciwlotniczej i pozycje baterii reflektorów, które oznaczono na mapie czerwonymi i zielonymi celuloidowymi nakładkami. Załogi także zwracały na nie baczną uwagę. Im dłużej lotnicy wpatrywali się w złowieszczą czerwoną taśmę biegnącą w linii prostej z bazy do celu, tym silniejszy stawał się ich niepokój.

Najbardziej martwił ich księżyc. Teddy’ego też. Zbliżał się do pełni i świecił niespotykane jasno. Podczas długiego nocnego lotu wisiałby nad nimi na nocnym niebie niczym lampa. Na domiar złego dowiedzieli się, że mają lecieć nad Kolonią. Powiedziano im, że o tej porze roku nie powinna być zbyt intensywnie broniona. „Czyżby?” – pomyślał Teddy. Trasa biegła niebezpiecznie blisko systemów obronnych Zagłębia Ruhry i Frankfurtu, prosto ku bazom niemieckich myśliwców oraz ich dwóm radiolatarniom

noszącym imiona Ida i Otto, wokół których maszyny wroga krążyły w oczekiwaniu na łup niczym sokoły polujące na gołębie.

Na podium wszedł oficer meteo i zapoznał ich z prognozą pogody obejmującą prędkość wiatru oraz rodzaj zachmurzenia. Stwierdził, że w drodze do celu i z powrotem istnieje możliwość wystąpienia dość gęstej pokrywy chmur, która powinna ukryć maszyny przed myśliwcami. Na dźwięk słowa „możliwość” lotnicy poczęli się nerwowo wiercić na swoich miejscach. Słowo „powinna” jeszcze bardziej wytrąciło ich z równowagi. „Dość gęsta pokrywa chmur” również nie brzmiała obiecująco. Oficer dodał, że bezpośrednio nad celem niebo będzie czyste, chociaż pierwsi zwiadowcy z sił rozpoznania meldowali o cumulusach na pułapie ośmiu tysięcy stóp. Informacja ta jednak nie została przekazana załogom. Aby nalot się powiódł, powinno być dokładnie na odwrót: chmury w trakcie długiego przelotu, które pozwoliłyby im skryć się przed myśliwcami, i księżyc jasno oświetlający cel.

Oficer dowodzący był „całkowicie pewien”, że operacja zostanie odwołana, tak przynajmniej w zaufaniu wyznał Teddy’emu. Teddy nie mógł zrozumieć, dlaczego w ogóle brano ją pod uwagę. Cel zyskał aprobatę Churchilla i Harrisa. Teddy’emu kompletnie się nie podobał, nie sądził jednak, aby Churchill czy Harris mieli się liczyć z jego zdaniem.

Później zabierali głos dowódcy różnych specjalności. Nawigatorom ponownie podano trasę i punkty zwrotne. Radiotelegrafistów poinformowano o obowiązującej tej nocy częstotliwości nadawania. Dowódca do spraw bombardowania przedstawił szczegółowe dane dotyczące wagi ładunku, stosunku bomb zapalających do burzących, czasu oraz faz ataku, a także kolorów wskaźników celu i znaczników punktu celowania. Wszystkim zaś przypomniano o ustalonym na tę noc kolorze flar; powszechnie znane były przypadki maszyn zestrzelonych omyłkowo

przez swoich dlatego, że ich załogi wystrzeliły flary w nieodpowiednim kolorze.

Teddy wstał. Stały kurs na trasie liczącej dwieście sześćdziesiąt pięć mil nad silnie bronionym terytorium wroga, na dodatek w pełnym świetle księżycy i bez większych szans na odpowiednio gęstą pokrywę chmur. Ze względu na morale załóg (spokojny i pewny siebie dowódca) spróbował przedstawić groźnie brzmiące fakty z nieco innej perspektywy. Ponownie podkreślił znaczenie miasta jako centrum przemysłowego i węzła komunikacyjnego, wagę ciosu zadanego morale wroga i tak dalej. Tak długa trasa mogła wprowadzić myśliwce w błąd, zasugerować kilka innych potencjalnych celów i odciągnąć siły skoncentrowane wokół Kolonii. Stały kurs oznaczał mniej potrzebnego paliwa, czyli możliwość zabrania na pokład większego ładunku bomb. Poza tym, mówiąc otwarcie, lot w linii prostej jest mniej męczący. Szybciej dotrzecie do celu, więc i szybciej bezpiecznie wróćcie do bazy. Tylko pamiętajcie, żeby zawsze utrzymywać zwarty szyk.

Usiadł. Ufali mu, poznał to po wyrazie ich wymizerowanych twarzy. Teraz i tak nie było odwrotu, lepiej więc, aby ruszyli na akcję nastawieni optymistycznie. Dla załogi nie było nic gorszego niż startowanie z przeświadczeniem, że w powietrzu nie czeka nic dobrego. Teddy dobrze pamiętał Duisburg, ostatnią operację swojej pierwszej tury – cała załoga była roztrzęsiona, przekonana, że leci na pewną śmierć. I rzeczywiście dwóch z nich zginęło. George i Vic. Z pierwszego składu J-Jiga zostali tylko Teddy i Mac. Jakiś czas temu dostał od Maca list, w którym ten donosił o swoim ślubie, miesiącu miodowym nad Niagarą i „maleństwie w drodze”. Dla Maca wojna się skończyła.

Kenny szkolił teraz nowych strzelców, o czym zawiadomił Teddy'ego w liście pełnym trudnych do odczytania bazgrołów: „Ja instruktorem! Kto

by pomyślał!”. Kilka tygodni później znalazł się na pokładzie maszyny, która rozbiła się podczas lądowania po locie ćwiczebnym nad krajem. Trzech członków załogi przeżyło. Kenny’ego nie było wśród nich. Jedna z jego licznych sióstr napisała do Teddy’ego: „Nasz mały Kenny jest teraz aniołkiem”. Charakter pisma miała równie niewprawy jak Kenny. „Gdybyż to była prawda – pomyślał Teddy – to świetliste szwadrony Spensera pękałyby w szwach od chłopców z Dowództwa Bombowego”. Niestety, prawda była inna. Umarli pozostawali umarłymi. Nieprzebrane zastępy umarłych.

Kenny powinien był zatrzymać swojego sponiewieranego czarnego kotka, zamiast oddawać go dziecku Vica Bennetta. Po długim czasie dotarł do Teddy’ego list nie od Lil, tylko od pani Bennett, która niechętnie wcieliła się w rolę dumnej babki: „Urodziła się dziewczynka. Z urody nic nadzwyczajnego, ale można wytrzymać”. Na chrzcie dano jej na imię Margaret, a Teddy poczuł ulgę na myśl, że nie ma imiennika. „Małgorzatko, czy cię smuci, że las liście złote zrzucił?” [81](#).

Oficer dowodzący dodał kilka słów zachęty, wicemarszałek zaś wygłosił krótki górnolotny apel jak przystało komuś udekorowanemu sznurem galowym w kolorze jajeczniczy. Stojący przy drzwiach lekarz wojskowy rozdał jeszcze wychodzącym tabletki na pobudzenie i było po sprawie.

Podano tradycyjną „ostatnią wieczerzę”, nic wyszukanego: kiełbaski i wysmażone gumowate jajka. Bez bekonu. Teddy pomyślał o świni Sylvie i zapachu pieczonej wieprzowiny.

Załogi nie miały teraz żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym – trudny czas, gdy niespokojne myśli zagłuszały wszystko. Teddy rozegrał w kasynie oficerskim kilka partyjek domina z kapitanem lotnictwa; ta bezmyślna rozrywka koła nerwy. Mimo to poczuł ulgę, gdy nadszedł czas, aby przejść do pomieszczenia dla załogi i przebrać się do lotu.

Grube wełniane kalesony i podkoszulek, ciepłe podkolanówki, golf, buty lotnicze z owczej skóry, trzy pary rękawiczek – jedwabne, irchowe oraz wełniane. Połowa rzeczy, jakie mieli na sobie, nie należała nawet do umundurowania. Przydawały one niektórym łobuzerskiego, pirackiego uroku, który niestety natychmiast pryskał, gdy musieli przemieścić się parę metrów, idąc rozkołysanym kaczym krokiem. Na to szły kolejne warstwy – nadmuchiwana kamizelka ratunkowa, uprząż spadochronu – które jeszcze bardziej utrudniały poruszanie się.

Na koniec upewniali się, czy przy kołnierzu nie brakuje gwizdka i czy na szyi wisi nieśmiertelnik. Potem dyżurne z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet rozdały im termosy z kawą, kanapki, landrynki, gumę do żucia oraz tabliczki czekolady. Następnie wszyscy otrzymali zestawy ratunkowe na wypadek zestrzelenia nad terytorium wroga. Zawierały one mapy krajów, nad którymi lecieli, wydrukowane na jedwabnych szalikach albo chusteczkach do nosa, gotówkę w miejscowej walucie, kompasy ukryte w piórach i guzikach oraz zestaw najpotrzebniejszych zwrotów i wyrażeń. Teddy zachował na pamiątkę skrawek papieru z długiego nalotu na Chemnitz. Obawiano się wówczas, że w razie zestrzelenia mogliby trafić w ręce Rosjan, ci zaś, nie wiedząc, kim są, mogliby ich zastrzelić. Na karteczce widniało rosyjskie zdanie oznaczające (podobno) „Jestem Anglikiem”.

Na koniec odebrali spadochrony. Śliczna dziewczyna z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet podała Teddy’emu jedwabną apaszkę i poprosiła: „Czy może ją pan ze sobą zabrać? Tak mi na tym zależy. Będę mogła powiedzieć, że przeleciała nad Niemcami i zbombardowała naszych wrogów”. Materiał słodko pachniał. „»Kwietniowe Fiołki« Yardleya” – wyjaśniła. Teddy czuł się niczym rycerz przyjmujący szarfę od damy swego serca w średniowiecznej balladzie. Wsunął apaszkę do kieszeni.

Musiała mu w którymś momencie wypaść, bo potem jej tam nie znalazł. Czas szlachetnych rycerzy dawno minął.

Przed lotem pozbywali się wszystkiego, co mogłoby zdradzić ich tożsamość. Teddy zawsze uważał to za akt symboliczny: oto przekraczali próg, za którym byli nie odrębnymi jednostkami, lecz anonimowymi lotnikami, określanymi wyłącznie przez kraj swojego pochodzenia. Anglikami, Australijczykami, Nowozelandczykami, Kanadyjczykami. Hindusami, mieszkańcami Indii Zachodnich i Południowej Afryki, Polakami, Francuzami, Czechami, Rodezyjczykami, Norwegami, jankesami. W gruncie rzeczy cała zachodnia cywilizacja sprzymierzyła się przeciw Niemcom. Nie sposób było się nie zastanawiać, jak coś takiego mogło spotkać ojczyznę Beethovena i Bacha i jak ci, którzy przeżyją, ocenią w przyszłości działania aliantów. *Alle Menschen werden Brüder*. I pytanie Ursuli: „Myślisz, że to możliwe? Że pewnego dnia wszyscy będą braćmi?”. Nie. Teddy absolutnie w to nie wierzył.

W drzwiach stanęła członkini Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet i wywołała załogi F-Foxa oraz L-London. Wdrapali się do rozklekotanego autobusu, a ona usiadła za kierownicą. Pojazdy, którymi wożono ich na rozśrodkowanie, bywały często równie przypadkowe jak części ich garderoby.

Lucky został powierzony opiece wyjątkowo atrakcyjnej osóбки z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, radiotelegrafistki imieniem Stella. Podobała się Teddy'emu, myślał nawet, że między nimi mogłoby zaiskrzyć. Tydzień wcześniej poszli na tańce do sąsiedniej jednostki. Po powrocie Stella cmoknęła go w policzek: „Dziękuję panu, bardzo dobrze się bawiłam”. I tyle. Dzień wcześniej w ich bazie zdarzył się makabryczny wypadek: dziewczynę z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet zdekapitowała oderwana łopata śmigła. Nawet teraz Teddy wolał sobie tego

nie przypominać. Incydent wprowadził w przygnębienie wszystkich, zwłaszcza koleżanki zmarłej. Stella była miłą dziewczyną, lubiła psy i konie. Czasami koszmar wojny skracał drogę do seksu, czasami nie. Nie wiadomo, od czego to zależało. Teddy żałował, że nie przespał się ze Stellą. Ciekawiło go, czy ona też tego żałuje. Wcześniej przeżył przelotny – bardzo przelotny – romans z przyjaciółką Stelli o imieniu Julia. Uprawiali mnóstwo seksu. Wspaniałego seksu. To była jego słodka tajemnica.

Dotarli na płytę postojową, gdzie czekał na nich F-Fox, i wysiedli z autobusu. Jeszcze w tym momencie Teddy spodziewał się czerwonego światła na znak, że misja została odwołana. Najwyraźniej jednak były to płonne nadzieje, obszedł więc maszynę z nowym pilotem, mechanikiem pokładowym i personelem naziemnym. Mechanik miał na imię Roy. Teddy przywołał w myślach imiona pozostałych: Kanadyjczyk Joe był środkowym strzelcem, tylny strzelec nazywał się Charlie i wyglądał na jakieś dwanaście lat. Pleksiglasowa osłonka tylnej wieżyczki była właśnie po raz ostatni polerowana barchanowymi majtadałami.

Teddy poczęstował wszystkich papierosami. Nie palił tylko celowniczy. „Clifford” – przypomniał Teddy’emu, widząc, że ten na próżno grzebie w pamięci. „Clifford” – mruknął Teddy. Cały personel naziemny kopcił na potęgę. Teddy żałował, że nie może wziąć ich ze sobą na akcję, taką bezpieczną, z której wszyscy wróciliby w jednym kawałku. Wydawało mu się niesprawiedliwe, że nigdy nie mieli okazji doświadczyć tego, przez co przechodziła „ich” maszyna, nigdy nie oglądali ziemi widzianej z góry przez tę wypolerowaną pleksiglasową osłonę wieżyczki. Pod koniec wojny RAF organizował specjalne przeloty nad Niemcami dla personelu naziemnego, aby na własne oczy mogli się przekonać o skali zniszczeń, w których mieli udział. Ursula zdołała się załapać na taki lot, Teddy nie miał pojęcia jak, ale go to nie zaskoczyło. Wojna dowiodła, że jego siostra

znakomicie sobie radzi w świecie wielkiej biurokracji. Później doniosła mu, że z przykrością oglądała kraj w całkowitej ruinie.

Świeżo upieczona załoga Teddy'ego ceremonialnie nasikała na tylne koło F-Foxa. Miny im jednak zrzędyły, gdy zorientowali się, że Teddy nie zamierza uczestniczyć w tym męskim rytuale. Był ich sadhu, ich guru. Mógłby im kazać wspiąć się na wieżę kontrolną i kolejno skakać z dachu, a zrobiliby to bez wahania. Westchnął i przez chwilę szamotał się z kolejnymi warstwami odzieży, by wreszcie odnaleźć rozporek i przepisowo obsikać koło na szczęście. Nowicjusze rozpromienili się i wymienili między sobą ukradkowe spojrzenia pełne ulgi.

Personel naziemny pożegnał ich jak zwykle z wyważonym optymizmem, wymieniając z każdym uściski dłoni. – Powodzenia, do zobaczenia rano.

Na czas startu Teddy zajął miejsce obok pilota. Fraser pochodził z Edynburga i studiował na uniwersytecie w St Andrews. Był z niego całkiem inny Szkot niż Kenny Nielson. Zamiast truchleć na myśl o pechowym drugim pilocie, cieszył się, że leci z nimi sam dowódca skrzydła. Teddy przypomniał sobie załogę W-Williamia: „Maszyna wystartowała o 16.20 i nie powróciła. Tym samym została uznana za zaginioną”.

Silniki Bristol Hercules zawyły, łopaty śmigieł wykonały kilka szarpanych obrotów, zanim złapały rytm i rozległo się znajome *staccato*. „To dobre silniki” – powiedział Fraserowi Teddy podczas ostatniej kontroli samolotu. Fraser z konieczności interesował się „technikami bombardowania”.

Lewy zewnętrzny, lewy wewnętrzny, prawy wewnętrzny, prawy zewnętrzny. Gdy wszystko zostało odfajkowane – kontrola pracy iskrownika, ciśnienie oleju i tak dalej – Fraser poprosił wieżę kontrolną

o pozwolenie na kołowanie. Zerknął przy tym na Teddy'ego, jakby jego aprobaty potrzebował bardziej niż zgody wieży. Teddy uniósł do góry kciuki. Spod kół usunięto klocki, samolot ruszył i dołączył do procesji innych maszyn na drodze kołowania. Silniki dudniły, pulsowały rytmicznie; wibracje przenikały ciało aż do kości, wprawiając w drżenie serce i płuca. Teddy uważał, że jest w tym coś podniosłego.

F-Fox był piąty w kolejce do startu. Skręcili na pas, zwiększyli moc silników i w napięciu czekali niczym ogary w klatkach, gotowi ruszyć, kiedy tylko reflektor kontrolera rozbłyśnie na zielono. Teddy wciąż spodziewał się ujrzeć na wieży kontrolnej odwołujące operację czerwone światło. Na próżno. Czasami bombowce odwoływano po tym, jak wzbiły się w powietrze. Nie tym razem.

Z boku oświetlonego pasa przy ciężarówce kontrolera jak zwykle zebrała się delegacja pożegnalna: grupka dziewcząt z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, personel kantyny i mechanicy z obsługi naziemnej. Byli tam też dowódca bazy oraz wicemarszałek lotnictwa, którzy salutowali każdej startującej załodze. „Lecący na śmierć was nie pozdrawiają” – pomyślał Teddy, parafrazując pozdrowienie rzymskich gladiatorów. Pokazał za to uniesione kciuki Stelli, która także tam stała, trzymając na ręku Lucky'ego. Gdy samolot ich mijał, dziewczyna podniosła psu przednią łapkę i pomachała im na pożegnanie. Dla Teddy'ego znaczyło to więcej niż salut gościa ze sznurem w kolorze jajeczniczy. Roześmiał się. Fraser obrzucił go zaniepokojonym spojrzeniem. Start maszyny to poważna sprawa, zwłaszcza gdy leciało się na swoją pierwszą akcję z dowódcą skrzydła w roli drugiego pilota, a ten ni stąd, ni zowąd zaczyna się zachowywać w sposób co najmniej ekscentryczny.

Rozbłyśło zielone światło i F-Fox potoczył się po pasie niczym ociążałe ptaszysko, usiłujące się rozpędzić do wymaganej prędkości 105 mil na

godzinę, przy której dwanaście ton metalu, paliwa i ładunków wybuchowych mogło się oderwać od ziemi. Teddy zajął się manetkami przepustnicy i poczuł zwykły przypływ ulgi, gdy Fraser przyciągnął do siebie drążek sterowy i maszyna z wielkim trudem dźwignęła się w powietrze. Odruchowo wymacał w kieszeni na piersi srebrnego zajęczka.

Samolot z rykiem zbliżył się do zabudowań farmy. Teddy spojrzał w dół i szukał wzrokiem córki gospodarza, lecz nigdzie jej nie dostrzegł. Przeszył go dreszcz – zawsze ich żegnała. W zapadającym zmierzchu widział płaskie pola, nagą brunatną ziemię, mroczniejący horyzont. Minęli dom i podwórko. Maszyna odbiła w bok i położyła się na skrzydle, żeby wykonać nawrót. Krążyli, czekając, aż zbiorą się pozostali, aby w zwartym szyku ruszyć w stronę wybrzeża. W pewnym momencie, gdy F-Fox przechylił się w lewo, Teddy ją zauważył. Stała z zadartą głową i machała, machała im jak szalona. Byli bezpieczni. Odmachał jej, choć wiedział, że nie może go zobaczyć.

Eskadry nadlatujące z północy musiały startować godzinę wcześniej niż ci z baz położonych bardziej na południe, a potem lecieć kawałek w kierunku południowym aż do punktu kontrolnego. Dawało to załogom cenny czas na względnie bezpieczne wykonanie rutynowych czynności. W powietrzu nie było miejsca na bezczynność ani ponure rozmyślenia, na jakie można było sobie pozwolić na ziemi. Mechanik pokładowy synchronizował silniki, obliczał rezerwy paliwa, wymieniał zbiorniki. System rozpoznawania był stale włączony, aby myśliwce RAF-u wiedziały, że mają do czynienia z przyjacielem, nie z wrogiem. Radiotelegrafista rozwijał antenę zwisającą, podczas gdy nawigator ślęczał z pochyloną głową nad mapami, ustalając ich dokładne położenie i porównując rzeczywistą prędkość wiatru z prognozowaną. Gdy znaleźli się nad morzem, celowniczy zaczął wyrzucać na zewnątrz paski folii

zakłóceniowej. Mieli jeszcze włączone światła pozycyjne. Teddy widział czerwone i zielone światełka migające na końcach skrzydeł innych maszyn.

Lecieli teraz nad Morzem Północnym, nieustannie się wznosząc. W świetle księżycy skrzydła F-Foxa przypominały wypolerowane srebro, w dole jaśniały grzywy fal. Równie dobrze mogliby lecieć w świetle reflektorów. Strzelcy posłali w morze kilka serii, żeby przetestować karabiny. Ładunki wybuchowe odbezpieczono, wygaszono światła pozycyjne. Na wysokości pięciu tysięcy stóp wszyscy założyli maski tlenowe i przez interkom słyszało się znajomy szelest chrapliwych oddechów załogi.

Silny wiatr tylny przegonił ich nad Belgią. Było jasno jak w dzień, widoczność tak dobra, że wyraźnie widzieli sąsiednie maszyny. Teddy nigdy jeszcze nie leciał w podobnych warunkach. Zwykle jego życie toczyło się w nocy. Rozjarzony księżyc odbijał się w jeziorach i rzekach, które mijali w dole, towarzyszył im miła za miłą. „Panienko wierz! I księżyc też naucza ze swej strony”⁸². Hugh uwielbiał gramofonowe nagrania Gilberta i Sullivana. W ich wiejskiej świetlicy wystawiono kiedyś amatorskie przedstawienie *Mikada* i ojciec zadziwił wszystkich, bo zagrał rolę Ko-Ko, cesarskiego kata. Pozwoliła mu ona zaprezentować diametralnie inne oblicze, z czego ochoczo skorzystał, wyczyniając na scenie rozmaite harce, śpiewając i łypiąc lubieżnie na publiczność. „Istny doktor Jekyll i pan Hyde” – orzekła Sylvie. Pani Shawcross zagrała Katiszę – kolejne sceniczne objawienie.

Dotarli do pierwszego punktu zwrotnego w pobliżu Charleroi i wkrótce potem zaczęła się jatka.

* * *

Myśliwce były wszędzie, atakowały ich niby rozwścieczone osy, którym rozbito gniazdo. To, że pojawiły się tak wcześnie i w takiej liczbie, dla wszystkich stanowiło szok. W dodatku to nie było stado z jednego rozbitego gniazda, tylko cały rój, który najwyraźniej czekał na ich przybycie.

– Z lewej widzę płonąca maszynę. Spadają – zaraportował środkowy strzelec.

– Odnotujcie to w dzienniku pokładowym, nawigatorze – polecił Fraser.

– Tak jest, kapitanie.

– Z boku nad prawym skrzydłem spada kolejny – zameldował tym razem tylny strzelec.

– Odnotować.

Teddy, stojący obok Frasera, wszędzie widział trafione bombowce. Niebo rozbłyskało oślepiającymi fajerwerkami eksplozji.

– Czy to są strachy na wróble, sir? – zapytał celowniczy. Teddy zauważył, że podczas gdy Frasera tytułowano „kapitanem”, „sir” było zarezerwowane dla dowódcy skrzydła, żeby załodze się nie myliło. Wszyscy znali pogłoskę, jakoby Niemcy posługiwali się tak zwanymi strachami na wróble, czyli pociskami przeciwlotniczymi, których wybuch imitował eksplozję bombowca. Teddy zawsze traktował te pogłoski z rezerwą. Widział, jak z niektórych białych rozbłysków buchają aż nadto dobrze mu znane czerwono-czarne płomienie. Jego niedoświadczona załoga nie widziała dotąd zestrzelonego bombowca. „To ich chrzest bojowy – pomyślał – próba ognia”.

Niektóre samoloty spadały łagodnie niczym wielkie liście, inne nurkowały prosto na spotkanie śmierci. Teddy zobaczył, że nad ich lewym skrzydłem przeleciał halifaks ze wszystkimi czterema silnikami w ogniu, ciągnąc za sobą smugę płonącego paliwa. Znajdował się za daleko, aby

można było stwierdzić, czy na pokładzie pozostał ktoś z załogi. Naraz skrzydła halifaksa zapadły się niczym blaty składanego stołu – runął w dół jak zestrzelony ptak.

– Obawiam się, że to nie strachy na wróble, tylko nasi – wyjaśnił i w odpowiedzi usłyszał przez interkom zbiorowe westchnienie przerażenia. Może nie powinien odbierać im złudzeń. Wszędzie wokół spadały płonące bombowce. Ekspłodowały zniecka, nie dawały wcześniej żadnego znaku, że je zaatakowano. Środkowy strzelec kolejno je wyliczał, a nawigator odnotowywał straty w dzienniku pokładowym, dopóki Teddy nie interweniował. „Wystarczy” – rzucił krótko, poznawszy po ciężkich oddechach, że załoga zaczyna wpadać w panikę.

Z lewej minął ich samolot płonący od ogona po dziób i lecący równym kursem, tyle że podwoziem do góry. Obok lancaster nagle zajął się białym ogniem i spadł na lecącego poniżej halifaksa. Oba pokoziołkowały w dół, dwie wirujące ogniste kule. Maszyna, która musiała należeć do sił rozpoznania, obracając się w powietrzu wokół własnej osi, spadła na ziemię. Jej upadkowi towarzyszył bajecznie kolorowy wybuch czerwonych i zielonych flar. Teddy nigdy nie był świadkiem podobnej rzezi. Zwykle zestrzelone samoloty spadały w pewnym oddaleniu na podobieństwo umierających gwiazd. Ich załogi po prostu znikwały, nazajutrz nie pojawiały się w bazie na śniadaniu i nikt się szczególnie nie zastanawiał, co *dokładnie* się z nimi stało. Koszmar tych ostatnich chwil i towarzyszące im przerażenie pozostawały w ukryciu. Teraz nie dało się zamknąć na nie oczu.

Widok zestrzelonego pathfindera zaskoczył Teddy’ego – maszyna powinna lecieć na czele głównych sił uderzenia, więc ktoś znajdował się nie tam, gdzie trzeba: albo tamci, albo oni. Poprosił nawigatora, aby ponownie sprawdził kierunek wiatru. Miał wrażenie, że zwiało ich spory kawałek na północ od czerwonej tasiemki. W głosie nawigatora wyczuł

dezorientację i pożałował, że na pokładzie zabrakło kogoś z doświadczeniem Maca.

W dole pod nimi pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt mil wstecz na ziemi płonęły wraki.

Nagle, jakby na potwierdzenie tego, że pogłoska o „strachach na wróble” to zwykły mit, nieco powyżej prawego skrzydła dostrzegli lancastera doskonale oświetlonego przez bezlitosny księżyc – równie dobrze mógłby zostać złapany w światło szperacza – do którego niepostrzeżenie dla tylnego strzelca podkładał się od dołu niemiecki myśliwiec. Nieprzyjaciel miał wycelowane w górę działko. Teddy pierwszy raz widział coś podobnego. Naraz wszystko stało się jasne: to dlatego tyle maszyn nagle stawało w płomieniach i spadało na ziemię. Najwyraźniej działko specjalnie zamontowano tak, aby celowało prosto w delikatny brzuch bombowca. Wystarczyło jednak trafić w skrzydło, gdzie umieszczony był zbiornik, i maszyna także nie miała żadnych szans.

Teddy patrzył bezradnie, jak strzelec myśliwca otwiera ogień, po czym błyskawicznie odskakuje od swojej ofiary. Skrzydła lancastera eksplodowały białym płomieniem i F-Foxem gwałtownie szarpnęło.

Zanim zdolali się pozbierać, przeorała ich seria z działka i rozdarła cienką aluminiową powłokę kabiny. Maszyna bez ostrzeżenia pionowo zanurkowała. Teddy’emu przyszło na myśl, że Fraser usiłuje wymknąć się myśliwcowi. Spojrzał na niego i z przerażeniem zobaczył, że pilot zgięty wpół leży na drążku sterowym. Wyglądał, jakby spał, nie miał żadnych widocznych obrażeń. Teddy przez interkom wezwał pomoc; przejęcie sterów w tej sytuacji graniczyło z cudem. Musiałby odciągnąć w tył bezwładne ciało Frasera i jednocześnie przyciągnąć do siebie drążek. Do tego dochodziły przeciążenia: czuł się tak, jakby ktoś spuścił mu na głowę tonę betonu.

Radiotelegrafista z mechanikiem pokładowym przedarli się na przód kabiny i zaczęli się szamotać z nieruchomym Fraserem. Fotel pilota znajdował się dość wysoko; lotnik w pełnym rynsztunku musiał się nieźle namęczyć, aby się tam wcisnąć. Wydobycie kogoś stamtąd wydawało się praktycznie niemożliwe, zwłaszcza że trzeba było chociaż przycupnąć na brzegu fotela. W pewnym momencie myślał, że będzie zmuszony usiąść Fraserowi na kolanach. Na szczęście udało się jakoś wyciągnąć go z za sterów i Teddy zajął jego miejsce. Z wielką ulgą nie zauważył nigdzie śladów krwi.

Pędzili teraz ku ziemi z prędkością 300 mil na godzinę, praktycznie dziobem w dół. Teddy krzyknął na mechanika pokładowego, wspólnie uwiesili się na drążku i trzymali się go kurczowo. Teddy obawiał się, że skrzydła zwyczajnie nie wytrzymają i odpadną. Miał wrażenie, że trwało to całą wieczność, choć minęło zapewne kilka sekund. W końcu wspólnymi siłami zdołali podnieść ster wysokości. Dziób maszyny poszedł do góry, wyrównali lot i mozolnie zaczęli się z powrotem wspinać.

Przez interkom posypały się przekleństwa. Teddy wywołał kolejno członków załogi i zameldował krótko: „Obawiam się, że pilot został ranny. Przejmuję stery. Niech nawigator wyznaczy nowy kurs na cel”. Ich aktualne położenie znali teraz tylko bogowie...

Radiotelegrafista i mechanik pokładowy zaciągnęli Fräsera na miejsce odpoczynku załogi. „Nadal oddycha, kapitanie” – raportował radiotelegrafista. Teddy zauważył, że przestali się do niego zwracać „sir”. Teraz był ich kapitanem. Dowódcą.

Pełne konsternacji pomruki celowniczego zaniepokoiły Teddy'ego. Zobaczył coś, czego nigdy dotąd nie widział: smugi kondensacyjne. Zwykle nie spotykało się ich poniżej dwudziestu pięciu tysięcy stóp, teraz były wszędzie, ciągnęły się za ogonami bombowców. Przypominały jasne wstęgi

i wystawiały ich na zestrzelenie równie skutecznie jak księżyc albo i bardziej, o ile to w ogóle było możliwe.

Formacja dawno poszła w rozsypanie. Co bardziej doświadczeni piloci zorientowali się, że strumień bombowców, zamiast dawać bezpieczne schronienie, naraża ich na niebezpieczeństwo. Nadal się wznosili, ale Teddy zaczął torować sobie drogę na skraj strumienia. „Tylko pamiętajcie, żeby zawsze utrzymywać zwarty szyk” – brzmiały jego ostatnie słowa skierowane do lotników na odprawie. Miał nadzieję, że nie wykonywali ślepo jego poleceń. Zdeterminowany piął się w górę. F-Fox nie mógł się wzbić na pułap, na jakim latały lancastery, ale w rozrzedzonym powietrzu i na dobrych silnikach mógł im niemal dorównać. Mimo wszystko zostali namierzeni.

– Jeden nadlatuje, kapitanie.

– Okej, nawigatorze.

– Dziewięćset stóp. Osiemset – nawigator odliczał odległość dzielącą ich od zbliżającej się kropki na radarze. – Siedemset, sześćset...

– Strzelcy, widzicie coś?

– Nie, kapitanie – odparli chórem.

– Pięćset, czterysta...

– Mam go, kapitanie – rozległo się ze środkowej wieżyczki. – Lewy górny kwadrant. Korkociąg w lewo. Już! Teraz!

– Zwiększyć obroty, mechaniku.

– Pełna moc, kapitanie.

– Trzymajcie się, chłopcy – powiedział Teddy i szybko przesunął stery naprzód, obracając samolot przez lewe skrzydło. Przeciężenie wbiło go w fotel. Dali nura w dół, wirując wokół własnej osi, wskazania wysokościomierza poleciały na łeb na szyję. Teddy położył maszynę na lewym skrzydle, wychylił lotki i samolot ponownie zaczął się wspinać.

Usiłował znaleźć chmurę, w której mogliby się schować, ale środkowy strzelec znowu krzyknął: „Prawy górny kwadrant, korkociąg w lewo, jazda!”.

Czasami wystarczały same towarzyszące gwałtownym manewrom turbulencje, aby myśliwiec zrezygnował z dalszego pościgu, ten jednak nie dał się zniechęcić. Gdy tylko znów wspięli się na wyższy pułap, rozległ się krzyk tylnego strzelca:

– Bandyta z lewej na ogonie, korkociąg w lewo!

Browningi obu strzelców głośno terkotały, wewnątrz kabiny wypełniła woń kordytu. Niebo wokół F-Foxa cięły kule i pociski smugowe. Teddy robił kolejne uniki i zwody, schodząc lotem nurkowym w prawo, po czym wykonywał kolejny ostry skręt w lewo i wchodził w spiralę, z wysiłkiem znów się podrywał, wszystko po to, aby się pozbyć prześladowcy. Czuł wyczerpanie związane z czysto fizycznym wysiłkiem, jakiego wymagało sprawowanie kontroli nad ciężką maszyną. Słyszał głos matki, mówiącej: „Jak mus to mus”. Strzelcom skończyła się amunicja, lecz w tym samym momencie środkowy strzelec zameldował: „Bandyta z lewej odpadł, kapitanie”, a po chwili: „Bandyta z prawej też zrezygnował”. „Znaleźli sobie inną ofiarę” – pomyślał Teddy, natomiast głośno powiedział: – Świetna robota, strzelcy.

Na tym ich szczęście się skończyło. Nie dotarli do strefy celu, zresztą Teddy wcale nie był pewien, że w ogóle by tam trafili. Później się dowiedział, że wielu maszynom się to nie udało.

Wszystko działo się w szalonym tempie. W jednej chwili znajdowali się w czarnej próżni – po formacji nie było nawet śladu – w następnej spadł na nich potężny ogień obrony przeciwlotniczej – głucho, tępe uderzenia, jakby ktoś walił młotem w kadłub. Musieli się nadziać na baterie artylerii w Zagłębiu Ruhry. Oślepiiony blaskiem reflektorów Teddy mógł tylko

wprowadzić samolot w kolejny lot nurkowy. Wyraźnie czuł, że biedny F-Fox protestuje przeciwko takiemu traktowaniu. Maszyna była zajeżdżona do granic możliwości i Teddy spodziewał się, że lada moment odmówi posłuszeństwa. Sam również czuł się do cna wyeksploatowany, lecz oto nagle ostrzał artylerii przeciwlotniczej umilkł, a oni ponownie znaleźli się w kojącej ciemności.

Lewe skrzydło płonęło, gwałtownie tracili wysokość. Instynkt mówił Teddy'emu, że tym razem nie będzie miękkiego lądowania ani wodowania, żaden dziewczęcy głos nie doprowadzi ich na bezpieczne lotnisko. F-Fox zmierzał prosto w objęcia śmierci. Teddy wydał załodze rozkaz opuszczenia maszyny.

Nawigator kopniakiem wyważył klapę wjazdu ratunkowego, wspólnie z radiotelegrafistą przypięli spadochron rannemu pilotowi i wypchnęli go na zewnątrz. Zaraz potem wyskoczył radiotelegrafista, za nim nawigator. Środkowy strzelec zlązł ze swej wieżyczki i poszedł w ich ślady. Tylny strzelec zameldował, że jego wieżyczka została trafiona i nie może się z niej wydostać. Celowniczy wyczołgał się ze swojego stanowiska w nosie samolotu. Walcząc z przeciążeniami, poszedł zobaczyć, czy uda mu się ręcznie odblokować wieżyczkę.

Ogień lizał wnętrze kabiny. Udało im się wyprowadzić maszynę z lotu nurkowego, ale wciąż tracili wysokość. Teddy w każdej chwili spodziewał się, że F-Fox eksploduje. Celowniczy i tylne strzelce milczeli. Niespodziewanie przypomniał sobie ich imiona: Clifford i Charlie.

Walczył z samolotem, usiłując wyrównać lot. Clifford powrócił z meldunkiem, że pożar nie pozwolił mu dotrzeć do tylnego strzelca. Teddy kazał mu skakać i chłopak zniknął w otworze wjazdu.

Resztę pamiętał jak przez mgłę. Za jego plecami pojawiła się zasłona ognia, czuł, że płomienie ogarniają jego fotel. Interkom nie działał, mimo to

Teddy dalej zmagał się z maszyną, licząc, że tylny strzelec zdoła się w końcu wydostać. Dowódca zawsze opuszczał pokład ostatni.

Wydawało mu się, że jest pogodzony z losem. Nagle włączył się instynkt przetrwania i rozwarł paszczękę śmierci. Teddy zdarł słuchawki i maskę tlenową, wyplątał się z przewodów, które łączyły go z maszyną na podobieństwo pępowiny, i zerwał się z fotela. W tej sekundzie pęd powietrza wyssał go z wnętrza F-Foxa przez otwarty właz.

Po panującym w środku hałasie ogłuszyła go cisza nocnego nieba. Unosił się w ciemności, w cudownym, kojącym mroku. Spowijało go łagodne światło księżyca. W dole srebrzyła się jakaś rzeka, Niemcy rozciągały się pod nim niczym ogromna mapa obłana księżycowym blaskiem, z każdą chwilą były coraz bliżej, gdy tak szybował ku nim niby puszysty dmuchawiec.

Ponad nim ognista sylwetka F-Foxa sunęła w dół na spotkanie śmierci. Teddy zastanawiał się, czy tylny strzelec tkwi nadal uwięziony w swojej wieżyczce. Nie powinien był go zostawiać. Maszyna spotkała się z ziemią wcześniej niż on i eksplodowała. Patrzył z góry na ten iskrzący pokaz fajerwerków. Dotarło do niego, że przeżyje. Czekala go jakaś przyszłość. W duchu podziękował temu z bogów, który uznał za stosowne wkroczyć i go ocalić.

2012

W stronę światła

– ...geofencing... powinniśmy w to wejść, ponieważ... nowa norma... relacja agencja – klient, chociaż z drugiej strony... krótkozasięgowy, wysokoczęstotliwościowy radiowy standard komunikacji...

Mężczyzna, który przemawiał, miał magisterium z nowomowy i doktorat z bełkotu. Jego słowa wirowały w powietrzu pozbawione jakiegokolwiek sensu, zabierając cenny tlen, wprawiając Bertie w stan łagodnej hipnozy. Prelegent, pan Farmazon, jak go w myślach ochrzciła, nazywał się Angus i miał „szkockie korzenie” (stąd takie imię), choć mówił akcentem wyniesionym prosto z prywatnej angielskiej szkoły. „Tak się składa, że skończyłem Harrow”. Bertie wiedziała to wszystko, ponieważ umówiła się z nim na randkę za pośrednictwem znanego rajfura, serwisu Match.com. Dlatego teraz siedziała przygarbiona w głębi sali i udawała, że jej tam nie ma.

Znieubiła go niemal natychmiast, już w trakcie kolacji w Nopi, za którą, jak się okazało w chwili, gdy kelner przyniósł rachunek, musiała w połowie zapłacić. Tym samym Angus oblał pierwszy poważny egzamin. Bertie wymagała bowiem od swoich zalotników, aby byli dżentelmenami. Oczekiwała, że będą jej otwierać drzwi, płacić za nią w restauracji, przynosić kwiaty i przysyłać miłosne liściki. *Billets-doux* (prześliczne słowo, kojarzyło jej się z gruchaniem gołębi). Chciała być adorowana. Pragnęła galanterii. Kolejne śliczne słowo. Marzenie ściętej głowy. Prychnęła kpiąco pod nosem, na co siedzący obok facet – jak ona słuchacz „seminarium branżowego” – obrzucił ją nerwowym spojrzeniem.

– „Bertie”? – zdziwił się pan Farmazon przy kolacji. – Co to za imię?

– Bardzo ładne. – Po dłuższej chwili męczącego milczenia dodała: – Od „Roberta”, po mojej babce. – W istocie „Roberta” miała na drugie imię, ale nie zamierzała się przyznawać Angusowi do „Moon”.

Jak ostatnia idiotka pozwoliła mu się zabrać do jego mieszkania w Battersea (klasyczny błąd). Zobaczyła tam tyle lśniących szklanych powierzchni, jakby mieszkanie zaprojektowano w przyszłości. Następnie zgodziła się na dość obrzydliwy seks po pijaku. Rzecz jasna, nazajutrz się za to znienawidziła i o świcie niepostrzeżenie dała nogę. Zamiast wracać do siebie, przepelniona wstydem wybrała długą przechadzkę brzegiem Tamizy, aby „ulżyć sobie w cierpieniu”. Zdziwiło ją, jak wielu ludzi się tam kręciło, „nad srebrzyście rozlaną Tamizą”, choć akurat nimf Spensera, Cór Rzeki, nigdzie nie dostrzegła, chyba że uznałaby za nie uniwersytecką osadę postępujących wioślarek, które walczyły z burym nurtem, jakby gonił je rzeczny potwór. Jakie kobiety wstają o szóstej rano, żeby wiosłować? Przepuszczalnie lepsze niż ona.

Spenser ustąpił miejsca Wordsworthowi, który wyszedł jej naprzeciw przy moście Westminsterkim. Oglądany stamtąd wczesnym rankiem pod koniec maja Londyn istotnie mienił się i połyskiwał w pozbawionym spalin powietrzu, choćby tylko przez krótką chwilę.

Wychyliła się przez barierkę i z bezgranicznym zdumieniem zobaczyła połączoną barkę z dziobem wygiętym niby łabędzia szyja, która płynęła ku niej, poruszana równymi uderzeniami wiosł. Zagapiona patrzyła, jak barka gładko znika pod przesłami mostu. Przyszło jej do głowy, że może nagle przeniosła się w czasie i trafiła do Anglii Tudorów.

– To „Gloriana” – powiedział jakiś głos. Bertie nie zauważyła mężczyzny, który podszedł i stanął obok. – Królewska barka – dodał. – Ma wziąć udział w obchodach. Pewnie właśnie ćwiczą.

„No jasne”, pomyślała Bertie. Flotylla łodzi na rzece. Całe miasto szykowało się do świętowania diamentowego jubileuszu królowej. Tyle ślicznych słów: „połączany”, „jubileusz”, „flotylla”, „diamentowy”, „Gloriana”. Aż trudno znieść całe to piękno.

– Przez chwilę miałam wrażenie, że cofnęłam się w czasie – wyznała.

– Chciałaby pani? – Zabrzmiało to tak, jakby proponował jej podróż wehikułem czasu, który stał zaparkowany tuż za rogiem.

– No cóż...

– ...stosunki transakcyjne oparte na podaży oraz komodyzacja...

Bertie pracowała w agencji reklamowej i z powodów, o których zdążyła już zapomnieć, utknęła w Belgravii, gdzie Angus prowadził „maraton programowania”. (Tak, naprawdę).

Ojciec Angusa był honorowym członkiem palestry, matka lekarką w szpitalu. Ich dzieci – syn i dwie córki – dorastały w Primrose Hill. Zatem Angus spędził tam „całkiem normalne dzieciństwo”. Bertie natychmiast nabrała do niego podejrzeń. Nikt nie miał normalnego dzieciństwa.

Zajmował się marketingiem, był „innovatorem”, co nie wyglądało Bertie na porządny zawód.

– Świadczę usługi biblioteczne – oznajmiła, bo nic tak nie odbierało rozmówcy ochoty do dalszej konwersacji.

– Na swoim profilu – zająknął się – napisałaś, że „współpracujesz z lokalnymi władzami w kwestii upowszechniania edukacji”.

– To mniej więcej to samo. – Nigdy nie pamiętała, co tam nawypisywała i jaka jest jej aktualna przykrywka. Szpieg byłby z niej fatalny. – Pracuję w bibliotece publicznej – poprawiła się po sekundzie.

Spojrzenie Angusa zaćmiło się zgodnie z jej przewidywaniami. Całą uwagę skupił on teraz na swoim talerzu i spoczywającym na nim podwójnie pieczonym kurczęciu. Raz by chyba biedactwu wystarczyło?

– ...bluejacking... roadblocking...

Dziś Angus włożył czarny T-shirt z podobizną Nipper, słynnego psa, który słucha z gramofonu głosu swojego nieżyjącego pana. Bertie wiele by dała, aby nie wiedzieć, że pod spodem koleś ma wydepilowaną klatę. Nipper spoczywał pod budynkiem należącym do firmy ubezpieczeniowej Lloyd's w Kingston-upon-Thames. Bertie miała nadzieję, że nie wyląduje po śmierci pod żadną budowlą. Albo co gorsza nie zostanie wykopana i wystawiona na widok publiczny jak te nieszczęsne mumie egipskie albo mieszkańcy Pompejów zastygli w przedśmiertnych drgawkach. Dziadek Ted życzył sobie, aby go pochować w lesie. („Pod dębem, jeśli to możliwe”). „Będzie tak, jak zdecydujemy – stwierdziła Viola. – I tak się przecież nie dowie”. (A jeśli jednak?). Walka o jego zwłoki już się rozpoczęła, mimo że Teddy jeszcze nie umarł. Bertie kochała dziadka, dziadek kochał ją. Bardzo prosty układ.

– ...widoczna rozpoznawalność...

Co ona do licha wyprawia ze swoim życiem? Nie mogłaby po prostu wstać i stąd wyjść?

– ...aktywne łącza...

Viola była ostatnią osobą, której Bertie zwierzyłaby się ze swoich spotkań z mężczyznami. Miała trzydzieści siedem lat – „dobiegała czterdziestki”, jak nie omieszkała jej stale wytykać Viola tym swoim głosem rozchichotanej dzierlatki. „Bierz się do roboty! Chyba nie chcesz, żeby macierzyństwo przeszło ci koło nosa?”. Te przyjaciółki Bertie, które miały mężów i dzieci – ściśle rzecz biorąc, wszystkie jej przyjaciółki; w ciągu ostatnich pięciu lat Bertie niemal każdy weekend spędzała na weselach albo chrzcinach – były kompletnie zauroczone swoim potomstwem. Każdy kolejny poród był wyczekiwany niczym powtórne przyjście Zbawiciela. Bertie żaden z maluchów nie wydawał się

szczególnie atrakcyjny i obawiała się, że gdyby sama urodziła dziecko, mogłaby go nie polubić. Ilekroć o tym myślała, przychodziła jej na myśl Viola. Matka nie kochała ich, w każdym razie oboje tak to odczuwali, a na pewno ich nie lubiła (choć trzeba przyznać, że chyba nikogo nie lubiła).

„Tu nie chodzi o lubienie – powiedział dziadek Ted, gdy był jeszcze w stanie udzielać jej rad. – Przekonasz się, kiedy sama będziesz miała dziecko. Miłość cię zaślepi”. Bertie nie była pewna, czy chce, aby zaślepiła ją miłość do kogokolwiek, zwłaszcza do istotki tak małej i bezradnej.

– Twoja babcia świata nie widziała za Violą – ciągnął dziadek. No właśnie – jak widać, nic dobrego z tego nie wynikło.

Dawno temu, zanim Sunny wyruszył na swoją „wielką emigrację”, zrobił dziecko pewnej dziewczynie. Viola była wstrząśnięta, a gdy doszło do usunięcia ciąży, była podwójnie wstrząśnięta. „Niektórych po prostu nie można zadowolić” – podsumował Sunny.

Z czasem Viola zaczęła przysyłać Bertie linki do stron oferujących nasienie – swoistych supermarketów ze spermą, gdzie można zdjąć z półki pakiet odpowiednich genów (Skandynaw, waga 71 kilogramów, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, blondyn, oczy niebieskozielone, nauczyciel) i włożyć do swojego koszyka. „Podobno najlepsi są Duńczycy” – radziła córce.

Viola naturalnie panicznie się bała, że jeśli nie będzie miała wnuków, jej własne geny umrą i nic po niej nie zostanie. Przystanie istnieć. Pstryk! Miała sześćdziesiąt lat. Ilekroć przyznawała się do tego wieku, spodziewała się usłyszeć: „Niemożliwe!”. Na próżno. „Teraz może ci się tak nie wydawać – dręczyła Bertie – ale jak dobiejesz do pięćdziesiątki i okaże się, że za późno na dzieci, będziesz *zdruzgotana*”. Dlaczego matka zawsze musiała być taka melodramatyczna? Bo w przeciwnym razie nikt by jej nie słuchał?

Dwa lata później Bertie zadziwiła wszystkich, a najbardziej samą siebie i urodziła bliźniaki (oczywiście świata poza nimi nie widziała!). Najpierw jednak wyszła za mąż za całkiem zwyczajnego faceta, lekarza (tak, tego poznanego na moście Westminsterским), i czuła się, no cóż... szczęśliwa. Ale to miało dopiero nastąpić. W tej chwili Angus gestykułował z werwą ewangelizatora na spotkaniu modlitewnym i zachęcał zebranych, aby byli „sellsumerami”. Bertie usiłowała zabić czas wymyślaniem rymów do „farmazon” (gazon, wazon, Jazon, garnizon), w końcu zdesperowana zaczęła przetrząsać swój wyimaginowany węzełek z pięknymi słowami, który nosiła jako talizman dla obrony przed wstrętnym materialistycznym światem. (Czy aby na pewno powinna pracować w reklamie?).

„Pójdę z pszczołą kwiaty ssać...” [83](#).

Mogła po prostu sobie pójść. O drugiej miała spotkanie, a przejazd o tej porze przez miasto zajmie jej całą wieczność. Kreatywni mieli przedstawić klientowi pomysły na nową pastę do zębów. Na świecie jest chyba pod dostatkiem past? Czy ludzie naprawdę potrzebują tak szerokiego wyboru? Jakby jeszcze im czegoś brakowało. Przez to nie sposób się na cokolwiek zdecydować. Nie ulegało wątpliwości, że wybrała niewłaściwy zawód. Gdyby Bertie była Bogiem (jej ulubiona fantazja), produkowałyby to, czego akurat jest niedobór: pszczoły, tygrysy, orzesznice – nie zaś klapki plażowe, obudowy na telefony i pasty do zębów. „Lepiej nie idźmy tą drogą” – upomniała się w duchu. Przy jej bogatej wyobraźni mogłaby tak stwarzać i stwarzać bez końca.

– ...monetyzacja... materializm...

„Mróz tajemniczą swoją spełnia pracę nie wspomagany wiatrem...” [84](#).

– ...konsumenci stale obecni w sieci...

„Wiem, czyj to las: znam właścicieli...” [85](#).

– ...rozkład potencjałów wywołanych...

„Najczarowniejsze z drzew, czereśnia, kwieciami się teraz ucieleśnia...” [86](#).

– ...ukierunkowana na efekty uderzeniowa kampania medialna...

„I ważek wartkie wrzenia, zimorodków zimne ognie...” [87](#).

– ...komunikacja budowana w oparciu o reklamę... kształtowanie postrzegania produktu przez klienta...

„Truchleją w krąg na Wzgórzach bory, wichura młode drzewa zgina...” [88](#).

– ...dzięki czemu widzimy światełko w tunelu...

„Bywa światła Pochylenie...” [89](#).

– ...automatyczny detektor interakcji za pomocą chi-kwadrat...

Co takiego?!

Dobry Boże, kiedy to drogi języka i sensu tak się rozeszły? Węzełek Bertie był prawie pusty, chociaż nie minęła pora lunchu.

„O, jak ciernisty świat ten dnia powszedniego!” [90](#).

– Najmocniej pana przepraszam – szepnęła, gdy jej nerwowy sąsiad drgnął. – Czyżbym powiedziała to na głos?

– Tak.

Bertie dość gwałtownie wstała z miejsca, jeszcze raz wyszeptała: „Przepraszam” w kierunku rozedrganego mężczyzny.

– Muszę wyjść. Właśnie sobie przypominałam, że zostawiłam w metrze samą siebie. Będzie się zastanawiała, co się ze mną stało. Beze mnie jest kompletnie zagubiona.

Angus dostrzegł ją i zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie przypomnieć, skąd ją zna. Bertie mu pomachała, poruszając lekko palcami. Gest, który w zamierzeniu miał być ironiczny, jeszcze bardziej go zdezorientował.

W metrze – na linii Piccadilly, chociaż to akurat nie było istotne – nie znalazła ani śladu samej siebie, za to dostrzegła pozostawione przez kogoś

wydanie „Daily Mail” otwarte na stronie z wielkim nagłówkiem, który krzyczał: „Czy wszechświat mógłby się zapaść już DZIŚ? Według fizyków »ryzyko jest większe niż kiedykolwiek, ten proces być może już się rozpoczął«”. (Po czym to poznali, u licha?). Zaintrygowało ją użycie wielkich liter. Osobiście położyłaby raczej nacisk na „zapaść”. Przypominało to sposób mówienia Violi („Będiesz ZDRUZGOTANA”).

Przetrząsnęła swój wyimaginowany węzełek w poszukiwaniu czegoś ślicznego, lecz nie znalazła w nim nawet „brzegów wonnych, macierzanką słanych” [91](#).

– Oglądasz flotyllę łodzi na Tamizie z dziadkiem Tedem?

– Tak, jestem u niego.

– Nudziarstwo, prawda? Biedna królowa, jest prawie w wieku dziadka i musi znosić coś takiego.

– W tym deszczu złapie własną śmierć – mruknęła Viola.

„Czy właśnie tak to wygląda?” – zastanawiała się Bertie. Czy naprawdę trzeba złapać swoją śmierć jak spłoszonego konia? Niektórym ludziom, takim jak dziadek Ted, zabierało to wiele lat, podczas gdy innym od razu udawało się pochwycić lejce. Na przykład babci, której nigdy nie poznała. Nancy, śmiała amazonka, zwinnie wskoczyła śmierci na grzbiet. Zrobiła to tak szybko, że musiała zadziwić wszystkich ze śmiercią włącznie.

– Tak czy inaczej – podjęła Bertie – dasz mi do telefonu dziadka?

– I tak cię nie zrozumie.

– Daj mi go i już. Cześć, dziadku, mówi Bertie.

W uroczystym dniu królowa zamieniła pozłacaną barcę na bardziej prozaiczny statek rejsowy, jeden z tych kursujących po Tamizie. „Gloriana” okazała się zbyt mała, aby pomieścić całą świtę: ochroniarzy, damy dworu i rozmaitych sługusów niezbędnych, gdy królowa żeglowała po rzece. Bertie planowała dołączyć do tłumów ludzi zebranych na brzegu Tamizy.

Chciała stać się częścią czegoś większego niż ona sama, czegoś, o czym w przyszłości mogłaby pamiętać, tak jak pamiętała, gdzie była w noc sylwestrową otwierającą nowe milenium. (W Soho House, kompletnie pijana, czego oczywiście do dzisiaj żałowała). Niestety, przez cały dzień na okrągło padało, więc Bertie w telewizji podziwiała zasługującą na najwyższe uznanie wytrwałość monarchini. Na odległość uczestniczyła też w pogrzebie księżnej Diany, oglądała upadek nowojorskich wież, wzięła udział w ślubie Williama i Kate. Może pewnego dnia uda jej się naprawdę *być świadkiem* czegoś ważnego, zamiast oglądać relację z drugiej ręki za pośrednictwem kamer. Nawet gdyby miało to być coś okropnego – wybuch bomby, tsunami, wojna – Bertie doświadczyłaby przynajmniej grozy w całym jej majestacie.

Jimmy, rodzony brat dziadka Teda, umarł, zanim Bertie zdążyła go poznać. Był on jednym z pierwszych, którzy przekroczyli bramę obozu Bergen-Belsen po jego wyzwoleniu. Po wojnie wyjechał do Ameryki robić karierę w reklamie i zatrudnił się w jednej z pierwszych agencji reklamowych jako copywriter. Na myśl o tak skrajnych przeżyciach Bertie ogarniała zazdrość. W dzisiejszych czasach można najwyżej zrobić dyplom z medioznawstwa.

No i oczywiście sam dziadek Ted, którego ciało i umysł z każdym dniem popadały w coraz większą ruinę niby okazały gmach sypiący się w gruzy. Dziadek był niegdyś pilotem bombowca, co noc zaglądał w paszczę śmierci. „»Zaglądać w paszczę śmierci« – czy to nie straszliwy banał?” – zapytała go podczas ich pożegnalnej podróży przed ponad dziesięciu laty, gdy odwiedzali bliskie jego sercu miejsca. („Czemu po prostu nie umrze? – jęczała Viola. – Ileż *można* się żegnać?”). Dzięki tamtej wyprawie Bertie lepiej poznała życie dziadka i historię własnego kraju. To doświadczenie, choć cenne, wprowadziło w jej głowie egzystencjalny zamęt. „Obiecuj mi,

że nie zmarnujesz życia” – poprosił ją wtedy dziadek. Czy mogła z czystym sumieniem powiedzieć, że coś osiągnęła? Wolne żarty.

Ściszyła idiotyczny komentarz BBC i powiedziała do słuchawki: „Jak się masz, dziadku?”. Wyobraziła go sobie leżącego w łóżku, wegetującego wbrew sobie w tym okropnym domu opieki. Żałowała, że nie może go wyratować, wpaść tam i po prostu go porwać, ale był na to zbyt chory. Niemal dwadzieścia lat mieszkał w Fanning Court, dopóki pewnego dnia nie przewrócił się i nie złamał nogi. Wywiązało się zapalenie płuc, które powinno było zwabić „czulą śmierć” („Przyjaciółkę starych ludzi” – westchnęła z żalem Viola), ale jakoś się z niego wykaraskał. („Jest nieśmiertelny” – orzekła Viola). Był jednak odtąd mniej samodzielny niż przedtem, w zasadzie niemal bezradny, przeniesiono go więc do tego szemranego domu opieki, gdzie – jak przypuszczała Bertie – miał dokonać żywota. „Ilekoć go widzę, mam wrażenie, że to już ostatni raz” – wyznała jej Viola z nadzieją w głosie.

Dziadek zasługiwał na to, aby dożyć swych dni w lepszym miejscu niż Topolowe Wzgórze. „No i gdzie są te mityczne topole i to mityczne wzgórze?” – grzmiała Viola, jakby problemy z domem opieki sprowadzały się wyłącznie do kwestii semantycznych.

Viola była wściekła, że ośrodek tyle ją kosztuje. Mieszkanie chronione zostało sprzedane, lecz całą kwotę pochłonęły opłaty za pobyt dziadka w Topolowym Wzgórzu.

– Przecież masz mnóstwo pieniędzy – zauważyła Bertie.

– Nie w tym rzecz. Dziadek powinien był zadbać o to, żeby mi coś zostawić. – („Nie w tym RZECZ. Dziadek powinien był ZADBAĆ o to, żeby mi COŚ zostawić”). – Jakaś schedę. Zanim umrze, nic mi nie zostanie.

– Z niego na pewno – mruknęła Bertie. – Poza tym wcale tak nie myślisz – dodała.

– Właśnie że myślę.

– Oglądasz w telewizji flotyllę łodzi, dziadku? Obchody jubileuszu królowej? – (Boże, ta intonacja! Brzmiała zupełnie jak własna matka). – Sunny cię pozdrawia – dodała, a dziadek wydał z siebie odgłos podobny do chichotu (może po prostu się zakrztusił), ponieważ zawsze rozumiał Sunny’ego lepiej niż inni. Dziadek Ted mógł być jedną nogą w grobie, ale w wyczuwalny sposób pozostawał sobą, czego ich matka zdawała się nie dostrzegać. Sunny nie przekazał żadnych pozdrowień, ale na pewno by to zrobił, gdyby wiedział, że Bertie będzie rozmawiała z Teddym. Kochał dziadka, a dziadek kochał jego. Bardzo prosty układ.

– Jutro lecę do Singapuru.

W milczenie dziadka wdarł się piskliwy głos matki i Bertie odsunęła od ucha komórkę.

– Do Singapuru?

– Na festiwal literacki.

Zawsze chętnie opowiadała o blaskach życia pisarza. Okazywała przy tym żenujące samozadowolenie: „Spotykam się w Londynie z producentem filmowym”; „Jem lunch w The Ivy z moim wydawcą”; „Mam spotkanie autorskie w Cheltenham”. Tym razem jednak z jej słów przebijała dziwna rezygnacja.

– Wieczorem będę w Londynie – dodała. – Zapraszam cię na kolację do Dinner.

– Przykro mi, jestem zajęta. – Rzeczywiście była zajęta, zresztą nie brała pod uwagę innej odpowiedzi. W głosie matki pojawiło się rozczarowanie. Ciekawe, że po z górą trzydziestu latach role nagle się odwróciły.

– Spotkasz się z Sunnym? – zapytała ją.

– Z Sunnym?

– Twoim jedynym synem.

– Singapur to nie Bali, to dwa kompletnie inne kraje – odparła Viola, choć brzmiała niezbyt pewnie. Geografia nigdy nie była jej mocną stroną.

– Mimo wszystko to tylko rzut beretem. Ponad połowę drogi będziesz miała za sobą. Przecież i tak nie masz nic lepszego do roboty. Powinnaś się z nim spotkać – dodała Bertie z naciskiem – i to jak najprędzej. Może tego nie wiesz, ale wszechświat zaczął się zapadać. Widać to na każdym kroku. Muszę kończyć.

– Wcale nie.

– Nie muszę, ale kończę. Pożegnaj ode mnie dziadka.

Królowa dopłynęła do Tower Bridge. Bertie wyłączyła telewizor. Zamierzała śledzić proces zapadania się wszechświata.

Stara żeliwna kuchenka buchała żarem. Bertie myślała o niej z czułością jak o dużym, przyjaznym zwierzęciu. Obok kuchenki stał niski fotel nakryty szydełkową kapą, na kapie spał twardo duży pręgowany kot. Przed chłodem bijącym od kamiennej podłogi chroniły ręcznie supełkowane dywaniki. W kuchennym kredensie pysznił się niebiesko-biały serwis stołowy, pośrodku dużego, wielokrotnie szorowanego blatu stołu tkwił porcelanowy dzbanek z pachnącym groszkiem i aksamitkami z ogrodu. Bertie stojąca przy wiekowym wpuszczonym w blat kamiennym zlewie cierpliwie wycierająca naczynia i odkładająca je na drewnianą suszarkę...

Z kuchennego okna roztaczał się widok na ogród. Jej własny rajski zakątek: purpurowe kwiaty fasoli, równe grządki truskawek, splątane pnącza groszku. Jabłoń tuż koło...

Z rozkosznych marzeń wyrwało ją wycie syreny. Wracała z lunchu z firmą produkcyjną w restauracji Wolseley. Na Piccadilly panowała podniosła atmosfera. A może atmosfera grozy, trudno wyczuć. Roilo się tu od policji i wojska, ludzie tłoczyli się na chodnikach odgradzeni taśmami. Eskorta motocyklowa podkreślała wagę wydarzenia. Minęła ich rozpędzona

królewska limuzyna. „Upamiętnienie załóg bombowców RAF-u” – wyjaśnił ktoś, zagadnięty przez Bertie. No tak, królowa miała dzisiaj odsłonić nowy pomnik. Uroczystość wciśnięto między obchody jubileuszu a inaugurację olimpiady. Londyńczyków czekało patriotyczne lato w kolorach czerwonym, białym i niebieskim.

Później w telewizji (kolejna relacja z drugiej ręki) Bertie obejrzała całą ceremonię. Zobaczyła drżących staruszków z trudem powstrzymujących łzy i sama nie mogła powstrzymać płaczu, bo każdy z nich przypominał jej dziadka i jego tajemniczą przeszłość.

Tymczasem cierpliwie czekała w tłumie na chodniku. Dowództwo Bombowe czekało siedemdziesiąt lat, więc ona też mogła poczekać kilka minut. Po niebie z ogłuszającym rykiem przeleciała formacja myśliwców tornado, po nich pojawił się samotny lancaster i zrzucił na miasto zawartość swojej komory bombowej. Na tle bieli i błękitu letniego nieba rozkwitły tysiące czerwonych maków.

Była w drodze do domu, gdy zatelefonowała Viola.

- Zostałyśmy wezwane – oznajmiła jej złowieszczo.
- Wezwane?
- Proszę, żebyśmy przyjechały do domu opieki – wyjaśniła matka. Była wyraźnie podekscytowana. Uwielbiała dramaty, o ile bezpośrednio jej nie zagrażały.
- Coś z dziadkiem? – zaniepokoiła się Bertie. – Co się stało?
- No więc... – zaczęła Viola, jakby miała wygłosić porywającą prelekcję. Okazało się, że poprzedniego wieczoru dziadek Ted zasnął i dziś rano nie można go było dobudzić. – Kazali przyjechać jak najszybciej, tyle że pierwszy samolot mam dopiero za kilkanaście godzin. Nie dotrę do Yorku wcześniej niż jutro późnym wieczorem.
- Już tam jadę – oświadczyła Bertie.

„To nie nas wezwano – pomyślała – tylko dziadka”. Anioły w końcu przywołały go do siebie.

– Zbytnio się z tym nie spieszyły – burknęła Viola.

2012

Ostatni lot

Dharma

– Według pewnej hinduskiej legendy ludzie byli niegdyś bogami, lecz używali boskiej mocy do złych celów. Brahma, bóg stworzenia, uznał, że utracili oni swoje prawo do daru boskości, i postanowił im go odebrać. Chciał go ukryć gdzieś, gdzie nie zdołaliby go znaleźć, dlatego zwołał na naradę wszystkich bogów. Jedni proponowali, aby zakopać go głęboko w ziemi, inni, aby zatopić go w oceanie, jeszcze inni, aby umieścić go na szczycie najwyższej góry. Brahma odrzekł, że człowiek to bardzo sprytna istota, zdolna drążyć w ziemi głębokie tunele, zanurkować w najgłębszym z oceanów i wdrapać się na każdą górę tylko po to, aby odnaleźć utraconą boskość.

– Bogowie mieli się poddać, gdy nagle Brahma oznajmił: „Wiem, gdzie ukryjemy dar boskości człowieka: w nim samym. Przetrząście cały świat, ale nigdy nie przyjdzie mu do głowy, aby szukać boskości w sobie”.

Viola słuchała jednym uchem. Sunny lubił kończyć sesje jogi czymś, co w duchu nazywała „kazaniem”. Cytował słowa mądrości i oświecenia, zaczerpnięte skąd tylko się dało: z hinduizmu, sufizmu, buddyzmu, nawet z chrześcijaństwa. Sami Balijszczy, jak się okazało, byli hinduistami. Viola trwała dotąd w mylnym przekonaniu, że to buddyści. „Każdy z nas jest Buddą” – stwierdził Sunny. „W druku wygląda to okropnie moralizatorsko – pisała Viola w e-mailu do Bertie – ale w istocie takie przesłanie bardzo

podnosi na duchu. Z Sunny'ego byłby znakomity pastor". Bertie zastanawiała się, kim jest ta nowa, łagodna wersja matki.

Sunny nauczał w Ubud, w ośrodku o nazwie Świetlista Droga. Z początku Viola jak ognia unikała tych jego sesji. Zatrzymała się w skandalicznie drogim hotelu – „oazie odnowy biologicznej” – pół godziny jazdy samochodem od ośrodka. W hotelu mieli własnego instruktora jogi. Indywidualne zajęcia odbywały się w tak zwanym szałasie, przyjemnym, przestronnym pawilonie z gładkiego drewna tekowego, ulokowanym między drzewami, gdzie kłaskały i nawoływały się egzotyczne ptaki, a owady brzęczały i terkotały niczym nakręcane zabawki.

Dla odmiany w ośrodku zajęcia prowadzono w ogromnej sali. Nawet przy szeroko otwartych oknach było gorąco i duszno. Wyposażenie okazało się dość prymitywne (zdaniem Violi) lub „proste i ascetyczne” (zdaniem personelu ośrodka, który tak właśnie reklamował się na swojej stronie internetowej).

Pomimo wielkich rozmiarów sala zawsze pękała w szwach głównie za sprawą kobiet, wysportowanych młodych Australijek i Amerykanek w średnim wieku. Większość tych ostatnich przyjechała tu omamiona – jak mówiła Bertie – „gównianą filozofią w stylu jedz, módl się i kochaj”. Sunny przed laty zdobył w Indiach uprawnienia nauczyciela jogi i obecnie pracował na Bali. Okazało się, że jest „instruktorem z międzynarodową renomą” i często jeździ do Ameryki oraz Australii. Wejściówki na prowadzone przez niego warsztaty rozchodziły się na pniu. Viola miała wrażenie, że cały świat uprawia jogę.

Internet był pełen informacji o Sunnym – jeśli wiedziało się, gdzie szukać, bo choć mogłoby się wydawać, że Sun (czy nawet Sunny) to idealne imię dla kogoś jego profesji, syn Violi znany był wszem wobec jako „Ed”. „Sun Edward Todd – oznajmił jej spokojnie – tak się teraz

nazywam”. Był to zaledwie ułamek jego transformacji. Postura tancerza, wygolona głowa, orientalne tatuaże, ślad australijskiego akcentu całkowicie ją zaskoczyły. Nie poznawała go. Za to kobiety za nim szalały! Zachowywały się jak zakochane fanki, szczególnie te od „jedź, módl się i kochaj”. Viola nie widziała Sunny’ego od blisko dziesięciu lat. W tym czasie stał się dojrzałą istotą ludzką. („Być może jedno ma związek z drugim” – zauważyła Bertie).

– Dziękuję wam za zajęcia. *Namaste* – powiedział Sunny, kłaniając się z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Odpowiedział mu chór głosów, mamroczących „dziękujemy” i „*namaste*”. (Traktowali to tak strasznie serio!). Sunny zaskakująco zwinnie wyplątał się z pozycji lotosu i wstał. Viola z trudem dźwignęła się na nogi i to wcale nie dlatego, że siedziała w pozycji lotosu; po prostu zdrętwiała, siedząc po turecku. Przypomniały jej się szkolne akademie.

Sunny mieszkał w wiosce nieopodal jej skandalicznie drogiego hotelu, mimo to nie wykazywał najmniejszej chęci, aby zaprosić matkę do siebie. Viola uznała więc niechętnie, że jedynym sposobem, aby mogła widywać syna, jest uczestniczenie w prowadzonych przez niego zajęciach i znoszenie pełnych uwielbienia westchnień pozostałych „uczennic”, na które Sunny zdawał się zresztą zupełnie obojętny. Do tego ten koszmarne wysiłek fizyczny... Naturalnie uprawiała już kiedyś jogę – kto jej nie uprawiał? –

lecz ćwiczenia odbywały się zwykle w pełnych przeciągów przykościelnych salkach albo domach kultury i sprowadzały do lekkiego rozciągania mięśni albo leżenia na wznak i wizualizowania sobie siebie w jakimś „bezpiecznym, spokojnym miejscu”. Violi przychodziło to zawsze z ogromnym trudem; podczas gdy inne osoby (kobiety, to zawsze były kobiety) wylegiwały się w wyobraźni na tropikalnej plaży, ewentualnie na leżaku we własnym ogrodzie, Viola w popłochu szukała w myślach czegoś

– czegokolwiek – co mogłoby sprawić, że poczułaby się spokojna i bezpieczna.

Gdy Sunny skończył swoją hinduską homilię i wszyscy z godnością wymienili te swoje „*namaste*”, Amerykanka zajmująca matę obok Violi („Shirlee przez dwa »e«”) odwróciła się do niej i zagadnęła: „Ed to wspaniały nauczyciel, prawda?”. „Chłopak, któremu nic nie można było wbić do głowy” – pomyślała Viola. „Jestem jego matką” – odparła. Ileż to czasu minęło, odkąd ostatni raz wypowiedziała te słowa? Sunny musiał jeszcze chodzić do szkoły.

Och...

Nieoczekiwanie powróciło koszmarne wspomnienie izby przyjęć w szpitalu św. Jakuba w Leeds. Sunny dopiero co zaczął studia. Gdy Viola odebrała telefon ze szpitala, w pierwszej chwili była pewna, że chodzi o narkotyki. Okazało się, że jej syn włóczył się po mieście, brocząc krwią z nieudolnie przeciętego nadgarstka. „Jestem jego matką!” – wrzasnęła na lekarza prowadzącego, gdy ten oświadczył, że Sunny nie powinien teraz nikogo widzieć.

– Dlaczego? – spytała, gdy wreszcie wpuszczono ją do niego. Czemu to zrobił? Tradycyjne wzruszenie ramion. „Nie wiem”. A gdy dalej naciskała: „Dlatego że moje życie jest do dupy?”.

Czy nadal miał tam bliznę? Ukrytą pod tym skomplikowanym tatuażem smoka, który oplatał jego przedramię?

Shirlee przez dwa „e” roześmiała się i wyznała:

- Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby miał matkę.
- Każdy ma matkę.
- Z wyjątkiem Boga – zaznaczyła Shirlee.
- Nawet Bóg miał matkę.

Może właśnie z tego wynikły wszystkie problemy.

Oczywiście, patrząc na nich, nikt by się nie domyślił, że są matką i synem. Sunny zwracał się do niej po imieniu, ona zaś zwracała się do niego bezosobowo. Traktował ją dokładnie tak samo jak pozostałych uczestników zajęć, z rodzajem pełnej dystansu troski. („Dolega ci artretyzm w kolanach?”. „Na szczęście nie, miło, że pytasz”).

– Niespodzianka? – wyjąkała, gdy w końcu go namierzyła.

– Faktycznie – odparł.

Objęli się nieufnie, jakby jedno z nich mogło mieć przy sobie nóż.

Tylko Sunny i Bertie wiedzieli, gdzie przebywa. Viola nie zadała sobie trudu, aby poinformować personel Topolowego Wzgórza, że opuszcza niedołęznego ojca i udaje się na inny kontynent. Miała telefon, gdyby chcieli się z nią skontaktować.

Porzuciła dotychczasowe życie. Gdyby wiedziała, jakie to proste, dawno by to zrobiła. Wysłała e-mail do swojej agentki z prośbą o ogłoszenie, że musi się poddać operacji (nie kłamała – musiała zrobić porządek ze swoim mózgiem), i przeprosiła kogo trzeba. Nie chciała, aby ktoś uznał, że uciekła, przepadła niczym Agatha Christie. Ostatnie, czego by sobie życzyła, to ekipy poszukiwawczej. Nie, to nieprawda – ostatnie, czego by sobie życzyła, to zostać odnalezioną.

Niewiarygodnie drogi hotel, w którym się zatrzymała, urządzono w przebudowanej posiadłości położonej na szczycie wąwozu. Roztaczał się stamtąd przepiękny widok na płynącą głęboko w dole rzekę. W hotelu była ochrona, każdy gość miał swojego majordomusa i spełnienie jakiegokolwiek kaprysu nie nastęrczało problemów. Viola miała dla siebie całą willę – największą i najdroższą. Była dla niej za duża, spokojnie pomieściłaby kilka rodzin, ale podobała jej się taka samotność. Rano wstawiała i parzyła kawę w luksusowym ekspresie w „części mieszkalnej” (a która część nie była mieszkalna?). Piła ją, obserwując, jak z wąwozu

unoszą się mgła, i słuchała nawołujących się w lesie ptaków. Następnie ktoś przynosił pyszne śniadanie, po którym mogła pójść na masaż do spa albo na spacer starymi kamiennymi schodami prowadzącymi do „świętej rzeki”. Nie wiedziała, dlaczego świętej. Sunny wyjaśnił jej, że wszystkie rzeki są święte. Najwyraźniej wszystko było święte.

– Nawet psie gówno?

– Tak, nawet psie gówno.

Wyliczyła mu rzeczy, które w żaden sposób nie mogły mieć nic wspólnego ze świętością: Hiroszima, zamachy dżihadystów, kociecia w mikrofalówkach. Sunny odparł, że to nie rzeczy, tylko czyny. Przecież te czyny popełniają ludzie, którzy rzekomo są święci? A może święte są tylko drzewa i rzeki?

Popołudniami spała (zatrważająco dużo), po czym się budziła i hotelowy szofer zawoził ją do Ubud, gdzie brała udział w zajęciach prowadzonych przez Sunny’ego. Nie rezerwował jej nawet miejsca na macie w ciasnej sali i zdarzało się, że nie miała gdzie ćwiczyć. Musiała wówczas czekać w ciasnym biurze, aż Sunny skończy, i przeglądać książki z „podręcznej biblioteczki” (czytaj: półki). Nie trzeba dodawać, że wszystkie dotyczyły spraw duchowych. Do półki przyczepiona była kartka z odręcznie wypisaną prośbą: „Drogi przyjacielu, pozostaw te książki w takim stanie, w jakim je znalazłeś”, co było idiotyczne: żadnej książki nie można było pozostawić w takim samym stanie, w jakim się ją znalazło: jej stan ulegał zmianie, ilekroć ktoś brał ją do ręki.

Jeżeli znalazła się dla niej wolna mata, Viola przez dwie godziny ćwiczyła (zajęcia obmyślano tak, aby była to dla niej jak największa kara). Potem szofer odwoził ją do hotelu, gdzie oglądała małą rodzinę, która co wieczór wychodziła z lasu, żeby się bawić nieopodal jej willi w ruinach

części zabudowań dawnej posiadłości. Jadła też kolację, rzecz jasna. Jedzenie przychodziło jej bez trudu, gorzej było z modlitwą i kochaniem.

Raz czy dwa wzięła udział w prowadzonej przez Sunny'ego porannej medytacji. Przychodziło wtedy mniej ludzi, więc uniknęła tłoku. Natomiast same zajęcia kosztowały ją znacznie więcej wysiłku.

– Nie myśl, Violu – polecił jej Sunny.

– Jak można nie myśleć?

– O niemyśleniu też nie myśl.

– Myślę, więc jestem – oświadczyła Viola, czepiając się uparcie staromodnego kartezyjańskiego wszechświata.

– Po prostu odpuść.

Odpuścić? Ale co? I tak nie miała się czego trzymać.

* * *

Aż nagle! Płynąca w dole rzeka, świergot ptaków, owady niczym nakręcane zabawki, gadatliwe małpy, wszystko to w końcu zrobiło swoje i umysł Violi przestał pracować, a ona poczuła niewyobrażalną wręcz ulgę.

W aucie, kiedy jechała na zajęcia, zaskoczył ją sygnał komórki. Dzwonili z domu opieki.

Koniec był bliski. Czekala na śmierć ojca z nadzieją, że dopiero wtedy zacznie wreszcie żyć swoim życiem. Wszyscy wiemy, że to tak nie działa. Zresztą w głębi duszy Viola też o tym wiedziała.

Budda zapytał ascetę: „Ile trwa życie człowieka?”. Ten odparł: „Kilka dni”. Budda westchnął: „Jeszcze nie pojąłeś Drogi”. Zapytał innego ascetę: „Ile trwa życie człowieka?”. Ten odrzekł: „Tyle co jeden posiłek”. Rzekł mu Budda: „Jeszcze nie pojąłeś Drogi”. Zapytał kolejnego ascetę: „Ile trwa

życie człowieka?”. Odpowiedział: „Tyle co jeden oddech”. Budda pochwalił go: „Doskonale. Ty pojąłeś Drogę”.

Słowa opływały Violę, a ona nie wiedziała, co znaczą. Pomimo telefonu jak zwykle przysłała na prowadzone przez Sunny’ego zajęcia. Nie widziała powodu, aby z nich rezygnować. Powrotny lot do kraju i tak miała dopiero nazajutrz rano. Zaczekała, aż Sunny wszystkim podziękuję. „*Namaste*”. Ekipa od „jedź, módl się i kochaj” zachowywała się tak, jakby udzielał im błogosławieństwa. Z wielkim ociąganiem opuściły salę, wychodząc na żar i duchotę wczesnego wieczoru. Viola została.

– Violu? – zagadnął ją Sunny, uśmiechając się z troską, jakby była niepełnosprawna. – Dzwonili z domu opieki – oznajmiła. – Ojciec jest umierający.

– Dziadek Ted? – Sunny zmarszczył brwi i zagryzł dolną wargę. Przez chwilę mignął jej cień dawnego Sunny’ego. – Wyjeżdżasz?

– Tak. Chociaż sądzę, że Bertie będzie tam na długo przede mną. Ty też pojedziesz?

– Nie.

W tym momencie Viola mogła powiedzieć mu wiele różnych rzeczy. Myślała o nich wszystkich, gdy spoglądała na las, na świętą rzekę, na ptaki. Przede wszystkim powinna go przeprosić, ale zamiast tego opowiedziała mu swój sen.

– Potem odwróciłeś się do mnie cały uśmiechnięty i powiedziałaś: „Udało się nam, mamusiu! Wszyscy zdążyli wsiąść do pociągu!”.

– Nie wydaje mi się, aby w tym śnie najważniejszy był pociąg.

– Masz rację – zgodziła się Viola. – Najważniejsze było to, co poczułam, kiedy się odezwałeś.

– Co?

– Zawładnęła mną miłość. Do ciebie.

Och, Violu. Nareszcie.

Bertie przywiozła ze sobą egzemplarz ostatniej *Kroniki hrabstwa Barset* i czytała Teddy'emu na głos. Wiedziała, że to jedna z jego ulubionych książek, i miała nadzieję, że bez względu na to, czy cokolwiek zrozumie, znajomy rytm prozy Trollope'a go uspokoi.

Z jego ust wydobył się w ciszy dźwięk, nie słowo, raczej odgłos wyrażający dezorientację. Bertie odłożyła książkę na kołdrę i ujęła jego kruchą dłoń o zakrzywionych palcach. „To ja, Bertie Moon, dziadku” – powiedziała cicho. Miał skórę barwy roztopionego wosku, wystające żyły na rękach niczym niebieskie powrozy. Dziadek podniósł pionowo drugą dłoń i pomachał nią delikatnie, jakby przeproszał, że musi się oddalić. To właśnie robił, pomyślała. Oddalał się.

Przyszło jej do głowy, że kiedyś był niemowlęciem. Lśniący nowością i doskonały spoczywał w ramionach matki, tajemniczej Sylvie. Teraz przypominał wyschniętą łupinę, którą w każdej chwili może porwać wiatr. Powieki miał na wpół uchylone, pod nimi zamglone oczy starego psa. Upływ lat zmienił jego usta w ptasi dziób, który otwierał się i zamykał jak u wyrzuconej na brzeg ryby. Bertie czuła, że jego ciałem wstrząsają lekkie dreszcze, jakby przebiegał przez nie prąd elektryczny. Delikatne drżenie, będące oznaką życia. Albo zwiastunem śmierci. Wokół niego gromadziła się energia, powietrze było nią naładowane.

Walczył z samolotem, usiłując wyrównać lot. Maszyna była u kresu swoich możliwości. Celowniczy Clifford powrócił z meldunkiem, że pożar nie pozwolił mu dotrzeć do tylnego strzelca. Teddy nie wiedział o nim nic poza tym, że chłopak wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Pomyślał, że wykazał się nie lada odwagą, ruszając z pomocą tylnemu strzelcowi Charliemu, o którym Teddy również niczego nie wiedział. Jedyne, o czym

mógł teraz myśleć, to że tych dwóch trzeba uratować. Kazał Cliffordowi skakać, lecz ten zapodział gdzieś swój spadochron, więc Teddy rzekł: „Weź mój. No dalej, bierz go i skacz!”. Clifford zawahał się, ale posłuchał dowódcy, chwycił spadochron i znikł w otworze wjazdu.

Był świętym Jerzym, Anglia zaś jego Cleolindą. Niestety, smok okazał się silniejszy, niż sądził, spalał go swoim gorącym oddechem. Za jego plecami pojawiła się zasłona ognia, czuł, że płomienie ogarniają już fotel. Interkom nie działał i Teddy nie mógł sprawdzić, czy tylny strzelec zdołał się wydostać, więc dalej zmagał się z F-Foxem.

Pokój oświetlało przyćmione światło jednej lampy. Dochodziła północ i cały dom opieki pogrążony był we śnie. Ciszę z rzadka przerywały okrzyki przerażenia, przypominające pisk zaatakowanego znieczulacza zwierzątka. Dziadek Bertie umierał ze starości. Ze zmęczenia życiem. Nie z powodu raka, zawału, nieszczęśliwego wypadku ani katastrofy. Wyglądało na to, że śmierć ze starości nie należy do łatwych. Pomiędzy chrapliwymi oddechami były coraz dłuższe przerwy. Czasami dziadek zdawał się wpadać w panikę. Próbował wtedy coś powiedzieć, więc Bertie ścisnęła jego rękę, głaskała po policzku i opowiadała mu o lesie, w którym rosły dzwonki i którego nigdy nie widziała, o niepoznanych nigdy ludziach, którzy na niego czekali. O Hugh i Sylvie, Nancy i Ursuli. O psach i leniwych letnich dniach. Czy właśnie to go czekało? Pełne słońca dni w Fox Corner? Czy wieczny mrok? A może po prostu nicość, bo nawet ciemność była czymś, podczas gdy dopiero nicość to prawdziwe nic. Czy czekały tam na niego świetliste szwadrony Spensera, aby go powitać? Czy wszystkie tajemnice miały zostać przed nim odkryte? Były to pytania, na które nikt nie znał odpowiedzi. I nikt nigdy nie pozna.

Karmiła go słowami ze swojego wyimaginowanego węzełka, bo teraz już tylko one jej pozostały. Może dziadek opłaci nimi przewoźnika. „Długo

w królestwach złotych wędrowałem...”⁹². „Świat nasz jest nasycony świętym blaskiem Boga...”⁹³. „Ojca morskie tulą fale...”⁹⁴. „Baranku, kto cię stworzył?”⁹⁵. „Ach, z czasem serce młode starsze się stanie, chłodniej spojrzysz, bez westchnień, bez trenu, na liście – las w rozproszeniu...”⁹⁶. „To najsilniejsze, najważniejsze źródło wszystkiego, co jest w człowieku najlepsze: nienazywanych i zapomnianych czynów dobra i miłości...”⁹⁷. „Coraz dalej i dalej, wszystkie ptaki hrabstw Oxfordshire i Gloucestershire”⁹⁸.

Powietrze zadrżało i zamigotało. Czas się skurczył. To miało zaraz nastąpić. „Jasnoskrzydły Duch Święty ogrzewa, osłania pisklę-świat pierścią świtu i ach! Światła pierzem”⁹⁹.

* * *

„Tylko kilka chwil – pomyślał Teddy. – Parę uderzeń serca”. Tym było życie. Kolejnymi uderzeniami serca. Oddech za oddechem, chwila za chwilą następowały po sobie, aż nadchodził koniec. Życie było ulotne jak śpiew ptaka, delikatne jak dzwonki w lesie. Uświadomił sobie, że nie czuje żalu. Nic takiego się nie stało. Szedł tam, gdzie miliony przed nim i miliony po nim. Miał podzielić los tak wielu.

Teraz. Ta chwila. Ta chwila była nieskończona. On był częścią nieskończoności. Jak drzewo, skała i woda. Jak wschody słońca i gonitwy jeleni. *Teraz.*

Głos trąb ogłasza koniec przedstawienia. Pozbawiona osnowy tkanina zaczyna się pruć. Budulec snów kruszeje i rozsypuje się w proch, a mury „wież w chmur wieńcu”¹⁰⁰ drżą w posadach. Z nieba zaczyna opadać pył. Ptaki wzbijają się w powietrze i odlatują.

Sunny siedzi na werandzie wynajmowanego pokoju, medytując w mroku poprzedzającym świt. Niedługo się stąd wyprowadzi. Jego australijska dziewczyna, także nauczycielka jogi, jest w szóstym miesiącu ciąży i wróciła do Sydney. Sunny za kilka tygodni do niej dołączy. Później tego ranka odwiezie Violę na lotnisko. Zanim się pożegnają, podaruje jej na drogę słowa mądrości. Drugim darem będzie srebrny zajaczek, którego strzegł od lat wbrew wszystkiemu. „Na szczęście. I dla ochrony”. Jego australijska dziewczyna jest Buddą. Nosi w łonie małego Buddę.

Gwałtownie wciąga powietrze, jakby spał i nagle się obudził.

W murze jasnego pałacu pojawia się groźne pęknięcie. Pierwsza ściana dygocze i obraca w gruz. Druga chwieje się i pada, kamienie sypią się na ziemię.

Viola pije kawę, czekając na świt, czekając, aż znad rzeki uniesie się mgła, a ptaki rozpoczną poranne trele. Rozmyśla o swojej matce. Rozmyśla o swoich dzieciach. Rozmyśla o swoim ojcu. Zalewa ją fala miłości tak głębokiej, że aż boli. Ptasi chór wyśpiewuje powitanie nowego dnia. Coś się zaczyna dziać. Coś się zmienia. Na moment ogarnia ją panika. „Nie bój się” – myśli. I przestaje się bać.

Trzecia ściana pałacu właśnie runęła z rumorem, wzbijając z ziemi chmurę pyłu i gruzu.

Bertie ściska rękę dziadka, pragnąc, aby poczuł jej miłość, bo czyż nie jest to ostatnia rzecz, jaką każdy z nas chciałby poczuć? Nachyla się i całuje jego zapadnięty policzek. Dzieje się coś potężnego, apokaliptycznego, a ona będzie tego świadkiem. Czas zaczyna się zaginać. „*Teraz*” – myśli.

Czwarta ściana wzniosłej świątyni pada na ziemię lekko jak piórko.

Nie mógł dłużej walczyć z maszyną. F-Fox był śmiertelnie ranny – ptak przeszyty strzałą. „Ach! Światła pierze”. Słowa zabrzmiały tak wyraźnie, jakby ktoś wypowiedział je obok niego w kokpicie. Dotarł do wybrzeża. Pod nim księżyc odbijał się w Morzu Północnym tysiącem roziskrzonych diamentów. Teddy był pogodzony z tą chwilą, ze swoim „teraz”. Hałas w kabinie ucichł, płomienie już nie parzyły. Zapadła cudowna, niezemska ciska. Myślał o lesie i rosnących w nim dzwonkach, o sowie i lisie, o modelu kolejki turkoczącej po szynach na podłodze jego sypialni, o zapachu piekącego się ciasta. O skowronku wstępującym do nieba po niewidocznej nici pieśni.

F-Fox runął do morza z Teddym na pokładzie – rozżarzona kula w ciemności, spadająca gwiazda. Podniesienie. Fale ugasiły ogień. Stało się. Teddy opadł na milczące dno, dołączył do zaśnieżonych skarbów spoczywających czterdzieści sążni pod wodą, poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Stracony na wieki w ciemnościach, ze srebrnym zajączkiem jako jedynym towarzyszem.

Piąta ściana pada z ogłuszającym hukiem i wielki gmach fantazji wali się, grzebiąc pod sobą Violę, Sunny’ego i Bertie. Rozpływają się w powietrzu niby duchy i przepadają bez śladu. Pstryk!

Napisane przez Violę książki znikają z półek jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Dominic Villiers żeni się z dziewczyną noszącą perły i eleganckie sweterki, a potem zapija się na śmierć. Nancy w 1950 roku wychodzi za mąż za adwokata i rodzi dwóch synów. Podczas rutynowego badania lekarze wykrywają u niej guza mózgu, którego szczęśliwie udaje się usunąć. Jej

umysł jest mniej błyskotliwy, inteligencja mniej żywa, lecz to wciąż dawna Nancy.

Chwilę po tym, jak królewska barka „Gloriana” znikła pod mostem Westminsterskim, stojący na nim lekarz odwraca głowę. Przez chwilę ma wrażenie, że ktoś obok niego stoi, ale nikogo nie zauważa. Ma poczucie, jakby coś utracił, ale nie ma pojęcia, co by to mogło być. Australijska nauczycielka jogi na Bali martwi się, że nie znajdzie w życiu miłości i nigdy nie zostanie matką. Starsza kobieta o imieniu Agnes umiera w domu opieki Topolowe Wzgórze, marząc o ucieczce. Sylvie przedawkowuje pigułki nasenne w Dniu Zwycięstwa, niezdolna odnaleźć się w świecie, w którym zabrakło Teddy’ego. Jej ukochanego synka.

Życie ludzi na całym świecie ulega przemianie za sprawą tych, których zabrakło, lecz trzech członków ostatniej załogi Teddy’ego – celowniczy Clifford, ranny pilot Fraser oraz tylny strzelec Charlie – ewakuuje się szczęśliwie z F-Foxa i spędza resztę wojny w obozie jenieckim. Po powrocie do kraju wszyscy żenią się i mają dzieci, fraktale przyszłości.

Pięćdziesiąt pięć tysięcy pięćset siedemdziesięciu trzech poległych w samym Dowództwie Bombowym. Siedem milionów zabitych w Niemczech, w tym pół miliona wskutek nalotów alianckich. Sześćdziesiąt milionów wszystkich ofiar drugiej wojny światowej, w tym jedenaście milionów wymordowanych w trakcie Holokaustu. Szesnaście milionów ludzi zginęło w czasie pierwszej wojny światowej, ponad cztery miliony w Wietnamie, czterdzieści milionów podczas najazdów mongolskich, trzy i pół miliona w wyniku wojny stuletniej. Upadek Cesarstwa Rzymskiego kosztował życie siedmiu milionów, wojny napoleońskie zabrały cztery miliony, dwadzieścia milionów ofiar pochłonęło powstanie tajpingów. I tak dalej, i tak dalej, aż do Edenu, gdy Kain zabił Abła.

Wszystkie ptaki, które się nie wylęły, wszystkie pieśni, których nigdy nie zaśpiewano i istnieją tylko w wyobraźni.

Jak ta opowieść o życiu Teddy'ego.

1947

Córy Elizejskich Pól

Na głogu przy ścieżce właśnie rozwijały się pąki i Ursula zawołała:

– Popatrz, głóg kwitnie! Ależby się Teddy ucieszył.

– Przestań – poprosiła Nancy i łzy napłynęły jej do oczu. – Nie mogę uwierzyć, że nie ma go na tym świecie. – Spacerowały pod rękę, a Lucky biegał w tę i z powrotem uradowany rześkim, ciepłym powietrzem. – Szkoda, że nie możemy przynajmniej odwiedzać jego grobu.

– Ja się cieszę – odparła Ursula – bo mogę sobie wyobrazić, że jest teraz wolny jak wiatr.

– Ja mogę myśleć tylko o tym, że leży gdzieś na dnie Morza Północnego, zimny i samotny.

– „Z kości jego są korale...” [101](#).

Z ust Nancy wyrwało się drżące: „Och!”.

– „Perła łśni, gdzie oko było...”.

– Przestań, przestań, proszę cię!

– Przepraszam. Przejdziemy się na łąkę?

– Spójrz! – wykrzyknęła Nancy i wskazała na niebo. – O, tam! Skowronek. Posłuchaj – dodała pełnym przejęcia szeptem, jakby bała się spłoszyć ptaka.

– Coś pięknego – odszepnęła Ursula.

Skowronek wzbijał się coraz wyżej i wyżej. Obserwowały go zaurczone. Po chwili stał się ciemną kropką na tle błękitu i wreszcie tylko wspomnieniem tej kropki.

Nancy westchnęła.

– Czasami zastanawiam się nad reinkarnacją – wyznała. – Wiem, że to absurd, ale czy nie byłoby cudownie, gdyby Teddy powrócił w jakiejś innej postaci, na przykład skowronka? No bo przecież *nie wiemy*, jak jest naprawdę. *Niewykluczone*, że to Teddy pozdrawia nas z góry, daje znak, że u niego wszystko w porządku. Że w jakiś sposób nadal *istnieje*. Czy ty wierzysz w reinkarnację?

– Nie. Wierzę, że mamy jedno życie i że Teddy przeżył swoje najlepiej, jak można.

Gdy niczego już nie ma, zostaje Sztuka. Nawet jeśli są to tylko *Przygody Augustusa*.

Przygody Augustusa

– *Straszliwe konsekwencje* –

– To chyba Augustus? – szepnęła panna Slee do ucha pana Swifta. Szept był teatralny, z rodzaju tych, które każą siedzącym wokół odwracać głowy z zainteresowaniem.

Na twarzy pana Swifta malował się wyraz doskonałej obojętności, chociaż rozgrywający się przed nim spektakl przyprawił go o lekki dreszcz, nad którym nie potrafił zapanować. Panna Swift nachyliła się jeszcze bardziej, chcąc zwrócić na siebie uwagę pani Swift. „Ani chybi Augustus – powtórzyła donośniejszym szeptem i dodała: – Państwa syn”. To ostatnie nie zasługiwało na miano szeptu. Było bliższe okrzyku. Mina pani Swift pozostała nieprzenikniona. Reszta publiczności podobnie jak państwo Swift z zapartym tchem śledziła wydarzenia na scenie wiejskiej świetlicy.

Przedstawienie *Anglia poprzez wieki* dotarło do momentu rozgromienia hiszpańskiej armady i Elżbieta I wygłaszała porywające orędzie do wojsk zebranych w Tilbury. Gloriana powoziła skleconym naprędce rydwanem Boudiki, w dłoni dzierżyła trójząb zabrany Brytanii. Oba te szlachetne uosobienia kobiecości (w tych rolach Phyllis, siostra Augustusa, i lady Lamington z dworu) nie użyczyły dobrowolnie swoich rekwizytów; stały teraz po bokach sceny, łypiąc spode łba na Glorianę.

Pozostali uczestnicy spektaklu dzielnie grali dalej, pomimo tego że połowa elementów scenografii się przewróciła, a po scenie błąkało się kilka psów.

Siedzący obok pani Swift pastor zapytał ją:

– Kto tam stoi na scenie? Sądziłem, że rolę królowej Elżbiety miała zagrać pani Brewster.

Na głowie Gloriany tkwiła przekrzywiona ruda peruka. Z braku odpowiedniego kostiumu owinęła się płaszczem rzymskiego centuriona, również pozyskanym bez zgody właściciela. Spod poły płaszcza wystawały zaskakująco brudne kolana, w kieszeń zaś wetknięto coś, co podejrzanie przypominało procę.

– Ej, wy tam! Dobra robota! – wrzasnęła owa rozmemłana Gloriana w całkiem niemajestatyczny sposób. – Niezłe manto spuściliście tym, jak im tam,

bukszpanom. – „*Hiszpanom*” – rozległ się z boku sceny syk pani Garrett. Gloriana, wymachując w powietrzu trójzębem Brytanii, zawołała: „A teraz wybijcie całą resztę!”. Na scenę wypadła gromada wyjących, pohukujących, popiskujących dzieciaków. Na ten widok podniecone psy rozszczękały się gromko. Niektórzy z malców – gdzie tam niektórzy, większość z nich – przejawiali dotąd łagodność charakteru, teraz jednak najwyraźniej poddali się hipnotycznemu wpływowi Gloriany. Podobnie jak też wiele osób na widowni, które wpatrywały się w nią z ustami rozdziawionymi z przerażenia.

– Ta dziatwa odgrywa Hiszpanów? – chciał wiedzieć pastor. – „Hordy najeźdźców” – przeczytał, zerkając do programu.

– Obawiam się, że przestałam nadażać za tym, kto kogo gra – odrzekła pani Swift, wstrząśnięta widokiem rudej peruki zsuwającej się coraz niżej na twarz swojego syna.

– Czy to te same dzieci – dopytywał się dalej pastor – które wystąpiły w roli Sasów, wikingów i Normanów? Trudno to stwierdzić, bo wszystkie są unurzone w zielonej farbie. Co to ma symbolizować, jak pani sądzi? Zielone pola Anglii?

– Wątpię – mruknęła pani Swift.

Z jej gardła wyrwał się okrzyk, gdy rydwan Boudiki nagle przełamał się na pół i Gloriana runęła niezgrabnie na scenę wraz z resztą scenografii. Terier rasy West Highland wskoczył na podium, z doskonałym wyczuciem czasu chwycił w zęby rudą perukę i umknął przy wtórze dobiegających zza sceny wrzasków.

– To z całą pewnością Augustus – orzekła panna Slee.

– W życiu nie widziałem tego chłopca na oczy – odparł z przekonaniem pan Swift.

– Ani ja – zawtórowała jego żona.

– Z perspektywy czasu – stwierdził pan Swift – można było przewidzieć, że to się skończy jakąś katastrofą.

– A tak dobrze się zaczęło – westchnęła pani Swift.

– Jak zawsze – mruknął pan Swift.

Cała wioska była w stanie wrzenia. Pan Robinson, prezes lokalnego towarzystwa historycznego, odkrył, że osada jest w istocie znacznie starsza, niż dotąd sądzono, o czym miały świadczyć ruiny rzymskiej willi odsłonięte na pobliskim polu. Pan Robinson określił je jako „ślady wczesnej okupacji rzymskich zdobywców”.

– Znaleźli na polu jakieś kamienie – oznajmił Augustus swojej bandzie.

Jej członkowie, czyli George i Roderick, uznali ostatecznie, że powinni nadać sobie jakąś nazwę. Rozważali i odrzucali kolejne pomysły: Piratów, Banitów, Rabusiów. Wreszcie po długich (niektórzy powiedzieliby: niekończących się) dyskusjach oraz jednej czy dwóch niegroźnych bójkach stanęło na Apaczach, które to miano jak żadne inne świadczyło o ich nieustraszonosci. (Albo krwiożerczości, jak stwierdził pan Swift).

– A do tego rzymskie kasztany ¹⁰² – ciągnął Augustus.

Wśród Apaczów rozszedł się szmer zainteresowania. Każdej jesieni ich szkolne boisko stawało się areną wojny na kasztany. Ofiary tej niezwykle brutalnej potyczki nieodmiennie lądowały w gabinecie pielęgniarki.

Pan Robinson gościł na obiedzie u państwa Swiftów w towarzystwie pastora, który należał do łagodnych, nieco sennych duchownych, jacy przeważali w tej okolicy, oraz panny Slee, bezpośredniej starej panny o nieco męskim stylu bycia. Jej weekendowe hobby stanowiły „włóczęgi” po okolicy. („Włóczęgi? – prychnął pogardliwie Augustus do swych rodziców. – To ma być *hobby*? Wy mi ciągle powtarzacie, żebym się tyle nie włóczył. – Poprawił wyimaginowaną togę i zakończył: – A potem marudzicie: »Znajdź sobie jakieś przyzwoite hobby, Augustusie«”).

Poza nimi sherry u Swiftów sączyli nowo przybyli w te strony pan i pani Brewster oraz pułkownik Stewart, niesympatyczny dla wszystkich bez wyjątku, szczególnie dla małych chłopców. „*Soirée* – wykrzyknęła pani Brewster na wieść o zaproszeniu – jak miło!”.

Pani Brewster była osobą dość nieprzeciętną: wysoka, z burzą rudych loków i skłonnością do teatralnych zachowań oraz zamiłowaniem do aktorstwa i teatru amatorskiego.

– Nie tylko Rzymianie nas podbijali – zauważył pan Brewster, nerwowo zerkając na niemal pustą karafkę sherry. – Anglowie, Sasi, wikingowie, Normanowie, jedna horda najeźdźców za drugą atakowała te ziemie.

Państwo Brewster byli „nuworyszami”, jeśli wierzyć pannie Carlton, żółzowatej staruszce, która spod oka obserwowała zerkającego na karafkę pana Brewstera. Sama była „niepijąca”, co najwyraźniej stale wprawiało ją w zły humor. W zamian za oranżadę w proszku za pół pensa wymogła na Augustusie i reszcie jego małego plemienia podpisanie zobowiązania, że nie tkną w życiu napojów alkoholowych. Apacze zgodzili się, że to uczciwa wymiana. Listę zaproszonych gości państwa Swiftów zamykała ich najbliższa sąsiadka, pani Garrett.

– Wcześniej – perorował pan Robinson – dokumenty poświadczające historię naszej wioski sięgały tylko czasów Księgi Dnia Zagłady.

– Dzień zagłady – mruknął pod nosem Augustus z wielką uciechą. – Tego jeszcze nie znałem.

Pociągały go słowa kryjące w sobie zapowiedź chaosu. Kres podsłuchiwanu położyła kucharka, brutalnie waląc go po głowie chochlą – swoją ulubioną bronią – i przeganiając spod drzwi. „Ten chłopak stale gdzieś się *czai* – usłyszał, jak żaliła się pokojówce Mavis – zupełnie jak jakiś szpieg”. Augustus uznał to za komplement. Naturalnie zamierzał zostać szpiegiem, kiedy tylko dorośnie. A także pilotem, maszynistą, podróżnikiem oraz „zbieraczem osobliwości”.

– Jakich znowu osobliwości? – zainteresowała się tego ranka przy śniadaniu pani Swift i natychmiast pożałowała tego pytania, ponieważ Augustus z wielkim entuzjazmem przedstawił jej listę obejmującą mysie szkielety, złote ćwierćpensówki, małże, dratwę, brylanty i szklane oczy.

– Nigdy nie słyszałem o złotych ćwierćpensówkach – stwierdził pan Swift.

– Dlatego będę je zbierał. Będą warte krocie.

– A jeśli nie istnieją? – spytała pani Swift.

– Wówczas będą warte jeszcze więcej.

– Czyżbyś w niemowlęctwie upuściła go na głowę, moja droga? – zwrócił się pan Swift do matki Augustusa. Pani Swift wymamrotała coś, co zabrzmiało jak: „Szkoda, że tego nie zrobiłam”, po czym już głośniejszym głosem dodała: – Przestań bawić się słoikiem z marmoladą, Augustusie.

– Zmykaj stąd – ofuknęła go kucharka. Wciąż była w nerwach z powodu tortu Charlotte Russe, który zwykle podawano na deser, gdy w domu byli goście. Kiedy gości nie było, jadali zwykły pudding. Augustus wyjadł wszystkie biszkopty i tłumaczył, że to nie jego wina. Miał zamiar wziąć tylko jeden, ale tak jakoś wyszło, że gdy znów zajrzał do pudełka, było całkiem puste! Jak to się mogło stać? (I dlaczego tak często go to spotykało?). Ku rozgoryczeniu kucharki zamiast Charlotte Russe trzeba było podać banalny mus.

– Co oni sobie pomyślą? – biadała.

– Pomyślą, że mają niewąski fart – odparł Augustus, opacznie wzięwszy mus za „moose”; mięso z łosia wydało mu się daniem o niebo ciekawszym od tego, co zwykle lądowało na stole w jadalni państwa Swiftów. Poza tym „łoś” brzmiał jak zwierzyna, na którą mogliby polować uzbrojeni w łuki i strzały Apacze. Potem

upiekliby go na rożnie nad obozowym ogniskiem... (Należący do Augustusa łuk został skonfiskowany wskutek pożałowania godnego incydentu).

– W naszym kraju nie ma łosi – wytknął mu pan Swift.

– Skąd wiesz – skontrował Augustus – skoro żadnego nie widziałeś?

– Masz zadatki na znakomitego empirystę – stwierdził jego ojciec po wyjątkowo męczącej dyskusji na temat piłek do krykieta i szyb w oranżerii. („Skąd wiesz, że to ja, skoro *nie widziałeś*, kto rzucił piłką?”. „Ponieważ to zawsze jesteś ty” – westchnął znużony pan Swift).

Pani Garrett klasnęła nagle w dłonie i oznajmiła: – Przedstawienie!

(Augustus znów wrócił na czaty; chochła nie mogła odstraszyć dzielnego Apacza).

– Powinniśmy zorganizować przedstawienie dla uczczenia historii naszej wioski.

Całe towarzystwo głośno wyraziło swoje poparcie dla tego projektu.

– Zaprezentujemy historię Wielkiej Brytanii od zarania dziejów, ale z punktu widzenia mieszkańców tradycyjnej angielskiej osady – entuzjazmowała się pani Barrett.

– Jeśli o mnie idzie – wtrąciła pani Brewster – to grywałam królowe w przedstawieniach teatralnych.

Pani Swift mruknęła coś pod nosem.

– Byle nie występował w nim żaden z tych okropnych małych hultajów – zastrzegł pułkownik Stewart.

– Uchowaj Boże! – zakrzyknęła panna Carlton. – Całkowicie się z panem zgadzam. Ojej – dodała prędko, zwracając się do pana Swifta – zapomniałam, że jeden z nich to państwa syn, prawda?

– No cóż – odparł niechętnie pan Swift – tak się składa, że znaleźliśmy go na progu przed frontowymi drzwiami.

Augustus zmarszczył czoło na dowód tak jawnej zdrady ojca. Rozległy się współczujące pomruki, na co pani Swift życzliwie sprostowała:

– Ależ skąd! W istocie to było kuchenne wejście.

Goście nagrodzili żart gromkim śmiechem. Zmarszczka na czole Augustusa jeszcze się pogłębiła. Czy *naprawdę* znaleziono go na progu? Od frontu czy od kuchni, to akurat nie miało większego znaczenia. Był podrzutkiem, sierotą. Ta myśl szalenie go ucieszyła. Może jego prawdziwi rodzice są bajecznie bogaci i szukają go od chwili, kiedy nieopatrznie zostawili go na progu państwa Swiftów?

– Och, na pewno znajdziemy dzieciom jakieś zajęcie – podjęła pani Garrett. W świecie Augustusa pani Garrett była dość niepokojącą postacią. Do niedawna znał ją jako postawną, przyjazną wdowę mieszkającą po sąsiedzku. Lubiła dzieci (cecha rzadko spotykana u dorosłych) i miała wspaniałą szklarnię pełną brzoskwiń i winogron, którą Apacze wciąż usiłowali złupić ku wściekłości ogrodnika pani Garrett. Nie skąpiła im także ciasta i cukierków – kolejna niezwykła cecha jak na kogoś dorosłego. Niestety, przewodziła również lokalnemu „oddziałowi” Afor Arod. Według pani Garrett nazwa organizacji miała źródłosłów saski, oznaczała „dzikich” i „śmiały”, chociaż żaden z członków oddziału nie zasługiwał na to miano. Wyobraźcie sobie zastęp skautów złożony z samych wyrzutków – wszystkich, których nie akceptowano w chłopięcej społeczności. Afor Arod skupiał świętoszków, tłuściochów, lizusów, kujonów. No i dziewczyny.

Zdaniem pani Garrett, zagorzałej działaczki Peace Pledge Union, stanowili pokojową alternatywę dla „nazbyt militarystycznych” skautów. „Współpraca i harmonia” – powtarzała. Matka Augustusa uznała, że synowi, któremu „wyraźnie brak” owych cech, dobrze zrobi przystąpienie do Afor Arod.

– Niczego mi nie brak! – zaprotestował Augustus. – Mam swoich Apaczów!

– No właśnie – mruknęła pani Swift i siłą zaciągnęła go na spotkanie.

„To takie niesprawiedliwe” – pomyślał rozgoryczony na widok gromadki tańczących w kółeczko dzieci. Tańczących! Nikt nie wspominał o żadnych tańcach.

– Patrzcie, oto nasz nowy kolega! – zawołała pani Garrett, jakby widziała Augustusa po raz pierwszy w życiu, chociaż spotykali się niemal codziennie.

Potem Augustus napotkał swoją nemezis. W kącie pokoju wypatrzył dziewczynkę o najbardziej kręconych włosach i najśłodszych dołeczkach w policzkach, jakie kiedykolwiek widział. („Na imię mi Madge – cześć”). Zauważył, że coś szyje. „Wyszywam odznakę ścięciem krzyżykowym. Chciałbyś mieć taką samą, Augustusie? Mogę ci zrobić”. Oniemiały Augustus pokiwał głową. Minę miał jeszcze głupszą niż zwykle.

Teraz żył w ciągłym strachu, że pozostali Apacze zdybią go na uczestniczeniu w którejś z okropnych rozrywek Afor Arod: wspomnianych już tańcach i szyciu, śpiewach albo konkursach poetyckich. Albo wycieczkach przyrodniczych, które, jak się okazało, nie miały nic wspólnego z plądrowaniem ptasich gniazd ani strzelaniem z procy do wszystkiego, co żyje. W gruncie rzeczy z żadnym *chaosem*.

Wszystko to było mu zgoła wstrętne, nie potrafił jednak wyzwolić się spod uroku Madge. („Och, jakiś ty miły, Augustusie, że pomagasz mi zwijać wełnę!”).

* * *

– Będzie przedstawienie – zameldował swoim Apaczom. – O hordach najeźdźców – dodał. Przesunął językiem gruszkowy drops spod jednego policzka pod drugi, co zasadniczo oznaczało głębokie zadumanie. – Mam pewien pomysł – rzucił od niechcienia. – Moglibyśmy...

– Przestań już, błagam! – jęknął Teddy.

– Przecież wiesz, że on w niczym ciebie nie przypomina – śmiała się Ursula.

– Wiem – odparł Teddy. – Ale przestań już czytać.

Postowie

Gdy zdecydowałam, że chcę napisać powieść, której akcja toczyłaby się w czasie drugiej wojny światowej, dość naiwnie sądziłam, że uda mi się zmieścić cały konflikt zbrojny w książce o połowę cieńszej od *Wojny i pokoju*. Doszedłszy jednak do wniosku, że to wyzwanie ponad siły zarówno moje, jak i czytelników, postanowiłam skupić się na dwóch aspektach wojny, które najbardziej mnie zainteresowały i stanowią moim zdaniem najciekawszy materiał dla pisarza: na niemieckich bombardowaniach Londynu i nalotach dywanowych na Niemcy. W rezultacie *Jej wszystkie życia* opowiada o Ursuli Todd i wydarzeniach rozgrywających się podczas Blitzu, tymczasem *Bóg pośród ruin* (w zamierzeniu raczej uzupełnienie niż kontynuacja poprzedniej powieści) koncentruje się na losach brata Ursuli – Teddy’ego, pilota bombowca RAF-u. Żadna z tych powieści nie jest wyłącznie o wojnie, przeciwnie – w obu wiele miejsca poświęciłam wydarzeniom poprzedzającym działania zbrojne i równie wiele powojennym konsekwencjom tych działań. Niemniej jednak mamy tu do czynienia z indywidualnym oraz wspólnym dla Ursuli i Teddy’ego doświadczeniem wojny, która przenika życie bohaterów.

Ursula przeżywała różne wersje swojego życia, co dało mi pewną swobodę przy konstruowaniu wątku Teddy’ego. Stąd też pod pewnymi względami jego losy różnią się od tych przedstawionych w poprzedniej książce. Lubię myśleć, że *Bóg pośród ruin* to jeszcze jedna z wersji życia Ursuli, wcześniej nieopisana. Wiem, że może się to wydać pisarską przebiegłością. Niewykluczone, że nią jest. Moim zdaniem w odrobinie literackiego oszustwa nie ma niczego złego.

Nie ulega wątpliwości, że jako dowódca halifaksa Teddy musiał stacjonować w Yorkshire, gdzie znajdowała się większość baz tych bombowców. (Cała sława spłynęła później na lancastery; w tym miejscu pragnę podkreślić, że przemawia przez mnie rozgoryczenie Teddy'ego, nie moje własne). Jego maszyna wchodziła w skład 4. Grupy Dowództwa Bombowego, jednej z dwóch stacjonujących w Yorkshire (drugą była 6. Grupa Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych). Pozwoliłam sobie na swobodę literacką i nie przypisałam Teddy'ego do żadnego konkretnego lotniska ani dywizjonu. W wyobraźni widziałam go jednak w roli lotnika 76. Dywizjonu Bombowego RAF-u, z którego archiwów operacyjnych korzystałam, opisując wojenne przygody tego bohatera. Wspomnę tylko, że bazy tego dywizjonu znajdowały się w Linton-on-Ouse oraz Holme-on-Spalding Moor.

Z myślą o czytelnikach postanowiłam załączyć krótką bibliografię materiałów źródłowych, z których korzystałam, pisząc tę książkę. Miałam szczęście i okazję zapoznać się z wieloma barwnymi relacjami członków załóg, z osobistymi wspomnieniami, jak również bardziej oficjalnymi historycznymi opracowaniami. Opowieści lotników Dowództwa Bombowego są bez wyjątku niezwykle. Stanowią żywe świadectwo nie tylko jakże pożądanego stoicyzmu, ale przede wszystkim heroizmu i determinacji (oraz skromności), które to cechy zdają się być dzisiaj niemal w zaniku – choć oczywiście współczesne pokolenie nie zostało równie dotkliwie doświadczone. Średni wiek tych młodych mężczyzn (chłopców właściwie) wynosił dwadzieścia dwa lata. Wszyscy byli ochotnikami. Walczyli w najtrudniejszych warunkach, jakie można sobie wyobrazić. Wojnę przeżyła mniej niż połowa z nich. (Tylko dziesięć procent załóg rozpoczynających loty na początku wojny doczekało jej zakończenia). Nie

sposób nie odczuwać wzruszenia na myśl o ich ofierze życia i chyba to w dużej mierze skłoniło mnie do napisania tej powieści.

W rozdziałach poświęconych wojnie nie ma niczego, co nie byłoby w jakiś sposób oparte na autentycznych wydarzeniach, na których opis natknęłam się podczas swoich przygotowań (dotyczy to nawet najbardziej makabrycznych i najmniej prawdopodobnych sytuacji), choć zwykle przedstawiałam je w nieco zmodyfikowanej wersji. Czasami łatwo zapomnieć, że tworzy się fikcję, a nie dzieło historyczne i uwikłać się w mniej lub bardziej specjalistyczne szczegóły techniczne, podczas gdy potrzeby powieści powinny zawsze przeważać nad prywatnymi obsesjami. Moją stały się silniki Bristol Hercules, ale to także przypisałam Teddy'emu.

Chętnie przyznaję się do pożyczania, skąd tylko się dało, na pierwsze miejsce wysuwa się jednak wstrząsający opis wodowania znaleziony w książce *Raider. The Halifax and its Fliers* Geoffreya Jonesa. W styczniu 1944 roku powracająca z nalotu na Berlin załoga Halifaksa II JD165 (S-Sugar) ze 102. (cejlońskiego) Dywizjonu Bombowego RAF-u stacjonującego w Pocklington trzy dni dryfowała po Morzu Północnym. Z kolei z *Inferno* Keitha Lowe'a dowiedziałam się wiele o tym, jak to jest natrafić podczas lotu na burzę. Zdarzało mi się nieco manipulować faktami – zmieniałam na przykład datę wprowadzenia tych przeklętych silników Bristol Hercules – i z zasady pomijałam pojawiające się z roku na rok nowinki techniczne (również te dotyczące nawigacji), nie chcąc, aby czytelnik co chwila potykał się o nic mu niemówiące nazwy w rodzaju HS2, Fishpond czy Monica (wszystkie oznaczają systemy radarowe). Nie zagłębiałam się też w wyjaśnienia – z tego samego powodu, a także dlatego, że sama nie wszystko rozumiałam (lepiej będzie, jeśli się do tego przyznam).

Sedno sprawy polega na tym, że *Bóg pośród ruin* to fikcja literacka. Uważam, że każda powieść nie tylko *jest* fikcją, ale też o fikcji *traktuje* (nie jest to tak postmodernistyczne, jak by się mogło wydawać). Męczy mnie słuchanie, że jakaś nowa powieść jest „eksperymentalna” albo „na nowo odkrywa gatunek”, tak jakby Laurence Sterne, Gertruda Stein czy choćby James Joyce nie napisali wcześniej ani słowa. Ilekroć pisarz rzuca się na pierwsze zdanie powieści, nieodmiennie rozpoczyna jakiś eksperyment. Przygodę. Wierzę w złożoną strukturę powieści, w intertekstualność, wzajemne oddziaływanie na siebie wątków, bohaterów, narracji, motywów, obrazów i wszystkich innych składników, jakie lądują w literackim kotle, ale nie zgadzam się, że to automatycznie czyni mnie tradycjonalistką (jakbyśmy wszyscy nie byli zanurzeni w tej samej tradycji, tradycji powieściopisarstwa).

Ludzie stale wypytują pisarzy, „o czym jest” dana książka. W posłowniu do *Jej wszystkie życia* stwierdziłam rozzalona, że książka jest „o sobie”, a ja nie poświęciłam dwóch lat życia na jej napisanie po to, aby ją teraz streszczać w dwóch zdaniach. Naturalnie jednak była ona „o czymś”. Gdyby zadano mi takie samo pytanie o *Boga pośród ruin*, odpowiedziałabym, że jest to powieść o świecie fantazji (i o tym, jak wyobrażamy sobie to, czego nie znamy) oraz o upadku (człowieka). Zauważycie zapewne liczne odniesienia do Utopii, Edenu, sielankowej Arkadii, do *Raju utraconego* i *Wędrówki pielgrzyma*. Nawet książka, którą w pewnym momencie Viola ciska w ojca, to *Kraina jutra* Enid Blyton, inspirowana właśnie *Wędrówką pielgrzyma*. Wiele z tych nawiązań jest zupełnie mimowolnych, tak jakby jedna część mózgu pisarza wiedziała, co robi, a druga była tego boleśnie nieświadoma. Dopiero teraz widzę, ile jest w tej książce wzlotów i upadków. Wszyscy i wszystko wznoszą się w powietrze albo spadają na ziemię. (I te ptaki! Całe stada!).

W tekście kluczowe znaczenie mają dla mnie symbole – nie złożona symbolika, która pcha się na pierwszy plan i domaga uwagi, ale znacznie bardziej subtelne obrazy, które powracają niemal niezauważenie, tworząc swoistą osnowę spajającą różne wątki. „Czerwona nić” więzów krwi łącząca rodzinę Todów ma swoje odbicie w czerwonej tasiemce wyznaczającej kurs na Norymbergę, ta zaś jest echem czerwonych linek w mieszkaniu chronionym Teddy’ego, którą to prawidłowość zauważyłam dopiero podczas redakcji powieści i wydała się ona całkowicie logiczna. (Nie pytajcie tylko, dlaczego tyle piszę o gęsiach. Naprawdę nie mam pojęcia).

Koncepcja fabuły *Boga wśród ruin* opiera się rzecz jasna na pewnym zamyśle bezpośrednio dotyczącym fikcji i fantazji. Poznajemy go dopiero pod koniec, stanowi on jednak w pewnym sensie *raison d’être* całej powieści. Uważam, że uparcie konfabulować można tylko wtedy, gdy to, o czym piszemy, rzeczywiście ma jakiś cel; w przeciwnym razie zajmujemy tylko niepotrzebnie dwuwymiarową przestrzeń, w której tekst przestaje być platformą porozumienia między autorem a szerszą publicznością. Jeżeli coś takiego oznacza odrzucenie modernizmu bądź postmodernizmu czy co też tam po postmodernizmie nastąpiło, to trudno. Wszelkie krępujące kategorie powinno się wyrzucić do kosza. (W powieści ciągle padają słowa „powściągliwość” i „ograniczenia”, a także ich przeciwieństwa, czyli „wolność” i „swoboda” – kolejna rzecz, z której zdałam sobie sprawę, dopiero gdy skończyłam pisać. Zastanawiałam się, czy nie za dużo tego, ale ostatecznie je zostawiłam. Znalazły się w tekście z jakiegoś powodu).

Wojna jest oczywiście największym upadkiem człowieka – być może zwłaszcza dla tych, dla których wzięcie udziału w walce stanowi imperatyw moralny, co jednak nie uwalnia ich od poczucia winy. Nie należy nigdy wątpić w odwagę załóg halifaksów, stirlingów i lancasterów, lecz naloty

dywanowe były stanowczo krokiem drastycznym i brutalnym, próbą zadawania ciosów tępym narzędziem, w czym nieustannie przeszkadzały lotnikom pogoda i niedostatki technologii (choć ta rozwijała się zdumiewająco szybko, jak to zwykle bywa podczas wojny). Olbrzymi rozdźwięk między tym, czego oczekiwano w związku z bombardowaniami, a tym, co istotnie udawało się osiągnąć, od początku frustrował, szczególnie, według mnie, załogi bombowców.

Za decyzją o odejściu od strategii precyzyjnych bombardowań (w praktyce niemożliwych do przeprowadzenia w nocy i z wykorzystaniem prymitywnych technologii) i rozpoczęciu nalotów wymierzonych w ludność cywilną stało przekonanie, że zabijanie robotników w fabrykach oraz niszczenie ich domów to element wojny ekonomicznej. Za ideą nalotów dywanowych stały jak najlepsze intencje – chęć uniknięcia znanego z pierwszej wojny światowej koszmaru walki w okopach – a mimo to ofensywa powietrzna okazała się takim samym koszmarem, studnią bez dna. Niby rozwarta szeroko paszcza nienasyconego potwora pochłaniała wciąż nowe zasoby ludzkie, technologie, surowce, które można było prawdopodobnie lepiej spożytkować gdzie indziej. Dotyczyło to zwłaszcza ostatnich miesięcy – dla Europy iście apokaliptycznych – gdy obsesja Harrisa, aby ginące Niemcy obrócić w perzynę, miała więcej wspólnego z gniewem karzącego, starotestamentowego Boga niż ze strategią militarną (choć nie należę do krytyków jego polityki). Możliwość spojrzenia na przeszłość z perspektywy czasu to wspaniała rzecz, niestety niedostępna dla tych, którzy oceniają działania wojenne na bieżąco.

Od zakończenia wojny musimy odpowiadać na trudne pytania o moralny aspekt nalotów dywanowych (Churchill sam się do tego przyłożył, dyplomatycznie uchyliwszy się od odpowiedzialności) i zastanawiać się, czy nasza wojna z barbarzyńcami nie okazała się takim samym

barbarzyństwem. Zabijaliśmy bowiem tych, których cywilizowany świat powinien zawsze chronić: starców, dzieci, kobiety. Sęk w tym, że każda wojna to barbarzyństwo. Jednakowo dotyka winnych i niewinnych.

Bóg pośród ruin to powieść, a nie polemika (ja zaś nie jestem historykiem). Dlatego wszelkie rozterki i wątpliwości pozostawiłam do rozstrzygnięcia bohaterom. Niech wybrzmiały w tekście.

Na koniec jeszcze jedno – większość czytelników z pewnością rozpozna w Augustusie odbicie Williama Browna znanego z cyklu powieści młodzieżowych *Po prostu William*. Augustus to w istocie marny cień Williama, który pozostaje dla mnie jedną z najwspanialszych postaci literackich w historii. Wielka w tym zasługa Richmala Cromptona, któremu niniejszym oddaję hołd.

Dziękuję

Podpułkownikowi M. Keechowi z Królewskiego Korpusu Łączności,
odznaczonemu Medalem Imperium Brytyjskiego

Majorowi lotnictwa Stephenowi Beddoesowi z RAF-u

Suzanne Keyte, archiwistce w Royal Albert Hall

Anne Thomson, archiwistce w Newnham College, Cambridge

Ianowi Reedowi, dyrektorowi Muzeum Lotnictwa Yorkshire, który tak
wyczerpująco odpowiadał na moje (zapewne irytujące) pytania

Muzeum Lotnictwa Yorkshire (www.yorkshireairmuseum.org) z siedzibą
w Elvington, zlokalizowane na jednym z licznych brytyjskich lotnisk
z czasów drugiej wojny światowej, to miejsce, które powinien odwiedzić
każdy zainteresowany bombowcami halifaks i historią w ogóle. Muzeum
włożyło wiele wysiłku w to, aby przywrócić do życia pocziwego
„halibaga”. Pragnę przy tej okazji podziękować Philowi Kempowi, dzięki
któremu mogłam zwiedzić wnętrze samolotu o wdzięcznej nazwie „Piątek
Trzynastego” – niestety nie oryginalnej maszyny, ta bowiem została
sprzedana na złom, podobnie jak wszystkie halifaksy, które przeżyły wojnę.

Dziękuję rzecz jasna mojemu agentowi Peterowi Strausowi oraz wydawcy
Marianne Velmans, a także wszystkim z Transworld, zwłaszcza Larry’emu
Finlayowi, Alison Barrow i Martinowi Myersowi. Dziękuję również
Reagan Arthur z Little, Brown and Company, Kim Witherspoon z Inkwell

Management, Kristin Cochrane z Doubleday Canada oraz Camilli Ferrier z Marsh Agency.

Nie muszę chyba dodawać, że wszelkie nieścisłości, zamierzone bądź nie, to wyłącznie moja wina.

Źródła

Chorley W.R., *Bomber Command Losses of the Second World War, t. IV, 1943*, Midland Counties, 1996.

Chorley W.R., *Bomber Command Losses of the Second World War, t. V, 1943*, Midland Counties 1997.

Chorley W.R., *Bomber Command Losses of the Second World War, t. IX, Roll of Honour*, Midland Publishing 2007.

Middlebrook Martin, Everitt Chris, *The Bomber Command War Diaries: An Operational Reference Book 1939–1945*, Penguin 1990.

Webster Sir Charles, Frankland Noble, *The Strategic Air Offensive, t. I–II*, The Naval and Military Press 2006.

Hastings Max, *Bomber Command*, Pan Books 2010.

Overy Richard, *Wojna powietrzna 1939–1945*, Bellona 2007.

Ashcroft Michael, *Heroes of the Skies*, Headline 2012.

Bishop Patrick, *Chłopcy z bombowców*, Dom Wydawniczy Rebis 2010.

Delve Ken, *Bomber Command*, Pen and Sword Aviation 2005.

Jones Geoffrey, *Raider, the Halifax and its Fliers*, William Kimber 1978.

Lomas Harry, *One Wing High, Halifax Bomber, the Navigator's Story*, Airlife 1995.

Nichol John, Rennell Tony, *Tail-End Charlies: The Last Battles of the Bomber War 1944–45*, Penguin Books 2005.

Riva R.V., *Tail Gunner*, Sutton 2003.

Rolfe Mel, *Hell on Earth*, Grub Street 1999.

Taylor James, Davidson Martin, *Bomber Crew*, Hodder and Stoughton 2004.

Wilson Kevin, *Bomber Boys*, Cassell Military Paperbacks 2005.

Wilson Kevin, *Men of Air: The Doomed Youth of Bomber Command, 1944*, Weidenfeld and Nicolson, 2007.

Lowe Keith, *Inferno: The Destruction of Hamburg, 1943*, Viking 2007.

Messenger Charles, *Cologne: The First 1000 Bomber Raid*, Ian Allan 1982.

Middlebrook Martin, *The Battle of Hamburg*, Penguin 1984.
Middlebrook Martin, *The Nuremberg Raid*, Pen and Sword Aviation 2009.
Nichol John, *The Red Line*, HarperCollins 2013.

Ledig Gert, *Payback*, Granta 2003.
Sebald W.G., *Wojna powietrzna i literatura*, Wydawnictwo W.A.B. 2012.

Beck Pip, *Keeping Watch*, Crecy Publishing 2004.
Lee Janet, *War Girls: The First Aid Nursing Yeomanry in the First World War*, Manchester University Press 2012.
Pickering Sylvia, *Bomber Command WAAF*, Woodfield 2004.
Blanchett Chris, *From Hull, Hell and Halifax: An Illustrated History of No. 6 Group, 1937–48*, Midland 2006.
Chorley W.R., *In Brave Company: 158 Squadron Operations*, W.R. Chorley 1990.
Chorley W.R., *To See the Dawn Breaking: 76 Squadron Operations*, W.R. Chorley 1981.
Jones Geoffrey, *Night Flight: Halifax Squadrons at War*, William Kimber 1981.
Lake John, *Halifax Squadrons of World War Two*, Osprey 1999.
Otter Patrick, *Yorkshire Airfields in the Second World War*, Countryside Books 2007.
Pilot's and Flight Engineer's Notes, Halifax III and IV, Brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa 1944.
Rapier Brian, *White Rose Base*, Aero Litho 1972.
Robinson Ian, *Home is the Halifax*, Grub Street 2010.
Wadsworth Michael, *Heroes of Bomber Command, Yorkshire*, Countryside Books 2007.
Wingham Tom, *Halifax Down!*, Grub Street 2009.

Baden-Powell Robert, *Skauting dla chłopców*, Oficyna „Przeglądu Powszechnego” 1990.
Beer Stewart, *An Exaltation of Skylarks*, SMH Books 1995.
Cornell Simon, *Hare*, Reakcion Books 2007.
Danziger Danny, *The Goldfish Club*, Sphere 2012.
Hart-Davis Duff, *Fauna Britannica*, Weidenfeld and Nicolson 2002.
Mabey Richard, *Flora Britannica*, Chatto and Windus 1997.
McKay Sinclair, *Tajemnice Bletchley Park*, Wydawnictwo MUZA S.A. 2013.
Wallen Martin, *Fox*, Reakcion 2006.
Williamson Henry, *The Story of a Norfolk Farm*, Clive Holloway Books 1941.

Z archiwów państwowych

Archiwa operacyjne 76. Dywizjonu Bombowego RAF – AIR/27/650 (maj 1942 i grudzień 1942), AIR/27/651 (luty 1943 oraz grudzień 1943), AIR/27/652 (marzec 1944)

Filmy DVD

Forgotten Bombers of the Royal Air Force, Simply Home Entertainment 2003

Halifax. Historia bombowca, Simply Home Entertainment 2010

The History of Bomber Command, Delta Leisure Group 2009

Night Bombers, Oracle 2003

Now It Can Be Told, IWM 2009

The Royal Air Force at War, niewyświetlane filmy z lat 1940–1944, IWM 2004

Target for Tonight, IWM 2007

Przypisy końcowe

1. Robert Baden-Powell, *Skauting dla chłopców*, przekład Stanisława Kapiszewskiego (wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumaczki). [[wróć](#)]
2. Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*, przekład Karoliny Beylin. [[wróć](#)]
3. Emily Dickinson, *Przetnij wpół Skowronka – znajdziesz Śpiew*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
4. Percy Bysshe Shelley, *Do skowronka*, przekład Ludmiły Marjańskiej. [[wróć](#)]
5. Gerard Manley Hopkins, *Skowronek w klatce*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
6. Gerard Manley Hopkins, *Morze i skowronek*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
7. *Femme séduisante* (franc.) – kusicielka. [[wróć](#)]
8. William Szekspir, *Makbet*, przekład Leona Ulricha. [[wróć](#)]
9. William Blake, *Wróżby niewinności*, przekład Zygmunta Kubiaka. [[wróć](#)]
10. W języku angielskim wymawiane w ten sam sposób słowo *fanny* to wulgarne określenie kobiecych genitaliów. [[wróć](#)]
11. *Mikado, czyli jeden dzień w Titipu*, operetka w dwóch aktach W.S. Gilberta i A. Sullivana, przekład Adolfa Kitschmana. [[wróć](#)]
12. Emmeline Pethick-Lawrence (1867–1954), brytyjska aktywistka walcząca o prawa kobiet. [[wróć](#)]
13. Robert Baden-Powell, *Skauting dla chłopców*, przekład Stanisława Kapiszewskiego. [[wróć](#)]
14. *Sunny* (ang.) – o charakterze: pogodny. [[wróć](#)]
15. William Wordsworth, *Oda: przecucia nieśmiertelności pamiętane z wczesnych lat dzieciństwa*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
16. Gerrard Winstanley, *Program ustroju wolności, czyli prawowita zwierzchność przywrócona*, przekład Stanisława Helsztyńskiego. [[wróć](#)]
17. *The World Turned Upside Down* – angielska ballada z lat 40. XVII w. powstała w proteście przeciwko decyzji parlamentu, który zakazał tradycyjnych obchodów Bożego Narodzenia. [[wróć](#)]
18. Jedna z postaci w powieści *W kleszczach lęku* Henry’ego Jamesa. [[wróć](#)]
19. *Nom de plume* (franc.) – pseudonim literacki. [[wróć](#)]
20. *Mikado, czyli jeden dzień w Titipu*, operetka w dwóch aktach W.S. Gilberta i A. Sullivana, przekład Adolfa Kitschmana. [[wróć](#)]
21. Gerard Manley Hopkins, *Pstre piękno*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
22. John Keats, *Oda do słowika*, przekład Zygmunta Kubiaka. [[wróć](#)]
23. *L’ecrivain anglaise* (franc.) – angielskim pisarzem. [[wróć](#)]
24. *Madame la propriétaire* (franc.) – właścicielka. [[wróć](#)]

25. William Szekspir, *Romeo i Julia*, przekład Józefa Paszkowskiego. [[wróć](#)]
26. John Keats, *Endymion*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
27. William Szekspir, *Romeo i Julia*, przekład Józefa Paszkowskiego. [[wróć](#)]
28. *Hors de combat* (franc.) – niezdolny do walki. [[wróć](#)]
29. 1 Kor 13,12 (wszystkie cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia). [[wróć](#)]
30. William Wordsworth, *Oda: przeczucia nieśmiertelności pamiętane z wczesnych lat dzieciństwa*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
31. *Au fait* (franc.) – obeznana. [[wróć](#)]
32. Bohater powieści *Ciężkie czasy* Charlesa Dickensa. [[wróć](#)]
33. W żargonie RAF-u używano skrótu LMF (*Lack of Moral Fibre*) stanowiącego eufemistyczne określenie oskarżenia o tchórzostwo. [[wróć](#)]
34. OTU (ang.) – Operational Training Unit. [[wróć](#)]
35. HCU (ang.) – Heavy Conversion Unit. [[wróć](#)]
36. Założony w 1888 roku w Anglii ruch artystyczny zrzeszający malarzy, rzeźbiarzy, architektów i rzemieślników tworzących sztukę użytkową. [[wróć](#)]
37. Gerard Manley Hopkins, *Wiosna i jesień*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
38. Emily Dickinson, *W alabastrowych komnatach bezpieczni*, przekład Ludmiły Marjańskiej. [[wróć](#)]
39. Emily Dickinson, *Umierałam – słysząc jak mucha*, przekład Ludmiły Marjańskiej. [[wróć](#)]
40. Chodzi o Arthura Traversa Harrisa (1892–1984), marszałka Królewskich Sił Powietrznych, propagatora i realizatora strategii nalotów dywanowych na III Rzeszę. [[wróć](#)]
41. *Floruit* – forma osobowa łacińskiego czasownika „kwitnąć”, używana, by wskazać okres, w którym osoba lub instytucja była aktywna. [[wróć](#)]
42. William Blake, *Chora róża*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
43. *Religieuse* (franc.) – zakonnica. [[wróć](#)]
44. *Coup de foudre* (franc.) – dosłownie uderzenie gromu, tu: miłość od pierwszego wejrzenia. [[wróć](#)]
45. William Blake, *Wróżby niewinności*, przekład Zygmunta Kubiaka. [[wróć](#)]
46. William Szekspir, *Burza*, przekład Leona Ulricha. [[wróć](#)]
47. Załogi brytyjskich samolotów z właściwym sobie czarnym humorem nazywały dolinę rzeki Ruhry Szczęśliwą Doliną albo Doliną bez Powrotu. [[wróć](#)]
48. William Szekspir, *Henryk IV*, część I, przekład Leona Ulricha. [[wróć](#)]
49. Robert Baden-Powell, *Skauting dla chłopców*, przekład Stanisława Kapiszewskiego. [[wróć](#)]

50. William Szekspir, *Burza*, przekład Leona Ulricha. [[wróć](#)]
51. *Il faut cultiver notre jardin* (franc.) – „Trzeba uprawiać nasz ogródek”; Wolter, *Kandyd, czyli optymizm*, przekład Tadeusza Boya Żeleńskiego. [[wróć](#)]
52. William Szekspir, *Makbet*, przekład Leona Ulricha. [[wróć](#)]
53. Gra słów: *a maze* (ang.) – labirynt i *amaze* (ang.) – zdumiewać. [[wróć](#)]
54. Pierwotnie nazwa bazy nuklearnej NATO w Berkshire w Wielkiej Brytanii. We wrześniu 1981 roku powstał tam Pokojowy Obóz Kobiet przeciwko Zbrojeniom. [[wróć](#)]
55. W języku angielskim *toadstool* to muchomor, *toad* – ropucha, a *stool* – taboret. [[wróć](#)]
56. William Blake, *Chora róża*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
57. W języku angielskim słowo *sonny* (synek) oraz imię Sunny wymawia się tak samo. [[wróć](#)]
58. Bohaterka *Wielkich nadziei* Charlesa Dickensa. [[wróć](#)]
59. John Keats, *Endymion*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
60. Leonard Cheshire (1917–1992), brytyjski lotnik i działacz charytatywny, uczestnik II wojny światowej. [[wróć](#)]
61. Fog Investigation and Dispersal Operation, Fog Intensive Dispersal Operation (FIDO) – kryptonimy operacji intensywnego rozpraszania mgły; w stworzeniu FIDO ważną rolę odegrał polski fizyk, profesor Józef Mazur (1896–1977). [[wróć](#)]
62. Air Transport Auxiliary, służba pomocnicza RAF-u. [[wróć](#)]
63. *Objets de vertu* (franc.) – tu: przedmioty kolekcjonerskie. [[wróć](#)]
64. Amy Johnson (1903–1941), angielska pilotka, sławę przyniosł jej lot z Wielkiej Brytanii do Australii, którego podjęła się jako pierwsza kobieta. Podczas II wojny członkini ATA, zginęła, pilotując samolot. [[wróć](#)]
65. William Szekspir, *Burza*, przekład Leona Ulricha. [[wróć](#)]
66. Fragment *Ody do radości* Fryderyka Schillera. [[wróć](#)]
67. Rdz 2,19. [[wróć](#)]
68. WREN (Women’s Royal Navy Service) – pomocnicza służba kobieca utworzona w 1917 roku przy Królewskiej Marynarce Wojennej Wielkiej Brytanii. [[wróć](#)]
69. *Violet* (ang.) – fiołek. [[wróć](#)]
70. *Sic transit gloria mundi* (łac.) – Tak przemija chwała tego świata. [[wróć](#)]
71. Andrew Marvell, *Do cnotliwej damy*, przekład Artura Międzyrzeckiego. [[wróć](#)]
72. John Keats, *Oda do słowika*, przekład Ludwika Dorna. [[wróć](#)]
73. DNR, *do not resuscitate* (ang.) – nie resuscytować. [[wróć](#)]
74. *Romaine lettuce* (ang.) – sałata rzymska. [[wróć](#)]

75. *Mikado, czyli jeden dzień w Titipu*, operetka w dwóch aktach W.S. Gilberta i A. Sullivana, przekład Adolfa Kitschmana. [\[wróć\]](#)
76. *Compos mentis* (łac.) – w pełni władz umysłowych. [\[wróć\]](#)
77. Emily Davison (1872–1913) – brytyjska sufrażystka, która 4 czerwca 1913 roku wpadła pod konia króla Jerzego V podczas gonitwy Derby w Epsom i po kilku dniach zmarła w wyniku odniesionych obrażeń. [\[wróć\]](#)
78. Christopher Marlowe, *Tragiczna historia doktora Fausta*, przekład Juliusza Kydryńskiego. [\[wróć\]](#)
79. Harold Shipman (1946–2004) – angielski lekarz zwany Doktorem Śmierć, zabijał pacjentów zastrzykiem morfiny. Szacuje się, że uśmiercił około 215 osób. [\[wróć\]](#)
80. *L'enfer, c'est les autres* (franc.) – Piekło to inni, słynne zdanie Jean-Paula Sartre'a. [\[wróć\]](#)
81. Gerard Manley Hopkins, *Wiosna i jesień*, przekład Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)
82. *Mikado, czyli jeden dzień w Titipu*, operetka w dwóch aktach W.S. Gilberta i A. Sullivana, przekład Adolfa Kitschmana. [\[wróć\]](#)
83. William Szekspir, *Burza*, przekład Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)
84. Samuel Talor Coleridge, *Mród o północy*, przekład Zygmunta Kubiaka. [\[wróć\]](#)
85. Robert Frost, *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór*, przekład Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)
86. Alfred Edward Housman, *Najczarowniejsze z drzew, czereśnia*, przekład Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)
87. Gerard Manley Hopkins, *I wazek wartkie wrzenia*, przekład Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)
88. Alfred Edward Housman, *Truchleją w krąg na Wzgórzach bory*, przekład Andrzeja Piotrowskiego. [\[wróć\]](#)
89. Emily Dickinson, *Bywa światła Pochylenie...*, przekład Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)
90. William Szekspir, *Jak wam się podoba*, przekład Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)
91. William Szekspir, *Sen noc letniej*, przekład Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)
92. John Keats, *Po pierwszym zajrzeniu do Homera w przekładzie Chapmana*, przekład Zygmunta Kubiaka. [\[wróć\]](#)
93. Gerard Manley Hopkins, *Blask Boga*, przekład Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)
94. William Szekspir, *Burza*, przekład Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)
95. William Blake, *Baranek*, przekład Zygmunta Kubiaka. [\[wróć\]](#)
96. Gerard Manley Hopkins, *Wiosna i jesień*, przekład Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)

97. William Wordsworth, *Wiersze napisane w górach, w odległości kilku mil od opactwa Tintern, podczas powtórnych odwiedzin brzegów rzeki Wye 13 lipca 1798 roku*, przekład Zygmunta Kubiaka. [[wróć](#)]
98. Edward Thomas, *Adlestrop*, przekład Marcina Szcherbińskiego. [[wróć](#)]
99. Gerard Manley Hopkins, *Blask Boga*, przekład Stanisława Barańczaka. [[wróć](#)]
100. William Szekspir, *Burza*, przekład Leona Ulricha. [[wróć](#)]
101. William Szekspir, *Burza*, przekład Leona Ulricha. [[wróć](#)]
102. Gra słów: *conquerors* (ang.) – zdobywcy i *conkers* (ang.) – kasztany. [[wróć](#)]